

Eugeniusz Paukzta

Znaki ogniste

Ukochanej Zonie - Hani - 2 serdeczną podzięką za pomoc w trudzie poznaioania przeszłości Ziemi Mazur i Warmii.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wspiął się na smołowane deski przedniego pomostu, rozprostował szeroko ramiona. Na ostro zarysowaną twarz wypłynął dyskretny uśmiech zadowolenia. Stary flisak, wsparty fo długi drąg służący do gruntowania, oderwał na chwilę wzrok od żółtawych, mętnych fal wiślanych, ciekawie spojrzał na oblicze otulonego w szarą opończę mężczyzny. Spodobał mu się uśmiech człowieka, który już drugi raz towarzyszył im w długiej wędrówce wiślanej, nieznany bliżej z nazwiska czy zawodu.

- Aż dziw, jegomość, że taka wiosna. Marzec ledwie końca dobiega, a tu, jak w maju... Woda wysoka, ochota płynąć.

- Dawno tak pływasz?

- „Dwadzieścia pięć років, długo jeszcze przed brzeskim pokojem zacząłem. Nijak nie mogę dosłużyć się szyperstwa. W kabzie sucho. - Cień goryczy śmignął po opalanej wiatrami i słońcem twarzy, zmarszczki około oczu jakby się zagęściły.

- Prawda, wiosna nad podziw - mruknął jeszcze człowiek w opończy, lekkim zwrotem tułowia dając znak, że nie pragnie podtrzymywać rozmowy.

Flisak zerknął na niego uważnie, potem szybko przyskoczył do burty, drągiem zgruntował wodę, bardziej tu bystrą, rozbijającą się płatami białej piany o niewidzialną pod powierzchnią przeszkodę.

- Lewo dawaaaaj, lewoooo! - zakrzyknął do tyłu, gdzie dwóch rozdzielonych z koszul ludzi mozoliło się przy sterze.

Kilkanaście splątanych ze sobą pni, zaczepionych o podwodne kamienie, tarasowało w tym miejscu koryto rzeki. Wisła zakręcała burty, drągiem zgruntował wodę, bardziej tu bystrą, rozbijającą aby nie zezwolić prądowi na zniesienie statku zbyt blisko pod brzeg.

Człowiek otulony opończą stał nadal na pachnącym, rozgrzanym pomoście, wpatrywał się w dal. Rozrosły był, barczysty, jakby go las chował i twarde znoje. Nos miał kształtny, nieco za smukły, co nadawało całemu obliczu wyraz ostrości. Spod krzaczastych brwi łykały siwawe oczy, spokojnel smutne: Chude policzki zapadały się koło ust, co postarzało mężczyznę, nie mającego w rzeczywistości wiele ponad trzydzieści pięć lat.

Wiosna zaiste niebywale wcześnie nastąpiła w tym roku. Już w drugiej połowie marca spłynęły resztki lodu, a krzewy nadbrzeżnej wierzby pokryły się delikatnym puszkim baż i jaśniutkimi w odcieniu zieleni listkami. Skowronki jakby się zwiedziały o niespodziewanej pogodzie, od tygodnia już wirowały w błękitach, ciesząc serca ludzkie. Oziminy na polach podciągały się w oczach; w niektórych miejscach spadały łanami uprawnej roli ku samej Wiśle.

Ciepło było, bezwietrznie. Drzewa prostowały gałęzie, opite sokami przedwiośnia. Starzy chłopcy potrząsali w zadumie głowami.

Woda wiślana wciąż była mętna, wezbrana. W nizinnych miejscach łąki były zalane daleko, jak okiem sięgnąć. Flisacy zważali wtedy, aby nie zboczyć z głównego nurtu.

Od Grudziądza, który minęli ubiegłego / ranka, mało napotykali ludzi. Jakieś dwie łodzie rybackie buszowały po rozlewisku, na niedalekim wzgórku wolno człapał oracz w parcianych portkach, borykał się z oporną sochą, młode chłopię poilo w rzece konie, z radością waliło bosymi nogami po rozpryskującej się zmulonej wodzie. Nic więcej.

Mężczyzna na przednim pomoście zdawał się radować z tej pustki. Spoglądał uważnie na prawo. Gościniec na Kwidzyn zbliżał się w tych stronach nieomal do samej rzeki, lada chwila powinien spłynąć szeroką smugą pod brzeg.

Na pomoście rozległo się ciche stąpanie. Człowiek w opończy obejrzał się.

- Ranek, a smalił jak w lipcowe dni. Gościńca wyglądacie, panie? Jeszcze kawał drogi, zakręt musimy minąć.

- Dobrą macie pamięć, szyprze.

- Ho, kto by znał Wisłę lepiej od Mikołaja Zatelera! Na tej wodzie się zrodziłem, na niej pewnie i zemrę... Mam jeno poważne obawy, że rychlejszą śmiercią, niżby się należało spodziewać. Turbują mnie złe myśli. Zawsze tak, jak się zbliżam do Gniewu. Stare rachunki tam mamy z komturem.

- Jan von Remchingen choć zły, to szczęściem jeszcze przygłupi, łącniej z nim jak z innymi.

- Wam, panie, może łącniej. Na mnie się uwziął osobliwie okrutnie, żeby go ziemia nie nosiła. Ale nie dam się i tym razem - przez zachmurzoną, rozeźloną twarz starego człowieka o siwym zaroście, przeleciały jakieś drgawki, wargi ściągnęły się w jeden pasek.

- Lewoooo, lewoooo, dawaaaaj!

- Drze się ten Mateusz, jakby go nie słyszano u steru - zaburczał szyper, cichym swym krokiem przeszedł na drugą stronę statku. Doleciały stamtąd jego gniewne pokrzykiwania.

Podróżny na pomoście owinął się szczelniej opończą, aż się zdumiał sternik Mateusz, że może mu być zimno w tym żarze.

Wisła rozlewała się teraz szeroko, prąd nie był tak rwący. Woda stała się jeszcze bardziej zmacona i brudna.

Zakręt, o którym wspominał szyper Zatele, mieli już poza sobą. Wzdłuż prawego brzegu szeroką krechą ciągnął się gościniec. Rozmytą wyrwą opadał następnie ku rzece. Zdeptana ziemia, żłobiona rysami kolein i odciskami końskich kopyt, znaczyła bród.

Sternik Mateusz zbliżył się do mężczyzny w opończy.

- Wedle samego brodu zechcecie wysiąść, panie?

Podróżny przecząco potrząsnął głową. Chciał coś dodać, gdy nagle od lewego brzegu, kryjącego się w rozrosłej, choć nie opierzonej jeszcze listowiem wierzbinie, rozległy się krzyki i tętent licznych kopyt. Zaraz ukazał się spieniony koń z pochylonym ku jego szyi drobnym jeźdźcem. Niepohamowanym cwałem zsunęli się oboje ku spadziźnie, zachlupotała bryzgami woda, sięgająca rumakowi po piersi.

- Uwaaaażaj, bo w piach siądziem! - ryknął siwy Mateusz na swoich sterników.

Statek zachrząścił dnem, otarł się o mieliznę, zakolebał przez chwilę, prąd znów go uchwycił w objęcia.

- Przystańcie! - rzucił nagle silnym głosem mężczyzna w opończy.

Porwali za drągi, ostro okute przy końcach, wparli je w piaszczyste dno. Patrzyli na brzeg. Wypadło tam kilka koni, ścigających samotnego jeźdźca. Na widok statku jeźdźcy wstrzymali się niepewnie, hamowali rozpędzone konie. Wnet jednak ruszyli naprzód, zanurzając się w wodę, podgonieni krzykiem jednego z nich:

- Za nim! Coście się, statku złąkli?

- To wójt krzyżacki z Nowego. Znam tego pana - szepnął Mateusz. Twarz sternika latać przy tym poczęła jak u rozjuszonego wilczura.

Podróżny bacznie obserwujący młodego jeźdźca poderwał się, opończa rozwiała się, ukazując pod nią rycerskie odzienie.

- Bywaj tu, Eryk, bywaj!

Koń z trudem dawał sobie radę z wysoką wodą. Z wzniesionego nad powierzchnię pyska buchała para.

- Sięgnijcie tam jeden z drugim po kusze! - zabrzmiał mocny głos szypra.

- Grzać będziem? - spytał sycząco niski, czarniawy na twarzy flisak.

- Bywaj tu, bywaj!

Jeździec ostro skręcił w bok, w stronę statku. Grunt zniknął nagle spod kopyt końskich. Głowa rumaka na chwilę zanurzyła się pod brudnożółtawą taflą wody. Młody człowiek błyskawicznie zsunął się z kulbaki.

Zwierzę było zmęczone. Twarz jeźdźcy z wysiłku nabrzmiała krwią. Mokre od potu włosy zlepły się na czole.

Flisacy rzucili linę, chybili, ściągnęli ją szybko. Znów zataczając krąg opadła na wodę. Tym razem jeździec uchwycił jej koniec, zsunął się z konia.

Ścigający zatrzymali się w połowie brodu. Gestykulowali wskazując na statek. Szczególne ich zainteresowanie wzbudzała postać rycerza w opończy.

- Piotr z Wikliny, Piotr z Wikliny V - dobiegły załogę półgłosne słowa.

Zdumieni, otwierając usta, wpatrzyli się flisacy w postać słynnego rycerza. Nie domyślali się nawet, kogo wiozą na statku.

On tymczasem spokojny już o los młodzieńca, wyprostował się, przeszedł pomostem bliżej w stronę zastygłych w wodzie wójta i jego pachołków.

- Dobry masz wzrok, panie von Badenach. Przypatrz się zatem mnie dobrze.

Krzyżak przechylił się całym tułowiem wprzód, wbił w rycerza zły wzrok.

- Nie pierwszy raz stajesz mi w drodze, Piotrze z Wikliny. Bacz, bym ja ci nie stanął któregoś dnia. Nie znasz dnia ani godziny.

Rycerz w opończy zaśmiał się na to przeciągle, drwiąco, chwilę jeszcze popatrywał na rozeźlonych, bezradnych Krzyżaków, potem obrócił się do nich tyłem.

Młody człowiek ociekający wodą, z trudem opierał się

o barierę pomostu, obserwował swego konia, walczącego z prądem. Rumak dotarł właśnie do płytszego miejsca i przystanął, wysoko unosząc łeb mocno zaparł się kopytami w sypki piach dna. Wtedy obrócił się, spojrzał na statek, zarżał półgłębko, po czym spokojnie, już wypoczęty, popłynął w stronę prawego brzegu.

- Szkoda konia - rzekł szyper.

Młodzieniec zaśmiał się.

- Mądrzejszy on od niejednego człeka. W różnych opresyjach już bywał. Poradzi, będzie nam towarzyszył brzegiem. Uchhhh - odetchnął całą piersią, rozprostował ramiona.

Trafił w nie zbliżający się właśnie Piotr z Wikliny. Uściskali się serdecznie z bratankiem. Ale po chwili twarz rycerza znów przybrała surowy wyraz.

- Zakazu mego, widzę, nie usłuchałeś? Skądś się znalazł wedle Nowego? Miałeś w Kwidzynie trwać

Istamtąd na spotkanie moje wyjechać! Komtur Nowego wraz szeroko da znać, że znowu wracam w te strony. Pojrzyj za nimi - szerokim odrzutem ramienia ukazał na krzyżackiego wójta z knechtami.

Cała czwórka wydostała się już z powrotem na brzeg. Krzyżak tłumaczył coś, wskazując dłonią na przeciwną stronę Wisły. Zaraz dwóch jezdnych ponownie skierowało swe konie do brodu. Wójt przesłonił oczy dłonią, spoglądał pod słońce na statek płynący wolno z prądem. Wzniesiona do góry dłoń jego zaciskała się, jakby w znaku groźby.

Piotr z Wikliny zmarszczył brwi. Starał się odgadnąć zamiary wroga.

- Kędjrz mógł ślać tych dwóch? Przecie nie do Kwidzyna... nie tamtędy im droga...

- Pozwólcie stryju, że was objaśnię, jakom należną subordynację zachowałem... - zaczął Eryk. Obejrzał się przy tym dokoła. Byli sami. Sternik Mateusz stał przy dziobie, dając znaki flisakom. Szyper Zatele przysiadł na wywróconej skrzyni, szarpał palcami króciutką bródkę,

- Prafwże, a jasno, bo pora późna, wraz się będziem na brzeg dostawać? Konie przygotowane?

- Czekają. Jasiak przy nich... Otóż rzecz miała się tak... - oparł się znów o barierę pokładu, zmęczony był jeszcze. - Gdyście w ostatek januara nas odbieżeli, zlecając jeno dostarczyć pisma w Iławie, potem zaś siedzieć w Kwidzynie i baczenie ostrożne na znoszenie biskupie z Zakonem dawać - tako czynilem.

Urwał, zaczerpnął powietrza, twarz szczupła, jasna, ściągnęła się jakby kurczem bólu.

- Niedzielę temu stary Mittke, co za stajennego u biskupa pomezkańskiego służy, zwiedział się od pokojowców, którzy gościom kapitulnym przy stole usługiwali” że Janowi z Jani zamach krzyżacki zagraża, wójt Nowego ubicie szykuje. Przechwalali się będąc podpici, że ład nastanie skoro się onego pozbędą. Śmiali się głośno, aże ich biskup strofował, to na miłosierdzie chrześcijańskie, to na ściany, które uszy mieć mają, ukazując... Gdym sprawę rozpoznał, umyśliłem, że gniewu mieć nie będziecie, jeślić wraz z ostrzeżeniem poskoczę...

- Jan z Jani w Nowem? Skądże on tam się znalazł? Miał w bierni gniewskiej przebywać!

- Tak mi powiedział sędzia Ramsz z Krzykosów. Jemum też sprawę waszego przyjazdu przedłożył, gdyby fortuna na czas wrócić nie dała.

- Ach, sędzia? To insza sprawa... Powiadajże, jako dalej było!

- Jana z Jani znalazłem. Wdzięczen był, choć nieęnotę przeczuwał, bo zbrojno jechał, w kilkadziesiąt koni. Nic mi nie rzekł, krom tego, żeby sędziem i wam, stryju, to oznajmić, iż na pierwszy dzień drugiej niedzieli* kwietnia sprawa przełożoną ostała...

- Aha, tom w czas wrócił... - bąknął do siebie Piotr z Wikliny. Chłopak chciwie nastawił ucha, zwrócił pytające spojrzenie na stryja, ten jednak nie powiedział nic więcej.

- Gdym wracał, natknąłem się na wójta z knechtami... Chcieli mnie ogarnąć, poznał mnie, pomiot krzyżacki. Tyle, że zem zważył z konia jednego i ku Wiśle jałem rwać; Dalej, stryju, już wiecie...

Patrzył z wyczekiwaniem na twarz stryja. Ale Piotr z Wikliny nie zważał nań więcej, wodził wzrokiem za koniem Eryka, biegnącym brzegiem równoległe ze statkiem. Rycerz miał czoło zmarszczone. Przetarł je dłonią, skinął na szypra. Mikołaj Zatele zbliżył się natychmiast*

- Szyprze, wraz wysiądziem. Wy w Gniewie pchnijcie kogo pewnego do Pawła z Piesienic, by w pierwszy dzień drugiej niedzieli aprila na miejscu wiadomym stanął. ‘:

- Nie wiem, zali przez Gniew przejadę. Wójt komNiedzie l a - w znaczeniu tygodnia. turowi da znać i Jan von Remchingen będzie mnie napastował. Kto wie, czy z życiem ujdę... Tyle, że swoje sposoby mam i na niego.

- Poradzisz, Zatele, nie takóś radził swojego czasu, pomniesz? - uśmiechnął się jakoś serdecznie Piotr, dłonią poklepał ramię wodniaka.

Szyper potarł bródkę, oczy błysnęły mu żywszym ogniem.

- Pomnieć pomnę, jeno, że w tedy był młodszy. Wy, panie, takóś małoście byli starsi nad tego młodzika...

- Wedle tamtej kępy starej wierzbiny wypadnie nam wysiąść - wtrącił Eryk.

Zatele podszedł do sternika. Statek powoli zbliżał się ku brzegowi.

Eryk złożył dłonie w trąbkę przy ustach, zakwilił jak młode zajęcze, duszone nocną porą przez sowę.

Po dliższym oczekiwaniu z brzegu rozległo się równomierne naszczekiwanie psa, powtórzone trzykrotnie. Słyszac to hasło, Eryk odetchnął z ulgą.

- Jest Jasiek...

Statek otarł się dnem o płytką wodę’ przybrzeżną, przystanął. Flisacy spuścili małą łódeczkę, jeden wsiadł do niej razem z rycerzem i Erykiem, wpłynęli pod gałęzie zatopionych wysoko drzew, przedzierali się przez nie do zieleniejącej opodal łąki. Zaraz za nią las sosnowy podchodził szerokim klinem pod samą prawie Wisłę.

Za chwilę łódeczka wróciła z samotnym flisakiem. Dwie postacie na brzegu zanurzyły się w krzewach. Szyper kreślił za nimi szeroki znak krzyża.

- Twardy człek, ten Piotr z Wikliny. Sam jeno z bratankiem ostał z całej rodziny. Tako. go przed trzema laty zastępcą komtura pasłęckiego urządził; Żonę krwią jeszcze

tryskającą knechty gwałtem brały, córeczkę mając... Gdym sprawę rozpoznał, umyśliłem, że gniewu mieć nie będziecie, jeśli wraz z ostrzeżeniem poskoczę...

- Jan z Jani w Nowem? Skądże on tam się znalazł? Miał w ziemi gniewskiej przebywać!

- Tak mi powiedział sędzia Ramsz z Krzykosów. Jemum też sprawę waszego przyjazdu przedłożył, gdyby fortuna na czas wrócić nie dała.

- Ach, sędzia? To insza sprawa... Powiadajże, jako dalej było!

- Jana z Jani znalazłem. Wdzięczny był, choć nieęnotę przeczuwał, bo zbrojno jechał, w kilkadziesiąt koni. Nic mi nie rzekł, krom tego, żeby sędziemu i wam, stryju, to oznajmić, iż na pierwszy dzień drugiej niedzieli* kwietnia sprawa przełożoną ostała...

- Aha, tom w czas wrócił... - bąknął do siebie Piotr z Wikliny. Chłopak chciwie nastawił ucha, zwrócił pytające spojrzenie na stryja, ten jednak nie powiedział nic więcej.

- Gdym wracał, natknąłem się na wójta z knechtami... Chcieli mnie ogarnąć, poznał mnie, pomiot krzyżacki. Tyle, że zem zwałił z konia jednego i ku Wiśle jąłem rwać; Dalej, stryju, już wiecie...

Patrzył z wyczekiwaniem na twarz stryja. Ale Piotr z Wikliny nie zważał nań więcej, wodził wzrokiem za koniem Eryka, biegnącym brzegiem równoległe ze statkiem. Rycerz miał czoło zmarszczone. Przetarł je dłonią, skinął na szypra. Mikołaj Zateler zbliżył się natychmiast.

- Szyprze, wraz wysiądziem. Wy w Gniewie pchnijcie kogo pewnego do Pawła z Piesienic, by w pierwszy dzień drugiej niedzieli aprila na miejscu wiadomym stanął. ^

- Nie wiem, zali przez Gniew przejadę. Wójt komNiedziela - w znaczeniu tygodnia. turowi da znać i Jan von Remehingen będzie mnie napastował. Kto wie, czy z życiem ujdę... Tyle, że swoje sposoby mam i na niego.

- Poradzisz, Zateler, nie takóś radził swojego czasu, pomniesz? - uśmiechnął się jakoś serdecznie Piotr, dłonią poklepał ramię wodniaka.

Szyper potarł bródkę, oczy błysnęły mu żywszym ogniem.

- Pomnieć pomnę, jeno, że w tedy był młodszy. Wy, panie, takóś małoście byli starsi nad tego młodzika...

- Wedle tamtej kępy starej wierzbiny wypadnie nam wysiąść - wtrącił Eryk.

Zateler podszedł do sternika. Statek powoli zbliżał się ku brzegowi.

Eryk złożył dłonie w trąbkę przy ustach, zakwilił jak młode zajęcze, duszone nocną porą przez sowę.

Po dłuższym ociefekiwaniu z brzegu rozległo się równomierne naszczekiwanie psa, powtórzone trzykrotnie. Słyszając to hasło, Eryk odetchnął z ulgą.

- Jest Jasiek...

Statek otarł się dnem o płytką wodę! przybrzeżną, przystanął. Flisacy spuścili małą łódeczkę, jeden wsiadł do niej razem z rycerzem i Erykiem, wpłynęli pod gałęzie zatopionych wysoko drzew, przedzierali się przez nie do zieleniejącej opodal łąki. Zaraz za nią las sosnowy podchodził szerokim klinem pod samą prawie Wisłę.

Za chwilę łódeczka wróciła z samotnym flisakiem. Dwie postacie na brzegu zanurzyły się w krzewach. Szyper kreślił za nimi szeroki znak krzyża.

- Twardy człek, ten Piotr z Wikliny. Sam jeno z bratankiem ostał z całej rodziny. Tako. go przed trzema laty zastępca komtura pasłęckiego urządził; Żonę krwią jeszcze tryskającą knechty gwałtem brały, córeczkę maleńką wrzucono w studnię, on sam, broniąc się, ran kilkanaście odniósł. Tyle, że go sługa jeden uratował, na konia przed sobą złożywszy. Krył potem rannego w chaszczach sobie tylko znanych a leśnych wykrotach. Jako psy za nim wciąż tropią, czując, jak ich nienawidzi i walkę szykuje od nowa, jako temu dwie wiosny...

- A tenże młodzik jako to ostał, szyprze? - zapytał ciekawy Mikołaj.

- Eryk? W drodze był kajsi, na pogorzelenę wrócił, gdy już krom trupów nikogo na miejscu nie było... Jego rodzice już rańsze pomarli, u stryja się chował. Krzyżacy potem wieść puszczali, jakoby to chłopstwo, twardą ręką przez pana Piotra trzymane, zezwoliło sobie na taką swawolę...

- Zawdy na chłopie wszystko się skrupi - westchnął Mateusz, wpatrzył się w brzeg, ale nikogo tam widać nie było ani żaden głos nie dobiegał.

Powoli, odpychany krzepkimi ramionami, wracał statek na główny nurt rzeki. Zateleer długo stał jeszcze przy burcie, w zamyśleniu szarpał swą bródkę chudymi rękami. Przed południem powinni być w Gniewie. Szyper pomyślał o tamtejszym komturze, zaśmiał się do siebie cichutko, złowrogo, aż się sternik Mateusz obejrzał i mimo ciepła wstrząsnął nim dreszcz.

Rozdział drugi

Szerokie, dębowe drzwi do oświetlonej woskowymi świecami sali rozwarły się cicho. Mężczyźni zgrupowani przy stole umilkli, starali się w półmroku rozpoznać postać przybyłego. Gospodarz skinął uspokajająco głową.

- To z moich ludzi...

Podniósł się, wyszedł naprzeciw. Siwy człowiek nachylił mu się do ucha, coś szeptał przez dłuższą chwilę. Sędzia skinął głową, po wyjściu sługi odezwał się do zebranych.

- Otóż i będą wieści świeże. Powinowaty mój, Krzysztof, od biskupa przybywa.

- Szybko wracajcie, panie sędzio - zza stołu podniósł się wysoki, barczysty mężczyzna. - Pora późna, a warto, skończywszy, głowę złożyć do snu przed jutrzejszą drogą.

- Ponagłę sprawy - uśmiechnął się sędzia Ramsz z Krzykosów.

Po wyjściu jego zapadło milczenie. Wszyscy siedzieli, tylko ów barczysty mężczyzna nerwowym krokiem chodził od kominka w kąt dużej sali. Czasem stawał, przyglądał się rozwieszanej na ścianie zbroi, łopatom łosim, jelenim rogom, dziczym łbom wyszczerzającym potężne kły. Dłuższy czas popatrywał na tarczę herbową gospodarza domu. Na* jasnoczerwonym tle widniały szponiaste łapy orle, lewa zaciskała się, jakby już miała porwać upatrzoną ofiarę.

- Orzeł to on jest, a i głowę ma kromia szponów... - mruknął do siebie niespokojny mężczyzna.

- Coście rzekli, panie Tieleman? - zagadnął go przygnębiony człowiek siedzący u rogu stołu.

- Nic, mości panie Sciborze. Na herb Kleców patrzyłem... Boć Ramsz z Kleców rodu pochodzi?

- Z Kleców. Dzielny to ród i stary, pruski, bez obcych przymieszek - burknął Augustyn z Szewy, człowiek już mocno sędziwy, zakaszłał się silnie.

Tieleman vom Wege od nowa rozpoczął swój spacer. Dziwnie zawsze się czuł w tych osiadłych i zasiadłych dworach szlacheckich, w których począł bywać obecnie tak często. Niejeden raz całą siłą hamować musiał wzburzenie, gdy ^ę sttpkął z ciasnym widzeniem szlacheckich interesów, bez zrozumienia spraw całej ziemi. Ot i teraz, patrzą niektórzy spod oka, gębę mało który przyjaźniej rozewrze... Zacisnął gniewnie pięści. A cóż by poczęli, gdyby nie miasta? Nie pieniąż miejski, nie miejski zaciężnik główna podpora Związku Pruskiego? Rady by sami nie dali, wahali się by ze strony na stronę, zdrada goniłaby zdradę, jak odstępstwo dwóch tamtych przed rokiem... Tyle mozołu kosztowało klecenie od nowa spraw związkowych aż w trzech powiatach... A ci tutaj, to przecie najlepsi. Twardzi, nie od dziś hartowni w walce z Zakonem...

Przystanął, zasłaniając sobą światło padające na salę od rozżarzonego brzożowymi kłodami kominka. Przy stole toczyła się cicha rozmowa. Słyszał ostry, stanowczy głos Ścibora Bażyńskiego, rozpoznawał kaszel Augustyna z Szewy, szypienie Michała z Buchwałdu, który miał wargi rozorane pociskiem z krzyżackiej kuszy; wiedział, że bębnienie

palcami po blacie stołu, to nerwowy, charakterystyczny ruch Szymona Głazewskiego. Znał ich wszystkich na wylot, pół roku przecie mijają, jak go przyjęli - pierwszego mieszczanina - do Towarzystwa Jaszczurczego*. Wadził się z nimi, pomstował na ich zaciętość ku miastom, niezrozumienie konieczności wspólnej postawy. Ostatnio dopiero przyjaźniej się poczęły układać stosunki. Czas był gorący, nie pora na zwady...

Towarzystwo Jaszczurcze - założone przez Mikołaja Ryńskiego, chorążego chełmińskiego i jego trzech towarzyszy w dniu 25 lutego 1397 r. Towarzystwo było organizacją tajną o celach narodowych polskich. Towarzystwo to po śmierci głównego założyciela z rzadka tylko objawia bardziej ożywioną działalność, chociaż niektórzy badacze niemieccy, jak np. J. Voigt, przypisują Towarzystwu kierownictwo całością działalności opozycyjnej przeciw Zakonowi. Dopiero po r. 1440 z chwilą założenia Związku Pruskiego, daje się zaobserwować podjęcie od nowa działalności i najprawdopodobniej kierowanie z ukrycia całością postępowania Związku Pruskiego. Bliższe dzieje Towarzystwa Jaszczurczego nie zostały dotąd zbadane przez historyków (przyp. aut.).

Ciepło płynące od kominka rozleniwiało. Pocierał odruchowo dłonie, choć przecie nie był zmarznięty. Na dworze wiosna zupełna, szczapy płonące jasnym, żółtawym ogniem wypędzały resztki zamrozu z grubobelkowych ścian. Wspomnił swoją ubiegłoroczną wyprawę na dwór cesarski. Było to krótko po przyjęciu go w grono jaszczurkowców, październik pamiętnego 1452 roku. Pomysł pokrzyżowania planów Zakonu przez przeniesienie sprawy sporu przed sądu papieskiego na forum cesarskie wyszedł od Jana Bażyńskiego. Zakon był tym niepomiernie zdziwiony, znał swoje wpływy w Wiedniu, z którymi związkowcy ani się równać nie śmieli. Nie pojęto w gronie doradców wielkiego mistrza, że udanie się związkowców pod opiekę cesarską praktycznie uniemożliwiło dalszą interwencję papieską. Tak się i stało. Zakon musiał również przenieść sprawę do Wiednia, papież zaś poczuł się obrażony i wstrzymał się z decyzjami. A właśnie na tej zwłoce tak zależało Związkowi...

Zagiętym u końca długim żelazem poprawił Tieleman kłody w kominku, uśmiechnął się do swych wspomnień. Tak, to było ważne posunięcie. Dobrze się wtedy we czwórkę dobrali. On i królewiecczanin Brunawa, rycerze: Augustyn z Szewy i sędzia Ramsz Krzykoski. Nic to, że cesarz, nastawiony przez krzyżackich zauszników na dworze wiedeńskim, wyznaczył termin sądowy na czerwiec. Ważniejsze, że zezwolił oficjalnie zbierać Związkowi podatki na koszt procesu i że zakazał obu stronom wrogich poczynań wzajemnych. Te pół roku musiało wystarczyć... Za to jakże się opłacił wydatek owych pięciu

z górą tysięcy florenów, aby uzyskać z kancelarii cesarskiej podrobiony dokument na prawo Torunia i Chełmna do wiązania się ze szlachtą w obronie wspólnej sprawy...

- Jużem gotów. Nowiny ciekawe. Warto było czasu cokolwiek zmitrzyć - zmienionym jakimś głosem od drzwi już prawił Ramsz Krzykoski.

Tieleman vom Wege wielkimi krokami wrócił od kominka do stołu. Ruchliwy Szymon Głazewski porwał się ze swojego miejsca, przysuwał krzesło bliżej sędziego.

- I co? I co? Dobre chocia nowiny?

- Siadajcie, panie, wraz przedłożę, co mi doniesiono. Proszę pięknie, lejcie że piwo, w kamiennych garach dobrze gorąc trzyma. - Polskie to piwo, bydgoskie. Jak nigdzie umieją tam warzyć... - ręką wskazywał na pękate dzbany i kubki grubo ciosane z osikowego drzewa.

Zapach chmielu i odgłosy siorbania wypełniły salę. Gospodarz chwilę odczekał, potem zaczął:

- Wiadomoż obecnym, jako powinowaty mój, Krzysztof Cletz, w wielkim jest zaufaniu pomezańskiego biskupa, przez co niemało spraw staje się nam wiadome. Przed niejakim czasem gościł Linke przejeżdżających tędy od wielkiego mistrza na swoje dziedziny - wójta Nowego wraz z inszymi członkami konwentu. Podpici wygadali się tedy, że Jana z Jani cichcem chcą pojmać, jeśli zrazu nie ubić. Ze swojej strony daliśmy znać bratu naszemu o tych zamiarach Zakonu...

- Toćże do Polski miał jechać? - zdziwił się niespokojnie Augustyn z Szewy, dławiąc się swoim kaszlem.

- Tuszę, że jest tam, z wojewodą brzeskim paktuje. Ostrzeżon, dobre na siebie dawał baczenie. Jak mi znać dano, z pocztem zbrojnym jeździ, nie da się łącno osaczyć... W całej rzeczy wykazało się dowodnie, jako biskup nie jest nam wrogi, bo tajemnym umyślnym również kazał brata naszego uprzedzić... Raz to jeszcze dowodzi, iżeśmy słusznie czynili, Prabut do związku nie przyjmując, ażeby Linkego nie drażnić. Niechaj będzie nam nadal przyjazny. Wszak to biskup zakonny, tyler że z Wielkim Mistrzem nie w zgodzie.

- Ale rychle czas nadejdzie i Prabuty przyjąć...

Wielkimi krokami rzecz się odmierza - sapnął Tieleman vom Wege.

- Innej nowiny chcę wam jeszcze udzielić, ta mi się zda ważniejsza, chocia smutna jest i kto wie, czy niegodziwością wielką sprawa nie trąci. Są pewne wieści, jako Jan Cegenberg zaprawdę...

- Malborska pewnikiem sprawa! - rosły mieszczanin zerwał się z miejsca, sękatą dłonią wyrznął o stół, aż się piwo rozlało z kubków.

- Brat toś gorączka jak zawsze - niechętnie syknął Scibor Bażyński, koso zerkał na Tielemana.

- Bo serce boli, iż wpośród nas najdują się zdrajcę - nie mógł się uspokoić krewki mieszczanin.

- Zwólcie, że skończę...

- Cichajcie, cichajcie, mili - łagodził wysoki, przeraźliwie chudy Jakusz ze Świętego.

- Od komtura toruńskiego rzecz wyszła, nie pierwszy raz jego kancelaria oddaje nam ważne usługi... Prawda jest, że starosta Związku, Cegenberg, poza wiedzą naszą i przyzwoleniem był gościem wielkiego mistrza Malborku. Ludwik von Erlichshausen nie tylko, że go do stołu prosił, ale i miejsce dał tak poczesne, że siedział Cegenberg powyżej wielkiego szpitalnika von Plauena. Samym Krzyżakom dziwna się wydać miała takowa konfidencyja, gadki jęli rozwodzić, aże się Cegenberg na niektórych obraził i wielki mistrz musiał sprawę łagodzić.

- W jakich materiach wiedli dyskurs dostojni stołownicy? - syczącym, nieswoim głosem zapytał Tieleman.

- W Malborku o letkich sprawach, jak to przy stole... Snadnie martwić się będziemy późniejszymi sprawami... Dwie niedziele temu Cegenberg pismem własnym radził wielkiemu mistrzowi odwołanie się do rycerstwa pruskiego w sprawach ugody, z miast pominięciem...

Zresztą, czytajcie sami. Jam tym zgryzion nazbyt okrutnie, rady dać sobie w zmartwieniu nie mogę.

Tu sędzia rzucił na stół zwitek szorpatego papieru. Sam usiadł, ujął głowę w dłonie, jakby w ten sposób pragnął z niej wypędzić zgryzotę.

Ktoś podsunął bliżej woskową świecę. Nachylili się nad stołem, wygładzili papier. W większości nie umieli czytać, ni pisać, ciekawi jednak byli samego wyglądu pisma.

- Odpis?

- Odpis. Z tajemnych akt kancelarii samego mistrza Ludwika zrobiony - nie podnosząc głowy odrzekł sędzia.

Ruchliwy Szymon Głazewski porwał pismo do ręki. Jan z Wichulca Gicholski popatrywał mu przez ramię, sapiąc zawzięcie. Głazewski czytał głośno, chwilami stękał, przybliżał papier do oczu. Łykali każde słowo. Tieleman vom Wege czerwieniał, pęczył na twarzy, dłońmi wparł się w gruby blat dębowego stołu, nie mówił nic, powietrze z poświstem wydobywało mu się przez nos.

Sprawa była jasna. Jan Cegenberg, starosta Związku Pruskiego, zdradzał sprawę. W lisi, przebiegły sposób przechodził na stronę wroga. Namawiał wielkiego mistrza do zwołania

zjazdu wyłącznie szlachty. Oznaczało to ponowne rozbitcie Związku, w momencie, gdy sytuacja była nabrzmiąta, groziła lada chwila wybuchem.

- Zdrajca, zdrajca! - sapał rosły mieszczanin, dłonie zatknął za pas, jakby w obawie, że popełni coś niestosownego.

- Cicha jcie, jest to jakoweś postscriptum... - uspokoił Głazewski wzburzonych jaszczurkowców.

Na te słowa Ramsz Krzykoski jęknął rozgłośnie, mocniej przycisnął dłonie do skroni.

- Pisze, że co się tyczy wojsk zaciężnych, przez miasta werbowanych, do dawniejszego stanu trzeba dodać jeszcze co najmniej połowę.

- Trzymajcie mnie, bo nie zdzierzę. Przywódca, a taki gad plugawy! On zawżdy przeciw miastom, przeciw sprawie pruskiej ziemi. Byle własne zamysły upiec, nie dba, krzyżacki ogień czy jakibądź inny.

- Dość, panie Tieleman! I wy sędzio, nie ślęczcie, jakoby na modłach żałobnych. Jeźlić jeden ubędzie, sprawa nie przepada. Radzić nam trza, pora późna. Swoje róbmy, a o Cegenbergu też pomyślimy. Czas gorący, na malborskim zamku nie śpią. I nam spać nie przystoi.

Dąbrowski Mikołaj niski był, niepozorny, a przecie na mocny dźwięk jego głosu wyprostowali się wszyscy, podnieśli głowy. Nawet stary Augustyn z Szewy błysnął dziwnie oczyma, zaciśniętą pięścią stukał po blacie stołu? Płomienie świec migotały, szczapy na kominku rozjarzyły się mocniejszym płomieniem, nagle poweselało w sali.

Postać Dąbrowskiego jakby urosła w tym świetle. Mała jego twarz, o nieco szczurzym wyrazie, spoglądała bystrymi oczkami. Odplacali mu spojrzeniami pełnymi szacunku. Mikołaj był nie tylko duszą związkowców ziemi grudziądzkiej, ale i we władzach Związku Pruskiego, i w Towarzystwie Jaszczurczym miał wiele do powiedzenia. Razem z Janem z Wichulca i Jakuszem ze Świętego tworzył zespół starszych wśród jaszczurkowców, nikt nie umiał znaleźć skazy na jego życiu, powszechnie znana była jego bezkompromisowość i nieprzejednany, ale sprawiedliwy stosunek do Zakonu.

- Pomnieć nam wszystkim wypada, że Związek Pruski, jako nas w Polszcę zwą, to ramię jeno poczynań. Rozum cały w Towarzystwie Jaszczurczym, głowa mocna, co niejedną burzę przetrwała. Prawdać, że Cegenberg takōż jaszczurkowcem ostaje, srom nam swymi czynami przynosi. Rzekłem wszako, że rozum to znamię Towarzystwa naszego. Tenże rozum kazał, by Cegenberga od bardziej tajnych spraw, a od blisko pół roku i od zebrań naszych z dała trzymać. Cegenberg przeciw sobie wojuje, z Krzyżaki w komitywę wchodząc. Nie

pierwszy raz warcholi, zawdy pysze swojej dając pierwszeństwo. Sprawę ostawcie starszym Towarzystwa, my znajdziem już na to radę...

Ostatnie słowa wymówił głosem ściszym, zadrgała w nim groźba, zimne mrowie przeleciało wśród zebranych. Milczeli wszyscy, patrzyli na Dąbrowskiego. On, odsapnąwszy nieco, tak dalej wywodził:

- Rychło Jan Bażyński, Sciborów brat powraca. Jemu godzi się powierzyć w Związku sprawy rycerskiego stanu. Miasta, tuszę, godnego najdą reprezentanta w bracie Tielemanie vom Wege.

Rozejrzał się po zebranych. W migotliwym blasku woskowych świec twarze ich przybrały stanowczy wyraz. Siła biła z tych wszystkich postaci, przeważnie ludzi starszego już wieku.

- Zali swą zgodę na wymienionych dajecie, zali składacie prawo przewodzenia Związkowi w ich ręce?

Powstali wszyscy, prawe ramiona wznosili po trzykroć w górę, po trzykroć opuszczali je ku dołowi.

Wtedy dopiero Dąbrowski usiadł na swym miejscu, dzbaniec przechylił, z bulgotem wlewał piwo w zaschnięte gardło.

- Radźmyż zatem dalej - powiedział jeszcze, skulił się potem, zmalął, tylko bystrymi oczkami ślepił dookoła.

Tieleman vom Wege był wzruszony. Przed chwilą nienajlepiej myślał o swych braciach spod znaku jaszczurki, a oto oni okazują mu taką ufność, składając w jego ręce współwładzę Związku Pruskiego. Cegenberg doczekał się wyraźnego osądu. Znamienne były przecie słowa Mikołaja, że starszym Towarzystwa należy ostawić załatwienie tej sprawy. A różne wieści chodziły, jako Towarzystwo Jaszczurcze karze za zdradę.

‘Pragnął przedłożyć zebrany wyniki swych starań w Wiedniu.

- Znane jest braciom staranie nasze w kancelarii cesarskiej o zezwolenie dla miast Torunia i Chełmna na wiązanie się ze stanem rycerskim gwoli wspólnej obrony praw. Przywilej ten w naszych rękach. Krzyżakom odpłacamy ich bronią, na fałszywy przywilej ukazując także fałszywy. Tuszę, że w niedługim czasie pergamin ten odda nam znaczne usługi, chwiejnych do działania pobudzi *.

- Nie zwyczajnym ja takich sposobów - ledwo słyszalnie szepnął sędziwy Augustyn z Szewy.

- Nie patrzy napastowany, za jaką broń w obronie swej chwyta - poparł sprawę sfalszowanych dokumentów Dąbrowski. - Niewiela już czasu ostaje do zjazdu w Kwidzynie.

Lutową uchwałę o ustaleniu władz Związku trzeba żywą uczynić. Dziesięciu szlachty i tyluż mieszczan będzie stanowić radę. Starszych z obu stron jużesmy dniem dzisiejszym obrali. Tyle, że sprawę trzeba imieniem wszystkich potwierdzić. Sekwestr podatków należy przyśpieszyć, zbyt wolno wpływają, a przecie w czas procesu musim już być gotowi z naszymi wojskami. Na wygraną przed majestaW r. 1453 Związek Pruski, pragnąc zyskać możność swobodnego działania na ziemi chełmińskiej, wystarał się w kancelarii cesarza Fryderyka III w Wiedniu o podrobione pozwolenie dla miast Torunia i Chełmna na wiązanie się ze szlachtą dla obrony swych praw. Fałszywy ten dokument wystawiony został pod datą 6 lutego 1441 r., a prowadzący pertraktacje z kancelarią cesarską w tej sprawie Tieleman v. Wege wpłacił z kasy związkowej 5400 florenów, (przyp. aut.) tem cesarza trudno liczyć. Innymi sposoby popierać będziemy sprawę. Wieleż to teje chwili ma Związek zacieężnych pod bronią?

- Blisko dwadzieścia tysięcy... Nie wszystko jeszcze stanęło załogą, po różnych krajach dopiero się formują w oddziały - objaśnił Ramsz Krzykoski.

- Mało, czas nagli... Bracie vom Wege, waszej pieczy zlecamy dopatrzenie tej sprawy... W Kwidzynie winna takoz zapaść uchwała o zbieraniu skarg od wszystkich pokrzywdzonych przez Zakon. W aprilu czas nam przesłuchy zacząć, tuszę, najlepiej w Toruniu...

Świeca woskowa zaszypiała, przygasła. Augustyn z Szewy niechętnie potrząsnął głową, jakby upatrując w tym złego znaku. Rosły mieszczanin uśmiechnął się.

Sędzia zarządził przyniesienie dalszych dzbanów grzanego piwa.

Patrioci spod znaku jaszczurki dalej toczyli swe ważkie obrady...

Przez kraj zaś przebiegali nocami ludzie bezszelestni jak duchy, po dworach i miastach szły hasła tajemne, rozbłysłe nagle spojrzenia wrogo prześlizgiwały się po ciemnych, zamazanych w czerni murach zamków zakonnych. W bramy miast za umówionym hasłem wkraczały mniejsze i większe oddziały trabantów*, ostrym skrzypem nieoliwionych wrzeczędzy piszczały także wierzeje komturskich zamków, tam również wślizgiwali się zbrojni ludzie, różnojęzyczną gwarą wypełniali ponure dziedzińce.

Kraj zbroił się. Noc osłaniała wszystko ponurym milczeniem. I tylko wiatr ciepły, nadzieiny ciągnął kędyś z zachodniej strony.

Rozdział trzeci

Eryk lubił przystawać około promu i tuż przy nim leżących szerokich nadbrzeży, za którymi linią ciemnoczerwonej cegły majaczyły spichrze i magazyny miejskie. Zawsze było tu rojno i tłoczno, jak na ratuszowym rynku. Tłumy ludzi przejeżdżały przez Wisłę, na prowizorycznych straganach rozkładali swe towary pomniejsi kramarze, przewijali się pomiędzy tłumem wędrowni śpiewacy. Język polski rozbrzmiewał na poły z niemieckim. Obok mieszczańskich strojów trafiały się i szlacheckie ubiory, brzękała broń z sarmacka zwieszona u pasa. Wolno przesmykiwały się rozlanym wiosennie nurtem statki wiślane, zwolnione przez toruńską straż celną. Na statkach można było czasem dostrzec grupki ludzi, jako żywo flisaków w niczym nie przypominających. Pośród gawiedzi krążyły pogłoski, że to zaciężni jadą do poszczególnych miast pruskich.

Krzyżacy pokazywali się z rzadka, cisi i spokojni. Komtura toruńskiego od dawna już nie widziano, nie wydalał się poza obręb zamkowych murów. Częściej można było napotkać butnego wójta.

- Ustąpże się, młodzianku! - ostro trącił ktoś nagle Eryka w plecy, gdy przystanął opodal barierki osłaniającej pomost rzucony nad wodą dla lepszego dojścia do promu. Drgnął i obejrzał się gniewnie. Jacyś mężczyźni dziwacznie ubrani na czarno śpieszyli, by zdążyć jeszcze przed odjazdem. Twarz pierwszego z nich mignęła Erykowi czymś znajomym. Nim zastanowił się bliżej, prom wsparty na potężnych, wysokich łodziach zakolebał się i wysunął na rzeczny nurt.

Mimo, że dzień był chmurny i wilgła mgła wisiała w powietrzu, poczuł pragnienie. Zatrzymał się przed, kramikiem przydrożnego szynkarza, wypił kufel piwa ze smakowitą pianą. Dobre było, bydgoskie. W Toruniu od dawna innego już nie pijano. Polscy piwowarzy z pogranicznego miasta robili niezgorsze interesy...

Eryk nie pierwszy raz znajdował się w Toruniu. Nigdy jednak nie bawił tu jeszcze tak długo. Drugi tydzień mijał od chwili, gdy najniespodziewaniej dla siebie zjechał tu razem z Tielemanem vom Wege i zamieszkał u wojowniczego, ale rozsądnego mieszczanina. Początkowo nie bardzo się mu to widziało, oczekiwał powrotu z Polski krewniaka stryjowego, Macieja z Turzna, właściciela pięknej włości o dwie godziny koniem od Torunia. Z każdym jednak dniem objawiał coraz mniej chęci do opuszczenia rajcowskiego domu nieopodal rynku. W Turznie na pewno byłoby cicho i nudnie. Tutaj porywał go wartki nurt wydarzeń, na każdym kroku stykał się z narastającym fermentem, podkopującym władzę Zakonu w Prusach. Przygodne gadki z mieszczanami w biersztubach *, ludzie odwiedzający Tielemana przed jego ponownym wyjazdem do Kwidzyna na zjazd, coraz liczniejsze i pulsujące nadzieją wieści z Polski, zaciężne oddziały trabantów, werbowane już niemal

otwarcie przez radę miejską, cichy opór bojkotowanego za odstępstwo Nowego Miasta Torunia, którego rada pracowała w ukryciu, bojąc się wzburzonego tłumu, walka z rozsiadłą w nizinie po drugiej stronie rzeki polską Nieszawą podkopującą handel i rzemiosło Starego Miasta Torunia - wszystko to podniecało młodzieńca, dostarczając nowych wrażeń i sycąc nieugaszone pragnienie walki z tymi, którym zawdzięczał stratę bliższej i dalszej rodziny.

Tieleman vom Wege, widząc zapał i rozsądek Eryka, powierzał mu rozmaite funkcje. Eryk wdzięczny za okazane zaufanie, przywiązywał się coraz bardziej do Biersztuba - piwiarnia. najzagorzalszego wroga krzyżackiego wśród mieszczan Torunia.

Od kilku dni Tieleman bawił poza domem. Eryk nudząc się trochę, rad przepędzał długie godziny na mieście. Lubił te wąskie uliczki, wypełnione śpieszącym, wiecznie czymś rozgorączkowanym tłumem. Czasami nawet zapominał o początkowym rozżaleniu do stryja za nagłą decyzję, która go osadziła w buntowniczym mieście.

Po pięknej pogodzie marcowej kwiecień nastął rozlazły i dżdżysty. Ziab ciągnął od przemoczonej, rankami podmarzającej ziemi, przejmowała dreszczem mgła unosząca się nad Wisłą i płynąca stamtąd pomiędzy mury. Od rzeki aż do pierwszej gęstwy domów szło się teraz drogą tonącą w mazi. Eryk ostrożnie mijał większe kałuże, przeskakiwał z kamienia na kamień. Zwolnił znów kroku, gdy poczuł pod stopami twardo ubity bruk. Skręcił w stronę targowiska, rajce miejscy zakazali bowiem handlu wokół ratusza. Zbyt wielki czyniło to hałas, przeszkadzało w obradach.

Chmurna pogoda nie wpływała dobrze na nastrój Eryka. Odkąd wyjechał Tieleman, nie bardzo wiedział, co począć z czasem. Do domu nie chciało mu się wracać, ale i w mieście nie znajdował zajęcia. Szedł wolno, przeciskając się obok stoisk kramarzy w gęstym tłumie kupujących albo zgoła zwyczajnych gapiów, gdy do uszu jego dobiegło głośnie łomotanie bębena i brzęczenie dzwoneczków. Skierował się w tamtą stronę. Na pewno jakaś grupa wędrownych rybałów czy linoskoczków. Wiele ich przepływało przez Toruń, mimo niechęci władz miejskich pilnujących porządku i krzywym okiem patrzących na wszelkich wagantów.

Małeńki chłopak w czerwonym, kusym ubranku, z figlarnie rozwichrzonymi włoskami obchodził tłum gapiów zebrany naokoło kuglarskiej gromady. Jedni sięgali do sakiewek, sypali miedziaki, inni cichaczem wysmykiwali się z ciżby. Bębenek brzdąkał raz po raz, jazgotliwie popiskiwały dzwoneczki.

Przed innych wyskoczył czarniawy, rostry mężczyzna, obwieszczał następny występ. Gapie znów stłoczyli się gęściej, ciekawi oglądać przyuczonego niedźwiedzia. Eryk wcisnął się pomiędzy tłum, starając się znaleźć na samym przodzie.

Młoda, jasna dziewczyna brzdąkała na niewielkiej lutni. Niedźwiedź zgrabnie tańczył na tylnych łapach. Zwierz był dobrze utrzymany, rzadko spotykanego rostu. Ludzie cmokali z podziwu, pochlebnie wyrażali się o grupie waganików.

Cieniutkie, z lekka tęskne dźwięki lutni, odbijały zarówno od krzykliwego nastroju tłumu, jak i od jaskrawo przybranych kuglarzy, sprytnym spojrzeniem taksujących zebranych widzów. Niedźwiedź był już zmęczony, wysunął z paszczy czerwony język. Lutnia odezwała się jeszcze paru tonami, umilkła. Wtedy zwierz wykonał kilka niezgrabnych, ale wdzięcznych pokłonów. Podobało się to, tłum nagrodził popis rześzystymi oklaskami. Niedźwiedź więcej też zebrał do drewnianego puzdra, które obnosił dokoła, niżeli uprzednio małeńki chłopczyna.

- To ci bestyja, jakie to sprytne!

- W lesie by miedziaka od ciebie nie prosił - przekomarzali się podochoceni widzowie.

Eryk od dłuższej już chwili nie zajmował się niedźwiedziem. Nawet gdy zwierz zabarabanił w pudełko stając tuż przed nim i gdy mu wrzucił jakąś monetę, nie oderwał wzroku od dziewczyny grającej na lutni. Ze znużoną miną i smętnym uśmiechem spoglądała na swego kosmatego pupila.

Wydała się Erykowi dziwnie piękna i dziwnie nie pasująca do otoczenia, w którym się znajdowała. Właśnie podszedł do niej ów czarniawy mężczyzna, szepnął do ucha. Zaprzeczyła potrząśnięciem głowy, w końcu uległa, z rezygnacją skinęła dłonią.

- Cni mieszczanie wielkiego miasta Torunia. Kończąc nasz obecny turniej popisów, zapraszamy wszech tu obecnych, jako i tych, którzy naszym umiejętnościom dziwować się nie mieli jeszcze okazji, aby w poobiedniej godzinie oglądać przyszli dziwowisko na cały świat sławne, mianowicie tę oto lutnistkę, tańczącą i śpiewającą na linie. Lina na wysokości piętnastu stóp wzniesiona będzie... Pięknie na zabawę zapraszamy. Kraków ją oglądał i w Poznaniu, sławnym mieście, podziw należny zbieraliśmy. Zapraszamy, zapraszamy, zapraszamy...

Zaczęli się wszyscy rozchodzić. Eryk usunął się na stronę, rozszerzonymi oczyma spoglądał na dziewczynę. Czuł, jak mu rumieńce biją na twarz, jakieś ognie przebiegają po ciele. Wiele dziewcząt poznał w swym krótkim życiu, ale żadna nie uczyniła na nim większego wrażenia. Nawet młoda Elżbietka, córka sędziego Ramsza z Krzykosów.

‘ Nie podobał mu się czarniawy, śniady mężczyzna, wyglądający na przywódcę waganickiej gromady. Pospieszał teraz swoich. Zwijali dywaniki, rozścielone uprzednio na bruku, jakieś skrzynki i przyrządy owinięte w kawałki szmat, pakowali skrzypki do puzder. Mały chłopczek przewiesił przez plecy trąbkę, w dłoni trzymał bębenek. Niedźwiedzia wzięto na łańcuch za kółko umocowane w nosie. Pstra, jaskrawa banda ru[^] szła w kierunku

Nowego Miasta. Goniła za nimi ciżba dzieciaków, śmiejąc się i podrwiwając. Nawet zbiedzony, wyliniały kundel też się do nich przyplątał.

Eryk jak urzeczony szedł za kuglarską grupą. Był wśród niej siwiutki staruszek z długą brodą. Prowadziła go pod ramię owa jasna dziewczyna. Domyślił się, że starzec musi być ślepy.

W pewnej chwili śniady mężczyzna obejrzał się, czujnym, niechętnym spojrzeniem zmierzył samotnego Eryka. Dostrzegł widocznie zainteresowanie się młodzieńca uroczą lutnistką.

To spojrzenie podziało na Eryka jak wyzwanie. Butnym spojrzeniem odpowiedział na wzrok kuglarza. Tyle, że zwolnił kroku, pozostał jeszcze bardziej w tyle za sztukmistrzami. Ciekaw był, gdzie się zatrzymali. Jeżdżą przecie zawsze wozami zaprzężonymi w woły, w budach krytych kurzelnym płótnem.

Eryk nieraz zachodził do Nowego Miasta, siedziby rzemieślników i wszelakiej nędzoty przytulonej do potężnego, znamienitego Starego Torunia; W Nowym Mieście mieszkało jednak zaledwie o połowę mniej ludzi niż w starym, kupieckim grodzie. Nie było tam spokojnie, coraz to wybuchały zamieszki, pospólstwo występowało przeciw radzie, ledwie parę miesięcy temu szturmem próbowało zdobyć zbrojownię i zaatakować zamek krzyżacki oraz sprzyjającą mu radę miejską.

Nowe Miasto bardzo ucierpiało na rozroście opodal leżącej polskiej Nieszawy i Bydgoszczy. Płynęły stamtąd wyroby rzemieślnicze lepsze i tańsze od miejscowych. Zresztą i Stare Miasto Toruń nie mogło ścierpieć tej na oczach rozrastającej się mieściny, podejmującej śmiało i z powodzeniem konkurencję handlową, ściągającej do siebie statki wiślane, przejmującej dostawę drzewa i zboża, mieściny, z którą nawet Gdańsk, wbrew prawom pruskim, wchodził w rozległe stosunki kupieckie.

W Nowym Mieście Toruniu było jednak najgorzej. Tutaj Nieszawa najmocniej dawała się we znaki. W Nowym Mieście brakło surowca. Z każdym rokiem sytuacja się pogarszała. Rada miejska, składająca się z najbogatszych rzemieślników, cechmistrzów i pośredników albo dostawców surowca, sprzeciwiała się całą siłą wszelkim projektom łączenia się z Polską. A o projektach takich ciągle się w Toruniu mówiło. Przypuszczano, że rzemiosło Nowego Miasta Torunia uległoby w Polsce zupełnej zagładzie. Dlatego rajcy całą duszą i sercem opowiadali się po stronie krzyżackiej. Odwrotnie było z czeladnikami i terminatorami, którzy zawsze mogli liczyć na pracę w Nieszawie lub innych miastach. Cóż dopiero mówić o pospólstwie, które rady swej nienawidziło, a uciskane i przez ratusz, i przez komtura całym sercem pragnęło zasadniczej zmiany stosunków.

Wpatrzony ciągle w dziewczynę prowadzącą pod ramię ślepego starca, zatopiony w rozważaniach o tak różnych postawach dwu bliźniaczych miast, ani się spostrzegł, gdy razem z waganiami znalazł się przed leżącą tuż, opodal murów wielką gospodą. Nad drzwiami wejściowymi widniał szyld z wymalowanym na nim cherubinem trzymającym w dłoniach garniec piwa, opasany wstęgą z napisem: „Pod niebieskim aniołkiem”. Gospoda ta miała swoją mało pochlebną sławę. Sute w niej było jedzenie, napitek dobry, ale nikt z godniejszych mieszczan, cóż dopiero mówić o przejeżdżających rycerzach, nogą tam by nawet nie stąpił.

Rudy Herst stał w progu. Skrzywił się na widok nadchodzącej czeredy, niechętnie ustąpił wejścia. Eryk dostrzegł jednak wymowne spojrzenie, jakie zamienił ze śniadym mężczyzną.

Chwilę wahał się, co teraz ma robić? Wchodzić nie było rzeczą bezpieczną - czarny już się za nim kilkakrotnie oglądał. Ale cofnąć się teraz, gdy doszedł niemal pod drzwi gospody, byłaby to oznaka tchórzostwa. Zdecydował się. Ledwie zamknęły się drzwi za ostatnim z wędrownych sztukmistrzów, on także wszedł pewnym krokiem do izby.

Waganci usadowili się już za wielkim lipowym stołem, harmider powstał przy tym, kłótnie o lepsze miejsce. Wołano do gospodarza o piwo i suty posiłek.

- A jakże z płaceniem będzie? Znowu samą drobnicą odmierzać myślicie? Dostyc miałem wczora tego liczenia - sapał niechętnie rudy Herst.

- Jeść i pić, dostyc gdakania, dziadu! - wrzasnął nagle czarny mężczyzna, bijąc pięścią o stół.

Zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Nie tylko karczmarz, który usta otworzył ze zdumienia i strachu, ale i całe waganckie bractwo zamilkło, jakby piorun pomiędzy nich strzelił.

Herst zamrugał po chwili bezrzęsymi oczyma, wyrzekł cichutko.

- Żarty, zali żartować nie można między waganaty? I tak mam przykrości przez was. Pacholek z ratusza był wczora spytywać, zali długo wam jeszcze gospody udzielać zamierzam, ot jak! A wy na mnie z krzykiem... Wraz będzie, czego tylko potrzeba.

Zawrócił, poczłapał za szynkwasa, w przejściu dostrzegł nagle siedzącego samotnie przy drugim stole Eryka. Skłonił się, spytał głośno:

- Młodemu przyjacielowi imć pana Tielemana vom Wege czym można usłużyć?

- Piwo grzane! Bydgoskie ma być.

- Już! A innego jak bydgoskie nie trzymam u siebie.

Rudy, zwinny jak wiewiórka karczmarz znikł za drzwiami znajdującymi się za szynkwasem. Komedianci zwrócili na Eryka zaciekawione twarze. Podniósł butnie głowę do

góry, odparował wejrzenia. Dopiero gdy zerknęła na niego dziewczyna, za którą aż tu się przywłókł, nie strzymał, zaczerwienił się, opuścił głowę i zaraz zachnął się na siebie za tę niewczesną skromność.

Nie zauważył zmienionego nagle, uważnego spojrzenia czarniawego mężczyzny. Patrzył on w zamyśleniu na chłopca, na wąskich jego ustach zarysował się łagodny uśmiech. I zaraz potem, nie czekając długo, powstał, zbliżył się do chłopca z lekkim ukłonem.

- Siądźże panie za stołem komedianckim, jeśli towarzystwem naszym nie gardzisz. Gdzież młodemu samotnie jako kruk na szubienicy ostawać... Zawdy weselej w kompanii...

Eryk podniósł ku niemu zdumione spojrzenie. Mężczyzna uśmiechał się zachęcająco, życzliwie. Nim zdążył dać mu odpowiedź, z cynową kwartą dymiącego piwa w dłoni wyszedł zza szynkwasy rudy gospodarz, Słyszając ostatnie słowa, zatrzymał się w pół drogi. Czarniawy niecierpliwie łypnął ku niemu oczyma, ponaglił.

- Nieśże, gospodarzu, to piwo na nasz stół! Za gościa prosim młodego rycerza.

Eryk w pierwszej chwili pragnął odrzucić propozycję. Jakże to on/szlacheckiego rodu, będzie się kumał z komediancami? Przy jednym stole zasiadał? Ale spojrzenie rzucone z ukosa na jasną dziewczynę rozwiało te wątpliwości. Przecie i tak mało kto zna go w Toruniu. Inna rzecz także, że w swym samotnym życiu nieraz już zetknął się bliżej z pospółstwem i wcale źle o tych zbliżeniach nie mniemał. A że komedianci? Zali to też nie ludzie? Chwalił się tym spotkaniem przed nikim nie będzie. Przynajmniej nadarza się okazja poznania dziewczyny.

Myśli te błyskawicznie przeleciały mu przez głowę. Wstawał, dłoń wyciągnął do czarnego mężczyzny. Ten z rumorem powiódł go za komediancki stół, rozmyślnie jakby usadzał obok jasnej 'dziewczyny. Starał się być najbardziej serdeczny i gościnnie.

- Może, panie, posiłkiem skromnym nie pogardzicie?

- Dzięki serdeczne, nie tak dawno od stołu sutego wstałem. Zwólcie, niechaj przy piwie ostanę.

- Dobre piwo, polskie, w Prusach takiego nie robią - zauważył czarny człowiek jakby mimochodem, zerknął przelotnie na swego gościa.

- W onym Krakowie czy Poznaniu musieliście niemało go wypić - grzecznością odwzajemnił się Eryk.

- Ech, w Polsce. Tam i komedianckie życie lżejsze, więcej wesela w ludziach. Tutaj ponurość jakaś... Nieprawdaż, Zofijko, siostró droga?

Dziewczyna drgnęła. Eryk dostrzegł, jak niewidomy starzec, jakby w geście obrony, lekko ją ujął za ramię. Niczym go fakt ten nie zdziwił. Rad był, bardzo rad, że dziewczyna

jest tylko siostrą czarnego. Idąc za komediantami, miał chwilami obawę, czy nie jest zamężna. Młodziutka wprawdzie, ale kto tam kobietę pozna, i dwudziestu wiosen też przecie może dochodzić. Spojrzał na nią śmieiej, brązowe jego oczy zapaliły się gorącymi błyskami.

Zofijka nie spuściła wzroku, na wargach miała uśmiech łagodny, leciuteńki, jakby mgielką przeciągnął. Piwo zasmakowało Erykowi niczym najwyborniejsza słodka małmazja. Nie słyszał już, co jeszcze ów czarny jej brat mówi do niego, widział tylko twarz dziewczyny, a urok jej z każdą chwilą coraz bardziej zapadał mu w serce.

- Nie patrzcie tak, panie, bo mi стыдно się robi - szepnęła wreszcie cicho, a ślepy starzec wyczulonym uchem pochwyciwszy te słowa, pokiwał potakująco głową.

Gospodarz podawał jedzenie. Była to kielbasa z kapustą, sownicie podlana oliwą. Sztukmistrze ostro zabrali się do jedzenia, mlaskali, siorbali piwo rozlane w cynowe kufle, mało ich obchodził gość czy rozmowa, którą od nowa nawiązał z nim brat dziewczyny. Speszony jej uwagą Eryk starał się teraz być grzecznym, odpowiadał chętnie. Przy uroku dziewczyny i czarny ów brat, Grucem go zwano, począł mu wydawać się przyjemniejszy. Słuchał uważnie, jak podniecony Eryk prawił teraz, jak to znalazłszy się niespodziewanie w Toruniu, coraz to bardziej rozsmakowywał się w tym mieście.

- A toście nie zawsze przebywali u Tielemana vom Wege?

- Skądże, z elbląskiej ja ziemi. Losy mnie jeno w te strony przygnały. Dwóch niedziel nie ma...

- O, z elbląskiej! Patrzcie że - wtrąciła się raptem starsza, tęga kobieta, siedząca naprzeciw nich. Twarz miała czerwoną, usta wąskie a oczka całkiem maleńkie. Nie podobała się Erykowi, przestraszył się nagłej myśli, czy nie będzie to matka Zofijki.

- Nasza mama dziwuje się, bo i nam droga dalsza wiedzie właśnie na Elbląg. Wcześniej tam mieliśmy być, po drodze zamyślając jeszcze do biskupiego Kwidzyna wstąpić, jeślibyć nie zakazano nam pobytu w tym mieście. Ną, nie złożyło się. Tam zjazd jakoby tymi dniami panów szlachty i co znaczniejszych miast, gadają, że tajny. Pognano by precz biednych wagantów.

- Zjazd to prawda, że znaczny. Pewnie i rezolucyje powzięte będą nie byle. Dojrzewa coś w pruskiej ziemi...

Urwał, bo dostrzegł zwrócone na siebie niespokojne oczy Zofijki. Wydało mu się, że czyta w nich ostrzeżenie. Ale nie, chyba nie, bo już znowu uśmiechała się jak zwyczajnie.

- Mnie tam wszystko jedno. Byle jakoś zarobić, ludzi ubawić, jeszcze jeden dzionek przepędzić pod tym bożym' słońcem - zaśmiał się Gruc, przytakującym rechotem wsparła go czerwona na gębie kobieta.

- Gdybyć wojna wszako nastąpiła, i wasza doła by łączną nie była - zauważył Eryk, który myślał w tej chwili o Kwidzynie, gdzie zjazd powinien dobiegać już końca. Ważny zjazd, jeszcze przed podróżą mówił pan Tieleman, że od zjazdu tego wiele zależy.

- Wojna? Gadają, że się podobno panowie szlachta pospołu z mieszczany nieradzi patrzą na krzyżackie rządy - Gruc nachylił się tajemniczo do ucha Eryka. - Ale przecie wojny z tego nie będzie. Jakże to, z taką potęgą!

- No, nie wiedzieć czyja większa. Choćby Toruń, jaka to siła trabanta w nim stoi... - Eryk urwał, zgniewany na siebie, że gada o niebezpiecznych sprawach, jeszcze w Nowym Mieście, pod bokiem zamku komturskiego, w podejrzanej gospodzie i w towarzystwie waganckim.

- Ho! ho! I do nas trafiają słuchy, gdy tak chodzimy po świecie, ale ludzie zawsze więcej dodadzą, niż w czym jest prawdy... Widzieliśmy dzisiaj, jak przejeżdżał przez

? miasto starosta bydgoski a wojewoda brzeski Mikołaj Szarlejski. Gadali, że ponoć udawał się właśnie do Tielemana vom Wege...

Eryk wybuchnął śmiechem.

- Kiedyż Tieleman w Kwidzynie... I na pewno Szarlejski nie jechał, cóż by robił tu pod ten czas, gdy całą ziemię chełmińską ze wszystkich co znaczniejszych ludzi wymiotło...

Gruc uśmiechał się triumfująco. W oczach jego migąły ogniki. Dokończył piwa, wstając zwrócił się do Eryka.

- Widzicie, i cóż za wartość mają waganckie wieści? Wszystko kłamstwo wierutne... No, czas nam spocząć a i przygotować się do poobiedniego występu. Czasu już mało ostaje. Prosimy, nawiedzajcie nas czasem, panie. No, mama, do roboty... Mamą ją zwiemy, bo nad nami opiekę ma, uszyje co albo sceruje, jeść zwarzy czasem, wypierze koszulę, ot tak...

Eryk, nie tań niezadowolony. Przysiadł się przecie do kuglarskiego stołu po to, aby porozmawiać z dziewczyną. Tymczasem przegadał cały czas z jej bratem, i to o tematach, których zakazuje się poruszać z obcymi. Dałby mu Piotr z Wikliny, żeby to słyszał!

- A wy, panie, ostaniecie jeszcze w gospodzie, czyli także do domu się zbierać będziecie? - spytała Zofijka.

- Nie odchodźcie, panienko. Tożem dwóch zdań z wami nie zamienił...

- Nie trzeba było z Grucem o politycznych racyjach rozprawiać. - I zaraz cichym szeptem wionęła mu w ucho. - A i nie radzę, na miłość boską nie radzę ja takich rozmów...

- To już naprawdę odchodźcie, panienko?

- Mus taki, nie poradzi. Dziadka muszę chocia na godzinę ułożyć. Trudne dla niego chodzenie, a przecie on mi na skrzypkach swoich przygrywa. Bez nich ani bym się ważyła* na linę wstąpić.

- Brrr, nieprzezpieczna to sprawa. Zacz musicie to robić?

Skłoniła głowę na piersi, w twarzy jej zamigotał żal.

- Trzeba, trzeba! Do widzenia - wyciągnęła rączkę z tą normalną wagancką swobodą, jakiej by nie miała żadna szlachcianka czy mieszcza z kół patrycjatu.

Przechodząc obok strapionego Eryka, musnęła go jeszcze w przelocie cichym szeptem.

- Przyjdźcie, panie, na rynek. Specjalnie dla was pieśń jedną z góry zaśpiewam...

I nagle zaczerwieniła się aż po same jasne swe włosy, zatupotała drobnymi nóżkami, nawet ślepego starca zostawiła samego. Poskoczył ku niemu kolorowo ubrany chłopaczek, ujął pod ramię.

- Odprowadzę dziadzia, ale mi dziadzio bajkę wieczorem opowie.

Eryk pozostał sam w izbie gospodniej. Zza drzwi szynkwasu wodziły za nim bezzęse oczy Hersta. Śledziły, jaką monetę rzuca młody człowiek na ladę, drgnęły przy trzasku z impetem zamkniętych drzwi.

Rozdział czwarty

W zapadającym mroku masyw zamku malborskiego czerniał z każdą chwilą. Linie załamania murów, smuklejsze szczyty wewnętrznego kościoła pod wezwaniem Maryi Panny, wszystko to łączyło się w jedną ponurą bryłę, groźną i niewzruszoną.

Powietrze było spokojne. Żaden wietrzyk nie mącił cichego plusku rzeki, wstęgą owijającej Malbork. Wody były jeszcze wiosennie wezbrane, szczelnie przypadały do murów. Skądś z daleka dobiegało szczekanie psa, przechodziło czasami ni to w skowyt ni w wycie.

Ludwik von Erlichshausen stał przy wąskim, łukowatym oknie komnaty wielkiego mistrza, przycisnął czoło do ołowianych ramek przytrzymujących maleńkie szybki, nieuważnie spoglądał w ciemność. Na wycie psa cofnął się gwałtownie, wargi jego zacisnęły się w niechętnym grymasie.

Wielki szpitalnik, wyższy od Ludwika o całą głowę, barczysty, postawny, parsknął na ten odruch zjadliwym śmiechem.

- Znać, bracie, żeś nasiąkł przesadami, które wciąż pokutują w puszczech pruskich Jańsborka czy inszych. Wieści były, że chłopstwo w Sambii i Natangii coraz liczniejszymi

gromadami po lasach się zbiera, modły odprawując pogańskie. A nam się pragnie odbierać prawo do rządów w imię Jezu Krysta...

- Nie odbiorą - mruknął wielki mistrz, przechodząc ku rzeźbionym, potężnym karłom*, stojącym pośrodku wysoko sklepionej sali.

- Mamimy sami siebie. Otoś, siostrzanie miły, czwarty rok rządów rozpoczął. I co? Rebelia miast przygasać, wznieca się, jako smolne szczapy na wietrznym ogniu.

- Karło - ozdobne krzesło, rodzaj tronu.

~

Gady pruskie jawnie się zbroją. Sam Toruń, jako brat komtur donosi, blisko pięci tysięcy trabanta najął.

Ludwik von Erlichshausen siedział milczący, wypielęgnowane, długie dłonie złożył na poręczach karła, w milczeniu patrzył przed siebie.

Wielki szpitalnik nie dawał za wygraną. Chodząc dużymi krokami po sali, rąbał twardymi zdaniem, jakby pragnął słów pasją podsycić wewnętrzny ogień gniewu nie tylko w wielkim mistrzu Zakonu, ale i w samym sobie.

- Stryjec twój rad zacnych nie słuchał. Bał się, by Polska nie wystąpiła w obronie stanów. Głupi był, Polska miała wówczas sprawy litewskie na głowie i walkę królewską ze stronnictwem Oleśnickiego... Teraz znów nie można wielkiego mistrza uprosić, by na odwagę męską się zdobył. Tu siłą jeno rządzić można w tym kraju panków i chciwego mieszczaństwa. Każdy dzień bez cięć miecza, to nasza przegrana...

Wielki mistrz patrzył na gwałtowne ruchy Henryka von Plauen, nie odpowiadał nic, tylko smukłe jego dłonie zaciskały się kurczowym uchwytem na oparciach rzeźbionego na gdański wzór karła. Wargi zacisnęła, wężutką linijką przecinały zbladłe oblicze.

Wielki szpitalnik przystanął, przyjrzał się swemu bratu ciotecznemu, piękną, męską twarz jego przeciął leciutki, prawie niedostrzegalny uśmiech. Ton i treść wypowiedzianych słów uległy nagle zupełnej zmianie. Mówił cicho, z nieco nosowym brzmieniem głosu. Myślałby kto, że o pieszczocie mówi, nie o politycznym działaniu.

- Bracie, do serca uniesienia mojego nie bierz. I siebie także podniecam, bo wiem, że czynu nam trzeba. Mądrego, przezornego, ale i szybkiego jak cięcie katowskiego noża...

Wielki mistrz skrzywił się, słuchał nadal w zupełnym milczeniu, tylko twarz jego drgać zaczęła, w migocie świateł przelatowały przez nią jakieś nieznane cienie.

- Kata nam brakło przez wiele lat! Zbyt łagodna była ręka zmarłego, świeć Panie nad jego duszą, mistrza Konrada. Zacz do pomyslenia kiedy było, by do takiego zuchwalstwa dojść mogło jak teraz, gdy związkowi w Toruniu jawnie przyjmują skargi i zażalenia na

Zakon? Spisy robią, do cesarza wieźć myślą... Za mało ich głowę pokładło, nazbyt opustoszały nasze lochy i wieże, dlatego zuchwalstwo rozpanoszyło się jako nigdy jeszcze. A przecie rządzić, to znaczy karać, być srogim, gasić każde przeciwne myślenie. Zali nie zgadzasz się[^]ze mną, bracie?

Przystanął znowu, nieco z boku wielkiego mistrza. Płomienie świec woskowych żółtawym blaskiem ogarniały urodziwą twarz o mocnych łukach ciemnych brwi, o męskich ustach i kształtnym, drapieżnym nosie. Zaplótł ramiona przed sobą, stał tak z wypiętą pierśią, bardziej podobny do antycznego posągu niżli do żywego rycerza.

Ludwik von Erlichshausen nie ruszał się z karła. Tylko grdyka jego drgała, jakby tłumiał w niej nie wypowiedziane słowa. Wreszcie przemówił, a głos jego przypominał warczenie rozwścieczonego psa.

- Bacz, byś nie powiedział za wiele. Od innego ćwierci bym nie zniósł. Krwi żądasz? Masz prawie, ale za późno już i na krew/*Nie moja wina, żem w taki moment rządu przejmował. Dziś już nie krew, ale jedno słowo ostrzejsze gwałt pomiędzy nimi podnosi, na świat krzykiem idzie. Pomnij, jako prokuratora postęпки zła jeno przysporzyły. Lisami nam tera być, nie lwami. Pazury ukryte chować, pieniądzem, nadaniem szafować, ludzi jednać... Sam tego nie lubię. Pasy bym darł z tych dumnych szlachetków, z tych mieszczan na Polskę się łąso oglądających, depczących prawa Zakonu. I co? Hamować muszę zapłaty, miast żelazem, pakty, skargami przed papieża, cesarza, przed książąt niemieckich wojnę prowadzę. Jeszcze w samym Zakonie opory łamać trzeba komturów za nazbyt już do ciepłego życia, do pijatyk i dziewczek nawykłych, rycerskich cnót nie pamiętających. A ty mi w oczy plwasz łagodnością. Dureń żeś, albo cię giez nienawiści ukąsił, Henryku?

Powstał raptownie, mały, niski, jeszcze mniejszy i niższy przy roslým szpitalniku. Podszedł do niego, zacharczał w tłumionej pasji.

- Rady z was żaden dać mi nie może, jeno wyrzekać umiecie. Jaszczurcze plemię nie jeden, a sto łbów podniosło, a wiemy o nich cokolwiek chocia pewnego? Ukryci, schowani, nie wiedzieć kto nimi rządzi, kto ich prowadzi... Nawet do dzisiejszego dnia tajnej rady starszych we Związku rozeznac nie potrafiliście, nie wiecie wszystkich, którzy tam siedzą, a cóż dopiero w nieodgadnionym Towarzystwie Jaszczurczym. Kulawy bazyliszek, Bażyński, we Wrocławiu zdrowie kuruje, z Janem Kapistranem wiecie dyskursu, ponoć Koniecpolski u niego tam bywa. Wiemy bliższego co o tym? Wielkopolska cała w znoszeniu ze związkowymi. Szarlejski, Kościelecki, Gruszczyński, Hińcza z Rogowa, Czyrski - bardziej obeznani w pruskiej materii niżeli my tutaj! Plwać mi na wasze rady, jeśli nawet pierścienia, który nas zaciska coraz to mocniej, rozeznac nie potraficie! Ja się nie ugnę, brzemia, które

Bóg na mnie złożył, rządy Zakonu w ręce oddając, nie porzucę. Ale druhów chcę mieć wokoło, nie psy wściekłe ujadające, bez chytrności i umu.

Chudą swą dłonią ujął nagle von Plauena za odzież przy piersi, zaciskając palce jak szpony krogulcze, szarpnął ku sobie z siłą, jakiej by nikt nie oczekiwał w tak małym ciele.

- Pomnij na moje słowa, Henryku, bo łąco mi przyjdzie o krewieństwie krwi naszej zapomnieć! Cenię ciebie sto razy więcej niżli tych zatłuszczonych, zbabiałych komturów, ale oni są mi przynajmniej posłuszni. Pomnij to i miasto plwać, na radę przychodź, bo niełatwa nas czeka przeprawa.

Puścił. Wielki szpitalnik odetchnął z ulgą. Nie spodziewał się, że słowami, przez które pragnął wzbudzić gniew wielkiego mistrza na stany pruskie, tak go przeciw sobie nastawi. Lęk go przejął przed swym bratem ciotecznym. Znał porywczosć i gwałtowność, znał też gorycz niełaski wielkiego mistrza. Szepnął już tylko:

- Słucham cię, bracie.

- Nie samego posłuchu mi trzeba, ale i rady. Potom na dzisiaj was wezwał. Są nowe wieści, trzeba wiedzieć, co wobec nich będziem stanowić. Brata Eberharda długo coś nie ma...

Podszedł do wysokich, łukowatych drzwi, uchylił je, zakłaskał w dłonie.

Kapelan zamkowy, przeraźliwie chudy, stanął przed nim.

- Przybywaj bracie, doktora Blumenau wołaj...

Znów podszedł ku oknu, nasłuchiwał czegoś z ciemnej dali. Cisza stała nad zamkiem i miastem. W okolicy nie widać było żadnego światełka. Tylko łagodnym pluskiem wiślana fala objiała się o mury zamczyska.

Do sali wszedł znów kapelan, obok niego maleńki, pokaźnej tuszy radca wielkiego mistrza, doktor Wawrzyniec von Blumenau.

Ludwik von Erlichshausen obejrzał się niecierpliwie.

- Prokuratora wciąż jeszcze nie ma?

- Dopierom przybył, drogę miałem żmudną! - Mocnym głosem zabrzmiała odpowiedź, pchnięte energicznie drzwi rozwarły się z trzaskiem, aż kapelan spojrzał ku nim zgorszony.

Eberhard von Kynsberg, podskarbi zakonu i zarazem prokurator niborski bystrym spojrzeniem przeleciał salę, utkwiał potem wzrok w wielkim mistrzu i dostojnie złożył mu niski ukłon. Postawny był, o twarzy przepojone jakąś wewnętrzną, nigdy nie złagodzoną ostrością.

Wielki mistrz zasiadł znów w swoim karle, stojącym na lekkim podwyższeniu, naprzeciw ogromnego krzyża z rzezaną w mahoniowym drzewie figurą cierpiącego Chrystusa. Pozostali zajęli niżej stojące krzesła.

- Zatem w imię Maryi, Matki Bożej, poczynajmy. - Wielki mistrz zrobił na piersiach szeroki znak krzyża. Pozostali powtórzyli ten ruch.

- Czemuż to droga żmudna? Wiosenne roztopy?

Prokurator parsknął niskim, gardlanym chichotem.

Przecząco potrząsnął głową. Potem krótko, swym mocnym, metalicznie brzmiącym głosem obwieścił:

- Chłoptwo rebelię podnosi. Zatrzymać nas chcieli, nie bacząc na powagę zakonnej sukni. W sześciu jechalim. Brat* Kergard ranien został. Okrężną drogą dążyć musieliśmy, by sioła rebelianckie ominąć...

- Chłoptwo? Zali i to związkowa robota?

- Za głupi związkowcy na to. Chłoptwo może by poszło z nimi, ostatnie podatki i daniny nasze tak je rozzuchwaliły, ale szlachta ani słyszeć o tym nie chciała. Więc się chamstwo na własną rękę podnosi, przeciw nam i przeciw szlachcie zarazem. Można będzie próbować wspólnego przeciwdziałania - zaśmiał się jakoś dziwnie, aż kapelan wzdrygnął się tak, jak przy nagłym otwarciu drzwi.

Ludwik von Erlichshausen kiwał głową. Potem spytał krótko.

- Szeroko się ta chłopska rebelia podniosła? Zali bracie sam dasz z nią radę?

- Część siół jeno objęła, tam gdzie mazurski chłop przebywa. Wśród osiedleńców niemieckiej krwi cisza jeszcze, dopiero wrzeć poczyna. Rzec łatwa, szlachta pomoże, wspomniałem, by opóźnienie tłumaczyć... Mam za to wieści z Torunia.

- Jakże tam? - zainteresowali się wszyscy, tylko kapelan złożywszy ręce na kolanach, siedział sztywny, jakby obcy wszystkiemu, co wokoło się działo. Czasem jedynie bystre, szybkie spojrzenie czarnych oczu przesmykiwało po twarzach obecnych i znów ginęło, zakryte rzesami.

- Zamknięto pierwszą listę przesłuchów skarżących na Zakon na ratuszu toruńskim. Mają ją zabrać posłowie na sąd wiedeński, cesarzowi przedstawić...

- Wiemy o tym! - mruknął wielki mistrz z wyraźnym rozczarowaniem.

- Zwólcie, bracie dostojny, mówić mi dalej - zniecierpliwienie zabrzmiało w głosie prokuratora. - Podatek wielki zebrany. Część tuż pod bokiem malborskiego zamku. Sędzia Ramsz z Krzykosów o to się starał na ziemi kwidzyńskiej i elbląskiej. Elblążanie także skarg wiele złożyli, sześciu ich było w Toruniu. To sprawa pierwsza. Odpisy skarg obiecali

dostarczyć kanceliści miejscy, zostający z nami w cichej umowie. Tuszę, że rychło je mieć będziemy. Sprawa druga, to bliski wyjazd poselstwa. Wiem tyle, że poprzez Czechy myślą jechać, by tam przy okazji zaciężnych werbować. W koniec maja chcą ruszać... Wreszcie rzecz ostatnia, ta, że od niedzieli przebywa w Toruniu starosta Nieszawy oraz Inowrocławia, a w jedno i podskarbi królewski po kryjomu paktując z mieszczany i szlachtą. Pomnieć należy, że to człek bliski maci królewskiej, onej Zofiji, na Zakon nasz szczególnie zapamiętałej.

- Bruździ nam mocno podskarbi królewski. Za wpływem matki Kazimierz całą granicę obsadza swoimi ludźmi, nieprzychylnymi Oleśnickiemu. Z arcybiskupem Gniezdna jeno poczęlim do ładu dochodzić, to mu się pomarło przed trzema niedzielmi. Onże miał siła do powiedzenia, i niemałej roboty dokonał kanonik fromborski, Weterheim, by życzliwiej usposobić dla nas arcybiskupa... - wielki mistrz westchnął, na co Henryk von Plauen odpowiedział ironicznym skrzywieniem ramion.

- Wiadomo, kto będzie posłować do Związku Pruskiego? - spytał cicho radca malborski.

- Tylem doszedł, że myślą także i o Jordanie z Gdańska. Od niego rychło mieć wieści bliższe powinniśmy.

- Nie! - rzekł gwałtownie wielki mistrz. - Przez Jordana nam nie Iza się dowiadywać. Inni niechaj to uczynią. Nasza sprawa, nie dopuścić, by posłowie do Wiednia przybyli i pieniędzmi tam mogli przekupić doktorów prawa. Gdyby cale nie dojechali, byłoby najlepiej...

- Amen... - westchnął nabożnie kapelan, skłonił głowę przed ukrzyżowanym Chrystusem.

Prokurator zaniósł się swym dziwnym, gardłowym śmiechem.

- Rozumiem, bracie dostojny. Komuż zaszczyt przypadnie?

- Tobie, bracie prokuratorze - krótko oświadczył Ludwik von Erlichshausen. - Wszak ci są na Morawach nasi ludzie zaciągi czyniący...

- Przyjmuję misję w pokorze. Ludzi tych znam.

- Amen - znów kapelan.

- Cegenberg jak?

- Gdy się na ratuszu rozpoczęło przesłuchiwanie pokrzywdzonych jakoby przez Zakon, kazał sobie Cegenberg przedłożyć rzekome przywileje cesarskie, które Tieleman vom Wege z Wiednia przywiózł. Obejrzał, przeżegnał pergaminy i zeszedł z ratusza, jako Piłat ręce umywając.

- Przychylny nam zatem...

- Ale go już do głosu nie dopuszczają. Jaszczurkowcy ponoć się go całkiem wyrzekli, słuchy chodzą, że sąd nad nim pragną czynić za ową wizytę na waszych komnatach.

- Psy szubrawe! I ten Tieleman jadowity.

- Jaszczurkowcy od nowa działają, ważny jakowyś zjazd mieli ostatnim czasem. Sekretność to wszako nieprzenikniona. Jakich sposobów zem nie używał, niczego wydobyć nie mogłem... To jeszcze rzec chciałem, iż Piotr z Wikliny powrócił, na ziemię zakonną zaciężnych ze sobą wiodąc. Widział go wójt vom Badenach. Statkiem na Gniew dążył... Brajerski także nie ustaje w żalach a pomstowaniach, Związkowi jako kurier do Polski podjął się służyć za strawę i przyodziewek.

- Byście mu dali trzykroć tyle, może by nam usłużył?

Prokurator spojrział na radcę. Pokręcił głową.

- Być to może, nie mnie wszelako w traktata z nim wchodzić, bo prywatny spór mamy z tym durnym szlachetką...

- Niewieście plemię łacno męża każdego ku zgubie przywieść może, jeślić Panna Maryja opamiętania w pokusach nie da - przenikliwym swym głosem zaszeptał chudy kapelan.

Eberhard von Kynsberg łysnął go powolnym, długim spojrzeniem. Wiedział dobrze, do kogo kieruje kapelan swe słowa. Przecie to on swojego czasu uczynił gwałt na żonie Brajerskiego, z domu ją porywając... Potem, gdy mu powolna być nie chciała, w wieży kazał ją trzymać, kędy rychło pomała. Nawet niektórzy bracia protest zakładali przeciw takiemu traktowaniu białogłowy... Ale że ten klecha wypominać będzie takie drobiazgi jemu, prokuratorowi i podskarbiemu Zakonu? Aż zębami zazgrzytał, ale słów poniechał. Dobrze tylko zanotował sobie kapelana w pamięci.

- Bracie Henryku, rzeknijcie nam, jako rzecz nowej konfederacji wygląda? Aleksander Bażyński i Segenand z Waplewa zrobili cokolwiek w myśl swoich obietnic? Jako w dzierzgońskim się rzecz przedstawia?

- Ramsz Krzykoski tam mocno szkodzi. Posłuch ma wielki pomiędzy szlachtą i poważanie... Dopełniając zaś wieści prokuratora, to rzec mogę, iż Piotra z Wikliny w Kwidzynie i w Elblągu ostatnimi dniami widziano... Aleksandra możemy być pewni. Zawdy stanie przeciw wszystkiemu, cokolwiek będzie czynił brat jego kulawy. Segenand jako cień się go trzyma. Za włość przekazaną łaską dostojności wielkiego brata - tu lekko skłonił się wielkiemu mistrzowi - i za nadzieję dalszych profitów będzie wiernie służył. Tyle zrobili, że jednak nie licząc samego buntowniczego Elbląga, Związek słabe w tej ziemi ma wpływy.

Wielki mistrz zmarszczył brwi. Hamował gniew, który w nim wzrastał. Związek szybciej działał, składniej robił zaciągi, umiał wydobyć pieniądze z tak chciwej szlachty, nie mówiąc o miastach, które głównie finansowały całą sprawę.

- Przyszło mi na myśl, azali tych dwóch nie wziąć w poselstwie do cesarskiej wysokości, aby naszej sprawie świadczyli? Tuszę, że zamiar to dobry. Jako się wam wydaje?

- Boskim natchnieniem, łaską Maryi Panny myśl ta w głowie dostojnego brata zaświtać musiała - zaszypiał kapelan, skłonił głowę przed krucyfiksem.

- Chwalę, a tuszę, że jechać zechcą! Raźniej im będzie z dala od kraju, w którym ich zdrajcami mienia, ręki podawać nie chcą - Henryk von Plauen pierwszy połapał się w perfidii tego projektu.

- Na sąd ty pojedziesz, bracie Henryku. Radca stronę prawną przygotuje, wójt Egloffstein funduszami zarządzi. Akces swój do poselstwa biskup warmiński także obiecał w ostatniej rozmowie. Zatem i świeckiego kleru mieć będziemy poparcie, i szlachty pruskiej w osobach Bażyńskiego wraz z Segenandem.

Wielki Mistrz z kolei zwrócił teraz wzrok na Eberharda von Kynsburg.

- Ty bracie, zajmiesz się związkowym poselstwem, delikatnej materii to sprawa...

- Modły do Maryi Panny w tej intencji wiódł będę.

Prokurator nawet nie skierował spojrzenia na kapelana. Słuchał bacznie słów Ludwika von Erlichshausena.

- Także pieczy twej, mocniejszej niżeli dotychczas, sprawę rozeznania poczynań Związku Pruskiego polecam. Komturowie bajdy piszą, niezgodne ze sobą. Za wygodne ich życie, niebezpieczeństwa nie widzą. Nie pora już prostować, trzeba nam działać czasu nie tracąc. Gada utuczyliliśmy na swej piersi, za głowę go tylko można ułapić, nim jadem nas swoim zatruje - ciągnął wielki mistrz, głos jego podnosił się, dłonie znów zacisnęły się na poręczach karła, zbieleły, w blasku woskowych świec stały się trupim podobne.

- Ty, bracie kapelanie, wraz Gdańsk, Tczew i przymorskie miasta odwiedzisz, komturom w zamkach przekazesz nakaz przygotowań do wojny. Wszyscy zaś bacznie otwierajcie oczy na Polskę.

- To inni czynią - zaproponował prokurator.

- Źle czynią. Za mało wiemy, co w Krakowie się dzieje. A na Kraków nam stawiać, na starych, co z królem w nieustannej są waśni. Do kardynała dojścia szukać. Innych polskich biskupów na naszą stronę przeciągać, sromotę ukazując krzywdząco rzucaną na Zakon, pogańskie lub husyckie przeciw prawej wierze knowania jasno przedstawiając. Na sejmy polskie posłowie nasi jadą. Przydać im cichej pomocy. Rycerzy polskich, w komitywie z

nami będących, hojnie z nowa obdarzyć, o raporta szybkie a prawe prosząc. Lisami nam być, lisami... Nie tak że, bracie Henryku? - wbił nagle spojrzenie w wielkiego szpitalnika, jakby w przypomnieniu niedawnej, gwałtownej pomiędzy nimi romowy.

- Prawieś rzekł, bracie dostojny, lisami nam być... Ale i lwie pazury wyostrzyć, by szarpać nimi, gdy zajdzie potrzeba. I lwie pazury, bo lisom takóž się zdarza w potrzask, paskę jaką czy siđła, trafić... Zabawą zaś taka paska dla lwa...

- Przemyślcie, bracia, com rzekł. Pora późna. Jutro jeszcze z każdym na osobności wszystko rozważym. Z Bogiem, bracia, z Panną Maryją.

- Amen - kapelan wyprostował się na całą długość, wyglądało, że sięga głową samego sufitu.

Prokurator minął go tak, jakby kapelana wcale w sali nie było. Mnich odprowadził go lekkim uśmiecchem.

Skinieniem ręki zatrzymał wielki mistrz wychodzącego za innymi Henryka von Plauen. Podszedł do niego blisko, wyprostował się, spojrzał nieco ku górze.

- Pojąłeś mnie, bracie? Zali jeszcze chcesz sporzyć?

- Pojąłem, tym łacniej mi było, żem przecie inaczej nie myślał. Nam w jedno działać, nie gwałtować na siebie.

Ludwik von Erlichshausen znowu podszedł ku oknu, wpatrzył się niespokojnie w ciemność. Zgadywał, że źle się dzieje w tym mroku, ale nie w sile Zakonu było już wszystko rozeznać. Jedno było pewne, że dla rycerzy Maryi Panny nadchodziły ciężkie chwile.

Westchnął jakoś bezradnie, długo wpatrywał się w dopalającą się z głośnym szypieniem jedną ze świec woskowych w misternie kutym lichtarzu.

Rozdział piąty

Radość i smutek przeplatały się teraz w życiu Eryka. W parę zaledwie dni po poznaniu Zofijki doszła go wieść o powrocie z Polski Macieja z Turzna, krewniaka, w którego domu Piotr z Wikliny pragnął umieścić bratanka na czas swych tajemnych a niebezpiecznych podróży po zakonnym kraju. Eryk, który już przedtem nie kwapił się do odległej o parę godzin od miasta szlacheckiej sadyby, teraz nie mógł sobie wyobrazić nawet wyjazdu z Torunia. Szczególnie od czasu owego poznania... Wspomnienie to wracało natrętne w wieczornych, godzinach, gdy się układał do snu w małej izdebce za pokojem rajcy miasta Tielemana vom Wege. I za każdym razem, jak tamtej przedwieczornej chwili, drżał z zachwytu i lęku zarazem...

Pamiętał, jak zniechęcony wyszedł z gospody, w której niespodzianie znalazł się przy waganckim stole. Gniewny był na własną niepowściągliwość, która kazała mu rozprawić o poufnych sprawach z bratem dziewczyny. Żal go przejmował, że tak mało słów z nią zamienił. I tylko cicha jej zapowiedź, że zanuci pieśń specjalnie dla niego, łagodziła zły nastrój młodzieńca.

Do domu już tego południa nie wracał. Przewalał się parę godzin po mieście, tak różnym od położonego o półtora tylko stajania Torunia. Warsztaty rzemieślnicze w większości były zamknięte, w nielicznych tylko dostrzegł czeladników, parających się robotą. Ulicami wałęsały się tłumy pospólstwa, zaczepne, krzywo oglądające się za każdym nieznanym, pokpiwające w głos tak z rady miejskiej jak i z krzyżackiej władzy. Nastrój był gorący, co bogatsi mieszczenie chyłkiem pomykali pod domami, obawiając się zetknięcia z gawiedzią. Częste były ostatnio wypadki publicznego zelżenia i nic nie mogła na to poradzić straż miejska czy ratuszowi pacholikowie. Pospólstwo reagowało ostro, nad ranem znajdowano czasem zwłoki krzyżackich sług, którzy niebacznie zapędzili się pomiędzy dyszące żądzą odwetu uliczki miłośnicy.

Korzystając z czasu, Eryk przyjrzał się jeszcze zamkowi krzyżackiemu, zdumiały go wyszczerbione, nie naprawiane od lat mury, próżniactwo i rozpijaczanie najemnych krzyżackich żołnierzy... Sprawy te nie obce były pospólstwu, tym łakomiej oglądającemu się na zamczysko, o którym legendy głosiły, iż kryje w swym wnętrzu wielkie bogactwa.

Tak zbiegł czas do popołudniowej godziny. Na rynku Torunia pojawił się jeden z najpierwszych, przyglądał się, jak trzej ludzie z waganckiej grupy ustawiali maszt z szerokim podnożem u dołu i drabiną dla wchodzenia linoskoczków na szczyt. Umocowali tam platformkę na trzy Stopy najwyższej szerokości. Pod nią była przepaść, jedyną zaś drogę stanowiła lina, przeciągnięta od masztu platformki do okna w wykuszu naprzeciwległej wąziutkiej kamieniczki z głębokim podsieniem u dołu.

Eryk ze drżeniem patrzył na te przygotowania. Widział już jasną dziewczynę, jak po nieopatrzonym, źle przemyślanym kroku spada w dół, na twarde bruk rynkowy, słyszał jej krzyk przeraźliwy i trwożny. Aż czoło musiał sobie ocierać z potu, mimo że dzień był wilgotny i chłodny, a odzież przemokła po wielogodzinnej przechadzce w kwietniowej mżawce.

Dla dodania animuszu wstępował kilkakrotnie do najbliższej gospody, kazał podawać grzane piwo wraz z serem, ulubiony napój torunian. Sadowił się przy oknie, aby nie przegapić momentu nadejścia sztukmistrzów.

Wreszcie usłyszał. A jakże, toć i do głuchego dotarłoby rozgłośnie bębnienie, dźwięk piszczałki i pohukiwanie na trąbce. Ze wszystkich ulic spieszili ludzie, zwabieni tym

hałasem, pomni w dodatku zapowiedzi porannej. Wkrótce niemal cały rynek zapełnił się publicznością. Obok wszędobylskiej gawiedzi widniały gdzieniegdzie patrycjuszowskie stroje bogatych mieszczan, czasem zabręczala trącona niecierpliwie karabela szlachecka. W gospodzie też zaroilo się od przelotnych gości.

Okna bogatych domów rynkowych rozwarły się szeroko, ukazały się w nich twarze kobiece, czasem przemknął cień męskiego oblicza. Ktoś z tłumu ukazywał na mieszkanie burmistrza von Loe, gdzie także dyskretnie uchyliło się okno zdobne barwnym witrażem.

W grupce komediantów, mniej licznej niżeli rano, zapanowało ożywienie. Gruc wystąpił, gładkimi słowami zapowiadał rzadkie widowisko. Tłumy skupiły się ciasnym kręgiem, nastala nagła cisza.

Eryk przeciskał się przed innymi odprowadzany gniewnymi uwagami i sykaniem. Znalazł się tuż w pobliżu dziewczyny. Okryta szerokim płaszczem trzymała za rękę ślepego starca. Gdy ujrzała Eryka, przesłała chłopcu miły, ale smutny i pełen jakiejś melancholii uśmiech, nachyliła się do ucha towarzysza. Starzec poważnie skinął głową.

Wtedy Zofijka zrzuciła z siebie płaszcz, który podchwycił jeden ze sztukmistrzów, przerzucając go sobie przez ramię. Dziewczyna stanęła w kusym jaczku i wąskiej spódniczce w kilku kolorach. Aż się rozjaśnił przez to ponury dzień wczesnowiosennej mżawki. Zebrana publiczność zastygła w oczekiwaniu.

Dziewczyna żwawo wspinała się po drabince na maszt. Przystanęła na platformce. Ślepiec mocniej przycisnął brodą swe skrzypki, zagrał spokojną, smętną melodię. Można w niej było wyłowić wyraźny takt. Zofijka lewą nogą stąpnęła wprzód na mocno naciągniętą linę. Lina ugięła się trochę, jakby zapadła. Ktoś z widzów stęknął trwoźnie, jakaś mieszcza wezwała boskiego imienia.

A ona, zmalala u góry, zgrabna i wdzięczna, aż się oczy do niej palily, uśmiechała się do zebranych. Erykowi wydało się, że specjalnie do niego. Rozłożywszy szeroko ramiona, śmiało wstąpiła i drugą nogą na linę mało grubszą nad dwa palce u dłoni. Przez chwilę balansowała tak jeszcze w powietrzu na chybotzącej lekko linie i potem zwiewnie, jakby to anioł jakiś stąpał nie człowiek, łagodnie kołyszącym krokiem posunęła się nad przepaścią.

Nastala głucha cisza. Nerwy ludzkie napięły się, w oczach patrzących migotały na przemian podziw, zachwyt i trwoga. A Zofijka spacerowała tak na pozór swobodnie, jakby znajdowała się na twardej ziemi, zawracała, cofala się tyłem, jedynie chybotaniem ramion podtrzymując równowagę. Na ustach jej stęzał uśmiech. Staruszek grał spokojnie, cichutko, melodią ułatwiając napowietrznej. baletnicy jej popis.

Eryk zacisnął dłonie tak mocno, aż mu całe zbieleły. Zagryzał wargi, w lęku, by z wrażenia nie wyrwało mu się jakieś głośne słowo, które by mogło spłoszyć dziewczynę. Nie opodal słyszał posapywanie zmęczonego uprzednim zapowiadaniem Gruca. Nawet się nie obejrzał na niego, bezustannie trzymając głowę zadartą do góry.

Zofijka przystanęła teraz na samym środku kolebiącej się, ugiętej lekko liny. Tylko ramiona drgały łagodnie, pomagając w utrzymaniu równowagi. Głowę uniosła, włosy spłynęły na plecy. Ślepy grajek, jakby dokładnie wyczuwając, co się dzieje u góry, spokojnie, dyskretnie przeszedł na inną melodię.

Dziewczyna śpiewała tęskną pieśń o losie wędrownego sztukmistrza. Z pieśni jej zalatywało jakby zapachem dalekich pól, jakby gwarem mijanych miast, dźwięczał w niej smutek i radość wędrowniej, biednej, ale i bogatej w przeżycia doli. Zastłuchali się ludzie w ten głos, może nienajmocniejszy, ale melodyjny, przepojony szczerością wypowiedzanych słów. Eryk przestał prawie oddychać, tak go oczarowała cudna linoskoczka. Ale wiedział, że to jeszcze nie ta pieśń, którą miał przyobiecana dla siebie. Z tym większym biciem serca oczekiwał następnej...

Zofijka skończyła, ale na rynku trwało nieporuszone, milczenie. Niezależnie od przestróg Gruca wszyscy rozumieli, że dopóki dziewczyna nie zejdzie z liny, każdy hałas, każde głośniejsze wypowiedziane słowo może stać się dla niej zabójcze.

Znów przespacerowała się tanecznym krokiem po linie, przystanęła, utrzymując równowagę delikatnymi poruszeniami ramion, wzrok jej pobiegł na dół. Eryk zachłysnął się wewnętrzną radością: spojrzała przecie na niego. Tak, teraz nastąpi ta pieśń przyobiecana...

Zdziwił się w pierwszej chwili, że jak przedtem po niemiecku, śpiewa obecnie po polsku. Ale prawda, to że oba języki pospólne na tej ziemi. Wieś w większości po polsku gada, wśród mieszczan w całych Prusach na połę Polacy, na połę Niemcy, nie mówiąc już o pogranicznym Toruniu. Jadnako ludziom znana jedna mowa i druga...*

Dźwięczny, pełen niewypowiedzianej tęsknoty głos Zofijki zlatywał na stojącą u dołu ludzką gromadę, płynął do okien patrycjuszowskich kamienic, nad stary ratusz i czerwone cegły miejskich budynków, nad mury chroniące miasta, do załóg trabanckich w wartowniach przy wieżach, nad cały Toruń, przyległe błonia i pola.

Eryk odczuwał dziwne wzruszenie. Jakże piękna ta pieśń, pełna czaru i miłostnego wołania, a zarazem tak przesycona smutkiem... Z utkwioną w górę głową, z rozszerzonymi oczyma zamarł jak posąg. Nie widział bystrych oczu Gruca, przyglądających mu się badawczo.

Nie dostrzegał ironicznego uśmiechu na zaciśniętych wargach czarniawego mężczyzny, który był ponoć bratem tej zwiewnej istoty na linie. A z nieba ciągle płynęły tęskne słowa... A obok z ziemi skrzyпки ślepeca zanosily się tkliwą melodią...

Zofijka uśmiechała się, kilkakrotnie na ułamek sekundy spojrzenie jej zbiegło w dół. Eryk czuł, jak mu serce dygoce, chciał je ująć dłonią, by nie rozbiło się czasem w radości i smutku, które spływały nań jednocześnie z każdym słowem pieśni nuconej przez uroczą, jasną dziewczynę.

Dawno już skończyła, a nikt nie drgnął pośród zebranych. Torunianie umieli słuchać, właściwie ocenić ładną pieśń. Dziewczyna zeszła już z liny na pomost, była w połowie drabinki, gdy dopiero rozległy się brawa i wołania zachwytu. Jakaś pękata mieszczka chlipała głośno/

Gruc i jego pomocnicy zerwali się z miejsc, z płaskimi plecionkami wiklinowymi jęli obchodzić zebranych. Pieniądze sypały się z brzękiem, nie było nikogo, kto by żałował choćby najdrobniejszej monety. Uroczą śpiewaczką i linoskoczką podbiła serca mieszczan.

Z gospody trochę chwiejnym krokiem wypadł typowo z polską ubrany szlachcic, pewnie przybysz z sąsiednich ziem, pokrzykując z zapalem obfitą garścią sypnął w podstawioną plecionkę.

Zofijka stała oparta o maszt, pierś jej podnosiła się silnie z każdym oddechem. Narzucono na nią szeroki płaszcz, drżała bowiem, nie wiedzieć, z chłodu, czy z minionego wrażenia.

Eryk nie zważał już na nic. Z ogniami w oczach przystąpił do niej, ujął mocno za rękę, szepnął:

- Dla mnieś to śpiewała, dla mnie?

Skinęła głową, ale uśmiech jej nadal pozostał smutny.

- Zwolisz mi, bym cię odprowadził do domu?

- Chyba, że dziadzio zakaże - pogładziła ślepeca po rękawie zestarzałej bluzy z grubego płótna.

Eryk pierwszy raz w życiu poczuł się wtedy szczęśliwy. W życiu, które go przecież nie głaskało, sypało dotkliwymi ciosami, jakby pragnąc hartować w ten sposób...

Gdy ją odprowadzał, czym bliżej gospody, tym bardziej zwalniał kroku. Bał się, że znów zasiądą przy wspólnym stole, znów będzie rozprawiał z Grucem, potem się wszyscy rozejdą, on zaś z dziewczyną nie zostanie sam nawet przez chwilę.

Ona zaś, jakby pojęła te jego myśli, uśmiechnęła się i rzekła cicho:

- Gruc dziś nie będzie doma wieczorem. Ja bym z dziadziem wyszła na spacer, tam gdzie te wierzby około fosy listkami nabrzmiały... Gdybyś pan także zechciał się zjawić...

Jakżeby miał się nie zjawić? Zapamiętał się cały w tej dziewczynie, nie myślał już, co by rzekł stryj na to pospolitowanie się z lirioskoczką, na postponowanie honoru szlachezca przez wdawanie się z najgorszą hołotą, za taką bowiem uważano wszelkich wagantów, komediantów i sztukmistrzów. Przeciw nim przecie wydawane były specjalne wilkierze*, zakazujące wstępu do miast w pewnych terminach, określające sposób występowania, w różny sposób ograniczające swobodę.

Nie, nie myślał ani o stryju, ani o szlacheckich obyczajach czy miejskich wilkierzach. Dziewczyna podobała mu się jak żadna jeszcze w jego samotnych i tułacznych latach, gdzie tylko zemsta wykwiłała żywszym, mocniejszym uczuciem. Cóż z tego, że Zofijka była linoskoczką, że włóczyła się z komediantami przez kraj, Wilkierz - uchwała magistratu w miastach pozostających na prawie magdeburskim, (przyp. aut) kiedy była zarazem piękna i dobra. Tak, na pewno dobra, serdeczna, taka jedyna...

Rozczulał się w sobie, tak ją określając, ją, dziewczynę, której nie znał bliżej, o której nic nie wiedział, ani o rodzinie, ani o przeszłości, ani o tym, jak się wiodła, czy serce miała tak czyste, jak sobie to wyobrażał.

Nad wieczór wypogodziło się, jakby i pogoda sprzyjała młodym. Powietrze było chłodne, łagodny wietrzyk dął od wezbranej Wisły, rumienił twarze.

Stary ślepiec szedł spokojnie prowadzony przez dziewczynę pod ramię. Eryk ujął ją z drugiej strony, zadrgało w nim wszystko, gdy poprzez okrycie uczuł gorącość jej ciała. Poczul przyływ naglej siły, świadomości, że może się na wszystko odważyć i zawsze wyjdzie z tego obronną ręką. Aż się dziwował, skąd się w nim taka moc bierze. Młody, nie znał jeszcze potęgi miłości.

Potem przysiedli na kamienistym obramowaniu fosy. Starzec usunął się trochę, szczerzej otulił kapotą, wreszcie zadrzemał, głowa jego kiwała się ze strony na stronę. Eryk ujął dziewczynę wpół, nie broniła mu. Siedzieli tak przytuleni do siebie, mało mówiąc, bo i bez słów dobrze im było. Patrzył w jej oczy, ocienione znacznie ciemniejszymi od jasnych włosów długimi rzęsami. W oczach tych pełgały iskierki zadumy. Wyraźnie widział to w blasku miesiąca, niedyskretnie zerkającego zza drzew nie odzianych jeszcze listowiem topoli.

Kilka razy. przesunęły się nieopodal nich przytulone do siebie młode pary. Wiosenne gody.

- Czemu tak smętnie pogładasz? I pieśń twa tymże smutkiem była owiana? - zapytał, otulił ją mocniej płaszczem, bo chłód szedł od wystajej wody.

- Cóż ci odpowiem, panie?... - westchnęła.
- Mów mi prosto: Eryk, dobrze? - poprosił.
- Czemu smętna? Dobrze mi tutaj w tej chwili.

Ale wiem, że jeszcze może dzień tak czy dwa. I znowu wchłonie nas pył gościńców, zatrą się ślady na brukach miast, zostanie jeno wspomnienie... Bo zresztą jakże mogłoby stać się inaczej? Ja, z gromady komediantów włączającej się, gdzie oczy poniosą albo Gruc rozrządzi... Ty, szlchetnego rodu, który wszystko traktował będziesz jako zabawę, rozpowiesz kiedy druhom przy winie, jakoś linoskoczkę w ramionach tulił...

- Przestańże, Zofijko - powiedział, ale czuł, że właściwie dziewczyna mówi prawdę. Może nie tyle poczyta to za zabawę, o nie, na pewno nie, ale gromada sztukmistrzów pociągnie swoim szlakiem, on zaś ostanie tutaj, czekając na wydarzenia, które zezwolą może nasycić zemstę od dziecka piastowaną w duszy... Wspomniał nagle jej słowa.

- Onże Gruc, to brat twój?

- Nie, tak mi się jeno zwać każe. Przywódca naszej grupy, wraz ze swą ciotką, co to ją matuchną mienimy... Ja tylko z dziadkiem tu jestem serdeczna, od małości jego przy sobie pamiętam. Wspomagamy się wzajem...

Spojrzał jej w oczy, jakby mgłą osnute, w usta lekko rozchylone, jakby do całowania, w policzki świeże, żywą krwią pulsujące. Nachylił się bliżej.

- Możnaż ucałować?

Za całą odpowiedź westchnęła, a potem rozchylając usta, objęła go ramieniem. Zadygotał, nurzając w nich swoje wargi...

Gdy w jakiś czas po tych całunkach siedzieli znowu objęci w pół, ogarnęło ich dziwne uczucie smutku pełnego spokoju.

- Kiedyż ruszacie? - szepnął.

- Nie wiedzieć. Gruc wspominał, jakoby tymi już dniami. Na Grudziądz, Susz, Prabuty, a potem Elbląg nam droga... Tyle powiadał, kto go tam zresztą wie.

Spraw wszelakich u niego bez liku. A my ciągniem razem wagancką dolą.

- Zofiiko, niech jeno wolność od stryja dostanę, wraz za tobą wyruszę. A jeślić na wojnę zejdzie, sławę dobędę i łup bogaty. Potem z dala od ludzi osiądziem, zerwiesz z komedianckim żywotem.

Uśmiechnęła się marząco. Nie było w niej wiary jego słowom.

A i on zamilkł. Tym bardziej, że dziadzio ocknął się z drzemki, chuchał w zgrabiące dłonie. Spojrzał. Było w obliczu skrzyпка coś bardzo dobrego. Zasnute powiekami oczy nie

robiły widoku tej twarzy przykrym. Raczej potęgowały wrażenie wielkiej dobroci. Eryka zdjęła litość jakaś i żal.

- Dawno, toście, dziadziu, stracili swe oczy?

- Dawno, dziecię, dawno, tyle wiosen temu, ile bezmała Zofijka sobie liczy. Żli ludzie, zła dola, krew niewinnie przelana, ciemność wieczna i cała pociecha w tej gołębiego serca dziewczynie... - westchnął, a potem wionął tak cicho, że Eryk więcej z warg wyczytał, niżeli pojął ze słuchu.

- Nie bałamuć dziewczyny, szkodać jej, bo uczciwa i dobra jako świat nie widział. Nie bałamuć, kochany panie...

Potem zakrzętał się koło siebie, powstał, głosem surowszym oznajmił.

- No, pora nam wracać. Gruc pewnikiem już doma, będzie wypytywał, kędyśmy przebywali. Słyszać, zmieniają się strażę, późna pora, późna... A i chłód zbiera na noc coraz mocniejszy...

Umówili się z Zofijką na dzień następny, odprowadził ich oboje w poblizę gospody. Długo stał, patrzył na oświetlone okna, dumiał o dziwnych losach człowieczego życia. Dopiero przecie poznał tę dziewczkę, a zda mu się, jakby nigdy świata bez niej nie widział. I czemu to tak?

Ramsza z Krzykosów córa miała się wyraźnie ku niemu, ładna była, dobrego rodu, a przecie tyle o nią stojał, co o to jabłko niedojrzałe, które z późną wiosną od wiatru mocnego opada. I inne dziewczęta były, nie ciągnęło go do nich, dumiał czasem, że może już tylko dla markotności i zemsty Bóg go przeznaczył. A tu ni stąd ni zowąd przyszło lubienie, i w kim, w komediantce bez rodziny, z piętnem sztukmistrzowskiego fachu, która sercem jego tak owładnęła, aż mu się ciągle jeszcze samemu w to wierzyć nie chciało...

Noc była piękna, miesiąc wzeszedł wyżej. Erykowi ani w głowie było wracać do domu, czuł, że nie zasnęłby, nie zaznał minuty spokoju. Z dala majaczył zarys budowli zamkowej. Siedział tam komtur toruński, stamtąd szły srogie ukazy, dziś nieco przycichłe, bo plemię zakonne drżało ze strachu, nieświadome, jak się losy potoczą, co jutro przyniesie.

Stał, wpatrywał się w mury, w zawarte wierzeje bram. Skrzyp jakiś przeciął powietrze. Ujrzał cień uchylającej się bocznej furty. Ktoś się z niej wymknął cichymi, kocimi krokami, szedł w jego stronę. Eryk cofnął się za najbliższe drzewo. Ciekawiła go ta postać tajemnie wymykająca się w noc z krzyżackiego zamku.

Nieznajomy szedł szybko, mijał właśnie oświetloną miesiącem przestrzeń. Blask padł mu na twarz. Eryk omal nie krzyknął z wrażenia. Poznał. Był to Gruc, brat rzekomy Zofijki...

Wiele miał młodzian do myślenia tej nocy. A potem, przy następnych spotkaniach próżno pragnął dowiedzieć się od Zofijki czegoś bliższego o Grucu. Albo nie wiedziała naprawdę, albo nie chciała mówić. Dziwne było to wszystko.

Jeszcze parę dni i komedianci pociągnęli w dalszą drogę. Smutne było pożegnanie młodych, krótkie tym razem, bo Gruc się zwiedził o wieczornych spotkaniach, niechętny im był. Mało sobie zostawiali oboje nadziei na przyszłość. Tak różne były ich losy! A jednak czuli, że nie jest to ich ostatnie spotkanie. Kręte bywają ludzkie ścieżki i tak czasem do siebie podobne...

Za szczęście sobie Eryk mógł poczytywać, że wraz nastaly dni tak gorące, tak nabrzmiały robotą, iż poza nocami, gdy kładł się na spoczynek, mało miał czasu na rozpamiętywanie. Wrócił z Kwidzyna Tieleman vom Wege, przyniósł zezwolenstwo Piotra z Wikliny na pozostanie Eryka w rajcowskim domu. W czasie, który nadchodził, trzeba było ludzi zaufanych i najzupełniej pewnych. Krzyżacy działali zdradą, umieli to, wszędzie wciskało się odstępstwo, pieniąż kusił też niejednego. A spraw było wiele. Eryk nieraz biegał w miasto ze zleceniami, wyjeżdżał nawet do Nieszawy na polską stronę, woził pisma do Hińczy z Rogowa, który po powrocie z Torunia przebywał w Inowrocławiu.

Zapytywał kilkakroć mieszczanina o swego stryja. Tieleman vom Wege uśmiechał się wtedy życzliwie, mówił powoli, z namysłem, bez zwykłej sobie krewkości.

- Prawy człek, dzielny. Wraz po przyjeździe od nowa miał jechać w Elbląskie, naprawiać zdradziecką, krecią robotę Aleksandra Bażyńskiego i Segenanda z Waplewa, mieszczan w oporze zagrzewać, pomoc dawać w formowaniu zaciężnych. Ciężkie to i odpowiedzialne zadania... Tak, zacny człek i śmiały. Więcej takich, długo by się Zakon nie potrafił wtedy w pruskim kraju utrzymać, oho!

Gdy Ramsz Krzykoski zjechał do Torunia - Eryk wyrozumiał, że na zebranie nowo obranej tajnej rady Związku Pruskiego - nie mógł mu sędzia powiedzieć nic nowego o stryjcju. Sędzia nawet był o to trochę niepokojny, bo zapowiedziane wieści nie nadchodziły.

I elblążanie, którzy przybyli składać skargi na Zakon, także nie umieli rzec nic pewnego.

Niepokój wkradł się w serce Eryka. A jeszcze pogłębiała się co dnia tęsknota za dziewczyną. Za wiele było tego wszystkiego.

Marzył o wojnie, która wisiała w powietrzu, o której pospólstwo Nowego Miasta jawnie mówiło, występując coraz odważniej przeciw swej radzie - o której świadczyły oddziały trabanckie, przybywające nocami, ciągnące na statkach wiślanych; w ogóle wszystko, czego się nie tknąć, świadczyła jednym głosem: wojna, wojna, wojna.

Drżeli przed nią niektórzy, bali się jej. Eryk do niej tęsknił. I ta tęsknota była jedynym skutecznym lekarstwem na inne tęsknoty, niepokoje i lęki.

W końcu kwietnia zakończono przesłuchania pokrzywdzonych przez Zakon, przez dwie niedziele toczące się w toruńskim ratuszu. Odjechał dawno sędzia Ramsz z Krzykosów.. Jakby uspokoilo się w mieście. I wtedy Tieleman vom Wege dał młodzieńcowi nagłe zlecenie, czym rychlej przekazać na Kwidzyn pilne wieści.

W godzinę później Eryk wyruszył w drogę. Jechał brzemienny jakąś nieokreśloną bliżej nadzieją.

Rozdział szósty

Jan z Jani siedział zamyślony, czasem tylko spoglądał uważnymi, dużymi oczyma na gospodarza domu a swego brata ciotecznego, starostę bydgoskiego i wojewodę brzeskiego.

Mikołaj Szarlejski przymrużył powieki, spod płowych, niedbale opadających ku dołowi wąsów wypłynął lekki uśmiech.⁵

- Gorączka was wszystkich w Prusiech ponosi. Chcielibyście już dzisiaj przeciw Zakonowi wystąpić, porękę monarszą za sobą mając... Mierzi was ostrożność króla miłościwego. A wždy nie widzicie, że królowi nie łącno? Nie uporał się jeszcze z małopolskimi pany, którzy z Litwą spór wiodą, pragnąc przypisania Wołynia w poczet ziem koronnych. A i na samej Litwie ciągiem wre, jakoby w garncu na wielkim ogniu. Skądże brać siły, by i na północy w trudne sprawy się mięszać? Pomnieć się godzi, że sztuka czekania na odpowiedni czas, to już połowa wygranej...

Mówił wolno, zastanawiając się nad każdym zdaniem. Zawsze był taki: spokojny, zimny, z lekkim uśmiechem wyłaniającym się spod wąsów.

- Pojmuję to wszystko, pojmuję, ale nam już czekanie niewiele pomoże. Wieści płyną, iż z poduszczenia wielkiego szpitalnika gwałty, rabunek a morderstwa od nowa 'się mnożą. W Tucholi zbiry zakonne gwałciły dziewczki, a ojców i macie sprawiedliwości na lubieżników wołających, we wieże wtrącano albo okładano grzywnami. Wdowom odmawia się praw dziedzicznych, włości męzowskie się im zabiera, same w nędzy na poniewierkę goniąc. Przebiera się miara cierpliwości...

Na twarzy starego związkowca znać było udrękę. Przed dwoma dniami posłańcy z Tajnej Rady przynieśli nowe wieści, wraz z jednoczesnym nakazem szybszego zjednywania Wielkopolan dla sprawy pomocy.

- Zali wam oczu brak? - wolno, ale jak gdyby z gniewem rozpoczął wojewoda. -
Pojrzyj, wiele się zmieniło przez ostatnie trzy lata. Ja siedzę na starostwie bydgoskim. Hińczą z Rogowa dzierży Inowrocław a Nieszawę, kanclerz Koniecpolski starostwo dobrzyńskie. Wojciech Malski jest wojewodą w Łęczycy. Biskupstwem wrocławskim Gruszczyński włada. Wszystko ludzie najbliżsi królowi i maci jego. Cała Wielkopolska, Oporowscy a Bnińscy; Szamotulscy a Górkowie, jednej są myśli. Brać szlachecka osiadła po granicach z Zakonem burzy się ciągiem, gardła drąc, że ich braci w Prusiech niesłychana infamia spotyka... Pojrzyj, nic tobie to wszystko nie mówi?

Podniósł się, węża podkręcił, ale wiele to nie pomogło i wiechcie opadły znów ku dołowi. Na oblicze wypełził jeszcze mocniejszy uśmiech, twarz wojewody stała się pełna, rumiana jak kołacz dopiero z pieca wybrany. Zachichotał spoglądając na krewniaka.

- Pora już, byś mnie ostawił samego. Gości czekam, z pruskiej ziemi...

Jan z Jani podniósł się żywo jak młodzik, a nie człowiek, którego lata dawno już przechylały się ku drugiej życia połowie, zapytał ciekawie:

- Gości? Można zapytać, kogo?

- Komtur starogrodzki... Stara nasza znajomość, lubim tak wieść ze sobą rozmowy. Do Krakowa jedzie, pokłon pragnie oddać po drodze.

- Komtur, ze Starogrodu? Toż zaufaniec wielkiego mistrza. W politycznych jeno mediach on wojażuje... Tutaj?

- A tutaj, tutaj, rano o posłuchanie prosił - wojewoda znów zachichotał.

Jan z Jani skłonił siwą swą głowę, wychudłą dłońią szarpnął spiczastą brodę, ciężkim krokiem ruszył ku rzezanym drzwiom.

Wojewoda patrzył za nim, chichotał.

Potem ogarnął na sobie szaty i przystanął przy oknie.

Wszedł pokojowiec.

- Wasza miłość, poseł zakonny o posłuchanie prosi.

- Proś, Wincenty, proś, zawsze my gościom radzi.

Pokojowiec trochę nieufnie spojrzął na swego pana, wyszedł nie mówiąc słowa, by po chwili znowu powrócić, otwierając drzwi przed strojnie ubranym Krzyżakiem.

- Waszej miłości hołd należny i pozdrowienia z pytaniami o zdrowie śle Ludwik von Erlichshausen... - skłonił się rosły, piękny mężczyzna.

Szarlejski spojrzął na niego, przypomniał starą, przygiętą sylwetkę brata ciotecznego, który dopiero co opuścił komnatę. Uderzyła go w tej chwili jedna rzecz. Oto poseł jest mężczyzną w sile wieku, nie tylko dyplomata to, ale i rycerz pełen mocy. Inni z Zakonu także

raczej do młodych mogli być zaliczani. A Związkowcy? Przecież znał ich tylu, a wszyscy bez wyjątku nieomal starzy. Bażyński, kurujący się teraz we Wrocławiu, dawno rozpoczął już siódmy krzyżyk. Inni wszyscy również po pięćdziesiątce...

I ci starzy ludzie prą do walki, zamyślają podnieść powstanie...

Dzrfry zaiste...

Dostojnie, ale z pewną przyjaźnią powitał gościa.

- Znowu w wojazach, cny komturze? Zali trud nie za ciężki? Ja bym na miejscu waszym w Starogrodzie przebywał.

- Zakon nasz nie dla uciech stworzony. Sprawiedliwości a porządku i wiary Chrystusowej strzec nam trzeba. Prusy kraj dziki. Po puszczach pogańskim Baalom chwałbę próbuje jeszcze chłopstwo oddawać, ha, i wpośród pomniejszej szlachty tacyż sami się bałwochwalcy zdarzają. A jeszcze zaraza husycka, której ślady jawnie tropić się dają... A niesnaski pośród poddanych i z prawych władców niezadowolone stany? Siła kłopotów ma Zakon Maryi Panny, siła... Temu i na spokojne zacisza a uciechę przy łowach czasu braknie.

- Proces cesarski wszystko pewnikiem wyjaśni...

Krzyżak baczenie spojrział na wojewodę. Przeczuwał dwuznaczność w jego słowach, ale nie okazał tego po sobie.

- Na to i liczym, jako że prawy a sprawiedliwy jest cesarz rzymski Fryderyk, Maryjo, przedłuż mu dni żywota!

- Źle tylko, że we Wiedniu przebywać nie może, z całym dworem pode miastem koczuje, a zarząd kraju z woli poddanych ma sobie odjęty - rzucił mimochodem wojewoda.

- Łaska Pana każdego dnia dawny porządek przywrócić może i cesarz z WienerNeustadtu na prawowitym swym stolcu w chwale zasiądzie...

- Amen - wojewoda wpadł w namaszczony ton komtura, cień uśmiechu wypłynął mu spod wąsa na wargi. - Zali oprócz pozdrowień wielki mistrz innych wieści przez was mi nie przysyła? - dorzucił nagle zupełnie innym już tonem. o Rycerz zakonny skłonił głowę wyrażając szacunek. Przychylił się bliżej ku wojewodzie, zachowując jednak niezmienną postawę pełną poważania.

- Wielkiego mistrza ciekawi, zali wasza miłość przemyśleć już raczył one propozycje handlowe, które za moim pośrednictwem przedstawił waszej miłości? Ludwik von Erlichshausen pragnie dziś dodać, że prócz pełnej swobody handlu na Wiśle, prócz zwolnienia od cła funtowego na lat piętnaście, gotów ostawić waszej miłości prawo wyłącznego przywozu piwa bydgoskiego do Prus, z opłat wszelakich zwalniając... Wielki

mistrz rad by poznać czym prędzej odpowiedź waszej miłości, boć sprawa się ciągnie już długo i straty Zakon z tej niewiadomości ponosi.

- Cena ostaje ta sama? - sucho, szybciej jakoś rzucił Szarlejski i przetarł dłonią szerokie wargi.

Komtur niepewnie zerknął ku niemu. Wydało mu się, że w nowym odcieniu głosu rozmówcy ujawniła się chciwość. Zagadał szybko, jakby w obawie, że wojewoda zechce mu przerwać. Twarz rycerza Zakonu przybrała teraz gładki wyraz dworaka, wytrawnego dyplomaty, lisa, dobrze obeznanego w politycznych arkanach.

- Pomoc przeciw rebelii, wsparcie słusznej sprawy Zakonu u króla, tudzież gdyby potrzeba kazała, wstęp wolny żołnierzom Zakonu na zamki Bydgoszczy i okoliczne... Koszta poniósłby wielki mistrz, złotem je zwracając...

Szarlejski chodził po komnacie drobnymi krokami, nie pasującymi do jego pełnej, słusznej postaci. Komtur wodził za nim oczyma. Nigdy nie wiedział, jak oceniać słowa wojewody, bliskiego zaufanego polskiego króla. Szarlejski prowadził rokowania, do Zakonu nie doszły wieści, aby sprawę ich komukolwiek dalej przekazał. Doktor Jakub nawet stwierdził, że ostatnim czasem zauważył u swego pana pewną przychylność dla sprawy Zakonnej. Przynęta była nielada, smakowity orzech. Przecie kto wie, może by się nań chwycił i arcybiskup Oporowski, gdyby' mu się nie zmarło przed niedawnem... Czym wojewoda lepszy? A w majątnościach ani mu się równać ze zmarłym gnieźnieńskim arcybiskupem.

Wojewoda nagle przystanął, spoglądał na komtura, potem wolno osunął się na krzesło, dłuhał szpicem buta w miękkiej podścieli komnaty.

- Ha, cóż - znów cedził słowa - rzeknijcie wielkiemu mistrzowi, że za pozdrowienia dzięk dając, ze swojej strony poważanie i serdeczne myśli mu ślę. O czynionych mi propozycjach w krótkim pewnie już czasie będę mógł wyrazić ostateczne swe zdanie. Dopierom niedawno wrócił z podróży z królem miłościwym na Litwę. Nie miałem czasu rozejrzeć się w owych propozycjach handlowych, zali się nie zmieniło co na niekorzyść. Czyli zaiste takowy dochód, jakiście rzekli, prawa te przyniosą? A gdańszczanie oporów stawiali nie będą, że im handlowanie zbożem zabiorę, statki moimi Wisłę ogarnę? Toruń takoz czy nie podniesie gwałt a bunty? Nigdy za wielec rozwagi w tak delikatnych materiach...

Komtur drżał z wewnętrznej radości. Sprawa musiała stać dobrze, jeżeli Szarlejski tak bezpośrednio rozmyślał już o profitach. Odezwał się uspokajająco.

- Bunt i gwałty łącznie będzie przytłumić. Profity zaś tylko rosnąć mogą. Wielki mistrz przy tym nie wątpi, że z chwilą potrzeby pewne zmiany zajść mogą z korzyścią jeno dla waszej miłości...

W słowach wojewody zadźwięczała teraz stanowczość:

- Wszak muszę sprawę przebadać. Zaś bym krzywdy na mieniu nie poniósł, przeoczywszy jedno lub drugie. Na miejscu będę teraz, dopiero na zjazd parczewski zamyslałam wyruszyć - zakręcił wąsy i uważając poprzedni temat za wyczerpany, z wyszukaną grzecznością pytał już posła o inne, pomniejszych sprawy:

- A wasze drogi, kędyż powiodą? Słyszałem, że w większym orszaku jedziecie?

- Ja do Krakowa, wraz z dwoma jeszcze rycerzami. Innym na Wiedeń droga... - komtur mniej już chętnie udzielał odpowiedzi.

- Na Wiedeń? Pewnie na proces?

- Na proces specjalne poselstwo wyruszy, ale przecie czas jeszcze. Na koniec czerwca Fryderyk III miłościwie sprawę wyznaczył...

- Tak, tak - zamruczał wolniutko, wolno Szarlejski. - Daleka, ciężka droga, to i przetrzymać gościa miłego nie będę...

Gdy Szarlejski pozostał sam, nakazał pokojowcowi przyniesienie piwa. Słynne było na kraj cały, na Prusy i nawet Litwę owo silnie chmielone piwo bydgoskie.

Pieniące się, nie za mocne ani za słabe w goryczy. Wojewoda popijał potężnymi łykami, całą dłoń trzymał duży, srebrny kubek, oddychał głośno. Uśmiech spod wąsów mieszał się z pianą, suchość w gardle mijała.

Wciąż uśmiechnięty, drobnym swym krokiem udał się teraz do pokojów, w których gościł Jan z Jani.

Związkowiec, jeszcze tak niedawno napastowany przez siepaczy zakonnych, wiódł ożywiony dyskurs z dalekim swoim krewniakiem, na służbie u wojewody obecnie pozostającym, Sandorem z Czerwi, zwanym przez wszystkich Wielkim. Bo i rzeczywiście był wielki. Głowę sięgał nieomal powały, bary miał tęższe jak u niedźwiedzia. Ba, mało to on zresztą niedźwiedzi z oszczepem tylko w dłoni powalił? A to i z krótką jeno mizerykordią^ gdy mu przyszła taka ochota, albo o zakład gdy poszedł.

Sandor kręcił przecząco głową. Ruch ten zauważył wojewoda wchodząc do pokoju, zaśmiał się.

- Cóż, Sandor, nie podoba ci się, co prawią?

Olbrzym potrząsnął głową. Wojewoda spojrział na niego z sympatią. Groźny wzrostem, twarz miał Sandor maleńką, spokojną i łagodną jak u małego dziecka. Teraz zamrugał śpiesznie oczkami, znowu potrząsnął głową.

- Jakże by się miało podobać? Rota trzeci już miesiąc stoi wałkoniąc się podłe Bydgoszczy, chłopcy w dziwkach przebierają jak w ulęgalkach, piwsko żłopia, aże im brzucha wyrosły, a mnie zezwolenstwa nijak Związek nie daje, bym już załogą gdzie stanął na swojej ziemi. Przecie i wasze przyzwolenie mam, by w razie potrzeby ruszać. A tu siedz tylko w gorączce wielkiej, gdy od myślenia i spominków czerep aż trzaska - chwycił się potężnymi dłońmi za głowę, schowała się w nich zupełnie.

- Znaku ze strony Polski nie mając, poniektórzy w Związku* zaczynają się wahać, zali nie prosić o protektorat króla czesko-węgierskiego, Władysława Habsburga. Innym się Hanza i Dania widzą... Jeszcze rozłam gotów nastąpić. Cegenberg ostatnimi czasy bardzo bliski się stał malborskim komnatom - wybuchnął nagle Jan z Jani.

- Gorączka cię nosi, wezwałbyś Jakuba, krwi by upuścił z kwartę...

- Ów medykus niewyraźnie mi patrzy. Z tym, co dzisiaj był u waszej wielmożności, całe pół dnia przegadał w zajezdnej... - wtrącił Sandor.

- Na Jakuba oko ja mam. Wiem, że z Zakonem jest w komitywie. Pachnie mu złoto krzyżackie... 'Ale widzicie. Nie on, byłby kto inny, a ja bym nie wiedział, kto. Wróg, którego się zna, mało już groźny. Ma się na niego baczenie. Medykus wszak z niego dobry, że drugiego takiego nie szukaj... To, powiadasz, Sandor, że z komturem wiódł rozmowy?

- Jak i ostatnim razem...

- A wywachałeś, kędy to oni jadą, ci pankowie z krzyżami i świętymi słowami na uściech?

Wobec wzrastającego ucisku ekonomicznego i politycznego wywieranego przez Zakon Krzyżacki, broniące swych przywilejów miasta i szlachta pruska, zwołały na dzień 13 marca 1440 r. wielki zjazd w Kwidzynie, na którym zapadła ostateczna decyzja powołania do życia Związku Pruskiego. (Oficjalna nazwa: Land und Stadte - wieś i miasta). W dniu 14 marca 1440 uroczystie ogłoszony został akt erekcyjny Związku Pruskiego, do którego to dokumentu przywiesiło swe pieczęcie 53 rycerzy i 19 miast. Związek Pruski wzorowany był na konfederacjach polskich, za cel zaś stawiał sobie obronę interesów stanowych szlachty i mieszczan przed uciskiem władz zakonnych oraz opór przeciwko narastającemu krzyżackiemu bezprawiu. Na powstanie i organizację Związku Pruskiego niewątpliwie wpływ wywarły żywe ciągle tradycje Towarzystwa Jaszczurczego, organizacji tajnej szlachty pruskiej, w tym okresie znów ożywiającej swoją działalność, (przyp. aut.)

- Na Kraków, a potem częścią na Morawy zamyślają. Tako się podsłuchało mojemu Wojtkowi, co to w zajezdnej służy.

Wojewoda się zaśmiał.

- No widzisz, na Jakuba narzekasz, a wždy sam pacholika swojego dałeś na służbę w zajezdnej, by wieści mieć... Im gorzej, bo oni niczego o Wojtku nie wiedzą... - Spoważniał. - Ha, mówisz, że na Morawy? Tak mi się coś ten Wiedeń nie widział. Nie będą oni pchać tam przed poselstwem nikogo. Kto był potrzebny, dawno już na miejscu siedzi, kancelarię i otoczenie cesarskie urabia...

Milczeli. Szarlejski zachichotał, patrząc na ich osowiałe miny.

- Słysz, Sandor? Wojownik jesteś, cni ci się bez roboty. jrDumam, byś do Krakowa poskoczył z paru swoimi, ot, tak, samotrzeć, co najwyżej samoczwór. Dam ci listy, zawiesz, będziesz miał uwagę na poicznania komtura. Gdzie, z kim się widuje... Czy do Oleśnickiego może będzie próbował się dostać? Abo do innego z panków małopolskich? Pomogą ci, gdzie sam trafić nie będziesz mógł. Sprawiaj się dobrze, ważna to sprawa...

Sandor rozjaśnił się. Stał wyprostowany. Gęba śmiała mu się od ucha do ucha. Szarlejski przyjrzał się mu uważnie. Pogroził pięścią.

- A pomnij, niech ci do głowy nie przyjdzie zaciukać gdzie cichcem zakonnych rycerzy. Profit mały, a drugi raz nie próbowałbym nawet cię bronić...

Sandor potrząsnął przecząco głową. Pamiętał poprzednią sprawę, kiedy to planował napad na podskarbiego zakonu, jadącego w poselstwie na dwór królewski. Tylko przez wpływy królowej Zofii rzecz zamazano, jakoś się upiekło olbrzymowi. Zapytał tylko.

- A na Morawy za tamtymi czy jechać?

- Nie, jeno sprawdźcie, odprowadzając ich kawał drogi, czyli zaiste tam jadą.

- To czas mnie się zbierać, ku swoim poskoczyć, wybrać druhów co zacniejszych do drogi. Pisma kiedy można będzie odebrać?

- Przyjdź dziś przed nocą. Gotowe będą.

Sandor Wielki wyszedł mocno stukając butami o deski podłogi. Wojewoda spoglądał za nim z sympatią. Zwrócił się do krewniaka.

- Pojrzyj na niego. Gdzie wam się równać w niedoli. Żonkę mu i siostrę zakonni ubili, spłacheć ziemi, który posiadał, zabrali, ścigali jak psa, aż się tu musiał udać pod moją opiekę. Tęskność za zemstą go zre, a przecie posłuszny jest. Pojmuje, że i na zemstę trza czekać... Ty zaś jeno molestujesz ostatnio.

Jan z Jani podniósł się, wstrząsnął swą siwą brodą.

- Mnie nie o siebie chodzi. Pomnijcie, że jeden z najstarszych spośród braci związkowej. Godło jaszczurki w sercu noszę. Ale niepewność dręczy, bo nam naprawdę źle. A i zdrada się lęgnie.

- Spokojnie, spokojnie. Jeszcze proces przed wami. A przed nami... - urwał, zamyślił się. - A przed nami patrzeć, jak króla wesprzeć, jak staremu dziadymu Oleśnickiemu kły wydrzeć ostatnie, by nie kasał... Kardynałstwo w głowie mu przewróciło. Prawy był człek, a teraz ani pojmiesz, o co mu chodzi. Wciąż sobie troi, aby ostać legatem papieskim dla rozsądzenia sporu między Zakonem a stanami pruskimi, potępić chce w wyroku krzyżactwo, a wtedy dopiero rozpocząć słuszną wojnę. Legalista papieski... Słuszną wojną ta zawsze, która praw i wolności broni. Zakonu Oleśnicki nienawidzi jako i my, tylko sposoby niestosowne obmyśla.

Po chwili dorzucił jeszcze, trzęsąc w zadumie głową:

- Choć on z wielmoży małopolskich, a oni prą na wschód, tam chcą swoje dziedziny poszerzać. Kardynał z nimi w jedno trzyma, taki on jak i inni. Tyle, że mu łatwiej jeszcze i interesami kościoła się osłaniać. My tu, w Wielkopolsce, inaczej sprawy te widzimy. Nam nie wschodu, ale północnych nadmorskich krajów pilnować. Tu i profity i siła nasza!

Rozdział siódmy

Przydały się spragnionej ziemi kwietniowe mżawki a ulewy. Świat cały zatonał w zieleni. Drzewa okryte bujnym, jasnym liściem prostowały się, sięgając słońca, palącego teraz ostro, aż do bólu nienawykłego do trudów podróży oblicza. Nad polami i leśnymi ostępami dda świtu aż po pierwsze mroki nie milkł rozgwar ptaszy? Zwierzęta odbywały gody wiosenne.

Drogi przeschnęły, błoto nie pętało już nóg koniom* mogły gnać równomiernym klusem, szybko przemierzając milę za milą. Wesole było jechać, serca napelniały się nadzieją. W czasie drogi odpadły Eryka smutne nastroje, tak ciężące w Toruniu po odjeździe komedianckiej grupy, pogłębione jeszcze brakiem wieści od stryja.

Trasa drogi zmieniła się nieco w związku z tym, że z Erykiem jechał teraz powracający z Warszawy kupiec elbląski Daszke. Razem z synem i trzema sługami stanowił nielada osłonę i dlatego Tieleman vom Wege chętnie przywitał nowych towarzyszy podróży swojego pupila. Początkowo miał Eryk wyruszyć tylko ze starym domownikiem Jana Bażyńskiego, zamieszkującym miejski dom szlachecka w Toruniu.

Erykowi w pierwszej chwili nie w smak była dalsza droga, pragnął jak najprędzej znaleźć się u celu podróży.

Daszke miał po drodze jakieś sprawy w Iławie: kupcy tamtejsi nie odstawili mu dotąd dawno zapłaconego zboża, ściąganego z mazowieckiej ziemi. W Iławie mieli się też rozdzielić, do Kwidzyna nie było stamtąd więcej nad półtora dnia drogi. Kupiec zamierzał ciągnąć potem przez Dzierzgoń, wołał bowiem ominąć Malbork.

Teraz jednak młodzian był w dobrym nastroju, rad nawet ze zmiany. Daszke, stary, ale krzepki jeszcze nad podziw, ciekawie rozповідаł o swych podróżach do Krakowa, a nawet dalej, na Ruś i Węgry, gdzie także poczynało już sięgać kupiectwo pruskie w stosunkach handlowych. Także krewniak a domownik Bażyńskiego, Jarosz Topola, wiele wiedział, wiele przeżył, miał w świeżej pamięci lata wojny aż do pokoju brzeskiego. Uszy się Erykowi paliły, gdy słuchał opowieści o tych wojackich przygodach.

Pierwszego dnia pędzili traktem na Brodnicę, przestronnym i mocno ubitym. Konie były wypoczęte, po sutym obroku, toteż ujechali spory kawałek drogi. Potem jednak stary Daszke zdecydował zboczyć na mało uczęszczane drożyny, znane mu z poprzednich podróży. Wołał ominąć Nowe Miasto, gdzie miał jakieś przejścia z tamtejszym komturem.

Brodnica została teraz po prawej ręce, w światłach wstającego brzasku dojrzeli tylko połyskujące z dala wieże' kościoła. Okolica była rolnicza, lasy przecinały drogę małymi splechawkami. W wioskach panowała cisza, ujadały psy w dworach skrytych wśród drzew. Czasem tylko łysnęły gdzieś z krzaków czyjeś czujne oczy, ślepiące uważnie za jezdnyimi, mignęła z daleka sylwetka ludzka.

Daszkemu nie podobało się to wszystko. Bystro rozglądał się dokoła, drapał się w głowę. Gdy dojechali do rozstaju, przystanął, długo medytował, skrzył wreszcie na lewo.

- Dalsy to siak, ale pewniejszy. Cymś niecystym tutaj mnie śmierdzi. W Toruniu słuchy chodziły, że się chłopstwo buntuje, rebelię podnosi w tych stronach. Nic nam do tego, ale Kszyzacy mogą hulać po drogach bo to kraj pod ządami brodnickiego komtura, a drugiego takiego okrutnika nie znajdziesz w całym Zakonie... Tędy będzie psepnieciej. Tu zaraz sadyba wielka, mam tam chłopówznajomków, wieści zasięgnięciem...

Jechał czas jakiś w milczeniu, wreszcie splunął gniewnie na ziemię.

- Tfu, życia jus nie ma... Jakże handlować, kiej tu nikt swego nie pewny? Pogani los...

Nie zezwalał teraz Erykowi, jak poprzedniego dnia, wyskakiwać daleko naprzód przed pozostałych. Rozglądał się po okolicy, twarz miał skupioną. Wskazał dłonią na większy las.

-/Tu mię Kszyzacy napadli pśed dziesięciu laty. W seć wozów z grubym sukmem polskim ciągnąłem, osłonę miałem mocną, piętnastu zbrojnego chłopca. Tsech mi zasiekli, takie syny, resta w gąsc leśny posła. Mnie ocy związano, dwaj jacyś o kilka godzin drogi w lasy zawieźli, tam samego zucili. Jesień juz była, wilki chodziły, ledwom się dowlókl do

wioski, o której mówię. Jeno zakręć ten miniem, wraz pierwse chaty obacym... A tu ki bies goni za nami?

Na drodze wzmagał się tętent, kurzawa przesłoniła widzenie. Daszke nakazał swoim sposobić broń, ale był niepewny. Cóż poradzą w siedmiu, gdy jeszcze na wszystkich są jeno trzy miecze, reszta zaś zbrojna tylko w sulice i kordelasy. Uciekać także nie było jak, tamci musieli ich dostrzec.

Cofnęli się na stronę, czekali. Zbliżała się spora grupa jezdnych, kurz toczył się wielkim wałem, ale już wyłoniły się zarysy poszczególnych sylwetek. Na przedzie gnali dwaj rycerze zakonni, znać to było po krzyżach, z dala widocznych. Przy nich było kilkunastu pospolitszego żołnierza. Podnieśli krzyk.

- Stój, stój, zdajcie się!

Hamowali rozpędzone konie, kołem próbowali otoczyć ściganych. Daszke dał znak, oparli się o naturalny zasię rozrosłych dębów, stary zakrzyczał swym sepleniącym głosem.

- My ludzie Boży! Zac wam od nas potseba?

Najstarszy z krzyżackiej rotty podjechał koniem tuż do starca, pytał podniesionym, chrapliwym głosem:

- Coście za jedni?

- Kupiec jestem z Elbląga, to zaś moi pomocni...

Krzyżak wzrokiem lustrował twarz po twarzy. Dłużej zatrzymał spojrzenie na Eryku, który z gniewu nie mógł pohamować drżenia. Dłoń pociła mu się na rękojeści miecza, wściekłym wzrokiem odparował spojrzenie Krzyżaka.

- Ten takoz?

- Syn. Zac nas pytaacie, drogi jesce nikomu nie zakazane? - krzepki starzec sam z trudem nakazywał sobie rozwagę.

- Tu wojenny porządek... Chłopskiej bandyście nie spotkali? Tuszylim, że to oni... Was jako zwać?

- Daske Wilhelmus...

Krzyżak jeszcze raz bacznie przyjrzał się wszystkim, pogroził pięścią.

- Spotkacie kogo, nie mówcie, iżeście nas zoczyli. Bo gdyby co, potrafił was jeszcze dognać.

Zakrzyknął na swoich. W mig zawrócili konie, kurz skłębił się nowym wałem, szybko oddalającym się od podróżnych.

Daszke kilkakroć zrobił na piersiach znak krzyża.

- Myślałem, że godzina ostatnia wybiła - odsapnął. - Tfu, na psi urok, co się tu dzieje? Życia jus nie ma w pruskiej ziemi...

Nie zdążyli ochłonąć, gdy rozwarła się przed nimi gładka płaszczyna. Daszke szarpnął konia za wodze, aż ten przysiadł na zadzie. Wyciągniętą dłonią wskazał kupiec przed siebie. O dobrą staję rozłożyło się coś niby wioska nie wioska. Słońce świeciło im prosto w twarze, przysłaniali oczy rękami.

Wioski już nie było, na miejscu domów rozpościerała się pogorzela. Wpatrzeni w ten ponury widok jak urzeczeni, wlekli się teraz krok za krokiem. Dosięgli już pierwszych opłotków osady, rozłożonej nad niewielkim jeziorkiem. Ani jeden dom nie pozostał cały. W powietrzu wisiał jeszcze swąd spalenizny. Kilka glinianych kominów nie rozsypało się w żarze, sterczały groźnie jakby na świadectwo temu, co tutaj się działo.

Daszke przeżegnał się znowu.

- Ani śladu czegoś żywego...

Małomówny, ponury na twarzy syn jego wskazał palceSn w bok, pod krzaki bzu. Zwarzone kwiaty żółkniałymi kiściami opadały ku dołowi. Liście poskręcały się w rurki. Pod krzewami leżały zwłoki kobiety. Przytulony do nich, złowrogo warczał pies, wodził po podróźnych przekrwionymi ślepiami.

- I tam - Topola zwrócił się w inną stronę. Ostry swąd niósł się od jednego z pogorzeliisk. Pożar strawił wieś nie dalej jak przed dwoma, trzema dniami. Przysypany do pół piachem i szczątkami bierwion spoglądał na nich rozwartym jednym okiem starzec o długiej brodzie...

- Znałem go, lirnik wioskowy. Gdym tu stawał popasem, psychodził z gęźbą - szepnął Daszke, rękawem podróźnej kurty przeciągnął po małych swych oczkach. Chwilę myślał, skinął potem na swoich. - Pogrzebać go tsa, zacny był cłek. My jesse obacym, cy może kto żywy nie ostał. Parsywe zakonne nasienie, to ich robota. Temu za nami tak gnali...

Wzdrygnął się, słysząc krakanie wron, rozsiadłych na pobliskich, wysokich topolach i brzożach.

Nie znaleźli więcej trupów, nie napotkali też śladu żywej duszy. Z pochówkiem kobiety i starego lirnika uporali się prędko, jak najszybciej pragnąc opuścić straszne miejsce. Ponury widok przejął ich do głębi, nie rozmawiali, nie stać ich było na słowa w obliczu śladów spełnionej zbrodni.

- W Toruniu bajali, że coś niedobrego tutaj się dzieje. Prawdziwie bajali... - Topola zacierał dłonie nerwowym ruchem. - Z chłopcy zawdy tak się to kończy. Bo panów szlachty czy choćby mieszczan Zakon się boi, liczyć się musi. A chłopu kto pomoc da?

Zaraz za wsią droga znów skryła się w lesie. Mieszany był, mimo słonecznego dnia ciągnął od drzew zapach zastalej wilgoci. Jodła mieszała się z brzozą i wiecznie szemrzącą osiką. Miejscami przeświecały oczka moczarnych rozlewisk, pokrytych mchami i kępami, zarosłych wilczą jagodą i żurowiną. Przy drodze poszycie miejscami stawało się tak gęste, że na skok konia nic * przejrzyć nie było można.

A jednak Jarosz Topola przejrzał. Aż dziw ogarnął zebranych nad przenikliwością wzroku starego rycerza, który pamiętał jeszcze z pacholących lat pole Grunwaldu.

Dwaj słudzy kupieccy wyciągnęli spod krzów jeżyny młodego, może szesnastoletniego chłopaka. Wychudły był, byle jak przykryty rozsypującym się w szmaty odzieniem. Oczy mu tylko świeciły jak u wilka, łyskały na strony, szukając sposobnej okazji do ucieczki.

Topola zsiadł z konia, przeciągnął ręką po głowie chłopaka. Ten skulił się w pierwszej chwili, jakby w oczekiwaniu uderzenia. Pieszczota nie rozproszyła jego lęku, raczej wzbudziła nieufność, tak była w jego życiu czymś niespodziewanym. Ale wyprostował się, jedynie wargi miał zaciśnięte kurczowo.

- Stamtąd jesteś? - pytał stary druh i rezydent Bażyńskich, dłonią wskazując za siebie, na zasłonięte lasem zgliszcza wioski.

Potakujące, niechętne kiwnięcie głową.

- Gdzie wasi?

- Nie wiem, sam jestem, uciekłem, gdy Krzyżacy przybyli.

I zaraz z lękiem obejrzał się po zebranych, jakby dla upewnienia, czy wśród nich nie kryją się zakonni rycerze.

Daszke od pewnej chwili przyglądał mu się uważnie. Coś sobie musiał przypomnieć, bo spytał stłumionym głosem:

- Tyś Wawzków syn? *

Zdumienie w przepłoszonych oczach. Szarpnięcie się w tył, na próżno, twarda dłoń sługi powstrzymała chłopca w zapędzie.

- Nie bój się, znas mię, nocował mię twój ociec. Bartnikiem psecie był, nie tak?

Kiwnięcie głową.

- A ja z towary jadąc, sytę kupowałem u twoich. A i mieskałem cas niejaki... Z Elbląga jestem. Praw, co z oćcem? Zywie?

- Nie - oczy nagle mu zwilgotniały, bezmierny smutek pojawił się na twarzy.

- Mac?

Wzruszenie ramion. A potem szybka, impulsywna odpowiedź, jakby z chęci podzielenia się żalem i bólem serdecznym.

- Oóca zakonni ubili. Brata takóž. Inszych męzczyzn w dyby wzięli, ponoó na Sambię pognali, w roby niewolne przy umacnianiu zamków zmienili.

- Daszke miał czułe serce. Podrapał się strapiony w głowę.

- Co z tobą robió? Na co cekas?

- Može maci gdzie najde, szukam trzeci dzień, jeszcze żagwie się tliły, a jej nie ma... Nikogo nie ma...

- Pojedzies ze mną. Do pomocy cię wezmę w magazynie moim elbląskim. Będzies się dobrze sprawiał, na swoje wyjdzies... Weźcie go tam który za siebie na konia.

- A jeślió Krzyżaków spotkamy? Obaczą u nas chłopskiego syna? - szepnął milczący zazwyczaj młodszy Daszke.

- To bronió go będziem - stary uciął wahania syna, spojrzął na niego z wyrzutem.

Jechali jakiś czas wytężonym kłusem, spotkanie ze śladami krzyżackich zbrodni zmitrężyło im bowiem wiele czasu. Konie jednak zmęczone już były upałem, a i ludziom należał się posiłek. Grunt się właśnie podwyższał, brzozy i osiny przeszły w dąbrowę, Daszke dał hasło postoju.

Syn bartnika Wawrzka znużony trudami i żalostí poprzednich dni zasnął na koniu. Złożyli go teraz na ziemi, któryś ze sług przykrył chłopca podróżną derką. Do posiłku długo trzeba było go budzić, wraz potem zasnął znowu. Topola znecierpliwił się, czekał chciwie momentu, kiedy można będzie dokładniej wypytać chłopca o zajścia ostatnich dni. Ale Daszke nie zezwolił budzić małego.

- Niekaj śpi - seplenił po swojemu, z pewną czuostí spoglądając na chłopca. A potem dodał tonem wyjaśnienia. - Jako mię tedy przed dziesięciu, laty zakonni napadli, u Wawzka zatszymanie nalazłem. Febra mię chyčila, niedzielę ponoó bez psytomności leżałem. Pielęgnował mnie kieby swojego. Mus mi tera, gdy sam nie żyje, pacholóciem jego się zająó...

Odszedł potem bliżej ku drodze, z troską spoglądał na słońce powoli kłoniące się ku zachodowi.

- Daleko nam dzisiaj jus nie zajechaó... Psy brodzie przez Drwęcę stoi zajezdny dom. Ale nie zdaje się, aby w ten cas pzebezpieenie było tam stawaó. W lesie chyba zlegniem na noc...

Szary zmrok dawno wypełnił już bory, nieprzejrzystym tumanem spłynął na drogi, gdy przy trzaskającym wokoło ogniu rozsiedli się na ustronnej polanie.

Jedzenie było skromne, z resztek zapasów, nie spodziewali się bowiem, że i tę noc zabawią jeszcze poza ławą.

Jak na początek maja, noc była szczególnie ciepła. W niedalekich chaszczach rozśpiewało się ptactwo, aż serca rosły słuchając. Od rzeczulek i stawów dobiegało przeraźliwe koncertowanie żab.

Jedzenie przywróciło podróżnym zwarzone w ciągu dnia l/umory. Słudzy jęli się przekpiwać wzajemnie, prześmiewać i dowcipkować. Stary Daszke spoglądał na to z wyrozumiałą pobłażliwością.

Przysiadł się potem do syna bartnika, pogładził go niezręcznie po głowie. Kupiec nie miał dzieci, ponoć małżonka była niepłodna, choć złośliwi twierdzili, że on sam raczej był winien, za wiele bowiem folgował sobie w młodości. Za to do dzieci i młodych zawsze był przyjazny, łaskawy.

Podwinąwszy sobie derkę około nóg, przysiadł się obok Jarosz Topola.

- No, Wawrzek, rzeknij nam, jako to wszystko było? - w głosie starego rębajły wyraźnie dźwięczała ciekawość.

- A zeknij, zeknij - poparł go Daszke.

Eryk wyciągnięty około ognia, nadstawił uszu.

- Jako było? - chłopak zamyślił się przez chwilę. - Tako było, ize już nie stawało oddechu. Cięgiem ino płąć, a płąć, ziarno lub sytę, mleko a płótno dawaj. Jeszcze kamień trzeba było wozić nad miarę, w las iść, drwa walić. Jeść nie było co. Paru naszych do zamkowego więzienia zabrali, że to nie oddali wszystkiego... A słuchy szły jako panowie i mieszczany wojnę będą prowadzić z Krzyżakami. To nasze sioło, a i insze w okolicy odpór dały, na roboty chłopcy ni baby więcej nie poszły, danin nikto nie składał. Jeno sulice każdy szykował, kowale groty kuli, łuki ludzie majstrowali wieczorami po domach, przy ogniu siedząc. Zakonni wždy zaczęli na ostro, ubili paru, nowy dziesiątek w lochy rzucili, ręce prawie jęli rąbać... Starzy radę złożyli, wyszło z niej, że i tak życia sposobnego już nie ma, trza w las iść, a na Krzyżaka wypadać. Tako się i zaczęło, ze dwie niedziele temu. Starzy tuszyli, że pany nam pomoc dadzą, bo takoz są przecie w niezgodzie z Zakonem, a już najmniejsze, że się mięszac nie będą. A tymże czasem poniektórzy z panów w jedno poszli z Krzyżakiem, pomoc mu dali. Wszystkie wsie w okolicy spalone. Kogo nie ubili, to żywcem wzięli, na Sambię pognali, tam jako niewolnych będą zatrudniać. Kto żyw ostał, na polską stronę bieżał, tam, rzeką, łatwiejsze jeszcze życie dla chłopca.

- A insi wam pomocy nijakiej nie dali?

- Insi? - przeciągnął chłopak. W oczach stanęły mu łzy, migotały w świetle ogniska tysiącami promieni, jak kamień szlachetny. Otarł je kułakiem, wpatrzył się w Topolę jakby ze snu nagle zbudzony.

- No, chłopcy, z innego komturstwa? - powtórzył stary rycerz.

- Gdzieżby! Jako ujrzeli, co się tu stało, że pany na jedną rękę z Krzyżaki napadły na chłopca, rzekli, iż lepiej już może stać po dawnemu przy Zakonie. A samo lepsze, swoje cierpieć, w nico się nie mięszać. Bo to, prawili, zawdy się pany i rycerze pogodzą, a chłopcu nowa krzywda w doli przypadnie...

- Jak to, panowie razem was bili z Zakonem? - Eryk nie strzymał okrzyku wzburzenia.

- Aha - syn Wawrzka pokiwał głową.

- Czemu to, czemu?

Stary Daszke zaniósł się złośliwym chichotem. Spojrzał potem na młodego rycerza, jakby się zastanawiał, czy bezpieczne będzie wyjawić mu prawdę. Potrząsnął brodą, skołtunił ją szarpnięciem palców.

- Wzdy sprawa jasna. Pany się boją, by chłop nie rozleniwiał, nie zapsestał robić na ich włościach. Chłopcu nie Iza się buntować, jego mus jeden słuchać każdego pana. Ot jak!

Znów zamilkł, a potem przechylił się do Eryka i szepnął tonem zwierzenia.

- Mój dziad w Brandenburgii takoz na roli nadanej siedził, chłop był. I takoz w rebelii robił, która tam wybuchła. Potem uciekać musiał. A na Prusy Zakon ciągiem wołał o ludzi z niemieckiej krainy. Tako w mieście Elblągu osiadł, furmanił, handlu próbował... Ojciec mój jeno sa[^]thym się juz handlem zajmował, az i psesło to na mnie. Inse życie. Czasem który z zazyłych mieszczan wskaże mnie palcem, wypomni, izem nie miescanin z dziada pradziada jak oni, a chłopskiego ja rodu. Aleć mnie łaska ich nie potsebną. A do rady wsak mnie wybrano, mam swoje do powiedzenia w Elblągu. Bo tsa ci wiedzieć, ze chłopski stan najpodlejsy, każdy go gniece co sił. A chłopcu ni pisnąć. Tu pisnęli, zali nie widzisz co wtedy się dzieje?

- Ale że w jedno z zakonnym rycerstwem? - Eryk nie mógł tego zrozumieć.

- Tako to jest. Psyjdzcie cas, pojmiess... Jeno związkowcom dobrze tsa bacyć, by się chłopcy nie zjednali z Zakonem. Bo wodza gdy dostaną wprawnego, niemała siła to będzie. Tsa bacyć, nie zabawa toć... Gadano, ze i podle Królewca latoć chłopstwo bunt podnosiło, i takoz je ujazmiono...

Eryk nie mógł pojąć tych spraw. Coś się tu nie zgadzało w jego umyśle. Jakże to, szykuje się rozprawa z Zakonem, a jeśli chłopcy podnieśli rebelię, na zamki ruszyli,

Krzyżaków dźgać jęli, to czemuż szlachta tępi ten ruch? Czemu w przymierze wchodzi z komturami Zakonu?

Leżąc około ognia, okryty ciepłą derką, długo w noc myślał jeszcze nad tymi sprawami, słuchając cichego pochlipywania sieroty Wawrzka.

Rozdział ósmy

Krzykosach nie zastał Eryk sędziego Ramsza. Powiedziano mu, że bawi w okolicach Sztumu, przeprowadzając tam narady ze szlachtą biskupiej ziemi. Lada dzień wyczekiwano na jego powrót.

Podróż z Iławy minęła szybko. Stary wojak, Jarosz Topoła, rozgadał się o dawnych czasach, droga była dobra, konie szparko rwały.

Wspominał czasem elbląskiego kupca. Przywiązał się przez tych parę dni do starego Daszkego, który wzruszył go serdecznością okazywaną małemu Wawrzkowi. Podziw budził też rozumem swym i spokojem. Nie było Erykowi tajne, że Daszke należy do najgorliwszych stronników Związku Pruskiego w Elblągu, że cieszy się w mieście posłuchem i poważaniem. Gdy się żegnali, stary kupiec rzekł krótko.

- Bywaj w zdrowiu. A pomnij, będziesz kiedy w Elblągu, a sprawę jaką miał, wal prosto do Daszkego. Nie będzie mnie doma, do małżony się udaj, rzeknij, iżem cię przysłał. Pozna, żeś swój, po takim oto pieniążku. *

Krzyżacka, blaszka marna, ale ma tu nacięcie: to mój z małżonką znak...

W Krzykosach wyglądało teraz inaczej niż za poprzednim pobytem Eryka. Ciekawił ten dwór, pełen ludzi, zbrojni, każdej chwili gotów do odparcia wrogiego ataku. Gości kłębiło się w nim jak mrowia. Nadlatywali skądś zadyszani gońce, przynosili pisma, legitymowali się tajemnymi znakami. Liczono jakieś pieniądze. Eryk domyślał się, że to wpływa podatek nałożony przez Tajną Radę na wszystkich związkowców, dla pokrycia kosztów cesarskiego procesu. Nie pytał jednak, wiedział, że w takich sprawach należy być sekretnym.

Nie żałowałyby może paru dni swobody, jeszcze tak pięknych, jak w początkach maja tego dziwnego 1453 roku, gdyby nie obecność córki Ramsza, wcale niebrzydkiej Elżbietki. Dziewczyna nie od dzisiaj miała się ku ładnemu chłopcu. Znali się od dwu lat bez mała. Elżbietce towarzysz się Eryk podobał, a jeszcze w swoisty sposób pociągało ją jego tragiczne sieroctwo, imponowała też postać stryja, Piotra z Wikliny, który przez długi czas próbował gromić Krzyżaków, na własną rękę dochodząc pomsty za wyrządzoną mu krzywdę.

Wychowana w surowym domu sędziego, stale zajętego ogólnymi sprawami, nie znajdowała w sąsiedztwie dosyć ciekawej młodzieży. Eryk stał się czymś nowym w jej życiu i rozbudził nieznane uczucia w młodym, budzącym się właściwie do życia dziewczątka. Była o cztery lata młodsza od niego, kończyła zaledwie siedemnaście wiosen. Gdy za rozkazaniem stryja Eryk przebywał u swych krewniaków w Kwidzynie, nieraz był wysyłany w sprawach związkowych do sędziego w Krzykosach. Zostawał czasem dzień, dwa, zdarzało się, że i całą niedzielę przesiedział.

Dziewczątka było teraz oszołomione ruchem, jaki zapanował w spokojnym dotąd dworze. Początkowo ze zdziwieniem patrzyła na zbrojnych ludzi, snujących się po dziedzińcu we dnie i w nocy, zdumiewała się przemyślnością, z jaką stary dwór zamieniano w warownię. Bała się tych przygotowań, silne bowiem były w okolicy echa zbrodni krzyżackich, a złowrogie groźby odstępców związkowych, Segenanda z Waplewa i Aleksandra Bażyńskiego, docierały do Krzykosów coraz silniejszym echem. Lubiła dalekiego krewniaka, Jakusza z Trumni, który zawsze szczyił się swym herbem, o dwóch ramionach wzniesionych do góry, mawiając, że ramiona te wołają o pomstę na krzyżackim Zakonie. Nie bardzo jednak pojmowała, jak się to dzieje, że Jakusz porzucił swoje Trumnie i pod nieobecność sędziego zarządza wszystkim we dworze.

Niespodziewane przybycie Eryka ucieszyło ją bardzo. Wiedziała, że za rozkazaniem stryjowym miał przebywać w Toruniu, myślała o nim czasem w samotnych godzinach jak o kimś, kto już może nigdy nie wróci. Aż tymczasem taka nowina! Toteż snuła się wokoło młodzieńca, próbowała przyciągać go ku zabawom, powtarzała zasłyszane w czeladnej opowieści, dzieliła się obawami przed nieznaną przyszłością.

Lubił Elżbietkę, ale uczucie to miało charakter braterski. Teraz jednak, gdy poznał miłość, gdy Zofijka tak mu zapadła w serce, krępować go poczęła bezpośredniość i garnięcie się do niego innej dziewczyny. Próbował wyszukiwać dla siebie jakieś zajęcie, godzinami przesiadywał ze starym Topolą albo umykali obydwaj do lasu. Jarosz wciąż bąbał o dawnych dziejach, o wojnie króla Jagiełłowej, w której przed czterema z górą dziesiątkami lat brał udział jeszcze jako młody zupełnie wojownik. Nie mógł stary się nadziwować, że tak łatwo pofolgowano wtedy rozbitym do cna Krzyżakom. „Nie byłoby dzisiaj tej biedy, sądów, a krzywdy i mizeroty ludzkiej”- mawiał. Eryk świetnie czuł się w towarzystwie Topoli, a coraz bardziej unikał spotkań z Elżbietką, wyczuwał bowiem wyraźnie, co się dzieje w sercu dziewczęcia. Cóż z tego, kiedy sam był myślami zawsze przy tamtej...

Przy jakiejś okazji zwierzył się ze swych uczuć Topoli. Wojak aż gębę szeroko rozwarł, gdy się dowiedział, kim była wybranka Eryka. Długo słuchał wyznań, które rozpieierały serce Eryka, potem starmosił palcami swą brodę, powiedział cichym głosem:

- Linoskoczka, komediantka... Bacz, chłopie, byś biedy sobie nie napytał taką miłością... Ha, w młodych latach znało się i komediantki, i wszelakie insze dziewczki, ale nigdy nie powstało w szlacheckiej głowie, aby jakaś lubość miała z tego wykwitnąć. Ot, męska zabawa, a potem nie to już że z serca, lecz nawet z pamięci.

- Ona nie taka, insza całkiem - zaperzył się Eryk.

- Nie przeczę, nie. Ale cóże to zrobisz? Stryjo poka żyw zezwolenstwa ci nie da, a to teraz twój rodzic i mać zarazem, skoroś sierotą ostał na świecie. Szlachta dom twój będzie omijać, żeś wybrał dziewczkę tak marnego stanu...

- To w puszczy zasiądę, zacz mi ludzie potrzebni?

- A żył z czego będziesz?

Wyciągnął wtedy do starego przyjaciela mocne swe, krzepkie ręce. Potrząsnął nimi.

- Patrzcie, abo nimi nie zdolę na chleb zarobić? Jakem się mieczem od pacholęcia uczył, że wstydu pamięci swoich nie przyniosę, także wydzierzę i każdej innej robocie... A swego nie popuszczę. Choćby i stryjo opór dawał.

Topola patrzył, trząsł głową, ni stąd ni zowąd poczynął uśmiechać się pod wąsem. Podobała mu się chwackość i zadzierzystość Eryka. A znał trochę ludzi tego rodzaju, co się skrzyżowanymi łopatami łosimi na białoniebieskim tle pieczętował, ot, choćby Piotr z Wikliny, Jarzko ze Strzygomia i insi. Chłop w chłop, zabijaki ogniste. Prawda, nie popuszczają swemu...

Sprowadzał rozmowę na inny temat. Eryk niepokoił się brakiem wieści od stryja. Nikt z przybywających nie mógł powiedzieć nic więcej ponadto, że przed dwoma niedzielami, albo może i więcej, widziano Piotra z Wikliny w okolicach Dzierzgonia, potem w Elblągu. Inni wspominali także o Zantyrze i Starym Targu, ale nie sprawdzone to były wieści.

Z każdym dniem, gdy powrót sędziego przewlekał się - choć już otrzymał wiadomości o przyjeździe Eryka i znaku, jaki ze sobą przywiózł - niepokój młodzieńca wzrastał. Coraz ciaśniej robiło mu się w przestronnym Ramszowym dworze, drażniła go ckliwość Elżbietki, nużyć zaczęły nawet gawędy starego Topoli. Przyłapywał się nieraz na tym, że wyjeżdżał daleko za kasztanową aleję i wypatrywał podróżnych na kwidzyńskim gościńcu.

Sędzia zjawił się niespodziewanie, w cztery dni po przybyciu Eryka w krzykoskie progi. Nadszedł późną nocą, mimo to wraz pośpieszył do chłopca. Wypytywał o niektóre szczegóły posłania Tielemanowego, o nastroje w Toruniu, o to, czy nie słyszał Eryk jakich

wieści o powrocie Jana Bażyńskiego z Wrocławia. Potem usiadł na brzegu łoża przykrytego skórami, namyślał się chwilę.

- Widzisz, chłopcze, nie zda mi się, aby prawdę przed tobą taić. Gorsze przeszedłeś, a wiek swój masz... Jak słuchy niosą, Piotra zakonni porwali. Gadają, że ranien był, nie wiedzieć, lekko czy ciężko. Próbowałem wywiedzieć się bliżej, nie szło. W Malborku go nie ma, w Sztumie takóŜ, mamy tam swoich, nie ukryłoby się przed nimi. Zleciłem dalsze szukanie, tuszę, że wrychle będziem wiedzieć dokładnie. Porwali go nocą, pacholik jeden żyw ostał, dał znać. Zestrachany był taki, że mało co mu zostało w pamięci. Powiadał, jechali we trzech, stryjec twój z dwoma pacholikami. Dokąd się Piotr udawał, nie wie, nigdy nie miał zwyczaju im opowiadać się. Było to pod Elblągiem, na dzierzgońskim trakcie. Kto wie, może go w dzierzgońską wieŜę wsadzili.

- Von Plauen komturem elbląskim - szepnął struchlały Eryk.

- Onze. I w nienawiści miał Piotra z Wikliny. Musi w tym być jego ręka... Ha, niewesoła nowina. - Sędzia w serdecznym zatroskaniu podrapał się w głowę, oczy mu zabłyśły złowrogo. - Da Bóg, niedługo już. Zadość dalszej cierpliwości. Czas, czas... - szeptał jakby do siebie.

Drgnął na ostry, stanowczy głos młodzieńca. Eryk otrząsnął się z trwogi, jaka opadła go w pierwszej chwili wieść o doli stryja. Młoda twarz powlokła się chmurnym skupieniem.

- Co mi, panie, radzicie czynić? Jako stryja ratować?

Ramsz Krzykoski zamachał rękami.

- Dajże pokój, co ci to w głowie? Nic tu nie uratujesz. Pewne, jako Krzyżacy nie ośmielą się złego mu zrobić, za gorący to czas, by gwałtem poczynać. Już prędki sąd przed cesarzem.

- Widziałem wioski przed Brodnicą a Nowym Miastem... Ni jedna chata nie ostała, wszystko zżarte pożogą. Trupy kobiet i starców leżały pobok drogi. Pojmanych mężczyzn zakuto w dyby, uwięziono w sambijski kraj.

- Chłopi to byli! Ze szlachtą insza sprawa...

Nagła złość szarpnęła Erykiem. Przypomniał swe rozmyślenia nad wspólnym działaniem poniektórych ze szlachty z Zakonem przy uśmierzaniu chłopskiego powstania. Jak żywe wróciły przed pamięć słowa starego Daszkego.

- Nigdy nie wiedzieć. Szlachta szła w pomoc zakonnym pałac owe wsie i chłopstwo mordując. Krzyżacy za nic szlachtę mają, jeżeli, to z mieszczany jeno się liczą.

Brwi sędziego zadrgały mocno. Ci, którzy znali go bliżej, wiedzieliby, iż pierwsza to u niego oznaka rozeźlenia. Milczał jednak długą chwilę, potem już zimnym, spokojnym głosem oznajmił.

- Łza to, aleś młody, to wybaczam. To ci rzec mogę, że związkowi nie brali udziału w tych sprawach. Wydany był zakaz Tajnej Rady. Wszakóż ty za chłopstwem nie stój, bo i przeciw Krzyżakom, i przeciw nam okoniem stają. Były słuchy, że pragną w jedno iść przeciw Zakonowi z mieszczany i szlachtą. Tajna Rada orzekła, że nie godzi się to, nazbyt się chłopstwo rozpanoszy, takim spraw obrotom. Kto by późniejszym czasem na ziemi robił?

- Więc jakże, czekać mam zmiłowania krzyżackiego? Zakonni okrutnie stryja nie cierpią. Ale jeśli świadków nie ma, kaj go podziano, to i gardło odeń wziąć mogą, a nikt nawet wiedział nie będzie... Słuchajcie, panie, ja go muszę ratować. Radę dajcie, wyście tu wszystkiego świadomy, ludzi znacie, zamki krzyżackie, w nich więzienia a wieże. Może bym go mógł uwolnić jakim sposobem.

Sędzia zapomniał już gniewu. Twardy ten mąż, nieugięty w wojowaniu o sprawiedliwość i respektowanie paktów brzeskich, z głębokim współczuciem patrzył na rozpacz i jednoczesny animusz Eryka. Potrząsnął głową.

- Będziem myśleć. Głupoty tu żadnej nie można dopuścić. Zamiast polepszyć, pogorszyć jeno możem dołą Piotra z Wikliny. Tuszę, że za dni parę wieści nowe miał będę. Czekaj cierpliwie. Uczynię wszystko, co tylko w mojej mocy. Mam i między Krzyżaki znajomków, na pieniądź łasych. Stryj twój Związkowi wiernie służył, Związek też nie poskąpi pieniądza w razie potrzeby...

Wstał, mocno uściśnął dłoń młodzieńca. Spocona była, gorąca.

- Powtarzam, spokojnie rozważyć trza wszystko. Może wyratujemy Piotra jakim sposobem.

Eryk pozostał sam. Siedział oszołomiony. Od dawna przeczuwał, że ze stryjem stać się musiało coś niedobrego. Przeczucia znalazły teraz potwierdzenie w faktach.

Szarpnął, rozchylił kołnierz koszuli. Duszno mu się zrobiło. Podeszedł do okna zapartego mocnymi, dębowymi okiennicami, uchylił małe okienko, tak małe, że nawet głowy ludzkiej byś w nie nie wetknął, przybliżył twarz, wdychał głęboko rześkie powietrze majowe. Słowiki nie zaprzestawały pienia w krzakach krzykoskiego parku. Wzrok przyzwyczajął się powoli do mroku, poczynał w nim rozróżniać jaśniejsze kształty. Do pełni było jeszcze daleko. Na niebie rysował się wąski zrąb księżyca. Że jednak niebo było gwiazdziste, spojrzenie sięgało daleko. Cokolwiek na prawo, obok głównej bramy wjazdowej przesuwiała się sylwetka wartownika z oszczepem w dłoni.

Gdzieś nie opodal nagle roz jazgotały się psy. Potem przeszył mrok pojedynczy, ostrzegawczy głos ludzki. Jeszcze chwilę, a porwało się ze snu w dworze wszystko, co żywe. Służba wołała na alarm, krzyk pobiegł po dziedzińcu, odpowiedział mu inny za ostrokołem, jakim Ramsz otoczył ostatnio swoją siedzibę, zatrzęsała się pod naporem z zewnątrz masywna brama.

Eryk chwycił za miecz, z tupotem pędził przez szeroką sień. Zderzył się w niej z kimś zbrojnym. Poznał, to Jarosz Topola.

- Gady napadły! Krzyżaki! - sapał stary, rwał naprzód, ani by go ktokolwiek prześcignął.

Wypadli na dwór. Zaroilo się już tutaj od ludzi. Ramsz miał blisko trzy dziesiątki zbrojnych, nie licząc zwykłej służby, również wprawnej we władaniu bronią. A jeszcze goście, których tej nocy było więcej niż zwykle, szlachta z całego powiatu.

Stróża przy bramie walczyła z napierającymi od zewnątrz napastnikami. Wrzeczadze, wywalone jakimś taranem, ustąpiły, zbrojny tłum wpadł na dziedziniec, rozsypał się po nim, gnał w stronę dworu i biegnących naprzeciw obrońców.

Ramsz wyskoczył na czoło, wydawał rozkazy:

- Część niech ostanie na ganku, wnijścia bronić do dwora! Reszta od prawa uderzać i lewa. Światła dawać, światła!

W mig zapłonęły pochodnie, rozświetliły obszerny teren walki. Zamigotały miecze, groty sulic a oszczepów i kopii. Powietrze przeciął świst pierzastej strzały, któryś z napastujących, korzystając ze światła, naciągał łuk. Inny przyklęknął, celując z kuszy.

Zwarli się w jednej chwili. I tu, i tam polska mowa zabrzmiała na poły z niemiecką, mieszały się w to pruskie okrzyki, zawołania bitewne.

Od małej furtki na ostrokołe z prawej strony też zabrzmiał gwar. Jakimś sposobem napastujący wtargnęli i tamtędy do środka. Ramsz w jednej chwili ocenił sytuację, wrzasnął, głos jego przebił rozgwar bitewny.

- Dziesięciu od prawa! Haiiia, haiiia! - zagrzewał, dodawał otuchy rodowym swym zawołaniem bitewnym.

- Jezus Maryja, bijcie chrześcijany!

- Dadźboże, wspieraj!

- O, lieber Gott!

- Pieskie wy syny, ja wam, ja wam...

Mieszały się okrzyki. Gwar wzrastał. Szczekał oręż, słyhać było jęki trafionych. Napastnicy nie spodziewali się podobnego odporu, zaskoczyła ich ilość ludzi we dworze.

Nacierali mimo to dalej, można było rozróżnić groźne okrzyki pod adresem Ramsza z Krzykosów.

- Psi sędzia, polski parobek.
- Verfluchter Hund!
- Weg z nim do Polszczy, weg!
- Podła jaszczurka, gad obmierzły. A wał go!

Walcząc Ramsz uważnym okiem obserwował wszystko dokoła. Zastanowiło go, że wśród napastników nie ma ani jednego Krzyżaka. Rozpoznał natomiast kilku z drobnej szlachty dzierzgońskiej, która z górą przed rokiem odstała od Związku Pruskiego. Tym bardziej nie pojmował napadu.

Od prawej napastnicy niebezpiecznie przybliżyli się do budynku dworskiego. Obrońców tam było mało, choć bili się dzielnie. Sędzia spojrzał w bok, dostrzegł Eryka,⁵ a tuż obok z rozwianą siwą czupryną i brodą starego Topolę, zakrzyknął na nich, by zdążyli tamtym na pomoc.

Skoczyli. Razem biegł jeden z zaciężnych zbrojnych, z sulicą w jednej, syczącą pochodnią w drugiej dłoni. Smoła płonącymi skrami opadała co chwila na ziemię.

Eryk odżył w rozgwarze walki. Zaprawiony do niej od małego, zwyczajny różnych przygód przy boku Piotra z Wikliny, teraz mścił się nie tylko za dawno wymordowaną swoją rodzinę, ale i za tego stryja, jedyne krewniaka, którego posiadał na świecie, a który też już może nie żyje albo jęczy torturowany w jakimś przepastnym lochu.

Biegł pędem, blask pochodni oświecał jego twarz. Któryś z napastników zawrzasał nagle z radością w głosie.

- Imajcie go, to krewniak Piotra z Wikliny! Żywcem bierzcie, niechaj zgnije ze starym w piwnicy...

Eryka jakby coś żgnęło. Jak taran wskoczył w tłum atakujących. Zręcznym ciosem odbił wymierzoną w siebie sulicę, pchnięciem miecza ugodził kogoś przez ramię, zaraz potem nurknął w dół, ostry miecz ze świstem przeciął tylko powietrze, aż się napastnik zachwiał. Eryk nie zwrócił nań więcej uwagi, gnał za tym, którego rozwarte usta zobaczył przed chwilą i już nie spuszczał go z oka. Ten jakby pojął groźbę ataku, wycofał się uskokiem za innych, wypchnęli go jednak znowu przed siebie, skoczył więc w bok. Eryk był już tuż obok, straszny, włos miał rozwiany, wargi kurczowo ściśnięte. Blask jakiejś pochodni przewinął światłem przez jego twarz. Dzierżący długą kopię zbir zakrzyczał przeraźliwie, zawrócił nieprzytomnie, jał uciekać w kierunku gęstych krzaków bzu. Eryk dopadł go paru susami, nie

używając miecza samym już impetem przewrócił na ziemię, przygwoździł całym ciałem, prawą dłonią złapał z okrutną siłą za gardło, zacisnął.

- Gadaj psie, co wiesz o Piotrze z Wikliny! Bo cię uduszę...

- Wiem, jako w Pasłęku jest... O Jezusie, nie duście... - zacharczał.

- Gadaj!

- W Pasłęku, w bocznej wieży... Wicekomtur specjalną ma nad nim pieczę.

- Żyw jeszcze?

- Żyw... oooo - zacharczał, z ust pokazała się piana zmieszana z krwią.

- Gadzie! - z całej mocy Eryk trzasnął pięścią w obmierzłą twarz zbója, porwał się z miejsca, pognął za innymi napastnikami.

Uciekali już. Obrońcy napierali na nich krok za krokiem. Cofali się, odbijając ciosy. Gdzieś za ogrodzeniem rżały konie. Kilka ciał leżało na podwórzu.

- Dadźboże, pomagaj, wspieraj, Dadźborze! - ktoś z obrońców głośno wzywał pomocy pruskiego bożka, kult którego nie wygasał po głębi puszczy, na uroczyskach i niedostępnych moczarach.

Napastnicy nie odcinali się już, uciekali bezładnie, rwali co siły w nogach, aby czym prędzej wyskoczyć za bramę w zbawczą ciemność nocy. Tam czekały konie. Wskakiwali na nie, kluli mieczami, kordelasami, byle prędzej, byle dalej od straszego dworu sędziego z Krzykosów.

Obrońcy rozbiegli się, usiłowali wyłapać po krzewach pojedynczych napastników, którzy nie zdążyli dopaść do koni i w ten sposób szukali wybawienia. Kilka koni przerażonych rozgwarem i blaskiem pochodni galopowało około ostrokołu, któryś ze rzeniem wpadł na podwórze, ledwo zdołano go pojmać.

Eryk ślaniając się wracał do domu. Dopiero teraz uczuł zmęczenie, jakie go ogarnęło przemożną siłą. Z ramienia broczyła krew. Potknął się nagle, padł całym ciężarem, aż jęknęło dokoła. I w tejże samej chwili od ganku rozległ się przeraźliwy krzyk kobiecy. Elżbietka skoczyła, biegła w białej, nocnej szacie ku leżącemu na ziemi rycerzowi.

Przypadła do Eryka, potrząsnęła nim silnie, wołała rozpaczliwie.

- Eryk, Eryk! Żyj, nie umieraj! Eryk, Eryk...

Dźwignął się z trudem, usiadł. Zrobiło mu się nagle wstyd za siebie, że tak osłabł, i za dziewczynę, że tak publicznie okazuje swoje uczucia. Na chwilę przygarnął ją ramieniem, klepnął przez plecy.

- Elżbietka, Elżbietka, toć żyję, żyję! Nic mi nie jest, jenom się potknął o jakiś korzeń czy kamień.

Trochę stękając, co żywo podnosił się z miejsca. Ku dziewczynie podbiegła służka, osłoniła ją płaszczem, wiodła ku domowi.

Eryk szedł powoli za nimi. Dostrzegł badawcze, czujne spojrzenie stojącego na ganku Ramsza. Zrobiło mu się czegoś wstyd, opuścił głowę i oparł się o słup dysząc ciężko.

Paru napastników leżało bez życia. Nie można było wyczuć nawet oddechu. Ale dwóch dalszych żyło. Jednemu krew bluzgała z ust, otrzymał cios w pierś. Ostatni ranny był tylko w nogę. Przy dźwignięto ich wszystkich przed ganek. Sędzia nie rzucił nawet okiem. Zajęty był swoimi ludźmi, którzy ucierpieli w bitwie. Jeden ze starych, zasłużonych domowników, Jaksz Łębski, już nie żył. Do końca był wierny... Z kilku rannych, niebezpieczna była tylko rana Zawieji, drobnego szlachetki polskiego rodu, który przesiedlił się tu przed 'paru laty z ziemi chełmińskiej, na maleńką włość żony. Kazano go wnieść do izby, opatrzyć jednej z bab, znających sztukę tamowania krwi i leczenia.

Dopiero potem dumnym spojrzeniem ogarnawszy całe obejście, kazał Ramsz z Krzykosów oświecić pochodnią twarze napastników. Długo im się przyglądał, za nim tłoczyli się ciekawi.

- Tych nie znam - rzekł, wskazując zabitych.

Słyszając te słowa, ranny z pierśią rozwartą pchnięciem sulicy czy miecza zajęczał przerażony.

- O la Boga, Ramsz...

Sędzia schylił się bliżej. Potrząsnął głową. Rzucił ku swoim:

- Zna go kto z was?

Zagląдали jeden drugiemu przez ramię. Maciej z Guntów, który nadszedł chwilę później, syknął.

- Jać go znam. To brat Klemensa Dziwisza, Paszko.

- Ahaaa - rozumiejącym szmerem powiało po obecnych.

Dziwisz Klemens wraz z całą rodziną, a było ich coś pięcioro braci, wystąpił ze Związku wraz z Segenandem z Waplewa. Z poduszczenia Krzyżaków montował ostatnio konfederację szlachecką po stronie Zakonu. Był i c/t: najmądrzejszy z rodziny i wszyscy bracia szli za nim ślepo. Najposłuszniej, a przy tym z jakichś powodów najbardziej nienawidzącym związkowców, był Paszko. Nie zdziwiła zatem nikogo jego obecność wśród napastników.

- Zaśpiewasz mnie jeszcze, bratku - syknął sędzia, wpatrując się w rozwarte szeroko bólem i nienawiścią oczy Dziwisza.

- Niedoczekanie twoje - zasyczał ranny, wraz ze słowami lunęła ustami krew.

- Kończy - szepnął ktoś. Umilkli. Umieli szanować śmierć, nawet wroga czy zdrajcy, który opuścił szeregi związkowe:

- Ciebie to znam. Tyś zaciężny, tak? Rotmistrz? - napał teraz Ramsz na rannego w nogę.

- T[^]k. Jam Sziszka.

- Kto cię tu przysłał? Zakon?

-, Nie wiem. Jeszcześmy nie objęli służby w Zakonie. Od piętnastego maja zgodziłem się na trzy lata ze swoją rotą. Jacyś panowie szlachta namówili nas na dzisiejszą wyprawę, pieniądze wielkie obiecując, bo tu kasa jakowaś być miała... Psia mać - zaklął.

Ramsz nic nie mówił. Jakiś czas spoglądał na leżącego. Potem machnął dłonią.

- Wziąć go, opatrzeć. Rabuś, ale nie zdrajca. Gorsci ci, co namówili go wraz z kompanionami. Czuję tu rękę Segenanda z Waplewa. Wiedzieli Krzyżacy, że podatki zbieramy, że kasę związkową z tych stron we dworze trzymam. Może jeszcze chcieli papiery zdobyć, tacy synowie. Za namową zakonnych poszli ludzi zabijać. Nic to, nie zmagli nas, a i drugim razem nie zmagą. Jako to wyzywali na mnie, żem polski parobek. A sami krzyżackie knechty! Jam wierny syn pruskiej ziemi. Tam wiodę czyny swoje, gdzie korzyść widzę dla Prus... - zamruczał już ciszej, stojący najbliżej ledwo usłyszeli te słowa.

Podziękował jeszcze wszystkim za pomoc w walce. Kazał rozstawić mocne stráže, rozwaloną bramę zatarasować kamieniami, jakich wiele leżało po kątach podwórza.

Spojrzał potem na opartego ciągle o słup Eryka. Przypomniał dziwne zachowanie się Elżbietki. Tknęło go podejrzenie, czy młodzian nie uczynił jej jakiej krzywdy. Gniew w nim nagle zakipiał, ale wnet się pohamował. Postanowił, aby zaraz rano rozmówić się w tej sprawie najpierw z Elżbietą, potem z Erykiem.

Ale rano okazało się, że Eryk wyjechał. Z nim razem zniknął jeden z synów najbliższego sąsiada, Brosza z Warclawek.

Sędzia nie bardzo wiedział co o tym myśleć. Tylko stary Topola chodził zatroskany, przypominając wydarzenia ubiegłej nocy. On się domyślał, gdzie by należało szukać Eryka. Po namyśle zdradził swoje zamysły sędziemu. Ten złapał się tylko za głowę...

Rozdział dziewiąty

Na nic! Tak zawsze się kończy, jak się weźmie do roboty tych pruskich szlachetków. Klemens Dziwisz zachwalał brata, że dzielny i sprytu mu nie brak. Tymczasem i swój głupi łeb położył, i alarmu niepotrzebnego narobił - ze słów wypowiedzianych w pasji, wielki

szpitalnik przeszedł nagle do nerwowego śmiechu. - Ale musiał się sędzia mieć z pyszna, gdy tak nagle wojnę zobaczył około siebie... Nic, my cię, diabelski pomioście, dostaniem jeszcze w swe ręce...

Zniszczony na twarzy człowiek ciekawie spoglądał na Henryka von Plauena, przechodzącego z nastroju w nastrój. Szepnął.

- A wieść ich nie dojdzie, kto sprawę przygotował?

- Nie, jeden Paszko wiedział, a ten już nie żyw... Zaciężni nie byli niczego świadomi. Końce w wodę, jak mówi szlachta chełmińska. Chodźmy, gardło schnie, a siła jeszcze mam dzisiaj roboty.

Wolno szli teraz obok siebie długim krużgankiem, wiodącym z kaplicy do właściwego zamku. Kroki dudniły głucho, zatęchła wilgoć wisiała w powietrzu, pachniało pleśnią. Wielki szpitalnik wstrząsnął ramionami.

- Stary klecha gada, że służba boża, to jeno modlitwa a ślęczenie w kościele... Brednie to przecie. Nora wilgotna, już nie wiem, zali więźnie moi lepiej nie mają. Rycerska służba dla Boga, to miecz a tępienie niewiernych. Nie tak, druhu serdeczny?

Znacznie niższy od von Plauena, ale też zgrabny, dziarski mężczyzna zachichotał wesoło.

- Niceś się nie przemienił od lat, gdyśmy hulali po tej ziemi za wielkiego mistrza Russdorfa... Dziewki mają zacne w tych Prusiech...

- Jedyna zaleta tutejszej szlachty.

Obmierzły śmiech przewalił się sklepieniem krużgankiem.

Otwierając masywne drzwi, wzmocnione ręcznie kowanym żelazem, Henryk von Plauen zatrzymał się nagle.

- Ale i w tobie, Johannie, zmian mało! Od trzech lat mamie cię wdziękami tutejszych dziewczątek, a dopiero teraz raczyłeś przybyć. Mus cię ku nam przygonił. Głowę musiałeś salwować. I jak zawsze, niewiasta, i jak zawsze, gwałt sromotny... Dobrze, że nasz kapelan tutejszy głuchy, do czego się przyznać nie chce. Mamrociesz mu byle co w ucho, on cię rozgrzesza, nauki daje, chocia słowa nie pojął, cha! cha! cha!

Szerokim korytarzem dostali się do właściwej części zamkowej. Wielki szpitalnik wskazał na prawo.

- Tam moje komnaty, jedna szczególnie miła... Ale teraz chodźmy do sali, kędy rządzi skromność a prostota zakonna, cha! cha! cha!

Rycerz niemiecki, dopiero przybyły do ziem zakonnych, odpowiedział podobnym śmiechem. Johann Binenrode miał wesołe usposobienie.

Gdy zasiedli w izbie zebrań elbląskiej komturii, i po kilkakroć zanurzyli usta w chłodnym, szumiącym piwie, Henryk von Plauen uważnie zmierzył spojrzeniem dawnego druha. Tamtemu zdało się, że oczy te prześwidrowują go na wskroś, tak mocne i palące było ich wejrzenie.

- Słysz, Johann, tajemnic przed tobą mieć nie chcę, a pragnę pomocy. Sprawy trudne. Konrad zabagnił ongiś sprawy pruskie, gdy łagodnością i spokojem naprawiać chciał zwątlale zakonne rządy. Ludwik, brat mój cioteczny, niby srogi, gwałtownik, ale koniec końcem stałości żadnej nie dopatrzysz u niego. Pomnieć trza o tym. Kto wie, azali rychło nowego wielkiego mistrza nie przyjdzie się obierać...

Binenrode uśmiechnął się lekko.

- Pojmuję. Radbym już widzieć tego nowego mistrza. Może bym i ja zakonnym na ten czas ostał, dostał jakowe łase komturstwo, kędy panien a wdów zacnych szlachtetnego rodu nie zbraknie. Wyrękę miałbyś we mnie...

Wielki szpitalnik nie był teraz w żartobliwym nastroju. Zasepił się, masywną swą dłonią trzepnął przyjaciela przez ramię.

- Ostaw, potem się będziem facecjami zabawiać. Teraz chcę ci rzecz insze. Dr użył ze mną będziesz, dobrze, obłowisz się, znasz mię przecie. Próbuj zaś tylko na tą czy drugą się stronę przechylić, zwierzyć się komu z tutejszych spraw, żyw długo nie będziesz. Więc jak?

- Honorem się klnę. W tym jednym honoru umiem dochować!

Uścisnęli sobie dłonie. Piwo z chlupotem polało się do gardzieli.

- Wieszże, czyjego wyrobu to trunek? Bydgoski... Aż z Polski tu idzie. Umieją tam warzyć, dobre mają w tej Bydgoszczy browary... Oskoma bierze. A być to przecie miasto nasze. Dopiero pokój toruński...

- Nie z Polską wam zadzierać w tej chwili.

- Głupiś, toć wiem! To nie dawniejsze lata. Ale wiele może się jeszcze w bliskim czasie przemienić.

-■ Dalekie masz plany.

- Dlatego wysoko śmiem sięgać! Potem sobie pójdziesz krzynę wypocząć. A ja tu wołać będę swoich dla rozważenia sprawy. Umiałem sobie przybrać ludzi. I każdego mam w rękę. Wszyscy mają obciążone sumienia. Niechby który spróbował słowem jednym pisać przeciwko mnie, wraz bym samego pogrążył na nice. Wiedzą o tym, zatem są wierni, od psów wierniejsi.

Wzrok Johanna Binenrode stał się nagle ostrożny. Powieki zamigotały jak u przepłoszonego zwierzęcia. Potem, widząc, jak wielki szpitalnik uważnie go obserwuje, przykrył suchą swą twarz uśmiechem, rzucił szybko słowami:

- Na mnie się nie zawiedziesz. Rota moja w gotowości stoi u brandenburskich granic. Blisko półtoraśta ludzi, w tym kawalerów zacnych cała dwudziestka. Potrafiłem przydać im smaku tej ziemi, cha! cha! cha!

Oblicze von Plauena nie rozchmurzyło się. Wzrok jego parzył ogniem. Binenrode szybko dopijał piwa, powstał ku wyjściu. Henryk von Plauen rzucił jeszcze za nim:

- Az dziewczkami inaczej tera, niżli to dawniej bywało... Nie próbuj sobie ostro poczynać i żadną miarą w mury klasztorne której nie ściągaj. Na ręce czujnie nam patrzą. Żadnego gwałtu, poza takim, co koniecznie potrzebny...

Binenrode mienił się na twarzy; nisko kłaniając się dziwnemu przyjacielowi, śpieszył ku drzwiom.

Wielki szpitalnik i zarazem komtur elbląski zamyślony siedział czas jakiś nad stołem, spoglądał na własne ręce. Wreszcie klasnął trzykroć rozgłośnie. Młodszy brat zakonny w habitach stanął u progu.

- Brat Albert wraz niechaj przyjdzie.

Na wejście kościstego człowieka, o ponurej twarzy, zwracającej uwagę płonącymi fanatycznie oczyma, Henryk von Plauen podniósł się, z pewną dozą szacunku odpowiadając na ukłon.

- Czekałem na wezwanie, bracie - w głosie jakby lekki ton wymówki.

- Wiem, że masz ważkie nowiny, alem musiał się gościem nieco zająć... - zumiął się. - Duma, że mu zaprawdę druh i przyjaciel... pomiot szlachecki, gwałtownik a chciwiec. Weźcie sobie za przykazanie, bracie, aby mieć go w czujnej uwadze. Nie wiedzieć, w jakich zamiarach przybył. Miał czekać w Brandenburgii ze swoją rotą... I nie dziewczki mu tutaj pachniały. Kto wie, czy na dwie strony plugawiec nie służy.

- Zlecenia wydam, bracie.

- I jeszcze jedno. Baczyć trza, aby nic się o południowej komnacie nie wywiedziało...

Chudy staruch skinął tylko głową.

- A teraz ty gadaj. Wieści jakie są nowe? Czy krzykoska sprawa ucichła, nie padło na nas podejrzenie?

- Triumf odniesiony tak ich upoił, że nie próbują dochodzić. Uznano w domu sędziego, że to była prywatna wojna Dziwiszów, a ręka kierująca należy do Segenanda z Waplewa.

- Dobrze. Jakie o Bażyńskich są wieści? Ówże kulawy bazyliśzek jeszcze we Wrocławiu przebywa? Ze Świnką doszłście do ładu? Rzecz w tym, by się własnymi rękami tępili. Nam tylko z boku patrzeć a sprawą umiejętnie kierować.

- Świnka rozjątrzon okrutnie, nie może darować owej włości sztymbarskiej, którą Gabrielowi Bażyńskiemu stryj jego przedał swojego czasu i małe tylko pieniądze uzyskał. Szedłby na nasze projekta, jeno się stracha okrutnie. Wszakóż rzecz pewna, da się namówić, pieniędzy mu brak. Kulawiec jeszcze kuruje się we Wrocławiu. Ponoć miał tam spotkanie z kanclerzem wielkim Koniecpolskim, długie wiedli rozmowy.

- Ponaglić czas sprawę. Ubić by nam Bażyńskich, wraz by wrzenie pomiędzy związkowymi ucichło. A z mieszczanami łatwiej już się da radę.

- Był Herman Witte - kościsty staruch mówił powoli, oeznamiętnie, tylko oczy gorzały mu fanatycznie, aż się wzdrygał Henryk von Plauen, gdy głębiej w nie zajrzał. Cenił brata Alberta, jednego z najstarszych ludzi w Zakonie, twardego dla siebie i innych, szczerze uczucia żywiącego jedynie dla wielkiego szpitalnika. Tylko temu zawdzięczając patrzył przez palce na nałożnicę, którą komtur trzymał w tylnych komnatach elbląskiego zamku. - W Związku jest Pruskim, tylko rozumu mu braknie, choć go chytrnością nadrabia. Podatnikiem go zrobili w grudziądzkiem. Spis przywiózł, kto wiele dał na kosztu procesu... Blisko sto nazwisk... Mówił, jakoby Jaszczurkowcy mieli nowe spotkanie. Gdzie wszako, ani kto na nim był, dojść nie mógł. Piekielna sprawa, której od lat przeniknąć nie można... Och, przejrzeć, wraz by rozsypał się cały Związek, bo w tych szelmach, co to gadzie godło obrały, główne zarzewie buntu i sporu - rozpalil się brat Albert, aż zadygotał z nienawiści.

- Jeszcze co? - Henryk von Plauen przymrużył oczy.

- Gruc, ów przywódca komediantów a linoskokczków zjechał z Polski, przemierzywszy jeszcze całą ziemię chełmińską i pomezzańskie biskupstwo. Teraz go poprzez Pasłęk na warmińskie terytorium kieruję. Bystry on, ma uszy i oczy otwarte. Toruń blisko półtrzecia tysiąca trabantów zaciągnął. Więcej połowy już przybyło ijft miejsce.

- O Piotrze z Wikliny słuchy jakie krążą?

- Różne. Wszakowo wszyscy na Zakon winę składają. Tyle, że dowodów nikt nie ma. Źle, że się puściło żywym owego pacholka. Ciemność była okrutna, nurknął w krza, ani go można było znaleźć.

- Niech gadają. A ci, co go brali, jakże z nimi?

- Brat Henryk dalej w Pasłęku ostaje. Drudzy dwaj w wieży siedzą, jakeście kazali, by słowa czasem w świat nie puścili próżnego. W Elblągu ruch, różnymi sposoby mieszczany a i poniektórzy ze szlachty próbują dojść sprawy onego Piotra.

- Próbuja, prawisz? To nic, a tamtych w wieży dalej trzymać, będzie pora sposobna to się ich puści... Teraz słuchaj, bracie Albercie... Jutro skoro świt, na Malbork jadę. Za trzy dni wrócę i wtedy na Pasłek mi droga. Miej oko uważne na wszystko. I tego Binenrodego się strzeż... Że też to zamku elbląskiego mocniej ubezpieczyć nie można, gruz jeno, dnia by tu w oblężeniu nie wytrzymał. Nic, Pasłek za to utwierdzim, że psa zje, kto by próbował tam się dostać... Możesz iść, bracie.

Bezszelestnie zniknął za drzwiami kościsty starzec. Henryk von Plauen znów został sam. Czas jakiś chodził sprężystymi krokami po ponurej, pustawej komnacie.

Przez barwne szybki osadzone twardo w ramkach z ołowiu, wpadało światło kłoniące się ku zachodowi słońca. Smugi na podłodze stały się dłuższe, najmocniej słało się pasmo rubinu, przeważającego w szybkach okiennych. Kolor ten drażnił oczy. Wielki szpitalnik przystanął, nozdrza mu zadrgały, szepnął do siebie.

- Oby to ich krew tak popłynęła, nie nasza... Wszystko trzeba uczynić, by Zakon do dawnej podwyższyć chwały, wszystko. A potem... uśmiechnął się tylko do tajnej swej myśli.

Uchylił jednej połowy wąskiego okna, zakończoności ostrym łukiem. Zaskrzypiały dawno nie oliwione za-* wiasy. Patrzył na podwórzec zamkowy, na mury okryte jaśniejszymi plamami kruszącej się cegły, na przeżarte drewno i okucia bramy, na zaszlamowany rów dookolny. Mierzył go ten widok. Można by jeszcze wiele w tym zamku naprawić, uczynić go zdatnym na wojenną potrzebę, ale miasto przy najmniejszym ruchu gwałt podnosiły, rada wraz delegacje słała, że pokoju pragną, że się sami nie zbroją, zatem i Zakon nie może mieć ku temu powodów... Milkł, rozjuszonymi oczyma wodził tylko wtedy po delegatach. Cisnęły mu się na usta słowa o ich staraniach przy zaciągu trabantów, o czym szpiedzy dawno wieści dokładne przynieśli. Ale jawnych dowodów nie było. Nie było czym bluznąć im w oczy. Zagryzał wargi, potem z trudem wydobywał z siebie uspokajające słowa, wnet nakazywał przerwanie robót. Nie można było zakłócać w jakikolwiek sposób pokoju, kiedy się jeszcze sprawa przed cesarzem ważyła. Tym bardziej, że i w radzie komturskiej różne były nastroje. Niektórzy jak Postor Mikołaj, komtur gdański, nieradzi byli jakimkolwiek ostrzejszym krokom, zalecali rokowania, nawet ustępstwa... I z nimi trzeba było się liczyć.

Uśmiechnął się wielki szpitalnik do swoich myśli. Widział już czas, gdy pokaże twardą rękę także i tym komturom, którzy zapominali o wielkich zadaniach Zakonu. Biczem a więzieniami, śmiercią a żelaznym butem kraj ten trzeba we władzy trzymać. Litwę od Korony oderwać, z jej pomocą ruszyć na polskie dzierżawy, straty dawne odzyskać...

Spojrzał za siebie, na miedziany dzban t piwem. Ze złością zatrzaskało okno, podszedł do stołu, przechylił naczynie do kubka. Ostry zapach chmielu podrażnił mu nozdrza. Odstawił

dzban, patrzył nań przez chwilę, wspominał, że zawartość jego to bydgoskich piwowarów robota, nie strzymał, porwał dzban obu dłońmi, z rozmachem cisnął o ścianę. Szeroko rozlały się strugi po ścianach, spływały na wykładaną kamieniem podłogę.

- Tak się z nimi załatwię, tak... - sapnął jeszcze, wybuch ten uspokoił go. Gniewnie zamachnął się dłonią na służebnego braciszka, który głowę wsadzał przez uchylone drzwi, zwabiony hałasem. Pożałował jeszcze, że nie jest w Pasłęku. Lubił ten zamek, masywny, mocny, troskliwie pielęgnowany przez oddanego wicekomtura. Był tam teraz ów butny awanturnik, który poczynał sobie prawie jak Skolim, mało, a na prywatną wojnę z Zakonem byłby się ważył. Ech, żeby to bliżej, skoczyłby ku niemu, poigrał, aż by z uciechy wszystko piszczało we wnętrzu. Kat pasłęcki sławę bo miał, aż z bawarskich stron tutaj sobie go przywiózł. Potrzebny był...

Henryk von Plauen odznaczał się zmiennością nastrojów. Złość teraz powoli mijała. Pomyślał, że z Piotrem z Wikliny porachuje się zaraz po powrocie z Malborka. Nocą pojedą stąd do Pasłęka. Małgorzatę w przebraniu zabierze, cknąć się mu będzie za nią po kilkudniowym malborskim poście...

Dziś jeszcze miał przygotować dalsze rozkazy dla brata Alberta, porozmawiać z zaufanym człowiekiem, przybyłym z Gdańska, ale raptem znużyło go wszystko.

Myśl o Małgorzacie wyparła inne. Podeszedł do miedzianej, gładko polerowanej tarczy, wiszącej jako ozdoba na ścianie. Dobrze odbijała oblicze. Przejrzał się, uśmiechnął do pięknej swej, męskiej twarzy, obciągnął starannie odzienie.

Przeszedł do drugiej izby, ukrytym wejściem wsiąkł w krótki korytarz, otworzył w nim jedne drzwi, minął małą, pustą komnatę, twarz jego przybrała jasny, pogodny wyraz, gdy naciskał misternie rzezaną klamkę.

Wytwornie urządzona komnata, obita flamandzkim sukniem i zdobiona misternie tkanymi kobiercami, ozdobami ze srebra i weneckiego szkła, przepojona była lekkim, subtelnym zapachem.

Z miękkiej, delikatną skórą obitej szerokiej ławy z oparciem podniosła się młoda, strojnie ubrana kobieta. Kiwnęła dłonią na towarzyszącą jej służkę, ta ulotniła się nie wiedzieć kiedy.

- Henri, Henri! - rozradowana biegła z wyciągniętymi ramionami.

Przygarnął ją mocno do siebie, grubymi wargami łątkomie rozciskał wąskie usta. Kobieta zamknęła oczy, szeptała.

- Henri, Henri, mój wielki mistrzu... Odsunął ją delikatnie od siebie, nie wypuszczał jednak z objęcia.

- Niedługo, Małgorzato, niedługo, a będę nim. Zarzuciła mu ramiona na szyję.

- O tak, tak... bo nie wytrzymam już dłużej w niewoli. Gdy ciebie nie ma, płaczę, tęsknię i jest mi tak źle... Chcę być zawsze przy tobie. Po to jechałam tu z Niemiec, rzuciłam rodzinę, wszystko. Dla ciebie, Henri...

Zawarł ją w ramionach. Tak, przecie dla niego rzuciła wszystko ta dziewczka zanego rodu niemieckiego, córka grafa, zaręczona z jednym z książąt Rzeszy...

Cichcem ją wywiózł, po dziś dzień nikt nie wiedział, co się z nią stało... A brat Albert i jeszcze paru, którzy wiedzieli, umieli milczeć jak grób. Bo nic też innego jak grób nie mogło ich z rąk von Plauena czekać za zdradę...

Nióśł ją w ramionach na pięknie słane łożo, błyszczące adamaszkiem i cennym brokatem. Poczul się teraz silniejszy i mocniejszy nad wszystkich innych.

Przez myśl przemknęło mu jeszcze wspomnienie zamkowego kapelana, głuchego staruszka, który trupem padłby, gdyby domyślił się, co się dzieje w murach komturstwa. Tak zawsze prawil gorliwie o miłości bliźniego. Ha, gdyby wiedział, jak Henryk von Plauen miłuje... Gdyby wiedział...

Rozdział dziesiąty

Edwin z Warclawek z ochotą posłuchał wezwania Erykowego i bez chwili wahania zdecydował się na wyprawę dla odszukania Piotra z Wikliny. Zawsze był zawadiaka, pierwszy do bitki i do każdej przygody. Mimo że starszy o parę lat od Eryka, przewodnictwo jego uznawał jednak we wszystkim. Nie wiadomo, skąd się takie zaufanie i posłuch wzięły w tym butnym młodzieńcu, nie znającym dla nikogo respektu. Dość, że i tym razem, gdy przybył do Krzykosów jednego dnia z sędzią Ramszem, poddał się od razu woli przyjaciela z dawnych lat, wyruszając na poszukiwanie rycerskiej przygody.

Bo i jakże inaczej można było określić zuchwały zamiar Eryka, aby na własną rękę rozpocząć poszukiwania stryja w krzyżackim zamku, z kolei zaś znaleźć sposób wydobycia go z rąk Henryka von Plauena? W jaki sposób to zrobi, jeszcze Eryk nie wiedział. Był w wieku, kiedy nie straszą żadne przygody, a wszystko czego zapragnie gorące serce, staje się prostym i łatwym.

Z chwilą powzięcia nagłej decyzji, odmieniło się wszystko w młodzieńcu. Znikły połowiczności i szarpania wewnętrzne, tak ciężące w ostatnich tygodniach. Nabral dawnej rzeźkości i ochoty do życia. Nawet wspomnienie Zofijki jakby przyblakło, cieplejszym natomiast echem wracała pamięć Ramszowej Elżbietki. Taki niepokój wykazała o niego po

owej bitce we dworze, tak jawnie przyznała się przed wszystkimi do swego kochania. Wzruszony był myśląc o tym, odczuwał zawstydy, że tak niedelikatnie objawiał uprzednio swój chłodny stosunek do ładnego dziewczęcia.

Obraz Elżbietki zacierało jednak mocniejsze teraz nad wszystko wspomnienie obmierzłej gęby zbója, który zduszony twardą dłonią wyznał, gdzie znajduje się Piotr z Wikliny. Eryk nie mógł sobie darować, że zostawił krzyżackiego zausznika tylko ogłuszonego ciosem, zapominając o nim zupełnie w rozgwarze dalszej walki. Próżno szukał potem swojej ofiary. Napastnik znikł bez śladu. A na pewno wiele jeszcze można się było od niego wywiedzieć.

W każdym razie i ten ślad wystarczał. Eryk pragnął teraz jak najszybciej dostać się do Pasłęka. Co będzie tam dalej czynił, o tym nie miał najmniejszego wyobrażenia. Wiedział, że musi wyteńczyć cały swój spryt i całą siłę, aby wydobyć stryja z niewoli. Trochę było mu przykro, że tak nagle opuścił gościnny dom sędziego, nie uwiadamiając go o swych zamiarach. Jeszcze gorzej, że słowa nie szepnął staremu Jaroszowi Topoli. No tak, ale przecie wstrzymywaliby go, odwodzili całą siłą od szalonego zamiaru. A zaniechać go nie mógł. Nie darmo płynęła w nim krew starego rodu pruskiego, zasiedziało na tej ziemi, broniącego się przed napływem obcych, zakonnych rycerzy, żądnych przemienienia całej ludzkości w pokornych niewolników. Ta sama krew płynęła przecie w Piotrze z Wikliny, który przed paru laty na własną rękę próbował szukać pomsty na Krzyżakach i z paru swymi ludźmi przebiegał przez kraj jak krwawe widmo, szerząc nienawiść i popłoch w zakonnych szeregach. Te same uczucia grały całą mocą w bratanku Piotrowym. One kazały mu puścić się na ryzykowną, niebezpieczną wyprawę.

Przy tym wszystkim jednak rozsądek nie opuszczał Eryka. Wiedział, że musi być ostrożny i czujny jak lis. Przeciwnik przerastał go przecie pod każdym względem. Dlatego po radzie z Edwinem postanowili jechać za światła tylko pierwszego dnia, przez spokojniejszy teren biskupstwa pomezkańskiego. Potem bezpieczne dla drogi stawały się tylko noce. Od Prabut zaczynał się szlak, gdzie malały wpływy sędziego Ramsza i Związku Pruskiego. Dziergońskie, była to ziemia rządzona przez odstępców spod znaku Aleksandra Bażyńskiego i Segenanda z Waplewa. Tych więcej może należało się strzec aniżeli Krzyżaków. Oni to przecie podszczuwali drobną szlachtę tych stron, by wraz z zakonnymi najemnikami dokonała napadu na obejście sędziego w Krzykosach.

Konie były wypoczęte, równym klusem rwały przez długie godziny. Prabuty ominęli szerokim łukiem, nie chcąc przybliżyć się do miasta, gdzie łatwo by ich poznano. Kilka razy

zjeżdżali z drogi w leśne gęstwiny, czekając na minięcie małych oddziałków jezdnych czy furgonów z kupieckim towarem.

Słońce już zachodziło, gdy zdecydowali się stanąć na odpoczynek. Młodzi byli, silni, mogli jechać dalej nawet i nocą. Kilka godzin wypoczynku należało się jednak zdrożonym koniom.

Edwin znał dobrze te strony. Przy polowaniach nieraz zapędzał się w mroczne, ciemne lasy dzierzgońskiej ziemi albo próbował rybackiego szczęścia nad prabuckim jeziorem. Znał skryte przejścia przez lasy i niewidzialne ścieżki pomiędzy grzęzawiskami rozległych bagien, porośniętych tylko karłowatą brzozą i niewybredną wierzbą. Tutaj przecie odbywały się polowania na łosie, nim ich zakazali Krzyżacy, sobie tylko rezerwując to prawo.

- Podle Hławy, Ostródy a Morąga, to się dopiero zaczyna wodnista ziemia. Jeziora ciągiem, rzeki i bagna a rozlewia takie, że nie obznajmionemu ni przejść ni przejechać przez nie nie można. Skryci po puszczech wróżowie starzy tam siedzą, kapłani Dadźboga, ludzie wsiowi obiady im noszą ciemnymi nocami. Krzyżacy wyprawy próbowali robić w te bory, mało kiedy wracali, ba raziły ich śmiertelnie, znienacka, nie wiedzieć czyją ręką puszczone strzały... - rozgadał się Edwin, gdy leżeli na pachnącej majową trawą polanie, po napojeniu puszcżając luzem skrępowane w pęcinach konie.

Eryk leżał na wznak, spoglądał jak mrok powoli zapadał nad borem, słuchał nerwowego, przyśpieszonego nawoływania się ptaków przed nocnym spoczynkiem, jakichś cichych, tajemniczych pogłosów, idących zza zwartej leśnej ściany. Poczul w sobie spokój, jakby ukojenie po przejściach ostatnich tygodni. Zmężniał, wydorosłał w tym czasie. Poznał miłość, a mało miał nadziei na jej spełnienie. Tak jak przedtem poznał ból zraty rodziny i nie mógł mieć nadziei powrotu do życia młodej jeszcze, pięknej matki i spracowanego, schorowanego ojca. Teraz groziła mu strata człowieka, którego ukochał serdecznie, który zastąpił mu ojca i stał się przyjacielem zarazem.

Dotąd poddawał się biernie losowi, teraz wyzywał go, stawał na przekór. Świadomość tego przynosiła właśnie ten zimny, męski spokój.

Spojrzał na przyjaciela, zastanowił się, czy miał prawo porywać go za sobą na szaloną wyprawę, na śmierć może, czy na męczeństwo, bo przecie różne słuchy chodziły o torturach stosowanych w więzieniach zakonnych i nie na próżno co ważniejsze komturie utrzymywały stałych katów.

- Edwin, a jeślić nas złapią? Ja muszę stryjca bronić, ale zac ty się narażasz? Może byś lepiej zawrócił?

Pierworodny syn drobnego szlachetki z Warclawek poderwał się na nogi. Głos zadrzął mu tłumionym wzburzeniem, gdy mówił, krzyczał nieomal:

- Z własnej woli jadę, pomnij to! Nie chcesz, inna rzecz, ruszę swoją drogą. Ale nie próbuj mnie zawracać ani tłumaczyć. Pomnij, z dobrowoli ci towarzyszę. A wiem, gdzie i po co...

Eryk też powstał, uściśnął dłoń przyjaciela, potem, jakby nic nie zaszło zaśmiał się nagle:

- Spożyjmy co nieco. Droga długa przed nami.

Mieli ze sobą trochę jedzenia, zaopatrzeni przez starą Marcysię, mazurską chłopkę, pełniącą rządy klucznicy w sędziowskim dworze. Eryk umiał zaskarbić sobie jej przyjaźń. Gotując sakwy dygotała z wrażenia i szeptała modlitwy przejętymi wargami.

Korzystali teraz z jej szczodrości, zapijając wodą z leśnego strumienia. Potem znowu legli, kładąc kulbaki pod głowy.

Noc weszła jasna, gwiazdzista. Puszcza żyła. Z daleka dobiegało groźne duczenie rogacza, potem zadźwięczały echa tupotu i rumor jakichś uderzeń.

- Rogacze walczą - szepnął Edwin, zasłuchali się obaj.

Długo jeszcze po tej walce, jakby przysłuchiwał się jej cały las, panowała wokoło trwoźna cisza. Rozdarł ją dopiero pisk młodego zająca duszonego przez sowę, zaraz potem z tupotem przeleciało gdzieś stado dzików, na polanę wyszły lęklive sarny, widocznie spłoszone czymś ze snu. Stały długo, nim nieostrożny ruch młodych podróżnych zapędził je z powrotem do lasu. Jakiś chlupot rozgłośny, płynący od strony, gdzie las obniżał się ku trzęsawisku, wywołał uśmiech na twarze młodzieńców. Wiedzieli, że łoś olbrzymi wali poprzez mokradła.

- Dziw, że ząbrza* nie słycać. Niemało ich tu bywało w ostatnie lata...

Wymieniali czasem uwagi, nie zawsze nawet sobie odpowiadając. Rozumieli się przecie. Las żył nowym, wiosennym życiem. Jelenie sprawiały swe gody, walcząc zaciekle o miłość spokojnie przypatrujących się śmiertelnym zapasom łaniS Ptactwo upajało się, zachły - ^ stując się miłosnym pieniem. Erykowi przyszła na myśl ^ Zofijka. Z każdą minutą, gdy przestrzeń i czas oddalały go od Elżbietki, linoskoczka znów opanowywała jego Wyobraźnię i uczucie. Westchnął. Pewnie będzie J teraz kędyś w Elblągu. Ech, żeby to już wyjaśniło się ^ wszystko w państwie pruskim, mógłby jej poszukać, i zabrać spośród komediankie j hołoty, pomyśleć o nowym życiu. Coś tam przecie należy do niego po ojcach, zapuszczone teraz, w części zabrane przez Zakon, w części strzeżone przez starego rządce, wiernego i po śmierci swym dawnym panom. Może by się dało jakoś życie uładzić. Co dnia by podziwiał wtedy i

całował te śliczne oczęta i te włosy jasne, rozsypujące się na ramiona, co tak raziło mieszczki, dbające o skromność i szczelnie opatulające fryzury gęstymi chustami albo tiulowym zawojem.

Westchnął serdecznie. Noc była parna, ciepła, wieczorna rześkość dawno już zniknęła. Ciężko było oddychać, spać się nie chciało. Leżeli długo wsłuchani Ząbrz - żubr (staropolskie). - (przyp. aut.) w głosy puszczy, wreszcie jednak sen zmorzył strudzone ciała.

Gdy się zbudzili, księżyc był wysoko na niebie, zerkał ciekawie na rozsrebrzoną blaskiem polanę. U jednego jej krańca spali pod drzewami dwaj młodzi ludzie, łykały obok pochwy mieczy i oątrza sulic. Nie opodał stały nasycone już konie, w drzemce kiwały łbami. U drugiego krańca pasło się stado łań, wokoło których chodził czujny samiec, co jakiś czas ryjąc ziemię racicami i wodząc wokoło zakrwawionym spojrzeniem. Ale przeciwnika żadnego nie było. Więc i on schylał czasem potężny swój łeb ku ziemi, potrzasał wspaniałymi rogami, szczypał kępy soczystej trawy.

Ciekawska sowa niskim lotem przeleciała nad głowami śpiących rycerzy. Drgnęli na poszum skrzydeł, zbudzili się, spojrzeli po sobie, po polanie, po niebie.

- Zaspalim, późno już! Czas się zbierać co rychlej do drogi - sarknął Eryk.

W mig spięli sakwy, okulbaczyli konie. Stado łań, osłaniane przez potężnego rogacza dawno opuściło polanę. W ślad za nimi, przecierając pięściami zaspane oczy, udali się młodzi podróżni.

Konie napasyły się, wypoczęły, niosły lekko. Drogi obeschły już po kwietniowych ulewach, nawet te, które wiodły przez mroczne lasy. Pusto było, Edwin wybierał specjalnie odludne szlaki. Czasem tylko zaleciał ich dym od skrytych w borze smolarni, kiedy indziej jazgotem zanosiły się psy w dalekich wioskach. Raz spotkali na drodze chłopca okrytego kozuchem. Zaskoczyli go nagle, nie zdążył skryć się, zmartwiały stanął w poprzek drogi, żegnał się albo czynił może pogańskie zaklęcia. Erykowi wróciła nagle chłopięca pustota, schylając się nad karkiem końskim zahuczał, zawył przeciągle. Druh wierny zaraz podjął to hasło, dwojgą gardzieli poniósł się lasem ni to zew, ni to krzyk wojenny. Chłop podwinął poły kozucha, skoczył w las, aż zakołysały się krzewy. Jeźdźcy odpowiedzieli gromkim śmiechem, przynaglili konie, rwali tak przez jasną noc polnymi i leśnymi drogami. W Eryku serce rosło, czuł wzrastającą w nim potęgę i siłę. Z czego to się brało - nie wiedział, a po prawdzie nie bardzo nawet próbował się zastanawiać. Dosyć, że zbliżał się do Pasłęka, tam chciał wyzwolić z mocy komturskiej Piotra z Wikliny. Będzie czas myśleć, jak ma to zrobić. Teraz tylko poganiać konia, aby prędzej na miejsce, aby prędzej...

Dzierzgoń został daleko po lewej ręce, na teren komturii pasłęckiej wychynęli około Myślic. Przez okazałą i ludną tę wieś przemknęli już nad świtaniem. Ludzie wychodzili z obejść na pola, wyganiaли krowy. Na widok dwóch pędzących jeźdźców psy ujadaly, a potem podwijały ogony i skowycząc umykały pod okapy krytych słomą kurnych chat.

Jeszcze parę stająn jechali traktem, potem Edwin skręcił w bok, w wąską ścieżynę leśną.

- Krótko, a będziemy na miejscu. Stąd już tylko pół dnia jazdy na Pasłek. Anim myślał, że tyli szmat drogi przemierzym dzisiejszej nocy... Mam tu znajomka, w lesie z synem siedzi, ma od komtura prawo łowów, z obowiązkiem składania skór w zamku. Bratek się zwie, z Mazowieckiego księstwa ponoć pochodzi. Ubił tam kogo w zwadzie czy insza podobna sprawa mu się zdarzyła, dość, że przed dwoma dziesiątkami lat wypłynął w Prusach z maleńkim synkiem. Osiadł tutaj, myślistwem się trudni. A na Zakon zacięty okrutnie...

- Bratek, Bratek? - zmarszczył czoło Eryk, usiłował coś sobie przypomnieć. - Słyszałem kędyś to imię...

- Tylko się go nie wystrasz, zarośnięty, kieby tur, gada mało, ale serce ma złote.

Jechali teraz wolniej. Konie szły z trudem, zmęczone poprzednim wysiłkiem.

Edwin czasem przystawał, uważnie rozglądał się po okolicy, obserwował niebo, na którym coraz mocniej rozjarzało się słońce, oglądał mech na pniach, próbował przebijać wzrokiem gęste leszczynowe podszycie. Kilka razy zbaczali na ledwie przetarte ścieżki, aż dotarli w końcu do maleńkiej poręby, porosłej gajem leszczynowym.

- Tutaj - odsapnął Edwin i zaraz odpowiedziało mu ujadanie psów. Wypadły trzy rosłe mieszańce, sięgały kłami łydek koni, które jeły wierzgać i stawać dęba, rozbijając się spłoszone o krzaki. Niewidoczny człowiek zawołał groźnie.

- Kto taki? Stać, bo ubiję! A huzia, huziaaaa - podszczywał psy.

- Bratek, Bratek, weźże te beskurcyje, bo rady nie damy...

Na chwilę nastala skupiona cisza, przerywana jazgotem psów i chrapaniem strwożonych koni.

- A ktoć taki, że po imieniu mię woła?

- Edwin z Warclawek, Henryków syn...

- A do nogi, kundysy zatracone, do nogi, ja wam pokażę, cnych ludzi napastować, ja wam...

Kundle podwinęły ogony, łyskając rozeźlonymi ślepiami umykały w krzaki. Rozsuwając na strony gałęzie, wyłonił się nagle na ścieżce człowiek w potężnej baranicy i

czapie futrzanej. Spod zarosłej twarzy dwoje niebieskich jasnych oczu uważnie spoglądało przed siebie.

- A tenże? - zapytał groźnym głosem, wskazując na Eryka rozrosłą dłonią.

- Druh mój serdeczny, Piotra z Wikliny brataniec.

- Piotra z Wikliny? Zaiste? Radzim gościom, radzi... Janek, a bywaj tu, gości zacnych witać... Piotr, konie gościom odebrać, oprowadzić, bo zdrożone okrutnie...

Zaraz wybiegł zza krzaków równie pleczysty jak pan parobek, chwycił lejce z rąk zmęczonych rycerzy.

W dłoni trzymał jeszcze łuk. Również z łukiem wynurzył się na ścieżkę maleńki rostem, ale imponujący szerokością barów syn Bartka, nisko, ale godnie skłaniając yr głowę. Na widok Edwina zdumiał się w pierwszej chwili, zaraz padli sobie w objęcia.

- Tyli czasu tutaj cię nie bywało, Edwin! Bywaj, bywaj, a to już i cknęło się za ludźmi...

Chata myśliwego zbudowana była nad podziw zmyślnie. Dokoła niej, na szerokość może dwudziestu kroków, chaszczce były wycięte i oddzielone mocnym płotem przewyższającym człowieka. Brama była wąska, z trudem dwa konie mogłyby się przez nią przecisnąć. Okienka w domu przypominały raczej strzelnice. Od tyłu do r zabudowań dotykała stajnia i jakby mała stodoła. Trochę dalej w lewo na mocnych słupach wspierała się suszarnia. Wisiało tam parę skór niedźwiedzich i kilkanaście ku ak w fortecy tu u was... - zastanawiał się przejęty podziwem Eryk.

- A to od zwierza, któryć napastuje nas w puszczy... Bo i od takiego, co na dwóch nogach chodzi, także trzeba się strzec...

Zapraszał do wnętrza. Syn wraz poskoczył do pieca, rozniecał ogień, trzaskało krzesiwo, spadły iskry na hubkę, wraz zajęło się suche drzewo.

£- Piwa tymczasem popijcie. Po koniach baczę, że droga była śpieszna i żmudna. Nocąście gnali?

Edwin skinął głową. Przyjaciel jego z zadziwieniem i wzrastającą sympatią przyglądał się gospodarzom chaty, zagubionej w puszczy. Ojciec przerastał syna co najmniej o głowę. Twarz robiła dzikie wrażenie. Długie włosy, obwisające niezdarnie ku dołowi, nie strzyżona broda, posiwiałe już z lekka włosy, spadające na kark i osłaniające uszy, a przy tym jasność i jakaś pogoda niebieskich oczu. Oczy te pozbyły się teraz ostrych błysków, patrzyły serdecznie, z życzliwym zainteresowaniem. Syn wyglądał jakby na mądrzejszego od ojca. Miał znacznie wyższe czoło, ostrzejszy nos, wyraz przenikliwości w twarzy, na której znać też było pewną dbałość właściciela o wygląd. Imponował rzucającą się w oczy siłą swego

krępego ciała. Na Edwina patrzył z serdecznością, uśmiechał się przyjaźnie. Ale mówił jeszcze mniej niżeli ojciec.

Wszedł sługa, ów Piotr, wielki, niezgrabny. Zapytał:

- A jakże wrota, zaskrzynić?

- A cóżeś myślał, gamoniu? Więcej gości nam nie trza... Jeszcze by licho przydało kogo niepotrzebnego... - przeniósł wzrok na Edwina - bo tuszę, nie dla przyjemności tłuczenie się po tych stronach. Syn związkowca Henryka i brataniec głośnego rycerza Piotra z Wikliny... Baje o nim gadają ludzie po wioskach, zaprawdę baje...

Jan tymczasem podsunął jajecznicę pływającą w roztopionym tłuszczu, krajał chleb na szerokie skiby. Postawił na stole nowy dzban piwa.

- Jedzcie w imię boże - zachęcił stary. - Spoczniecie ździebko, a wtedy pogadamy...

Młodzi jedli, gospodarze patrzyli na nich milczkiem. Jakieś myśli widocznie snuły się po ich głowach, bo coraz ojciec albo syn spojerali na siebie, potem znów przenosili spojrzenie na młodych gości. Miecze odpięte od pasów leżały na ławie, sulice stanęły w kacie. U boku Eryka kolebała się szeroka mizerykordia w skórzanej pochwie. Normalnie tak zbrojnie ludzie nie jeżdżą, nawet w tych niespokojnych czasach. I nie na polowanie przecie przybyli w tę puszcę, gdzie o tura, żubra albo niedźwiedzia łatwiej sto razy niżeli o człowieka.

Zjedli wszystko, otarli usta chlebem, rzucili resztki psom, które wdarły się teraz do izby i siedząc na szerokich zadach, równie jak gospodarze nie spuszczały oczu z gości.

Eryk spojrzął po ścianach. Zawieszane były oszczepami, łukami, sulicami, wiązkami pierzastych strzał. Kilka noży i kordelasów błyskało w nielicznych promykach słońca, wpadających do izby przez małe okienka. W rogach stały naręcza wnyków, łapek i sideł. Z pułapu zwisały dwa zwoje kłów dzichych, żółkłe już od starości. Pod szerokimi ławami leżały skóry wilcze i niedźwiedzie, lepiej wyprawione futra okrywały ławy. Znać było od razu, że to myśliwska stanica.

Stary Bratek zerknął na Eryka raz jeden i drugi. Chrząknął, a chrząknięcie to jak gromem zatrzęsło izbą, wyrzucił wreszcie z siebie prześladującą go myśl.

- Zali nie po wieści o stryjcu jedziecie?

Eryk skinął głową. I cicho zapytał.

- Wieści to mam, jeno niewesołe. Może wy, panie, wiecie o nim co bliżej?

Znów porozumiewawcze spojrzenie ojca i syna. Stary skinął głową.

- Wiemy. Trzy dni temu, jak go widzielim.

Eryk poderwał się z miejsca.

- Trzy dni temu? Gdzie? - Poskoczył ku staremu myśliwcowi, potrząsnął go silnie za ramię. - Toż prawie wraz. - Oczy gorzały mu jak wilkowi w zimową noc, ręce zwilgotniały z wrażenia.

- Gdzie? Tam, gdzie go te zbiry niemieckie przywlokły. W wieży pasłęckiej. Od północnej strony są małe okienka. A za wieżą na północ magazyn zamkowy, gdzie zwykle skóry oddajem z dzierzawy, psia ich mać... Poszlim pytać z Janem, na jaki termin dostawić ową dzierzawę. Jan gadał z szafarzem zakonnym, kłócił się o ilość kunich futerek, ja stałem w progu, na wieżę dając baczenie. Nisko siedzi, okienko w żelazie kowane nad samą ziemią. Ręką znak mi dał, poznałem, choć twarz ostawała w cieniu... Rzekł, że na przyjazd wielkiego szpitalnika czekają, tedy go na tortury kłaść mają. Szepnąłem, by znaku czekał, po czterykroć hukania sowy, dwa razy powtózonego...

Eryk opadł na ławę. Dyszał ciężko, nie od razu mógł wszystko pojąć.

- A kto... mu da znak? - wyszeptał.

- Toć my. A teraz tuszę, że będzie nas więcej - zaśmiał się chichotliwie stary, synalek zawtórował mocniejszym rzeniem.

Jakby kto Erykowi miodu w serce nalał, tak mu się rozjaśniły oczy, porwał się ku staremu, wołając:

- Z wolcie, że wam ręce uścisnę! Teraz już pomnę. Toć stryjec mi o was prawił kóregoś razu. Ponoć wam życie zawdzięcza?

- On mnie? Ech, bogać by tam, raz mu krzyne pomogłem. Zawdy to on mię ratował... Czy raz to sypiał na tych ławach? - powiódł dłonią po izbie. - To i nam w pomoc trza iść, choć rzecz trudna nad dziw. Pasłek zamek mocny, wniść tam trudno, a jeszcze się dostać do wieży, a jeszcze cało w lasy trafić z powrotem... Trzeba będzie dobrze głową nakręcić, może i przyjdzie się ją całe utracić. Nic to, jedno pomyślenie już mam, rozważym je, skoro czas. Na siódmy maj zmyślilim ze skórami tam jechać. Wieści mnie doszły, jako tego dnia wicekomtur święto jakoweś urzędza. A że Henryk von Plauen pan srogi i na swawole żadne nie zezwala, zmyślili zamkowi zabawić się małowiele przed jego przybyciem. Sproszono już kilku co bardziej oddanych Zakonowi rycerzy, jeszcze z białogłowami. Gadali na podzamczu, że i kuglarze jako wiś mają wystąpić na zamkowym podwórcu... Kto wie, czy nie jedyna to będzie sposobność, by rycerzowi sławnemu ratunek dać... Dwa dni czasu jeszcze przed nami...

Eryk drgnął, słysząc o występie kuglarzy. Przez myśl przemknęło mu błyskawicą, że to na pewno będzie grupa Zofijki.

Odezwał się cicho, jakby w zawstyżeniu.

- Kuglarze?

- Ano, i linoskoczki, widzielim my ich na rynku pasłęckim. Szczególnie jedna dziewczucha między nimi obrotna. Wyżej drzew tych linę przeciągniono, a ona tańczyła po niej, jeszcze pieśniczki śpiewała, ładna była jak malowanie - rozwarł nagle gębę milczący Jan.

- Może ślepy staruch przygrywał jej na skrzypeczkach? - Eryk znów stał na równych nogach, niespokojnie wpatrywał się w Jana.

- Tako i było - posłusznie zgodził się tamten, trochę zdziwiony, że Eryka najbardziej interesowali właśnie kuglarze.

- Czekajcie, toć nadarza się jeszcze nowa okazja... Jakby wam to powiedzieć - Eryk zawstydził się nagle, że musi mówić o swej znajomości z linoskoczką, komediantką wędrowną. Ale przemógł się, przypomniał swoje zamysły. Przecie nie będzie się wstydził dziewczyny! Zaczął mówić, ale w gardle mu wyschło, a słowa plątały się. - Bo to, widzicie, ja znam tę dziewczynę i tego ślepca... I ona dobrze mnie widzi. Gdyby tak jeszcze jej pomoc zapewnić...

Bratek potrząsnął głową.

- Nie wiem ci ja nic o niej. Ale jest tam jeden taki, co nad nimi przewodzi. Gadają, jakoby ten czarny smoluch na usługach był u Zakonu, szpiegostwo prowadził...

- Gruc że to może?

- Gruc nie Gruc, jam go o imię nie pytał. To wiem, że z komediantami lepiej nie wszczynać. Plugawe plemię.

Eryk zawahał się, potem zdecydował się, postanowił rzucić wszystko na jedną kartę.

- Powiem wam. Jam się w niej rozmiłował, w Toruniu jeszcze. I onać mnie miłuje. A ów Gruc, to chyba prawda, tak zawdy przepytywał o wszystko, i w zamku był toruńskim, sam go nocą widziałem, jak boczną furtką zza murów wychodził. Ale on i dziewczyna z tym starym ślepcem to co inszego. Wiem to. I tuszę, że mogłaby nam tutaj pomoc dać... Tyle, że jak ją zobaczyć? Ani chybi, do Pasłęka tejże chwili trza jechać - już się oglądał za mieczem.

- Hm, hm, miłujecie się, powiadasz? Szlachcic i komediantka? Ha, dawniej, na Mazowszu, mojemu synowi nie zezwoliłbym chyba wdawać się z komediantami. Dziś co innego. Schłopiałem w lesie jako borsuk siedząc, inaczej na ludzkie sprawy poglądam... Hm, hm, to i nowina. Może być, że jaką pomoc i dałaby. Ale ty jechać nie możesz. Toć że ów Gruc zna ciebie. Wraz da wiadomość na zamek, że krewniak Piotra z Wikliny pojawił się w Pasłęku. Złapią cię, a stryja otoczą mocniejszą strażą... Musi kto inny jechać, wiadomość jej dać. A też ostrożnie, pomyśleć trza, bo kto wie. Jeżeli wygada, jeżeli słów nie strzyma i ów czarniuch się dowie? Bieda byłaby...

- Czas pili. To ważna rzecz.

- Ważna, nie ważna, obgadać trza. Tu umem się musi dobrze pokręcić. O cześć rycerską i życie idzie, pomnij synu...

Gadali rzeczywiście do późna w noc. Stary Bratek wtajemniczył przybyłych w szczegóły swego planu. Znaleźli też sposób jak by im Zofijka mogła dopomóc, nie wiedząc nawet, w czym sprawa... Tak będzie najlepiej. A do Pasłęka pojedzie Jan, znak jaki pokaże dziewczynie, zgadają się...

Ciemna noc była, gdy pokładli się spać. Tylko Jan po długiej rozmowie z ojcem spakował sakwę podróżną, ubrał się inaczej, dostojniej, przypasał miecz.

Po północy na drodze pasłęckiej zastukały kopyta jego konia.

Wyjeżdżając, w samej bramie rumak zarżał rozgłośnie. Eryk usłyszał, poczytał to za znak dobrej wróżby.

Rozdział jedenasty

Daleko jeszcze było do zmierzchu. Niebo stało rozświetlone, bez cienia chmurki. Tylko od zachodu skryte już za lasem słońce barwiło horyzont leciutkim różem. Parno było jak przed burzą, choć nic jej nie zdawało się zapowiadać. Na wieży pasłęckiego zamku bocian uwił sobie gniazdo, co jakiś czas przybywał z bliskich mokradeł zapadając z klekotem pomiędzy wyczekujące go troje młodych bocianiąt.

. Brat Otto, z krechą szerokiej blizny na czole, nadającej twarzy jego odrażający wyraz, stał przykurczony lekko ba[^]yjąc się frędzlą jedwabnej zasłony na ścianie. Policzki znaczyły się mocną czerwiecią, zażywny był, o karku tak grubym, że głowa zdawała się wyrastać wprost z ramion. Małe oczka patrzyły przenikliwie, z wyrazem łaskawej drwiny.

Czarny mężczyzna siedzący naprzeciw za stołem z uśmiechem patrzył na wicekomtura Pasłęku. Potem spojrzenie jego przeniosło się na dwa pękate mieszki leżące na blacie dębowego stołu o nogach rzeźbionych w wymyślne lwie głowy. W głosie zabrzmiało niezadowolenie.

- Tuszyłem, odpocząć czas jakiś mi zezwolicie... Gdzie tam, wraz mi w Elblągu brat Albert a i sam wielki szpitalnik nowe dali zlecenia. Na kraniec świata wędrować, jeszcze z takim bogactwem... - znów począł przyglądać się mieszkom, przyciągnął jeden z nich bliżej. Ciężki był, stłumiony brzęk poleciał na komnatę. - Nie mógłże zabrać to komtur starogrodzki ze sobą?

Gospodarz zaśmiał się chrypliwie.

- Nie masz co wyrzekać, Gruc! Dobrze ci wiadomo, że nie godzi się oficjalnym posłom wyruszać z podobną misją. Wszyscy ich mają w uwadze, trudno skryć w tajemnicy znoszenia z wiernymi nam ludźmi... Na rybałtów nikt nie zważa. Małoż to ich po drogach się kręci?

- Ech! Blisko piętnaście lat łążęgi, bez dnia spokojnego ni nocy... Zda mi się, że na lepszy los sobie zasłużył.

Wicekomtur wybuchnął szalonym śmiechem, aż zatrzęsły się ściany niewielkiej komnatki.

- Zali nie wiesz, Gruc miły, do kogo żale masz wnosić? Nie z mojej, a z ojcowskiej woli komedianom przewodzisz, rozeznanie czynisz w Polsce i Prusiech... Z ojcowej woli, cha! cha! cha!

Gruc wstrząsnął się, twarz jego pokryła się bladością. Powstał, spojrzał drwiąco w roześmiane oczy grubego wicekomtura,

- Nie wiem, czyli wam właśnie wypada mi sprawy te przypominać! Wielki szpitalnik mógłby krzywo to widzieć... To i wiele innego jeszcze.

Oczka brata Otta zwężyły się do maleńkich szpareczek. Z gardła buchnął niepohamowany, gromki śmiech. Gruc spojrzał na tę twarz i zmiłkł, skulił się w miejscu. Znany był śmiech wicekomtura Pasłęku. Nie darmo zwany był przecie „Wesołym Otto”... Wicekomtur śmiał się zawsze, wzrastający gniew objawiał się u niego paroksyzmami wesołości. Śmiał się asystując przy torturach więźniów w słynnej wieży pasłęckiej, śmiał się, przygotowując wraz z wielkim szpitalnikiem tajemnicze, daleko sięgające w przyszłość plany... Gruc pewnie czuł się wszędzie tam, gdzie rządziła dłoń Henryka von Plauena. Mimo to jednak niebezpiecznie było drażnić wicekomtura.

- Ty milcz, Gruc, milcz i rób, coć każę! Jutro na Kraków ruszysz ze swymi, dziś na wieczerzy pospólnej z okolicznymi pany czujny bądź... Pojąłeś, com rzekł?

- Pojąłem. - Gruc skinął głową, w milczeniu zgarnął mieszki ze złotem. - Za godzinę będę gotowy ze swymi.

- Najsamprzód poweselim się przy stołach. Przy pochodniach oglądać będziem komedianckie sztuki. - Słowom towarzyszył zjadliwy śmiech. Twarz Wesołego Otta nabrzmiała krwią.

- Jak wola wasza. - Gruc skulił się w sobie, przykrył powiekami złe, mściwe błyski, jakimi zapaliły się czarne oczy.

Długim i szerokim korytarzem podążył potem ku głównemu wejściu do zamku. Zaciskał zęby, w duszy łągł się żal nad swoją dolą. Zawsze tak było, gdy ktoś wspomniał przy

nim ojca. Gruc zaprzysiął, że nie wymieni nikomu jego imienia, przysięgi tej dotrzymywał wiernie. Nawet rozmawiając z ojcem, zachowywał się tak, jakby stał przed kimś zupełnie dla niego obcym. Wszystkimi siłami służył jak mógł najwierniej, czekając chwili, gdy wielki szpitalnik dopnie swych śmiałych zamiarów. Henryk von Plauen był ojcem Gruca... A matką? O matce Gruc mało wiedział. Któryś ze starych zakonników w zgrozie wyznał mu kiedyś, że matka, porwana z domu przemocą szlachecianka pruska, wkrótce po porodzie została otruta... Nie dodał przez kogo, ale Gruc się domyślił. Od tamtego czasu dziwnie pomieszane były jego uczucia dla Henryka von Plauena. Kochał go tajemnie, podziwiał, a zarazem nienawidził straszliwie. Bywało, z jękiem przewracał się nocami na swoim posłaniu, zmagając się ze sprzecznymi uczuciami... Myślał o zemście za matkę i za brak jakiegokolwiek ojcowskiego uczucia dla niego ze strony wielkiego szpitalnika. Potem jednak uspokajał się, służył jeszcze gorliwiej, stał się najrzęczniejszym ze szpiegów Zakonu, na własną rękę umiał zawiązywać intrygi, wielu zauszników krzyżackich w Polsce i pośród mieszczan pruskich w różny sposób przez niego zostało zyskanych. Zapału, energii i odwagi dodawała mu obietnica Henryka von Plauena, że z chwilą gdy osiągnie stolec wielkiego mistrza, przeprowadzi przyjęcie Gruca w poczet rycerzy zakonnych i obdarzy go dostojnością... Dla tej wymarzonej przyszłości Gruc pracował, cierpiał, tłumził w sobie uczucia goryczy, żalu i wyrastającej z nich zemsty...

Zbrojny knecht przy drzwiach spojrzał na niego bacznie, niechętnie usunął się przed komediantem. Gruc uśmiechnął się drwiąco, rozwarł drzwi, stanął u góry wiodących na dziedziniec szerokich, kutyh w kamieniu stopni.

Od murów i baszt zamkowych słały się na ubitym placu długie cienie. Tym mocniejszym blaskiem płonęły miejsca rozświetlone ostatnimi blaskami zachodzącego słońca. Most rzucony przez głęboką fosę dudnił nieustannie pod kopytami konnych i pod kołami kolasek, zwożących zaproszonych gości. W rozwartej bramie w towarzystwie starszego pokojowego stało kilku zbrojnych knechtów, uważnym spojrzeniem lustrowali przyjeżdżających, wskazywali dłonią na lewo, gdzie przytulone do murów mieściły się wozownia i stajnia. Wybiegali stamtąd słudzy, zajmujący się końmi.

Kilku komediantów kręciło się na otwartej części placu, czyniąc przygotowania przed wieczornym występem. Lina do popisów Zofijki była już napięta, wiodąc od szczytu muru do kamiennego słupa, wspierającego długi ganek ciągnący się z tej strony wzdłuż ściany zamczyska. Na łańcuchu pomrukiwał rozgniewany czymś niedźwiedź, wodził dokoła zaszłymi krwią oczyma.

Obok komediantów, przystanął ciekawie jakiś człowiek wysokiego wzrostu, mimo że miał już być przecie, okutany w olbrzymią baranicę i lisią czapę na głowie. Wielkie wąsiska i

nieczesana broda chwiały się na strony, jakby w oznace zdziwienia. Gruc przypomniał, że już wczoraj widział tego człowieka, rozmawiającego z szafarzem zamkowym. Pewnie któryś z dostawców.

Z kępy drzew opodal zamku kołując sfrunęło nagle stado wron. Kracząc i jazgocząc przeleciały ptaszyska nad wieżę północną, wyższą od innych i wystającą daleko poza linię zamkowej budowli. Zataczały szerokie koła, obniżając to znów zwyżając swój lot. Zaniepokojone rozwrzeszczanymi gośćmi przysiadłe już na nocny sen kawki zerwały się teraz z łamań wieży, przelatywały z miejsca na miejsce.

Gruc zapatrzony ponuro w ten obraz, drgnął nagle słysząc mocniejszy, skrzypliwy turkot kół na moście. Potężna robocza fura ciągniona przez dwa konie z trudem wjeżdżała na lekką stromiznę. Dwaj furmani wspa/ci w drążki wozu dopomagali mizernym koniom. Na wozie załadowane były stosy jakiegoś towaru, przykrytego zrudziałymi szmatami. Starszy pokojowy wciągnął nosem powietrze, skrzywił się, zagadał coś gniewnie, wyciągniętą dłonią wskazał na prawo, na północną stronę, gdzie mieściły się magazyny. Gruc domyślił się, że to jacyś dostawcy. Zdziwiło go, że taką sobie porę obrali. Zobaczył jeszcze, że do przybyłych poskoczył ów po zimowemu ubrany brodaty olbrzym, krzycząc i wymyślając poganiał zmęczone konie.

Gruc powoli zeszedł teraz po stopniach, przybliżył się do grupy swych ludzi, po zakończeniu przygotowań beczynnienie przyglądających się ruchowi na podwórzu. Omal nie potrafiła go z fantazją zajeżdżająca kolaska. Odskoczył na stronę, obejrzał się za przybyłymi. W kolasce siedziały dwie kobiety, konno towarzyszył im śniady na twarzy mężczyzna. Gruc uśmiechnął się, poznał Marta z Krynek, butnego szlachetkę, wiernie stojącego po stronie Zakonu. Przystąpił ku swoim, coś im objaśniał.

Zmrok począł zasnuwać zamkowe podwórze. Wraz rozjaśniły się okna wielkiej sali gościnnej. Prostokąty świateł przyćmiewały się, gdy zamajaczył w nich cień któregoś z gości. Z zamku dobiegał gwar, wzrastający z każdą chwilą.

Most zwodzony wciągnięto, zawarły się wieżeje bramy. Knechci obsiedli baszty na murach, dając baczenie na okolicę. Od strony południowej i wschodniej, dziwnie maleńkie w tym mroku, majaczyły chaty rzemieślników, ku oburzeniu mieszczan Pasłęka, osadzonych tu na prawach „woli zamkowej”.

Wrony dawno już odleciały, kawki wróciły do przerwane go snu. Poprzez podwórze przelatywały ciche nietoperze, popiskując przenikliwie. Od błot niesło się rechotanie żab, jakby wzrastające w chwilach, gdy ścichał rozgwar w murach zamkowego masywu z kamienia i cegły.

Rozgniewany szafarz zamkowy z pasją liczył pęki skór kunieh, rysich i większe sztuki niedźwiedzie, przywiezione przez myśliwców z głębokiej puszczy. Stary Bratek ze swej strony sprawdzał szafarza, spoglądając na zwijających się zwawo syna i pomocnika.

Z sapnięciem ulgi ogłosił wreszcie szafarz liczbę złożonych w magazynie skór, zadziwił się:

- Siłaście tym razem nawieźli... - i zaraz dodał tonem nieufności. - Przyznaj się stary, drugie tyle sprzedałeś mieszczanom?

Oczy myśliwego zamigotały złym ogniem. Ale głos był cichy i pokorny, gdy odpowiedział.

- Zaśbym śmiał tako się odwdzięczać za wolę myśliwską, przez Zakon łaskawie mi udzieloną?

Szafarz tęsknie nastawił ucha ku wesołemu gwarowi dobiegającemu od zamku. Spieszyło mu się na ucztę. Zagarniał rękami w powietrzu, wypychając w ten sposób myśliwców ku wyjściu.

- Prędzej, prędzej, czego się guzdracie kiej żuki łajnie...

Bratek przystanął w proggu.

- Czego jeszcze?

- Chciałem dopraszać się łaski waszej wielmożności - w rękach niepewnie miał czapkę - abyśmy mogli pozostać tutaj przez noc. Wczora przybywszy, słyszałem, iż kuglarze popisować się mają na zanikowym dziedzińcu... My w puszczy spraw takich niezwyčajni. Zwólcie przyjrzyć się dziwom.

- A ostawajcie, jeno mi nie pętać się po dziedzińcach! Przysiądźcie wedle głównego wniścia. Zasnąć możecie w wozowni...

Zasuwał skoble, zamykał kłódki wielkości ludzkiej głowy.

Ż opodal położonej baszty wychylił się wartownik.

- Skończone?

- Tak. Baczenie miej na magazyn i... wieże! - dorzucił Krzyżak, idąc za trzema myśliwcami.

Ci posłusznie weszli na dziedziniec, przystanęli opodal muru zamczyska, gdzie padał gęsty cień. Szafarz śpieszył na zamek, złakniony napojów i jadła.

Na dworze było cicho. Z daleka tylko dobiegało szczekanie psów. Uwaga wszystkich zwracała się ciekawie ku oświetlonym, migocącym oknom, ku buchającym stamtąd coraz: mocniejszym okrzykom i wiwatom. Patrzyli tęsknie w tę stronę knechtowie na basztach i murach, poglądali niespokojnie myśliwi, którzy dopiero co oddali skóry w magazynie. Gruc

długo kierował wzrok na blaski padające na zewnątrz, gorzko żuł gorycz swego losu, który pozostawiał go zawsze poza obrębem gościnnych komnat, choć Bóg jeden wiedział, jak bardzo mu się one należały. Zachnął się wreszcie, szybkim krokiem poszedł ku tej części zamku, gdzie mieściły się izby dla knechtów zamkowych i przypadkowych gości pośledniejszego rzędu. Kwaterowali tam teraz komedianci, czekając aż ich raczą przywołać.

Bocznym wyjściem wysunęła się z zamku sylwetka niewielkiego rostem człowieka. W rękach niósł duży dzban. Przystanął, uważnie rozejrzał się dokoła, nastawiając uszu na każdy szmer. Potem drobnym truchtem, czając się pod osłoną cienia rzucanego przez mury, podbiegł do baszty wschodniej, parękroć klasnął w dłonie. Wartownik przechylił się przez barierkę, wzrokiem próbował przebić ciemność.

- Donnerwetter, wer ist denn da?

Zdawał się coś dostrzegać. Zapytał cichszym głosem:

- Stańko, du Kerl?

W odpowiedzi dobiegło niewyraźne mruczenie, cichsze nieco ponowne klaśnięcie w dłonie.

Knecht rozjaśnił się, zagadał coś do towarzysza, po występie obok muru szybko przebiegł do schodków wiodących na podwórze. Z wdzięcznością przyjął pękaty dzban, przykryty lnianą szmatą. Zapach chmielu nappełnił ciemność. Żołdak przyjaźnie poklepał po ramieniu małego człowieka. Ten zabelkotał, ręką ukazał na baszty północną i południową. Ruch ten powtórzył kilkakroć. Żołnierz porozumiewawczo skinął głową.

- Nie bój się Stańko, sami nie wypijemy...

Po jakimś czasie nowy dzban piwa zawędrował na basztę. Było tam już wesoło i ciasno. Knechtowie z sąsiednich wież również przybyli, zwabieni mocnym trunkiem. Wiedzieli, że w czasie zabawy dowództwo warty nie będzie przeprowadzać kontroli, samo pijane i rozhukane.

Z trzaskiem rozwarło się okno od sali bawialnej, donośnie poniósł się w ciemność roześmiany głos wicekomtura.

- Grajkowie, a hejże na górę!

Do ochrypyłych pokrzyków dołączyły się wkrótce dźwięki skrzypek, brzękanie bębenków, tony lutni...

Za ustawionymi w podkowę stołami w sali bawialnej, siedziało parę dziesiątków osób. Kilkunastu rycerzy zakonnych doskonale się czuło w towarzystwie wiernej panom tej ziemi szlachty pruskiej wraz z małżonkami i córami. Krążyły kielichy z winem, kufle pieniące się

piwem, rogi z miodową sytą. Przepijano gęsto, palce łapczywie sięgały potem po skrawki dymiącego mięsiwa. Słudzy obnosili mokre płótna, ocierali gościom zathuszczone dłonie.

Zakonnicy przysiadali się blisko do kobiet. Niektórzy ze szlachty krzywo na to patrzyli, obawiali się jednak wystąpić stanowczo. Gruby, tryskający krwią z twarzy Wesoły Otto pił więcej może od innych, ale spojrzenie jego oczu pozostało przytomne i baczne. Przesiadał się z miejsca na miejsce, zagadywał poniekórych ze szlachty, szeptał coś czasem na ucho, znów przepijał, ciągle z tym swoim zaraźliwym, a zarazem trwożą budzącym śmiechem.

Gruc wszedł na salę wraz ze swymi muzykantami. Twarz miał ponurą, złą. Spoglądał na stół spod namarszczonych brwi, cienie przelatowały mu przez policzki i czoło. Nikt nie zwracał na to uwagi.

Wicekomtur podniósł się ze swojego miejsca, zachwiał się na moment, odzyskał już równowagę, zabębnił kielichem o kielich. Głos jego jak zawsze po większej pijatyce brzmiał chrypliwie, ale donośnie. Ucichło wśród biesiadników, zaciekawione i nagle spoważniałe spojrzenia zwróciły się na Wesołego Otta. Uśmiechnął się całą gębą, zaczekał, aż mu służący napelni kielich, wtedy unosząc do góry pięknie rzezany kryształ wenecki, powiedział:

- Cni goście i wy, braciarycerze Zakonu niemieckiego! Nie dla pustej jeno zabawy zebraliśmy się tutaj, ale dla utrwalenia i skrzeplenia więzi pomiędzy wszystkimi zacnymi mieszkańcami zakonnej ziemi. Za przyjaźń i zgodne współżycie stanów pruskich z wielakim i sławnym naszym Zakonem, na pohybel wszelkim jaszczurkom i inszym gadom, pogańskim hołdownikom. Pruskiemu Związkwowi! Hoch! Hoch! Hoch!

Wszyscy jak jeden podnieśli się z miejsc. Nawet białogłowy powstały. Niebezpiecznie było teraz zaczynać z wicekomturem. A jednak w ruchach kilku ze szlachty znać było ociąganie się, wyraźną niechęć. Trzymając kielich przy rozdętych wargach wicekomtur po kolei przewijał wszystkich wzrokiem. Czasem zatrzymał spojrzenie nieco dłużej i wtedy ginęło wahanie, dłonie szlacheckie podnosiły się skwapliwie, kielich zbliżał ku ustom.

- Hoch, hoch, hoch! - powtórzyli gromko.

Wicekomtur klasnął w dłonie, zaniósł się potężnym rechetem, zakrzyknął:

- Komedianty, grać! A wesoło, nuże, nuże!

Porwali za instrumenty. Zanim jednak zabrzmiała pierwsza nuta, przez otwarte okna napłynął inny dźwięk, ponury, donośny. To hukął puchacz, nocny władca mroków. Cztery razy po dwakroć powtórzone wpadło ze dworu do izby bawialnej wołanie ptaka. Niektóre z kobiet zadrżały. Ale już darł się na całe gardło Wesoły Otto.

- Muzyka, muzyka, nuże! - groźne łyśnięcie oka w stronę muzykantów towarzyszyło tym słowom.

Zofijka przechyliła się od swej lutni ku brodzie ślepego starca.

- Nic dziadzi?

Potrząsnął boleśnie głową.

- Nie ma go tutaj, nie ma... Poznałbym głos pośród miliona innych... - w głosie zabrzmiał ból, tęsknota jakaś. Smyczek silniej nacisnął na strunę.

Popłynęła wesola melodia, od nowa rozochociły się twarze biesiadników. Przytupywali niektórzy, inni do taktu uderzali dłońmi po stole, aż się lało wino z pucharów, a piwo obfitą pianą ściekało ze srebrnych kubków.

Kilku z gości usnęło zmożonych ucztowaniem i pić. Rycerze zakonni łakomie spoglądali ku dziewczynie, nucącej teraz pieśń rycerską. Gdy skończyła, rozległy się brawa, jeden z Krzyżaków podbiegł ku śpiewaczce, niósł róg napelniony miodem.

- Wypij ze mną, rybeńko! - próbował ogarnąć ją w pół ramieniem, dziewczyna usunęła się. Przed Krzyżakiem wyrósł nagle chmurny Gruc, rzekł twardo.

- Ostawcie, cny rycerzu. Dziewczynie pić nie Iza, je&zczce na linie będzie dzisiaj tańcować, a nieprzezpiedfzna to rzecz...

Krzyżak, mocno podpity, nie zważał, ostro odepchnął Gruca na stronę, ale już ktoś z przyjaciół podchwycił towarzysza, róg upadł na ziemię, lepką strugą popłynął miód.

Słowa o popisach linoskoczków doszły do stołu. Rozległy się stamtąd okrzyki i prośby o przyspieszenie pokazu. Wicekomtur skinął na jednego ze starszych służebnych:

- Zapalcie światła, jasno ma być kiej w dzień...

Mrok za oknami przecięły zaraz smugi krwawego, dymnego światła smolnych pochodni. Zapalało się ich coraz więcej i więcej, oświetlały czerwonymi pasmami podworec zamkowy i rozciągniętą ponad nim linę. Zbudzony ze snu niedźwiedź pomrukiwał złowrogo. Z furkotem płynęły ku światłu nietoperze, osmały sobie skrzydła, padały na kamienie.

Zaciemnione, jakby jeszcze bardziej szerniały w porównaniu z jasnością środkowej części podwórza, wydawały się dalsze partie murów, baszt i gospodarczych przybudówek.

Zaroilo się od knechtów i świeżo przybyłych trabantów, słudzy zamkowi ciekawie wyglądali zza bocznych drzwi. Wicekomtur zapraszał gości na szeroki ganek, wiodący wzdłuż południowej ściany zamczyska, naprzeciw bramy wjazdowej. Stąd rozwierał się widok na dziedziniec, gdzie kuglarze rozpoczęli swoje popisy. Niedźwiedź tańczył posłusznie na tylnych łapach, młody chłopiec połykał ogień, inni wyczyniali zawrotne kozły w powietrzu. Biesiadnicy spoglądali na to z ożywieniem, dzielili się uwagami, wybuchali

śmiechem. Rycerze zakonni podsuwali się bliżej do dam. te popiskiwały, nie wiedzieć, ze strachu czy z uciechy. Służba donosiła coraz to nowe rogi a kielichy.

Na oświetlony pochodniami plac wystąpił Gruc, prosząc wielmożnych gości o ciszę, nastąpi bowiem popis najlepszej, jaką świat zna, tancerki na linie.

W krótkiej swej spódniczce Zofijka jęła wstępować na drabinkę przy murze, aby z niej dostać się na małą platformkę i linę zawieszoną nad kamienną przepaścią. Odczuwała dziwny lęk. Próżno przedtem wypatrywała wszędzie Eryka, który powinien przecie znajdować się w zamku, jak zapowiedział ów kawaler, który ją przedwczoraj cichaczem odwiedził w miasteczku. Siadu jednak żadnego nie było, prócz owego znaku, jakim było zapowiedziane pohukiwanie sowy. Znak ten świadczył, że wszystko idzie po myśli i że powinna wypełnić swą obietnicę. Nie wiedziała, w czym przez to pomoże ukochanemu młodzieńcowi, który tak nagle wkroczył w jej życie i w tak dziwny sposób dawał teraz znać o sobie. Nie wiedziała o co chodzi, miała jednak wiarę w Eryka. Jeżeli dobra sprawa, niech się choć w ten sposób przyczyni do jej powodzenia, niech jak najdłużej wytrwa na linie, zachwyci wszystkich swoją zręcznością, aby na nic innego nie chcieli w ten czas zwracać uwagi...

Skrzypki ślepeca łagodnie dźwięczały, dodając otuchy. Była już na platformce, wróciła jej zwykła rzeškość, śmiało wstąpiła na linę, drobnymi stopami badała jej elastyczność. Przeszkadzały nieco migocące światła pochodni, drugi dopiero raz w życiu odbywała popis przy sztucznym świetle. Westchnęła, z odwagą pobiegła drobnymi, lekkimi kroczkami, jakby się znajdowała na dobrze ubitej ziemi, a nie na chybocącej linie...

W tym samym czasie od północnej wieży rozległ się pisk nietoperza, podobny odgłos odpowiedział z pobliskiej baszty wartowniczej na murze.

Z okienka w połowie wieży z cichym szelestem zsunęła się po cegle gruba lina. Wtedy cień leżący obok ściany poderwał się zwinnie, korzystając z nawęźleń jął sięwspinać do góry. Czyjaś wychylona głowa oczekiwała go niecierpliwie w okienku. Niewidzialne w mroku twarze bacznie śledziły wieżę z baszty.

Z okienka wyciągnęły się dłonie, Bratek został wciągnięty do wewnątrz, po chwili zniknęła też lina, niebezpieczną bielą przecinająca czerń pogrążonej w mroku ściany.

Z głównego podwórca płynęła melodia skrzypek. A potem znad przepaści rozległ się uroczy głos młodej pieśniarki. Oczy ludzi przyczajonych w wartowniczej baszcie pomykały mimo woli ku blaskom bijącym od dziesiątków pochodni, zatrzymywały się na wiotkiej sylwetce dziewczęcia zawieszzonego nad ziemią, oślepienie światłem wracały znów ku ponurej wieży, nie od razu przebijały ciemność.

Na ścianie zabelala znów lina, ostrożnie spuszczały się z niej ku ziemi jedna za drugą trzy ludzkie sylwetki. Pierwszy zsunął się zwinnie, zeskoczył zręcznie na ziemię, przyczał się, rozglądał się przebijając wzrokiem ciemność. Drugi opuszczał się powoli, wreszcie z wysokości człowieka bezwładnie opadł na kamienie, które odpowiedziały głuchym stęknieniem. Ostatni zesunął się na dół jak małpa, pociągnął tamtych ku baszcie.

Trzecia już pieśń płynęła powietrzem od głównego podwórca, gdy uciekinierzy przedostali się po załamanych schodkach na basztę. Jeden musiał być bardzo słaby, tamci bowiem wspierali go, niemal że nieśli przed sobą.

I nagle zakotłowało się wszystko, z chustą w dłoni ktoś się wychylił z baszty, przeraźliwym głosem zawr zasnął:

- Zum Hilfe, zum Hi... - nie dokończył, twardymi dłońmi zduszony nagle za gardło. Jeszcze się opierał, ale już zachybotał na barierce, potem, wypchnięty silnie, jak bezwładny tłomok poleciał w dół, na kamienie, którymi wyłożone były wszystkie dziedzińce zamkowe.

- Prędeż, spuszczać go, wy skaczcie, czasu nie ma ni chwili... - jakieś gorączkowe rozkazy spłynęły z baszty, kogoś przrzucano przez mur owiązanego liną, ktoś go podchwytywał od drugiej strony, z chłupotem zapadł się w wodę fosy inny cień.

Przejściem u nasady murów biegło kilku knechtów, już byli przy baszcie, gdy od podwórca zamkowego dobiegł nagły krzyk grozy. Jakiś cień na baszcie przechylił się do przodu, spojrzął, dostrzegł jeszcze w blasku pochodni spadającą z liny dziewczynę, jęknął, w tejże samej chwili osunął się bezwładnie na mur ogłuszony strasznym ciosem żołdaka.

Wtedy inny człowiek podbiegł ku żołnierzom, mieczem pchnął jednego, uchylił się przed ciosem sulicy, nagłym porywem ramion zepchnął na przeciwną stronę muru bezwładne ciało ogłuszonego druha, jak żbik przewinął się ku atakującemu jeszcze jednemu knechtowi, wyrwał mu sulicę z dłoni, trzasnął nią tak potężnie w piersi, że ten zakolebał się, stracił równowagę i runął w dół z przeraźliwym wrzaskiem.

Dopiero teraz ostatni z cieni przesadził mur, bryzgi wody poleciały z fosy na basztę. Był już na to ostatni czas. Od podwórca biegli knechtowie z pochodniami w dłoniach, rozlegały się jakieś rozkazy, pokrzykiwania.

Nad fosą przeciągnięty był sznur. Trzymając się go, przeprawiały się przez szlamowatą wodę sylwetki ludzkie. Ktoś trzymał w ramionach omdłego towarzysza. Ktoś inny poskoczył, dopomógł. Obok zarżał niecierpliwie koń, powietrzem spłynął mocny szept:

- Ociec?

- Ja. Prędko na konie. Już, bo chwila, a po nas...

Konie stały w pogotowiu. Omdlały człowiek drgnął, próbował o własnej sile stanąć na nogach. Znów szept:

- f Eryk, ujedziesz li sam?

- Ujadę.

- W konie!

Przemknęli błyskawicą obok mizernych chatyn rzemieślników zamkowych, którzy zwabieni hałasem gromadzili się przed progami, pognali w ciemność, zostawiając za sobą blaski i rozgwar pałecznego zamku.

Konie tłukły kopytami drogę, jeźdźcy milczeli, tylko jeden z nich wybuchał co jakiś czas ni to śmiechem, ni jakimś rzężeniem, bełkotał, chrypiał, aż się wzdrygali najbliżej jadący.

Minęła godzina, druga, gdzieś z dalekiej chaty dobiegło pianie pierwszego kura, a konie wciąż gnały, aż im piana zaczęła opadać z rozwartych szeroko chrap. Wpadli w las, płynęły stamtąd dziwne poszepty, gasły ze zbliżaniem się koni. Czasem rozlegało się jakieś krótkie zapytanie, jeźdźcy zamienili jedno, dwa słowa, znów milkli, tylko kopyta dudniły po wyschlým, gliniastym gruncie.

Musieli zwolnić, przedzierali się bocznymi drózkami, ścieżkami znanymi tylko jeźdźcom i zwierzowi leśnemu.

- Eryk, jakże ci?

- Trzymam się, dojadę - głos był słaby, płynął jakby z daleka.

- Już zaraz sadyba, wytrwaj...

Z gęstej świerczyny wychynęli na polanę, wysoko i gęsto zarosłą leszczyną. Byli w Bratkowej samotni.

Ponury, olbrzymi służący wbiegł pierwszy do domu, zapalał łuczywo. Wtedy Bratek sięgnął w jakieś schowanie, wydobyl parę żółtych świec woskowych. Zaśmiał się cichutko:

- Chowałem je na specjalną okazję.

Ciężko oddychający człowiek podszedł ku niemu, otworzył szeroko ramiona.

- Bratek, wtóry raz mi życie ratujesz... Dziw zbiera, jeszcze nie wierzę, jakeście zdołali mnie dobyć z tych lochów przeklętych... A Eryk skądże tutaj się wziął? Pewien byłem, że w Toruniu u Tielemana przebywa...

- Wysłano mię do Krzykosów, tamem się o was zwiedział, z Edwinem ruszyliśmy więc na ratunek... - śmiał się Eryk, ale głos miał słaby, chwycił się coraz za głowę.

Bratek wydał zlecenie, by wraz syn ze służącym narządzili jedzenie, zajął się potem rozbitą głową Eryka. Obejrzał, omacał uważnie, zaśmiał się pogodnie.

- Nic, jeno ogłuszył! Za blisko był, by sulicą pchnąć, więc drzewcem cię rąbnął po głowie. Trzy dni i minie wszystko...

Ale tymczasem, gdy minęło napięcie ucieczki, młody rycerz począł się czuć coraz gorzej. Ciemne platy zaczęły mu latać przed oczyma, ślaniał się siedząc za stołem. Stryj, choć sam słaby i wymizerowany okrutnie pobyt w lochu, karmił go i poił. Potem wraz z Bratkiem ułożyli chłopca na ławie, nakryli skórą.

Zasnął, ale ciągle coś pogadywał przez sen, zrywał się z jękiem, wołał aby go puszczali, bo musi biec ratować Zofijkę.

Piotr z Wikliny z troską spoglądał na bratanka, słysząc imię dziewczęce w zdumieniu podnosił ramiona. Pomyślał, że to jakaś miłostka toruńska, przestał zaprzętać tym głowę.

Dwaj chłopcy z pobliskiej wsi, wierni druhowie myśliwca, pokładli się także do snu, znużeni ciężką przeprawą. Przy stole ostali Bratkowie, Edwin, sługa Piotr i wyratowany rycerz. Przy progu przysiadł niemowa Stańko, wodził po obecnych mądrymi oczyma.

Piotr z Wikliny miał zapadłe policzki, utykał na lewą nogę.

- Jeść i pić to mi dawali, spuszczało co dnia na sznurze. Jeno, że błoto wyżej kostek wyciągało resztę sił. A i szczury spokoju nie dawały. Nic, rychło wrócę do dawnej mocy... - wskazał dłonią na Stanka... - A ten kto zacz za jeden? Niemowa?

Bratek kiwnął głową, zawołał:

- Bywaj że, Stańko, coś się rozsiadł tak wedle drzwi? Popij że miodu, dobra syta... Takim rad, żeś nam dopomógł. Znajdziesz teraz lepszą opiekę, już ci pan Piotr zapewni dobre życie.

Stańko zabelkotał, przysiadł się na brzeżku ławy, chciwie pociągał sytę z wielkiego kubka rzezanego w osinie.

Zarośnięty, ubrudzony jeszcze szlamem z fosy Bratek dolał mu nową porcję, rzekł do rycerza.

- Gdy był jeszcze dziecięciem, gady krzyżackie wycięły mu język, aby mógł się do sekretnych posług wposobić. Tako i przebywał przy więźniach... Bez niego nie dalibyśmy rady, nijak by było wyleźć na wieżę.

Piotr z Wikliny wparł w myśliwca łagodnie siwe oczy.

Krzaczaste brwi opadły ku dołowi, nos jakby się jeszcze wydłużył. Położył rękę na ramieniu Bratka.

- Powiedzże teraz, druhu, jakeście doszli wszystkiego i jak się wam potem sztuka tak trudna udała? Jakeśmy się wtedy widzieli i uprzedziłeś mię, bym czekał na czterykroć powtórzone hukanie sowy, wielkiej wiary nie miałem, by się mogło wam powieść. Jakże z łap

von Plauena kogoś wyrwać? To się mnie nie widziało... A jednak czekałem dzisiejszego wieczoru na to wezwanie, lęk miałem, że już nie przyjdzie... Ej, Bratek, Bratek, trudno mówić, ale pomnij, com ci winien! Przez życie całe odpłacić nie zdołam...

- Ech, nie gadalibyście, panie... A rzecz tako się miała. Gdyśmy już z Jankiem a Piotrem, służebnym moim, naradę wiedli, jakim by was sposobem wydobyć, przybyli młodzi rycerze. Nowe się tedy wyłoniły projekta. Okazało się, że pośród kuglarzy brataniec wasz posiada dobrą znajomą - nachylił się ku uchu rycerza - po prawdzie, to on się w niej nawet rozmiłował na śmierć... Tedy Janek ze znakiem ku niej pojechał, prosząc, by w wieczór zabawy, skoro posłyszysz hukanie sowy, przedłużała jak może popisy swoje na linie... Tako i zrobiła, przez to czasu zyskaliśmy, inaczej by nas wcześniej postrzegli...

Ze stągiewki z brzozowej kory rozlał znów miodu do kubków, sam pociągnął niezgorzej, mówił dalej:

- Jam przybył na zamek dzień wcześniej, niby to z drogi będąc, na swoich ze skórami miałem tam czekać... Ze Stankiem mieliśmy dawną znajomość. Zabierali go ongiś zakonni ku pomocy przy polowaniach. Odbił się raz od nich, zagubił w puszczy. Trafiłem, jako się dołał z niedźwiedziem, samotnik jakiś dopadł chłopca. Wyratowałem, zwierz nawet mało go zdążył pazurami podrapać... Wyłuszczyłem Stankowi w czym sprawa. A on już dawno był cięty na Wesołego Otta, pomstę w sercu przysięgał, takem wyrozumiał przynajmniej... Stańko dał zgodę swoją. On to piwa przynosząc na baszty, spoił wartowników zamkowych, potem zaś z wieży opuścił linę... Po linie wlałem do środka. Chciał Eryk, alem nie puścił, a nużby nie wyszło, po co młodziak miałby życie postradać...

Piotr z Wikliny westchnął w tej chwili z rozrzewnieniem. Bratek jakby zdziwiony spojrzał na niego, nie przerwał opowieści.

- Na baszcie czekali Eryk z naszym Piotrem - wskazał na sługę. - Tam powiązali pijanych knechtów, przez pośpiech wszako jeden się wyrwał, larum narobił... Za murem z końmi czuwał Edwin i owi chłopci. Wyszukali płytsze miejsce przez fosę, umocowali sznur, po którymśmy przełazili... Dalej już wiecie...

- A ówże gwałt straszny, jakiś krzyk dziewczęcy, coć to było?

Bratek nachmurzył się.

- Dojrzałem kątem oka. Widać dziewczyna owa przestraszyła się krzyku wartownika, spadła z liny na kamienie dziedzińca. Pewnie mało co z niej zostało, gdzieżby, taka wysokość... Eryk takż to dojrzał, temu zagapił się i sulicą oberwał przez głowę...

Zapadło milczenie. Znużonym głosem zapytał jeszcze po chwili zmizerowany rycerz.

- Co dalej radzisz, Bratek? Zali przezpiecznie tu siedzieć?

- Do rana możemy być spokojni. Nocą nikt tu nie trafi. Ale wcześniej ze słońcem trzeba dalej jechać, zakonni tropić będą... Ostawię tu jeno wielkiego Piotra, niech się rozejrzy we wszystkim, a nas potem nagoni. Nie najdą go, lis on i niedźwiedź w jednej osobie...

- Do Torunia pojedziem. Tam nasza droga. A tu jeszcze powrócim, może rychlej, niżby kto się spodziewał - zdecydował Piotr z Wikliny, potem wstał, spokojniej już przyjrzał się śpiącemu Erykowi, klepnął przyjaźnie po ramieniu Edwina z Warclawek, przeciągnął ramiona.

- Zasnąć pora. Droga ciężka przed nami... Spijcie wszyscy. A my już z Jankiem narządzim, co trzeba na podróż...

- Ech Bratek, Bratek, wierny druhu! - patrząc za nim szepnął Piotr z Wikliny.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Trwające od wczesnego ranka posiedzenie Tajnej Rady Związku Pruskiego przeciągało się późno w noc. Dawno już zakończono pracę w ratuszu toruńskim, pozamykano pokoje rajcowskie, tylko pacholikowie pełniący straż nocną zostali na dole w wartowni. Od pewnego czasu podwojono ich liczbę z uwagi na bezpieczeństwo budynku i do sali obrad na górze docierały czasem hałaśliwe pokrzykiwania z dołu, na co zżymał się szczególnie Konrad Teudenkus, jeden z najpierwszych obywateli Starego Torunia.

Ulicami miasta przeciągali stróże nocni, przez uchylone okna dobiegała ich zawodząca przyśpiewka:

Jedenasta na zegarze, Do snu, do snu - gospodarze.

Od kwietniowego wyboru na zjeździe w Kwidzynie Tajna Rada nieprzerwanie obradowała w ratuszu toruńskim, co prawda w niepełnym składzie. Jedyne dla spraw najważniejszych, wymagających szerokich pełnomocnictw, zjawiali się w Toruniu przedstawiciele dalej położonych miast i szlachta z północnych, nadmorskich okręgów. Tak było i dzisiaj. Rada obradowała w pełnym komplecie. Sprawy były ważne. Należało ostatecznie zatwierdzić skład poselstwa Związku Pruskiego na sąd cesarski, zapowiedziany na dwudziesty szósty czerwca w Wiedniu. Skargi na Zakon dawno już zostały, spisane, wymagały jednak uzupełnienia, mimo bowiem wyraźnego zakazu cesarskiego nie rozpoczynania przez żadną ze stron kroków zaczepnych, akty gwałtu mnożyły się i wieści o nich dobiegały z różnych zakątków kraju. W wielu komturiach wbrew podobnemu zakazowi oficjalnie przygotowywano twierdze na wypadek wojny, ściągano zaciężnych żołnierzy, szykowano broń.

Tajna Rada powołana pierwotnie dla przygotowania spraw związanych z procesem, przez napór wydarzeń zmuszona została do ujęcia w swe ręce całokształtu poczynań stanów pruskich, dumnie określających się nazwą „Land und Stadte”, oznaczającą powszechność społeczeństwa pruskiego. W nazwie tej krył się też zasadniczy argument obrony na wszelkie zarzuty o nielegalności poczynań Związku, rzucanych przez Zakon Krzyżacki na cały świat. I dlatego bez wiedzy i zgody wielkiego mistrza zwoływano zjazdy, prowadzono własną politykę, dlatego też cesarz musiał uznać Związek za stronę w mającym nastąpić procesie.

Cały wysiłek Zakonu obracał* się w tym kierunku, aby używając wszelkich godziwych i niegodziwych sposobów, uzyskać potępienie Związku i stwierdzenie jego nielegalności. Dlatego prokurator Zakonu przy papieżu czynił tak usilne starania o wydanie bulli potępiającej Związek, dlatego olbrzymie pieniądze płynęły do prawników i uniwersytetów niemieckich dla przekonania cesarza o słuszności postawy Krzyżaków.

Związek Pruski nie obracał wielkimi funduszami, szczególnie ze szlachty trudno było wycisnąć pieniądze, wielki kłopot sprawiało również znalezienie prawników, którzy w trakcie procesu chcieliby bronić praw Związku. Prawnicza szkoła niemiecka stała na stanowisku podkreślającym znaczenie władzy monarszej, a przeciwstawiającym się jakimkolwiek przejawom opozycji stanowej. Wiele trudu przed rokiem musiał włożyć Tieleman vom Wege, aby wyszukać w Wiedniu adwokata dla obrony sprawy związkowej w procesie. Znalazł tylko jednego, Marcina Mayera, ale też był to umysł tęgi, człowiek powszechnie znany i poważany, głośny zwolennik idei soborowej, nie wahający się jawnie występować przeciw papieżowi.

Tieleman kończył właśnie relację ze stanu przygotowania dokumentów, argumentujących prawa Związku do istnienia i działania. Znajdował się tu zarówno odpis aktu założenia Związku w roku 1440, jak też statut uchwalony tam jako zobowiązujący wszystkich związkowców. Słowa czołowego reprezentanta polityki przeciwwzakonnej wśród mieszczan pruskich brzmiały namaszczeniem i wielką powagą:

- Zapisane w księgach związkowych jest zdanie pierwsze naszych poczynań i zdanie to równie mocno i twardo stale powtarzać będziemy: „Zawarliśmy związek i przyrzekliśmy ręką oraz ustami stać wiernie jedni przy drugich w sprawach słusznych dla obrony naszego życia i mienia oraz dla utrzymania się przy swych prawach, jakie mieliśmy właściwie i słusznie od dawna”.

Zebrani z szacunkiem skłonili głowy. Przewodniczący posiedzenia Jerzy Langerbeyn z Królewca oznajmił:

- Jutrzejszym dniem sekretarz przedstawi nam gotową obronę praw związkowych wraz z dokumentami wszelakimi, o jakich wspomiano, aby i w tej materii posłowie nasi mieli wyrobione zdanie na wypadek potrzeby.

Po sali powiało westchnieniem ulgi. Niektórzy z obecnych zasłuchali się w oddalające się nawoływanie stróżów nocnych. Pora była późna, umysły zmęczone całodziennym wysiłkiem.

Jerzy Langerbeyn też pozwolił sobie na krótkie westchnienie. Mały, o rudych włosach, płonących teraz czerwienią w świetle olbrzymich świec woskowych ^ w pięknie kutych lichtarzach, podparł brodę rękami, wodził oczyma po obecnych. Brodawka na nosie wysunięta podkreślała jeszcze bardziej brzydotę tej twarzy. Oddychał ciężko. Rola jego była szczególnie trudna, interesy Gdańska nie zawsze zgodne z interesami innych miast ziemi pruskiej. Wielu było tam takich, z burmistrzem Wilhelmem Jordanem na czele, którzy szukali jeszcze porozumienia z Zakonem, pragnąc jedynie wymusić na nim ustępstwa. Jednocześnie jednak sprytni gdańszczanie woleli ubezpieczyć się na wypadek przegranej Zakonu i zapewnić poczesne miejsce we władzach związkowych.

Przewodniczący spoglądał na tych, którzy mieli reprezentować Związek przed sądem cesarskim. Tuż przy nim siedział Tieleman vom Wege, najgorętszy zwolennik myśli połączenia się z Polską, z zabezpieczeniem ^ jednak wszelkich stanowych praw i przywilejów. Tam dalej znów uśmiecha się wpadniętą bezzębną twarzą Jan Matzke z Chełmna, również blisko związany z Koroną polską. Brakło trzeciego reprezentanta miast, właśnie Wilhelma Jordana, który tym razem nie mógł przybyć na posiedzenie Tajnej Rady. ^Cichą rozmowę wiedli opodal rycerze: Jan z Turzy, Gabriel Bażyński i sędzia Ramsz z Krzykosów, którego oświadczenie o napadzie na dwór krzykoski wciągnięto ostatnio do spisu przestępstw popełnionych przez Zakon. Sekretarz wpisał tam również historię porwania przez wielkiego szpitalnika i bezprawnego więzienia w swym zamku Piotra z Wikliny, rycerza bez skazy. Sprawę powyższą przedstawił Radzie Augustyn z Szewy, wskutek wzburzenia bardziej jeszcze niżeli zazwyczaj zanosząc ^się ostrym, od lat gnębiącym go kaszlem.

Tak, zatem posłowie pojedą już wkrótce. Wszelkie materiały są zebrane, świadcząc o ogromie okrucieństw i bezprawii popełnianych przez Zakon Krzyżacki. Pieniądze z podatku uchwalonego na proces wpłynęły, powinny wystarczyć... Przygotowano dla cesarza najpiękniejsze dary, o jakich można było zamarzyć, wiele z nich* za pośrednictwem Hanzy sprowadzono z zamorskich krain, inne przygotowali mistrzowie rzemiosła. Tak. wszystko gotowe, ale czy to wiele pomoże? Wieści z Wiednia nie były pocieszające. Krzyżacy posiadali zauszników na dworze cesarskim, kancelaria była źle nastawiona do związkowców,

cesarz, sam odsunięty od bezpośrednich rządów, na pewno będzie bronił przywilejów władzy, a nie występujących przeciw niej poddanych...

Posel Knipawy, jednego z trzech miast Królewca, dobrze czuł się w Toruniu i na całym terenie ziemi chełmińskiej. Inaczej tu było, lżej znacznie niżeli w północnowschodnich dzierzawach Zakonu... Tutaj, bowiem w pobliżu granicy polskiej zarzewie buntu przeciw krzyżackiej samowoli i bezprawiu zawsze było najmocniejsze. Nad Pregołą szlachta i miasta miały o wiele mniej do powiedzenia...

Westchnął, zechciał poszukać wzrokiem tych szczęśliwszych od królewiecczan obywateli ziemi chełmińskiej, napotkał wlepione w siebie spojrzenia zdziwione przydługą przerwą w obradach. Ujrzał siwe, długie brody, włosy w większości mocno przyprószone siwizną, twarze gęsto poryte zmarszczkami. Zastanowił się, czy mimo swych pięćdziesięciu lat nie jest najmłodszym pośród członków Tajnej Rady Związku Pruskiego. Twarze były skupione, poważne. Nie było tutaj gestów młodzieńczych, każde posunięcie musiało być rozważone głęboko, każda decyzja wywołana była ostatecznością. Znów westchnął, otworzył usta, przyglądał swe rude, niesfornie rozsypujące się włosy:

- Zali będziem jeszcze prowadzić obrady, czyli też przełożym wszystko na rano? - spytał.

Zaprotestowano.

- My starzy, bezsenność nam nie pierwszyczna - jakby imieniem wszystkich wystękał sędziwy Augustyn z Szewy, zaniósł się otrym kaszlem.

- Rozważyć trza, jak prowadzić dalsze znoszenia z Polską, a także, co czynić będziemy z chwilą przegranej w procesie... Prawdę tę trzeba wszak rzec, nadziei bo mało, a warto być gotowym na wszystko - stanowczo, silnym głosem wyrzekł delegat Elbląga, Wawrzyniec Pilgrim.

-; Moja rada, mocniej wesprzeć starania Jana Bażyńskiego, aby wraz Polsce się poddać, skoro przed cesarzem przegramy - gwałtownie rzucił Tieleman vom Wege.

- Inaczej znaczy to wojnę! - Jan z Wichulca był ostrożny, może też najbardziej pojednawczy pośród członków Tajnej Rady.

- Wojna! Więcej, wojnę tę my poprowadzić musimy. Dlatego należy wyprzedzić Zakon w przygotowaniach.

- Burmistrz Jordan prawil, że nawet w wypadku przegranego procesu jeszcze można próbować ugody...

- Żal że burmistrza Gdańska nie ma, w oczy bym nazwał go głupim! - uniósł się vom Wege. - Jakżeby na ugodę szedł Ludwik von Erlichshausen wtedy, gdy prawo cesarskie

poczujecie za sobą, jeżeli nie idzie dzisiaj, gdy powoduje się jawnym jeno bezprawiem? Koniec na ten czas byłby z handlem, z jakąkolwiek swobodą. Zali nie żyjemy w ucisku, jakiemu świat nie zna równego?

W sukurs Tielemanowi przyszedł Pilgrim z Elbląga. Aż podniósł się z ławy, mówił gwałtownie gestykulując, wysoki, o ptasiej twarzy i rzadkiej długości palców u rąk.

- Pojąć nie mogę, skąd jeszcze rozważania nad tym, co przysłoby nam czynić w wypadku przegranej w procesie. Jedna jest odpowiedź: zaciężników najmować, zamki brać, kraj zawojować, Koronę polską o opiekę wieczną upraszać, jako dawniej bywało, nimeśmy sami nie ostawili Zakonowi zbyt wielkiej swobody... Nie widzicież, co może nas czekać? Życia nie ma, pewności dnia jednego. Jest li gdzie inny kraj na świecie, w którym by rządcą wszystek handel zagarnął? Jest li drugi podobny Zakon, co hasły mając bożymi, w niecnocie żyje i kupczeniem nieprawym się trudni? Na cóż nam zeszło? Komturie handel przejęły, zakaz wywozu zboża wydały, licencji wzbraniając. Zbieractwo i sprzedaż bursztynu w swoje ręce zagarnęły, za przekroczenie zakazu grożąc ostrymi karami. Tysiące głodnych mieć rychło będziemy, bo z czegoż nasi zbieracze i kupcy żyć będą? Cechom co zostało, gdy bez mistrzowskich zaświadczeń byle partaczy podle zamków na wolach osadza się, za nic ustawy rzemiosła mając, od stuleci przyjęte? A przymus przemiału w zakonnych młynach? A podatki, cło funtowe, które na dziady wszystkich sprowadza?

Mało wam jeszcze? Gdzież swoboda miast wielkich i małych? Kto narzuca ludzi, za pieniąż i zaszczyty Zakonowi zaprzędanych, którzy w radach zasiadają, interesom miejskim szkodząc? Kto w tych radach z pozwolenia i zalecenia Zakonu lichwę szerzy, procenta każąc wypłacać poprzez rzemieślnicze odrobki? Kto handel wiślany hamuje? Kędy zaginęły ławy sądowe? Do czego dalej zaprowadzić to może, jeśli ławników, wolą miast wybranych, przed sądem duchownym się przesłuchuje i orzeczenia sprawiedliwe obala? Kędyż sprawiedliwość i gdzie jej szukać? Zawołasz głośno o prawo, to cię do wieży wsadzą, żonie i dziadkom zabierając dobytek. Kto pomniejszył miary ziemi, braci szlachtę ku nędzy wiodąc? Kto nie dalej jak przed dwoma niedzielami od nowa podwyższył opłaty za przeor miał? Kto łamie co dnia prawo spadkowe, na żebractwo i poniewierkę białogłowy precz goniąc? Kto chłopstwo ze szlacheckich włości na szarwarki pozywa, miesiącami przy budowie zamków lub grobli trzyma, gdy tymczasem pola stoją ugorem? Gdzie sprawiedliwość, gdzie zachowanie przywilejów a dotrzymanie obietnic? Śmiech pusty zbiera na samą myśl o układach z Zakonem po przegraniu procesu. Lepiej już kamień u szyi uwiązać i na dno rzeki głębokiej pójść, niżeli podobne pohańbienie dalej znosić. Moja rada, Elbląga rada: zaciągi robić, ^

plany szykować, w gotowości trwać, by szkodzicieli i bezecników precz wyżyć, a samym uspokojenie i żywot spokojny w Koronie należeć...

Zasapał się, zadyszał, oczy błyskały mu złością i bólem, gniewnie parsknął na Jana z Wichulca, który głębiej wcisnął się w ławę i niemrawymi oczyma spoglądał na krewkiego mieszczanina o ptasiej twarzy. Inni już zabierali głos, a on stał jeszcze, przejęty do głębi, zboląły i zawiedziony, że nawet w Radzie znajdują się ludzie, nie zdający sobie sprawy z istniejącego położenia.

- Wspomnijcie porwanie Piotra z Wikliny, napaść na moją siedzibę, gwałty w Tucholi, które tak niedawno się wydarzyły, sromoty uczynione rycerstwu w dzierzgońskiej ziemi. Słusznie poprzednik mój prawi, nam trza wszystko uczynić, aby rzecz w zgodzie załatwić, lecz jeśli nie, zbrojno należy wystąpić. Jedno pewne, że w gotowości nam być, zaciągi wraz czynić, oręż szykować. A w Polszcę przyjaciół mieć, poparcie sprawy naszej - poparł Pilgrima sędzia z Krzykosów.

- Oleśnicki jeszcze władny, a on zawdy stanie przewlr ciwko wojnie. Pokoju bożego pragnie na tej ziemi, nie wojny. Polska takoz na Litwie ciągiem zajęta. - Cichym, spokojnym głosem odezwał się Jan z Wichulca.

- Z Polszcą tedy tylko nam isć, jeśli król i stany przywileje wszelkie potwierdzą, a nowe nadadzą. Dziś co? Ograniczenia nakłada się na nasz handel, jeśli do polskiej sięgamy ziemi, cła każe płacić. - Martin Cremon strzegł interesów Gdańska, który na tych ograniczeniach najbardziej tracił. - Jeśli miasto nasze ma życiem i groszem obywateli szafować, niechaj wie za co. My Polszcę nie przeciwni, ale gwarancje na przyszłość mieć musim.

- Toż w tym i sprawa, by wszystko obgadać, przekonać kogo trza. Kardynał niegroźny, starość to już, co zębów nie ma.

- Ale wielmoże małopolscy murem poza nim stoją.

- Nie wszyscy. I Wielkopolska cała za nami. Jako też wszyscy, co przy maci królewskiej stoją.

Głos zabrał teraz Tieleman vom Wege. I o dziw niesłychany, krewki Torunianin mówił spokojnie, nie ruszył się nawet ze swego miejsca.

- Nie pojmuję, w czym spory? Gadacie, że Polska stawia ograniczenia dla handlu? A czemu inaczej ma robić, skoro i wy kupcom polskim przeszkody stawiacie, jeżeli Zakon takoz je stawia? Sztuczny to podział między naszą i koronną ziemią. Zniknie łajdactwo zakonne, znikną ograniczenia, gdy w jednym połączym się kraju. Przywilejów nam nie poskapią, jeśli silni przyjdziemy. Temu i mówię, że samym nam się wyzwolić, Zakon wyżenąć i dopiero kraj

mając we władzy, ku Polsce przyjdź, nie zaś o wybawienie prosić. Po cóż nasi trabanci, po cóż dalsze zaciągi, jeśli koronne wojska za nas mają Zakon wyrzucać? Tedy będziemy stanowić kraj pokonany, z którym się nie paktuje, jeno warunki narzuca. Dopiero gdy przyjdziem jak równy do równego, nie tylko praw swoich a przywilejów obronim, ale jeszcze i nowe zyskamy.

Konrad Teudenkus zamachał rękami.

- Prawda to święta, ale o tym mówić w swoim czasie będziemy. Wszakci dawno już na Radzie naszej zapadła uchwała zaciężników najmować, zbroić miasta i szlacheckie sadyby. Pieniądz na to nie od dzisiaj kładziemy i kłaść będziemy jeszcze większy. Wszak nie przesądzono wcale, czy wojować będziemy. Tyle, że w pogotowiu trza być. Kto wie, jako się sprawy obróca? Rzecz pilna, by dalej z Polską paktować, przymierze jej sobie zapewnić, pomoc i opiekę królewską. Po temu radzę wyprawić posłów na zjazd parczewski, swoich ludzi do Wielkopolski śłać, zapewnić poparcie kanclerza.

Krzyżacy bez ustanku swych posłów ślą. Czemu nam tego nie czynić? Jan z Jani małoż to wskórał u Szarlejskiego, który nam duszą teraz oddany? A insi wielkopolscy wielmoże? Czemu nie pobróbować w Małopolskiej ziemi? Są i tam możni przeciwnicy Oleśnickiego, z nimi trzeba rzecz przegadać, ukazać wzajemne korzyści. Tenże wojewoda Szarlejski wieści śle, jako komtur starogrodzki w Krakowie starania różne czyni, wiemyż my co o tym? To, że Jan Bażyński we Wrocławiu zdrowie kurując, ważnej materii dyskursu polityczne zarazem wiedzie, samo nie wystarczy. Do króla trza trafić, jego przekonać. Przygotowania czynić, a na decyzję, wojować czy w pokoju praw swych bronić, czas przyjdzie. Na cóż niewczesne spory?

Słowa Teudenkusa trafiły zebrany do przekonania? Po cóż spory, kiedy nie wiadomo, jak się potoczą dalsze wypadki? Przygotowania zaś nigdy nie zaszkodzą. Jeśli się nawet nie użyje broni, czyż to także nie mocny argument na zamachy Zakonu, że stany są gotowe na wszystko? Ani chybi, tak musi być. Przygotowania czynić, na wyrok cesarski czekać...

I jak jezioro po burzy prędko się uspokaja skąpane w blasku słonecznym, tak samo szybko uspokoiły się namiętności wśród członków Tajnej Rady. Dalszy ciąg posiedzenia potoczył się już bez zgrzytów. Uchwalono, kto ma jechać do Polski i w jakim celu. Jednych wyprawiano oficjalnie, innych znów z prywatną wizytą albo w kupieckich zamiarach.

Czas mijał. Północ już dawno wybiła na ratuszowej wieży, minęła i pierwsza godzina. Znużenie ogarniało zebranych. Jerzy Langerbeyn zakończył wreszcie obrady, następne posiedzenie wyznaczając na wczesne popołudnie. Powoli rozchodzili się członkowie Rady do

zajmowanych w mieście pomieszczeń. Na niektórych czekała służba w ratuszowym przedsionku. Zapłonęły latarnie niesione teraz przed związkowcami dla oświetlenia drogi. Nocą łatwo było się potknąć w toruńskich ulicach, kędy leżały całe stosy śmiecia i nikt nie reperował jezdni rozmytych w czas wiosennych roztopów. Nie o takich rzeczach miasto teraz myślało.

Konrad Teudenkus szedł w jedną stronę z Tielemanem vom Wege. Mieszkali nie opodal, przy uliczce Chełmińskiej w prawo od Rynku. Ostatnio blisko współpracowali ze sobą. Teudenkus, zwawy, obrotny, odebrał w Moguncji wykształcenie handlowe, pracował jakiś czas w głównych ośrodkach Hanzy po całym świecie, nim wreszcie na powrót powrócił do rodzinnego miasta. Od razu stał się jednym z najbardziej gorliwych rzeczników spraw związkowych. On prowadził kasę związkową, utrzymywał w porządku tajne księgi, nie zaniechał przy tym własnych spraw, utrzymując rozległe stosunki kupieckie z Warszawą, gdzie gromadził się głównie handel smoły oraz drzewa dębowego i cisowego. To ostatnie szło na wyrób słynnych łuków walijskich.

- Tako mi się widzi, że końca roku spokojnie nie doczekamy - zamyślił się Tieleman vom Wege.

- I mnie się to zdaje. Proces, rzecz jasna, przegramy. Trzeba, byście starali się u cesarza o odroczenie terminu. Każdy dzień dla nas ważny...

- Ba, jeślić się uda! Zakon pojął wreszcie, czemuśmy sprzed sądu papieskiego przenieśli sprawę na gorszy jeszcze dla nas cesarski... Do dalszej zwłoki żadną ceną nie zechcą Krzyżacy dopuścić. - Teudenkus umilkł, a po chwili zapytał już o coś innego:

- Piotr z Wikliny u was się zatrzymał?

- U mnie. Razem z bratańcem i owymi niedźwiedziami z boru, Bratkami ich zwał, co to go z wieży wyrwali...

- Śmiali ludzie... Aż pomyśleć trudno... - urwał, wpatrzył się w migocące przed nimi światełka latarek, zasłuchał w tupot nóg dudniących po kamienistej nawierzchni ulicy. - Poznają jakby głos mojego Hansa...

- Dobrodziej, ja na ratusz pędzę! Prędko śpieszcie do domu. Napad na was zakonni zrobili... - chwytając Teudekusa za ramię sapał zdyszany sługa.

- Napad? Kto?

- Zakonni, toć mówię. Pięciu ich było. Związali mnie i Jadama, a także Jagnieszkę. Dobrodziejkę wraz z dziecięciem w stołowej zamknęli, zakazując krzyku pod grozą śmierci. W gabinet wasz wpadli, szafę żelazną rozbili, papierów jakowychś szukali...

- A, hycle, psiawiary! Ci głupcy chcą jeszcze czekać, paktować! - zaklął szpetnie vom Wege, pośpieszał obok Teudenkusa, który syczał tylko złowrogo przez zęby.

- Praw dalej! - rzucił do służki.

- Pod ten czas przyszedł do czeladnej Kacper od pana Tielemana vom Wege, postrzegł co się dzieje, rozwiązał nas. Tedyśmy sprowadzili wraz inszych ku pomocy, hurmem wpadliśmy na nich. Bronili się, mnie też któryś mizerykordią przez ramię przejechał, tyle, że bokiem poszło, krzywdy nie zrobiło... Jęli uciekać.

Tośmy dwóch ułapili, związani doma siedzą, pilnujemy ich. Połaskotaliśmy jednego nożem po gardle, wyznał, że od wójta są posłani, jakoweś księgi mieli unieść, nie daliśmy, dziękować Maryi Pannie...

Teudenkus przystanął, tak go zdumiały te wiadomości. A potem wybuchnął szczerym śmiechem. Przyjaciel spojrzał na niego zdumiony, słudzy cofnęli się, nie wiedząc, co sądzić o zachowaniu pana.

- Wiesz ty, vom Wege, czego oni szukali? Wiesz? Oto ksiąg związkowych! Chcieli wiedzieć, wiele i kto wpłacił podatku. A te księgi, te księgi od niedzieli pod strażą trzymam zamknięte w ratuszu. To się nabrali, cha! cha! cha!

Zaśmiał się i Tieleman vom Wege. Nie śpiesząc już szli teraz ku wąskiej bramie, kutej w żelazie. Pachołek z latarnią oczekiwał u progu.

- To ci hycle dopiero! No, już ja przyłapię tego wójta - od nowa jął pomstować krewki Tieleman vom Wege.

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

13 aj pyska, Sandor, jak mi miecz miły, udałeś mi się, niedźwiedziu - choć wcale niemałego wzrostu, z trudem potrafił objąć olbrzymia i aż na palce wzniesć się musiał, by na małej, pogodnej jego twarzy wycisnąć lepkie piwem pocałunki.

Sandor spojrział na druha rozjaśnionym wzrokiem. Podobał mu się ten rycerz bez lęku, odważny aż do przesady i w gębie i w mieczu. Poznali się przypadkiem, kiedy to wysłannik wojewody Szarlejskiego udał się z listem polecającym do kasztelana sądeckiego. Piotr z Kurowa serdecznie przyjął pruskiego wygnańca, zatrzymał przez parę dni u siebie. Zaprzyjaźnili się przez ten czas i z kasztelanem, i z jego kompanionami. Przy pijatykach dowiedział się Sandor wielu ciekawych rzeczy o ludziach z otoczenia królowej Sońki. Wielu z nich byli to partyzanci i konfederaci z roku 1439, gdy Spytek z Melsztyna i inni podnieśli bunt przeciw możnowładztwu małopolskiemu. Do takich należał Mikołaj z Witowie Pieniążek, zawadiaka i wagabunda, że ze świecą drugiego takiego szukać, ale człek przy tym prawy i - jak Sandor mawiał - z głową na swoim miejscu.

Pieniążek był szczery w przyjaźniach. Powiedział, że nie opuści Sandora, i rzeczywiście, przeniósł się razem do maleńkiej gospody podkrakowskiej, w której szlachcic pruski stanął kwaterą.

Sandorowi było to jak najbardziej na rękę. W trudnej misji, jaką miał do spełnienia w obcym, nieznanym sobie mieście, niewiele mogli mu pomóc ci panowie z grupy „Młodszych”, którzy razem z Wielkopolanami i otoczeniem królowej prowadzili walkę z kardynałem i jego poplecznikami, Tęczyńskimi, Melsztyńskimi czy Tarnowskimi. Taki Jan Kuropatwa, Piotr z Kurowa czy Tomasz Sancygniewski, których wskazał mu i zaopatrzył do nich pismami wojewoda bydgoski, obracali się w kręgach wyższej polityki ani im mięszać się było do spraw takiej natury jak obserwacja poczynań starogrodzkiego komtura. Co najwyżej mogli przekazać rycerzowi pruskiemu wiadomość kiedy Krzyżak został przyjęty przez Jana Rytwiańskiego i kto w otoczeniu Oleśnickiego z nim konferował. Ale to były jawne wizyty, gdy tymczasem prawdziwe zadanie komtura polegało na czymś zupełnie innym i tego miał się właśnie Sandor Wielki wywiedzieć.

Tymczasem Pieniążek wszędzie miał znajomości, druhów liczył i wśród sławniejszych rycerzy i wśród małych szlachetków. Wszyscy dawniejsi a po cichu także i teraz sprzyjający husytom rycerze darzyli zaufaniem dawnego partyzanta, gdyby zaistniała potrzeba, gotowi byli głową i mieniem przyjść mu z pomocą. Mikołaj zapalił się do misji Sandora, tak potrafił obstawić komtura swoimi ludźmi, że żaden niemal krok jego nie uchodził ich uwadze. A było co obserwować. Sandor zdumiewał się, jakie znajomości posiadali Krzyżacy, aż za głowę się łapał na brzmienie nazwisk ludzi, pozostających w cichych kontaktach z Zakonem. Bez pomocy buńczuczego Mikołaja nie byłby uzyskał ani części tych informacji.

Z całą serdecznością oddawał teraz uściski, a jego maleńka, łagodna twarzyczka promieniała radością.

- Braciszku mileńki - sapał.

Drzwi niewielkiej izdebki otwały się z trzaskiem. Stanął w nich wąsaty jegomość, twardym głosem rozpoczął:

- Na rozkazanie pana rotmistrza...

Pieniążek choć nie do niego zwrócone były te słowa, zamachał dłońmi, odrywając je od cielska Sandora.

- Tu nie rota, abys powinności żołnierskich dopełniał... Siadaj Macieju, łyknij no piwa.

- Na rozkazanie - trzepnął nogami przybyły, posłusznie usiadł za stołem. Z przechylonego kubka piwo wlało się w gardło szeroką strugą. - Uff, jakim Kiełbasa, to mi gorąc piekielny w tym całym Krakowie... Wieści mam nowe. Kiepsko coś z naszym komturem. U kupca Wenigrodera za Bramą Floriańską pieniądze dzisiejszym rankiem pożyczął. Wiele wywąchać nie mogliśmy, w kabzie jemu nie siedzim.

- Tyle tych nowin?

- Jeszcze to rzec pragnę, że od podkomorzego był ów szlachcic czerwony na gębie, długą rozmowę wiedli. Potem szlachcic odjechał za miasto w stronę Kalwarii. Nie sprawdzaliśmy, nie było rozkazu.

- Ostał kto przy nim?

- Jaśko i Michał mają baczenie. Nic się tam nie stanie nowego.

Ku zdziwieniu Sandora Mikołaj Pieniążek nagle spoważniał. Siadł wygodniej, rozstawił szeroko nogi, aż widać było łąkę na lewym bucie, tarł czoło w wielkiej zadumie.

- Co ci, Mikołaju?

Strzepnął dłońmi na znak, że nie chce, aby mu przeszkadzano. Zamruczał coś pod nosem. Znów potarł czoło.

- Niejasna dla mnie sprawa z podkomorzym krakowskim... Wiesz przecie, mileńki, że Piotr Szafraniec, chociaż do panów koronnych należy, to zbój i rabuś, że gorszego w całym kraju nie ma... Król go ma w wielkiej niełasce, ale nic mu zrobić nie może, bo wielmoże go osłaniają. Wždy on parę sotni ma rabusiów, zbójów wszelakich, co kupców napadają po drogach i szlachtę, ba, i chłopków nędznych także im mienie łakome. Próbowano sądy nad owym Szafrąncem czynić, zawsze był w niewinności zwalniany, choć każdy go wiedział za zbója. Sumienia człek ten nie ma ni czci. Jako pierwszy raz widział się z nim wasz znajomek zakonny tuszyłem, że to przypadkowa znajomość. Podkomorzego trza znać. Jeśli zaufanego posyła, to ma jakąś niecnotę na myśli... W to by trza wejrzeć. Tylko jak?

- Otóż to. Tylko jak? - zafrasował się z kolei Sandor Wielki.

Kielbasa, szlachetka chełmiński z półpłachcia ziemi, dokąd przywędrował od wielkopolskich stron, spędzający żywot na służbach wojskowych, nie mówił nic, patrzył tylko na obu przyjaciół swymi spokojnymi, niebieskimi oczyma. Stropił się dopiero, gdy Pieniążek natarł nań ostro.

- Zali komtur sum większych od kupca owego dziś nie brał? A także czy ów szlachcic czerwony na gębie był przed ową wizytą u Wenigrodera, czy też już po niej?

- Później był.

- Toś kiej. Musiał komtur wziąć pieniądz na oblig zastawny. Tak oni robią, by sum znaczniejszych ze sobą nie wozic. Może zapłatę dawał Szafrąncowi za niegodziwość jaką?

- Mnie się nie widzi to, panie. Wczorajszym dniem gospodarza podpiliśmy, u którego komtur stanął ze swymi. Narzekał tenże gospodarz, że od niedzieli już mu nie płacą, a i z inszych rzeczy wnioskował, iż fortuną ów rycerz zakonny, tfu, na pohybel, nie śmierdzi.

- Niedobrze wszako. Trza wam wiedzieć, że nieprzezpieczne są te znoszenia z Szafrąncowymi rabusiami! Oni wszystkim trzęsą z rozkazania podkomorzego. Wielmoże wspierają go, kryją, bo im ten rozruch na rękę...

- A czemuż to? - rozdziawili gębę Sandor i Kielbasa.

- Temu, że przez to samo król poważania nie ma, tumult przeszkadza mu w walce z panami. Kardynałowi i inszym w to tylko graj...

Tamci zdumieni trzęśli głowami. Nie mieścił tego rozum.

- Nie, być nie może, aby komtur był bez pieniędzy! Musiał przecie wziąć sporo ze sobą. Zakon bogaty, toć nie nowina nikomu, jako pieniędzmi sieje na prawo i lewo,

przekupstwem działa. Skądżeby wielki mistrz tylu zauszników swoich tu znalazł, gdyby nie złoto, na które wszyscy oni łasi jako koty na sperkę?

Kiełbasa pokręcił się niespokojnie na ławie. Otworzył usta raz, drugi, jakby chciał coś rzec, potem zamykał je szybko od nowa. Sandor patrzył na wiernego zabijakę ze wzrastającym zaciekawieniem. Kiełbasa musiał coś wiedzieć, boi się tylko mówić.

- A będziesz ty mi, jak ryba na piasku, głęba ruszał? Gadaj wraz nad czym tak dumasz? Hej, Macieju, Macieju... - przysunął bliżej swą pięść, taką, że wołu by lekko nią zabił.

Kiełbasa stał się nagle czerwony, policzki wydeły mu się, oczy wyszły na wierzch. W końcu zdobył się na odwagę, wybąkał:

- Na pewno nie miał sum większych przy sobie. Wiem o tym, także Jaśko i Michał mogą przyświadczyć. Ot jak, tfu, na pohybel!

Sandor Wielki ścisnął za ramię swego zastępcę w rocie. Tamten aż się przygiął ku ziemi, mimo że uścisk zdawał się być zupełnie lekki.

- Skąd wiecie?

- Adyć nie gniewajcie się, panie rotmistrzu. Strach było się przyznać, boście rozkazali, aby gwałtu jakiego Krzyżakom nie czynić. Ale jako tylko ujrzę takiego gada, strzymać nie można, tfu, na pohybel... Tako było i w drodze, jakeśmy jechali zą nimi przez Polskę. Zdarzyło się za Koniecpolem, nad Pilicą, gdy komtur stanął w owym zajeździe, który w zrujnowanym zamczysku się mieści... Tośmy tedy, Panie Boże wybac, troszkę sakwy im pomacali, nie żeby, tfu, na pohybel, zabrać cokolwiek, ale ot, dla pewności, żeby znać lepiej, z kim się ma do czynienia. Przecieście panie rotmistrzu, ostro kazali, że baczenie na nich mieć trzeba okrutne...

Pieniążek aż zatrzepotał rękami o boki, taki śmiech szczery go porwał. Nalał czym szybciej piwa do kubka podawał:

- Pij, Macieju, lubię ja takich żołnierzy, lubię, jak mi miecz miły! I jeszcze jednego, warto, zasłużyłeś pocziwie.

Maciej pił, ale nadal czuł się niepewnie, z ukosa spoglądał na swego rotmistrza. Sandor też już poczuł ochotę do śmiechu, ale całą siłą starał się utrzymać marsowy wyraz twarzy. Krzywił więc twarz patrząc, jak zmoczone w piwie wielkie wąsiska żołnierza obwisły zbrukane pianą. Klepnął go już tylko przez ramię, aż tamten spadł ze stołka, oblewając się resztką piwa.

- A za cóż tak, rotmistrzeńku, tfu, na pohybel... to jest, chciałem rzec, ten tego...

- Gadaj wraz, coście zoczyli? A nie poznali, że ktoś im sakwy przewracał?

- E tam, zwyczajni my takich rzeczy w wojennych wyprawach... Pieniądze były, aleć niewielkie. Aż dziw nas brał.

- Papiery jakie były?

- W sakwach nie. Chyba, że przy sobie. Aleśmy i to poznali, tłok pewnego razu wraz po przyjeździe do Krakowa robiąc. Wymacałem dokładnie, nijaki pergamin nie zaszeleścił...

Pieniążek wciąż za brzuch się trzymał ze śmiechu. I wciąż łał piwo do Maciejowego kubka. Kielbasa korzystał z okazji, nader skwapliwie wychylał trunek.

- Wiesz co, Sandorze, niedźwiedziu? Jako swoją rotę na Prusy będę prowadził, odstąpisz mi Macieja, jak mi miecz miły! Dwudziestu rezolutów takowych, a podjąłbym się konkurencję Szafrącowi w Krakowskim robić i rzezimieszków jego łupić ze skóry.

- Jaśko i Michał takoz, panie, nie gorsi... - sapnął Kielbasa między jednym łykiem piwa a drugim. - My tak już drugi dziesiątek lat razem wojujem, lepszej doli po świecie szukając.

- Nic im nie wzięliście? - znowu gniew ogarniał Sandora.

- Ani grosiczka, jak Bóg na niebie... Myż nie złodzieje. W walce komu odebrać, inaksza rzecz, ale kraść, to tylko Krzyżakom się godzi. Ochota była wiedzieć, co gady wiozą...

Pieniążek znowu siadł zamyślony za stołem. Tarł przez chwilę łysinę, potem stwierdził krótko:

- Dla mnie sprawa prosta. Sprawdzę przez znajomków między kupcami, a najdę takich, pożyczal komu ów Wenigroder większe pieniądze, czy nie... Bo tak mi się widzi, że komtur oczekuje tutaj na kogoś. Patrzcie, od niedziel dwóch mało się gdzie rusza. Owych dwóch jego pómcnych na Morawy zdążyło zajechać i wrócić. Wizyty wszelakie w pierwszym tygodniu pobytu złożyli, owe ciche rozmowy też śledziliście przecie. A teraz siedzi, nie wiedzieć czego wyglądając... Czy nie doszła was wieść, aby kto z Zakonu przybywał?

Maciej przecząco pokręcił głową.

- Może na króla miłościwego czeka? - wtrącił Sandor.

- Króla? Zali to można wiedzieć, kiedy Kazimierz z Litwy powróci? Tam już mu Gasztołdowi ciągiem mięszają niby kopyścią w garncu. Ha, czekajcie no, jak mi miecz miły, króla nie będzie tak rychło w Krakowie, przecie na ostatni dzień maja zjazd naznaczon w Parczewie... Komtur nasz nie może posłować, pocztu ni zleceń nie ma, zapytywałem wszak w kancelarii królewskiej. Inna jakaś sprawa... I te z Szafrąncem knowania... Czymś nieczystym tutaj mnie pachnie.

Maciej, który co jakiś czas łapał się z posykiwaniem za ramię, w które trzepnął go Sandor, słuchał uważnie, coś medytował. Nie żałował przy tym piwa, które mu życzliwie wciąż podlewał były spiskowiec i partyzant husycki. Wreszcie podniósł się, zachwiał się lekko, wyprostował przed olbrzymim swoim rotmistrzem.

- Panie rotmistrzu, za rozkazaniem! Odchodzę do swoich. My już tam przemyślim se wszystko, tfu, na pohybel...

Ujął za klamkę, gdy drzwi otworzyły się same, naparte z przeciwnej strony. Ukazała się w nich głowa gospodarza zajazdu, cichego człeka z wielką bojaźnią obchodzącego dokoła wszelkich rycerzy...

- Wasze miłości, o wybaczenie pokornie proszę, że spokój zakłócam, ale tu panowie jakowis, zbrojni, gwałtem się pragną widzieć z wraszą miłością.

- Jako się zwą?

- Bóg raczy ich wiedzieć, jam nie pytał, oni się mnie nie meldowali... Jeden okrutecznie wygląda, wychudły, oczy mu tylko siwe na strony latają... Dwóch jeszcze młodzików przy nim, ale także być muszą rzezaki, że Matko Święta pomiluj... I służby kilkoro.

Nim Sandor zdołał zastanowić się nad odpowiedzią, gospodarz odrzucony został nagle jak worek na bok, w ślad za grzmiącym głosem ujrzeli obecni w izbie owego okrutnego rycerza.

- Melduj, kpie, rzekłem, a nie miał jęzorem. Bywaj, Sandor, poznajesz znajomka?

- Jaważ to, czy człek żywy? Piotr z Wikliny? A niechże cię uściskam, kumotrze!

Ruszyli ku sobie z rozwartymi ramionami. Obecny zdało się, że Sandor Wielki zgniecie w objęciach chudego rycerza, tymczasem zdumieli się słysząc, jak tenże Sandor zastękał ciężko.

- A niechże cię, siła zawdy ta sama... Baczcie, panie Pieniążek, jedyny to człek w Prusiech, któremu muszę w sile ustąpić... - dostrzegł, że gospodarz z wytrzeszczonymi oczyma stoi ciągle koło drzwi.

- A pójdziesz? - tupnął nogą. Zadudniło jeno i śladu już z gospodarza nie było. - Siadaj miły, jakżem ci rad! Pewnie wieziesz nowiny?

- Zdrożon jestem. Dobrześmy pędzili. Wolno, bo jeździć nie umiem, choć po prawdzie, niewiele mnie ponaglało... Od rana cię, brateńku, szukamy po mieście. Czekaaj, niechże się z imćpanami zapoznam, a i swoich za wezwę.

Wychylił się, wołał Eryka wraz z Edwinem. Podał rękę Pieniążkowi i stojącemu z rozwartą gębą Maciejowi Kielbasie. Ten ostatni aż się zachłysnął podziwem.

- Zaszczyt niemały, iż tak zacnego rycerza poznaję... Piotr z Wikliny, tfu, na pohybel, jakież głośniejsze imię w Prusiech?

- To mój brataniec, a to syn zacnego obywatela z Warclawek. Razemśmy przybyli pospołu ostatni czas dolę dzieląc... Z paru inszymi jeszcze z wieży mnie dobyli, w zamku pasłęckim, gdzie końca żywota zamyślał już czekać...

Gdy spełnili powitalne kubki piwa, Piotr z Wikliny rozejrzał się dokoła, rzekł do Sandora.

- Tuszę, że dobrze byłoby pogadać nam gdzie na osobności...

Na te słowa obaj młodzi rycerze natychmiast podnieśli się z miejsc - Pieniążek bacznie spojrzął na gospodarza, zaśmiał się, klepnął Kielbasę po zbolałym ramieniu, aż ten zajęczał o litość.

- Chodźmyż i my, pogadamy o naszym komturze... Coś mi w czerepie się troi...

W izbie nastąpiło milczenie. Sandor Wielki patrzył z żalem na wychudzoną, naznaczoną przebytym cierpieniem twarz starego druha. Tylko rumieńce, które zabarwiły lekko zapadłe policzki, zdawały się świadczyć, że Piotr z Wikliny wraca powoli do zdrowia. On sam zauważył spojrzenie olbrzyma, uśmiechnął się.

- Już mi wróciło to, co wyciągnęły błoto i mury... Więcej bałem się o Eryka, bratanka mojego. Na murze pasłęckim mocno go po łbie trzasnęli, trochę, a po nim by było...

- Powiedzże bliżej, dziw mnie to. Z Pasłęckiej, powiadasz, wieży? Z rąk Henryka von Plauena, gada krwawego? Nie do wiary, nie do wiary, braciszku!

- To później! Tuszę, że jeszcze dni kilka w Krakowie zabawim. Ciekawe mnie wydaje się sławetne to miasto, raz jenom tu bawił. Patrzyłem teraz na wieże, jako łykały w słońcu. Potężny gród, nie wiem, azali go i z Królewcem czy Gdańskiem mierzyć można?.. Zwolisz, że piwa łyknę, bo gardło suche... Mam dla ciebie od Związku przykazy, tudzież jeszcze zlecenia od Jana z Jani i brzeskiego wojewody...

- Widziałeś się z panem moim, Szarlejskim?

- Tak... wszystko ci rozpowiem. Mam do załatwienia spraw parę w Krakowie. Takż w razie potrzeby tobie pomoc mam dać...?Potem razem do Wrocławia pojedziem, stamtąd zaś z poselstwem naszym na sąd cesarski, uda się, to aż do Wiednia... Pojmujesz?

Sandor wytrzeszczył swe oczka. Nie, nie bardzo pojmował. Przecie musi sprawozdanie złożyć, co tutaj uczynił, a wnosić trzeba, że nie blahe to wieści.

- Sprawozdanie złożysz przed imć Janem Bażyńskim we Wrocławiu, on je na Bydgoszcz i Toruń przekaże. Tako mi powiedziano... Widzisz, dla osłony poselstwa ludzi trza pewnych, a niedobrze było za wielkim pocztem ruszać, by podejrzeń nie budzić. Pieniądze

okrutne, dary bogate i papiery ważne posłowie wiozą. Przez Polskę przepiecznie jechać, potem może być droga trudniejsza i dlatego my, a może i kto inny jeszcze we Wrocławiu przyłączy...

- Aha, aha - kiwał głową Sandor, oszołomiony tymi wieściami, które się zwały nań tak niespodziewanie.

- Co to za człek był, ówże Pieniążek?

- Zaufaniec sądeckiego kasztelana, który wielce nam sprzyja, bliskim będąc królowej. W cichości ci rzeknę, że to stary partyzant i wojownik husycki. W jedno ze Spytkiem z Melsztyna przeciw wielmożom i biskupom wojował... Pomnisz, jako Krzyżaków pędzili owi husyci?

- Pomnę tako, że i ziemię chełmińską pospolite polskie ruszenie zniszczyło tedy do cna... - burknął niechętnie Piotr z Wikliny.

- Nie nam krzywdę czynić chcieli, jeno Krzyżakom - bronił Sandor. - A ów Pieniążek to człek pewny, a śmiałek, że chyba z tobą mu jeno się równać. Wiele mi pomógł w krakowskich sprawach, tuszę, że i dalej pomoże..

- Wszak nie trza mu wszystkiego powiadać. Pomnij, że nie każdą rzecz dobrze na świat wywlekać. Działaliby tako nasi jaszczurkowcy, gdyby jawne były ich nazwiska i poczynania? Oni Związkiem Pruskim kierują, a nikt nie wie nawet, jakim sposobem... Czas gorący, w Prusach wre, patrzeć jeno, jak buchnie... Po tom także do Krakowa przybył, by zwiedzić się o zaciągach. Wszystkim nam jasno się widzi, że proces na nic, trzeba wojnę sposobić...

- Dałżeby Bóg na niebie - przeciągnął się Sandor, aż zatrzeszczały potężne kości. - Powiadajże teraz bliżej o wszystkim. Jam tu bez wieści od dawna, radość, że od wojewody, jako też od Jana, krewniaka mojego, znaki przywozisz. Należy piwa, wraz po nowy dzban słać każę. Nie żałujem sobie tego przysmaku, tylko w Prusach on drogi... Z rotą w Bydgoszczy stojąc, takż bezczynność piwem tym umilałem, inaczej bym wychudł z tęsknicy na szczapę.

Piotr z Wikliny spojrział na masywne cielsko druha i pierwszy raz od przybycia zaśmiał się pełnym głosem. Aż echem uderzyło o ściany.

ROZDZIAŁ DRUGI

Od wypadków w zamku pasłęckim Eryk ciągle jeszcze pozostawał w stanie jakiegoś odrętwienia. Radość z uwolnienia stryja także nie była pełna, mimo iż wazyli się przecie i

dokonali czynu niebywale ryzykownego. Uderzenie obuchem sulicy w głowę nie minęło tak lekko, jak przepowiadał to Bratek. Silny wstrząs, potem zaś szaleńcza ucieczka i droga do Torunia do reszty wyczerpały młodzieńca. W gościnnym domu Tielemana vom Wege rozchorował się, paliła go gorączka, majaczył coś, plótł trzy po trzy. Wezwany stary medykus stwierdził wstrząs głowy, przystawiał pijawki, stosował ziołowe okłady. Powoli choroba mijała.

Piotr z Wikliny z dnia na dzień odkładał przez to swój wyjazd do Krakowa. Bardziej może niż kiedy poczuł teraz, jak serdecznie przywiązany jest do bratanka, jedyne go żyjącego członka swojej rodziny. Dzielny rycerz, sam wycieńczony długim pobylem w wilgotnej wieży pasłęckiej, do tej chwili nie uświadamiał sobie w pełni faktu, że komuś udać się mogło tak ryzykowne przedsięwzięcie. Po dziesięć razy wypytywał Edwina z Warclawek i Bratków o szczegóły wyprawy. Kręcił w podziwie głową, serdecznie utulił starego myśliwca.

Jedno mu tylko się zdawało dziwnym w całym opowiadaniu, mianowicie konfidencja Eryka z linoskoczkami. Zofijka - o której ostrożnie napomykał Bratek, a jeszcze skąpiej cedził słowami Edwin - stanęła nagłą, niebezpieczną zaporą na drodze rojeń Piotra o przyszłości bratanka. Piotr z Wikliny zamyślał, by kiedyś, po uspokojeniu się wrzenia w Prusach, po szczęśliwym zwycięstwie nad Zakonem krzyżackim, ożenić Eryka z jakąś zamożną panną ze szlacheckiego rodu, przekazać mu swoją majątność i w ten sposób widzieć powrót własnej rodziny do dawnego znaczenia. Przerażało go uczucie bratanka do komediantki niskiego pochodzenia. Znał Eryka, wiedział, że z uporem młodzieńca trudno będzie poradzić...

Przystawał w te ciężkie dni nad łóżem chorego, słuchał jego majaczeń. Imię Zofijki powtarzało się często, wymawiane z lękiem jakimś i serdeczną tęsknotą. Potem, gdy Eryk szybko już zaczął powracać do zdrowia, zamilkł nagle i nic na ten temat nie można było od niego usłyszeć. Zresztą mało się wtedy i widywali. Piotr z Wikliny odkładał wciąż wyjazd do Krakowa i potem dalej, na WrSclaw, czekając na polepszenie zdrowia Eryka, którego pragnął zabrać ze sobą. Prowadził przez

.; ten czas rozmowy z wybierającym się w poselstwie do cesarza Ramszem z Krzykosów, widział się z Janem z Jani, który bliżej wprowadził go w sprawy małopolskie, odwiedził też po polskiej stronie w Bydgoszczy wojewodę Szarlejskiego, uzyskując odeń dodatkowe instrukcje.

Wreszcie nie można było dłużej odkładać podróży. Eryk czuł się nieźle, mógł siadać na konia. W ostatniej chwili wprosił się do nich Edwin z Warclawek. Sędzia z Krzykosów w zastępstwie ojca zezwolił mu na to. Ostał natomiast stary Bratek wraz z synem. Dzięki

pomocy Piotra z Wikliny nadarzyła się okazja zaciągnięcia się do toruńskich oddziałów zaciężnych. Bratek stworzył własną rotę, z dumą mienił się teraz rotmistrzem. Mała to była rota, ledwo piętnastu chłopów liczyła, ale zawsze stanowiła już zaczątek oddziału... Myśliwiec serdecznie żegnał swoich przyjaciół, snując plany na przyszłość, jak to walczyć będą z Krzyżakami...

W Krakowie, dokąd przybyli bez żadnych przeszkód w podróży, Piotr z Wikliny zajął się własnymi, poufnymi sprawami, które powierzył mu Związek Pruski. Zatrzymał się w tej samej gospodzie, w której wcześniej stanął ze swymi Sandor Wielki. Raźniej tak było, weselej, mógł dopomóc jeden drugiemu w razie potrzeby, i dalsza droga przecie zapowiadała się wspólna.

Eryk nadal był milczący i skupiony w sobie. Tak, jak w czasie podróży, podobnie i teraz, na miejscu, wodził smutnie osowiałymi oczyma. Nie potrafił uzmysłowić w pełni ostatnich wydarzeń, wtedy, gdy znaleźli się już z więźniem na baszcie i murach warownych zamku. Pamiętał przeraźliwy krzyk Zofijki, jak przez mgłę widział spadającą zwiewną jej postać, jednocześnie czuł ból uderzenia, a potem wszystko zapadało się w niepamięć... Nie wiedział, co o tym myśleć. Czy prawdą był tylko cios knechta na murze, a wszystko poprzednie wymysłem fantazji, czy też rzeczywiście Zofijkę spotkało nieszczęście? Może nawet nie żyje?

W Toruniu wypytywał o te wypadki Bratka i jego syna, mniej już Edwina, który strzegł drugiej strony fosy i nie mógł widzieć, co działo się na zamkowym podwórzu... Bratek wykręcał się, odpowiadał, że nie widział ani nie słyszał niczego. Raz tylko zadał dziwne pytanie, ale i to widocznie jedynie po to, aby odwrócić uwagę młodego rycerza od ponurych myśli.

- Nie wiecie, paniczu, czego bliżej o ślepcu, co to na skrzypcach grywa między komediantami? Głos jego i postawa są mi znajome. Jam go kiedyś już musiał spotkać, i to nie raz... Ćwiekami to w głowie mi siedzi i ani rusz przypomnieć nie mogę. Kto to, co za człek?

Eryk kręcił przecząco głową. Cóż on wiedział o tym najbliższym towarzyszu Zofijki? Wprawdzie mówił coś stary o swojej ślepcie, że jakaś krew, krzywda, że zemsta, ale kto by z tego co wyrozumiał? Wyglądało, że starzec nie jest całkiem zdrow na umyśle...

Jasiek Bratek też niewiele umiał powiedzieć. Jeździł do rybałtów, niemało musiał nacytrować, nim mu się udało spotkać bez świadków dziewczynę, i pokazawszy znak zwierzyć Erykową prośbę. Wahala się, potem obiecała swą pomoc. Miała śpiewać na linie kilkakrotnie dłużej niż zawsze, przeciągać jak najbardziej występ do czasu, aż się odezwie ponowne hukanie sowy... Potem Jasiek peszył się w swym opowiadaniu, mówił, że

zapomnieli huknąć, ale przecie i tak nie było to potrzebne, bo ich spostrzegli... Nie, nie zdaje mu się, aby coś się miało zdarzyć z dziewczyną... Przy tym czuł się jednak niepewnie, kręcił w dłoniach wyszarzałą swą czapkę, zmieniał temat rozmowy...

W końcu Eryk sam już nie wiedział, co zjawą, a co prawdą. Czuł tylko w sobie jakiś ogromny smutek i zniechęcenie. Odzywały się czasem jeszcze bóle w rozbitej głowie, myśli krążyły wciąż koło tych samych tematów...

W zajezdnej przez pierwsze dwa dni w ogóle nie chciał wychodzić z izby. Leżał na ławie, podparłszy głowę łokciem, smutnymi oczyma wpatrywał się w mały skrawek nieba widoczny przez okno. Nie wyruszył nawet na zwiedzenie Krakowa, o którym Edwin opowiadał po powrocie prawdziwe cuda. Nawet pijus i wagabunda Pieniążek, stale przebywający pomiędzy pruskimi rycerzami, nie potrafił rozruszać młodzieńca swymi krotochwilnymi opowieściami. Zresztą i Mikołaj z Witowie częściej przebywał w Krakowie, wraz z Kielbasą i dwoma jego towarzyszami nie spuszczać z oka starogrodzkiego komtura. Przez znajomych mieszczan potrafił wywiedzieć się, że Krzyżak pożyczał od Wenigrodera niewielką tylko sumę na bieżące potrzeby. Wygadał się przy tym, że oczekuje większej przesyłki pieniędzy. Dawny partyzant husycki pewien był teraz, że komtur spodziewa się jakiegoś wysłannika Zakonu. W związku z tym knuli z Kielbasą tajemnicze plany. Domostwo, w którym zamieszkał komtur, omotali całą siecią podsłuchów, znali już nie tylko każdy krok jego, ale niemal że i słowa. Sandor Wielki załatwiał ostatnie sprawy, potem zaś pomagał Piotrowi z Wikliny. Mieli sobie rycerze wiele do powiedzenia, radzi byli ze swej obecności.

Edwin widząc, że Eryk najbardziej lubi obecnie samotność, przyłączył się do Pieniążka i Kielbasy, spiskowali razem z tajemniczymi minami. Eryk rad był z tego, mało nawet interesował się ich poczynaniami. Było mu smutno i przeraźliwie pusto na duszy. Natrętnie brzęczał w uszach krzyk dziewczyny, nie wiedział, prawdziwy czy wymaginowany. Czynił sobie wyrzuty, że nie pośpieszył jej wtedy z pomocą, dopiero przypomniał, że przecie był nieprzytomny, nie było więc to możliwe.

Zastanawiał się nad swym życiem. Zły los mu stawał na drodze. Zakochał się, musiała to być komediantka, nieszlacheckiego pochodzenia, w dodatku nieuchwytna, zmieniająca coraz to miejsce pobytu, że ani wiadomo, gdzie jej szukać czy o nią się dowiadywać. Znowu ten Gruc, zausznik krzyżacki, co oni mają ze sobą wspólnego? I ten ślepy starzec, o którego tak natarczywie dopytywał się Bratek, bąkający ciągle o jakiejś krwi, krzywdzie i zemście? A jeszcze ostre, nieufne spojrzenia Piotra z Wikliny, gdy w jakiegokolwiek rozmowie pojawiała się wspomnienie o linskoczkach. Wszystko to nie wróżyło niczego dobrego, gmatwało się

coraz bardziej. A jeszcze ta sprawa? Czy Zofijka naprawdę spadła z liny? Jeżeli tak, czy żyje, czy nie jest chora, czy nie zostanie kaleką na całe życie? I kto ją ma teraz w swojej opiece, czy nie rzucili jej, gdzieś po drodze, czegoż bo można oczekiwać od takich ludzi jak Gruc? A może się tylko jemu wydawało, może to nie Zofijka krzyczała, albo nikt w ogóle nie krzyczał ani z liny nie spadał... Co w takim razie dzieje się teraz z dziewczyną, kędy przebywa, czy spotkają się kiedy?

Wzdrgał się przed podobnymi myślami, ale nie mógł sobie z nimi poradzić. Pod wieczór drugiego dnia pobytu w podkrakowskim zajeździe wyszedł wreszcie przed dom. Wyszczupłał jeszcze bardziej przez czas choroby i trosk, spowodowanych niewiedzą o losie kochanej dziewczyny. Ciemnobrązowe jego oczy jakby przybrały blasku, lśniły się, gdy tak wpatrywał się przed siebie. Łagodny, rześki wiatr majowy pieszczotliwie przegarniał mu włosy, rozrzucając na boki kosmyki gęstej ciemnej czupryny. Twarz miała wyraz szlachetny, męski przy tym i energiczny.

Wolnym krokiem szedł traktem wiodącym do krakowskiego grodu. Teren tutaj podwyższał się i rozpościerał się szeroki widok na Kraków. Okolony murem, upstrzonym częstszymi niżli gdzie indziej basztami, wytryskiwał spoza tej opaski świeżą czerwieńią murów i strzelistością wież. Na wzgórzu górował Zamek, o którym tyle opowieści krążyło także po Prusach, rozpowiadanych w jesienne długie wieczory. Erykowi wydało się nagle to miasto bliskie i wcale nie obce. Zamyślił się nad dolą swojej babki, która ponoć z polskiego była kraju i jeszcze przed potrzebą grunwaldzką wyszła za pruskiego szlachcica, przenosząc się na jego ziemię. Nie musiała czuć się tam źle. Stosunki z Polską były żywe, szczególnie w pogranicznej ziemi chełmińskiej i całej Warmii i na Pomorzu. Wsie były przeważnie polskie, chyba już tylko w północnej Sambii więcej było kolonistów niemieckich, ale i ci w krótkim czasie zapoznawali się z mową polską, używając jej na równi z niemiecką, jak to było zresztą zwyczajne w całych Prusach. Gdy tak rozmyślał, w sercu Eryka rosło przywiązanie do tego kraju, z którym chcieli złączyć swe losy mieszczenie i szlachta pruska, udręczeni panowaniem Zakonu.

Szedł powoli, jakaś ulga wstępowała w jego sterany umysł, cieszył się ożywionym świergotem ptaków przed wieczornym spoczynkiem, uśmiechał się do szybko pnącego się w górę zboża na polach, do zielonych drzew i krzewów. Nachylił się, zerwał przydrożny kwiatek. Zza opłotków pobliskiej chaty ciekawie spojrziała na niego barwnie ubrana dziewczyna. Tak jak czynił dawniej, spojrzzał zalotnie, uśmiechnął się, dziewczę frunęło za węgiel, widział, jak wyglądała stamtąd ciekawa.

Przystanął, znów spojrzął na Kraków. Słońce dogasało, rozjaśniało niebo czerwonym odbłaskiem. Zapłonęły nagle wieże kościołów i dachy wawelskie. Jakiś szum rozgłośny szedł od miasta na pola, docierał do Eryka, budził w nim od nowa zagasłą młodzieńczą żywość i nadzieję. Zechciał znaleźć się w tym mieście, poznać z jego murami, pokręcić wśród barwnych dziewcząt, posłuchać gwaru snującego się po ulicach tłumu, zasiąść za stołem w jakiejś piwiarni. Postanowił, że następnego ranka uda się do Krakowa, może razem z druhami, może samotnie, toruńskim zwyczajem.

Przyszła mu niczym nie uzasadniona myśl, że na jakimś rynku zoczy grupę wędrownych kuglarzy, a między nimi Zofijkę. Widział niedorzeczność tej myśli, a jednak uchwycił się jej kurczowo sercem i myślą, rozmarzył się o dziewczynie. Wiedział, że na pewno tęskni za nim jak on za nią. Nigdy przecie nie byłaby się zgodziła na pomoc w pasleckich zamiarach, gdyby nie miłowała go serdecznie. Nie pytała przecie, co zamierzają i przeciw komu, z całym zaufaniem przyjęła jego prośbę... Przez to może doszło do tego wypadku... Nie, musiało mu się przesłyszeć, na pewno Zofijka żyje i obaczą się za czas jakiś, a wtedy pomyśli, jakby uczynić, aby już więcej nie trzeba się było rozstawać...

- 'Patrzcie, Eryk... - usłyszał radosny okrzyk przyjaciela.

Edwin nucąc szedł drogą wraz z Pieniążkiem i Jaśkiem, druhem wiernym Macieja Kielbasy, a członkiem rotty Sandora Wielkiego. Maszerowali środkiem traktu, zaczerwienieni, śpiewali wesoło półgłosem. Otoczyli teraz Eryka, potrząsali jego dłońmi. Pieniążek zamruczał, przedtem uważnie się rozejrzawszy dokoła.

- Jutro razem do Krakowa pojedziem. Coś się nam troi, że wyśledzimy zamiary pana komtura, wyśledzimy, jak mi miecz miły...

- Ani chybi! - zapewnił śmieszny, do szczura podobny; piegowaty straszliwie Jasiek, człek chyba trzydziestopięcioletni, od pierwszego wejrzenia po którym poznać można było, że z niejednego pieca chleb jadał, a że i często obchodził się całkiem bez tego chleba. Był to jeden z wagabundów, którzy życie poświęcili żołnierskiej tułaczce, zaciągając się wszędzie tam, gdzie ich potrzebowano, całą radość znajdując w bojach i zwadach.

- Ale mię nogi bolą... Spieszmy do izby, to ci, chłopcze drogi, wszystko rozpowiem. Musisz nam pomóc, bo czuję, że będzie nas większej kupy potrzeba. Kupą, mości panowie, kupą - zaniósł się nagle swym zaraźliwym śmiechem. - Cały dzień łaziliśmy po bazarach a rynkach po zajazdach a gospodach ponurych, aż strach. Komturowi waszemu wycieczek się po mieście zachciało. Sam łaził i służki swoje rozesłał, każdego w inną stronę. Kuglarzy jakowychś szukali...

- Kuglarzy? - Eryk zaskoczony stanął w miejscu. Przypomniał swoje nieokreślone, fantastyczne nadzieje, jakie snuł przed chwilą.

- Ano, kuglarze, cóżeś tak stanął jak oset w zbożu, hę?

Edwin mrugnął do przyjaciela znacząco, ciepło jakoś, serdecznie. Eryk podziękował uśmiechem.

Wpakowali się do izby na pięterku, kędy sypiali Eryk z Edwinem. Pieniązek podrapał się w głowę, podciągnął swój miecz w mocno zniszczonej już pochwie.

- Piwa by się jakiego przydało. W Krakowie ledwieśmy czas mieli spróbować. - Czerwona twarz jego i zapach chmielu mówiły coś zupełnie innego. - Grosza tylko przy duszy nie mam. A do kasztelana mojego daleko, który to zawsze na gardła przyjaciół ma uważanie. Sandor też skąpieje, ostatkiem grosza już goni.

- Da Bóg, pożywim się tymi dniami gotowizną niemałą - z rozradowaniem w piegowatej twarzy sapnął Jaśko wojownik.

- Coś rzekł, kpie? Grosza nam tknąć z owych sum nie będzie można. Toż my nie rozbójniki podkomorzego... Na inny cel fortuna ta pójdzie... Et, dość gadania pustą gębą. Dzień był pracowity, trza, by skoczył z was który po piwa garniec abo i dwa. Ty, Jaśko, biegnij, najlepsze masz nogi. Niech daje po dobroci, bo inaczej roztrącam mu całą budę...

Urwał nagle, bo przy ostatnich słowach za ścianą dzielącą pomieszczenie od strychu, dał się słyszeć jakiś szmer, jakby komuś obsunęło się coś spod nóg. Pieniązek podniósł palec do ust, jednym susem poderwał się na nogi, baczny spojrzeniem powiódł po ścianie, przez chwilę zatrzymał wzrok na wybitym sęczku o łokieć od powały, runął ku drzwiom, zbiegł na dół, stamtąd zaś drabinką wiodącą na strych wdrapał się w górę. Pozostali wylegli za nim, zdziwieni i zaniepokojeni zachowaniem szlachcica.

- A, taki synie, podsłuchiwał nas będziesz?

Z otworu wiodącego na strych ukazały się przedtem nogi, a potem i głowa maleńkiego, zalęknionego gospodarza zajezdnej. Pieniązek w jednej chwili ułapił go za kark zatłuszczonej kurty, jak kota ściągnął z łomotem z drabiny, nie stawiając na ziemi trzymał tak za kołnierzyk w powietrzu.

Maleńki człeczyna zdrętwiał ze strachu, twarz jego powlokła się śmiertelną bladością, stękał strwożonym do ostateczności głosem:

- Miłościwy, jaśnie panie, toż ja tylko za pośladem dla kur, na stryszku ziarno trzymam. Ani mi nie powstało w głowie podsłuchiwanie. Zmiłujcież się, panie łaskawy, za cóż to...

- A do sęka owego wybitego po coś zaglądał, he? Pośladu w naszej izbie szukałeś? - potrząsnął nim jak szczeniędciem, gospodarz jeszcze bardziej rozwierał przerażone oczy, wijąc się na kształt piskorza w twardej dłoni rycerza.

- Tego, ja tylko przypadkiem...

Pieniążek spoważniał. Postawił gospodarza na ziemi. Zwrócił się do swoich druhów.

- Ty, Jaśko, ostań na dole, gdyby kto zajrzał do zajezdnej, mów, że gospodarza nie ma... My go zabierzem na górę, pod ów sęcdek, cha! cha! cha! - w śmiechu tym zabrzmiało coś złowrogiego. Gospodarz złożył ręce jak do modlitwy, otworzył drżące usta chcąc coś mówić, ale szlachcic walnął go tylko w kark, aż się biedakowi nieprzystojnie odbiło. - Milcz, kundlu, i bacz, by ostatnia twoja godzina nie wybiła! Na górę! - zasyczał przenikliwie.

Jaśko niechętnie został na dole. Ciekaw był się dowiedzieć czego o tym szpiegowaniu przez gospodarza. Rzecz wydawała się bardziej niż pewna. Trudno, rozkaz był jednak rozkazem. A Jaśko na tyle zdążył już poznać Pieniążka, by wiedzieć, że niebezpiecznie było sprzeciwiać się mu w czymkolwiek.

Gdy wgramolili się na górę, starannie zamknęli za sobą drzwi. Gospodarz drżał na całym cieie, ale przy tym oczy jego myszkowały po bokach, zatrzymały się na małym okienku, wychodzącym na daszek przybudówki gospodnej. W pewnej chwili skoczył nagle jednym susem ku oknu, znalazł się na framudze, nie zdążył jednak zeskoczyć na dół. Mikołaj z Witowie Pieniążek zwawszy był od wszystkich. W ostatniej chwili ponownie złapał gospodarza za kołnierz, wciągnął do izby, głową wskazując Erykowi, by zamknął okno. Potem rozejrzał się uważnie po ścianach. W jednym miejscu wbity był w ścianę potężny kołek drewniany. Pieniążek nie myśląc wiele zaczepił na nim kołnierz gospodarskiej kurty. Człowieczek chwilę wierzgał nogami, potem obwisł całkiem bezwładnie. Kołnierz zaczynał wpijać mu się coraz bardziej w gardło, twarz sczerwieniała, ale Pieniążek zdawał się wcale na to nie zważać.

- Litości, jasny panie! - zacharczał osobliwy wisielec.

- Pomału, pomału - z flegmą cedził szlachcic wyrazy. - Rzeknij no kpie, podsłuchiwałaś nas?

- Tak, podsłuchiwałem, litości, wszystko powiem...

- Nie wierzę, znów będziesz łągał albo uciezki próbował - mówiąc te słowa Pieniążek wyciągnął zza pasa długi sztylet pięknej flamandzkiej roboty. Wtedy dopiero, gdy dostrzegł, że oczy gospodarza charczącego już tylko niezrozumiałe słowa zaczęły zachodzić mgłą, jednym cięciem ostrza oderznął kołnierz. Właściciel gospodnej zwałił się na podłogę jak dojrzałe jabłko, aż kurz poszedł wokoło.

Pieniążek jakby nigdy nic, najspokojniej przysiadł na zydlu, z zajęciem oglądał łątany swój but. Eryk i Edwin spoglądali na wszystko pełni zdumienia. Nie spuszczaali też wzroku z każdego poruszenia tak niespodzianie odkrytego szpiega, wstyd im bowiem było, że dali się ubiec w zwinności o tyleż starszemu od nich towarzyszowi.

- No jak, szpiegowaleś, czy nie?

- Jaśnie panie, omyłka, gdzie by mnie w głowie? - nie podnosząc się z podłogi zajęczał mały człeczyna.

- Druhowie złoci, pofatygujcie się, powieście go znowu na owym kołku. Już mu tym razem nie pomóżem oberwać się...

- To powiem, powiem, tylko nie wieszajcie, jaśni panowie.

- Gadaj zatem - powoli zamruczał Pieniążek, bawiąc się sztyletem połyskującym w ostatnich blaskach dnia.

- Wczoraj był tu pan jeden, rycerz sławny. Na rozmowę mnie wziął, srebra dał trzy sztuki, dwa razy tyle obiecał prosząc, bym na jaśnie panów szczególną miał uwagę i znać jemu dawał, gdy kogo po wieści za znakiem swoim nadeśle... Tyle wiem jeno, jaśnie panowie litościwi. Ja biedny człowiek, z gospodki tej żyję i z piwa wyszynku... Zarobić chciałem, ani mi w głowie powstało, że to co złego... Litości, jaśni panowie.

- Dość skomlić, huncwocie! - zakrzyknął szlachcic. - Kto był ów człowiek?

- Nie wiem, to jedno rzecz można, iż szlachcic.

- Polak albo kto obcy?

- Polak z całą pewnością.

- Jako się zwie?

- Zaprawdę nie wiem, jaśnie panie...

- Nie łzyj!

- Kiedy nie wiem.

- Na ściankę go!

Gospodarz padł na kolana, w oczach jego czał się już teraz tylko śmiertelny strach.

- Zaprawdę nie wiem, jaśnie panie... Litości... - zaskamlał przenikliwie czując, że go tamci dwaj biorą za resztki kołnierza.

Pieniążek skinął dłonią.

- Doniosłeś już cokolwiek?

- Nie, panie, jeszcze się nikt nie pojawił.

- Aha... I co teraz będzie?

- Ja nie wiem, jaśnie panie.

Szlachcic powstał ze swego miejsca, schował sztylet do pochwy, skrytej pod wierzchnią kurtą.

- Słuchaj. Głupiś i kiep, to ci powiem. Chcę ci rzec, iż po pierwsze, więcej podsłuchiwał nie będziesz. Po drugie, jeśli ów człowiek ze znakiem od szlachcica przybędzie, dasz nam znać. My też z nim ochotnie porozmawiamy. Po trzecie, za owe trzy sztuki srebra, coś je za niecnotę otrzymał, piwo będziesz nam dawał. A pomnij, by dobre było. I po czwarte, nie próbuj komu o nas wspomnieć, teraz' i jako wyjedziem. Po piąte... - tutaj nagle podniósł Pieniążek spokojny swój głos, ostro zakrzyknął: - Po piąte rzeknij, o kogo owemu szlachcicowi chodziło, hę? - wzrokiem wskazał na miejsce, gdzie sterczał w ścianie drewniany kolek.

- O pana Piotra z Wikliny. Rzekł, by mieć go w uwadze i każde słowo pilnie notować...

Eryk i Edwin wytrzeszczyli zdumione oczy. Nawet Pieniążek zdawał się być zaskoczony tym odkryciem. Gdyby szło o Sandora, nie byłoby takiego dziwu. Sandor od dawna siedział w Krakowie, mógł się komtur dowiedzieć o nim i ciekaw był sprawdzić, co robi tutaj człowiek z pruskiej ziemi. Mógł też Krzyżak spostrzec się, że jest śledzony, doszedł przez kogo i ze swojej strony również pragnął mieć wroga pod obserwacją. Ale Piotr z Wikliny, który zaledwie przed dwoma dniami przybył pod Kraków? Nie mieściło im się to w głowach.

- Nie łiesz li?

- Bogiem się klnę, jak zdrowie dzieciak mi miłe, jasny panie...

- No, pomnij! Wiesz ty zaś, do kogo przyjechali rycerz Piotr z Wikliny i rycerz Sandor Wielki? Na specjalne"zawezwanie do kardynała Oleśnickiego, z którym w druźbie ostają. Bacz, byś już nie od nas, ale z jego rozkazu głowy nie stracił.

Kupiec mrugnął tylko w trwodze przekrwionymi oczyma. Jeszcze bardziej wystraszyła go ta nowina. Eryk i Edwin dopiero na widok strachu, jaki przejawiał gospodarz, pojęli słusność i mądrość kłamstwa. Nawet jeżeli gospodarz poda wiadomość tę dalej, będzie to tylko na rękę pruskim rycerzom...

- Precz! I pomnij. Słowo jedno, a zginiesz marnie. Cztery warunki miej dobrze w pamięci. I piwo, bacz, by dobre było, mocno chmielone...

Ledwo powłóczęc nogami, czepiając się poręczy, pociągnął przerażony człowieczek po wąskich schodkach na dół, do izby gospodnej, gdzie rozparty szeroko siedział za stołem Jaśko z przybyłym dopiero co Michałem, pękatym, pleczystym żołnierzem, również z Sandorowej rotty.

Jaśko na widok gospodarza zdumiał się w pierwszej chwili, potem pewny już swego, uśmiechnął się złowrogo.

- Piwo gotuj, dużo ma być! I wołaj na jaśnie panów - tu wypiął dumnie chudą swą pierś - sam nie próbuj bez zawołania na górę wchodzić...

Pieniążek śmiał się do młodych rycerzy, chwając się, że tak trzeba z ludzi prawdę a jeszcze i niezgorsze piwo dobywać, gdy przerwał mu ostry szept Jaśka.

- Ważne nowiny! Michał przyniósł, zziąjany cały, tako się śpieszył. Kielbasa na noc w Krakowie ostaje...

- Oooo! - zadziwił się Pieniążek, spoważniał na twarzy, spojrzął na Michała.

- Przed trzema godzinami zjawił się jakowyś człek nieznany, komtura szukając. Gadali ze sobą czas długi. Tyleśmy później zwiedzieli się, że jutro wczesnym południem raz jeszcze do miasta przybędzie, ale spotkanie mieć mają na innym miejscu... Kielbasa tedy ostał z pacholikiem waszmości, mnie tutaj śląc. Pójdą za owym człekiem, wysledzić go chcą, kędy zamieszkuje i kto zacz jest. Jak się dowiedzą, pacholik waszmości wraz da nam znać. Kielbasa prosił, aby na znak wraz przybywać, obaczyć, zali to nie spodziewane trofea komturowi mają być przyniesione. Tako mu się wydaje, kazał powiedzieć waszmości...

Szlachcic w ręce zaklasnął.

- I mnie się to samo wydaje. Sprawa, znaczy, dojrzewa... No, kędyż piwo wedle umowy punktu czwartego?

Razem z tymi słowami doszedł z dołu smętny głos gospodarza:

- Jaśnie panowie, jaśnie panowie!

- Ha?! - zakrzyknął Jaśko.

- Piwo niesę, wejść na górę czy można?

- Teraz pyta, takie nasienie... - zaklął Edwin.

Roześmieli się wszyscy z całych gardeł.

ROZDZIAŁ TRZECI

Piotr z Wikliny przejęty był czekającym go spotkaniem z krakowskim kasztelanem, Janem z Czyżowa. Wojewoda Szarlejski kładł na to specjalny nacisk, pragnął bowiem, aby zetknięcia przedstawicieli Związku Pruskiego z czołowymi przedstawicielami obozu małopolskiego były jak najczęstsze.

Jan z Czyżowa, członek rady koronnej, należał do ludzi wpływowych, ostatnio zaś objawił pewną przychylność dla sprawy pruskiej.

Sama przychylność nie wystarczała jednak obozowi wielkopolskiemu. Trzeba było wskazać Małopolanom korzyści państwowe i gospodarcze płynące z odzyskania utraconych ziem pomorskich. Za cenę poparcia Kazimierza Jagiellończyka w walce z opozycją Oleśnickiego, obóz szlachty, głównie zaś możnowładztwa wielkopolskiego, wszystkimi siłami narzucał zmiany polityki w stosunku do Zakonu i stanów pruskich. Dążenia te spotykały się z pragnieniami królowej Zofii i oddanych jej ludzi z kanclerzem Koniecpolskim na czele. Pozyskanie przynajmniej niektórych Małopolan stałoby się w tej sytuacji szczególnie ważne.

Jak się sam Szarlejski wyrażał, gra była ostra i nie można było przeoczyć żadnego atutu. Stąd wiosną roku 1453 widziała wielką jak może nigdy ilość gońców i posłów na drogach Korony i Litwy. Stąd brały początek prywatne zjazdy rodów wielkopolskich z małopolskimi, wypływały nagle sympatie i odświeżały się dawne znajomości z czasów wyprawy warneńskiej. Stąd też brały początek próby zjednywania drobniejszej szlachty, która tym samym powoli zaczynała zdobywać prawo głosu w niedostępnych jeszcze dla niej niedawno sprawach wyższej polityki.

Nie można było zapominać o wpływach husytyzmu, który zwyciężony oficjalnie, kiełkował jeszcze tu i ówdzie wcale pocziwie, ciesząc się zresztą cichym poparciem królowej Zofii, wysuwającej na stanowiska państwowe byłych konfederatów Spytka z Melsztyna. Husytyzm znów poprzez swoje hasła społeczne i gospodarcze bliżej wiązał szlachtę z miastami, co w przypadku pruskim było szczególnie istotne.

Postrach zakonnych rycerzy, legendą już otoczony Piotr z Wikliny niezgorzej wyznawał się w trudnych arkanach polityki pruskiej i polskiej. Przychodziło mu to jednak z niemałym trudem. Stworzony był do działania, do walki i zbrojnych czynów. Dyplomatyczne układy, pełne chytrłości i ostrożności mierzyły go zawsze, toteż unikał ich w miarę możliwości. Prywatna wojna z Zakonem, którą rozpoczął przed trzema laty, po wymordowaniu przez Krzyżaków całej jego rodziny, siłą rzeczy ani nie miała widoków powodzenia, ani nawet nie nasyciła gorejącej w nim zemsty. Cóż bowiem za satysfakcję mógł przynieść fakt, że zginął jeden lub drugi z zakonnych rycerzy, gdy pociągało to za sobą odwet krzyżacki na zupełnie niewinnych ludziach, gdy wznagał się terror i coraz większy ucisk oplatał pruską ziemię?

W pierwszym okresie, gdy ból i żałość po stracie najbliższych zaślepiły go całkowicie, nie mogły trafić do Piotra z Wikliny żadne napomnienia ani głosy rozważli. Z kilkunastu oddanymi sobie ludźmi, których większość miała osobiste porachunki z Zakonem, przebiegał kraj jak nocne widmo, wypadał znieczeka, kąsał na wilczy sposób, by znów zaginąć w rozległych lasach i wynurzyć się w najmniej spodziewanym miejscu. Pozostały z tamtego

czasu przyjaźni takie, jak z puszczańskim myśliwym Bratkiem. Potem jednak przyszło zastanowienie. Towarzystwo Jaszczurcze, pracujące w ukryciu, za warunek członkostwa stawiające konieczność nie posiadania żadnych osobistych rozrachunków z Zakonem, rozumiało ból takich ludzi jak Henryk Skolim, jak Brajerski, Piotr z Wikliny czy wielu innych, w słusznej żądzy odwetu siejących mord i pożogę pośród Krzyżaków, nie mogło jednak zezwalać na pogrążanie kraju w bezpłodnych prywatnych wojnach.

Piotrowi z Wikliny wystarczyła łagodna, mądra perswazja. Ukazano mu dalekowzroczność celów Towarzystwa. Wy tłumaczono, że nie w śmierci jednego czy drugiego zeznaczonych krzyżem rycerzy leży spokój pruskiej ziemi i jej obywateli, ale w całkowitym usunięciu Zakonu. Piotr pojął to, potrafił pohamować pragnienie zemsty, stał się jednym z najgorliwszych wykonawców poleceń związkowych.

Zawsze jednak żyła w nim tęsknota za polem wojennym, za podchodami i zmaganiem, jak wybawienia czekał godziny odwetu. Tymczasem cierpliwie wyjeżdżał w różnych misjach do Polski, werbował zaciężne oddziały. Jak przedtem przemierzał kraj z bronią łuskającą w dłoni, tak teraz organizował Związek, przygotowując kraj do ostatniej rozprawy.

Wielu było takich, co od Królewca po Gdańsk wędrowali cichymi, nieznanymi drogami, nieśli zarzewie buntu i walki, ale nieśli też i przykazanie rozwagi... Związek nie lubił posługiwać się na terenie pruskim ludźmi przejrzanymi przez Krzyżaków, próbował wtedy wykorzystywać ich usługi w innych dziedzinach. Dlatego też zaraz po uwolnieniu z rąk mściwego Henryka von Plauena zdecydowano, aby Piotr z Wikliny towarzyszył poselstwu udającemu się na cesarski sąd do dalekiego Wiednia. Nie można było narażać dalej prawego rycerza w niepotrzebnych starciach. Jego odwaga i waleczność przydać się mogły natomiast dla osłony posłów związkowych.

Ponieważ poselstwo miało wyruszyć dopiero za jakiś czas, postanowiono wyprawić przedtem Piotra z Wikliny do Krakowa. Jedną z rozmów związkowiec miał przeprowadzić właśnie z kasztelanem krakowskim.

Czekając w bogato meblowanym przedpokoju, Piotr z Wikliny i towarzyszący mu Sandor Wielki rozmawiali półgłosem. Pałac kasztelański zaimponował im przepychem, nie znanym na pruskich dworach. Nawet 'U wojewody Szarlejskiego w Bydgoszczy nie spotkali się z niczym podobnym. Sandor nie mógł usiedzieć na miejscu, wstawał co jakiś czas z krzesła obijanego pozłocistym adamaszkiem, podchodził do zwierciadła z grubego weneckiego kryształu, wiszącego naprzeciw okien, przyglądał się z podziwieniem swej twarzy, podkręcał wąsa, niesfornie opadającego wciąż ku dołowi.

- Siadaj, Sandor - niecierpliwie posykiwał na niego towarzysz.

Sandor wracał wtedy posłusznie na swoje miejsce. Myślał coś, zapytywał druha:

- A rzeknij mi, bo pojąć nie mogę, czemu to polski kardynał, który przecie i pod Grunwaldem był i później nieraz przeciw Zakonowi powstawał, teraz tak nieprzychylny jest pruskiej sprawie?

- Czemu? A temu, że Oleśnicki pragnie unikać krwi przelewu i stara się o nadanie mu w Rzymie roli mediatora. Tym sposobem chciałby sprawę rozsądzić i upokorzyć Zakon... Przez to samo podniósłby swoją powagę i bardziej uzależnił od siebie polskiego króla...

- Zali możliwe jeszcze pokojowe rozwiązanie sprawy?

- Ech tam! - Piotr gniewnie strzepnął palcami. - Bo to Krzyżacy uznają kiedy przeciwny im wyrok? Mało miałeś dowodów?... Bają zresztą, że kardynałowi ani o Prusy, ani o nic innego tyle nie chodzi, co o tę władzę swoją nad królem, która się mu wymyka z rąk... Widzisz, Kazimierz sam jął mianować biskupów, a to kardynałowi nie w smak. I inszych już król dobiera doradców, nie z tych, co mu Oleśnicki poleci. O to także gniew wielki... A jeszcze litewskie sprawy, spory zajadłe o Wołyń, w czym brużdżą wielmoże krakowscy... Kto tam zresztą co pojmie z tego wszystkiego, nie na moją to głowę...

Sandor wytrzeszczał maleńkie oczka, słuchał z wielkim uznaniem dla rozumu towarzysza.

Sekretarz kasztelański bezszelestnie wychynął spoza zasłony, w ukłonie wskazał dłonią na drzwi. Weszli. Sala była wielka zdobna potężnym kominkiem z rzeźbionym ponad nim herbem kasztelańskiego rodu. Jan z Czynowa siedział za wielkim stołem, na którym rozłożone zwoje pergaminu zwijały się w rurki i wabiły pieczęciami zwisającymi na jedwabnych wstążkach.

Nie zdążyli obrzucić wszystkiego wzrokiem, gdy kasztelan podniósł się żwawo, dostojnie szedł na przywitanie gości. Wysoki był, zażywny, z twarzą okrągłą i krótko przyszyronymi wąsami. Uśmiechał się niby serdecznie, ale w uśmiechu tym tyle było powagi i dostojeństwa, że onieśmielało to pruskich rycerzy.

- Witam, witam, rad jestem z widoku zacnych reprezentantów pruskich stanów, znoszących infamię od krzyżackiego Zakonu...

Po przywitaniu Piotr z Wikliny wręczył kasztelanowi pismo od Szarlejskiego. Kasztelan cofnął się za stół, zapraszającym gestem wskazał gościom krzesła, rozerwał pieczęcie.

- Aha - mruknął czytając. - Już mi to podskarbi przedstawił...

-

%

Rycerze nadstawili uszu, słysząc nazwisko starosty nieszawskiego i inowrocławskiego. Kasztelan nie dodał jednak nic więcej. Rzucił jeszcze okiem na pismo, zatarł ręce, jakby w maju było mu zimno, przysunął sobie krzesło w pobliże rycerzy. Z niekłamaną ciekawością przyglądał się Piotrowi z Wikliny.

- Rad jestem, że tak zacnego rycerza widzę! Wspomina mi wojewoda o przygodach, które ostatnio waści spotkały. Winszuję, bo chyba nieprzyjemna to sprawa znaleźć się w rękach wielkiego szpitalnika Zakonu? Wiemy tutaj co nieco o Henryku von Plauen... Żał, że czas mój krótki, radbym wysłuchał dokładniejszej opowieści o waścinych periculach. Jakoże teraz w Prusach? - pytanie to rzucił innym już tonem.

- Nim zakonnym zdradziecko udało się mnie uwięzić, zjeździłem szmat kraju w związkowych sprawach. Wrzenie ogromne, szczególnie po większych miastach. Pomniejsze ulegają naciskowi komturów, ale po cichu także się opowiadają za Związkiem. Szlachta cała po naszej stronie, prócz może Dzierzgońskiego, kędy sobie wpływy zdobyli odstępcy, zdrajcę niecne, Aleksander Bażyński i Segenand z Waplewa.

- Bażyński? - przerwał kasztelan Piotrowi. - Z tychże to samych Bażyńskich, co i ów Jan kulawy, mąż wielkiego rozumu?

- Brat to rodzony. Okrutnie są na siebie zawzięci. Bażyńskich rodu jest więcej. Bo jeszcze Scibor i Gabriel, co duszą całą trwają przy Związku.

- I cóż zatem ów Aleksander?

- Po niewoli przygarnął ku sobie drobniejszą szlachtę w Dzierzgońskim i Elbląskiem... Jeszcze na Sambii mają Krzyżacy małe poparcie szlachty. Bo Królewiec przy nas stoi, szczególnie Knipawa.

- A co się mówi i myśli o sędzie cesarskim?

- Po prawdzie, to nadziei wielkiej nikt nie ma...

Krzyżacy wielkie pieniądze tam kładą i cesarz jest im podobno przychylny.

- Kardynał ma wiarę, że wyrok będzie dla was pomyślny. Wiem, że pisma w tej sprawie słał do Fryderyka III, tudzież do Eneasza Sylwiusza Piccolominiego... Donosił, że w. Polarczy całej oburzenie jest wielkie na Zakon. Oleśnicki tuszy, że przez to samo papież będzie naciskał na cesarza, by po stronie związkowej stanął, gdyż zależy mu, aby Polska włączyła się do kampanii przeciwtureckiej...

Urwał, bacznie, ale z wyraźną sympatią popatrzał na pruskich rycerzy. Ośmieliło to Piotra z Wikliny.

- Wasza miłość zwoi, że go zapytam, jako w Małopolsce na pomoc dla nas patrzą? Nam bo się widzi, że swego to umu mówimy, iż pokoju już długo nie stanie na naszej ziemi. Są głosy, by w razie, jeśli się Polska nie zgodzi, z innymi władcami w komitywie poczynać. Miasta są temu przeciwne, bo im o handel z Polską chodzi/Szlachta na różne strony się skłania, jedna tylko ziemia chełmińska słyszeć nie chce o innym kimkolwiek poza Koroną...

Zamyślił się kasztelan. Pytanie było zaiste trudne. Podjął powoli, patrząc w oczy Piotra z Wikliny.

- Że Związek ma bliższe znośnienia z wielu wielkopolskimi a i małopolskimi pany, to wam nie nowe. Wszak w radzie koronnej są jeszcze ludzie przeciwni jakiegokolwiek dla was pomocy, poza dyplomatyczną. Oleśnicki to a i co więksi wielmoże, głównie duchowni. Król zdania swego nie wypowiedział, choć serdeczna Wam mać jego mocno na to napiera... Wiele zawisi od tego, jako się powiedzie królowi w Parczewie czy później jeszcze w Piotrkowie. Tam sprawy litewska i poprzysiężenia przywilejów. Jeśli król wygra, pewne, że się ku waszym prośbom łaskawym uchem przychyli...

Poznali rycerze, że kasztelan wie znacznie więcej, ale byli wdzięczni, że nawet tyle zechciał powiedzieć. Jan z Czyżowa uśmiechnął się, dodał:

- Co na dobre się poprawiło, to że Krzyżacy nie mają mocnych obrońców, którzy by chcieli za ich sprawę kruszyć kopije... Cesarz, jako to wiecie, nawet w samym Wiedniu nie siedzi. Dalsi Habsburgowie, jako Albrecht, Zygmunt tyrolski i Władysław Pogrobowiec, dawno potęgę swą zatracili. Na Węgrzech i w Czechach niespokój, a to Hunyady, a to znowuż Jerzy z Podiebrad... Tenże przyjazny Krzyżakom, ale siły nie ma, bo i z Rzymem w zwadzie i husytów nie tak silnie jak dawniej popiera, nie wie kogo wybierać... Rok temu tak nie było, mógł Zakon zyskać całkiem inne poparcie...

- Jeśli co, nie oglądając się na nikogo, sami będziemy wojować - rzekł nagle Sandor, dumnie podrzucił głowę do góry.

Kasztelan ciekawie spojrział na olbrzyma.

- Waśc ninie z samych Prus jedziesz?

Sandor markotnie potrząsnął głową, zaplótł palce dłoni, aż zatrzeszczały w stawach.

- Chciałbym, bo tęskność zre, aż rady czasem dać ze sobą nie można. Ja czekam, rotę mam niezgorszą, postój wojewoda brzeski wyznaczył mnie łaskawie na swoim terenie...

- To może tylko panowie tak ostro myślicie, insi bardziej ostrożność cenią? - zażartował kasztelan.

- Jam człek wojenny, kunsztu dyplomacji mało zwyczajny. Wiem tyle, że wasza miłość niektóre sprawy pruskie znasz lepiej ode mnie, że Związkiem w zno, szeniach będąc.

Ziemia chełmińska wre, całe Pomorze takż. Miasta wielkie, Królewiec, Elbląg, nie licząc już Torunia a Gdańska chwili tylko sposobnej czekają. W Nowym Toruniu pospólstwo ledwie można utrzymać, w biały dzień pod bronią chodzą, na zamek patrzą łakomie. Chłoptwo miejscami rebelię przeciw Zakonowi podnosi... Wszyscy albo bez mała wszyscy! O nas dwu nie ma co mówić, nie my siłę stanowim - zapalił się Piotr z Wikliny, w oczach jego zamigotały mocniejsze ognie.

Zapatrzył się w nie Jan z Czyżowa, mocno ujął dłoń rycerza w gładką swą rękę.

- Zaszczyt to dla mnie poznać takowych rycerzy... Wierzę, że i bez nas ruszycie... Głupia byłaby wtedy dla Korony sprawa, gdyby przepomniała o pomorskim kraju... Cóż, będziem robić co można. Trza się uczyć inaczej nowe czasy pojmosferać...

Powstał. Tamci podnieśli się również.

- Rad jestem, że was wojewoda tu przysłał. Ciekaw byłem, przyznam po prawdzie, pruskich rycerzy... I jeszcze jedno, byłbym zapomniał. Jest tu podskarbi Hińcza z Rogowa, przekazać prosił wiadomość, abyście się u niego zjawili, pilną ma jakąś nowinę. Najdziecie go dziś jeszcze i jutro. Za dwa dni droga nam na Parczew wypada... Bywajcie, waszmoście, zdrowi. Da Bóg, może się w Prusach obaczym...

Gdy owinął ich szumiący gwarem dzień krakowski, Piotr z Wikliny przystanął nagle, rzekł cicho do towarzysza:

- Baczyłeś, z Hińczą rozmawiał, a przed nami udawał, jako nie wie o niczym! Myśli chciał nasze rozpoznać. Nie lubię ja takowych komnat o śliskich posadzkach, bo i słowo i myśl takż się stają w nich śliskie. Politykować nie moja robota... Jedno ważne, że kasztelan zaprawdę zdaje się sprzyjać myśli związkowej... - Urwał, milczał chwilę, jakby otrząsając się z poprzedniego wrażenia. Potem spytał: - A podskarbi kędy staje w Krakowie, wiesz li?

- Wiem - potwierdził Sandor, a po chwili markotnie jakoś potrząsnął głową. - Wszako ja dalej niewiele z tym kardynałem pojmuję? Przecie on takż wróg krzyżacki, nie z dzisiejszych jeszcze dni. A teraz dobrą sprawę hamuje... Ech, miecz mi w rękę, nie dysertowania, bo głupi się od nich robię.

Piotr z Wikliny splunął tylko gniewnie przed siebie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Podskarbi Hińcza z Rogowa bawił tego dnia poza Krakowem. Dopiero następnego dnia o świtanu spodziewano się jego powrotu. Nie dogadzało to Piotrowi, który na ten dzień właśnie miał umówione spotkanie z Czechem Matlaczkiem, werbownikiem zaciągów dla

Związku Pruskiego. Zнали się z nim od dawna, Czech nierzadko zaglądał do Bydgoszczy czy Poznania, w Polsce czuł się lepiej jak w swojej Pradze. Kilkanaście rot trabanckich z jego doboru objęło już służbę po miastach pruskich. Czekало go teraz nowe zadanie. Na zebraniu Tajnej Rady zapadła decyzja ściągnięcia pod granicę większej ilości żołnierzy...

Dwaj przyjaciele powalęsali się jeszcze po Rynku Krakowskim, dziwiąc się panującemu tam ruchowi i wrzawie. Kupcy rozkładali swoje towary w małych kramikach albo zgoła na ziemi. Gęsto kręcili się ludzie różnie ubrani, mieszczenie i szlachta. W stronę Bramy Floriańskiej ciągnęły czasem bogate powozy, woźnice rozpędzali tłumy głośnym wołaniem i palbą z bata.

Prócz polskiego i niemieckiego częsty był język czeski i jakieś inne, zupełnie rycerzom nie znane. Kręcili w podziwie głowami:

- Bogate miasto, wszelakich zacności w nim pełno.

Wstąpili jeszcze na piwo i zjedli co nieco, zasiedzieli się w gospodzie przy wspomnianiu dawnych dziejów. Sandor żałował, że nie ma z nimi Pieniązka, Piotr jednak dotąd nie mógł wyzbyć się nieufności do nowego znajomego. Zawsze był taki ostrożny, minione lata nauczyły go nie zawierzać dopiero poznanym ludziom.

Gdy wyszli, mroczyło już. Tłum żaków przeciągał przez rynek z pochodniami, ze śpiewaniem wesołym, z podrwiwaniem ze spotykanych dziewcząt. Zginęli w jakiejś bocznej uliczce.

Przyjaciele szli powoli, nie śpieszyło się im do zajezdnej. Rozmawiali o zamierzonej podróży wrocławskiej. Piotr z Wikliny nalegał, aby tylko jutrzejszy dzień zabawić jeszcze w Krakowie. Czas mija, gotowi rozminąć się na Śląsku z posłami. Sandor nie przekonany kręcił głową. Przecie nie wiedział wszystkiego o starogrodzkim komturze. Jakże można zostawić sprawę nie ukończoną? Nie mógł jednak sprzeciwić się nowemu rozkazowi. Pograżony w rozterce stawiał olbrzymie kroki, aż go przyjaciel hamował w rozpędzie.

- Jeśliby co ważnego zaszło, niech będzie, jeszcze dzień jeden zmitrzym - niezbyt chętnie zgodził się wreszcie Piotr.

- Gościńce na Wrocław dobre. Rychło dojedziem... - Sandor próbował go udobruchać.

Minął ich jakiś nieznany jeździec, bacznie przypatrywał się obu rycerzom. Zaciekawiony Sandor również wyślepiął za nim swe oczy. Szlachcic, jak można było sądzić z wyglądu, zatrzymał się u wrót ich zajezdnej, przewiązał cugle przy słupie, zniknął w drzwiach gospody. Sandor przyśpieszył kroku.

Gdy weszli, przybyły pił piwo, stojąc przy ladzie. Gospodarz wydawał się jakiś zmieszany, niespokojnie smyrgnął na strony oczyma. Tuż obok siedział przy stoliku pękaty Michał, popatrywał ciekawie na gościa.

Rycerze poszli do swoich komnat. Zdziwił ich Pieniążek, który przyczajony za drzwiami nasłuchiwał głosów z izby gospodnej. Porozumiewawczo położył palec na ustach.

- Wraz przyjdę do was - szepnął.

Jakoż rzeczywiście zjawił się niedługo, wraz z nim przyszedł i Eryk. Stryj bacznie spojrzał na niego, zobaczył żywe błyski w oczach i zarumienione policzki. Chłopak jakby odmienił się, stał się podobny do dawnego.

Piotr z Wikliny poczuł radość rozpierającą mu serce. Pół uchem tylko łowił pełne podniecenia relacje buńczucznego szlachcica. Zapatrzony był w bratanka. Eryk czuł to, wiercił się niepewnie, nie rozumiał, co ma oznaczać stryjowe wejrzenie. Zajrzał mu w oczy, nie, nie było tam srogich błysków, jak zawsze, gdy czegoś był gniewny, a tylko wiele tak rzadkiej w tym rycerzu pogody i ciepła. Młodzieniec zrozumiał, że to miłość przemawia przez stryja, sam się rozczulił. Pieniążek w podnieceniu podnosił głos:

- Michał dobrze słuchał. Padalec rzekł jezdnemu, że dowiedział się jednej tylko rzeczy, jako wy obaj przybyliście ze specjalną misją do kardynała. Ponoć bowiem Oleśnicki bardzo popiera teraz związkowych w Prusach. Tamten był zdumiony, kręcił głową nie przekonany, wreszcie zostawił na ladzie dwie sztuki srebra, szepnął coś o potrzebie bliższych wieści, wraz odjechał tak niespodzianie, jako przybył... Nieznajomy, ale znać z postawy, że szlachcic. Pieska jego mać, z Krzyżakiem w komitywie, bo komuż, jeśli nie komturowi te wieści o was były potrzebne? Żal, że inna okazy ja nas czeka, bo rad bym za nim pojechał, przycisnął gdzie w lesie kolanem na gardło, zaśpiewałby... - twarz byłego konfederata ściągnęła się chmurnie, przelatowały przez nią migotliwe cienie.

Skończył, chełpliwie wpatrywał się w twarz olbrzyma. Sandor rozjaśnił się, zakolebał na zydłu.

- To mówisz, Kielbasa jeszcze nie wrócił? Znaczy to, każdej chwili sam przyjedzie lub pacholika przyśle, może i nocą przyjdzie się ruszyć. Rzec ważna.

- Cały plan mamy gotowy. Tobie, kochanieńki, doma lepiej siedzieć. Piwa mieć możesz do woli, jeszcześmy tamtych sztuk srebra nie wypili, a już dwie nowe na poczęstunek dla nas ostawił ów hojny szlachetka...

- Plany muszę poznać! Z wami nigdy nie wiada, co strzeli do głowy. Pomnij, zem na obcej ja ziemi i gwałt jakikolwiek nam zakazany. Moja rzecz wiedzieć jeno o tym, co się tu dzieje.

- Dobra, niedźwiedziu. Tobie nie gwałtować, to prawda. Ja. co innego! Tutaj żem rodzony, tum chrzest przebywał wody i krwi. A swoje wiem... Spokojny bądź, sławy twojej niczym naruszyć nie zwolę.

- Myślę, że trzeba pogadać z Kielbasą. Chłopisko w ukrojpie kąpane, myśl jaka niegodna gotowa mu przyjść do głowy. Jeszcze, jakeście piwa tyle w siebie naleli.

Mikołaj z Witowie skrzywił się, niepewnie spojrział na Eryka. Ale Piotr z Wikliny właśnie rzekł bratankowi, że pragnie z nim pogaworzyć. Nie było rady, chwiejnym nieco krokiem pociągnął Pieniązek w ślad za olbrzymem, coś tam mruczał pod nosem o swej miłości miecza i Sandora... Olbrzym uśmiechał się pod rzadkimi wiechciami.

Ledwie przeszli do przesiąkniętej odorem piwa izby, w której mieszkali trzej żołnierze Sandora, zaraz za nimi wsunął się cichutko zmęczony do ostateczności Kielbasa. Podniecony był, drzwi starannie zamykał za sobą.

- Na rozkazanie pana rotmistrza! - sprężył się przed Sandorem.

Olbrzym machnął ręką.

- Siądź. I praw, co nowego? Ciekawe rzeczy bo słyszę...

- Jeszcze ciekawsze przynoszę.

Drgnęli wszyscy, skupili się kołem przy Kielbasie, który przegarniał obu dłońmi potężne wąsiska, a niebieskimi, spokojnymi oczyma myszkował dokoła. Ujrzał stągiewkę z piwem, Edwin pojął, nalał pełniutki kubek. Wąsacz wychylił, odsapnął, popatrzał na Sandora, Pieniązka, wlepił wzrok w Jaśka i Michała, znów odsapnął, wreszcie rozpoczął.

- Tfu, na pohybel, kości nie czuję! Psia służba, miasto się bić, szpiegowaniem człek zdrowie tera...

- Gadaj, nie obracaj bez potrzeby jęzorem! - huknął Sandor.

Kielbasa położył palce na ustach.

- Na rozkazanie, panie rotmistrzu. Jenó upraszałbym nie tak głośno przyganiać, tfu, na pohybel... Otóż rzecz takó się ma. Szliśmy w tropy za tamtym, który umawiał na jutro spotkanie z komturem. Wywiódł nas daleko na jedno przedmieście, Krowodrzą ludziska je zwą. Baba jakowaś szpetna noclegi tam trzyma. We trzech byliśmy, bom pacholików waścinych obu zabrał, sprytne to szelmy... - spojrział na Pieniązka, ten skinął potakująco głową. - Dom w oddaleniu od innych. Ani podejść ani czego podsłuchać. A na zachód już mocno się miało, cienie pełzały. Bzy tam na szczęście opodał piękne, gąszcz, że trudno wzrokiem przeniknąć. Siedzimy, ziąb chwyta, już i ściemniało, nie wiada co robić. Próbuujemy podsunąć się bliżej, a tu psisko gwałt czyni, pysk drze. My znowu w krzaki. I tedy ów pacholik mniejszy się przydał. Puściłim go samego, aby, podróznego udając, na nocleg się

wprosił. Poszedł, małą godzinę tam siedział, ściemniało tymczasem zupełnie. Tedy wyszedł, niby to za swoją potrzebą. I psa czymś złakomił, że poszedł za nim. Tak się dowiedzieliśmy wszystkiego... Uff, na pohybel, w gardle sucho.

- Dajcie mu piwa, niech się nażłopie - sarknął Pieniązek.

- Uff, dobre, chmiel mocny... Tako wyszło, że to komediany. Zgadza się? Bo to i komtur tamtymi dniami za komediantami jakowymiś szukał po całym Krakowie. Chłopszek ów niepozorny, to mało na niego zwracali uwagi... Owże człek, za którymśmy chodzili, to herszt kuglarzy, Gruc się zwie...

- Ciszej! - zakrzyknął nagle Edwin, niespokojnie obejrzał się na drzwi.

- Toć sam pan się drzesz, jak stara kokosz nie przymierzając, tfu, na pohybel - zagniewał się Maciej, potem z lękiem zerknął na swego pana, czy mu nie weźmie za złe tego odezwania się do towarzysza Piotra z Wikliny.

- Ciszej mówię, bo rzecz żadną miarą nie może dojść Erykowych uszu... Gdyby wszedł tejże chwili, nic nie opowiadajcie, bo o nieszczęście nie będzie trudno - Edwin mówił gorączkowo, wyrzucał szybko słowo za słowem. Na twarz mu wystąpiły wypieki, wciąż oglądał się na drzwi. - Pomnijcie, ani słowa o komediantach, a jeszcze, że ów herszt Gruc się nazywa. Onże był, jakeśmy z pasłęckiego zamku dobywali Piotra z Wikliny. Co to nam linoskoczka Zofijka pomogła...

Otworzyli szeroko usta. Zdumiała ich ta nowina. Nawet Mikołaj z Witowie, zwyczajny wszystkiego na świecie, mrugał oczkami z przejęcia. Z opowiadań znali historię pasłęcką w najdrobniejszych szczegółach.

Kielbasa, w pierwszej chwili speszony wtrąceniem się Edwina, teraz wyprostował się, pełen dumy z dokonanego odkrycia spoglądał po obecnych. Wystarczyło jednak ostrzegające drgnięcie dłoni Sandora, aby zastępca rotmistrza wrócił do normalnej postawy.

-

- Teraz pojmuje. Dziw mi tylko, jakim sposobem tak się tu szybko dostali? Bo i dziewczka jest, pewnikiem ta sama, i stary ślepiec, chłopyszek dobrze wypenetrował.

- Jest linoskoczka? Nie może być! - zdumiał się Edwin.

- Jest. Ponoć bolna jeszcze, bo za zarobkiem z resztą nie chodzi, z owym starym doma ostaje. Trzeci dzień, jak tutaj przybyli, występy już czynili w Krakowie. Niedźwiedzia mają srogię, temu i pies na dworze siedział, nie doma, warcząc bez ustanku... Piwa, jeżeli laska! - zachlupotało, wielkie wąsiska zmoczyły się w pianie. - Chłopszek musiał wracać, by podejrzeń nie budzić. Ustalilim, że rano wyjdzie, niby to do Krakowa, o parę stajañ będziemy na niego czekali...

Urwał. Widać było, że jest naprawdę zmęczony. Piwo, wypite na głodny żołądek, także robiło swoje. Twarz Macieja nabrała barwy cegły w kościelnym murze. Potrząsnął głową.

- Teraz najważniejsze, tfu, na pohybel, że przez takiego komtura zdrowie człek psowa... Siedzieliśmy jeszcze dobrą godzinę. Światła w chałupie owej pogasły. Zamyśliłem, aby do dom iść, gdy drzwi skrzypnęły, jakiś się człowiek wysunął. Po chodzie poznaliśmy, onże Gruc. Rady nie było, kazałem Wickowi iść za hersztem kuglarskim i z oka nie puszczać, gdzieby się nie był udał. Sam w te dyrdy tutaj wróciłem. Narodzić się trza - porozumiewawczo spojrział na Pieniążka.

Ale tym razem dobroduszny, zdawałoby się, szlachcic, rozsierdził się nie na żarty.

- Kiepski żeś, Kielbasa! Chłopcaś ostawił, dobrze, a kto nam da znać, kędy się znajdują i co robią? Szukaj wiatru w polu. Był trop i utraciliśmy... Co teraz robić - ujął się za głowę, zadumał.

- Toć że wiadomo, gdzie owi mieszkają, óno, komedianci, tfu na pohybel...

- Trzymajcie mię, bo zdzielię go, jpk mi miecz miły! - uniósł się dawny konfederat Spotka z Melsztyna. - A jeśli on teraz z sobą co zabrał?

- Znać nie było. Nadchodziła ochota pomacać, ale rotmistrzowe przykazanie miałem na uwadze, aby gwałtów nie czynić. Toż on się na jutro z komturem umawiał, jako nam stróż podkupiony podał... Nic on nie wyczyni po nocy. Bramy Krakowa także już dawno zamknięte. Myślę, może ku jakiej dziewczce się udał. Toć że komediant taki znajomków ma rozsianych po całym świecie - tłumaczył się jak mógł strapiony Kielbasa.

- Stało się. Teraz trzeba radzić, co dalej czynić, a nie pomstować próżno - łagodząc wtrącił Sandor.

Kielbasa spojrział na niego z wdzięcznością. Pieniążek wiercił się niespokojnie, poglądał na olbrzymiego druha, wreszcie trzasnął dłonią o dłoń.

- Jak mi miecz miły, toć zgodzisz się, bo my już wcześniej przemyśleliśmy rzecz całą!

Sandor zwrócił ku niemu zaciekawione, trochę niespokojne spojrzenie. Budziła się w olbrzymie jego gwałtowna natura, z trudem trzymana w karbach. Skinął głową, że może Mikołaj gadać.

- Jeżeli komtur paktuje z Szafrąncem, myślę po to, aby korzyści z tego mieć dla Zakonu. Jakże? Trzeba znać Szafrąncę. On zawsze lubi mieć tyły zabezpieczone. Jemu śnią się wielkie wojska, wojowanie, ot co, jak mi miecz miły! Dumam, czy nie chcą Krzyżacy robić zaciągów za jego pomocą, może i samego Szafrąncę na wodza zyskać. Taka rzecz kosztuje wielkie pieniądze. Komtur bez grosza siedział, od kupca drobne sumy pożyczal.

Znaczy to, że na większe jakoweś czekał. Jasne to dla mnie, że ów fałszowany komediant przyniesie mu złota niezgorszą ilość.

Słuchali uważnie, trudno było zaprzeczyć słuszności Pieniżkowych wywodów. On zaś wyprostował się, błyski strzeliły mu z oczów, stojąc już prawie dalej:

- Czyje to pieniądze? Zakonu, jakże inaczej. A skąd Zakon je ma? Z podatków, które ściąga od pruskiej ludności, że jak mówicie, oddechu na pomorskiej ziemi już nie ma. Przeto, jak mi miecz miły, nie zakonne to pieniądze a wasze. Cel słuszny, zaciężników trza nająć. Jeno mnie się tak zdaje, nie dla Zakonu, a dla skonfederowanej pruskiej braci.

- A skądże pieniądze te będą? - spytał naiwnie Sandor Wielki.

- Gruc ów przyniesie. Sprawa prosta. Toć że z dobra kradzionego pochodzi. Słusznym sposobem odzyska je prawy właściciel. Nie tak?

- Prawie, jakżeby inaczej! - zakrzyknął Kielbasa.

Pozostali potakiwali wywodom Mikołaja z Witowie.

Sandor też zapalił się do projektu. Zaginęły gdzieś wszelkie jego obiekcje. Nie będzie wszak tutaj gwałtu jawnego na Krzyżakach. A tylko przed tym przestrzegał go wojewoda brzeski. Bo że się jakiegoś komedianta po żebrach pomaca, to zawsze może się zdarzyć. Olbrzym z uznaniem spojrział na swoich druhów, wyciągnął dłoń do Pieniżka, a potem do Kielbasy.

- Zgoda! - huknął, aż zadudniło w izdebce.

Przystąpili do omawiania planu. Sprawa nie należała do łatwych. Dobrze, że mieli pomiędzy sobą Mikołaja z Witowie Pieniżka, bez niego w obcym mieście trudno byłoby sobie poradzić. Nie znali dobrze ani samego Krakowa, ani okolic. Tak, prawdziwym zrządzeniem Opatrzności była ta przyjaźń pana Sandora z zawadiackim szlachcicem.

Przekupiony stróż domu, w którym zatrzymał się starogrodzki komtur, doniósł o naznaczonym na następny dzień spotkaniu Krzyżaka z hersztem komediantów. Nie zdołał jednak wywiedzieć się, gdzie owo spotkanie nastąpi. Zresztą należało uczynić wszystko, aby przesyłkę przejąć od Gruca jeszcze przed spotkaniem się jego z rycerzem Zakonu. Sandor obstawał przy tym stanowczo. Tłumaczył, że komtur jest półoficjalnym gościem polskiej ziemi i wszelki gwałt na nim źle byłby widziany. Zresztą lepiej, aby zajście odbyło się jedynie pomiędzy kuglarzem a nimi. Kto się bowiem ujmował będzie za linoskoczkiem? Kto uwierzy, że mógł on posiadać większą sumę pieniędzy?

Trudno było nie przyznać słuszności temu stanowisku. Nawet Pieniżek, który miał ochotę rozprawić się przy okazji z komturem, musiał się zgodzić ze zdaniem Sandora.

Uchwalono plan w ogólnych zarysach. Jedna rzecz była pewna. Miejsce ich pobytu było Krzyżakowi wiadome. Na szczęście niezdarność gospodarza pozwoliła ustalić, że są śledzeni. Gdyby historia z Grucem powiodła się, mogli spodziewać się pogoni jakichś sprzymierzeńców krzyżackich.

- Nie zostaje nam nic innego, jak wynieść się stąd jutro zupełnie. Gospodarzowi powiemy, że do Parczewa dążymy, kędy zjazd będzie rady królewskiej z królem Kazimierzem, którego z Litwy powraca.

- Dodamy, że pojedziem w asyście kardynała Oleśnickiego - parsknął śmiechem Pieniążek. - To im zupełnie w głowie przewróci, jeszcze gotowi ufność stracić do kardynała, cha! cha! cha! - Byłemu konfederatowi, towarzyszeniowi Spytka z Melsztyna, po cichu i dzisiaj sprzyjającemu husyckiemu ruchowi, drobny ten figiel najbardziej przypadł do smaku.

- Wszystko to ładnie, ale trzeba miejsce obmyślić, gdzie się wszyscy zbierzemy. Pan Piotr z Wikliny pewnikiem ma inne sprawy i nie będzie wraz z nami. A i my kupą nie pójdziem, że się ośmielę zauważyć... -

.

Jasiek, rudy zabijaka o szurzej twarzy, zajął pozycję rozsądku.

Spojrzeli na Jaśka. Kielbasa aż po kolanie go klepnął z uciechy, że ma takiego sprytnego druha.

- Jest na to rada. - Pieniążek obejrzał się po ścianach, zniżył głos aż do szeptu. - Droga nasza powiedzie przez Krzeszowice. Jest taka włość mała parę wiorst od Krakowa, od tamtej już strony. Nie dojeżdżając do niej, przy rozstaju dróg stoi karczemka, topole bujne około niej rosna, poznać łatwo., Karczemkę ową prowadzi mój dawny żołnierz, znajomek jeszcze ze Spytkowych czasów! Wystarczy mu rzec, że Mikołaj przesyła, o piwo prosi. Takie nasze zawołanie tajemne. U niego zbierzem się, i ukrycie nam najdzie, gdyby nie daj Boże, jaka pogoń albo co innego... Będziecie pomni?

Uradzili jeszcze, że Sandor nie weźmie udziału w porannej wyprawie. Nazbyt się rzucały w oczy. Niechaj z pacholikami Pana Piotra rano odjedzie i czeka w karczemce.

- No, to i tyle. Ze świtem nam wstać, a pora późna... Jeszcze muszę druhowi wszystko przedłożyć. Spór dzisiaj wiodłem, ażeby z parę dni posiedzieć tu wedle Krakowa, a teraz ponaglał będę do jazdy - sam sobie zadziwił się podniecony Sandor.

- Jeszcze jedno. Tyż, Sandorze, będziesz miał więcej niżeli my czasu. Radzę, abyś do Krzeszowic prosto nie jechał, ale skręcił zrazu w stronę Słomnik, to pod kierunek Parczewa, i dopiero potem bokami wyjechał na krzeszowicki trakt. Ostrożność nie zawadzi...

- Hm - zafrasował się olbrzym. - Dróg nie znam, ani pana Piotrowi pacholikiem...

- Myślałem już o tym. Najlepiej będzie, jako mojego chłopyszka wraz tobie prześlemy, jak tylko wskaże nam miejsce, kędy ów Gruc nocą przebywał. I tak zabierzem go do Wrocławia ze sobą.

Sandor aż usiadł z wrażenia. Małe jego oczka rozszerzyły się teraz w zdumieniu. Patrzył na przyjaciela z rozwartą gębą.

- Do Wrocławia? Ty, Mikołaj?

- A ja, cóże w tym tak dziwnego? Podobasz mi się, serce masz moje i miecz. Mnie co? Ni żony, ni dzieci, włość, Witowice owe, mała i zapuszczona, puszkarcz dawniejszy mój na niej siedzi, porządku pilnuje. A dochód z niej taki, że jeno na borg kasztelana żyć muszę, lepszych czasów czekając, jakiej słusznej wojennej potrzeby. Czemuż zatem świata nie zwiedzić, a i pomoc dać przyjaciołom, jeśli będzie potrzeba. Pewnie, niedźwiedziu, że jadę! Ot jak! - tu dumnie podparł się pan Mikołaj Pieniążek pod boki, patrzył na radośnie zaskoczonego nowiną Sandora.

- A dajże pyska, mileńki! - olbrzym zwarł go w serdecznym uścisku, aż były konfederat zbiegał na twarzy.,

Edwin, który cały czas siedział milcząco i zadumany, zatrzymał znowu Sandora.

- Zwólcie, panie, minutkę. A jakoż będzie z Erykiem?

Rzeczywiście. O Eryku wszyscy zapomnieli, przejęci jutrzejszym planem. Co zrobić z Erykiem?

- A nie pojedzie on razem z Piotrem do miasta? - zapytał niepewnie Sandor.

- Przecieżmy obiecali mu razem jutro wyruszyć... Wszak nie to kością w gardle mi stoi. Insza tu sprawa, ważniejsza. Wszyscy wiemy, jako rozmiłowan okrutnie jest Eryk w owej linoskoczce... On tego nie wie z pewnością, bo ogłuszony ostał przez knechta sulicą, ale dziewczyna zaprawdę spadła na zamkowy dziedziniec. Zmęczenie ją musiało ogarnąć, tyli czas stać na linie śpiewając, aby Erykowi przyjść przez to z pomocą, bo wszyscy w nią wpatrzeni nie zwracali uwagi na wieżę.

Ona także świata za nim nie widzi... Zali można go ostawić bez wiadomości?

- Piotr z Wikliny tej Zofijce niechętny, że to komediantka i podlejszego urodzenia dziewczka... - skonfundowany wyszeptał Sandor, żywiący dla młodego rycerza wielką życzliwość.

Kielbasa, Jaśko i Michał nie zabierali głosu, ale w spojrzeniach ich, rzucanych na Edwina, znać było, że sercem są po jego stronie.

- Więc jakże będzie? Nie obaczy się on z dziewczką? Okrutnie żre go tęsknica - dodał Edwin.

- Trudna sprawa, trudna - Sandor tarł swoje maleńkie czoło, wykrzywił twarz w zafrasowaniu. - Pomóc Erykowi, to ściągnąć na siebie gniew Piotra z Wikliny... A i sama rzecz nieprzebieczna, kto wie, jako się Eryk zachowa? Czy nieopatrzności jakiej nie zrobi... A dziewczyna? Kto ją tam przejrzy, jeśli zdradzi owemu Grucowi, zrazu ślad będzie jawny. Nie, ja nie mogę na to zezwolić...

Pieniążek popatrzał na niego inaczej niż zawsze. Rzekł ponurym głosem.

- Szkodzi ci to, że ona Zofijka pośledniejszego jest rodu?

Sandor gniewnie zamachał rękami.

- Diabli by tam patrzeli na ród. Mnie o Piotra z Wikliny chodzi. A on, rycerz prawy, serce złote, na tym polu okrutecznie zacięty... - zawahał się, dodał ciszej. - Bo żeby to jeszcze sam ród, aleć jeszcze i komediantka... Nie, mileńcy, ja ręce od tej sprawy umywam. Róbcie sami, co chcecie - z tymi słowami zrezygnowany wyszedł z izdebki.

Pieniążek długo patrzył za nim, ze smutkiem trząsł głową. Ale zaraz wróciła mu dawna energia. Gniewnie trochę spojrzął na Kielbasę i jego druhów.*

- A wy czego milczycie? Tako to wasza jak moja sprawa. Hej, Kielbasa, jako myślisz?

Kielbasa ruszał wąsiskami jak chrabąszcz żuchwami.

- Jako myślę? Ano, miłują się, to trza im zezwolić na miłowanie. Nie wiem, pan Piotr z Wikliny inaczej patrzy. Jam też przecie szlacheckiego rodu, ale pomiędzy chłopcy przywykłem i dobrze mi... Komediantka? Też przecie człowiek, nie owca parszywa. Ja bym ich jakobądź spiknął ze sobą. Niech pogruchają trochę. Trza tylko to zrobić ostrożnie. Wygląda, że dziewczyna i jutrzejszym dniem do Krakowa z pokazami nie pójdzie. Chłopszyk prawil, że bolna jest, pewnikiem od owego upadku. I ten stary ślepiec przy niej ostaje... Ot jak, tfu, na pohybel.

- A wy? - Pieniążek spojrzął na Jaśka i Michała.

- Ja chłop i nie mnie raić w szlacheckich sprawach. - Twardo uciął rudy Jasiek, w oczach jego zapaliły się skierki gniewu. - Nie mnie raić, raz bo się to sparzyłem, w nazbyt daleką komicy ję ze szlachciami wchodząc? - Czulszym spojrzeniem ogarnął Kielbasę. - Krom może jednego Macieja - dodał.

- Ja tam znowu nie patrzę, kto z kogo zrodzony. Szacunek dla każdego mam, jeśli człek prawy. A jeśli nie, to po cichu prawdę myślę, choćby i książęcego był rodu... Miłują się? A komuż można zabronić miłowania, jedynej krom piwa radości na świecie? - pleczysty Michał wyprostował się mówiąc te słowa, sięgnął pó kubek.

W oczach Pieniążka zabłysła radość. Poskoczył i zamknął w objęciach zdumionego żołnierza.

- Daj gęby, Michał! Postaw to piwo, bo mię oblejesz, gamoniu. Daj gęby, prawie! Wiesz, o co nam szło, jakeśmy wojnę husycką wiedli? O sprawiedliwość i równość wobec Boga i prawa, pojmujesz? Temu nas biskupi i wielmoże zdławili... Da Bóg, nie całkiem, ale - to insza sprawa. Otóż ja jestem za tym, aby Erykowi dać możliwość spotkania dziewczyny.' Kielbasa dobrze prawił. Eryk pojedzie wraz z nami. Skoro komediany wyjdą na miasto, chłopyszek da jej po cichu znać, że Eryk będzie czekał w pobliżu. Najdzie się tam jakie miejsce ukryte?

- Jest opodal lasek maleńki - rozjaśnił się Kielbasa.

- To i ładnie. Tam się spotkają. Eryk mądry będzie, dogoni nas, w porę do Krzeszowic przybędzie. Ja go sam w to wewiodę, jeśli co, na siebie wezmę gniew Piotra z Wikliny. Zaraz pójdę po Eryka, trzeba go uwiadomić - przeciągnął ramiona, spojrzął na piwo, nalał kubek, wychylił.

Edwin patrzył na Pieniązka z serdeczną przyjaźnią. Nie wszystko się mu podobało, zraziła trochę konfidencja z Michałem, żołnierzem chłopskiego pochodzenia, ale ujęła za to niezmiernie życzliwość dla Eryka...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ranek wstał piękny. Zanosilo się na długą pogodę. Rosa gęstymi kropelkami pokryła trawę i zboże, odświeżyła kąpielą nawisłe kwieciami bzy. Ptactwo zachłystywało się śpiewem, nieprzytomne w słonecznej radości. Nawet ponury zazwyczaj kundel gospodarza zajezdnej wstał tego ranka w dobrym humorze, iskał się raźniej i pomachiwał przyjaźnie ogonem do zatroskanych kur, snujących się po obejściu.

W małych, nieprzytulnych izdebkach ruch się zrobił wcześniejszy niżeli zazwyczaj. Zbudzony mocnym szarpnięciem gospodarz długo przecierał zaspane oczy, nim pojął, czego pragną od niego. Noc miał ciężką, męczyły go wspomnienia minionego dnia, kiedy cał tylko mały dzielił go od śmierci. W dodatku dobrze już po północy zbudziło go dobijanie się pacholika owego Pieniązka, który tak zaprzyjaźnił się z Prusakami, że z gościa stał się ich towarzyszem. Pacholik musiał sobie niezgorzej pohulać, zataczał się na nogach, a na gospodarza poglądał w świetle łuczywa mętnymi oczyma. Zdziwiło wprawdzie gospodarza, że poszedł spać nie do izdebki, którą dzielił z dwoma towarzyszami, a do innej, gdzie rej wodził ów straszny Kielbasa. Że jednak po niedawnym doświadczeniu odpadły go wszelkie chęci bliższego interesowania się gośćmi, co to za nic mają życie człowieka, zamruczał tylko pod nosem, wracając do betów i rozespanej baby.

Wicek opowiadał, że Gruc udał się do domu zamieszkałego przez krakowskich rybałtów, skąd po paru godzinach wrócił do swoich. Mógł się Pieniążek uspokoić, nic strasznego nie zaszło. Zapytał tylko pacholika, czy potrafi wskazać domostwo rybałtów krakowskich. Przyszło mu do głowy, czy i ci także nie są krzyżackimi szpiegami. Uśmiechnął się na myśl, że po powrocie z Wrocławia a może nawet z Wiednia, jeśli posłowie zgodzą się na jego towarzystwo, będzie miał co robić w Krakowie.

Sandor Wielki wstał w doskonałym humorze. Nieoczekiwanie dla niego, pan Piotr nie tylko nie stawiał protestów, ale zapalił się do projektu.

- Nam tu trzeba dużo pieniędzy! Zaciężni nie zwykli darmo kłaść głów pod miecz - powiedział krótko.

Jeden tylko Eryk nie zmrużył oka tej nocy. Nie spodziewał się wieści, jakie mu oznajmił Mikołaj z Witowie, poprosiwszy dyskretnie do swojej izby. Byłego husytę życie nauczyło szczerości. Nie znosił gładkich słów. ani dochodzenia okrężnymi drogami do sedna sprawy. Przysiadł się przy młodym rycerzu, ciepłym ruchem ujął jego rękę w swe poznaczone bliznami dłonie.

- Mówię ci ty, bom starszy i dużo przeżyłem.

A i Ignie jakoś serce do ciebie... Sprawa ważna, dla ciebie i dla nas. Tęsknica za dziewczką cię zre, to widać. Wszako miłowanie nieprzezpieczna jest rzecz. Pamięć ważniejszych spraw można przez nie zatracić...

Eryk spojrział na niego rozszerzonymi oczyma. Mdły ogieniek lampki oliwnej zaledwie oświecał izdebkę, przesiąkniętą fetorem piwa. Załomotało w sercu młodzieńca. Od rana czuł się nieswojo, niby rzeško i pogodnie jak dawniej, ale przecie czaiło się pod tym jakieś wzruszenie, oczekiwanie czegoś, co ma wkrótce nastąpić. W oczach Pieniążka znalazł serdeczność i zrozumienie. Ostatnie opory w sercu Eryka stopniały pod wejrzeniem tych oczu, jak resztki lodu topnieją w roziskrzonym słońcu wiosennym. Pieniążek zdawał sobie sprawę, co dzieje się w sercu tak ciężko przez los doświadczonego człowieka. Uśmiechnął się lekko.

- Rzekę ci prosto, w czym rzecz. Parolu szlacheckiego nie żądam, bo wiem, że i bez słów godnie postąpisz, - Urwał na chwilę, zmilczał, po czym wypalił krótko: - Dziewka twa jest w Krakowie!

Eryk zbladł, zaniemówił. Potem poderwał się z miejsca, jak żelazem uchwycił ramię Pieniążka.

- Jeśli żarty stroicie... Ale nie, kłamstwem wam z oczu nie patrzy. Gdzie ona? Muszę ją widzieć, choćby nie wiem co stać się miało... Gdzie ona, prawcie, gdzie?

Z pełnym podziwem dla siły młodzieńca szlachcic uwolnił ramię z żelaznego uchwytu. Z tym samym dobrym, serdecznym uśmiechem odpowiedział, nie przestając patrzeć w oczy:

- Tutaj jest, podle Krakowa, wraz ze swoimi. Widział ją będziesz, choć krótkie to być musi widzenie. Insze bo materie się wiążą i z onym widzeniem, i z planami naszymi. Wiesz, że z jutrzejszym dniem ruszamy na Wrocław?

Eryk skinął głową. Dłońmi ułapił drewnianą poręcz łóżka, dyszał ciężko.

- Sprawa prosta. Jest między nimi Gruc. Zausznik to a szpieg krzyżacki, pod komedianckim przebraniem wszelakie niecnoty czyni. Twoją rzeczą dochodzić, czemu się dziewczka trzyma owego Gruca i jemu podobnych. Boć że inaczej myśli, dowód jasny z pomocy, jakiej wam udzieliła w Pasłęku... Gruc, tako myślim, pieniądze przywiózł wielkie komturowi starogrodzkiemu, który znowu z Szafrancem podłość jakowąś planuje, pewnikiem podkomorzy zaciężników będzie dla Zakonu werbował. Słuszne nie zwolnić, by owe pieniądze służyły złej sprawie. My je Grucowi zabierzem. Wszako gmatwa się wszystko, bo nas mają na oku, śledzi ktoś z ludzi komtura albo krakowskiego podkomorzego. Pojmą, kto im psotę uczynił, możliwe, gonić będą. A Szafraniec w zbójów bogaty, nie braknie mu zatwardziałych rabusiów pod ręką... Dziewka zmilczy pewnikiem, żeś się z nią widział?

- Słowa nie piśnie.

- Wierzę. Ale mogą was dojrzeć, jako się spotykacie, ślad będzie pewny... Jej takż może to spotkanie zaszkodzić, a słaba jeszcze jest, pewnikiem po onym upadku w pasłęckim zamku.

- To jakże będzie? - rozpacz zaorzmiała w słowach Eryka.

- Nie tur bu j się. Jeno parol musisz mnie dać, że dłużej nad czas, któryć wyznaczę, nie będziesz z nią rozmowy prowadził... Tuszę, godzina najwięcej. Musi wam wystarczyć.

- I znowu rozstanie, i nie wiedzieć, kiedy obaczym się raz wtóry! Stryj srodze przeciwny, że to komediantka i nieszlacheckiego rodu.

- Synku - Pieniążek położył dłoń na głowie chłopca. - Sam będziesz swoim losem rozporządzał, nie Piotr z Wikliny. Wszako wpierw powinności swoich teraz ci dopełnić, potem prywatne sprawy nad inne przedkładać... Widzi mi się, że w Prusach wojna pewna. Zasłużysz się, imię rycerskie sławne zdobędziesz, nikt ci nie będzie śmiał żony wypomnieć...

- Żony? - jakby lękiem zabrzmiało to słowo w ustach Eryka.

- Tuszę, że inaczej nie myślisz? Jam wagabunda, wszako respekt dla niewiast mam.

- Tak.

- Więc jakże, parol dajesz, że będziesz posłuszny? Dobrze ci życzę. Stryj twój niczego, co się tycze dziewczki, nieświadom.

- Parol - Eryk wyciągnął rękę.

- To i śpij spokojnie, bo małoć już snu tego ostało. Noc późna. Bywaj! - i jakby nic w ogóle nie zaszło, Pieniążek spokojnie rozciągnął się na łożu, przymknął oczy...

Eryk poszedł do siebie. Przyjaciel już spał, chrapiąc rozgłośnie. Spojrzał na Edwina ni to z zazdrością ni z dumą. Spi, ale bo czyż wie on, czym jest kochanie? Smutku w nim wiele, ale i radości bez miary...

Leżał z otwartymi oczyma, myślał, wspominał. Zofijka w tych myślach z każdą chwilą coraz bardziej piękniała, dobra była i szlachetna jak żaden inny człowiek na świecie.

Przy wstawaniu Edwin ze zdumieniem zajrzał w otwarte oczy przyjaciela, zapatrzone w przestrzeń. Zrozumiał, uśmiechnął się łagodnie, potrząsnął jego ramieniem.

- Czas wstawać, Eryk, dzień będzie gorący.

- O tak - westchnął zakochany młodzian, wyjrzał przez okienko na zalane jasnym blaskiem łąki i pola.

Piotr z Wikliny wyruszył pierwszy, samotnie. Pragnął czym prędzej zobaczyć się z Hińcą z Rogowa, omówić później z Czechem Matlaczkiem sprawę zaciężników dla Torunia i Elbląga, i zaraz potem, za dnia jeszcze trafić do owej karczmy pod Krzeszowicami. Na odjeździe mocno uściśnęli sobie ręce z Sandorem. Różnie się przecie mogło wydarzyć...

Sandor Wielki wraz z dwoma pacholikami pana Piotra zostawali w zajezdzie oczekując Wicka, który okrężną drogą miał ich prowadzić do Crzeszowic. Spieszyć wtedy powinni, co tylko sił w koniach. Hasłem wyruszenia miało być jednak dopiero przybycie drugiego pacholika Pieniążka, który spędził noc w jednym domu z komediantami. On, po umówieniu z Zofijką spotkania, przybyć miał po Eryka i zaprowadzić go na miejsce. Potem we dwójkę również okólnymi szlakami zjawić się mieli w karczmie byłego żołnierza pana Pieniążka.

Sandor Wielki jeszcze zżymał się na to, że sam nie weźmie udziału w napadzie na Gruca, jednak były par-^ tyzant krótko uciał te opory:

- Trzeba było wyrósć mniejszym przez pół! Toć że ciebie, niedźwiedziu, na wiorsty trzy z dała widać. Nam trza po wszystkim jak ceniom zniknąć, a nie wskazywać jak wieża kierunku. Siedź w karczmie i sił nabieraj, bo bardzo się mogą przydać. Szafrącowi ludzie umieją mieczem władać i z łuków też dobrze strzelają.

Sandor potakiwał dobrotliwie, ale naprawdę było mu ciężko na duszy. Długo stał jeszcze w progu zajezdnej, patrząc za malejącymi sylwetkami pięciu jezdnych. Kielbasa z dala kiwał mu dłonią.

Pieniążek jechał poważny, zamyślony. On jeden w pełni zdawał sobie sprawę, co czynią, zadzierając z Piotrem Szafrancem, przed którym drżała cała Małopolska, od wielmoży najętszych poczynając, na chłopstwie kończąc. Ale jednocześnie tym bardziej radowała się zadzierzysta, uparta dusza. Aż śmiech złowrogi wy-

- ę pływał mu na wargi, gdy myślał o szkodzie, jaką wyrządzą planom Krzyżaka i pana podkomorzego.

Jechali z Kielbasą na przedzie, omawiając szczegóły wyprawy. Pieniążek znał na wylot okolice Krakowa. Z domu, który zajęli komedianci, najbliższa droga do miasta wiodła przez bramę od strony Krowodrzy. Przedmieście to było gęsto zabudowane, jedno szczęście, że między ostatnimi jego domami a murem miejskim ciągnął się pas nieużytków i błot, porośnięty gęsto wierzbiną i łożą, piaskami aż tu dochodzącą od brzegów Wisły. Tam było jedyne miejsce dogodnie dla zatrzymania Gruca. Jedno tylko niepokoiło rycerzy. Co będzie, jeśli Gruc uda się do miasta wraz z całą grupą wagantów. Mniejsza o ich siłę, groźniejsze larum, jakiego by narobili przy tej okazji. Ustalili, że jeśli tak wypadnie, zrezygnują z pojmania szpiega pod miastem, poszukają odpowiedniego momentu w samym Krakowie. Byłoby to jednak o wiele trudniejsze.

- A nie wróci on wtedy do swojej zajezdnej? Natknąłby się wraz na Eryka z Zofijką... Szkoda byłoby chłopca, sam nie dałby rady z tyłoma. A gdyby nawet i uciekł, trop byłby jawny... - zafrasował się Kielbasa.

- Nie wydaje mi się, by miał powracać. Prędzej do komtura poleci, by pogoń organizować. Luzem my go też nie ostawim...

W innym nastroju, wesołym, jak na największą uciechę, jechali nieco dalej Edwin z Warclawek i dwaj Sandorowi żołnierze, Michał i Jasiak. Ten ostatni wiercił się ustawicznie na siodle, wyciągał przed siebie szczurzą twarz, rude włosy złotem łyskały w słońcu. Zacierał rękę:

- Żeby to tak i mieczyskiem dał Bóg porobić. A to rdzewieje, aż żal chwyta za serce.

- Będiesz miał niejedną okazję, nie bój się, brateńku - dobrotliwie pocieszał go Michał.

Rozdzielili się potem na dwie grupy. Kielbasa z Jaśkiem pojechał ostrożnie pod dom zajmowany przez komediantów, Pieniążek z resztą przyczaił się w owych krzakach wierzby. Ciepło było, przyjemnie, mimo wczesnej godziny ruch panował już na gościńcu.

Pył wzbijany dziesiątkami nóg ludzi i koni wirował nad drogą. Pieniążek przymknął oczy, wystawił na słońce swą - ostro rzeźbioną twarz, rozkoszował się ciepłem. Przestał już nawet myśleć o całej sprawie, miał takie usposobienie. Co można było, zrobili, teraz należało się poddać biegowi wydarzeń. Edwin obserwował go spod oka, nie przeszkadzał bitnemu szlachcicowi. Myślał o Eryku i jego dziewczynie. Nie widział z bliska Zofijki, ciekaw był, czy zaiste jest tak ładna, jak to opowiadał przyjaciel... Potem zaczął myśleć o sobie. Na dworze ojcowskim miewał jakieś przelotne miłości, ale spływało to wraz jak woda z piór kaczyc. Jeszcze nie kochał naprawdę. I teź chwili, gdy tak sobie rozważał przyszła mu na myśl Elżbietka z Krzykosów. Dziewczyna bardzo mu się widziała, nie wiedział jednak, czy to już miłowanie prawdziwe, czy też ochota podobna tym, jakie znał z przygód z innymi dziewczętami. Nie, chyba nie, bo Elżbietkę szanował... Cóż, kiedy i ona wpatrzona w Eryka. Jak to biegła wtedy po napadzie stronników Segenandowych do leżącego jak martwy młodzieńca...

- Kielbasa jedzie - szepnął Michał, poruszył się gwałtownie, zachwiały się okryte mięciutkim, jasnozielonym liściem krzaki, ptak spłoszony przefrunął z jednej kępki na drugą.

Wąsacz zwolnił, bacznie wypatrywał na strony. Michał miauknął cichutko. Wtedy Kielbasa zjechał ostrożnie ku swoim.

- Chłopszek wasz, panie, jest z nami. Spał, mówi, dobrze, nikt nie miał go w podejrzeniu. Rzekł, że za służbą idzie do miasta, próbował go ów Gruc podpytywać, ale dał pokój, nie wietrząc żadnego niebezpieczeństwa dla siebie...

- Co zamierzają? - przerwał Pieniążek, z żalem odwracając twarz od ciepła słonecznych promieni.

- Czarny ów herszt wraz ma wyruszyć z jeszcze jednym do miasta. Sakwy szykował, gdy nasz chłopyszek wychodził z domu. Reszta wagantów obija się po kątach, później dopiero pójda dać pokaz na Rynku. Niedźwiedź zły czegoś, mruczy, jak się kto zbliży do niego.

- To dobrze. A Wicek był już na miejscu? - szlachcic wspominał na podręcznego, który wcześniej od innych wyruszył z zajezdnej, by mieć bractwo komedianckie na oku.

- Był. Że to sprawa jest jasna, więcem wyprawił go do pana rotmistrza. Tam czekać będą na drugiego chłopyska.

- Az dziewczką jak będzie?

- Umyślili, że jak Gruc, a potem pozostali wyruszą, wróci się on, niby to zapytać, czy go w razie potrzeby zechcą przyjąć jeszcze i na następną noc. Wtedy nie trudno będzie szepnąć słówko dziewczynie, bo ona doma ostaje ze starym. Słaba jest, strząsło ją od tego

upadku, a potem przez szybką drogę na Kraków nie mogła przyjść całkiem do sił... - Kielbasa opowiadał, jakby sam był w tym domu i widział wszystko własnymi oczyma. - Jasiak został. Jak Gruc wyjdzie, pojedzie wolniutko za nim, z daleka, aby nie wzbudzić żadnych podejrzeń. W razie potrzeby osłonę nam da. Chłopyszek ostatecznie na miejscu, pilnował będzie wyjścia waganów, mówiący się z dziewczyną skokiem pobieży po pana Eryka. Wrócą oboje końmi, a dalej już nam nie wiedzieć jako się im ułoży.

Pieniążek zapytał jeszcze o szczegóły, znów wystawił swą twarz do słońca. Edwin spoglądał na niego ciekawie. Dziwne było to oblicze. Raz tryskało śmiechem, czerwieniało od bezmiaru wypitego piwa, kiedy indziej było poważne, myślące, to znów serdeczności i miłowania pełne. Ciekawy był człek, wiele musiał widzieć i przeżyć, a przecie nawet przegrana go nie złamała, odważnie wystawiał czoło na nowe przygody, pchał się w ryzykanckie historie...

Słońce przypiekało coraz to bardziej. Poranny ruch na drodze zaczynał ustawać. Rzadsze już podnosiły się kłęby kurzu, wszystko zdawało się wypoczywać w słońcu.

- Idą - Kielbasa wymówił te słowa tak obojętnie, jakby myślał o kimś zupełnie obcym.
- Daleko z tyłu ktoś człapie konno. Jasiak na pewno...

Edwin znów spojrzał na twarz Pieniążka. Stężała teraz, nic w niej nie było z pijusa i waganbundy. Dawny partyzant obejrzał się uważnie najpierw w stronę bliskiego muru okalającego Kraków, na sekundę zatrzymał spojrzenie na lśniących w słońcu wieżach, potem zerknął bacznie na drogę. Cicha, jasna, ginęła gdzieś w dali, obrzeżona tu i ówdzie domkami. Dopiero bliżej miasta domy rozrastały się, stały grupami, jak grzyby w lesie po obfitym i ciepłym deszczu. Pusto było, z dala dolatywał płacz dziecka, cisza stała w powietrzu.

^ Skinał na Edwina i barczystego Michała.

- Przesuńcie się krzakami bliżej pod miasto... Tu dół, nie będzie was widać z gościńca. Nie dalej jak o półtora stajania... Lepiej będzie przychwycić go z dala od domu, kędy nocuje. Gdy posłyszycie klekot bociani, wypadniecie na gościniec. Zmierzajcie prosto na nich, ale spokojnie do ostatniej chwili. Niech nie przeczuwa opryszek, na co się zanosi. Dopiero gdy świsnę, na nich wszyscy... A pomnieć nam jedno: rzecz ma się obyć bez krzyku. Trza ich pojmać i związać, w krzaki wziąć.

Dwu was ostatecznie, będzie drabów pilnować. Dopiero jak komediany przejdą, zostawicie ich związanych, sami pomkniecie za nami. Nie przepomnieliście com mówił? Nie od Krowodrzy w Kraków wjedziem, ale mury okrążywszy, na Floriańskiej bramy kierunek. Przy zakręceniu około murów i baszty będziemy na was czekać. Tam się obaczy co dalej... Kielbasa, sznury są?

- Uhum - zamruczał wąsaty wojak.

Edwin z Michałem przedzierali się już krzakami. Konie jakby odczuwały podniecenie swych panów, szły chętnie, w ochocie podrzucając czasem głowami do góry. Michał siedział sztywno w kulbace, przez co plecy jego zdawały się jeszcze szersze. Byli wreszcie na miejscu. Gościńiec skręcał tu, tak że nagłe ich wyłonienie się na drodze nie powinno było Gruca zaskoczyć. Stali w dolince, konie niecierpliwie przebierały nogami.

Powietrzem poniósł się nagle klekot bociani. Drgnęli, ale w ostatniej chwili Edwin położył rękę na ramieniu towarzysza. Wydało mu się, że klekot dobiega z całkiem przeciwnej strony, kędyś od Wisły, nie zaś pobok gościńca. Słuchał. Klekot powtórzył się, tak, z zupełnie przeciwnej strony. Michał zaklął szpetnie.

- Żeby ochyba jaka nie wyszła, durne ptaszysko, musiał należeć się właśnie w tym miejscu.

Nie zdążył skończyć, gdy inne nieco klekotanie bociana dobiegło już z właściwego kierunku. Nie było czasu na rozważania. Spiął konia, jednym susem wydostali się na gościńiec. Ruszyli wolno w stronę nadciągających wagantów. Jeszcze nie było ich widać zza zakrętu. O to zresztą Pieniążkowi chodziło. Konie stukotały kopytami o stwardniały grunt, kurz się podnosił dokoła. Już zakręt. Wstrzymali nieco konie, przeszli na stępa. Zagadali do siebie, pozornie nie zwracając uwagi na drogę. Oczy ich jednak bacznie śledziły wszystko, co się dzieje wokoło.

Gruc, z daleka już łatwy do rozpoznania, szedł z prawej strony, niosąc sakwy na plecach. Obok śpiesznym, drobnym kroczkiem dreptał młody człowiek niższego wzrostu, w czapie przykrywającej szczelnie głowę i jedno ucho. Dziwacznie to wyglądało. Edwinowi nagle zachciało się śmiać, aż wargi przygryzł.

Piesi wędrowcy oglądali się parę razy za siebie. Musieli ich zaniepokoić jeźdźcy nadjeżdżający od tyłu. Dwaj nowi wyłonili się na gościńcu nie wiedząc kiedy i skąd. Gruc mówił coś pośpiesznie do towarzysza. Tamten sięgnął dłonią pod okrywającą go kurtę.

- Sztyletu pewnie dobywa - rzekł Michał, razem z poświstywaniami zmieszał się jego chichot. Szerokobary chłopak lubił takie przygody.

Pieniążek ze swymi już był oddalony od Gruca z kompanem nie dalej jak o pół rzutu kamieniem. Jeszcze nie gwizdał. Edwin ściągnął wodze, to samo uczynił Michał. Nie mogli przecie minąć wagantów przed czasem.

Gruc z towarzyszem ustąpili z drogi, aby przepuścić nadjeżdżających jeźdźców. Przystanęli na chwilę. Tamci nie byli dalej, jak o dwie może długości konia. I wtedy

Pieniązek wydał przeraźliwy gwizd, aż koń Edwina wzdrygnął się, spięty jednocześnie ostrogą.

Zakotłowało. Jeźdźcy zeskakiwali z koni, biegli ku pieszym. Gruc rzucił się w krzaki, nie wypuszczając sakwy z rąk. Towarzysz jego błysnął długim sztyletem, zamierzył się na chwytającego go już Kielbasę. W tejże chwili miecz Pieniązka ze świstem opadł na ramię człowieka w nasuniętej na uszy czapie. Ten rzucił sztylet, z przeraźliwym wrzaskiem skoczył przez rów w wierzbine. Kielbasa był szybszy, w pół skoku opadła na barki komedianta ciężka łapa zastępcy rotmistrza. Padli na ziemię, tamten jęknął, bo krew bluzgała już z ranionego ramienia, czapka spadła do rowu.

Kielbasa trzymał go jedną dłonią, drugą mocno zaciskał gębę, ciągnął pośpiesznie w gąszcz krzewów.

Gdy zerknął za siebie na gościniec, nikogo już na nim nie było, tylko kurz kłębił się jeszcze w miejscu nagłego napadu, a opuszczony przez pana koń Pieniązka, zwyczajny przygód, spokojnie przeskakiwał rów, również kryjąc się w bujnej wierzbine.

- Tu go mam, tu! - rozległo się ciche wołanie Jaśka.

Zaszeleściły rozgarniane niecierpliwie krzewy. Pierwszy dopadł na miejsce Edwin. Zeskoczył dopiero z konia, przedtem bowiem nie zdążył, tak szybko wszystko się stało, biegł ku Jaškowi zmagającemu się z czarnym mężczyzną. Gruc miał przewagę, przewróciwszy Jaśka na ziemię wznosił już do góry ramię z błyskającą w słońcu mizerykordią. Jaśko usiłował wywinąć się gwałtownym podrzutem, nie byłby zdążył, szczęściem Edwin w ostatniej chwili podbił łokciem wzniesione ramię, mizerykordią ośliznęła się, lekko jedynie zahaczając o bok wojaka.

Jeszcze chwila, wraz z doskakującym Pieniążkiem poskromili Gruca, toczącego wściekle oczyma, z rozwianym włosiem i czerwoną z gniewu twarzą. Widząc się pokonanym, zbój rozwarł nagle gębę, nie zdążył krzyknąć, gdy Jasiek zdzielił go pięścią przez łeb, wraz potem chwycił dłonią pod brodę, rozwarł kurczowo zaciskające się szczęki, wpakował pomiędzy nie wyciągnięty z kieszeni potężny kłak paździerznych konopi. Gruc zakrztusił się, zacharczał, twarz jego nabrzmiała czerwienią, jeszcze się nie poddawał, próbował wypluć knebel, szarpał się w dłoniach zwycięzców. Nie pomagało. Jaśko z wprawą zawodowego rzezaka skrępował teraz mocno sznurem jego ręce i nogi, zaśmiał się potem cichutko, wesoło:

- Ha, widzisz, złodzieju, odebraliśmy ci, coś skradł w Lublinie - zaśmiał się z kolei Pieniązek, po przejrzeniu dokładnym dźwigając z ziemi ciężkie sakwy, wypełnione szmatami i dwoma solidnymi workami z monetą.

Patrzył przy tym bacznie na Gruca. Oczy szpiega rozszerzyły się w nieukrywany zdumieniu.

- Tak, tak - kpił dalej Pieniązek. - Myślałeś, że Jan z Kremna pod Lublinem spokojnie ostawi ci zagrabione mienie? Długoś uciekał, próżno się krył w Warszawie, dla niepoznaki przystał do grupy wagantów, mam cię wszak w swoich rękach. Zaraz na gałąź pójdziesz, tylko muszę dobrą upatrzyć.

Twarz Gruca nie wyrażała krzty lęku. Wszystko w niej było tylko olbrzymim, niepojętym zdumieniem. Pieniązek uznał za stosowne dopełnić swe przemyślane kłamstwo, aby jeszcze bardziej pogmatwać wszystko w umyśle szpiega. Wyprostował się, obu dłońmi ujął pod boki.

- Co, strach ci, gdy widzisz Jana z Kremna przed sobą? Myślałeś, że go już nigdy więcej nie ujrzysz, że noga twa póki życia nie postanie w Lublinie, i okolicy? Ot masz! Mnie już ujrzałeś. A Lublina, to prawda, nie ujrzysz, chyba z tamtego świata... Szkoda przy jasnym słończku umierać, nie?

Schylił się, ułożył Gruca tak, aby ten nie mógł widzieć, co się dzieje za jego plecami. Kielbasa niechętnie opatrywał teraz drugiego zbója. Kręcąc głową pokazywał na prawe ucho, ucięte przy głowie. To był powód, dla którego komediant tak głęboko nasuwał czapkę na włosy. Jakimś wyrokiem został napiętnowany w ten sposób. Rana od Pieniązkowego miecza była bolesna, ale nieszkodliwa, ramię pozostało całe, kość nie nadwerżona. Pieniązek przygadywał więźniom, odwracając głowę od roześmianych spojrzeń swych druhów. Umówili się przedtem, że on tylko będzie mówił, aby nie zwrócić uwagi na akcent pozostałych, typowy dla mieszkańców pruskiej ziemi.

Chwilę potem Mikołaj z Witowie wsiadł na konia, sakwy Gruca przewiesił przed sobą przez siodło. Razem odjechali Edwin i Michał. Z więźniami pozostali Kielbasa i Jasiołek, ze szczególną złością popatrujący na Gruca. Nie mógł darować, że tamten okazał się od niego silniejszy. Jedyłą radość sprawiło mu tylko zabranie Grucowi jego mizerykordii, pięknie oprawnej w kość słoniową, z pochwą nabijaną ozdobami ze srebra.

Podciągnęli potem więźniów pod osłonę krzaków, aby ich znikąd nie mogło dojrzeć niepowołane oko, sami siedli wygodnie w oczekiwaniu na przejście grupy komediantów. Jasiołek przysunął się nawet bliżej gościńca, aby mieć go w stałej uwadze. Pomyślał, że znaleźli najlepszą chwilę do pojmania Gruca. Bo znów zaroilo się teraz na drodze. Ciągnęli piesi i konni, z obu stron terkotały furki wracające z Krakowa, chłopci śpieszyli do domów po załatwieniu swych spraw. Zaprzężona w cztery konie, z turkotem przemknęła zdobna kolasa, z siedzącymi w niej strojną damą w asyście młodego mężczyzny.

W Tagantów coś długo nie było widać. Minęła już dawno dobra godzina od chwili pojmania Gruca, słońce wzniosło się wcale wysoko, a tamci nie śpieszyli do miasta. Jasiak poczuł znużenie, oczy zaczęły mu się przymykać do snu. Aby jakoś zająć swą uwagę, zaczął oglądać zdobytą mizerykordię. Była to zacna robota, Jasiak zamierzał drogo ją komuś sprzedać. Starczy potem czas jakiś na piwo dla siebie i kamratów. Uśmiechnął się, wyjrzał na szosę, dobiegły z niej bowiem jakieś pokrzykiwania. Tak, to szli komedianci. Z dziesiątek ich było, kobiet i mężczyzn. Ktoś nucił pod nosem, para innych sprzeczała się z sobą zajadle. Nieśli jakieś chodniczki, instrumenty muzyczne i skrzynki z przyrządami do magicznych pokazów. Prowadzony za kółko w nosie potężny niedźwiedź opierał się, pomrukiwał groźnie. Nie pomagało smaganie krótkim biczyskiem.

Jasiak cofnął się bardziej w gęstwinię, zrobił sobie jedynie małą szparę pomiędzy liśćmi, aby lepiej móc obserwować przechodzących. Z lękiem zobaczył, że mimo ostrego szarpania za łańcuch przymocowany do kółka przeciągniętego przez nos, niedźwiedź zatrzymał się w miejscu, gdzie ziemia zryta końskimi kopytami zdawała się świadczyć o niedawnej walce i rozpoczął gwałtownie węszyć. Potem zamruczał, szarpnął mocniej łańcuchem, zawył grubo, całą siłą począł ciągnąć swego przewodnika w krzaki wierzby.

- Wyczuł pana, belzebub! - cichuteńko mruknął do siebie Jasiak, wyciągnął zdobytą mizerykordię z pochwy, przygotował się do walki. Obejrzał się jeszcze, czy go widzi Kielbasa, ale towarzysza nie było w pobliżu.

Gniewnie pomrukując, niedźwiedź staczał się już do rowu, pociągając za sobą trzymającego go na łańcuchu chłopaka. Ten krzyknął ku swoim, gdy kły niedźwiedzia były już na odległość ramion tylko od ręki Jaśka. Poskoczyło paru innych, wpierając się nogami w gościniec chwycili za łańcuch. Niedźwiedź, krwawiąc mocno z poszarpanego kółkiem nosa, gniewnie obrócił się ku prześladowcom. Wtedy otrzymał silne uderzenie pałką przez obolały nos. Zaryczał, skoczył, nowe uderzenie osadziło go na miejscu. I wtedy spokorniał, bez oporu dał się już prowadzić gościńcem. Parę tylko razy odwrócił jeszcze łeb w stronę, gdzie w więzach spoczywał jego pan.

W kilkanaście pacierzy potem Kielbasa z mokrym jeszcze od przeżytych wrażeń Jaśkiem, ostrym kłusem ruszyli wokół murów miasta w pobliże Bramy Floriańskiej. Za nimi zastawał na skwarze ledwo przytomny z wściekłości, bezradny Gruc obok swego pomocnika z odciętym uchem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Od chwili przybycia Wicka z wiadomością, że zasadzka na Gruca została przygotowana i wszystko rozwija się pomyślnie, zniecierpliwienie Eryka dosięgło szczytu. Nie wiedział po prostu co począć ze sobą. Zżymał się na siebie, że on, rycerz, choć młody, ale już w nie lada potyczkach zaprawny, nie potrafi pohamować teraz własnych uczuć i zdradza je całym swym zachowaniem. To wracał do izby, to znów wypadł na gościniec wyglądając, czy nie wraca drugi podręczny pana Pieniążka, aby bocznymi drogami przeprowadzić go na spotkanie z Zofijką. Straszliwym lękiem nawiedzała go myśl, że nie powiodło się wszystko, albo że nie było możliwości zbliżenia się do dziewczyny i powiadomienia jej o spotkaniu. To znów obawiał się, że chłopak zgubił pierścień, który Eryk mu wręczył jako znak rozpoznawczy dla Zofijki.

Sandor Wielki był w doskonałym humorze. Chwilami tylko cień przebiegał po maleńkiej twarzy olbrzyma, gdy pomyślał, że trawi tutaj czas w bezpłodnym oczekiwaniu, podczas gdy towarzysze znajdują się może w niebezpieczeństwie. Tłumaczył sobie wtedy, że jego osoba raczej szkodzić by mogła niżeli pomagać, i uspakajał się. Zeszedł do izby gospodniej, tam pociągał piwo, bawiąc się przerażeniem gospodarza, który modlił się w duchu o wybawienie go od strasznych gości. Czas mijał, konie gotowe były do jazdy. Na nieśmiałe pytanie gospodarza, czy jaśnie panowie nie zamierzają czasem wyjechać, huknięto na niego, żeby nie wtrącał się do nie swoich spraw. Sandor dodał jeszcze, że wyjazd ich zależy od rozkazu kardynała: jeżeli każe, w minutę ich tutaj nie będzie, każe, i rok będą siedzieli. Maleńki człeczyna zadrżał na myśl o tej ostatniej ewentualności.

Wszystkim zaczynało dłużyć się coraz bardziej. Nic tak nie nuży jak oczekiwanie. Godziny mijały, a pacholik nie przybywał. Różne złe myśli zaczęły krążyć po głowach pięciu gotowych do drogi ludzi. A jeśli tamtym się nie powiodło? Jeśli zostali schwytani? Każdej chwili napastnicy mogli przybyć także i tutaj... Sandor mrucał wtedy, macał dłonią swój ogromny miecz. Towarzysze Piotra z Wikliny” milczący ludzie, zwyczajni różnych odmian losu, trwali w milczeniu, wyglądali na drogę. Eryk wcale już z niej nie schodził, aż mu się oczy łzawiły od słońca. Zaczynał klnąć w duchu Pieniążka i siebie, że mu tak zaufał, to znów odczuwał żal do Piotra z Wikliny, jakby rycerz winien był temu, że spotkanie z Zofijką nie dochodzi do skutku.

Usłyszał za sobą mocne kroki. Obejrzał się szybko. Za nim stał Sandor w towarzystwie pacholika pana Pieniążka. Eryk zdumiał się, skąd ten się znalazł: przecie nie spuszczał oczu z gościńca? Nie przyszło mu na myśl, że zmyślny chłopak skracał sobie drogę, rwąc polami... Wszelkie refleksje zgłuszyła zaraz przeogromna radość a zarazem niepokój przed chwilą, w której znów ujrzy dziewczynę, ucałuje, przytuli mocno do siebie...

Chciał jechać tejże chwili, ale Sandor sprzeciwił się. Razem z podręcznym poszli na górę do Erykowej izdebki. Niestety, wbrew oczekiwaniom olbrzyma, chłopak mało co wiedział.

Pan Kielbasa ostawił mię w krzaczach bzu, bym czekał, aż wszyscy wynijdą. Niedługo potem wyszedł ów przywódca wesołków i jeszcze jakiś, któremu ucha nie staje... Nie wiem, co z nimi się dzieje...

■- A nieśliż co z sobą?

- Onże Gruc miał sakwy, musiały być ciężkie, widziałem jak je przerzucał przez plecy.

Sandor z zachwytu zdzielił Eryka kułakiem pod żebro. Eryk aż się zachłysnął. Pacholik opowiadał dalej:

- Dobrą wszako godzinę, jeśli nie więcej, czekać musiałem na resztę. Guzdrali się, im cale śpieszno nie było... Poszli wreszcie. Ostał jeno ślepiec z tą linoskoczka. Piękna ona - dorzucił.

Eryk zgrzytnął zębami. Chłopiec skulił się, przypomniał, że z tym przecie rycerzem umawiał dziewczynę. Kończył pośpiesznie:

- Wróciłem tedy. Panienska - wolał przejść na ten sposób tytułowania Zofijki, zawsze bezpieczniej - szczęściem siedziała sobie razem ze ślepym na przyzbie, grzała się na słońku. Stary coś opowiadał. Dobrze się stało, że od razu mógł do niej się przysiąść i rzec, iż od pana Eryka przychodzę, który żyw jest i cały i za godzinę małą będzie na nią czekał w lasku o dwie staje za domem... Przybladła, ręką się chwyciła za serce, aż mię strach zdjął, czy nie omdleje. Ale nie, spytała tylko, czy mam jaki znak od panicza. Tom pokazał ów pierścień. Zaraz, gdzie ja go mam? - szukał po kieszeniach, znalazł. - Proszę. No i tedy uwierzyła. Ja rzekłem jeszcze, że ma być okruteczna tajemnica, bo inaczej panicz zginie. Skinęła głową, że wyrozumiała wszystko... Sam czas był, bo ukazała się w progu jędza, która z owym Grucem w osobliwej jest komitywie, groźnie spytała, czegoż zacy wrócił. Rzekłem, zali może mię na jeszcze jedną noc przytulić? Coś się jej widać nie spodobało we mnie, rzekła, iż nie, bo gości i tak ma dom pełen. Tom się jeno skłonił i poszedłem wolnieńkim kroczeniem, niby to do Krakowa. Ledwie mię krze skryły, ruszyłem polami tutaj. Niemała to droga piechotą...

- Nic więcej nie wiesz? - zapytał Sandor, chciwie chłonący słowa chłopca.

- Nie, panie rycerzu. Pan mój pewnikiem wie więcej, jego pytajcie.

- Tfu, drugiemu tak radź! Mędrzec się znalazł.

Powstał, serdecznie objął Eryka.

- My już jedziemy, ty także ruszaj z chłopakiem.

Jeno wyjechać musim razem.

Eryk czuł, jak mu serce bije gwałtownie. Krótko, a zobaczy Zofijkę. Mało zwracał uwagi na słowa Sandora, który kiwając palcem przed nosem gospodarza przestrzegał go, iżby nie śmiał nikomu słowa o nich powiedzieć.

- Jaśnie wielmożny pan wybaczy, a jeżeli pytać będą? Bo będą... - płaczącym głosem, drżąc jak osika na wietrze, zapytał gospodarz.

- Hm, tedy praw co bądź. Jednego nie masz powiedzieć, żeśmy na Słomniki pojechali, kędy droga na Parczew. Powiedz, że w jaką inną stronę. Kardynał by nigdy ci nie przebaczył, żeś zdradzał jego ludzi.

- Nnnie powiem, panie, nie, zaśbym śmiał...

Ruszyli całą szóstką. Pacholik pana Pieniżka rad był niezmiernie, że może wreszcie jechać konno, nie zaś biegać jak zajac po polach. Po ujechaniu kawałka drogi rozdzielili się. Eryk wraz z pacholikiem boczną dorożynką skręcił na prawo. Sandor przystanął, spoglądał za nimi, zaśmiał się wesoło, pokrzyknął na konie. Zostawiając ogromny obłok kurzu, runęli naprzód. Jechali okrężną drogą, musieli się śpieszyć.

Bocznymi dróżkami, to znów przez pola i łąki, obok lasków i krzewów przedzierał się Eryk najbliższą drogą ku ukochanej. Pacholik był sprytny nad podziw, znał wszystkie przejścia, niedługo trwało, a wychynęli na gościńcu. Przed nimi był laszek maleńki, ale gęsto podszyty, z drogi trudno było cokolwiek w nim dostrzec.

- Tam, o dwa stajania, ów dom, a dalej Kraków - pacholik wskazał przedtem na drogę, potem na widniejące z dala wieże Krakowa.

Eryk nie zwracał uwagi na jego słowa.

- Gdzie będziesz czekał? - pytał.

- Tam, panie, przy brzegu lasku, tyle, aby mnie jeno widać nie było. Koń się podpasie, bo kawał drogi przed nami... Tak, już muszą tu być - zagwizdał jak kos, kilka razy. Zaraz w odpowiedzi nadbiegło z lasku kilka cieniutkich tonów skrzypiec.

- Są - rzekł dumnie chłopak, ale nikt go nie słuchał, bo Eryk na pierwszy dźwięk zjechał w bok, przedzierał się teraz przez krzewy prowadząc konia za uzdę.

Maleńki skrawek obfitej murawy, wolny od krzaków, jaśniał w słońcu. Eryk wychylił się z zarośli, dojrzał przedtem ślepego staruszka z twarzą wystawioną ku mocnym promieniom słońca, ze skrzypkami złożonymi na kolanach. Na obliczu jego widniał wyraz pogody. Obok w oczekiwaniu stała dziewczyna, ręce miała splecione na piersi. Na widok wynurzającego się z zarośli Eryka drgnęła, pomieszane uczucia radości i trwogi odbiły się na jej twarzy. Opuściła ręce, stała bez ruchu, patrząc na niego.

Zostawił konia, szedł szybko, radość zastąpiła całe napięcie, i gorycz długiego oczekiwania. Rozwarł ramiona, poddała się w nie, tulił ją mocno i długo, nie mówiąc słowa. Po co? I tak się rozumieli... Szepnął tylko:

- Zofijka... dla mnie tyleś się wycierpiała.

Z uśmiechem potrząsnęła głową, jasne jej włosy rozsypały się, opadły na ramiona, zakryły szyję. Ucałował te włosy, potem przylgnął mocno do ust.

Lekkim ruchem dłoni wskazała ślepego starca. Zdawał się nic nie słyszeć, twarz miał nadal obróconą do słońca. A jednak palce jego nerwowo potrącające o struny skrzypek zdradzały, że czuwa, że wie, co się tu dzieje. Eryk postąpił o krok ku niemu, schylił, ujął serdecznie starą dłoń, pokrytą głębokimi zmarszczkami i nacięciami.

- Dzień dobry, dzień dobry, cieszę się, że was widzę, bardzo się cieszę...

- Witaj. Zofijka czekała na ciebie, cknęło się jej, jeszcze, gdy bolejąc leżała przez długie dni... - w głosie ślepego brzmiała głęboka sympatia, ale zarazem lęk o dziewczynę.

Eryk zrozumiał, ujął go ponownie za rękę.

- Ja tylko szczęścia Zofijki pragnę, wiedźcie to!

- Niechże ci Bóg pomoże - odszepnął starzec, po czym odwrócił się znów do słońca, zastygł w milczeniu, zdawał się o niczym nie wiedzieć, niczego nie słyszeć.

Młodzi przysiedli przy sobie. Eryk patrzył na smukłe nogi dziewczyny, opalone słońcem w złociście połyskujący brąz. Zarumieniła się, starała naciągnąć przykrótką, biedną sukieniczkę.

- Mojaś ty... - szepnął. - To jednak nie sen był zły, naprawdę spadłaś...

- Zmęczona byłam, przejęta... Usłyszałam krzyk nagły owego trabanta, spłoszyłam się, lina umknęła spod nogi, wiem tyle, że tylko rozkrzyżowałam ramiona, runęłam w dół...

- Na kamienie. Szczęściem, żeś cało wyszła...

- Gruc mnie ocalił... Nie bacząc na nic, poskoczył, lecącą w dół uchwycił w ramiona, silny jest... Upadliśmy razem. Potłuczona byłam, ale życie ostało. Leżałam czas jakiś, potem trzeba było gwałtem na Kraków ruszać. Trzęsłam się w wozie, temu tak wolno do sił dochodzę...

Eryk zagryzł wargi na wieść, że to właśnie Gruc uratował Zofijkę. Budziła się w nim wdzięczność dla krzyżackiego szpiega, a zarazem jeszcze większa odraza, że właśnie jemu zawdzięczać należy życie dziewczyny.

Zachnął się, po co ma teraz myśleć o Grucu... Spojrzył w twarz dziewczyny. Błękitne oczy migotały wzruszeniem. Wyczytał w nich, jak bardzo jest kochany... Porwał ją znów w objęcia, całował mocno, zachłannie. Zofijka nieśmiało oddawała pocałunki.

Wreszcie ochłonął. Przypomniwał o słowie danym Pieniżkowi. Choć ciężko sercu, parolowi sprzeniewierzyć się nie wolno żadną miarą...

- Czas mam krótki. Wraz jadę w daleką drogę. - Przyszła mu nagle nowa myśl. - Zofijko, czemu ty jeździsz wraz z owym Grucem? Zły to człek i sprawom złym służy. Ostaw go, najdziemy miejsce dla ciebie. Umieszczę cię tymczasem w Toruniu, a jak już ziemia pruska wolności zazna, ostaniem ze sobą na zawsze. Co mi stryj i jego zakazy! Sam o sobie i losie naszym będę stanowił - zradzał się w nim bunt mocny, zaciętości pełen. - Porzuć Gruca, już porzuć, nie trzymaj się jego bandy złodziejskiej - uniósł się, mówił głośno.

Dziewczyna położyła mu palec na ustach.

- Iw lesie nas mogą usłyszeć. Złe uszy wszędy ciekawe... A czemu z Grucem jeżdżę, czemu go nie ostawię? Nie mówić mi dzisiaj dokładnie. To ci rzekę, że ślub z dziadkiem daliśmy, póty świat przemierzać, z miasta do miasta, z zamku do zamku, w poniewierce choćby i głodzie, pośród złych ludzkich spojrzeń i znojów wszelakich, aż się sprawa nie spełni - mówiła to głosem jakimś namaszczoneym i uroczystym. Eryk popatrział na nią zdumiony. Jakby inny człowiek siedział tu obok niego. Nie rozumiał, o czym mówi.

- Ślub? Jaki?

- Nie Iza mi mówić... Jego pytaj. To nasza pospólna tajemnica - wskazała na ślepcę.

A on nagle mocno przeciągnął palcami po strunach. Skrzypki wydały ostry dźwięk, jakby bezmiernej rozpaczy i bólu. I zaraz zabrzmiały słowa ślepcy.

- Dziś nic ci rzec nie mogę. Pomnisz, mówiłem

Okrwi, o krzywdzie wielkiej i zemście przez Boga zleconej... Toć powtarzam. W umyśle mym ciemność, pamięć nie ogarnia wszystkiego, pustki się wielkie ostają... Ale ów głos mocny jest, pamięć go rozróżni między wszystkimi innymi na świecie. My głosu pewnego szukamy. Jako go najdziem, dokonanie nastąpi. Za jej los i mój los. Temu doleń niełacną wagantów wiedziem i jeszcze wieść będziem. Ona wzrokiem mej zemsty, mojego szukania, bo mnie okrucieństwo i niecna zdrada oczy zabrała. Powiadasz sam, że się wielkie rzeczy w ziemi pruskiej szykują. Wiem ja, że wtedy dokonanie ono nastąpi. Wtedy też Zofijkę zabierzesz, jeśli serce twe zachowa ją jeszcze w pamięci. Bo ona czystą ostanie

I wierną tobie po każdy czas...

Eryk słuchał przerażony. Głos starca brzmiał jak wieszczba ponura, tajemna. Kryło się coś groźnego za tymi słowami. Spojrzał przybladły na Zofijkę. Dziewczyna oddychała głośno, na zmizerowane chorobą policzki wystąpiły krwiste rumieńce, w oczach zapaliły się twarde błyski. Wydała mu się jeszcze piękniejszą, ale zarazem i całkiem nieodgadnioną.

- Ja nie pojmuję was - szepnął, głowę zwiesił, myśli zbierając.

Uczuł nagle dłoń starca na swoim ramieniu.

- Pojmiesz. A dziewczynę teraz dokąd byś zabrał, skoro na Wrocław i dalej do Wiednia, na sąd cesarski jedziesz? Wrócisz, odszukasz nas, my znak ci ostawim...

- Skąd wiecie, dokąd jadę?

- Gruc wie, a moje ucho dobre - odrzekł starzec. - Gdy on wie, muszę wiedzieć i ja. Zda ci się, że nie wiedział, iż rycerza sławnego, Piotra z Wikliny, z niewoli pastłückiej chcesz dobywać? Pomoc ci daliśmy... A dni ostatnie... Gruc nie pojął, jam wszako wiedział, skąd się pacholik ów wziął na noclegu w zajezdnej. I tako mi się zda, że wiem, co dzisiaj wydarzyć się może.

Eryk był przerażony. Nie wiedział, kto zaczął ten starzec, tak obeznany we wszystkich tajemnicach największych. Wróż jaki, wieszczek pogański, czarownik? Ślepiec wciąż trzymał rękę na ramieniu młodego rycerza.

- Co ci powiem. Wy kryjcie się, póki z małopolskiej ziemi nie wyjedziecie... - Głos zniżył teraz do szeptu. - Krzyżacy z podkomorzym krakowskim w bliskiej są zmowie. Oni będą was ścigać, a silni są i wszystko im służy w tej ziemi. Rozważni bądźcie, bo jeśli się wam uda, wielką rzecz dziś zrobicie, mocno nadwątlicie siły Zakonu.

- Skąd, starcze, to wiesz? - Eryk poderwał się ostro, stanął, usta miał lekko rozwarte, przez twarz przebiegały mu skurcze gniewu.

- Spokojny bądź! Ślepemu słuch musi zastąpić oczy. Uszy wiele mogą pojąć, wiele wyjaśnić... Pomnij, że Zofijka i ja także myślimy, jako wy wszyscy. Mus jeno każe nam przebywać razem z tamtymi. Ale nie służymy przez to złej sprawie. Zawdy, pomnij, trzeba ci będzie, pomoc damy. Zofijka i ja.

Urwał, namyślał się chwilę, palce jego powróciły na struny skrzypek, brząkały po nich leciutko, leciutko, rzekłbyś, wiatr łagodnie potrąca kwietnymi dzwoneczkami na łące.

- Miłujesz Zofijkę. To ci rzekę, że i ona ciebie miłuje, więcej może jak mnie, którym jeden bliski jej ostał na świecie. Strzeż się, by jej krzywdy nie zrobić, bo i twój głos w pamięci zapiszę. A biada głosowi takiemu, który we mnie żyje...

- Ostawcie - Eryk był zły. - Jeśli miłuję, nie po to, by krzywdę czynić. Będzie się to komu podobać, czy nie, za żonę będę Zofijkę brał. Moja boć ona jest. Tyle, że rycerz i nie Iza robić mi tego dziś. Niech wszako wojna nadejdzie, niech się oczyści w pruskiej ziemi, wraz przybędę. Czekać będziesz Zofijko?

- Tak - rzekła mocno.

Utulił ją w ramionach, zapominając o ślepcu i jego dziwnych słowach.

- Zawsze twój będę, zawsze - szeptął.

Siedzieli jeszcze jakiś czas przytuleni do siebie, radośni tą chwilą szczęścia, zrozpaczeni nowym, nie wiedzieć jak długim rozstaniem. Eryk powiedział, żeby zostawili mu znak u Tielemana vom Wege, rajcy znacznego miasta Torunia. Gdyby to nie było możliwe, znak taki niech dadzą przez kupca Daszkego w Elblągu. A jeszcze, niech odszukają Edwina z Warclawek, młodego rycerza, ten będzie wiedział, kędy się Eryk znajduje.

- Będziesz pomni?

- Będę - szepnęła.

- Prawda to wszystko, co on powiedział? - przypomniał Erşrk starca, spojrzał bacznie na niego.

- Prawda - szeptem odpowiedziała na szept. - On wszystko wie. On Gruca także zna i wiele wie o nim, choć i mnie samej nie wszystko powiada. Jemu zawdzięczam dużo, dziadziowi. Pamięć go opuściła, mało co przypomina z dawnych lat i to go gryzie. Jenó głos mu jeden w pamięci ostał i pospołu głosu owego szukamy, bo obojgu nam krzywdę uczynił przed dalekimi laty...

- Jaką?

- Nie wiem ja bliżej. On także zapomnił wiele. Ale prawda wszystko to jest.

Z oddali rozległo się natarczywe, upominające gwizdanie kosa. Eryk drgnął, spojrzał na słońce. Przesunęło się już znacznie, znać to było po cieniu padającym od krzaków i drzew.

Pora mi wracać. Parol dałem. Szczęśliwy jestem, zem cię obaczył. Będieszże mnie zawsze miłować?

- Zawsze, zawsze - szepnęła.

Za odchodzącym Erykiem ślepiec skreślił w powietrzu znak krzyża. Nasłuchiwał, aż rozległ się tętent kopyt na drodze, powoli oddalał się, zanikał, ustał zupełnie. Wtedy powstali oboje, strzepnęli odzienie, wolno ruszyli powrotną drogą do zajezdnej zajmowanej przez komediantów...

Eryk wstrząśnięty był zasłyszczanymi wieściami. Postać i zachowanie starca wydawały mu się tajemnicze i niezrozumiałe. A może to chory na umyśle i tylko zwodzi dziewczynę* skazując ją przez to na ciężkie życie? Mówi jak wieszczek z puszczy, trudno pojąć, co kryje się za jego słowami...

Przypomniał słowa o ich jeździe na Wrocław. Od Gruca o tym wiedział. A Gruc od kogo? Jakim sposobem to wytropili? Czyżby gospodarz zajezdnej podsłuchał i wyjawiał, udając tylko skrucę przed nimi? Gmatwało się wszystko, nie zanosilo na łatwą drogę. Pośpieszał konia. Pacholik był żwawy, znał dobrze wszystkie przejazdy wokoło Krakowa, nie

obca mu była najmniejsza choćby ścieżyna. Mieli Kraków ominąć, polami i lasami przedostać się na trakt krzeszowicki. Eryk po zastanowieniu pragnął i tego uniknąć. Zapytał chłopaka:

- Zali można tak jechać, by całkiem trakt minąć, dopiero przed samą karczmą na rozstaju wyjechać?

- Można, jeno dalsza to będzie droga. Jakie pięć stajań przez sam las się przyjdzie przedzierać. Czasu sporo zmitrzym...

- Wszak pojedziem bokami i przez ów las! - zdecydował młody rycerz.

- Wasza wola, panie.

Gnali bez wytchnienia, mila za milą. Ominęli Kraków, wieże jego pozostały za nimi, potem zniknęły zupełnie. Godziny mijały. Przystawali na krótko, tyle, aby koniom dać krzynek wypocząć, napoić je. I znów dudniły kopyta po wyschniętej ziemi, toczył się za nimi wał kurzu. Erykowi dzika jazda przywracała dawną równowagę. Nachylał głowę pod nawisłymi nisko nad drogą gałęziami drzew, mimo to smagały go czasem po twarzy, nic to, rad nawet był z tego. Zaciskał zęby, rozmyślał o tajemnicach, jakie mnożyły się wokół spraw krzyżackich. Gruc, Szafraniec, bliskie znoszenia komtura z poniektórymi z małopolskich panów, ej, niełatwo będzie to wszystko rozbić, rozwalić do szczętu, przynieść ludziom upragnioną swobodę. Wtedy pomyśli o Zofijce. Nic tu stryj, nic czyjeś gadanie. Rozmawiał się tak w dziewczynie, że nic droższego nad nią nie było już dlań na świecie. Chyba, że cześć rycerska. A tej na pewno się przecie póki życia nie sprzeniewierzy...

I nagle zniknęły wszystkie kłopoty, Eryk się poczuł szczęśliwy. Zachciało mu się wojackich przygód, walki, okazania zręczności i siły.

Mocniej nacisnął na boki konia. Kasztan był bystry, zastrzygł tylko uszami, złożył je potem po sobie, zerwał się do jeszcze szybszego biegu. Zafurczał wiatr, uderzał z pasją o uszy Eryka, a jemu wydawało się, że w tętnie kopyt końskich i w tym szumie wiatru rozróżnia tylko jedno, jedyne słowo:

- Zofijka, Zofijka... - Ech, nie ma to jak miłować!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Żaden dzień w życiu Sandora nie wydawał mu się tak ciężki i pełen niepewności jak ten, który spędził w pobliżu Krzeszowic. Godziny dłużyły się, napięcie rosło. Zmarszczone brwi i skupiona uwaga karczmarza również zdradzały, że sprawa jest bardziej poważna, niżeli się to z początku zdawało.

Do karczmy ukrytej w gęstwinie topoli przybył wraz z dwoma podręcznymi pana Piotra i pacholikiem Pieniążka wczesnym popołudniem. Droga zajęła im ponad pięć godzin, musieli sporo nadłożyć, aby z słomnickiego traktu wrócić przez Skalę na krzeszowicki gościniec.

Karczmarz, chudy mężczyzna o włosach mocno przyprószonej siwizną, przywitał ich ponurym wejrzeniem. Ponurość tę pogłębiały jeszcze liczne blizny i nabrzmiałe krwią krechy od cięć miecza, przebiegające przez czoło, policzki i lewą stronę nosa. Sandor wziął go na stronę, szepnął, że Mikołaj ich tu przysłał, o piwo proszą.

Na te słowa ponurość znikła w jednej chwili z twarzy karczmarza. Szeroki uśmiech okraślił gębę, co wyglądało dziwacznie w połączeniu z owymi bliznami.

- Z wolcie, zacni panowie, wraz piwem onym usłużę...

Zaraz potem odwołał Sandora. Ciepło spoglądał na olbrzymiego rycerza. I Sandorowi przypadł do serca ten dawny wojak. Karczmarz zapytał krótko:

- Nie wchodzę w szczegóły ani dla próżnej ciekawości pytam. Rzeknijcie panie, zali nie spodziewacie się jakich wrogów, którzy by mogli jechać za wami?

Sandor skinął potakująco.

- Skądże wam to do głowy?

- Temu, że wczora wieczór, a dziś rano jakowis jezdni wypytywali mię, azali nie stawał tu na popas ktoś z pruskich rycerzy... O dwu mówili, jednym wielgachnym nad podziw. Tuszę, że was, panie, mieli na myśli... - przyjaznym spojrzeniem ogarnął olbrzymią postać Sandora.

- Hm, to niedobrze - zafrasował się Sandor. - Bo my tu musimy czas dłuższy ostawać, na resztę towarzyszy czekając. Mikołaj także przybędzie... Co radzicie? Bo rzecz jest poważna, uczciwa, ale gardłem grozi. A nam żadną miarą gardła nie Iza postradać...

Gospodarz kiwał głową.

- Takem sobie pomyślał, jeszcze nimeście rzekli, że od Mikołaja przybywacie na piwo... U niego nigdy znaku nie ma bez racji. Wiele my razem przeżyli, wiele nawojowali. Ze świecą nie znaleźć drugiego śmiałka jako Mikołaj... Nic, rada będzie. Wraz, nie mieszkając długo, bo lichy nie śpi, chłopak mój zaprowadzi was w lasy, kędy gajówka skryta, a myśliwcem jest także druh stary imię Mikołaja. Tam was ostawię, baczenie sam dając na wszystko. Jedźmy zatem, rzekniecie mi jeszcze w drodze kogo mam czekać ze swoich...

Zdumieni ludzie Piotra z Wikliny bez zapalu zabrali się w nową drogę. Jeden tylko pacholik Pieniążka zdawał się niczemu nie dziwić. Chłopak był młody, nie miał pewnie, dwudziestu lat, z oczu patrzyło mu wielkim sprytem i dobrze musiał znać swego pana.

Po naradzie z karczmarzem Wojciechem, Sandor ze swymi zagłębił się w las, poprzedzany przez syna nowego sprzymierzeńca. Po pół godzinie wychynęli niespodziewanie przed kurną chatyną, krytą grubo gałęziami jedliny, przez co z daleka nie można jej było dojrzeć. Znaleźli tam zaspanego myśliwca, dziko wyglądającego chłopca. Pomimo upalnej pory okryty źle wyprawioną skórą, kudłaty, czarny, wysłuchał uważnie, co mu przekazał synaczek Wojciecha, wskazał gościom na swoją siedzibę.

- Bywajcie, panowie. Spokojne miejsce, nikt was tutaj nie najdzie. Ja pójdę w las, uprzedzę, gdyby zaszła jakaś potrzeba. - Zastanowił się chwilę. - A, prawda, jest tu beczułka małeńka piwa na wszelki wypadek. Wraz ją z loszku wytoczę.

Zadziwieni tym wszystkim ani spostrzegli, jak gospodarz zrobił parę kroków w stronę krzewów leśnej maliny i zapadł się tam jakby pod ziemię. Zaraz z sapaniem wynurzył się z powrotem, niosąc w silnych rękach wcale pokaźną beczułczynę.

- Kubki z kory lipowej są pod okapem - wskazał dłonią, szepnął: - Bywajcie w pokoju! - zapadł się między drzewa, mignęło jeszcze brązowe futro. Tyle go widzieli.

- Tfu, zgiń, przepadnij, jakby jaki ludojad - szepnął do siebie Sandor Wielki, z westchnieniem przysiadł na zwalonym pieńku.

Żołnierzom Piotra z Wikliny rozjaśniły się miny na widok piwa. Odjeżdżali z karczmy markotni, że o suchym gardle przyjdzie im przebywać w jakiej leśnej samotni, tymczasem teraz aż taka okazja. Sandor uśmiechnął się, kazał podać kubki. Z trudem wybili czop. Piwo było stare, sklarowane, aż gęste, pachniało chmielem na cały las... Syn karczmarza też łyknął sobie niezgorzej, po czym ruszył w powrotną drogę.

Zostali w lesie we czwórce.

Klarowny napój przywrócił ochotę także i olbrzymiemu rycerzowi. Popijał gęsto, z zadowoleniem ruszał małeńką swą twarzą, patrzył po lesie dobrotliwymi oczkami. Potem jął morzyć go sen. Nakazał swoim, by jeden był zawsze na straży, z chlupotem wlał w gardło następną miarkę piwa, wyszukał zarosły mchem ocieniony skrawek ziemi opodal myśliwskiej chatki, wyciągnął się na całą długość i zaraz zasnął z ręką na mieczu, zgodnie z przyzwyczajeniem nabytym w licznych wyprawach.

W skwarze upalnego dnia las stał spokojny i cichy. Z rzadka tylko odezwał się jakiś ptak, osypało się czasem igliwie. Wiatru nie było, nagrzana żywica rozchodziła się w powietrzu mocnym zapachem, przyjemna ociążałość wypełniała ludzkie ciała. Sandor chrapał rozgłośnie. Podpici żołnierze wytrzeszczali oczy na zieloną ścianę drzew, w ten sposób zwalczając morzący ich sen. Nie dali rady, legli jak kłody w samym skwarze, opodal mocno

nadpitej beczułki z piwem. Tylko pacholik pana Pieniążka pozostał przytomny. Popijał trunek małymi łydkami, strugał coś sobie ze znalezionej około domu skrawka miękkiej osiny.

Mijały godziny, zbliżało się ku zachodowi. Powietrze stało się bardziej rześkie, zniknęła duchota, ożyło w lesie, poniosły się zeń ptasie świergoty, z daleka dochodziły trzaskania gałęzi i stłumione porykiwania.

Ruda wiewiórka przysiadła tuż nad chłopcem na zwisającej nisko nad ziemią gałęzi rozrosłej jodły. Patrzyli długo na siebie, wreszcie chłopak zaśmiał się, poruszył ręką. Stworzonko jednym susem znalazło się na szczycie drzewa, ciekawie spoglądało zza pnia na dwunogie istoty.

Sandor drgnął i usiadł przecierając zaspane oczy. W tej samej chwili wiewiórka zrzuciła mu na głowę wyłuskaną z ziarna dużą szyszkę. Jeszcze w pełni nie rozbudzony ze snu, poderwał się z miejsca, do pół wyciągnął miecz z pochwy. Chłopak zachichotał, tłumił śmiech, kryjąc twarz w rękawie koszuli. Sandor spojrział zezem, podszedł bliżej, przechylił beczułkę, mocno pociągnął piwa, rozejrzał się dokoła. Musiał spać ładnych parę godzin. Cienie drzew wydłużyły się, w gęstym lesie bardziej zmroczało. Rycerz potarł czoło. Nie widziało mu się to wszystko.

- Nikt nie przybywał?

- Cisza, panie.

Niedobrze. Musieli przecie już przybyć...

Może są w karczmie? - rzekł jeden z żołnierzy.

Nie - Sandor przecząco potrząsnął głową. - Karczmarz miał ich tu przyprowadzić. - Strwożyła go nagła myśl. Aż brwi ściągnął w zastanowieniu. - A czy ów dzikus w futrze takóž się nie pokazał?

Nie było i jego. Wyglądało to wszystko niepokojąco. Sandor powziął podejrzenie, czy karczmarz nie uczynił tu na nich zasadzki. Może wcale nie był tak pewny, jak mówił Pieniążek. A może, może... Sam się przestraszył własnej myśli. Bo jeżeli słuszną okaże się nieufność Piotra z Wikliny do Mikołaja Pieniążka? Jeżeli ten Mikołaj zechce ich zdradzić, zagarnąć dla siebie krzyżackie pieniądze? Karczmarz może być w zмовie. Przetrzył ich tutaj, przez ten czas Pieniążek daleko uwiezie zdobycz. A jeśli wskaże ich ukrycie zausznikom starogrodzkiego komtura albo zbójcom podkomorzego Szafranca? Może i sam Pieniążek jest człowiekiem Szafranca?

Aż się włosy jeżyły na głowie rycerza. Co chwila spoglądał na las i wiszące nad nim rozblękitnione niebo, jakby szukał tam odpowiedzi. Dostrzegł tylko zbliżający się zachód.

Mrok wśród drzew gęstniał, choć na maleńkiej polance przy domku jasno jeszcze było jakby we wczesny ranek.

Przysiadł wreszcie, ujął głowę w ręce, zastanawiał się, co teraz ma robić. Wracać do karczmy? A jeżeli to przywidzenia i powrót zaszkodzi ich sprawie? Z drugiej strony nie można pozostawać w nieskończoność w tej leśnej siedzibie. Głód też poczynał doskwierać. W karczmie mało co zjedli, śpiesząc w ukrycie.

- Idzie ktoś ku nam. Konie słyszę i ciche głosy - odezwał się nagle Wicek pana Pieniążka.

Poderwali się, skryli za węglem chatynki. Nie wiadomo było, kto nadchodził. Sandorowi serce biło mocno, wypatrywał w czerń lasu, chwycił nieustannie za miecz, jednocześnie zerkał na Wickę. Był pacholikiem Pieniążka. Gdyby co, musiałby wiedzieć...

Odetchnęli z ulgą. Z lasu wychynął syn karczmarza, zaraz za nim Eryk i drugi pacholik pana Pieniążka. Konie prowadzili za sobą, w gąszczu nie można było jechać wierzchem. Sandor poskoczył ku przybyłym.

- Uff, chwałaż Bogu! A tom niespokojny był, co z wami się dzieje? Kędyście przebywali tak długo? Pewnie się nie mógł od dziewczki ^erwać, hę?

- Krotkom się jeno z nią widział. Że jednak wieści ważkie poznałem, dla przepieczeństwa lepszą mi się zdała okólna droga przez lasy, z pominięciem gościńca. Pacholik pobłądził, ledwośmy wychynęli z puszczy,

‘szczęściem opodał samej karczmy.

- Tata kazał, panie, wam rzec, że nikt inszy jeszcze nie przybył. Skoro ja wrócę do dom, ociec tu przyjdzie naradzić się z wami - rzekł jeszcze bystry syn karczmarza, po czym złożył na ziemi torbę z jedzeniem i zaraz ruszył w powrotną drogę.

Eryk pociągnął Sandora pod niedaleką jodłę, szybko, urywanymi zdaniem opowiedział wszystko, czego się dowiedział od ślepego muzyka. Sandor sposepniał, chmura mu osiadła na czole.

- Powiadasz, wiedzą, iż na Wrocław ruszamy? Znają nasze zamiary? To źle... Pieniążka z resztą i stryja twojego potąd nie ma, a pora późna. Oby się im co złego nie stało. Nieprzezpieczna wielce cała ta gra... A ja jak głupi siedzę tu w boru, zamiast iść druhom z pomocą - prawdziwa rozpacz zabrzmiała w głosie olbrzyma.

- Chłopak po mnie przybył wszak już po wyjściu komediantów. Zatem jeszcze przed waszym tutaj wyjazdem musieli pojmać owego Gruca. Wraz wypadało im ruszać w drogę... A tu już wieczór bliski - myślał Eryk, przypominał słowa ślepego, który przecież wyraźnie powiedział, że domyśla się tego, co zamierzają pruscy rycerze. A może i stary jest w znowie

z Grucem? Może obalamucił Zofijkę, a ona biedna mu wierzy, wykonując poniechcący nieczystą robotę? Ostatnich podejrzeń nie wyjawiał Sandorowi. Nie widział potrzeby.

Zasiedli do jedzenia. Sandorowi minął głód, przełknął mało, ani patrząc co je. Niecierpliwie wyczekiwał na przyście karczmarza. Pojawił się wreszcie, uśmiechając się twarzą posiekaną szramami.

- Wcześniej przyjść nie mogłem, bo znowu dwóch pokazało się u mnie, o was rozpytujac. Tyle, że nie od Krakowa przybyli, a z olkuskiej drogi. Zda się, ci sami, którychem widział wczorajszego wieczora.

- Zatem ci dwaj niczego wiedzieć nie mogą, co się przytrafiło dzisiaj w Krakowie? - spytał Sandor.

- Tuszę, że nie... Widać, wysłani byli już wprzód, aby baczenie mieć na was, nie prześlepić momentu, kiedy ruszycie w drogę. Gorsze, że Mikołaja nie widać... Powiadaliście, krótko po was, albo i wcześniej miał na Krzeszowice wyruszyć?

- Takać umowa stanęła między nami.

- Ha, tak - karczmarz tarł ręką czoło, palce jego przesuwały się po wklęśnięciach i wypukłościach szram i blizn.

- Mogło się stać co złego, ale mogły i pilne jakieś sprawy zatrzymać. Nie wymyślimy tu wiele...

- Może w pomoc iść? Jakże tak siedzieć w lesie beczynnje? - olbrzym ciskał się, rwało go na pomoc druhom i przyjaciółom.

- Toć szukają was, jakże byłby profit z drogi? Postrzegli by was, jeszcze napad jaki zrobili, a co już pewne, ślad ostałby jawny. Teraz szukają, wtedy się dowiedzą na pewno. Nie, trzeba jeszcze poczekać, może nocą przybędą, może lasami przedzierają się do nas. Z rana, gdyby nic, pchnę swoich ludzi, wy mnie jeno wskażecie, co i jak, kędy trzeba ich szukać... A drugi ów rycerz, o którymście powiadali? Tenże sam pono miał wracać?

- Piotr z Wikliny? Sam... Dziw, że i jego jeszcze tu nie ma. Może pojмали ich Szafrancowi ludzie?

Karczmarz rozłożył ręce.

- Wiele my nie odgadniem tu, panie. Radzęć czekać w spokoju. To pewne, że nie ostawim bez ratunku pana Mikołaja ani onego rycerza, jakże mu, Piotra z Wikliny. Ale w małopolskiej ziemi umem się więcej i chytrością zdziała niżeli siłą. Ja z synami baczenie miał będę na wszystko, gdy tylko co, znak prześlę. Strawę wam myśliwiec przyniesie, będzie tu blisko... - mówił rozsądnie, z wielkim spokojem, który musiały w nim wyrobić lata dopiero ciężkich doświadczeń. Na odchodnym rzucił jeszcze: - Tako mi się widzi, że dzisiejsza noc

będzie gorąca. Blizny mnie pieką, to zawsze, jak się szykuje jaka potrzeba czy bitka. Ha, niech tam, bo śniedzieje człek, rdza miecz przeżera, gdy tak wisi na ścianie bez pożytku żadnego...

Zmierzch porozpalał szczyty jodeł blaskami zachodu. Od lasu ciągnął chłód, drzewa zwierały się w nieprzebitą ścianę mroku.

Sandor przysiadł przy Eryku, gwarzyli małowiele. Młodzian dumał wciąż o Zofijce, o losie, który ich niespodzianie zetknął ze sobą i wciąż przynosi nowe rozłąki. Sandor też małą zdradzał ochotę do mielenia językiem. Stworzony był do działania. Ot, bić się, z mieczem wpaść na wroga, choćby i dziesięćkroć był liczniejszy, to mu się widziało. Ale rozmyślenia, skryte rozmowy, tajne knowania, nie znał się na tym, nie umiał i mierzyła go zawsze ich nieszczerłość. Teraz czuł się jak złapany w potrzasku. Musiał przyznać rację rozsądnemu karczmarzowi, ale nie przyniosło mu to wiele pociechy. Trwoga ogarniała go na myśl, że druhowie mogli dostać się w ręce wrogów. Może nawet komtur odzyskał z powrotem swoje pieniądze, użyje ich teraz przeciw Związkowi Pruskiemu, najmie zaciężnych, którzy rozleją krew konfederatów na ziemiach nad Pasłęką, Łyną i Wisłą?

Pomrukiwał raz po raz jak niedźwiedź w wielkiej tej desperacji, ale wymyślić nic nie mógł. Zwiesił tedy głowę, próbował odegnąć złe myśli, czekał.

Ostatnie blaski na zachodzie przyćmiły się, mrok zagarnął ziemię, noc stawała nad światem. Dopiero las ożył. Zewsząd dochodziły ciche stąpania, jakieś pomruki, charczenia, czasem gwałtownym zewem trwogi rozlegał się umęczony głos napadniętego przez drapieżnika zwierzęcia, kiedy indziej puchacz zahukał donośnie ze szczytu wysokiego drzewa, a strachem przejęty, w odpowiedzi zapisał zbudzony ze snu maleńki ptaszek, gdzieś znowu zatrzeszczały gałęzie kruszone olbrzymim cielskim łosia czy tura.

Minuty mijały wolno, jakby ktoś czas cofał. Żołnierze Piotra z Wikliny posnęli znowu: nie ich głowy odpowiadały za to, co dalej będzie się działo. Ich sprawą było mieć zawsze ręce gotowe do walki i obrony. Dlatego spali, by nabrać sił. Nie miał się sen natomiast Wicka i drugiego pacholika pana Pieniążka. Sandor myślał, że nielada szkołę przeszli, skoro się tak bacznie pilnują.

Wreszcie olbrzym niecierpliwie skinął na Wicka, który zjednał jego serce swą rezolucją i sprytem. Zagłębili się w las, pragnąc podejść w pobliże karczmy, rozejrzeć się, czy nie słyszą czego z gościńca. Wicek miał kocie oczy i jak pies wyczuwał kierunek. Zręcznie kluczył między drzewami, prowadząc leśnymi, przez zwierza wydeptanymi ścieżynami. W pewnej chwili zawahał się, stanął niepewny.

- Co ci, nie trafisz? - zapytał Sandor, który zupełnie już stracił kierunek.

- Nie, karczma musi być blisko. Tylko że gwałt słyszę jakowyś okrutny, jakby wiele ludzi tam było. Trza iść ostrożniej, aby się nie natknąć na kogo...

Niespodziewanie zupełnie rozwarła się po chwili ściana leśna, w blasku księżyca dojrzeli zbiegające ku sobie dwie linie dróg, a zaraz nie opodał przysiadły ku ziemi budynek karczmy, ciemny, z jednym tylko oświetlonym mizernie okienkiem. Nie to jednak sprawiło, że serca zabiły nagle gwałtownie, a oczy w natężeniu przebijały mrok.

Od Krakowa nadjeżdżała grupa konnych. Musiało ich być blisko pół setki, sądząc z tętentu. Rozprawiali głośno, przystanęli u rozstaju dróg, kilka koni zapędziło się w boczną odnogę, zaraz jednak wróciło. Wtedy ruszyli wszyscy ku pobliskiej karczmie. W dal pobiegło jakieś gwałtowne gwizdanie, trzy razy po trzy. Ucichło, jeźdźcy urwali rozmowę, nasłuchiwali.

- Znak dają jakowyś - szepnął Wicek.

Sandor znów poczuł wzbierające w nim podejrzenie co do prawości karczmarza. Dla kogoż te znaki, jeśli nie dla bliźniami znaczonego na gębie Wojciecha? Zazgrzytał zębami. Gdyby co, już on karczmarza żywym nie puści, o nie...

Z przeciwnej strony karczmy, z oddali gdzieś dobiegła odpowiedź, te same trzykroć powtórzone świsty. A potem zatupotały na szosie kopyta końskie. Dwa cienie przyrosłe do koni minęły karczmę, z zawołaniem: „Piotr, Piotr” zatrzymały się przy grupie jezdnych. Po dłuższej rozmowie całą gromadą pojechali w dalszą drogę, wolnym już klusem, bez poprzedniego pośpiechu.

- To Szafrącowi ludzie - cichutko rzekł Wicek. - Ślepią po drogach. Pewnie za nami. Nie wygląda z tego, aby natknęli się gdzie na mojego pana... Ciekawe, co za jedni byli ci dwaj, co przybyli z przeciwnej strony?

- Skąd wiesz, że Szafrącowi?

- Bo oni zawdy porozumiewają się zawołaniem Piotr”, które to imię nosi pan podkomorzy.

- Aha. A nie wiesz czasem... - urwał Sandor, gwałtownie pociągnięty przez pacholika za rękę.

Niedaleko od nich zabrzmiały z lasu jakieś szepty, zatrzeszczały deptane nogami gałązki. Musieli tam być skryci jacyś ludzie.

- Ciasno się robi w tym lesie - szepnął Wicek. - Poskoczę bliżej, obaczę.

W jednej chwili już go nie było, Sandor pozostał sam. Przyszło mu na myśl, że może karczmarz, Wicek i Pieniążek są w zмовie z ludźmi Szafrąca i że pacholik skorzystał teraz z okazji, aby dać drapaka.

Nagły gwałt podniósł się w krzakach, szamotanie, ucichło wszystko, by po chwili rozedrzeć ciszę okrzykiem, który poderwał Sandora na równe nogi.

- Toć że ja, Wicek, panie mój! Ady puście.

- Nie drzyj gęby. Skądś się wziął? - głos Pieniązka brzmiał zarazem zadowoleniem i gniewem.

Sandor nie zważając na hałas jaki czynił, biegł teraz w kierunku, skąd go dochodził głos przyjaciela.

- Tutaj, tutaj - wołał rozradowany Wicek. Choć starał się przyciszać głos, echo niosło się daleko po lesie.

Mikołaj, a bywaj że miły! - Sandor rozróżnił sylwetkę przyjaciela, padli sobie w objęcia. - Skądście tu? A już myślałem, że wam się co stało...

- Ech, stało i nie stało. Potem rozpowiem. Czas teraz odpocząć, bo sił brak, gębę mam rozoraną od gałęzi przy przedzieraniu przez leśne wertepy. Wicek, skocz do Wojciecha, spokojnie już tam albo jeszcze jako borsukom po puszczy trza siedzieć? Nie głupi oni, obstawili całą drogę na Krzeszowice... Wszyscy już są?

- Nie ma Piotra - rzekł Sandor.

Pieniążek zastanawiał się dłuższą chwilę.

- Niedobrze. Musiał być tu przed nami. Może też się przedziera bokami, choć jemu gorzej, bo dróg niezwyčajny... - zafrasował się.

Wicek nadszedł z gospodarzem karczmy. Wzruszające było przywitanie byłego wojaka ze swym dowódcą. Uściskali się jak bracia. Potem karczmarz powiódł wszystkich z powrotem do gajówki skrytej głęboko w lasach. Komentował po drodze zaszłe dopiero co wydarzenia.

- Ci dwaj, co to na świstanie przybiegli, ci sami są, których już wczora widziałem a i dzisiaj krótko przed zmierzchem. Ciężem ich ciekawili pruscy rycerze... Musieli skryci siedzieć w pobliżu karczmy. Dobrze, żeście nie Wychynęli pod ten czas z lasu, byłaby bieda.

- A chcieliśmy już, tylko ci Szafrąncowi zbóje nadjechali w tę chwilę. Szczęśliwie się trafiło, a to znowu nie byłoby nadziei spoczynku. Człek przecie nie koń, nie uciągnie za wiele...

Eryk i ludzie stryja niespokojnie oczekiwali powrotu Sandora. Ucieszyli się, widząc Pieniązka i pozostałych towarzyszy.

Przybyli dobrze sobie pojedli, w myśl zasady Pieniązka który mawiał, że o pustym brzuchu głowa myśleć nie lubi. Potem dopiero zawadiacki szlachcic rozpoczął opowieść. Słuchali z szeroko rozwartymi ustami. Nikt z obecnych nie znał jeszcze przebiegu pojmania

Gruca i towarzyszącego mu współnika. Przerzywano Pieniążkowi po kilka razy, żądając dokładnych wyjaśnień, aż Mikołaj się denerwował trzepiąc w powietrzu rękami.

- Jak miecz mnie miły, przestańcie, bo gęby nie rozewrę więcej ni słowem... Takeśmy zebrali się wszyscy wedle Floriańskiej Bramy. Myślę: jechać przez Kraków, kędy droga bliższa, czy objąć się wokół murów? A choć Jasiek i Kielbasa wmawiali, że owi dwaj dobrze związani i nie rychło ich kto uwolni, mnie coś koło serca szeptało, że będzie inaczej. Postanowiłem tedy: przez miasto, bliżej a czas drogi. Przejechaliśmy szczęśliwie.

Przy rogatce stało paru jezdnych, długo nas oglądali, szczególnie ciekawiły ich gęby pruskich wojaków - wskazał dłonią na Kielbasę i towarzyszy. - Tylko my za miasto, patrzymy, a te hycle suną wolnieńko za nami. Myślę: niedobrze, macam miecza, na sakwy spoglądam. Ciężkie, ani to uciekać, ani do walki się kwapić... Ruch na szosie, pchamy się przed siebie. Patrzą, boczny gościniec, jeździłem nim w swoim czasie. A tam parów jest wąski, droga dołem się wiję, we dwa konie ledwie przejedzie... Pośpieszamy trochę, tamci wloką się z tyłu. Trzech ich, nas pięciu. Mówię Edwinowi, by wziął sakwy ode mnie i razem z Jaśkiem wyjechał naprzód. Gdyby co, na samym ostatku w pomoc niech skoczą. My z Kielbasą i Maciejem zwolniliśmy kroku. Tamtych trzech zrobiło to samo. Dowód jasny, śladem idą, pewnie czekają na swoich, by nas kupą ogarnąć.

Urwał, odsapnął głęboko. Zmęczony był.

- No i dalej jak? - Sandor aż usta otworzył z ciekawości.

- Dalej? Dalej sił mnie brak, by opowiadać. Dajcie, niech wytchnę krzynę. - Śmiał się po swojemu, pociągnął nosem. - Toż chmiel tutaj wonieje, myślę, jakież to zapach anielski! Dajcie piwa, basałyki, czuję, macie tu pewnie dobrą stągiewkę? - Pociągnął niezgorzej, otarł gębę rękawem. - Uradziliśmy, by skoro dam hasło, z krzykiem wyskoczyć na tamtych. Ich trzech i nas trzech, tylko nie w głowie im, że mogą się spodziewać napadu. A tu zakręt był, droga wyższa, przystanęliśmy niewidoczni. Gdy się nieco zbliżą, świsnę, miecze do rąk i skokiem na nich. Jak miecz mój miły, gwizdało tylko! Jednego zasięklam, bo mi kapotę szelma zniszczył - pokazał obecnym posiekaną kurtkę. - Dwaj pozostali w nogi. My za nimi. Koń pierwszemu się potknął, zbój poleciał na łeb. Więc go pojaliśmy. Ostatni wszakoż uciekł, taki syn...

- No i co, i co? - Sandor w szalonym podnieceniu aż uniósł się z miejsca.

- Co? Ano tyle, żeśmy go połaskotali mizerykordią po gardle, nawet się żelazo podbarwiło cokolwiek czerwienią... Wyśpiewał, że z rozkazania podkomorzego pilnują dróg, by jakowychś pruskich rycerzy z czeladzią pojmać... O mnie także wiedzieli, że z wami, cha! cha! cha! Rzekł, że droga od Krakowa na Krzeszowice obstawiona jest od dwóch dni,

liczyli się bowiem z rychłym naszym wyjazdem. Powiadał jeszcze, że znać im dano, jakoby wielkie złodziejstwo uczynili owi rycerze i że nagrodę wyznacza podkomorzy, kto ich razem z kradzionym dobrem pojmie i żywych lub martwych odstawi... Tedy wiedział już wszystko. Gruca ktoś musiał oswobodzić, sam by więzów nie zerwał... Dał znać komturowi, przez niego poniosło się do Szafrancowych ludzi... Nie było co wędrować gościńcem. Przywiązaliśmy jeńca do jego własnego miecza i złożywszy w słoneczku przy drodze, aby się trochę zagorzał, bo ze strachu zbladł był okrutnie, w las wjechaliśmy. Temuśmy się telepali tak długo... Żał, że brak Piotra z Wikliny. Mogli go pojmać...

- Trza jechać z ratunkiem! - zawołał Eryk.

Pieniążek spojrział na niego ukosem.

- Pewnie, że trza. Ale nie po ciemnicy i dopiero po rozeznaniu, co się stało i jak... Ja bo nie myślę, iżby dzielny ów rycerz w potrzask miał wpaść. Rozum ma na to za wielki... Do rana niczego postanawiać nie będziem.

Eryk chciał protestować, ale pan Mikołaj spojrział znowu na niego, rzekł krótko.

- Do Pasłęka można było iść, skoro pewność była, że stryjec twój przebywa w tamtejszej wieży. Tu kędy pójdziesz? Sprawa poważna, nie dziećmi nam być. - Już zwracał się do karczmarza, słuchającego słów dawnego dowódcy z nabożnym prawie zachwytem. - Wojciech, rzeknij, spokojni możemy tu być? Nikt nas nie podejdzie w tej leśnej chatynie?

- Nie. Nikt jej nie zna. A my jeszcze stróżę mieć będziem... Moje chłopaki sprytnie, będą z nich kiedyś wojacy. Już nie spuszcza oka z gościńca... Wszako ostrożność nie zawadzi. Jeśli nocą, to sowa huknie po trzykroć, od świtu kukułka. Taki znak będzie. Bywajcie w zdrowiu. Pora nam wracać, kobieta sama ostała...

Pieniążek odprowadził karczmarza, naradzali się jeszcze. Do uszu Sandora doszły ostatnie słowa wyrzeczone przez Wojciecha.

- O konie wraz się postaram... Bo moje słabe, a te mają być mocne.

Olbrzym próbował coś z tego pojąć, nie wiedział jednak w czym rzecz. Jakaś myśl podejrzliwa frunęła mu przez głowę, ale ją zaraz odrzucił. Przecie i tak już złymi podejrzeniami wyrządził Mikołajowi krzywdę.

Noc była ciepła. Poza Wickiem, który zawsze miał jakieś własne przyzwyczajenia, nikt z podróżnych nie poszedł spać do myśliwskiej chatyny. Tyle, że jadło tam sobie zwarzyli z zapasów przyniesionych przez karczmarza Wojciecha.

Stróżować mieli po dwóch, na zmianę. Wkrócie jedynie głębokie oddechy i pochrapywania strudzonych mężczyzn mąciły ciszę zastygłą na małej polanie. Z lasu

dochodziły czasem odgłosy zwierza dążącego do wodopojów i drapieżnika szukającego ofiary.

Eryk z zazdrością spoglądał na śpiących towarzyszy. Leżał na wznak, wpatrzony w prześwity nieba pomiędzy konarami, myśli plątały mu się, przeskakiwały z tematu na temat, z Zofijki na Piotra z Wikliny, potem na Gruca, to znów na ślepego starca, przyplątała się nawet nie wiedzieć czemu i skąd Elżbietka z Krzykosów. Gmatwało się jakoś to wszystko, nie umiał sobie poradzić, nie wiedział, jak pokierować własną dolą.

Potem jednak spokój nocy wpłynął i na niego kojąco. Gwiazdy migotały jasne, roziskrzone, szczególnie jedna jakby mrugała do niego pocieszająco. Księżyc rzucał na polankę długie, poczarne cienie od drzew i krzewów. Eryk próżno usiłował rozróżnić coś w plątaninie cieni i realnych przedmiotów. Aż oczy zaczęły boleć, zmrużył je na chwilę i tak podszedł go mocny sen. Nie słyszał nawet zmiany straży w małym obozie, nie wiedział, kiedy przeminęła krótka noc kończąca maj a poczynająca czerwiec. Gdy się zbudził, świt już dawno rozpałił wierzchołki drzew, dawał się we znaki ostrym, rzeźwiącym chłodem. Obok Edwin prostował ramiona, uśmiechał się przyjaźnie.

Świt ten przyniósł powrót wczorajszych niepokojów i zmartwień. Pieniążek popatrywał na sakwy Gruca ze złotą monetą, skryte w kącie chatyny myśliwca. Zastanawiali się czy nie najlepiej byłoby zostawić je w Krakowie. Aj^Ł Piotr z Wikliny ani Sandor nie znajdowali tam jednak wśród znajomych nikogo, komu mogliby powierzyć własność związkową. Do małopolskich panów, a choćby nawet do Hińczy z Rogowa, również nie wypadało się z tą sprawą udawać. Jedyna rada, trzeba było wieźć pieniądze ze sobą i we Wrocławiu wręczyć je Janowi Bażyńskiemu, który mając bezpośredni i stały kontakt z protektorami Związku Pruskiego, wiedziałby, jaką drogą przekazać je we właściwe ręce.

Karczmarz długo nie przybywał. Pan Mikołaj decydował się już posyłać po niego sprytnego Wicka, gdy niespodzianie nadszedł myśliwiec okutany swoim kozuchem, a za nim we własnej osobie Piotr z Wikliny. Powitały go krzyki pełne radości. Rycerz odpowiedział taką samą uciechą.

Jak się okazało, był pan Piotr czujnie śledzony już od samego wyjścia z zajezdnej. Zarówno jego wizycie u Hińczy z Rogowa, jak potem u Czecha Matlaczka towarzyszyli obcy, nieznani ludzie. Snuli się po ulicy, pilnowali, aby rycerz nie umknął ich obserwacji. Nie byli jednak na tyle sprytni, aby ukryć swoją obecność przed obytym w takich sprawach rycerzem.

Piotr z Wikliny miał nielada kłopot, jak pozbyć się niepożądanych towarzyszy przy wyjeździe z Krakowa. Zwierzył się wreszcie z kłopotu Czechowi Matlaczkowi, do którego

miał duże zaufanie. Matlaczek dobrze już zasłużył się Związkowi Pruskiemu werbując zaciężników, właśnie najlepsze oddziały trabanckie z posiadanych przez konfederatów.

Matlaczek mieszkał przy prowadzonej przez innego Czecha gospodzie, na podwórzu której wciąż zajeżdżały różne fury i chłopskie wozy z towarami. Krótco pod wieczór wyjechały wreszcie i ostatnie dwa wozy, z dwojgiem chłopów na każdym. Na wozach było po trosze różnego towaru, jaki chłopci otrzymali w zamian za przywiezione produkty.

Wozy były ciężkie, koła obracały się powoli, ze skrzypem. Koniska także były wychudłe, słabe, ani próbować zmusić je do szybszego biegu. Człapali więc przez cały wieczór i pół nocy, by krótko przed świtaniem stanąć popasem w karczmie na rozstaju pod Krzeszowicami.

- Wszelako w tych cudzych plótniakach, z biczyskiem w ręku, owiniętem szmatami, nie ochotnie mi było z dala od miecza, który pod wozem był uwiązany... Z pięć razy nas zatrzymywano, zaglądając uważnie, czy nie wieziemy kogo we wozach. Widziałem też cały oddział, jak pędził w tę stronę. Bałem się, może zdybali któregoś z was, ale widzę, chwalić Pannę Maryję, wszyscy jesteście na miejscu. Jedno pewne, że nie gościńcem nam się dalej przebierać, bo Szafrancowych tu pełno. Gospodarz mówił, żeście już omówili z nim dalszą drogę...

- Są i konie. Chociaż trzeciego trudno było mnie dostać. Pieniądze okrutne musiałem dać za tego siwka. Ale dobry koń, pojrzyjcie na nogi - nabrzmiały dumą głos karczmarza Wojciecha zadudnił przez całą polanę. Razem z nim szli obaj synowie, ubrani jak do dalszej podróży.

- Co niedobre - chmurzył się Piotr z Wikliny - że lasami i okrężnymi drogami dobre trzy dni czasu dodatkowo zmitrężym, a przecie już czerwiec, posłowie gotowi bez nas pojechać do Wiednia...

- Nic, zdążymy, zdążymy na pewno! - Pieniążek zapijał się teraz piwem, jakby na zapas.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Przez przesłonięte 'jasnymi zasłonami gotyckie okno obszernego pokoju wpadały z rynku zwykłe, codzienne hałasy. Nie docierały one zupełnie do niewielkiego wzrostem, drobnej budowy człowieka, w zamyśleniu siedzącego za stołem nad stosem papierów. Drobna, pomarszczona dłoń zawisała w powietrzu wraz ze świeżo zamoczonym w inkauscie piórem. Rysy twarzy pogłębiły się, zdradzając wysiłek umysłu. Atrament spłynął na koniec

pióra, dużą kroplą opadł z pacnięciem na papier. Stary człowiek w zniecierpliwieniu poruszył wargami, sięgnął po kryształowy flakon z drobnutkim piaskiem odrzańskim, zasypał nim plamę.

Jan Bażyński jeszcze długi czas zastanawiał się nad treścią pisma. Rzadkie włosy osunęły się na wysokie czoło, porysowane teraz poprzecznymi liniami. Głuchy kaszel wstrząsnął zapadłą pierś. Nerwowym ruchem dłoni zmienił gruby, żółtawy arkusik papieru, ostrymi literami kreślić jął zdanie za zdaniem. Nie przerywał już, dłoń jego posuwała się szybko, równe linie pisma

» zapełniały papier. Odetchnął w pewnej chwili, skreślił podpis z ostrym zygzakiem przy końcu.

Drobny, przesiewany piasek jasną żółcią pokrył arkusik. Po przejściu w siebie nadmiaru płynu, zsypany został do srebrnej miseczki.

Jan Bażyński ujął wtedy mały dzwoneczek, potrząsnął nim. Razem nieomal z delikatnym, cichutkim dźwiękiem otworzyły się drzwi, wszedł młody sekretarz.

- Złóż pieczęć, Waclawie, i wraz ślij pismo przez umyślnego... Jeszcze przed zjazdem piotrzkowskim powinien je kanclerz Koniecpolski otrzymać... Jest co nowego?

- Posłowie krzyżaccy wczorajszym wieczorem przybyli do miasta. Dzień tylko jeden mają popasać, śpieszy się im do Wiednia... - sekretarz umilkł na chwilę, zaczerwienił się, otworzył usta, znów je przymknął, jakby w obawie...

Bażyński spojrzał uważnie.

- Rzeknij Waclaw... Domyślam się, o co chodzi...

- Tak, panie. Wieści były prawdziwe. W poselstwie krzyżackim brat wasz, Aleksander, dąży na sąd cesarski. Jest też i Segenand z Waplewa...

Mocniejsze ściśnięcie warg, jakby błysk troski w oczach. Ale głos taki sam, spokojny, opanowany:

- Kto jeszcze?

- Biskup warmiński, Franciszek Kuchschmalz, z rycerzy zaś wielki szpitalnik von Plauen, wójt z Lipinek Egloffstein, tudzież radca wielkiego mistrza doktor von Blumenau. Sześciu ich razem tudzież niewielki poczet zbrojnych gwoli osłony...

- U kogo stanęli?

- Wrocławski biskup gościnę im ofiarował...

- Tego się można było spodziewać. Nie od dzisiaj śle mu Zakon kosztowne dary. Były próby starań, aby stolica papieska właśnie biskupim dłoniom powierzyła rozjemstwo. Dawni znajomi! Blumenau wszak posłował do biskupa... No nic, nic.../Jest coś jeszcze, Waclawie?

- Nic. Posłowie nasi wypoczywają. Rycerzom owym, co z Krakowa przybyli, także zapewniłem spoczynek. Zdrożeni okrutnie, lasami i bocznymi drogami aż po sam prawie Wrocław się przedzierali...

- Nie dziw to... Pieniądz, jaki wieźli ze oba, łakomy był. - Uśmiech rozjaśnił oblicze starego człowieka. - Dobrze, dziękuję, plan dnia bez zmiany ostatecznie... Teraz popracować jeszcze muszę. Gońca z pismem wraz ślij.

Sekretarz cichutko przytknął drzwi, ogarniając Bażyńskiego pełnym przywiązania spojrzeniem.

On zaś dostrzegł parujący kubek mleka pomieszanego z miodem. Uśmiechnął się na poczciwość sekretarza, niechętnie wypił napój. Wstał potem i utykając mocno na prawą nogę, przybliżył się do okna, uchylił jasnej zasłony. Zapatrzył się na rynek Wrocławia, myśli jego szybowały jednak gdzie indziej. Sędziwy szlachcic rzadko pozwalał sobie na osobiste wspomnienia. Czasem jednak obrazem dawnych niepowodzeń życiowych pragnął umocnić w sobie * decyzje związane z dniem dzisiejszym. Jakby w złej przeszłości szukał dobrej otuchy na przyszłość. Uśmiechał się dobrotliwie do tej własnej słabostki.

Oparł o framugę okienną wychudłą dłoń. Na palcu widniał pierścień z rzezanym w szlachetnym kamieniu herbem rodowym Bażyńskich: wiewiórka obok konarów drzewa. Na niejednych aktach pruskich zwisała ta pieczęć odcisnięta w laku, na znak, iż Bażyńscy nie od dzisiaj wiele mieli do powiedzenia.

Dzień był jasny, czasem tylko przelotne chmury zasnuwały niebo i wtedy jasne pasy słoneczne cofały się szybko z tynków kamienic. Ale nawet w cieniu rynek potężnego miasta śląskiego czynił wrażenie pogody, nieomal wesela. Cegła budowli była jaśniejsza, nie tej barwy zakrzepłej krwi jak w warowniach krzyżackich. Kramy kupieckie rozwierały się szeroko, aż na chodnik wybiegały stosy z rozłożonymi na nich towarami.

Przez okno docierały słowa i całe zdania wypowiedane w różnych językach. Bo też przez Wrocław, jak przed wiekami, tak i dzisiaj ciągnęły karawany kupieckie ze wschodu i zachodu, kierowały się Bramą Morawską na południe, Odrą dążyły na daleki Szczecin, albo przez Głogów przemierzały szlak do Poznania i Gdańska. We Wrocławiu zbiegały się też nici wielu politycznych poczynań. Posłowie różnych krajów i ziem przejeżdżali przez miasto, zatrzymywali się dla odbycia rozmów, czynili zjazdy, zawiązywali umowy. A wokół snuło się pospólstwo, ruchliwe, skore do gniewu i śmiechu, czasem schlebiające możliwym, czasem występujące przeciw nim ostro. Bogaty był patrycjat miejski, śmiało planował dalekosiężną politykę handlową.

Bażyński spoglądał na rojący się w dole barwny tłum, na różnorakie ubiory, na twarze, jedne spalone, inne blade, wychudłe, ale myśli jego błądziły gdzie indziej.

Liczył sobie sześćdziesiąt trzy lata. Znoje wieku młodzieńczego, trud statecznej dojrzałości, triumfy i rozczarowania, wszystko to raczej przyśpieszało starość, niżli ją powstrzymywało. Fizycznie nigdy nie należał do najsilniejszych. I choć imię rycerskie miał sławne, głośnie daleko poza rodzinne strony, choć boje z niewiernymi w Portugalii, gdzie spędził cztery lata, opiewali nawet wędrowni rybacy, nie dodało to przecie siły jego ramionom ani nie nadało bardziej męskiego kształtu wklęsniętym piersiom. Pogorszyło się jeszcze, gdy posługując w latach trzydziestych do Danii, złamał nogę przy upadku ze spłoszonego konia i odtąd stale utykał, aż nadane przez wrogów przyłgnęło doń przezwisko „kulawego bazyliuszka”.

Wrogów... Bażyński odszedł od okna, zamyślił się nad dziwnymi swymi losami. Jakże się zmieniało to pojęcie przez minione dziesiątki lat. Ledwo dosłużył się ostróg rycerskich, przyjął służbę dworzanina na dworze wielkiego mistrza Plauena. Było to w rok czy dwa po pamiętnej bitwie grunwaldzkiej... Posłował do Anglii, obdarzony zaufaniem Zakonu. Żyła jeszcze wtedy matka, polskiego rodu, chłopięciem jeździł z nią do krewnych na ziemi dobrzyńskiej... Ceniono go, obrastał w zaszczyty i dostojęstwa. Był czas pokoju, Zakon krzepił swe siły, nadwątlone przez czas wielkiej wojny z Jagiełłą. A potem od nowa zaczęły gromadzić się chmury nad pruską ziemią. Krzyżakom wadziło sąsiedztwo Polski, rosła chęć zemsty za poniesione klęski...

Bażyński wahał się, żadną miarą nie chciał stawać po jednej strdflie z krzyżackimi rycerzami przeciw ojczyźnie matki, nie mógł zrozumieć potrzeby i sensu walki z chęścijanarpi. Wyjechał do Portugalii, zostawiając w kraju to, co mu było najdroższe... Anną ją zwano, pochodziła z ziemi chełmińskiej, piękna była i mądra, serdecznie go miłowała. Radził się z nią wielokroć, też odradzała mu wojowanie z Polską, chcąc nie chcąc godziła się z koniecznością wyjazdu w dalekie światy. Cztery lata przebywał poza Pirenejami, wsławił swoje imię, nabrał nowej mądrości. I przez cztery lata tęsknił za piękną Anną, marzył o chwili, gdy ją pojmie za żonę, wprowadzi w stary swój dom rodzinny około Dąbrówna...

Stary człowiek poprawił się na krześle, przeciągnął pomarszczoną dłońią po oczach, jakoby odganiał w ten sposób jakieś wielkie zmęczenie. Na twarzy osiadł smutek, jeszcze bardziej dodając jej wyrazu powagi i wielkiej szlachetności. Nos ostry, oczy szare, ciepłe, w wejrzeniu, policzki chude, ale nie zapadłe, broda starannie pielęgnowana. A przy tym mocno zarysowane łuki brwi, znamionujące stanowczość. Razem przemawiało to siłą, zaś obok niej serdecznością, zniewalającą ludzi.

Tak, wtedy pierwszy raz zawahał się, gdzie naprawdę kryć się mogą wrogowie? Wrócił przecie stęskniony za krajem. Gdy dotarła doń straszna nowina, nie wierzył, krzyczał, że kłamstwo, że zna przecie wielkiego mistrza jako prawego człowieka, który by nigdy się nie dopuścił takiej niegodziwości, jeszcze w stosunku do wiernego dworzanina... Nic to nie pomogło, nie mogło zmienić faktu, że gdy pomarli rodzice dziewczyny, Zakon łamiąc prawo chełmińskie, za nakazaniem osobistym wielkiego mistrza, wydał ją za mąż innemu, na daleką, chłodną ziemię sambijską.

Zraniony głęboko, zamknął się na długie miesiące w Osiekowie, gdzie przebywała matka. Mądra kobieta, dla której ten syn był najbliższym i najbardziej ukochanym, choć przecie miała ich wielu, stała się dla niego jedynym doradcą i pocieszycielem... On zaś pierwszy raz zastanawiał się, gdzie naprawdę są jego wrogowie? Jego i ziemi pruskiej. Czy tam kędy wskazuje Zakon, na Litwie i Żmudzi, w Polsce, czy może właśnie pomiędzy rycerzami o płaszczach znaczonych krzyżem, przybyszami z dalekich niemieckich ziem, potomkami wielkich rodów tamtejszych traktujących szlachtę pruską jako coś niższego, co powinno im służyć? Nie wiedział. I uwierzył raz jeszcze zapewnieniom wielkiego mistrza, że krzywdę wyrządzono nieumyślnie, tylko na skutek fałszywej wieści o jego śmierci, którą bracia zakonni szczerze opłakiwali...

Dostojeństw dworskich jednakże nie chciał piastować, osiadł u boku matki w Osiekowie, tyle że przyjął chorążostwo ostródzkie. Zgodził się tylko na posłowanie do Danii, był pośrednikiem w sporze między szlachtą pomezzańską a tamtejszym biskupem, zdecydowanie opowiadając się przeciw stosowaniu prawa kościelnego w sporach świeckich. Przyjął nawet rok potem wybór do przybocznej rady wielkiego mistrza, nie tracąc jednak szacunku między bracią szlachecką. W 1440 przystąpił do zawiązującego się Związku Pruskiego i w sześć lat potem tak gorliwie bronił jego prawa, że popadł w niełaskę u Konrada von Erlichshausena, usiłującego rozwiązać niebezpieczną dla Zakonu konfederację...

Gdy w latach pięćdziesiątych walka stanów z Zakonem uległa zaostrzeniu, musiał powrócić do swych dawnych rozważań, po której stronie naprawdę kryje się wróg. Zrezygnował z członkostwa przybocznej rady wielkiego mistrza, chciał pozostać na uboczu, nie mieszać się więcej w to wszystko, co dzieje się w Prusach. Nie/potrafił jednak być obojętnym na coraz nowe nieprawości i gwałty, na jawny rozbój, uprawiany przez Zakon a szumnie pokrywany religijnymi hasłami. Rozbój, który uszczuplał i jego własne mienie. Wszedł w grono członków Towarzystwa Jaszczurczego, stał się jednym z jego tajnych przywódców. Nie występował na zewnątrz, służył tylko mądrą radą, znajdującą powszechny posłuch i uznanie... A potem doszła wieść o projektowanym na niego zamachu... Pojął jaśniej

jeszcze, że wróg jest pośród krzyżackich rycerzy, że Zakon jest wrogiem śmiertelnym całego pruskiego społeczeństwa, miast i szlachty, i nawet chłopstwa, jęczącego pod brzemieniem coraz większego ucisku. W Związku Pruskim wprowadzał w czyn uchwały ludzi spod znaku zwinnej jaszczurki. Zaraz potem zwała go z nóg choroba. Miał wtedy czas wszystko od nowa przemyśleć. Do Wrocławia na dalsze leczenie pojechał już innym człowiekiem. Powziął i upewnił się ostatecznie w decyzji. Mocniej zapulsowała w żyłach polska krew matki. W Koronie ujrzał jedyny ratunek...

Był już właściwie zdrow, mógł powracać. Okazało się jednak, że najważniejsze posunięcia można było robić stąd właśnie, z dalekiego Wrocławia. Zjeżdżali tu kierownicy polityki polskiej, szybciej i pewniej dochodziły wieści, co się dzieje w małopolskim stronnictwie Oleśnickiego, Rzym i Wiedeń też były łatwiejsze do przejrzenia. Tak się stało, że główny ośrodek misternej polityki związkowej przechodził powoli w jego ręce. Każda rzecz znajdowała swój początek i koniec we wrocławskim mieszkaniu Bażyńskiego przy Rynku. Tajna Rada Związku nieustannie słała tu gońców i na odwrót, z Wrocławia jeden za drugim pędzili w świat ludzie z ważnymi pismami czy tylko ustnymi przekazami. W kraju formowało się silne, uzbrojone ramie, we Wrocławiu pracował główny mózg...

Stary człowiek zagłębiony w wygodnym krześle westchnął ciężko. Lękiem go zdejmowało potężne brzemie odpowiedzialności, jakie przejmował na swoje barki. Czy mu podola? Czy nie widzi wszystkiego w nazbyt jasnych kolorach? Z Torunia szły wezwania, by wracał czym rychlej. Jakże im wytłumaczyć, że jeszcze miesiąc, dwa, obecność jego jest tutaj konieczna? Że decydująca rozmowa z wielkim kanclerzem Korony dopiero nastąpi, poprzednie były jedynie przygotowaniem? Że królowa, matka polskiego monarchy chętniej z Wrocławiem się znosi, niżeli ze śledzonym bacznie Toruniem?... Wróci, ale wróci wtedy, gdy uzyska już pewność, że zrobiono wszystko, aby w wielkiej rozgrywce uniknąć przegranej... Bo chciał być zwycięzcą, bo wbrew lękowi przed odpowiedzialnością pragnął władzy, poddawał się jej pokusie. Dlatego też był tak ostrożnym i przewidującym. Znów westchnął. Poczł się nagle bardzo, bardzo starym. Starszym od tych lat, jakie dźwigał na sobie. Starym i bardzo zmęczonym. Wokół niego też byli ludzie starzy." Oni przygotowywali powstanie, na wypadek, gdy zawiodą legalne środki walki o prawa stanowe. Oni to, jakby pozbawieni ostrożności należyj swemu wiekowi, ryzykowali śmiało poczynania, podejmowali najcięzsze decyzje. Ale bo też może oni najlepiej zdawali sobie sprawę, ku czemu kraj kroczy i co mu grozi, jeżeli nie powstrzyma się nawałnicy wzbierającej z każdym dniem, więcej z każdą godziną, w murach chciwego i bezwzględneho Zakonu. Jaszczur ko wcy ich wychowali, ludzie, którzy ustępowali z Towarzystwa, jeżeli ze strony Zakonu spotkała ich osobista

krzywdą, a wypowiedane zdanie mogło stwarzać pozory, że podbudowane jest stronniczością. Jaszczurkowcy zaś orzekli, że kraj pruski czeka zupełna zagłada i wyniszczenie, zdeptanie reszty swobód stanowych, nędza, niewolnictwo i hańba po wszystkie cz[^]sy. Do tego nie można było dopuścić...

Przed pamięć starego, opartego o stół człowieka nadpłynął obraz kobiety, która kiedyś była ukochaniem jego życia, nadzieją i szczęściem, a która po latach niesławnego żywota u boku obcego sobie mężczyzny zmarła dawno już temu w chłodnej Sambii... Obraz, w jaki wpatrzyła się teraz pamięć Jana Bażyńskiego, przedstawiał Annę taką, jaką była w chwili odjazdu narzeczonego do portugalskich miast. Wysoka, jasna jak pola kwietne prześwietlone słońcem, z czołem wzniesionym ku górze.

Stary człowiek zastygł, wpatrzony w przywołaną pragnieniem wizję dawnej przeszłości. I jakby z uśmiechem owej dawno już nieżyjącej Anny przechodziła w niego jej siła i duma, i moc, prostował się, tracił z twarzy wyraz znużenia, myśl zaczynała krążyć swobodnie i żywo. Tak, po to, aby więcej żadna kobieta nie zaznała doli Anny, aby żaden ojciec nie opłakiwał syna, a matki nie lały łez po zhańbionych córkach, aby wdowom i sierotom nie czynił nikt gwałtu, ale szanował je i przychodził z pomocą - po to Zakon okrutnych rycerzy zmieciony być musi z powierzchni ziemi. I on, Bażyński, musi się do tego przyczynić...

Obraz dziewczyny rozwiął się, zanikł w mrokach pamięci, ale pozostała energia, od nowa rozbudzona w duchowym przywódcy konfederacji pruskiej.

Wytrawny działacz i polityk rzadko przeżywał momenty załamania. Zawsze wtedy z pomocą przychodziła mu pamięć Anny, jedynej kobiety, którą miłował w życiu i której pozostał wiernym.

Z błyskiem w swych dobrych, siwych oczach przysiadł znowu za stołem, przeglądał akta, czynił notatki, przekreślał, poprawiał, czoło powlekało mu się fałdami. Czuł się rześki, pełen życia i siły. Dadzą sobie rady z krzyżackim Zakonem! Nic to, że starzy są przywódcy związkowi, duch w nich ma polot młodości, wiek zaś przydaje tylko rozwagi, która pewnym uczyni zwycięstwo.

Pracował intensywnie, co jakiś czas sięgał ręką po maleńki dzwoneczek, delikatne tony przywoływały sekretarza Wacława, który zbierał nagryzmołone notatki do przepisania, udzielał wyjaśnień, słał gońców w świat, w imieniu zwierzchnika załatwiał mniej ważne sprawy.

Z pogodną twarzą, kuszykając jak zawsze, gościł serdecznie pruskich posłów na sąd cesarski. Nie wyłączając Gabriela Bażyńskiego, rodzzonego brata przywódcy Związku,

patrzyli wszyscy na maleńką postać z szacunkiem i podziwieniem. W twarzy Jana było coś dostojnego, prawość rzadko spotykana, wzbudzająca bezgraniczne zaufanie. Pierwszy obywatel Chełmna, burmistrz Jan Matzke, nieustannie śmiał się cichutko, radośnie, aż mu się zapadały policzki w bezzębne usta. Radość była też w ponurej zazwyczaj twarzy głośnego rycerza, Jana z Turzy, pełen nadziei wielkimi krokami przemierzał pokój krewki Tieleman vpm Wege. Jedynie przedstawiciel Gdańka, Wilhelm Jordan, niepewnie czuł się w tym otoczeniu, krył po kątach spłoszone oczy, aż się sędzia Ramsz z Krzykosów jął bacznie mu przypatrywać, z nieukrywanym zdziwieniem.

- Ażem uściskał owego husytę małopolskiego, jako mi Piotr z Wikliny powtórzył całą krakowską przygodę. Musiał się komtur starogrodzki mieć z pyszna, widząc, jak mu niezgorszy tysiączek abo i dwa zacieźników sprzed nosa umyka. Nie chciałbym ja być w jego skórze, stając z relacją przed wielkim mistrzem Ludwikiem...

- Albo, co lepiej, przed podskarbisem czy Henrykiem von Plauen... Ci, mniej pomstując słowami, bystrzej ku czynom przechodzą - przerwał burmistrz Chełmna, odsłonił w uśmiechu bezzębne wargi.

- Zawdy mówiłem, wysłać żołnierzy takowych jak Sandor city Piotr z Wikliny, więcej dziają, niżli wszelacy oficjalni posłowie... Takoz do Parczewa podobnych im słać...

Na słowa Tielemana zamroczył się Ramsz z Krzykosów.

- Lęk mam, zali gońce nasi zdążyli powstrzymać wyjazd posłów na ów parczewski zjazd. Zawdy z Poznania na Toruń parę dni drogi, a Jakusz ze Świętego wraz z Jerzym Reberem na drugi dzień po nas mieli do Korony wyruszać... Łukasz Górka dobrze w Poznaniu nam radził wstrzymać się od piotrkowskich narad, kędy mać królewska ma przybyć, a kardynała udział mocno niepewny...

- Każdej godziny spodziewam się wieści z Parczewa - odezwał się Jan Bażyński. - Tuszyłem, że wczorajszym dniem relacje już będą. Dzisiaj dziewiąty, a pierwszymi dniami tegoż miesiąca skończyć się miały tameczne narady. Żal, prawda, że tako się stało, ale szkody nam to nie zrobi, co najwyżej przewlecze sprawę na jakiś czas. Może ustaną spory litewskie, a wtedy Polska łaskawsze nam okaże spojrzenie...

- Nam się za wiele na Koronę nie oglądać. Łasi tam panowie na przywileje pruskie, miast w szczególności, i z jednej zgryzoty snadnie wpaść możem w poważniejsze nowe - zgryźliwie wtrącił się milczący dotąd przedstawiciel Gdańska.

Jan Bażyński przewiódł po nim uważnym spojrzeniem.

- Nie wszyscy w Koronie jeno na kraj swojego nosa patrzą, jako to u nas niektórym się zdarza, zadufanym we swoje siły... Polska interesem polityki swojej w pomorskich mediach*

się będzie kierować, a media owe zabezpieczyć jej każą dotychczasowe przywileje miast i ziem pruskich, rozszerzyć je, żadnym zaś sposobem kasować. Mogę to wam oznajmić, że takowe jest zdanie wielkiego kanclerza, jako też większości panów, którzy się na stronictwo maci królewskiej składają.

- Szarlejski podobnie myśli - dodał Tieleman, z nieukrywaną wrogością spoglądając na gdańszczanina.

- Ja tylko ostrożność zalecam, materii samej nie negując - Wilhelm Jordan uznał za stosowne wycofać się. Właściwie sam nie był pewny własnego zdania. Gdańsk uprawiał podwójną grę. Z jednej strony nie zrywał powiązań z Zakonem, z drugiej pragnął ubezpieczyć się na wypadek wygrania sprawy przez Związek Pruski. W jednym i drugim wypadku bogatemu miastu chodziło o to, aby nie utracić posiadanych przywilejów, więcej, aby wywalczyć sobie nowe. Takie było stanowisko patrycjatu i rządzącej części rady miasta. Nie można tam było nie widzieć jednak nastrojów, panujących pośród pospólstwa i mniejsze-

♦Media (z łac.) - tu układy. go kupiectwa, w szczególności zaś w rzemieślniczych cechach i pośród plebsu, gdzie jawnie agitowano za wojnę z Zakonem i połączeniem się z Polską. Dlatego polityka gdańszczan była chwiejna, pełna wyczekiwania i ostrożności. Wiedziano o tym w Związku Pruskim i czyniono wszelkie wysiłki, usiłując nawet wbrew woli rządzącego patrycjatu wciągnąć miasto w poczynania konfederacji, aby już nie mogło wycofać się potem z podjętych zobowiązań.

- Takeśmy i my sprawę widzieli - złagodził ostatecznie spór Jan Bażyński.

Rozmowa toczyła się o sądzie cesarskim. Do Bażyńskiego doszły już z Wiednia pewne wieści, miał je też Związek za pośrednictwem swojego adwokata Mayera. Nastrój dla konfederatów szczególnie był nieprzychylny. Krzyżacy obsypywali złotem otoczenie cesarskie, przez podstawnionych ludzi wpływali na opirnię Fryderyka III. Dopomagały w tym uniwersytety niemieckie, budując wywody prawne, przekreślające słusność pretensji obywateli pruskich. Mayer miał jednak nadzieję, że niektóre argumenty przedstawione przez Związek będą tej wagi, iż nie można ich będzie całkowicie pominąć. I gdyby nie było perspektyw wpłynięcia na wyrok przyjazny dla stanów pruskich, wyłaniałyby się przynajmniej możliwości odroczenia procesu.

- Choć i o to zadbali zakonnicy, bo raz dawszy się nabrać w papieskiej sprawie, pilnują się teraz. Miałem wiadomości przed trzema dniami, jakoby wysłańcy krzyżacy przywieźli do Wiednia znaczne sumy dla Fryderyka III. Czekają, aby przekazać je cesarzowi rękami posłów. Wiadomo zaś wszystkim, jak w obecnej chwili każdy grosz dkrutnie jest mu łakomy. Temu i sądzić należy, że me odrzuci hojnego daru...

- Wszak i my wieziem niemało. Chciałbym dziesiątą część tych bogactw posiadać - zapalczywie rzekł Tieleman. - Aż serce żalem się ściska...

- Pomnieć zawdy trzeba, że niczego nie żal dla obrony i podtrzymania świętej wolności. Nie nasza to wina, że czasy dzisiejszymi więcej przekupstwem się wskóra niżli prawdą a prawem.

Ramsz z Krzykosów potaknął słowom Bażyńskiego. Zapadła nagle cisza. Obecni zamyślili się, co przynieść mogą najbliższe tygodnie. Bo jeśli nie uda się odroczyć procesu, jeżeli zapadnie wyrok potępiający Związek, jakież możliwości ostaną przed wolnymi stanami? Paktować ze zbrojnym w cesarskie poparcie Zakonem? Od nowa znosić cierpienia i krzywdę, widzieć, jak kraj się staje nędzarzem? Nic, tylko wojować, mieczem ustanowić sprawiedliwszy wyrok... Tyle, że Krzyżacy znają nastroje. Nie na rękę im będzie poczynać wojnę ze zrozpaczonymi stanami w chwili, gdy będą mieli dyplomatyczne zwycięstwo. Będą gotowi może pójść na ustępstwa, dać większą swobodę handlowi, może sądy ziemskie powołać, na krótko wszystko, na czas tylko jakiś, ale dosyć, aby omamić tym i przeciągnąć na swoją stronę co lękliwszych i słabszych, mniej opornych i mniej wolności łaknących. Jeśli się stany rozdwoją, jeśli wyrastać zaczną nowi odstępcy, jak Aleksander Bażyński czy Segenand z Waplewa? Gdańsk czy nie przychylił się wtedy ku krzyżackiej stronie? Przecie i dzisiaj waha się, wypatrując, skąd płyną większe doraźne korzyści...

Posłowie czuli spoczywającą na nich odpowiedzialność, ale zdawali też sobie sprawę z ograniczoności własnych wysiłków. Za silne były powiązania Zakonu z cesarzem, z uniwersytetami niemieckimi, z książętami Rzeszy, którzy wszyscy jednej krwi przecie byli z krzyżackimi rycerzami.

Sekretarz Waclaw uchylił drzwi, podszedł do Jana Bażyńskiego, coś szepnął na ucho.

- A proszę tu, proszę! Posłom stanów nic nie może być tajne, co się tyczy naszej wspólnej sprawy - z ożywieniem w głosie rzekł przywódca konfederatów, objaśniał zaciekawionych posłów: - Rycerz Brajerski przybył prosto ze Zjazdu w Parczewie. Oto i relacje mieć będziemy najświeższe...

Brajerski wszedł swobodnym krokiem. W licznych posłowaniach zyskał obycie i niełatwo się dawał zbić z tropu. Niewielkiego wzrostu, z przystrzyżonymi krótko wąsami, ubrany na polską modłę, skłonił się nisko, po czym czekał na zaproszenie.

Bażyński pokuszył się ku niemu, serdecznie podawał dłoń. Za nim posłowie przywitali się z rycerzem, przyjrzeni się ciekawie temu szlachetce, który straciwszy wszystko, poczynając od żony, porwanej mu przez podskarbiego 2fakonu, aż po ziemię, którą mu zabrał

wielki mistrz za głośne wołanie o sprawiedliwość, służył teraz Związkowi Pruskiemu, jeżdżąc w pilnych sprawach do Polski.* <

- Powiadajcie, jako poszło posłom naszym w Parczewie, bośmy okrutnie ciekawi - gdy już wszyscy usiedli, zwrócił się do gospodarza.

- Wiadomość od nas nie dotarła do posłów? Przybyli na zjazd? - wtrącił szybko sędzia z Krzykosów.

Brajerski spojrzał na niego zdziwiony.

- Wybaczcie, o jakie wiadomości chodzi?...

, - Słaliśmy gońca z Poznania, by wyjazd posłów powstrzymać...

- Snać nie zdążyli. Może i żal, bo mało się to posłowanie udało. Brakło co gorliwszych poręczycieli naszej sprawy w radzie koronnej - z namysłem odrzekł rycerz. - Może wszako od początku opowiem. Do Parczewa przybyłem z tym zleceniem, aby posłom naszym towarzyszyć i wieści od nich wraz na Wrocław przekazać waszej miłości - skłonił głowę przed Janem Bażyńskim. - Jakusz ze Świętego i Jerzy Reber w czas się zjawili, jeszcze przed obrad zaczęciem. Zjazd prałatów i panów Królestwa liczny był, wszelako nie taki, jak się to zapowiada w Piotrkowie, gdzie postawiona ostanie sprawa zatwierdzenia przez króla przywilejów. Z panów litewskich nie przybył ni jeden, jeno posłów przysłali, żądając dla Litwy dziedzin, jakie posiadała za Wielkiego księcia Witołda. Spory się toczyły przez wszystkie dni, rozwiązania nie przynosząc, tako Litwini bowiem jako i koronni ostawali przy swoim zdaniu wedle przynależności Wołynia i Podola...

- Ale posłów naszych dopuszczono przed króla? - Tieleman vom Wege nie potrafił słuchać cierpliwie.

- Na jednym posłuchaniu wraz z krzyżackimi posłami... - ponuro odrzekł Brajerski. - Sam pod ten czas byłem w sali zamkowej, kędy się zjazd odbywał, własnymi uszami słyszałem. Poseł zakonny imieniem wielkiego mistrza mocno stawał, aby król i Polacy nie dawali Związkowi żadnej pomocy, pomnąc na umowę wieczystego pokoju. Na to Jakusz i Reber, jasno ukazawszy pogwałcenie ustaw i zobowiązań zastrzeżonych przymierzem, potem imieniem związkowych prosili, aby król wymierzył im sprawiedliwość i sprawę ich popierał u cesarza rzymskiego Fryderyka, przed którego sądem rozprawiać się mieli w dzień świętego Jana Chrzciciela, gdyż na tym zależy utrzymanie pokoju z królestwem polskim, który gdyby raz był zerwany mistrz i Zakon nauczyliby się zrywać go na zawsze według woli. Król słuchał uważnie, potem namyślał się długo, nim...

- Prawcież, panie, jakie były królewskie słowa! - zachnął się znowu Tieleman.

Brajerski spojrzał na niego jakby zdziwiony.

-, „Wraz z królestwem ubolewam wielce nad niezgodą Prusaków, ale żadnej strony bronić i popierać nie myślę, kiedy zwłaszcza ich sprawa wyniesiona jest przed sąd cesarza, który o niej stanowczo wyrecze. Jako monarcha chrześcijański nie chcę żywić żadnych sporów i niechęci, raczej starać się będę o przywrócenie dawnej zgody i jedności. Jeślibyście zatem do układów wzajemnych pomocy mojej użyć chcieli, chętnie i z łatwością jej użyczę”.

Rycerz po wyrzeczeniu tych słów ponownie zwrócił spojrzenie na Tielemana.

- Powtórzyłem wam, panie, wiernie słowa króla Kazimierza, jakie wyrzekł posłom zakonnym i naszym pospołu.

Posłowie, mniej obyci z dyplomatyczną mową, milczeli, zgnębieni tym, co usłyszeli. Słowa króla oznaczały wszak, że żadną miarą nie chce się mieszać w spory na ziemi ^pruskiej. Związek tracił zatem najmocniejsze oparcie, na które mógł liczyć... Zwiesili głowy, zmarnotnieli nagle, Tieleman vom Wege sapał mocno, na twarz jego wybiły rumieńce gniewu. Matzke z Chelмна kręcił butem w rozesłanym na podłodze dywanie, jakby pragnął wywiercić w nim dziurę.

- A prywatnie jakie były dalsze znoszenia Rebera i Jakusza ze Świętego? - spytał Jan Bażyński, lekko uśmiechnął się poglądając po obliczach posłów.

- Wojewoda Szarlejski wielki miał żal, że posłowie zwrócili się jeno do króla Kazimierza, z pominięciem rady koronnej...

- Słusznie! Błąd to był z naszej strony - zgodził się Bażyński.

- Jeszcze przyjął ich Łukasz z Górki, wojewoda poznański, tudzież poniektórzy z małopolskich wielmoży. Przychylność jakoby wielką posłom okazywali, co szczególnie radowało krakowskich panów... ruszycie...

Brajerski skłonił się obecnym. Dopiero gdy drzwi się za nim zamknęły, wybuchł gwar. Najostrzej wyrażał swe zdanie burmistrz Gdańska.

- Panów koronnych życzliwość w gębie ino i cichcem... Królewskie słowa ważne! I cóż pomoc Korony? Widno z tej odpowiedzi, że nijakiego poratowania nam z Polski nie oczekiwać. Zali nie lepiej było paktować, niżli do procesu dopuścić? - wołał.

- Takież wieści przywiózł i Piotr z Wikliny - szepnął znowu gospodarz. - Ważne to poparcie, wyłom w twierdzy kardynalskiej niemały zrobiony...

- Za czym biskup włocławski Jan także wiele życzliwości okazał, a i insi panowie z rady koronnej. Tłumaczyli posłom, iż tejże chwili, a jeszcze pod obecność posła Zakonu, król ukrywać musiał życzliwość swoją dla Związku, jako że czas to niesposobny teraz dla jawnego ukazywania onej życzliwości. Od siebie pomienieni prałaci i panowie wielką wyrażali serdeczność i pomoc daleką obiecywali, zagrzewając i radząc, aby nawet w razie przegrania

procesu głowy nie tracić i mieć nadzieję. Wojewoda Szarlejski to jeszcze rzekł w poufności, że w Piotrkowie Wielkopolskie przyłączą się do stanowiska grupy maci królewskiej i jawnie spróbują pruską sprawę postawić. - Brajerski odetchnął głęboko, potem dorzucił objaśniająco. - Za czym już nie czekaliśmy. Posłowie wraz na Toruń konie swe skierowali, ja wedle przykazania tutaj przybyłem.

Jan Bażyński powstał, serdecznie, ale z godnością uściśnął dłoń rycerza.

- Dzięki wam za dokładną i rychłą relację. Wielką ona dla nas ma wagę. Tuszę, żeście mocno drogą strudzeni. Nie będziem więcej mitrzyć waszego spoczynku, jutro jeno prosiłbym na południowy godzinę, by dalsze działanie omówić. Tako mi się zda, że na Toruń Zmilki wszyscy, zaskoczeni tymi słowami. Pierwszy z repliką poskoczył Tieleman.

- Paktować? Paktował Gdańsk - i coście zyskali? Ostatni młyn z wolnym przemiałem, za wasze pieniądze postawiony, komturowi gdańskiemu oddano! Prawa pierwokupu i wyłączności sprzedaży na nowe produkta Zakon nałożył! Zaiste, dziwuję się, czym imieniem gadacie? Związku czy wielkiego mistrza? A życzliwość polska jeszcze się okaże, w gębie ona, czy prawdziwa... I jakże nam razem posłować?

- Za wieleście rzekli, panie burmistrzu - chłodno dorzucił Ramsz z Krzykosów.

- Bo żal i lęk serce zre... - Jordan ponieważ się ugryzł się w język. Zresztą naprawdę powiedział za wiele, bo przecież aż tak daleko Gdańsk nie posuwał się, proces przyjmował i dążył do niego pospołu z innymi miastami i ziemiami pruskimi.

Jan Bażyński zatrzymał przez chwilę spojrzenie na swoim bracie, który siedząc nieporuszony, jakby przekonany o wyższości brata pod każdym względem, jemu ze ślepych zaufaniem powierzał całą sprawę. Potem wzrok przywódcy pruskich konfederatów przeniósł się na twarz Wilhelma Jordana.

- Niech was podziwienie niepotrzebnie nie truje... Król nie mógł inaczej odpowiedzieć pod obecność krzyżackich posłów. Dopóki litewska sprawa nie załatwiona, póty Korona nie zajmie się Prusami...

- Toż znowu zwady były, do nijakiego porozumienia nie doszło? - poruszył bezzębnymi wargami Jan Matzke.

- Zwólcie, niech skończę... Zjazd piotrkowski winien przynieść zatwierdzenie przywilejów przez króla Kazimierza. Jeśli król na to się zgodzi, a tako się widzi, iż będzie musiał, tedy stronnictwo młodszych pełne da poparcie dla litewskich zamiarów. Król wygra, bo umocni swą władzę, tym samym będzie mógł pójść na rękę Wielkopolskom, którzy wspomogą go jeszcze gorliwiej w swobodnej od papieża obsadzie dostojestw kościelnych. Pojmujecie mnie? W Koronie ważkie rzeczy tymi niedzielmi się ważą, a zarazem dojrzewa i

nasza sprawa. Jam bliżej świadom tych spraw, nie od dzisiaj pracuję nad nimi... Pewność mam, jako Korona twardo przy nas stanie o swojej porze. Trza się tylko wyznawać w politycznych arkanach.

- Nie próbujecie budzić uludnej nadziei? - zapytał jeszcze Tieleman vom Wege.

- Pospołu wszyscy należymy do Tajnej Rady Związkowej. Kłamstw między nami nie ma i być żadną miarą nie może. - Wydało się im, że mówiąc te słowa, patrzy Bażyński na Wilhelma Jordana.

Spokojniej już potoczyła się dalsza rozmowa. Główny jej temat stanowiły sprawy procesu. Mrok zapadał, posłowie jęli się żegnać, następnego dnia zamierzali bowiem wyruszyć w drogę poprzez Kłodzko, bramę morawską i same Morawy aż po Wiedeń.

- Z taborem niełatwa droga i okrutnie czas się mitręży - stęknął Jan Matzke. - Dobrze, że rycerze nasi z Krakowa przybyli, wzmocnią osłonę, a to nas zbrojnych nad trzydziestu ludzi nie było...

- O wieściach rychłych a częstych nie przepominajcie, byśmy wiedzieli, jako rzecz wygląda - Jan Bażyński odprowadzał ich do drzwi.

Posłowie dawno już spali, noc była ciemna, zacięły wszystkie głosy na ulicach Wrocławia, a w pokoju Bażyńskiego ciągle jeszcze migotały płomienie świec, oprawnych w mosiężne lichtarze. Przywódca Związku Pruskiego pracował. Relacje Brajerskiego wymagały nowych pociągnięć, nowych pism i niejednej nowej rozmowy z członkami rady koronnej i dostojnikami polskimi.

Umysł starego, kulawego człowieka pracował z młodzieńczą rzeźkością. Jasno rysował się przed nim obraz pruskiej przyszłości, wolnej i złączonej pospołu z Koroną.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Od Słężej Góry teren poczynał stawać się coraz bardziej wyżynny. Szeroki szlak, wydeptany dziesiątkami kupieckich karawan, to wznosił się, to znowu opadał” otwierając przed podróżnymi panoramę podgórskiego krajobrazu. Nienawykłe do gór oczy Prusaków z zaciekawieniem ogarniały horyzont upstrzony gęstymi lasami wspinającymi się wysoko na pasma wzgórz, w podziwie patrzyły na wartkie rzeczki i kamieniste strumienie czy zgoła wiosenne poniki, sączące już resztkami wody.

Konie ciągnęły sześć mocno ładownych wozów z darami pruskimi dla Fryderyka III, tudzież z pieniędzmi na koszt procesu i bardziej ochędogim strojem, przystojnym dla sprawowanej godności. Blask słońca był przyćmiony, jakby z lekka okryty mgłą. Żar przez to

mniej dokuczał, podróż stawała się przyjemniejsza. Otucha od nowa wstępowała w serca posłów.

Kierownictwo poselstwa sprawowali Gabriel Bażyński z ramienia szlachty i Tieleman vom Wege od reprezentacji miast pruskich. O to ostatnie pretensje miał Wilhelm Jordan, dowodzący, że Gdańsk, jako miasto największe i najbogatsze, posiada większe prawa do reprezentowania mieszczan pruskich. Nikt wszako nie zwracał uwagi na jego pomrukiwania. Raz tylko zniecierpliwiony Tieleman odpalił krótko:

- Wcześniej trzeba było sprzeciwy wnosić. Zjazd Kwidzyński obierał posłów, a Tajna Rada ich zatwierdzała. Jam się nie pchał do tej godności. Skoro mi jednak ją dano, godnie potrafię społeczności naszej zapewnić właściwą reprezentację.

Posłowie zgodzili się na towarzystwo Pieniązka. Trudno było nie obdarzyć przyjaźnią i życzliwością butnego szlachcica, który tak wiele dopomógł Sandorowi w wyprowadzeniu Krzyżaków w pole. Pan Mikołaj rad był wielce z uczestnictwa w wyprawie, coraz to z innego miejsca orszaku słychać było jego zaraźliwy śmiech i głośne pohukiwania. Prostował się na koniu, pił całą gębą rześkie powietrze, posapywał:

- Ochota prawdziwa na świat popatrzeć! A tom myślał, że z tych lasów już się nigdy nie wydostanę. To ci szelmy dopiero, jak mi miecz miły, całą drogę na Śląsk obstawili szafrańcowymi zbirami. Łasy był pieniąż, wszako i nam on nie śmierdział...

Sandor Wielki popatrywał dobrotliwie swymi maleńkimi oczkami, niby to śmiał się, ale z każdą godziną drogi wzrastał w nim jakiś nieokreślony niepokój. Często wyprzedzał orszak, wyjeżdżał daleko naprzód, wypatrywał przed sobą, to znów zostawał z tyłu, nieufny i podejrzliwy. Gdy zatrzymywali się na noc, srogo nakazywał Kielbasie uwagę na każdy podejrzany ruch, na obcych, przeciągających traktem, których wielu spotykali po drodze. Piotr z Wikliny uspakajał przyjaciela.

- Nie masz czego się trapić... Posłów nikto napastować nie będzie. A i kraj spokojniejszy tutaj, niżeli w Prusach. Gdyby zaś co, bronić się będziem...

Sandor przemierzał wtedy oczyma ich orszak, kręcił z niezadowoleniem maleńką swą głową.

- Bronić! Łatwo to rzec, gdy ludzi siła. Wozy hamują pochód. Nas dziesiątka razem z Pieniążkiem, po dwóch zbrojnych wozaków, jeszcze z pięciu, co mieczem władać potrafią. Bo z posłów to starościński brat i sędzia Ramsz, może jeszcze vom Wege. Reszta do władania bronią niezdatna, starzy albo niewzwyczajeni do konia czy miecza. Pojrzyj choćby na tego Matzkego, na kulbace nie potrafi wysiedzieć.

Rzeczywiście mieszczanin źle czuł się w siodle, przesiadał się na wozy, dużą chustą ocierał sobie pot z czoła, choć dni wcale nie były gorące.

Piotr z Wikliny uśmiechał się leciutko, lekceważącym # ruchem dłoni zbywał obawy Sandora. Pewien był, że w spokoju przybędą do Wiednia. Krzyżakom nie powinno zależeć na krzywdzie posłów pruskich, pewni bo czują się wygranej w procesie. Nikt inny nie poważy się napastować poselstwa, prawa ogólne, pisane i niepisane zakazywały komukolwiek zaczepiać wysłanników oficjalnych w międzynarodowych legacjach, w dodatku opatrzonych glejtami.

Rycerz odjeżdżał potem w poblize bratanka, który się trzypriał razem z Edwinem z Warclawek. Edwin usuwał się w towarzystwo Pieniązka i Sandorowej grupy, nie chcąc przeszkadzać krewniakom w rozmowie. Bo Piotr z Wikliny przeżywał w tym czasie coś dziwnego, dotąd mu nieznanego. Myślał, że po krzywdzie zadanej przez Zakon, wypaliły się w nim wszelkie inne uczucia prócz niezaspokojonej chęci zemsty.

Lubił na swój sposób Eryka, ale było to przywiązanie raczej z obowiązku. Dopiero od pasłeckiej sprawy inaczej spojrział na młodego rycerza. Wiedział, że mało znalazłoby się ochotników, którzy śmieliby zaryzykować podobną wyprawę dla ocalenia krewnego. Czyn Eryka świadczył nie tylko o wielkiej rycerskości i odwadze, objawiał też jakąś szczególnie głęboką serdeczność i przywiązanie.

Piotr z Wikliny coraz częściej zastanawiał się nad przyszłością bratanka. Dla siebie nie pragnął już nic od życia. Czuł się żołnierzem, któremu niepotrzebny dom ani rodzina. Do ostatka swych dni pragnął mieczem służyć ogólnej i własnej sprawie. Co innego jednakże Eryk. Chłopak był młody, żył dotąd po obcych, wzwyczał się w wojaczkę, zaniedbał zupełnie resztek swej ziemi.

Ponury rycerz, myślący dotąd jedynie sprawami związkowymi, pojął w czasie wiedeńskiej podróży, że w sercu jego zrodziła się głęboka miłość do bratanka. Szorstki był, kanciasty, nie umiał objawiać naturalnie swych uczuć, próbował więc równoważyć to w rozmowach, które rozpoczynał przy każdej okazji. Postanawiał, aby resztę swojego mienia za czasu jeszcze zapisać chłopcu, chciał mu też udzielić życiowych rad na przyszłość. Martwiła go nad wiek poważna teraz twarz młodego wojaka, jego zamyślenie, szalona jakaś tęsknota w oczach. Siwawe oczy Piotra spod krzaczastych, rozrosłych brwi z niepokojem spoglądały na oblicze chłopca, podjeżdżał wtedy, zaczynał mówić o czymkolwiek, byle tylko rozproszyć zły nastrój bratanka.

Eryk chętnie rozmawiał ze stryjem. Rycerz nie był uczony, ale życie nauczyło go niejednej mądrości. Rozprawiali o sprawach Związku, o pobliskim procesie i nieuniknionej,

zdaniem ich obu, wojnie, do której palili się, aż im oczy na samą myśl zaczynały pałać gorącymi błyskami. Porównywali Toruń z Krakowem i Wrocławiem, odnajdując odrębne cechy wszystkich tych miast. Ciekawi byli Wiednia i cesarskiego dworu. Ale takie same rozmowy mogły być prowadzone z każdym innym. Jeden i drugi czuł, że istnieje między nimi jakaś zapora, której nie umieją przełamać.

Stryj nie wiedział nic o krakowskim spotkaniu młodziana z linoskoczką Zofijką. Rozumiał, że w zamyśleniach Eryka jest wiele wspomnienia owej dziewczki, sądził jednak, że dawne to jeszcze toruńskie i pasłęckie sprawy. Miał nadzieję, że podróż, nowe wrażenia, wszystko to przepali jak ogniem przelotne uczucia i w chłopca wstąpią dawna pogoda i animusz. Świadomie też zważał, aby rozmowa ich nie zesza czasami na te właśnie tematy.

Ze swej strony, zupełnie odwrotnie, Eryk pragnął zwierzyć się stryjowi z postanowień związanych z Zofijką. Wyczekiwał tylko odpowiedniego momentu. I tak kołowali obaj, w słowa ich wkradała się nie tyle nieszczerłość, ile brak pełnego zaufania do siebie, dręcząca świadomość, że mówią o czym innym, niż myślą. Przypadek zdarzył, że wykryła się sprawa krakowskiego spotkania. Wtedy zderzyły się dwie opinie, zakradła się bolesna zadra między ich wzajemne stosunki.

Nastąpiło to u końca trzeciego dnia podróży. Droga była ciężka, góry stawały się bardziej strome, konie z trudem wciągały wozy na nie kończące się wzniesienia. Miało się już ku zachodowi, gdy przystanęli na szczycie[^] aby dać odpoczynek strudżonym zwierzętom. Z kilku ust wyrwał się okrzyk zachwytu, nawet najbardziej nieczuli na piękno musieli skapitulować. Szczególnie dla Prusaków wyrosłych w nizinach, wśród lasów i bagien, w otoczeniu ponurych zamków krzyżackich, dolina kłodzka przedstawiała się jako najpiękniejszy zakątek ziemi.

Patrzyli długo. W dole rozsiadło się stare miasto Kłodzko. Nieduże, ściśnięte pierścieniami murów połyskujących teraz w światłach zachodu, z wysokimi wieżami kościołów i rzędami domów formujących się wokoło rynku, wyglądało jak misterna zabawka, ulepiona z kolorowej gliny ku ucieście dzieciaków. Jak małeńkie, pracowite mrówki poruszali się ludzie, ciągnęły drogą wozy, omijane przez chyżo pędzących jeźdźców.

- Piękny kraj - ktoś stojący obok Eryka wyrzekł to ze szczerym zachwytem.

Spojrzał. Był to ów pacholik Pieniążka, który umawiał spotkanie z Zofijką. Eryk czuł dla niego szczerą życzliwość, zamieniał czasem z chłopakiem po kilka zdań, ofiarował mu piękny, osadzany miedzią nóż królewieckiej roboty.

Uśmiechnął się teraz do chłopca.

- Piękny. Aleś nie widział jeszcze pruskiej ziemi... Insza ona, a takż ładna, aż serce ku niej się rwie...

- Słuchałem tej nocy, jakem między rybałtami nocował, jak ślepiec przygrywając na skrzypeczkach piosnkę nucił o wodach szerokich. A potem owa dziewczka. coście się z nią, panie, w Krakowie spotkali, takż śpiewała zacną piosnkę o chełmach wokoło Torunia, nad Wisłą... Ciekaw jestem, zali dużo Wisła tam szersza niżeli pod Krakowem? Pan mój powiada, że rotę utworzy i wojować na Prusy pojedziem, może więc i sam ujrzę...

Nie zauważyli Piotra z Wikliny, który stojąc opodal słyszał słowa pacholka. Sercem rycerza szarpnął ból serdeczny, już nie o to, że Eryk z kimś spotkania umawiał, pewnie z tą samą dziewczyną, boć o rybałtach pacholik wspominał, ale, że wszystko to odbyło się poza nim, że najbliższy sercu człowiek tai coś przed nim. Oddalił się ze spochmurniałym obliczem, gorzko żując w sobie poczucie nowej, nie zasłużonej krzywdy.

- Dwa dni jeszcze, a na Morawy wyjedziem. Łagodniejsza tam droga, szybciej się wozy potoczą - rzekł do niego Tieleman vom Wege, odbywający już po raz drugi pielgrzymkę do cesarskiego tronu.

Piotr z Wikliny mruknął coś tylko potakująco, aż się torunianin obejrzał za nim zdziwiony. Że jednak znał Piotra z Wikliny, jako rycerza bez skazy, ale przy tym ostatniego milczka i mruka, machnął więc z wyrozumieniem ręką i zagadał do kogoś innego.

Gdy stanęli na nocleg w Kłodzku, Eryk zdziwił się, że stryj jakby stroni od niego. Postanowił zapytać go o przyczynę. Piotr z Wikliny spojrział bacznie, w siwych oczach zamigotał skrywany gniew, sapnął niechętnie:

- Słowem mi nie wspomniałeś, iż dziewczkę jakowąś nawiedzałeś w Krakowie. Takż i tym razem komediantka to była... Zali tylko pomiędzy wędrowną gawiedzią szukasz miłośnych przygód? Nie godne to urodzenia twojego ni stanu...

Eryk spąsowiał na twarzy. W słowach stryja poczuł wyrzut, zaboląła go jawna niesprawiedliwość. Rzekł szybko:

- Przejdźmy gdzie w stronę. Dawno już chciałem z wami, stryju, począć rozmowę o onej dziewczynie. Nie inna to, ale ta sama, która i wam pomoc dawała w Pasłęku. Bez niej możebyście po dzień dzisiejszy siedzieli w lochu, dręczeni przez Wesołego Otta i von Plauena...

- Ktojrwie, zali by to nie lepiej było, niżeli na pohańbienie tve patrzeć - ściszonym głosem rzucił rycerz przez zęby.

- Stryju, wysłuchajcie mię jeno do końca! Jako oćcowi prawdę muszę wam rzec i o wyrozumiałość prosić. Nie chciałbym bez was niczego poczynać, choćem ja drogę już sobie

jasno wytyczył... - Obejrzał się. Byli sami, szli opodal ślepych ścian kamieniczek miasta, wychodzących na surową goliznę murów obronnych.

- Widzicie. Powiadałem już wam, jakom się rozmiłował w onej dziewczynie. Inna ona niżli wszystkie waganty, sekret srogi w tym się kryje, że z nimi przebywa. Stary ów ślepiec wiele wie, wszako trudno od niego prawdę wydobyć. O krwi i pomście mówi, o krzywdzie jakowejś wielkiej, przez nich zaznanej, pojąć nie mogłem tylko od kogo. Widzi mi się, że Zakonu z duszy nienawidzą oboje, że Krzyżakom zemstę przysięgli.

Głosu jakowegoś uszami szuka ów stary, oczu dla widzenia nie mając. To wszako inna już sprawa... Otóż ona Zofijka okrutnie mnie przypadła do serca. Życia bez niej dla mnie już nie ma. Samem myślał, że mi to przejdzie, gdy jej widział czas dłuższy nie będę. Gdzież by tam, tęsknica jeno okrutna żarła... Gdym z Torunia pośpieszał do sędziowego domu w Krzykosach, aż rwało się we mnie wszystko z radości, że ją może w tamtych stronach obaczę. Nie wyszło, po bitwie w krzykoskim dworze ruszyłem z Edwinem ratować was z niewoli. I wtedy drogi nasze od nowa się zeszyły z Zofijką. Wraz przystała na prośbę, by nam dopomóc. Życiem mało tego nie przypłaciła. Anim jej tedy widział, ani co, krzyk mi jeno ów straszny ciągiem dzwonił w zbołalej głowie. W śnie i na jawie widziałem ją spadającą na brukowany dziedziniec zamkowy. Temum był smutny i światam znać nie chciał...

Urwał, spojrzął w nasrożone źrenice Piotrowe. Smutek zadrgał w twarzy młodego rycerza, a zaciśnięcie ust zdradzało nieugiętość w zamiarach. Dotknął ramienia stryja.

- Słuchajcie dalej i nie patrzcie na mnie tak okrutecznie...

Piotr z Wikliny siłą musiał hamować w sobie wzruszenie. Znał siebie i wiedział, że podobna krew płynie w Eryku. Chłopiec nie będzie zważał na żadne zakazy, wszystko rzuci, byle dopełnić swego pragnienia. Stały i twardy jak wszyscy z ich rodu... Gniewny był, a zarazem żal mu było z góry tych słów, jakie wiedział, że na pewno wypowie, że będzie musiał wypowiedzieć, bo przecie nie mógł dać zgody na Erykowe zamiary, a widział jasno, ku czemu młodzieniec zmierza.

- Rzekłem wszak, że przerywał nie będę - mruknął.

- W Krakowie na jaw wyszło, że pieniądze z Prus wiózł dla starogrodzkiego komtura wódz komediantów, Gruc. Po tym go imieniu poznałem, a raczej towarzysze poznali, oni bo wcześniej się o wszystkim zwiedzieli i po naradzie postanowili mnie do sekretu przypuścić. Wiecie, jako się wszystko odbyło. Nie znane wam, stryju, to jeno, że pacholik zmówił mnie z dziewczyną, która po upadku pasłęckim jeszcze całkiem do sił nie przyszła i udziału w popisach linoskoczków nie bierze. Krótki się czas widzieliśmy, a mnie tego za lata było... Takem się przedtem bał, że może już ona nie żyje. Teraz mogłem ją widzieć i od nowam jej

miłowanie ślubował. Rzekłem także - głos Eryka zadrżał w tej chwili, zarówno wzruszeniem, jak lękiem przed Piotrem z Wikliny - że będę jej szukał, a kończy się wojna, Bóg da, odznaczę się na niej, za małżonę ją wezmę. Tyle powiedzieć pragnąłem, i dzięki wam, żeście mnie posłuchać zechcieli.

Piotr z Wikliny patrzył gdzieś w bok, nad mury Kłodzka, milczał, jakby się zaciął w uporze. Po długiej dopiero chwili zapytał spokojnym głosem:

- To tako mi się Sandor wywdzięczył, za moimi plecami knując owo spotkanie?

- Sandor Wielki umył ręce od całej sprawy, na wasze słowa o linoskoczce przypominając...

- Zatem ów polski szlachetka? Czujęm, że mu niedobrze z oczu patrzy, czujęm to. Nie wiedzieć jeszcze, co on nam dalej zgotuje.

- Krzywdzicie stryju człowieka! To rycerz' prawy i wielką nam pomoc okazał.

Piotr z Wikliny opuścił głowę. Tutaj musiał się uznać za pokonanego. Szepnął tylko, gdyż prawość musiała u niego iść przede wszystkim:

- Z żalości jenom słowa te wyrzekł. Nie pomnij mi ich... - Potem uniósł głowę, spojrzały na Eryka siwe oczy, pełne smutku i żalu. - Tobie zaś to rzeknę, że nie godzi się rycerzowi szlachetnego rodu brać komediantkę za żonę. Gdyby jaka kawalerska zabawa, insza rzecz, choć i tutaj zacniejsze podwiki się najdą... Wszakóż za małżonę - nigdy. Masz już swe lata, przeszedłeś niejednen chrzest krwi i miecza. Sam o sobie będziesz stanowił. To ci wszako rzec pragnę, że mojego zezwolenstwa ja nie dam. Takóż dobra, którem w toruńskiej kancelarii na twoje imię przepisał, na co innego przeznaczę, nie ty będziesz po mnie dziedziczył. I tuszę, że przyjaźń krewniacka między nami skończona. Ot, jako znajomkowie dalej żyć będziem, sam się musisz zatroskać o własny los.

Umilkł, a potem cichymi, szeptem wypowiedzanymi słowami, tonem, jakiego Eryk nigdy u niego nie słyszał, prosić zaczął.

- Wiem, że ona wiele zrobiła, pomogła z niewoli mnie wyrwać. Nagrodzę jej to sownie, na ile będzie mnie stać. Pieniądz,' klejnoty, wszystko jej dam. Ale przepomnij ty o niej, nie rań mojego serca. Ciebiem jednego już tylko miał, na ciebiem rachował i radość jedyną swą widział. Wielem mógł ci przebaczyć, ale nie splamienia urodzenia w szlachetnym rodzie... Eryk, wejrzyj na moje słowa, przemyśl. A jeśli pomyślisz kiedy inaczej, zgodzisz się z tym, coć mówię, przyjdź, rzeknij, będzie między nami od nowa jak ninie...

Ze spuszczoną głową odszedł ciężkim krokiem zdręczonego człowieka. Eryk patrzył za nim z głębokim żalem. Ciężki stryj wybór postawił, ale przecie rozwiązanie nie od dzisiaj wiadome. Jemu, Erykowi, tylko przy Zofijce ostawać, jeśli Bóg da się kiedy połączyć. Tylko

przy niej plwać mu na inne wszystko. Hańbą szlacheckiego klejnotu może być zdrada, tchórzostwo w boju, ucieczka. Nigdy wszelako miłowanie prawdziwe.

Przypomniawszy sobie Aleksandra Bażyńskiego i Segenanda z Waplewa. Zdradzili Związek, przeszli na stronę Krzyżaków. Czemuż zatem praw rycerskich nikt im nie myśli odbierać? A za dziewczynę nieszlacheckiego rodu, ciężkim żywotem komediantki na chleb zarabiającą, skazę ma się mieć na honorze rycerza? Zaiste dziwnie pomieszane były te sprawy...

Nocy tej Eryk nie zmrużył oka. Sen go odszedł zupełnie. Myślał wciąż jeno o stryju i o Zofijce. Piotr z Wikliny też nie spał w swojej kwaterze. Parno mu było, choć przecie z otwartego na ścieżaj okna płynęło chłodne powietrze nocne. Zrzuciwszy nakrycie, leżał w samej jeno koszuli, spojrzenie utkwione miał nieruchomo w gwiazdach, gęsto rozszanych na niebie. Wątpliwe jednak, czy widział z nich chociaż jedną...

Podczas gdy posłowie z każdą milą zbliżającą ich do Wiednia stawali się coraz bardziej skupieni i jadąc razem prowadzili długie rozmowy nad ustaleniem postępowania na dworze cesarskim, podczas gdy rycerze i zbrojni pacholikowie raczyli się piwem, zabawiali w czas postoju grą w kości albo przygadywali nawzajem nieprzystojnie, podczas gdy Piotr z Wikliny i Eryk z nagłą stali się dla siebie ludźmi nieomal obcymi - w tym samym czasie Sandor Wielki czuwał bacznie nad nimi wszystkimi. Olbrzymą trapił dziwny, coraz bardziej się powiększający niepokój. Nocą nie rozbierał się wcale, przykładając się co najwyżej na krótko na łożu, by wraz zrywać się z niego, wychodzić na dwór i nasłuchiwać, czy nie dochodzą jakieś odgłosy ostrzegawcze przed złą przygodą. W drodze krążył wciąż od przodu na koniec orszaku, czasem zostawał o całą milę albo o tyleż pędem wyjeżdżał przed innych, bacznie przyglądał się ludziom, których mijali, zapuszczał wzrok między góry i lasy. Sam się sobie dziwował, skąd w nim taki niepokój. Próbował dzielić się nim z Piotrem, ten go tylko ofuknął mrukliwie, nawet Pieniążek odpowiadał rozgłośnym śmiechem.

Gdy jednak następnego ranka po noclegu w Kłodzku wybierali się w dalszą drogę, okazało się, że zabrakło jednego z woźniców. Próżno zmitrężono sporo czasu szukając go wszędy, wołając i rozpytując. Zapadł się jak kamień w wodę. Dopiero sprytny pacholik pana Pieniążka wywiedział się od stajennego gospody, w której mieli stancję, że zaraz wieczorem po ich przybyciu woźnica dosiadł konia i pojechał dalej traktem wzdłuż kłodzkiej Nysy. Rzeczywiście, zabrakło jednego z luzem wiedzionych dla wszelkiego przypadku koni wierzchowych. Jasne się stało, że woźnica opuścił ich świadomie w nieznanym celu.

Sandor wypytywał innych wozaków. Wiedzieli tyle, że towarzyszy ich służył przedtem w szeregach miejskich trabantów, potem zaś wziął się za powożenie. Od dawna mieszkał w

Toruniu. Kompan był niezgorszy, piwa za kołnierz nie wylewał, tyle, że czasem znikał całymi dniami, sądzili, że ochota go zbierała za jakimiś dziewczkami i z nimi czas spędzał.

Posłowie zlekceważyli wypadek. Może woźnica pochodził z Moraw, bo dużo zgłaszało się stamtąd do wojsk zaciężnych i skorzystał teraz z okazji, by powrócić w rodzinne strony, może był zwykłym sobie złodziejaszkiem. Pewnie, niewygoda, i konia żal, wszako nie ma się czym specjalnie turbować. Chronią ich glejty cesarski i króla Czech i Węgier, Władysława Habsburga. Co tam ucieczka jednego wozaka... Ważniejsze sprawy przed nimi na głowie. Tylko Tieleman vom Wege długo się zastanawiał, a gdy mu Sandor wyłuszczył swe niepokoje ostatnich dni, prosił o jeszcze większą rozwagę. Pieniążek tym razem nie śmiał się, obiecał Sandorowi swą pomoc, pacholikom kazał trzymać się blisko od siebie, broń w pogotowiu mając. w tym nastroju ruszyli dalej. Dzień znowu był piękny, słońce przygrzewało tak mocno, że się konie i ludzie zlewali obfitym potem. Teren był ciągle jeszcze górzysty, choć więcej teraz opuszczali się do dołu, niżeli wspinali w górę.

Minęły dalsze dwa dni, następnego wjechali na Czeskie Morawy. Złe myśli opuściły Tielem. a vom Wege, podżartowywał z Sandora i swoich olaw. Nawet olbrzym nabrał otuchy, że wszystko pomyślnie się skończy i bez przeszkód dojadą do Wiednia. Pieniążek znowu zanosił się śmiechem, przy każdej okazji kupował piwo, wychylał kubek za kubkiem, aż od nowa pusto się robiło w podróznym bukłaku, przytroczonym do siodła.

Kraj stawał się coraz bardziej płaski, niziny. Zieleń bujała tutaj szczególnie obfita, aż w oczy raziło. Wioski mijane, były ludne, dwory kryły się w gęstwie sztucznie sadzorjych drzew. Ujadały psy wypadając na podróznym z opłotków, baby ciekawie popatrywały zza węgłów. A potem znów milami nie spotykali ludzkich osiedli, zatopieni w tej zieloności, poprzecinanej szlakami licznych strumieni.

Mieli za sobą już więcej niżeli połowę drogi do Wiednia. A i czas był, dzień świętego Jana Chrzciciela się zbliżał, a trzeba było przedtem wiele spraw jeszcze załatwić. Dziwili się czasem, że nie minęli ich nigdzie posłowie zakonni, którzy nie mając ładownych wozów ze sobą, szybciej musieli jechać i znacznie wcześniej znaleźć się w Wiedniu.

Wiedeń, sąd cesarski. Te sprawy przejmowały wszystkich do głębi. Jak się potoczą teraz losy Związku Pruskiego i krzyżackiego Zakonu? Jaki wyrok ogłosi Fryderyk III? I co nastąpi potem, pokój czy wojna?

Z każdym krokiem wzrastało podniecenie podróznym. Z każdym krokiem bliższy był Wiedeń, miasto, które nie chciało rządów swojego cesarza. Wiedeń, o którym cuda opowiadano po całym świecie. Miasto radości i buntów, pogodne i roztańczone, a zarazem twarde i pełne uporu.

Wiedeń, Wiedeń, Wiedeń!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Potężna dolina zarośnięta lasem bukowym ogarnęła ich morzem zieleni. Droga wiodła pomiędzy wielkimi drzewami, które w węższych jej miejscach zwierzały się konarami, tworząc ponad podróżnymi nieprzeniknione sklepienie.

Ranek to był, rześkość powietrza powiększała wilgoć pływająca od liściastego lasu. Sandor jechał na przedzie wiodąc żywą rozmowę z Gabrielem Bażyńskim i Tielemanem vom Wege. Oglądali się czasem, czy w pobliżu nie znajdzie się Wilhelm Jordan. Nie mieli zaufania do gdańskiego burmistrza. Tieleman wykladał gorąco, że w Wiedniu główny nacisk położyć należy na zdobycie w kancelarii przywilejów, potwierdzających prawa miast i szlachty, szczególnie w ziemi chełmińskiej. Przypuszczał, że bogate dary potrafią skłonić cesarza do łaskawości w tych sprawach, niezależnych zresztą od samego przebiegu procesu.

- Zważcie bo - zapalał się, szeroko wymachiwał rękami. - Jeśli proces przegramy, jeśli dojdzie do wojny, a Korona przygarnie nas pod swe skrzydła, przywileje one pomogą w rokowaniach z królem i radą koronną. Nam i w jutro trza patrzeć! W Koronie także osobliwie na miasta poniektórzy wielmoże są łasi, pragnęliby ograniczenia swobód handlowych i nadań. Za przystąpienie jako wolnych z wolnymi, do Polski, żądać musimy nie tylko potwierdzenia dawnych uprawnień ale i przyznania nowych. Czym więcej z nich będzie miało podkład w dawniejszych nadaniach cesarskich, tym śmielej będziemy występować o dalsze... Toż się tyczy i szlacheckich prerogatyw w Koronie...

- Ba - wydał wargi Gabriel Bażyński. - Brat we Wrocławiu powiadał, że spór idzie wielki z panami

Ozatwierdzenie przywilejów, czemu się Kazimierz król mocno opiera. Oleśnickiemu zależy, by potwierdzenia owego monarcha nie dał, przez to bowiem kardynał wpływ będzie miał większy na brać szlachecką. Mając zaś wpływ takowy, sprawę Wołynia snadniej obroni przeciw Litwinom... Za kardynałem wielmoże są małopolscy, którym niemiłe szersze uprawnienia dla ogółu szlachty... Jeno poniektórzy Wielkopolanie i mać królewska napierają na króla, by jednakoż zgodę swą dał

I przywileje potwierdził, bo to broń kardynałowi i poplecznikom jego z ręki wytrąci.

- To czepuż król się opiera? Oleśnicki bruździ mocno jako nikt inny... Jakiż to gwałt nastął choćby w sprawie obsadzenia stolicy arcybiskupiej w Gniezdnie! Mnie się zda, że

królowi samo pierwsze winno zależeć na ukróceniu małopolskich prałatów i panów. - Sandor Wielki nie potrafił wyznać się w pogmatwanych arkanach wielkiej polityki.

- Pomnij, mileńki, że królowi zależy, aby wygrać we wszystkich sprawach. Chciałby Oleśnickiego pogrążyć wraz z wielmożami małopolskimi, a zarazem przeszkód już nie mieć w swobodnym mianowaniu biskupów. To umacnia władzę monarszą, a Kazimierzowi na tym wiele zależy i mać jego Zofija nad tym pracuje. Pragną mocno utwierdzić dynastię królewską, aby nie było więcej sporów w czas bezkrólewia. Wielmożom to nie w smak, dla siebie chcieliby zachować prawo wyboru, każdy bowiem nowy wybraniec pomnaża ich władzę i bogactwo.

- Ale ciż sami wielmoże niechętni rozszerzeniu swej władzy na większy zastęp braci szlacheckiej...

- Oni niechętni, jasne, zawdy więcej się można pożywić, gdy mała jest liczba dopuszczonych do stołu. Ale i królowi nie w smak ci nowi uprzywilejowani ze szlachty. Więcej ich będzie, trudniej będzie trzymać lejce państwowej kolasy.

- Zaś się to uda królowi wygrać ze wszystkimi?

- Gdyby nie sprawa litewska, może by się powiodło. Ale Wołyń argument tu nader ważki. Gasztołdowi jednym ciągiem brużdżą na Litwie. Przyjedzie na Litwę król Kazimierz, cisza, jako barankowie potulni wszyscy chodzą. Tylko za granicę królewski koń stąpnie, wraz się wrzenie poczyna od nowa. Gdyby król postawił na swoim, z wolą Litwinów ostawiając im pomienioną krainę, wytrąciłby gasztołdowym broń z ręki... Rozumieją to małopolscy panowie, opór stanowczy dają, żądając włączenia Wołynia w granice Korony.

- Tak to, aha - chwiał małą swą główką Sandor, powoli zaczynając pojmosferać zawile sprawy. - No, a jeśli król w niczym nie zechce ustąpić i wszyscy okoniem staną przeciwko niemu? Zaś znajdzie siły, by wolę swą przeprowadzić?

- Ba - znów.jakoś dziwacznie cmoknął wargami Gabriel Bażyński. - W tym rzecz, że nie poradzi i w jednym będzie musiał ustąpić. Tako wygląda, że najłatwiej będzie mu przywileje potwierdzić. Tedy Małopolanie wpływ swój utracą, król łatwiej zapewni spokój na Litwie, uzyska wpływ na mianowanie biskupów, mając zaś poparcie obozu królowej matki i możnych Wielkopolan, wreszcie ku Prusom zwróci łaskawe wejrzenie...

- Aha, aha - Sandor znów się zagubił w tym wszystkim. Pomyślał, że zostaje mu jeno po dawnemu mieczem władać, miasto głowę suszyć historiami nie do pojęcia.

- No, niedługo już nam do tego Wiednia... - sapnął tęgi Tieleman vom Wege, poprawiając się w siodle. - Tuszę, że...

Nie skończył. Bo oto na drodze przed nimi z nagłą wychynął liczny oddział zbrojnych, pędzący co sił wyskoczy ku orszakowi pruskiemu. Na czele, przychyłony ku karkowi siwego rumaka, rwał rycerz bogato strojny, w zbroi, z wzniesionym do góry mieczem, łyskającym w sączących się przez powalę listowia blaskach słonecznych.

- Napad jakowyś. Stać, około wozów do obrony się kupić! - zakrzyknął Bażyński, przejmując dowództwo.

Zamieszanie powstało, a jednocześnie od tyłu i z boków rozległy się* głośnie krzyki. Z lasu wysypali się na drogę zbrojni rycerze, pędzili na tabor pruski.

Bażyński odczytał sytuację. Wrogów było co najmniej pięć razy więcej. Zakrzyknął ku posłom:

- Przebijać się przez nich, komu się da, na Wiedeń rwać, relację tam zdawać... - już się odcinał mieczem przed nacierającym na niego owym strojnym rycerzem.

- Ha, toż to Miltitz, jak mi miecz miły! - zabrzmiał nagle chrapliwy okrzyk Pieniążka, szlachcic spiął konia, runął Bażyńskiemu na pomoc.

Wozacy zeskakiwali na ziemię, chwytając za miecze. Paru napinało łuki, strzałami rażąc napastujących. Konni wyskakiwali do przodu, ale po chwili musieli bronić się i z boków i od tyłu, gdyż wszędzie jawili się napastujący, wyrastając jak spod ziemi. Pomieszali się obrońcy z rozbójnikami, powstał gwałt jeden, krzyk, rwetes. Szczekanie broni mieszało się z okrzykami bólu albo głosami zachęty do walki.

Raniony w ramię Bażyński opuścił prawą dłoń, cofnął się zrozpaczony. Na swym wielkim koniu nadjeżdżał w jego stronę rozwścieczony Tieleman vom Wege, wcale udolnie. ciął mieczem, strącił z konia atakującego go napastnika, aż ten tylko zasapał i zaraz z rozdzierającym krzykiem bluznął krwią z otwartych ust. Mieszczanin tak manewrował koniem, aby osłaniać bezbronno Bażyńskiego. Z drugiej strony szlachcica dostrzegł sylwetkę, zmagającego się z dwoma napastnikami, Ramsza z Krzykosów, zakrzyknął ostro:

- Przebijać się!

Zaraz jak taran runął do przodu, samym impetem roztrącając kilku jezdnych. Bażyński i Ramsz spiąwszy konie skoczyli za nim, kilku jezdnych z pruskiej asysty skoczyło z pomocą. Łyskały miecze, nad głowami przewinęła nagle kopia, ktoś się chwycił za nią obiema rękami, jakby pragnąc wydobyć ostrze z trafionej piersi, znów się zakotłowało, pył się podniósł, tętent kilku koni zwiastował, że przebicie się udało...

- Glejt mamy cesarski i króla waszego! Glejt, co robicie zbóje! Glejt! - darł się z wozu Jan Matzke, niezdarnie wywijając mieczem.

Napastujący śmiechem odpowiadali na jego krzyki. Któryś potrząsnął mieczem wzniesionym nad głową.

- Oto nasz glejt! Cha! cha! cha!

Nikt z atakujących nie tknął nawet przedstawiciela Chełmna, tak niegroźny i śmieszny był z tą swoją rozwartą gębą, z mieczem, którym wywijał nad wozem ładownym w bogate dary.

Piotr z Wikliny wraz ze swoimi żołnierzami ścierał się na samym przedzie, tam gdzie przed chwilą jeszcze jak taranem walił w obcych jezdnych Tieleman vom Wege. Poskoczył w to miejsce, słysząc rozkazujący okrzyk strojnego dowódcy:

- Za tamtymi, nie przepuścić żadnego!

Za wszelką cenę chciał opóźnić pogoń za Tielemanem i towarzyszymi. Piotr z Wikliny nie tylko umiał się bić.

Wiedział, że tym razem nie na bohaterskiej walce zależy, ale na tym, aby posłowie choć częścią dotrzeć mogli do Wiednia, tam interweniować i spraw pruskich pilnować.

Uchyłał się właśnie przed nacierającym nań kopijnikiem, schylił na prawą stronę, aż koń szarpnął ciałem w wysileniu, aby nie stracić równowagi. Kopia prześwisnęła o cal mały nad głową Piotra, tej samej chwili poderwał się, z rozmachem ciał mieczem prosto w łeb kopijnika. Usłyszał z boku rozpaczliwy krzyk. Spojrzał kątem oka. To jeden z jego dwóch żołnierzy, stary wojownik, trafiony w samą pierś, niczym przecie nie osłoniętą, chwilę słaniał się jeszcze na koniu, potem runął na jego szyję, osunął na ziemię. Przerażony koń szarpnął się, wraz ze zwisającym w strzemionach ciałem jeźdźca pomknął jak oszalały. Za nim objało się po szosie *ciało Prusaka...

Piotr z Wikliny westchnął ciężko, w porywie strasznej wściekłości natarł na zbliżającego się ku niemu jeźdźca, zgrzytnęło żelazo o kość. Kątem oka dostrzegł Edwina, zmagającego się samotnie z kopijnikiem, jeszcze paru pruskich jezdnych, zakrzyknął, widząc, że za Tielemanem i Bażyńskim wyrwało już kilku napastników i pędzi szosą:

- Za tamtymi!

Pognali w sześciu czy siedmiu, kłując boki końskie, aż spływały krwią.

Sandor Wielki, trwający z kilku innymi przy taborach, widział kłęby kurzu na trakcie, pojmował, co się dzieje, drogo postanowił odsprzedać życie. Ciskał się na strony, groźny, olbrzymi, aż napastujący usuwali mu się z drogi i chwilami widział się w najbliższym polu sam jeden. Wtedy unosił się na strzemionach, zgał konia i rwał ku najbliższemu wrogowi. Widział, jak kilku wozaków z krzykiem jęło uciekać w las, ucho świdrował mu ciągły jęk Matzkego, pokrzykującego w przerażeniu o glejtach cesarskim i królewskim, skręcił nagle na

lewo, gdzie Eryk walczył przeciw dwóm zbójom, samym ciężarem konia zepchnął jednego na bok, drugiego Eryk mocnym pchnięciem miecza zrzucił z siodła, chociaż nie ranił, miecz bowiem zachrobotał tylko o blachę na piersiach wojaka.

Byli teraz tuż obok siebie. Gdzieś z tyłu dobiegało posapywanie Pieniązka i szczęk mieczy.

- Jak mi miecz miły, nie daruję, jak mi miecz miły! - stękał polski szlachcic, zwinny, czujący się w tej rzeźbie naprawdę w swoim żywiole.

- Zdajcie się! - krzyknął ktoś.

- Zdajemy się! - ku niebywałemu oburzeniu Sandora zabrzmiał w odpowiedzi głos Matzkego, ciągle moszczącego się jak kwoka na wozie.

- Zdajemy się! - poparł go Wilhelm Jordan, broczący krwią z rozciętego policzka. - Sandor, hej, zdajemy się. Rozkaz!

Olbrzym obejrzał się, chciał coś odkrzyknąć, że nie zwykł się zdawać, ale walczył zawsze do końca. Przypomniawszy w tejże chwili, że przecie wysłany był dla osłony posłów i podlega ich rozkazaniom.

- Zdajcie się, zdajcie! - okrążali ich napastnicy, nie atakując już, a tylko unikając ciosów.

- Sandor, hej! Miecz chować, rozkaz! - Jordan podnosił głos, nabrzmiały pasją, wściekły.

Olbrzym obejrzał się wkoło. Już tylko jego ludzie, Eryk i Pieniążek trzymali się w gotowości bojowej. Szczęk oręża ustawał. Ciężko wtedy wzdychając, gniewnym ruchem wsunął miecz do pochwy. Pierwszy raz w życiu przyszło mu się poddawać. Przypomniawszy jednak, że przecie to nie wojaczka, a poselstwo, inne całkiem sprawy.

Opodał ktoś charczał przedśmiertnie. Sandor spojrzawszy, zaćmiło mu się w oczach. Wierny jego Jasiek leżał tuż koło wozu, blady straszliwie, z otwartymi ustami, z oczami, które zaciągało już szklawicem. Rude jego włosy rozsypały się na szarej ziemi, padł właśnie na nie pas słońca, przebijając się przez liściaste sklepienie. Szczurza twarz wojaka miała w sobie wyraz jakiejś przeogromnej żalości. Kielbasa zeskakiwał z konia, nachylał się nad druhem wiernym w wielu wyprawach i potyczkach.

Sandor opuścił głowę.

- Miltitz, Miltitz, ha! - Pieniążek kłapał w pasji zębami.

Strojny rycerz wysunął się na czoło swoich, uśmiechnął się.

- Zaszczyc to dla mnie niemały, że imię moje pomiędzy tak dzielnymi panami słynie. Przykro mi, że takow^ę im siurpryzę musiałem uczynić, ale rady innej nie było.

- Zbój przeklęty! - ryknął mu w twarz małopolski husyta.

Miltitz spojrział na niego przeciągle, uśmiechnął się krzywo, nie odrzekł nic. Ale spojrzenie jego, rzucone potem raz wtóry na Mikołaja Pieniązka, nie wróżyło niczego dobrego.

- Broń zdawać! - rzekł inny, też ze starszizny, sądząc po szacunku, jakim otaczali go tłoczący się wkoło zbóje, dobrze ubrani, wszyscy niemal w zbroi, a przynajmniej w stalowych półkoszulkach.

Słyszając to, Sandor pokraśniał na twarzy, w jednej chwili wyrwał miecz z pochwy. To samo uczynił Eryk, jeszcze paru za ich przykładem.

- Sandor, złóżcie broń - rzekł spokojnie Wilhelm Jordan.

Olbrzym wahał się jeszcze chwilę, potem z rezygnacją odpiął miecz, rzucił go w ręce najbliższego napastnika.

Zbrojni odjechali, zostało ich tylko kilkunastu, ci złożyli zabitych i rannych na wozach, pojmanyh zaś jeńców otoczyli gęstym kręgiem i smutny pochód pociągnął w drogę...

Eryk ze zwieszoną głową jechał tuż przy Sandorze. Olbrzym szeptem zwrócił się do niego.

- Piotr kędy?

- Zda się, że przebił się razem z Bażyńskim i Tielemanem.

- Ramsz był z nimi?

- Nie ma go tutaj, ani między rannymi. Pewnie tak, chyba że go kędyś w dalszej drodze dopadli... Jan z Turzy na wozie, trudno rzec, żyw li tylko ranion... Naszych coś siedmiu padło, wielu brakuje...

- Ścierwa, wozaki, w las poszły - sarknął Sandor.

- Nie wszyscy. Toć są wśród tych na wozach, a paru, widziałem, było koło Piotra i Tielemana...

- Psi los. Jeszcze się zdawać kazano. Tfu, zgiń, przepadnij! - zaklął Sandor i splunął na ziemię. Eryk nic nie odrzekł. Po chwili jednak olbrzym począł się zastanawiać. - Prawda, wszak może? Toż nie wojna. A rozkazanie rozkazaniem. Może Jordan wie, co robi? Posłowie toć, łatwo z nimi nie pójdzie. Wraz ich będą musieli wypuścić... Robiliśmy co było można. Ich też pewnie z dziesiątek legło, hę?

Obejrzel się na wozy, kolebiące się po wybojach drogi. Ranni pojękiwali głośno. Trudno ich było zliczyć. Na każdym wozie było dwóch, trzech.

- Niezgorsza rzeźba - uśmiechnął się nagle Sandor. Odezwał się w nim stary wojownik.

- Zbóje! - sarknął gdzieś z boku Pieniązek.

- Cicho, lepiej rzeknij nam, kto to?

- Rycerz morawski, Miltitz. Głośny to rabuśnik, we strachu całe Morawy trzyma, rady dać z nim nie mogą. To coś tak jak podkomorzy Szafraniec, tylko ten jeszcze śmielej sobie poczyna... Ale coś się mnie klei, że on wiedział, iż na posłów napada... Za nic mu glejt własnego króla, także cesarski. Wozaka onego, co nam uciekł, nie widzieliście czasem?

Potrząsnęli przecząco głowami. Sandor nagle zamyślił się. Przypomniał swój niepokój i nurtujące go przez cały czas drogi podejrzenia. Palnął się dłonią w czoło.

- Żem tego wcześniej nie pomiarkował - syknął.

- Czego? - spojrzeli z zaciekawieniem.

- Czego? Toż dwaj towarzysze starogrodzkiego komtura na Morawy jeździli. Ani chybi, dla znośen z tymże Miltitzem.

- Cichajcie, bo was rozdzielim! - huknął któryś z eskortujących.

Umilkli. Pieniązek krótko wytrzymał, tyle że cichszym już szeptem zaczął od nowa:

- Może to być. Ani chybi, tak będzie... Gady krzyżackie, kędy nie potrafią się dostać, w komitywę z wszelakimi zbójami wchodzą... - Spojrzał przed siebie, zboczyli właśnie w boczną drogę, zadziwił się. - Patrzcie, kędy to oni nas wiozą?

Z drogi tej niedługo skręcili w las niezdarne zrobionym wysiekiem, gdzie zwalone drzewa ledwie, ledwie tylko odciągnięte były na stronę. Za chwilę rozwarła się przed nimi duża poręba, na niej kilka skleconych byle jak domków i długi szereg namiotów.

- Phi, toć tutaj jak obóz wojskowy! - Sandor kręcił głową w podziwie.

- Sandor, Sandor! - dobiegło go z tyłu ciche posykiwanie.

Obejrzał się. To Wilhelm Jordan, jadący o parę koni dalej, dawał mu ciche znaki. Zwolnił nieco, aby się zbliżyć do gdańskiego burmistrza.

- Trzeba było się zdać. To przecie bandyci, nie wojna, a na bandytów żal miecza wyciągać. Katu ich lepiej ostawić... Pomnij, jeślić który z was wyrwie się od tych zbirów, wraz niechaj daje znać do Wrocławia i na Prusy. Trzeba króla polskiego o interwencję prosić. Słyszałem, że wykup za nas chcą brać... Gorzej, że bogactwa wszystkie a i papiery na proces przepadły. Starania róbcie, by się któremu z was udało ujść z wieścią...

- Cicha jcie!

Odsunęli się od siebie. Po chwili rozdzielono ich. Posłów zabrano osobno - trzech ich było, okazało się bowiem, że Jan z Turzy żyje, ani nawet nie jest raniony, stracił tylko

przytomność, ogłuszony ciosem w głowę. Dołączono jeszcze do tej grupy Pieniążka, który gwałt uczynił, że nie posłuje przecie, chciał bowiem pozostać razem z przyjaciółmi. Zaśmiano się tylko z tego.

Pozostałych rozdzielono na dwie grupy, zamykając każdą w osobnym budynku z ciosanych grubo bali sosnowych.

Sandor znalazł się w jednym pomieszczeniu razem z Erykiem, Kielbasą i pękatym Michałem. Ten ostatni niepokieszony był po stracie przyjaciela, rudego Jaśka.

- Tyle czasu razemśmy przyżyli, tyle piwa wypili - stękał.

Przydano im jeszcze dwóch wozaków, którzy do ostatka dzielnie stawali w walce. Nic zresztą dziwnego, byli to starzy wojacy z trabanckich rot zaciężnych Torunia.

Jednoizbowy domeczek, w którym ich zamknięto, nie posiadał żadnego okna, odrobinę światła wpuszczały tylko pod samą powalą wycięte w belce wąskie, podłużne otwory. Drzwi były masywne, nabijane żelazem, zamykane potężnymi ryglami.

- Więzienie... Kilka takich budyneczków, widziałem, stoi... - kręcił głową Sandor, jakby w wielkim zdziwieniu. - Widać, że często oni więźniów tu przytrzymują. - Dadzą nam chyba co jeść? - zafrasował się nagle, nie lubił bowiem myśleć o pustym żołądku, twierdząc, że siła i rozum przychodzą dopiero wtedy, gdy człowiek się dobrze nasyci.

- Jeśli okup brać mają, to chyba karmić muszą dobrze? - zastanawiał się Kielbasa.

- Głupiś, Kielbasa! Okup za posłów, może za Pieniążka, którego do nich włączyli. Nami kto się zajmie? - sarknął Sandor.

- Kto? Związek Pruski. Na pewno nie da ginąć żołnierzom.

- Stryj się zajmie, jeśli uszedł - dodał Eryk.

Kielbasa począł obchodzić izbę, opatrywać ściany, spróbował nacisnąć całym ciężarem na drzwi. Nawet nie drgnęły. Zrezygnowany usiadł tedy na snopkach słomy” których kilka leżało na podłodze wilgotnej izdebki.

Początkowo patrzyli na jego poczynania z zainteresowaniem, ale zaraz też się im smutno zrobiło.

- Może podkopać by się dało? - szepnął Michał, wyciągając długi nóż zza cholewy.

- Prawda - ucieszył się Sandor. - Toć noży i mizerykordii nam nie zabrano. Zawdy jest ująć co w rękę.

Michał grzebał w ziemi przy ścianie. Wreszcie zagłębił ramię w zrobioną dziurę, macał nożem.

- Ech, belki głęboko puszczone w ziemię. Nie przekopimy się.

Zrezygnowani porozsiadali się, Sandor, jakby w usprawiedliwieniu, rzekł jeszcze.

- I tak teraz dzień biały. Trzeba odsapnąć, myśli zebrać. Bo my stąd wyjść musimy jakimkolwiek sposobem. Trzeba wiadomość dać, co z posłami się stało. Kto wie, może i tamtych złapano... Dziki kraj...

Westchnęli, każdy zagłębił się w swoich myślach.

Tylko gruby Michał mocno zachrapał, rozwaliwszy się na słomie pod ścianą. Popatrywali na niego z zazdrością, ale i ich wkrótce począł sen morzyć. Strudzone walką ciała domagały się odpoczynku.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Porwali się na brzęk odsuwanych rygli. W drzwiach stanęło kilku morawskich żołnierzy. Sandor poskoczył ku nim. Ostra kopia natychmiast wyciągnęła się w jego stronę.

- Spokojnie, maleńki, spokojnie - zakpił żołnierz. - Jeść im przynoszę, a oni na mnie... Ostrożnie, bo pokłuć się łącno, kopija dobrze ostrzona.

Sandor cofnął się, sapał gniewnie, pierś jego podnosiła się mocnym oddechem.

- Tu woda - żołnierz wskazał na drewnianą stągiewkę. - A tutaj macie chleb i jedzenie. Tu jeszcze łyżki. Pożywajcie do syta - w tonie jego głosu zabrzmiała jakby sympatia. Dobrzeście się bili, sześciu naszych na tamtym już świecie, a jeszcze paru skowyczy od ran...

Chciał już zamykać drzwi, ale Sandor skinął nań ręką.

- Czego?

- Rzeknijcie, co macie zamiar z posłami i nami uczynić?

- Z posłami? Ha, już ich tu nie ma. Za tłuste ptaszki, pan nasz do zamku swojego ich zabrał. Tam wygodniejsze wieże... - zaśmiał się żołnierz ze swego dowcipu, pozostali zawtórowali mu grzmiącym rechotem. - Czekać będą, aż okup przyjdzie, ponoć tam pruskie miasta bogate, nieźle posypią z kiesy... A z wami? Mniej was ocenią, nie ma obawy... Zawdy każdego inną miarą trza mierzyć. No, dość gawędy! - zatrzasnął drzwi silnym zamachem ramienia, zazgrzytały znów rygle. Więźniowie nasłuchiwali jeszcze kroków odchodzących żołnierzy, potem wszystko ucichło, docierał do nich jedynie ogólny gwar zbójeckiego obozu.

- Zaraz zmrocznieje - rzekł Eryk.

- U nas i tak mroczno przez cały czas. Ani dojrzeć stawy, jaką przynieśli - sarknął ktoś inny.

Jedzenie było wcale niegorsze, obficie kraszone i z kawałami zubrzego mięsa. Zjedli wszystko, bo głodni byli straszliwie. Kielbasa westchnął tylko:

- Piwa by się zdało. Ostatnia to rzecz, zapijać wodą...

Zaśmieli się. Powracał lepszy nastrój.

Tylko Michał był zamyślony, wiercił się po izbie, pukał w ściany, mierzył wzrokiem wysokość powały, mruzczał do siebie pod nosem.

- Co za giez cię ugryzł? - spytał zastępca rotmistrz^.

- Jak drzwi były otwarte, widziałem drugą taką budę podobną do naszej. Dach jest niski, wystają spod niego belki, kładzione na powałę. Tak mi się widzi, że nie są one mocno przyczopowane. Gdyby tak dało się wypchnąć którą, można by przez powstałą dziurę wyleźć na dach. Ten kryty słomą, żadnego trudu dalej nie ma...

- Ha, dobra myśl! - w Sandorze zapaliła się dawna energia. Nie był już głodny, umysł pracował sprawniej. - Trzeba spróbować.

- Kiedy nie sięgnę.

- Właż, Michał, na mnie. Utrzymam, lepiej ci będzie - stanął okrakiem pod ścianą, naprężył potężny grzbiet.

Michał jednym skokiem znalazł się na tym grzbieci, wparł się w belkę obu rękami. Ani drgnęła. Spróbował przepchnąć następną, to samo. Podobnie było z dalszymi. Zmęczony i zniechęcony zeskoczył na ziemię.

- Nic z tego. Musiało się mnie przywidzieć. Twardo siedzą, ani drgnie która.

Z kolei Sandor zaczął obmacywać ściany izdebki. Ciemniało w niej coraz bardziej. Przez dziury pod okapem nie przedzierało się już światło, zapadł tam szary cień, powoli i ten zginął. Olbrzym próbował napierać w rogach izby, potężne bele nawet się nie ugięły pod naciskiem. Drzwi trzeszczały wprawdzie, ale umocowane były tak tęgo, że mowy nie było, aby się kusić o ich wyłamanie.

- Umieją oni budować swoje leśne więzienia, żeby ich nagła śmierć zaskoczyła! - kłął Sandor, nie rezygnował jednak, człapał swoimi nożyskami po izbie jak dzikie zwierzę rozbijające się w klatce.

- Stancieże dwaj okrakiem, na każdym postawię jedną nogę, będziemy próbować - sapnął wreszcie, postanawiając ponowić próbę Michała.

Stęknęli pod jego ciężarem. Sandor próbował unieść pierwszą belkę powały, prawie nie drgnęła, tylko drzewo zaskrzypiało cieniutko. Druga belka natomiast uniosła się odrobinę do góry. Olbrzym napiął się jeszcze bardziej, wyteżył całą swą siłę, belka drgnęła silniej, ruszyła z miejsca. Ale w tejże samej chwili jęknęło pod Sandorem, Michał zasapał zduszonym głosem:

- Nie strzymam, grzbiet pęknie... O Jezu...

Sandor chcąc nie chcąc musiał zeskoczyć. Michał długą chwilę nie mógł się wyprostować.

- Nie na moje to siły. Gdzieżby tu strzymać.

Najsilniejszy z wozaków, który służył za podwyższenie dla drugiej nogi Sandora, nie mówił nic, ale też słycać było, jak nacierał sobie zbolały grzbiet.

- Tę belkę dałoby się przesunąć, poszła do góry, teraz ją tylko pomaleńku wypychać w bok... - tłumaczył Sandor, nie wiedział co począć.

Wyciągniętymi dłońmi sięgał wprawdzie powały, ale nie stać go wtedy było na potężniejszy wysiłek.

- Przyjdzie nam tu czekać zmiłowania boskiego - szepnął drugi wozak.

- Nie, próbować musim. Zlecenie mamy, zanieść do Prus wiadomość o napadzie na posłów...

- Głową muru nie przebije - mruknął Kielbasa.

- Zwólcie, panie, może ja popróbuję - odezwał się milczący dotąd Eryk.

- To włączcie we dwóch. Strzymam - rozochocił się olbrzym.

Eryk z Kielbasą mocno wparli nogi w plecy Sandora, nacisnęli na belkę. Zruszona uprzednio, drgnęła teraz od razu. Jęli pchać ją na bok. Oparła się o coś, nie chciała ruszyć.

Weźmy ją jeszcze do góry i pchnijmy w ten sposób, łatwiej będzie... - sapał Eryk.

Spróbowali. Ku radości, belka tym razem przesunęła się w prawo na długość dłoni.

- By się nam nie zwała na głowy! - rzucił jeden z wozaków.

- To ją podtrzymacie, jeśli będzie opadać. Hałasu żadnego żeby nie robić - upominał Sandor. - No, pchajcie dalej, bo po próżnicy nie będę konia udawał.

Pchnęli znowu, jeszcze raz i jeszcze. Belka powoli przesuwiała się w prawo. Znowu natężyli siły. Koniec bierwiona zawisł w próżni...

- Idzie, idzie - zachichotał radością Kielbasa.

- Pchajcie dalej! - dobiegał ich zduszony, charkotliwy głos Sandora.

Przepchnęli jeszcze nieco. Zeskoczyli wtedy.

- Uff - odetchnął Sandor prostując zbolałe plecy.

Tymczasem w rogu izby, gdzie zwiisał luźny koniec belki, kotłowali się Michał wraz z dwoma wozakami.

- Hurra, przelazę... - mocnym, rozradowanym szeptem popłynęło z ust Michała.

Zatrzepotało w powietrzu, Michał stękał coraz straszliwiej, wreszcie zrezygnowany zeskoczył na ziemię.

- Brzuch przeszkadza - rzekł. - Musi przelazić ktoś cieńszy.

- To ja spróbuję - Eryk mówiąc to gramolił się na plecy Kielbasy.

Po krótkiej chwili triumfalny szept rozradował serca więźniów.

- Jestem na stryszku.

- Próbuj poruszyć drugą belkę - nakazał Sandor.

Eryk zmagał się, dyszał ciężko, usłyszeli jego szept.

- Sam nie poradzę. Niech kto jeszcze spróbuje dostać się do mnie.

Szczuplejszy z wozaków zrzucił kurtę, z wielkim mimo to trudem przecisnął się przez szparę między belkami. Po długim mocowaniu się przesunęli wreszcie drugą belkę. Teraz nawet Sandor mógłby się przecisnąć przez powstały otwór.

- Rozejrzyjcie się dobrze, jak tam wokoło.

Ostrożnie rozchyłili słomiane poszycie dachu. Na polanie w kilku miejscach płonęły ogniska, obóz jednak wydawał się zupełnie uśpiony. Księżyc oświecał polanę ostrymi pasami.

- Niedobre światło - szepnął wozak.

Eryk pokiwał głową. Światło miesiąca padało także na ich więzienie. O kilka kroków siedzieli na ziemi dwaj zbrojni, gadali z sobą. Eryk przesunął się na drugą stronę stryszku, wyjrzał na przeciwległy brzeg polany. Las sięgał tutaj blisko, nie widać też było nikogo ze strażujących. Zbóje musieli pewnie się czuć w swojej siedzibie.

Zeskoczyli do izdebki dla naradzenia się z towarzyszami.

- Koni nie było gdzie widać? Piechotą daleko nie ujdziem, pojmą nas... - rzekł Sandor.

- Konie są tam od prawa, widziałem, pasą się na wolnej części polany. Tylko, że pobok nich płoną aż dwa ogniska. Chyba, że dostać się od tyłu, przez las. Ale trudno będzie. A kulbak nie osiągniem już żadną miarą, złożone podle samych ogni, żołnierstwa tam sporo rozsiadło się na murawie. Noc ciepła, nie chce się im pewnie po budach spać - przypominał wozak.

- No, niech zatem Maryja prowadzi - z namaszczaniem w głosie powiedział Sandor.

Jeden przedostawał się na stryszek po ramionach drugiego. Ostatni został w izdebce Eryk, jako najlżejszy. Dopiero za drugim podskokiem uchwycił za zwieszane przez otwór w powale dłonie Sandora. Olbrzym wciągnął go bez żadnego trudu.

Sandor wyglądał na wszystkie strony rozchylając słomiane poszycie dachu.

- Gdyby tak o reszcie druhów pomyśleć - szepnął, wspominając Pieniążkowego Wicka i innych towarzyszy z poselskiego orszaku.

- Tamte domy w samym świetle - wskazał mu Kielbasa na pozostałe budyneczki, podobne do tego, w którym przesiedzieli dzisiejszy dzień. - I zgadnij, kto w którym siedzi?

Olbrzym długo rozważał. Nie widziało mu się pozostawienie towarzyszy bez pomocy. Gdyby chodziło o zwykłą tylko ucieczkę, na pewno ryzykowałby, nie bacząc na niebezpieczeństwa. Ale przecież zlecono mu, aby dał znać do Prus, co spotkało związkowych posłów. To już nie była prywatna sprawa, od tego zależeć mogły losy całej konfederacji. Jeszcze raz z westchnieniem przyjrzał się ogniskom płonącym nie opodal budynków o słomianym poszyciu. Potem, zrezygnowany, bacznie rozejrzał się jeszcze za końmi. Pasły się na skraju polany, gdzie trawa była bujna i świeża. O kilkanaście kroków leżeli na ziemi żołnierze, zajęci rozmową. Ogniska paliły się słabym ogniem, nie było chętnych do podsycania płomienia. Noc była ciepła, parna, jakby przed burzą.

- Jeden za drugim cicho niech się opuszcza na ziemię i czołga do lasu. Tam się zbierzemy. Gdyby nas spostrzegli, pamiętajcie, ostatni odwróć uwagę ścigających, kierując ją na siebie, pierwsi zaś za wszelką cenę będą dążyli do koni. Potem kierunek Wrocław, na Rynek, kędy zamieszkuje Bażyński. Zaczynaj, Eryk!

Poszycie dachu rozsunęli tylko na tyle, aby można się było wydostać na zewnątrz. Ostatni miał zagarnąć słomę, aby dziura mniej była widoczna. Zsuwali się po węgle budynku, aby skokiem na ziemię nie wzniecić niepotrzebnego hałasu. Nie oglądając się za siebie, czołgali się do zbawczego lasu. Trawa była wysoka, zakrywała pełznących przez nią uciekinierów. Na samym końcu włókł się Sandor z Kiełbasą.

- Uff - odetchnął olbrzym, gdy wszyscy legli już pod osłoną podszytych paprocią wielkich drzew bukowych. - Teraz dookoła, jeszcze dalej od polany, do koni. Eryk z Michałem spróbują podczołgać się do zwierząt, jeśli się da, łagodnie, nie płosząc, wprowadzając je do lasu...

Eryk przyłożył palce do ust, podniecony wskazywał na ciemniejszy kąt polany, cieniem drzew zakryty od blasku księżyca. Wpatrzyli się. Tak, tam stały wozy. Pamiętali, że po przybyciu do obozu, na jeden z tych wozów zrzucano ich własne kulbaki. Nie było tylko pewne, czy znajdują się tam i teraz.

- Dwa wozy tylko... - szepnął Michał, który wzrok miał lepszy od innych. - Gdzie reszta?

- Pomnicie, skrzypiało coś, jakby osie... Może powieźli wszystko do zamku owego Miltitza, razem z posłami? Ja pójdę z Erykiem po konie, a Michał spróbuje zajrzeć do owych wozów? Gdyby były kulbaki, diabeł by nas nie dogonił. Bo jakże tak oklep jechać?

- Dobra. Gdy już będziemy blisko, Michał pójdzie pierwszy, rozejrzy się, jeśli będą kulbaki, da znać. Potem dopiero będziemy próbowali pojmać konie... Spętane one?

- Tako mi się widzi, w kupie chodzą... - odpowiedział rotmistrzowi Michał, który wzrokiem swoim przebijał ciemność.

Zagłębili się bardziej w las, szli cicho, ostrożnie zatrzymując się przy każdym mocniejszym trzaśnięciu gałązki pod stopą. W ten sposób okrążywszy polanę, * znaleźli się naprzeciw spokojnie pasących się koni. 4 Niektóre skubały trawę tuż niemal pod lasem. Było to uciekinierom bardzo na rękę. Michał nie zwlekając poczołgał się dalej, w stronę wozów ukrytych w cieniu drzew.

Widzieli jego sylwetkę, jak oddalała się od nich. Czekali w napięciu, obserwując tymczasem żołnierzy przy ogniu. Było ich około dwudziestu, większość spała, kilku siedziało przy dogasających ogniskach, gwarząc po cichu.

Oczekiwanie przedłużało się. Michał długo nie wracał. Nie wiedzieli co o tym myśleć, nie podniósł się bowiem żaden alarm zdradzający, że towarzysz ich został odkryty.

- Jest! - szepnął rozradowany Kielbasa.

- Pomóżcie, ciężkie jak nieszczęście - posapywał niedaleko zziajany Michał. Przyciągnął za sobą trzy kulbaki. Brakowało zatem jeszcze trzech. Uradzili, że Michał wraz z wozakiem ponownie odbędą drogę do wozów. Gruby żołnierz Sandora Wielkiego musiał jednak chwilę odpocząć. Opowiadał szeptem, urywanymi słowami...

ZnalU ogniste - 20

- Podchodzę do wozów, patrzę, inne to są, nie nasze... Nachyłam się, kulbaki, ale i chrapie ktoś na nich. Zbój któryś... Myślę, co robić? Skoczę na niego z nożem, nim co, gwałtu narobi. Tom tedy wziął lejce przewieszane przez poręcz wozu, z kieszeni dobyłem swą chustę... Nagle siadłem na nim okrakiem, tejże chwili pakując w gębę skręconą chustę. Zakwiczał jeno cichutko, ale chyba nikt nie usłyszał. Szarpał się, ale ze strachu siły go opuściły, to nietrudno już przyszło mi związać go mocno. Wtedy wziąłem kulbaki i z powrotem... Ale ciężkie, bestyje... No, pora ruszać.

Zniknęli obaj. Tym razem oczekiwanie nie było tak długie. A jednak odetchnęli z ulgą, gdy dwaj towarzysze wrócili, w triumfie ciągnąc ze sobą trzy dalsze kulbaki.

- Tamten tylko oczyma po nas wodził, przerażony straszliwie. Tom mu nożem błysnął przed oczyma dla większego respektu i tyle... No, koników teraz nam trzeba.

- Dwa wraz będą, pod sam las podeszły - musnął oddechem Eryk, razem z drugim wozakiem i Sandorem kierując się do pasących się zwierząt. Olbrzym czołgał się z tyłu, uważnie wypatrując na wszystkie strony.

Dwa konie pasły się na skraju lasu. Aby nie spłoszyć zwierząt, Eryk począł szeptać do nich cichutko. Poznały ludzki głos, spokojnie dały się wprowadzić pomiędzy drzewa. Sandor

zaraz odwiódł je do pozostałych druhów, ci szybko kulbaczyli stworzenia zdziwione takim obrotem sprawy. Jeszcze dwa konie łatwo i cicho udało się zwabić do lasu. Gorzej było z ostatnią parą. Pasące się zwierzęta były teraz znacznie dalej, poza obrębem cienia rzucanego przez drzewa. Eryk długo zastanawiał się, co robić. Wreszcie wychynął na otwartą przestrzeń, starając się aby tułowia koni kryły go przed wzrokiem wypoczywających opodal zbójów rycerza Miltitza. Jak dotąd udawało się dobrze. Był już pomiędzy zwierzętami, po swojemu rozpoczął oblaskawiać je szeptem, nagle jednak młody jakiś źrebiec spłoszył się, stanął dęba, gwałtownie rzucił się pomiędzy pozostałe konie, z których kilka też okazało lęk, nastawiając uszy i cofając się bardziej do środka polany.

Eryk zamarł w trwodze. Usłyszał głosy żołnierzy, zdziwionych zachowaniem się koni. Ponieważ jednak nic się dalej nie działo, a konie po chwili od nowa zaczęły spokojnie szczypać trawę, żołdacy wrócili do przerwanej rozmowy. Eryk trzymał już jednego konia za grzywę. Powstał, osłaniając się jego ciałem, łagodny koń nie stawiał oporu. Nie było już trudno pojmać drugiego. Krok za krokiem, przystając chwilami, zezwalając koniom na skubanie trawy, zbliżył się do zbawczego lasu. Wreszcie odetchnął z ulgą, czując zarazem, jak koszula przylepiła mu się do spoconych z wrażenia pleców... Sandor z Kiełbasą w triumfie powiedli konie w bezpieczną głąb leśną. Michał szybko siodłał ostatnią parę. Krótka - i wszystko było gotowe.

Jak dotąd, udawało się im nad podziw, aż trudno było tłumaczyć sobie to wszystko inaczej jak faktem, że zbójce czuli się tutaj zupełnie bezpieczni i dlatego nie roztoczyli czujniejszej straży.

- Lasem je wywieziemy na drogę. Baczcie tylko, by który nie zarżał...

Ostatnie minuty były najgorsze. Serca dygotały przeraźliwie, aż się obawiali, że mogą je usłyszeć morawscy zbójce. Wylegli wreszcie na drogę. Tuż zaraz, pamiętali, jest trakt, może o trzy stajania. Dosiedli koni. Tej samej chwili doszedł ich nagły gwałt, który się zerwał w obozie. Krzyki, tupot, biegania uświadomiły Sandorowi i towarzyszom/że ucieczka ich została odkryta. Ale już było za późno. Pchnięte ostrogami konie zerwały od razu z miejsca. Zadudniły kopyta na leśnej drodze. Ani się spostrzegli, jak byli na trakcie. Wolni, pognali jak wiatr...

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Rosły człowiek o butnej twarzy, bogato ubrany, w towarzystwie dwóch jezdnych wolno kierował koniem przez pomost zrzucony nad fosę malborskiego zamku. Z

nieprzyjemnym uczuciem spoglądał na mury siedziby wielkiego mistrza, w niecierpliwości zagryzał wargi.

Dziwne bo losy wiązały jego ród, osiadły od dawna w ziemi mławskiej, rządzonej przez mazowieckich książąt na prawie lennym, z sąsiadującym o miedzę Zakonem. Swinkowie byli łąsi na bogactwa i zaszczyty. Trudno było o nie w księstwie mazowieckim, trudniej może jeszcze w Koronie polskiej, łatwo natomiast w szafującym pieniędzmi Zakonie krzyżackim. Któryś Świnka imieniem Piotr za gorliwe usługi uzyskał w połowie ubiegłego stulecia dobra ziemskie w państwie zakonnym, w Mgowie i we Sztymbarku. Od tego czasu losy Swinków ściśle jakoś wiązały się z losami Zakonu. Wzajemne wspieranie się było obustronnie na rękę. Toż stryj jego, Jan z Chojnowa, jako tłumacz wędrował z poselstwem zakonnym do króla Jagiełły, dostąpił nawet zaszczytu osobnej rozmowy z królem. On też, stryj tenże, rozpoczął zwadę z rodem Bażyńskich. Pragnąc uzyskać sumy potrzebne na powiększenie włości w księstwie mazowieckim, sprzedał Sztymbark Gabrielowi Bażyńskiemu. Świadkowie pomarli, dokument się kędyś zagubił, siostrzan sam już nie wiedział, zali Gabriel sum należnych nie chciał w pełni wypłacić, zali też stryjowi pachniało dodatkowe złoto. Dość, że zwada ciągnęła się długo, a umierającemu stryjowi on, Swinka Jan z Sarnowa, przyobiecał dochodzenie praw na rodzie Bażyńskich. Cóż, kiedy Bażyńscy rośli w siły i potęgę, a Swinkowie mizernieli, spadali w szeregi coraz biedniejszej szlachty. Tym mocniejsza złość zapiekała się w Janie z Sarnowa. Wspomożenia szukać mógł tylko w Zakonie, który rad przejmował opiekę nad sporami swoich poddanych.

Brama była rozwartą, od dziedzińca wionęło na jezdnych ponurym chłodem. Jan Świnka wzdrygnął się, zawsze doświadczał niemilego uczucia, przekraczając te progi. Pomacał się dłonią na piersiach, ale przypomniał rychło, że pismo wielkiego mistrza przezornie ostawił w domu. Nigdy nie wiadomo, co spotkać może człowieka wśród zakonnych rycerzy, a pismo takie było wcale dobrym zabezpieczeniem...

Tak, pismo... Pół roku temu wiódł z nim na ten temat rozmowy Henryk von Plauen wraz ze swoim pasłęckim *wicekomfurem, który coraz to wybuchał dziwnym śmiechem. Jakoś nie dobito wtedy targu, sprawa odwlekła się, Świnka odkładał dalsze decyzje... Ostatnio jednak od nowa zaczął myśleć o Bażyńskich. Bo i nie wiodło się mu w interesach, i poszum, jaki podniósł się w Prusach, rokował nadzieje na dobre intraty dla przedsiębiorczych ludzi. W tym czasie nadszedł list opatrzony osobistą pieczęcią wielkiego mistrza. Jakby się ich myśli w drodze spotkały. Ha, może się tym razem dopełni sprawa Bażyńskich, Swinków zaś ród do dawnego dojdzie bogactwa?

Tak myślał zsiadając z konia, otrzepując odzienie, zgłaszając ponuremu mnichowi swój przyjazd. Dumał podobnie czekając w sali obwieszanej zbroją wszelkiego rodzaju, połyskującą w mdłym świetle wpadającym przez kilka wąskich, gotyckich okien, zdobnych kolorowymi szkiełkami. Przy tym jednak odczuwał coraz mocniejszą niechęć do tego otoczenia, w jakim znowu się znalazł, do murów grubych, przepastnych, które tyle już krwawych tajemnic w sobie ukryły, do ludzi okrutnych a sprytnych, wiodących rozmowy z uśmiechem przylepionym do ust, do swojej roli zauszniaka Zakonu, z którym przecie Polska walczyła od tyłu pokoleń, walczyli nawet inni Świnkowie, prócz jego rodu z ziemi zawkrzyńskiej... Wstyd opadał mu ciężarem na duszę. Wtedy zaciskał pięści, myślał o Bażyńskich podsycając swą zgorzkniałą nienawiść.

Chudy kapelan wysunął się cicho z naprzeciwległych drzwi.

- Zwólcie, panie, podskarbi a prokurator Zakonu życzy sobie rozmawiać z wami w wiadomej sprawie... - skłonił się lekko.

- Toć żem z wielkim mistrzem oną rozmowę miał wieść!

- Brat dostojny, Ludwik von Erlichshausen nie* zdrow jest. Przeto zlecenie dał Eberhardowi von Kynsburg, by z wami dzieła poczętego dokończył. Zwólcier panie, do dalszej komnaty.

Powstał, zadrżał od chłodu, zdumiony jak zawsze, że choć lipiec ostatnich swych dni dobiega, w zamczysku tym zimno, jakoby w największe mrozy styczniowej pory. Uczuł też ból nagły w żołądku, aż zgiąć się w pół niemal musiał na długą chwilę. Mnich patrzył na niego uważnie, ani zdziwiony, ani zniecierpliwiony zwłoką.

Jan Świnka oparł się o krzesło i roku z nagłą spierały go takie bóle, aż zęby do krwi wpijał we wargi, aż ranił paznokciami swe dłonie. Medj^usy i znachory nie mogli nic poradzić na te dolegliwości? Próżno pijał zioła, próżno nosił na piersiach tajemne kamienie, mające przejmować w siebie chorobę, próżno łykał wreszcie każdej niedzieli wywar ze sproszkowanej skóry węzowej, maszczony niedźwiedzim sadłem. Bóle powtarzały się coraz częściej. Świnka marniał na twarzy i ciele, ponurzał i gorzkniał.

- Zwólcie chwilę, wraz mi to przejdzie - szepnął zaciśniętymi wargami, a krople potu na czole świadczyły o sile bólu.

Wreszcie atak ustał. Jan Świnka posłusznie podążył za milczącym mnichem do dalszych komnat zamkowych.

Eberhard Kynsburg aż do progu podszedł witając gościa. Na ostro ciosanej, męskiej jego twarzy wykwiłł przyjazny uśmiech.

- Wielki mistrz wielce zmartwion, że sam miłego gościa witać nie może, chorobą złożon...

- Tuszę, że nic groźnego?

- Nie, ale zawdy w łożu przebywa... Siadajcie, pro.szę. Pół czwarta roku mija, jakeśmy się widzieli ostatni 2%z. Posłowałem tedy do książąt mazowieckich, w drodze rad b[^]łem, mogąc z wami omówić pospólne sprawy.

Świnka milczał, zadzierzyście spoglądał dokoła, musując czasem wzrokiem twarz niborskiego prokuratora, cieszącego się sławą największego okrutnika w Zakonie. Wewnątrz gdzieś jednak czuł w sobie strach przed tym postawnym, siwiejącym już na skroniach lęączczyzną, do którego ostrej, stanowczej twarzy nie pasował iŚmiech, jaki przywdział teraz dla gościa.

Prokurator, nie okazując zdziwienia z powodu uporczywego milczenia Świnki, przechodził do właściwego tematu. Przelotnym spojrzeniem musnął przy tym stojącą na bocznym stole klepsydrę z cichutko przesypującym się w niej piaskiem.

- Owa pospólna sprawa nader pilną się staje obecnej chwili. Pismo brata dostojnego Ludwika, tuszę, żeście otrzymali, a treść jego pojęli?

- Otrzymałem, a treść aż nazbyt jest pojętna i dziw mi, że pismo takowe w świat zostało posłane. Źle byłoby» gdyby je postronne ujrzały oczy. Inkaust ślady niezatarte ostawia... - Świnka pozbył się już poprzedniego lęku, śmiało spojrział w oczy prokuratora.

Ten zaśmiał się łagodnie, ale w tonie zabrzmiał ów metaliczny dźwięk, którego bali się wszyscy bliżej znający okrutnego człowieka.

- Wiedział wielki mistrz, do kogo pismo owe wysyłał... Otóż meritum sprawy na uwadze mając, zapytać was chciałem wielkiego mistrza imieniem, zali zgodę swoją dajecie na nasze dawniejsze znoszenia? Zda mi się, panie, że to w równej mierze potrzebne Zakonowi jako i wam.

Świnka rozważał coś w sobie, zuchwy jego poruszały się gwałtownie, ale odpowiedział dopiero po chwili.

- Zgoda? Toć zem ją dał, młokosem jeszcze będąc, jako stryj mój umierał. Nie żyć pod jednym słońcem Bażyńskim ze Świnkami! Dlatego jedni z nich pomrzeć muszą. Wszako i Zakonu to sprawa, samiście rzekli, niepróżno Ludwik von Erlichshausen aż listami nieostrożnymi mnie pili. Gwarancję przekazania mi dóbr sztybarskich po Gabrielu mieć muszę, tudzież dóbr nowych na ziemi mgowskiej nadanie. Sam zamysł dla wykonania wymaga przygotowań osobliwie kosztownych. Tysiąc czerwonych złotych gotówką musi mi Zakon wyliczyć... Jakże na to patrzycie, panie podskarbi?

Eberhard von Kynsberg zaśmiał się, jakby metal kto rozrzucił w komnacie.

- Na Sztymbark przeciwów nie ma. Mgowskie dobra, tuszę, rychło się oswobodzą, jest bo tam kilkoro rycerzy, co na Związek Pruski przysięgli... Złote? Dziś jeszcze każę je bratu Ireneuszowi wyliczyć na wasze ręce...

Świnka wyciągnął dłoń, Krzyżak uderzył w nią na znak zawartej ugody.

- Prawcie! - Świnka rozparł się wygodniej, wyciągnął nogi przed siebie.

W spojrzeniu Krzyżaka zamigotała wściekłość, ale zaraz skrył ją głęboko w sobie. Głos jego brzmiał twardo, spokojnie.

- Wieści mamy, jako Jan Bażyński przez sierpień przyciągnie na Prusy z Wrocławia... Kulawy bazyliśzek będzie zatem na miejscu. Co do Gabriela, ten posłuje na sąd cesarski imieniem Związkowych...

- Ponoć ich zbóje napadli w morawskiej stronie? - domyślnie zaśmiał się Świnka.

- Takie nas wieści doszły. Wszak Gabriel Bażyński uszedł onym zbójom i najduje się w Wiedniu. Że wszakoż cesarz sąd przełożył na październik, na uwadze to mając, iż posłowie związkowi bez papierów, grosza i darów ostali” przypuszczać trzeba, że w krótkim czasie i Gabriel nogą swą w Prusach stanie... - urwał na chwilę, powiedział dobitnie: - Zważcie, panie, że płać o jakiej mowa była, za samego nawet Jana wypłaconą ostanie.^ Wszak za Gabriela samego wypłacić ją, nie byłoby to w siłach Zakonu... Jan dla nas najbardziej ważny, pomnijcie to.

- W trzy niedziele od chwili powrotu, tuszę, już go na tej ziemi nie będzie. Gabriela takż. Z Janem więcej ma Zakon na nożu, z Gabrielem moje są mściwsze rozrachowania... Jest do mnie co jeszcze?

Wstając, Eberhard von Kynsberg potrząsnął przecząco głową. Rzékł jeszcze:

- Po gotowiznę ową jako i akt nadania wraz się udacie do płatniczego mojego, brata Ireneusza... Żegnam i wieści pomyślnych czekam.

- Nadejdą, jak to słońce na niebie - zaśmiał się chrypliwie Jan Świnka, ze śmiechem tym opuścił komnatę.

Prokurator niborski i zarazem podskarbi zakonu długo stał jeszcze na tym samym miejscu, gdzie go Świnka zostawił, patrzył przed siebie, myśląc o człowieku, który tak łatwo godził się na dokonanie morderstwa. Zacisnął potem wargi, szepnął ledwo dosłyszalnie nawet dla siebie samego.

- Zgładź onych, sam tedy krótko pożyjesz... A z listem to prawda. Chciał lis mnie straszyc, zdradził się sam niebacznie. List ów trzeba odzykać...

Gdy w kilka chwil potem chodził po komnacie wielkiego mistrza, gdzie obok Ludwika von Erlichshausena przebywał jeszcze kapelan zamkowy, chudy, wysoki, ślepiący uważnie swymi pozornie niemrawymi oczyma, myśl o Świnie jeszcze mu nie dawała spokoju.

- Wyobraź sobie, bracie dostojny - udawał, że w ogóle nie dostrzega obecności kapelana - tak na to patrzył, jak na ubicie wszy na własnym karku. Łotr to znamienity, mściwość go ponosi, dla niej mało że człowieka, ale i Boga od nowa by zabił...

- Pewnyś, że swoje uczyni?

- Jeśli żyw będzie, na pewno. A nic nie zapowiada, by miał rychło umierać - niskim, gardlanym chichotem o metalicznym podźwiewku zaśmiał się prokurator niborski.

- To dobrze, że śmiercią Jana wraz by szczyła siła związkowych... - oczy wielkiego mistrza zawęziły się, swoim zwyczajem zacisnął na poręczach karła długie, wychudłe dłonie.

Zapadło milczenie. Przerażliwie chudy kapelan wlepił oczy w krucyfiks z ukrzyżowaną figurą Chrystusa. Prokurator niborski mocnymi, ale kocio cichymi krokami przemierzałogromną komnatę wielkiego mistrza. Ludwik von Erlichshausen spoglądał to na jednego, to na drugiego, sznurował wargi. 4

Zza okien dochodził cichy poszum. To wiatr buszował.

W gałęziach drzew rosnących bujnie nad rzeką z drugiej strony zamczyska.

Z rzadka dolatywał świergot ptaków. W sali było chłodno, mimo że na dworze upał lipca aż dech zapierał.

- Posłowie wyjechali na Kraków?

Prokurator obejrzał się na dziwny ton głosu wielkiego mistrza.

- Wyjechali. Mam wieści, że pojechał także Brajerski, zawzięty okrutnie na Zakon za pogwałcenie jego żony przez naszego rycerza a dostojnika. Związkowcy przeznają kędyś nasze plany... Brajerski będzie bruździł w Krakowie, gotowi go dopuścić do obecności przy posłuchaniu naszych posłów przez Kazimierza IV. Zawdym mawiał, że przez rozwiązłość nie Iza przysparzać wrogów dla szlachetnego Zakonu... - objaśniał kapelan i korzystając z okazji po raz setny chyba wyrażał swą niechęć do podskarbiego, który unieszczęśliwił Brajerskieg[^].

- Rycerzyk ów miałże być podkupiony! - zachnął się wielki mistrz.

- Nic z tego. Odmówił. Rzekł, iż po koniec swych dni pomsty szukał będzie na tych, co mu żonę gwałtem porwali, na zatracenie wywiedli. sząc te słowa kapelana Eberhard von Kynsberg zazgrzytał z wściekłości zębami. Kapelan spojrział na niego, z gardła wydobył mu

się cichutki, złowieszczy chichot, spojrzenie zaraz powędrowało na krzyż z rozpiętym na nim Chrystusem.

- Kiedy posłowie staną w Krakowie?

- Tuszę, że na dziesiąty sierpnia, jeśli zaraz posłuchanie monarcha Polski dać im zechce.

Długie, białe palce wielkiego mistrza z olbrzymią siłą ścisnęły poręcz karła. Znać było, że gniew nim miota, ale stara się przemóc go w sobie.

- r Dziesiąty? Na ten dzień Zjazd związkowych naznaczony w Grudziądzu. Zbrojny, zbrojny, słyszycie? - głos podniósł, wyzywająco mierzył oczyma obu Krzyżaków. - Zali nakaz zbrojenia do wszystkich komturów już dotarł? Wy, bracie kapelanie, mieliście się o to postarać. Prawdę rzeczcie.

- Na Pomorzu zbrojne oddziały po zamkach już stoją. Nowe przybywają bez ustanku. Gorzej w innych komturiach, które zaciężnika z Krakowa miały otrzymać, za wielkie pieniądze, które przepadły przez Piotra z Wikliny, Maryjo Panno daj mu najszybsze skonanie. Dopiero niedawno posłano nowe sumy dla komtura starogrodzkiego, co z Szafrąncem pakuje... Część zamłców słaba, umocnienia zrujnowane, nie wszędzie komturzy dość się krzątają przy murach...

- Mieli wysłannicy komturii być dniem dzisiejszym w Malborku, na zlecenia pilne czekając? Są wszyscy?

- Są, bracie dostojny,. łaskawość Maryi Panny wszystkim im przybyć raczyła zezwolić...

- Zmilknij, na modły czas przyjdzie później! Z Brandenburgii i Saskich krajów zaciągi czy idą?

- Mizernie, mniejszy już wszędy zapął do walki o święte prawa naszego Zakonu. Jeszcze papież Mikołaj V krucjatę przeciw Turkom na odbicie Konstantynopola gotuje... Rycerstwo i żołdak najemny łakomiej w ową stronę spogląda niżli na pruskie kraje...

Prokurator zerknął na dłonie wielkiego mistrza, wpięte w poręcz karła i struchlał. Dłonie te, wychudłe, szponiaste, nabrały teraz barwy świeżo spadłego śniegu, jakby krew z nich wyciekła do ostatniej kropli. Eberhard von Kynsburg zaprzestał swych kocich kroków po komnacie, przystanął, nie chcąc niczym ściągnąć na siebie gniewu brata Ludwika.

- Dalej! - kłaśnięciem głuchym przeleciał przez kapitułarz nakaz wielkiego mistrza.

- W górnych Prusach, szczególnie w całej Sambii, spokojnie. Nieliczni jeno ze szlachty zamierzają wyruszyć na zjazd grudziądzki. Komturowie wszystko uczynią, aby nie przepuścić nikogo. W Królewcu ciągiem Knipawa bunt robi. Stare Miasto przeciw

Związkowi trzyma. Odciąć trzeba kraj za Pregołą od wpływów związkowych. To się winno nam udać.

- A warmijskie biskupstwo?

- Tam różnie. Mniejsze miasta przeciwko nam wszystkie, jeno boją się to głośno objawić. Pod nieobecność biskupa wierna nam kapituła porządku strzeże.

- Pomezania?

- W niej Sandra Bażyńskiego i Segenanda są ludzie. Mało więc kto ruszy w grudziądzką drogę.

- Pomorze?

- Przeciw nam całe stoi. Gdańsk wszystko tam w rękach trzyma. Tyle, że Postor wiedzie mądrą politykę ze swej komturii, zapewniając o możliwości porozumienia i nadzieję czyniąc na ustępstwa ze strony Zakonu...

Zapadło milczenie. Kapelan patrzył na ogromny krucyfiks pod ścianą przeciwległą Ludwikowemu karłu. Prokurator cofnął się w ocienioną część komnaty.

- Zlecenia szczegółowe dzisiejszym dniem jeszcze przelazane być mają wysłannikom komturii. Za nieposłuch, niedopilnowanie umocnień dla obrony karać będę, nie bacząc na dawniejsze zasługi. Rzec im to trzeba. Prusy północne konieczne jest odciąć, przegrodą oddzielić od reszty kraju. Żadną miarą nie można tam dopuścić buntowniczych wpływów. Na Warmii i Pomezanii złotem i zaszczytami co znaczniejszych obrzucić, byle nie stawali tylko przeciwko nam.

- Ze szlachtą łatwiej, z miastami cięższa sprawa - wtrącił kapelan.

Wielki mistrz nie zwrócił uwagi na jego słowa.

- Pomorze ciągle niepewne, po której stanąć ma stronie. Na Gdańsk się patrzą. Żle się stało, że Jordan w niewolę był pojman, nie wiedzieć, jak będzie teraz stawał we Wiedniu. Gotów przychylić się na związkową stronę... I z całym tym napadem szum powstał zbyt wielki, bracie prokuratorze.

Prokurator drgnął. Pytająco spojrzął na wielkiego mistrza, zauważył cichym głosem:

- Wedle woli dostojnego brata się stało.

- Dobrze się stało, tylko że rozgłos za wielki. Uciekła połowa, między innymi ów Tieleman jadowity i Gabriel Bażyński, jeszcze ranien w dodatku. Cesarz musiał proces przełożyć, kto wie, czyli pewność wygranej nie zmieni się przez ten czas. Gwałt ponieśli uciekinierzy po świecie, co gorsza, że po posłuchaniu lipcowym król Kazimierz pisma słał do cesarza i do króla węgierskokoczeskiego w oburzeniu na pogwałcenie praw legatów związkowych. Jam także pismo królewskie otrzymał. Propozycje mi tam król czyni, że

mediować pragnie w sporze Zakonu z poddanymi, prośbę stanów za słuszną i sprawiedliwą uważa, na pokój brzeski się powołuje...

- Wiadomość o tymże piśmie śmiałości właśnie im takiej dodała, że się ważą na zjazd zbrojny w Grudziądzu... - prokurator odzyskał pewność siebie.

- Słusznie rzeczesz. A skąd się wzięło to wszystko? Z niezdarności owego Miltitza! Ty żeś to, bracie, miał w swej opiece.

- Kto mógł się spodziewać? Komtur starogrodzki z Krakowa pilnował sprawy morawskiej.

-2le pilnował, rzekłem raz. I tyś, bracie, źle takż pilnował.

Spoza zamkniętych ust wychudłego kapelana dobył się znowu ów cichy, złowieszczy chichot. Eberhard von Kynsberg zaprzysiągł zemstę na klesze zakonnym.

Nie odpowiedział na słowa wielkiego mistrza. Ten zamyślił się, spytał.

- Kędy teraz przebywa Piotr z Wikliny?

- Tyle nam wiadomo, że przed trzema niedzielami, * zaraz w początkach lipca, z Wiednia wyjechał. Nie było wieści, by kędyś w Prusach przebywał.

- Sam znać da o sobie... Miał go w swym ręku Henryk von Plauen, psi los dopomógł szlachetce takż tym razem. Żmija ów Piotr, kąsać umie. Jako to w Krakowie wszystkich ubiegł, pogoń zmylił, wielki grosz wyrwał, zaciągi nasze opóźnił.

- Nie był sam jeden. Ów Sandor z Czerwi, co go zwą Wielkim, ponoć najbardziej palce maczał w całej historii. I jakowyś polski szlachetka, co u Miltitza takż w niewoli siedział...

- Donosił ^wszak starogrodzki komtur z Krakowa, jako ów Pieniążek, czy jak go zwać, rotę szykuje, związkowym w pomoc zamyśla z nią ruszać - dorzucił kapelan.

- Piotra z Wikliny trza tak jak Bażyńskiego ze. świata usunąć - twardo rzekł wielki mistrz.

- Amen - kapelan złożył ręce jak do modlitwy.

- Przemyślcie to, bracie prokuratorze.

- Ostawiłbym rzecz wielkiemu szpitalnikowi, jak z Wiednia powróci. Oni już dawno znajomi ze sobą, a tuszę, że na dworze cesarskim zaprzyjaźnili się jeszcze serdeczniej... - złośliwie zadrwił prokurator niborski.

I znów zapadło milczenie, bardzo długie tym razem. Przez otwarte okno wpadł do sali duży, ciemny motyl, przerażony mrokiem obijał się niespokojnie o ściany, nie mogąc odnaleźć wyjścia. Trzej mężczyźni śledzili za nim wzrokftfm. Zmęczony motyl przysiadł wreszcie na prawym ramieniu krzyża, to składał, to znów rozpościerał skrzydełka.

Wielki mistrz powstał z karła, szybko podszedł do krucyfiks, wyblakłą i chudą dłonią sięgnął po motyla, zmiął go w garści. Potem powoli rozwarł rękę, spoglądając na szczątki stworzenia, które tak beztrząsowo fruwało przed chwilą w powietrzu. Ciemny pył rozmazał się na śnieżnobiałej skórze dłoni Ludwika von Erlichshausena. Z westchnieniem strzepnął szczątki motyla na ziemię, otarł dłoń o rękaw zakonnego stroju.

- Gdybyż tak się dało zgnieść Związek Pruski... Opuścił głowę, jakby w wielkim strapieniu. I tak stojąc, przygięty nieco w plecach, ze zwieszoną głową, cichym, bardzo cichym głosem dorzucił:

- Boję się owego zjazdu w Grudziądzu... nie jesteśmy wcale gotowi, gdyby miecz trzeba było wydobyć...

Nie spoglądając więcej na kapelana ani na niborskiego prokuratora, wolnym krokiem wyszedł z sali. Ciężki jedwabny płaszcz włókł się za nim po ziemi.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Przy jedynej drodze wiodącej od miasta do zamku grudziądzkiego całe dni gromadziło się kupami pospólstwo, oczekując na stronników Zakonu szukających za murami schronienia. Zapowiedź zbrojnego zjazdu związkowców w Grudziądzu, słuchy o zarządzeniu przez wielkiego mistrza przygotowań wojennych we wszystkich komturiach, pogłoski o przekupieniu cesarza i stąd stronnictwym popieraniu przez niego w procesie strony krzyżackiej - wszystko to podniecało jeszcze bardziej i tak już żyjących jak w gorączce mieszkańców miasta. Nadarzała się okazja do wyładowania żywiołowej do Zakonu nienawiści.

„Paniczny lęk ogarnął sprzymierzeńców krzyżackich w miastach i po sadybach szlacheckich. Najbardziej strachliwi ściągnęli z całej Pomezanii, uwożąc rodziny i co cenniejszy dobytek. Zabezpieczenie widzieli jedynie poza zbrojnymi murami. Komtur, sam strwożony, chcąc nie chcąc brać musiał pod opiekę tych mało odważnych swych sprzymierzeńców.

Przejazd przez miasto czy wokół jego murów do głównej bramy zamkowej stawał się ciężką próbą. Kilku ze szlachty, widząc co się dzieje, zrezygnowało nawet z usiłowań dostania się pod opiekę komtura i z duszą na ramieniu zawróciło do swoich siedzib. Inni tym skwapliwiej upatrywali wybawienia pod krzyżacką opieką.

W tłumie przy drodze kłębiło się najwięcej wyrostków, młodych terminatorów i czeladników, wszelkiej gawiedzi, jakiej nie braknie w żadnym mieście. Przychodzili czasem robotnicy portowi, piaskarze i przewoźnicy prz*z Wisłę. Wylęgały ciekawe kobiety. Tłum

bawił się świetnie, rozpoznając znajomych, znajdując okazję do wypomnienia grzechów butnym zawsze szlachcicom. Burmistrz miasta, mając rozkazanie Tajnej Rady związkowej, by nie dopuścić do żadnych gwałtów, zmuszony był wysłać na drogę kilka oddziałów trabantów. Żołnierze strzegli przed gwałtem, ale bawili się strachem uciekinierów, nie protestowali, gdy z tłumu leciały na nich grudy ziemi, przegniłe owoce czy wyschłe łąjno, wyzwiska zaś nie znajdowały miary.

Tego ranka, w przeddzień samego zjazdu gdy Grudziądz zaroił się już od licznych nieznanych a zbrojnych gości, szlachty i mieszczan, na drodze wiodącej do krzyżackiego zamku nie pokazał się jeszcze żaden z uciekinierów. Tłum, przyzwyczajony w poprzednich dniach do wesołej zabawy, niecierpliwie wypatrywał na drogę. Nikt jednak nie pojawiał się na niej. Słońce sierpniowe dopiekało, lato bo było tego roku piękne jak rzadko, gapie pokładli się w rowach, po brzegach drogi, sypały się grube żarty, echem dalekim niosły się wzajemne prześmiechy. Do pospólstwa dołączyło się trochę skromnie odzianej drobniejszej szlachty, dumnej ze swych zardzewiałych już mieczy, zwisających u pasa.

- O, jest jakiś krzyżacki pacholek - okrzyk młodego czeladnika podniecił wszystkich. Zrywali się z miejsc, wyciągali szyje, radzi nowej ofierze.

- Strach go zdjął, stoi w miejscu, patrzy, jakby przewinąć tu między nami.

- Gładko odziany, wraz przybrudzim mu trochę kubraka!

- A bywaj że, bywaj, bo nam markotno tu samym.

W ogólnym gwarze nawoływania nie dobiegały do człowieka, który siedząc na koniu z niepokojem obserwował zebrany przy drodze tłum. Tuż za nim przystanęła ładowna fura, zaprzęzona w dwa konie. Widniało na niej kilka głów, również wypatrujących w stronę zamku grudziądzkiego komtura.

- Hejże, to Herman Stautt - syknął ktoś nagle.

- Herman Stautt! - miast okrzyków pobiegły przez tłum szepty nabrzmiałe złością.

- Szpieg krzyżacki, niejednemu już on dogodził!

Przed innych wyskoczył jakiś biednie ubrany szlachcic, zamachał rękami, wołał:

- Był w Związku, podatnikiem w naszym okręgu, nazwiska podawał Krzyżakom...

Przed miesiącem dopiero wyszło na jaw, że jego ręką robione były odpisy nazwisk znoszone na zamek. Żmija to, pies parszywy... Nie przepuścim, wybiła ostatnia jego godzina.

Wyciągnął miecz, wywijał nim w powietrzu.

- Na pohybel! Na drzewo go, do Wisły! - pobiegły wołania.

Zaniepokojeni okrzykami rotmistrze trabantcy biegli do zaciężnych, podrywając ich z ziemi, na której rozsiedli się przy grze w kości.

- Nie wołajcie, bo się zestraszycie! Cichajcie, puśćcie, niech jedzie - przestrzegał oberwany obwieś ze szramą na czerwonej gębie.

Ucichło. Tylko nabiegające złością oczy wpatrywały się w stojącego ciągle na miejscu jeźdźca. Nasłuchiwał gwaru, ale że wiatr dął z przeciwnej strony, nie mógł rozróżnić słów, nie pojął też widać, że skierowane są przeciw niemu. Gdy nastała cisza, wziął ją za dobry znak, skinął na powożącego furą, powoli ruszyli drogą wiodącą do zamku.

Oczy szlachcica, który pierwszy dał hasło przeciwko Stauttowi, błyskały ponurym ogniem. Przesuwał się cichaczem od grupy do grupy, podzegał, wypominał krzywdy wyrządzone przez szpiega.

- Brata mojego do więzienia wsadził, ledwie go stamtąd za ćesztę mienia wydobył po sześciu miesiącach...

- Przeciw wdowom powstawał - przechylał się do uszu innych, znowu posuwał się dalej.

Niektórzy zadziwieni słuchali tych objaśnień, inni kiwali potakując głowami. Stautt, skromny szlachetka, od dwu lat był członkiem Związku Pruskiego. Wybrano go nawet wraz z paru innymi na podatnika przy zbieraniu funduszy na opłaty sądowe. Nikt go nie podejrzewał o sprzyjanie Zakonowi. Wiadomości dostarczał do Elbląga albo Gniewu. Przed miesiącem ujawniły się jego znoszenia z Zakonem. Nie wszystko było pewne, chwilowo więc poprzestano na usunięciu go ze Związku. Stautt zaszył się gdzieś, w lęku obserwował rozwój wydarzeń, szykował się do ucieczki na Dolne Prusy, gdzie związkowi nie byli tak silni i można było nie obawiać się zemsty z ich strony. Postanowienie zjazdu grudziądzkiego zapadło nagle, Stautt zatrwożył się, że pociągnie to za sobą wybuch powstania, nie widział innej rady, jak schronić się pod opiekę najbliższego komtura. Wraz z żoną i dziećmi wyruszył w drogę, nie spodziewając się, że przy drodze do zamku napotka tłum ludzi.

Oczekiwano go w ponurym milczeniu. Tylko co młodsi chłopcy wierzili się przy drodze zbierając grudy ziemi i ukradkiem chowając po kieszeniach kamienie. Wóz kolebał się po drodze, nie oliwione koła popiskiwały cienko. Stautt jechał konno tuż przy wozie, łyskał na strony zestrachanym spojrzeniem. Był już blisko wielkiej gromady, musiał coś wyczuć w nastroju tłumu, zawahał się. Na ucieczkę było jednak za późno. Opuścił więc głowę, patrzył spode łba, ręce mu się pociły. Wyprzedził furę, chciał już dać koniowi ostrogę, aby czym prędzej ominąć zbiegowisko, gdy zafurczało coś nagle, gruda ziemi strąciła mu nakrycie głowy. Nie zdołał rozejrzeć się, posłyszał za sobą przeraźliwy krzyk żony, posypały się kamienie, wrogi wrzask wstrząsnął powietrzem, wyskoczyły naprzeciw niemu dziesiątki postaci. Poznał wśród nich Drwęza z Santoki, którego brat siedział w lochu za jego

wskazaniem, pojął wreszcie, co mu grozi, wbił ostrogi w boki końskie. Koń szarpnął, wspiął się w górę, ale czyjąś dłonią ściągnięty za uzdę, aż przysiadł z lęku na zadzie.

Stautt dojrzał biegnących ku niemu trabantów, sulicami roztrącających ludzi, pojął że to w jego obronie, wstąpiła weń na moment otucha, gdy kamień jakiś uderzył go w czoło. Zachwiał się na koniu, liczne ręce ściągnęły go na ziemię, słyszał jeszcze krzyk żony, wyzywanie od zdrajcy i szpiega, gwałt czyniony przez trabantów, rotmistrza błagającego o spokój, potem znowu ktoś go uderzył, posypały się ciosy pięści, zwisał bezwładnie, czuł tylko, że go gdzieś niosą, że coś kotłuje wokoło. Jakieś płaty na przemian czerwone i białe zamigotały tnu w oczach, potem już nie czuł nic, tylko szum jakiś straszny, groźny, śmiertelny...

Nie pomogli trabanci. Tłum był silniejszy, liczniejszy, bardziej rozwścieczony. Wisła płynie o dwa rzuty kamieniem. Wirujący krąg szamocących się, krzyczących, bijących się ludzi dziwnie szybko stoczył się ku rzece, ku jej wysokiemu w tym miejscu brzegowi. Tam przystanął, na moment zapadła cisza, w ciszy tej rozległ się głośny plusk, olbrzymia wrzawa zagłuszyła już potem wszystko. Krzyżacki szpieg zanurzył się głęboko pod wodę, wartki w tym miejscu prąd wyrzucił go jeszcze raz na powierzchnię, zakotłowało się coś i Herman Stautt na zawsze zginął sprzed ludzkich oczu.

Wtedy dopiero nastąpiła na brzegu śmiertelna cisza. Zatroškany rotmistrz szarpnął węża, spojrzał po zaciężnym tłumie.

- Miało się obyć bez gwałtów. Zakaz był - rzekł głośno, phociaż bez wiary w głosie. Poziem wezwał swoich trabantów, zawrócił z nimi w kierunku drogi.

Stała tam jeszcze fura z krzyczącą przeraźliwie żoną utopionego szpiega i kilkorgiem dzieci. Najstarszy chłopak, lat może szesnastu, gryząc wargi patrzył ponuro dokoła. Potem nie bacząc na zawodzenia i rwanie włosów z głowy przez matkę, wściekłym trzaśnięciem bicia poderwał konie z miejsca, wóz potoczył się w stronę zamku.

Nikt nie gonił za furą, nie poleciały za nią żadne kamienie. Tłum nawet w gniewie umiał uszanować kobietę i dzieci. Tylko liczne spojrzenia odprowadzały zbliżający się do bramy zamkowej pojazd. I w żadnym spojrzeniu nie było cienia litości.

Szept cichy, szmer dziwny wtedy dopiero przeleciał po samozwańczych sędziach, gdy ujrzeli, jak najstarszy syn straconego szpiega, już we wrotach zamkowych, odwrócił się nagle, stanął w całej wysokości na furze i zaciężną pięścią długo, długo groził zebrany na drodze i nad brzegiem Wisły zabójcom swego ojca... Z murów zamkowych spoglądali na to inni uciekinierzy, żołnierze i krzyżaccy rycerze. Brama zawarła się za furą ze złowrogim, donośnym skrzypem.

Wtedy tłum, jakby powodowany jedną myślą, grupami zawrócił do miasta. Z tyłu za wszystkimi szli trabanci, nie widząc już potrzeby dalszej straży przy drodze zamkowej...

Od trzech dni ulice i rynek Grudziądza przedstawiały niecodzienny widok. Wszędzie tłoczyli się zbrojni szlachcice i mieszczanie, maszerowały rotty żołnierzy czy zbrojne orszaki co znacniejszych rycerzy. Przez bramy miasta wciąż nadciągali nowi przybysze. Samej tylko szlachty i mieszczan ziemi chełmińskiej liczone kilkadziesiąt, licznie również stawiała się Pomezania i Pomorze. Szlachetny rycerz Jan z Jani przywiódł potężny orszak zbrojnych. Niemniej okazałe zajęchał ze swymi zacieźnymi zastępujący w Krzykosach bawiącego w Wiedniu sędziego Jakusz z Trumni. Towarzyszył mu stary wojak Jarosz Topola, w którego wstąpiła młodzieńcza werwa na widok tyłu zbrojnych. Nawet dzierzgońskie i elbląskie było licznie reprezentowane, także z Warmii, mimo wszelkich prób kapituły, by wstrzymać związkowców, zjawiała się spora ilość przedstawicieli. Mało było tylko Dolnoprusaków. Ci, którzy przybyli, opowiadali, jak na zlecenie i pod osobistą pieczę podskarbiego Eberharda von Kynsburg siłą utrudniano im drogę. Tylko oddział dzielnicy królewieckiej, buntowniczej Knipawy, przebył drogę bezpiecznie, ale liczył też - blisko stu ludzi. Wszystko to przewalało się ulicami, zalegało miejskie gospody, w których brakło już miejsca, nocowało pokotem w gościnnych domach mieszczkańskich, podniecało się wzajemnym widokiem, gotowe było choćby tej chwili ruszać na krzyżackie warownie.

Ciekawi wylegli nad Wisłę, gdzie stały statki wiślane, na których przybyły nowe oddziały zacieźne. Sprytna rada miejska Grudziądza wykorzystwała zjazd dla cichego zwiększenia własnych sił obronnych. Nikt przecie nie wiedział, czy wyładowujące się ze statków dziesiątki zbrojnych są tylko uczestnikami zjazdu, czy też stanowią stałą załogę.

Kupcy grudziądzcy, radzi ruchowi, wystawiali na sprzedaż towary, nawet bursztyn, którym handel zastrzeżony był wyraźnie dla samego Zakonu. Czuli się teraz bezpieczni, wesołym i buńczucznym nastrojem szumiało w ciasnych uliczkach starego Grudziądza.

Krażyły najróżnorodniejsze pogłoski, nie pomagało przeczenie im przez bardziej obeznanych, stłumione w jednych miejscach, z niemiejszą siłą ożywały w drugim. Iytówiono o tym, że w Grudziądzu obwołany zostanie wybuch powstania, bo proces podobno już został przegrany, ale król polski Kazimierz zadeklarował pomoc Korony; szeptano, że część komturów sprzeniewierzyła się wielkiemu mistrzowi, jak to już kiedyś było przed laty, i zaczęła na własną rękę prowadzić układy ze Związkiem. Jeszcze inni dowodzili z całą pewnością, że Gdańsk pierwszy zrzucił jarzmo krzyżackie, że wyrżnięto tam w pień zakonną załogę, ciało zaś komtura Postora zwisa z miejskiego pręgierza.

Tym większą wrzawą i radosnymi okrzykami powitano delegację gdańską nadjeżdżającą już pod wieczór dnia poprzedzającego termin zjazdu. Kilkunastu bogato ubranych, poważnych mieszczan jechało w otoczeniu półtorasta uzbrojonych od stóp do głów trabantów. Wiwaty na cześć Gdańska poniosły się daleko na miasto, wzbudzając nowy atak trwogi w zamkniętych w swoim zamczysku zakonnym rycerzach i ich poplecznikach.

Ostatnia noc minęła wesoło, w podnieceniu i wielkim rozgwarze. Mieszkańcy Grudziądza urządzili prawdziwe święto, zwieszając z żelaznych uchwytów kapiące smołą pochodnie. Piwo lało się w gospodach całymi beczkami, nie znani sobie ludzie zawierali dozgonne przyjaźni, chwiejnym krokiem odmierzali niechlujne ulice miasta.

Na ratuszu bez przerwy obradowali przedstawiciele Tajnej Rady. Zjazd grudziądzki pomyślany był jako przegląd sił Związkowych i jednoczesna manifestacja przeciw Zakonowi. Naczelnym jednak wskazaniem Rady było, aby nie dopuścić do żadnych gwałtownych wystąpień, aby zjazd minął w całkowitym spokoju. Należało też położyć kres rozmaitym pogłoskom, kursującym po kraju, przesłaniającym prawdę wielkiego sporu poddanych z Zakonem.

Tak nadszedł ranek dnia dziesiątego sierpnia, jasny, rozświetlony, ciepły i niosący za sobą wielką nadzieję.

Na obrady wyznaczono rynek przed ratuszem. Rynek, pamiętny dla mieszkańców miasta i pruskiej ziemi, tu bowiem przed z górą czterdziestu laty, około 1411 roku, na rozkaz wielkiego mistrza, bez sądu ścięty został Mikołaj z Ryńska*. Tego dnia uprzątnięto stąd wszystkie kramy, pacholkiwie ratuszowi wymietli uklepaną ziemię z od dawna nie sprzątanym śmieciem. Od samego rana roiło się tutaj i huczało jak w ulu przed wylotem nowego roju. Ale nastrój był inny niż w poprzednich Mikołaj z Ryńska, chorąży chełmiński, jeden z czterech założycieli Towarzystwa Jaszczur czego w 1397 r. Na polu bitwy pod Grunwaldem Mikołaj z Ryńska poddaje się bez walki Władysławowi Jagielle pociągając za sobą całe rycerstwo chełmińskie, nie chcąc walczyć przeciw Polsce po stronie krzyżackiej. Po zawarciu pokoju toruńskiego w r. 1411 Mikołaj powraca w rodzinne strony, ale pod fałszywym zarzutem udziału w spisku komtura Wirsberga przeciw wielkiemu mistrzowi Plauenowi zostaje przez tego ostatniego uwięziony i zamordowany bez sądu w maju 1411 r. Jedna z najpiękniejszych, a mało znanych postaci w dziejach polskości na ziemiach pruskich, (przyp. aut.) dniach oczekiwania. Bez troską wesołość zastąpiła powaga i zrozumienie znaczenia chwili. Trafiły już teraz wszędzie zlecenia Tajnej Rady, aby zjazd przebiegł w spokoju i z zachowaniem wszelkiej godności. Ostro potępiono pospólstwo i niektórych ze

szlachty za utopienie Hermana Stautta, nie bacząc nawet na to, że pomieniony był szpiegiem krzyżackim.

Szlachta i mieszczenie zgodnie kupili się obok siebie. Oczekując na początek obrad zjazdowych dzielono się nowinami.

- Cegenberg wyrzekł, że jeśli wojna wybuchła, on się na zamek radzyński udaje, obroną jego będzie kierował, jako to czynił ongiś...

- Zrobić by z nim jak z owym Stauttem! Nie wiedzieć, który z nich gorszy. Przecie Cegenberg gościem bywa wielkiego mistrza, dobrze mu znajomy malborski zamek... - rozprawiali mieszczenie toruńscy.

Stojący obok szlachcic zasapał gniewnie:

-/takiego starostą Związku zrobili. Cud jeden, że się na nim wrychle poznano. Na zamek radzyński chce iść, niecnota... A nas komtur z Nowego Miasta w gościnę ostatnio prosił, ucztę gotował. Strach go obleciał, bo zamek nie obwarowany, biesiadą pragnął przekupić, cha! cha! cha! - zaśmiał się szlachcic, przewinął przyjaznym spojrzeniem po twarzach zaciekawionych torunian.

- Nasz komturzysko nie byłby się nawet odważył zapraszać - zaśmieli się.

- Wszędy to samo. W Tczewie a Pucku poczęstunek czeka na gorliwych... Tyle, że się jakoś nie pchają... Ale cichajcie, cichajcie, któż to na ganku stanął?

Wyciągali głowy, patrzyli na ratuszowe stopnie, u szczytu których stał szlachcic średniego wzrostu, czarniawy, przestępujący z nogi na nogę, jakby w niecierpliwości. Za nim ukazało się jeszcze parę osób.

- Toż to Głazewski Szymon, sędzia chełmiński. Twardy człek... - w głosie zabrzmiało uznanie.

- Cichajcie, cichajcie, mówić chce.

Zacichający szmer przeleciał jeszcze falą po morzu głów, wypełniającym grudziądzki rynek, nastąpiła cisza. Tylko stadko gołębi, jakby spłoszone nagłym milczeniem, sfrunęło z ratuszowego dachu na pobliskie kamieniczki rynkowe: Głazewski, rycerz szanowany powszechnie, oznajmiał cele zjazdu. Oto walka Związku Pruskiego, legalnie powstałego przed trzynastu laty za potwierdzeniem wielkiego mistrza, nabrała obecnie na sile. Zakon pragnie odebrać wszystkim stanom posiadane wolności, w sądzie i handlu, w prawach i pradawnych przywilejach. Przed sądy papieski, a teraz cesarski wyciąga wielki mistrz wewnętrzne sprawy, przy pomocy uznanych powag pragnie pognać konfederację, zaprzeczając jej praworządności i prawomocności, zakazując swobody obrony przed zakonnym bezprawiem. Zebrali się, aby ukazać siłę związkową. Niechaj te miecze, niechaj

łuki i kusze okazały, że Związek to siła, z którą trzeba się liczyć... Proces przed cesarzem toczy się w Wiedniu. Posłowie zostali uwięzieni i obrabowani, papiery zabrane, fundusze skradzione...

- Hańba, hańba - grzotem przeleciał krzyk tysięcy zebranych.

Szymon Głazewski uniósł rękę do góry. Ucichło.

- Związek Pruski pragnie zachowania pokoju, załatwienia w ugodzie powstałych sporów i potwierdzenia słuszných praw stanów. Jeśli zgadzamy się na sąd cesarski, to jeno, aby okazać najlepszą naszą wolę. Cesarski wyrok, jaki by nie był, nie jest prawem sam z siebie, boć cesarz, jako to i Zakon uznaje, nie legalnym jest sędzią, jeno tylko rozjemczym... Wszakóż dobrą wolą ożywieni, pragniemy okazania takowej przez wielkiego mistrza i Zakon. Kazimierz, król Korony polskiej, w lipcu posłom naszym wiadomość dał o piśmie, jakie do wielkiego mistrza skierował, proponując rozjemstwo.

Poruszenie, jakie nastąpiło po tych zdaniach, świadczyło najlepiej, że doceniono wagę oświadczenia jednego z najbardziej poważanych przywódców Związku Pruskiego. Z góry zaprzeczył bowiem potrzebie respektowania cesarskiego wyroku, a jednocześnie podkreślił wagę rozjemstwa ze strony Polski. Ciche szepty rozlegały się coraz to w nowych miejscach, mniej już zważano na dalsze słowa Głazewskiego. Jedno tylko jeszcze wzbudziło zastanowienie, gdy szlachcic wyraźnie oświadczył, że Związek nie pragnie wojny, że chce uniknąć przelania krwi i będzie wiódł rokowania z Ludwikiem von Erlichshausen... Wobec setek zbrojnych przedstawicieli Związku, jacy zalegli miasto, oświadczenie to dziwnie brzmiało. Kręcili więc niektórzy głowami, w końcu uznali, że tak widocznie trzeba było powiedzieć... fam w Radzie Tajnej wiedzą przecie, co robią...

Gwałtowny, przyjazny krzyk witał potem wystąpienia i relacje składane przez uczestników głośnych ostatnio, dramatycznych wydarzeń. Największe wiwaty podniosły się, gdy obok kilku poważnych starszych związkowych ujrano Piotra z Wikliny i Jana z Turzy, o których wiadano, że brali udział w poselstwie do Wiednia.

Jan z Turzy zmizerowany był, blady, ledwo się trzymał na nogach. W zamarły w napięciu tłum rzucał opowieść o napadzie morawskich rycerzy trudniących się łotrzykostwem, opowiadał o niewoli w zamku Miltitza i uwolnieniu na interwencję króla Czech i Węgier... Tydzień dopiero, jak przybył wraz z towarzyszymi na pruską ziemię... Oświadczył jeszcze, że są jawne dowody, jako morawscy zbóje podmówieni zostali do napadu przez Zakon... Zaginęły pieniądze, dary bogate, co zaś najgorsze, papiery wszelkie i dokumenta.

Nie pomogło podniesienie przez starca obu rąk do góry, hałas wywołany wzburzeniem nie ustawał. Zakotłowało się na rynku, zamigotały w powietrzu wyciągane z pochew miecze, zabłyśły ostrza kopii, zadrgały zaciśnięte z wściekłości pięści.

- Na zamki, wyżenąć krzyżackich rycerzy!...

- Niech Korona nas bierze w opiekę!...

- Na pohybel wielkiemu mistrzowi!

Potem Piotr z Wikliny z upoważnienia tych posłów, którzy uciekwszy zbirom przybyli z nim razem do Wiednia, składał relację z rozmów przed obliczem Fryderyka III. Cesarz przełożył proces na dwanaście tygodni i sześć dni. Uznał też prawo Związku do posiadania obrońcy prawnego, ponieważ należy się on Związkowi jako stronie, Krzyżacy od razu na wstępie żądali bowiem uznania konfederacji za organizację nielegalną... Nie zakazał też cesarz prawa związkowców do dalszego zbierania podatków na koszt procesu.

Wysłuchano jeszcze Jakusza ze Świętego i Jerzego Rebera, którzy złożyli relację z poselstwa do króla polskiego z prośbą o interwencję celem uwolnienia posłów, która to interwencja, jak wiadomo pomogła. Król polski wystąpił też wtedy z propozycją rozjemstwa w sporze wielkiego mistrza i jego poddanych.

Ta wiadomość wzbudziła najżywszą radość. Wiara w potęgę Korony była tak mocna, niektórzy już samą chęć mediacji królewskiej skłonni byli traktować za wygraną. Wiadomość tę z komentarzami podawano z ust do ust, upiększoną, wyolbrzymioną. Już niektórzy zaczęli nawet przepowiadać atak wojsk polskich na Zakon, a inni gotowi byli przysięgać, że król wkroczył na ziemię pruską... Wiwatom na cześć Korony nie było końca.

Zjazd zakończył się wielką manifestacją związkowców, przysięgających, że do ostatka bronić będą swych praw i nie ustaną w tej walce, choćby się wszystkie papieskie, cesarskie i inne moce sprzysięgły przeciwko nim.

Przywódcy związkowi obawiali się, aby zebrani rycerze i mieszczanie nie zechcieli wystąpić zbrojnie przeciw komturowi w Grudziądzu. Powszechny nastrój stał się jednak tak wzniosły, tak potężną świadomością własnej siły i powagi, że niegodnym się wydało zebrany napastować Krzyżaków w mizernym, nie przygotowanym do obrony zamku.

Nad wieczór co bliżej mieszkający poczuli się rozjeżdżać do domów. Tajna Rada obradowała na ratuszu bez przerwy, przyjmując delegacje poszczególnych miast i ziem, zbierając podatki, wysyłając przedstawicieli na te tereny, gdzie Krzyżacy mieli jeszcze przemożne wpływy. - Zmrok już zapadł, gdy do siedzących za pięknie rzezanym, dŁęzkim stołem przywódców związkowych, przystąpił mężczyzna starszy już wiekiem, z włosami mocno oszronionymi. Poznali go, był to Jan z Głuchowa, jeden z tych ludzi, o których w

zaczyszach domowych krążyły wieści, iż należy do jaszczurkowców. Uśmiechnął się, wyciągnął skryte na piersiach zawiniątko, odwinął lnianą szmatkę. W świetle wielkich świec woskowych, których Rada nie pożałowała na wielki ten dzień, czystym złotem zabłysła misternie rzezana jaszczurka naturalnej wielkości. Gdy ją zacny rycerz złożył na stole, zdawało się, że wraz ześliznie się z niego węzowym ruchem, zwinna i chyża. Zapatrzyli się członkowie Tajnej Rady na piękne dzieło złotniczej roboty. Burmistrz Elbląga, Wawrzyniec Pilgrim lekko musnął jaszczurkę zżółkniałymi palcami, twarz jego owinął serdeczny uśmiech.

- Na fundusz związkowy zmyśliłem cacko to złożyć... - rzekł wreszcie milczący dotąd Jan z Głuchowa.

Scibor Bażyński podniósł się z miejsca, wyciągnął dłoń do ofiarodawcy.

- Tuszę, że w skarbcu pozostanie jaszczurka ta po ostatnią chwilę. Gdyby już najmniejszego grosza nie było, tedy ją dopiero zamienim w monetę... Jaszczurka toć przecie...
- urwał wymownie.

Zebrani na ratuszu grudziądzkim starsi związkowi z uznaniem potaknęli tym słowom. Złota jaszczurka do końca już tego dnia patronowała obradom.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Jak mi miecz miły, toć to Eryk we własnej osobie! - przystanął ktoś z drugiej strony Żeglarskiej ulicy, nieopodal kościoła świętego Jana, krzyczał co siły.

Eryk obejrzał się, twarz mu się rozjaśniła. Pędem skoczył w objęcia Mikołaja Pieniązka. Uściskali się serdecznie. Stary konfederat Spytka z Melsztyna trzymał młodzieńca w objęciach, coraz to odchyłał go od siebie, zaglądał w wychudzoną, zeszczipiałą twarz, znów go ścisnął, całując szczerze i mocno. Wzruszony Eryk oddawał uściski, z zachowaniem jednak respektu należytego znakomitemu rycerzowi.

- Jak mi miecz miły, toć dopiero spotkanie! Ranom dziś przybył do waszego Torunia, niczego, godne sobie miasto. Wyszedłem popatrzeć, przewąchać: tu się zakwaterować ze swymi czy dalej w Prusy jechać? Myślę, tyżeś to, miły, czy nie ty? Zakrzyknąłem, aż się kawki porwały z wieży kościelnej. Chodźże na piwo, dobre pewnie tu będzie jak w onej Bydgoszczy, gdzieśmy z Sandorem dwie noce nieprzytomne przy dzbanach strawili.

- Tu nikt inszego krom bydgoskiego nie pija.

Skręcali w najbliższą ulicę wiodącą do rynku. Pieniązek sapał z zadowolenia, rumiany po dawnemu na gębie, pewny siebie i zadowolony z życia. Eryk również jakby się rozruszał. Ostatnie dni kosztowały go wiele, rad był z towarzystwa małopolskiego husyty. Idąc

przeciskać się musieli przez gęsty tłum, częstokroć zbrojny, gromadzący się w grupki, zawzięcie o czymś debatujący.

- Co to za zjazd u was takowy? Jakby przy oblężeniu? Gdzie spojrzysz, miecze a łuki, dzidy jakoweś i niewydarzone kopi je? Dziśże jedenasty, w Grudziądzu ponoć Związek Pruski zjazd wielki czyni od wczoraj? Czemuż tedy całe to bractwo wałęsa się po Toruniu? Myślałem, że pustki tutaj zastanę. - Przystanął, badawczo spojrzął na Eryka. - A ty sam czemuż nie w onym Grudziądzu, he? Linoskoczki swej - czekasz?

Eryk uśmiechnął się lekko. Nagle zapragnął zwierzyć się^ komuś ze swoich zmartwień, a w Pieniążku, wiedziały to, znajdzie dobrego powiernika. Zresztą on to przecie sprawił, iż mógł się spotkać wtedy z Zofijką w Krakowie. Westchnął, pomyślał, jak to dawno już było. Półtrzecia prawie miesiąca...

- Zjazd był wczorajszym dniem. Pewnie jutro powrócą już niektórzy z Grudziądza. Ciekawe, jako tam poszło, bo wieści rozmaite krążą, aż dziw słuchać... Temu i szum coraz to mocniejszy się tutaj podnosi. A już co w Nowym Mieście Toruniu się dzieje, to i powiedzieć trudno. Zamyślałem tam iść, gdyście mię zawołali...

Pieniążek wepchnął go przez szeroko rozwarte drzwi przepelnionej ludźmi gospody.

- Pójdziemy razem, jeno gardła trzeba przeczyścić i chocia paru słowami rzec, jako się każdemu z nas powodziło ostatnim czasem. Mnie bo całkiem niezgorzej. Kuchnia niczego była na owym zbójckim zamku Miltitza - zaśmiał się całą gębą, aż się oglądnęli siedzący przy stołach.

Mimo południowej godziny gospoda była pełna, cierpki zapach piwa przytłaczał. Znaleźli wolne miejsce u brzegu jednego z dużych stołów, przysiedli na ławii. Wraz zaszumiał przed nimi pieniący się napój.

- Ze mną to krótka sprawa. Wyście wraz uciekli tego samego dnia, już mi Sandor opowiedział, jakim sposobem. Z zamku wyjść było trudno, potężna forteca ów Miltitzowy przybytek. Siedzieliśmy tedy, zmiłowania czekając, bo to pieskim zaszczytem i mnie za posła pruskiego zrazu uznano. No, koniec końców, interwencja króla miłościwego pomogła, wypuścili nas zbóje... Tom do Krakowa wraz przybył, zajrzałem do swojej wioszczyny, z kasztelanem, łaskawcą moim, rozmowę miałem. Jaki taki grosz się nalazł, wraz rotę sformowałem i do was przybyłem. Ostawiłem ją podłe Bydgoszczy, razem z Sandorowymi, sam się chcę tu rozejrzeć, gdzie to może być najbardziej gorąco, gdyby na wojaczkę zeszło z Krzyżakiem. Pięćdziesiąt chłopów, jak mi mój miecz miły, jeden w drugiego, połowa stare zabijaki z dawnych czasów, szlachta z chłopów pospołu. No - pociągnął spory łyk piwa,

odsapnął, otarł wargi. - Zaiste, przednie... Gadaj teraz ty, co się działo przez tyli czas z rycerzem pięknej Zofijki, także jej na imię, hę?

Eryk skinął głową. I on właściwie niewiele miał do opowiedzenia. Po ucieczce z morawskiej niewoli, przez Wrocław i Poznań, gdzie wraz zdali relacje z przygody posłów, przybyli z Sandorem do Bydgoszczy. Wojewoda Szarlejski, który właśnie jechał na spotkanie króla, jeszcze przed piotrkowskimi zjazdami, wraz przyobiecał zajęcie się sprawą i poparcie jej u polskiego monarchy. Potem Sandor przedstawił rzecz szczegółowo członkom Tajnej Rady w Toruniu i wrócił do swojej roty.

- A ty?

- Ja? Jakiś czas siedziałem razem z Sandor owymi. Potem wszako wróciłem do Torunia. Próbowałem wywiedzieć się o moich komediantów, ale próżno, zapadli jako kamień we wodę. Tom się w domu Tielemana zatrzymał, rajca znajomy, Teudenkus, używał mnie do rozmaitych posług tajnych dla Związku. Jeździłem na Elbląg i Kwidzyn, do Hińczy z Rogowa na polską stronę... Tyle, że na życie i przyodziewek miałem, bo com ja? Ów ziemi splechetek, na którym rządca siedzi, przez komtura zniszczony, nijakiego profitu nie daje. Do krewniaka, Macieja z Turzna, miałem powody, aby nie jechać... urwał nagle, zamilkł, próżno Pieniążek namawiał go na dalsze zwierzenia.

Na twarzy chłopca malowało się jakieś zmaganie, obrażona ambicja i wstyd zarazem. Podniósł głowę, przez wymizerowaną twarz przeleciały błyski, zniżył głos do szeptu i szybko, jakby bojąc się aby nie wstrzymać jiyż tych słów, uczynił zwierzenie, z całą ufnością powierzając je sercu i rozumowi Pieniążka, którego uważał za starszego przyjaciela.

- Jeszcze w czas drogi, około Kłodzka, zgadało mi się ze stryjem o tejże Zofijce... Rzekł, że zezwolenstwa nie da na miłowanie się z linoskoczką podłego rodu. Gdym na to powiedział, że wybór już uczyniłem, dziedzictwa mi po sobie odmówił i przyjaźni, powiadając, iż jako znajomkowie jeno żyć teraz będziem... A jać go miłuję, Piotra z Wikliny, oćcem i macią moją on był, rady dawał, uczył wojackiego rzemiosła. Żał mi, bom sam teraz jako ten palec na świecie... A przecież dziewczyny nijak się wyrzec nie mogę, i, tak mi Maryjo dopomóż, nie wyrzeknę się nigdy. Co mi tam po zaszczytach i godnościach bez niej, jedynej mojej...

Pieniążek spoważniał, głęboka serdeczność biła z jego twarzy. Nawet kubek z piwem odsunął od siebie, rozejrzał się dokoła, czy ktoś nie słucha ich rozmowy, ale wszyscy zajęci byli sobą, szumiało w izbie, kto by się interesował szeptaniem młodego i starego rycerza. Położył dłoń na ręce Eryka.

- Jedno mi nie przypada w tobie do smaku, Eryk. Prawdę ci powiem. Młodyś, a jako dziad stary smętny chodzisz, wyblakły aż strach spojrzeć na ciebie. Smętkami się trujesz, wesołości w tobie za grosz. Takim sposobem życia nie zwojujesz. Co ci rzekę? Piotr z Wikliny wielki rycerz i sława mu za to. Ale w całej prawości mało pojmuje, starym obyczajem widzi wszystko dokoła siebie. Nie wiem ja, nie znam, razum jej jednego nie widział, ale z tego co wiem, widzi mi się, że owa Zofijka to prawa dziewczyna. Miłujecie się obydwójce, a wszakoż boskie przykazanie, aby się ludzie miłowali, nie bacząc, kto z kogo zrodzony. I ty się ni stryja, ni kogo innego nic nie bój. Sumienia jeno się bój własnego. Bacz, by krzywdy nikomu nie czynić. Reszta, twoja rzecz... Co czynić z dziewczyną, jako ją wyrwać spośród owej komedianckiej, szpiegowskiej gromady, przemyśleć trza. Pomogę ci... A teraz rzuć frasunki, pojrzyj na mnie, i moja dola krzywa bywała, a wszak śmiechem odpowiadam życiu na wszelkie troski. I wierzaj, tako lżej żyć...

Eryk chłonał jego słowa, oczy szeroko rozwarte wlepił w rumianą, szczerą twarz wagabundy o złotym sercu. Ale jeszcze miał wątpliwości, zapytał:

- A ze stryjcem jako czynić?

- Szacunek dlań zachować, miłować jako i dawniej, skoro człek prawy... Minie czas jaki, może pojmie, a nie, sam sobie poradzisz. Idą ciekawe dni, zasłużysz się, imię rycerskie zyskasz, inaczej pojrzą wszyscy na ciebie, nie zauważą nawet, kędy i co tam z twoją dziewczyną, pojmujesz?

- Pojmuję. Bom ja nie wiedział, co począć... Zamyślałem takóž jechać na zjazd grudziądzki, ale przed parą dniami stryj przybył z Wiednia razem z Edwinem. Jakem się zwiedział, że będzie Piotr z Wikliny w Grudziądzu, umyśliłem tu ostać. Nie chciałem mu być ciągiem na oczach...

- Toś dobrze zrobił. A Edwin kędy się podziewa?

- W Grudziądzu. Stamtąd na Warclawki, do ojca miał jechać...

Drzwi gospody pchnięte gwałtownie, odskoczyły z trzaskiem, wpadło paru ludzi wołając:

- Biegnijcie na Nowe Miasto! Pospólstwo tam tumult czyni, żądają, by im broń rada wydała, na zamek chcą iść. Ratusz otoczony, pragną siłą go wziąć, rada zamknęła się, pomocy wzywa...

- Cha! cha! cha! jeśli pomożem, to jeno tym, co są na placu... Kupą wszyscy na Nowe Miasto, kupą!..

- Kupą! - odpowiedziano.

Zrywali się wszyscy z ław, chwyтали za broń, zatupały kuoki, kto żyw bowiem rwał w stronę murów, na Nowe Miasto.

Pieniążek z' Erykiem pośpieszyli wraz z innymi, szlachcic rzucił w powietrze jakąś monetę dla gospodarza, zacierał ręce.

- Dobrzem trafił, do owego Torunia zmierzając, dobrze... Czuję, że ochota wzbiera we mnie od nowa, jak mi miecz miły! Może go zaraz i wypróbuję, swoim czasem kosztował już był krzyżackiej juchy...

Minęli rynek i dwór Artusa przy nim, skąd też sypali się ludzie, przy najbliższej uliczce zderzyli się z cizbą, wszystkimi przejściami rwącą do dwu bram, wychodzących na Nowe Miasto Toruń.

- Na pohybel Krzyżakom! - ryczały dziesiątki piersi.

Zamek krzyżacki leżał pomiędzy jednymi murami a drugimi, jakby strzegąc obydwu miast, starego i nowego. Mosty były wzniesione, wierzeje szczelnie zawarte na murach widniały przerażone twarze Krzyżaków i najemnych żołnierzy.

Jakiś szerokobary czeladnik biegnąc groził pięścią zamkowym murom.

- Wraz pokażem wam pogotowie, takie syny...

- Na gałąź weźmiem komtura!

W okrzykach była wściekłość i zacięta nienawiść. Twarze dyszały gorączką, złe słowa skapywały z warg razem ze śliną. Strażnicy na murach cofnęli się za blanki, nie chcieli drażnić swoim widokiem rozjątrzonego tłumu.

Na rozkaz wielkiego mistrza, przerażonego zapowiedzią zbrojnego zjazdu w Grudziądzu, który Krzyżacy gotowi byli uważać za hasło rozpoczęcia powstania, na wszystkich zamkach zakonnych zarządzono pogotowie bitewne. To właśnie do ostateczności rozjątrzyło pospólstwo Nowego Miasta, zawsze nieokielznane, nienawidzące Zakonu i sprzyjającej mu rady miejskiej. Widok przygotowań krzyżackich rozpałił do reszty roznamiętnione umysły. Pospólstwo Nowego Miasta obiegło ratusz, w piwnicach którego mieściły się magazyny broni, żądało jej wydania od przerażonej rady, niepewnej pod osłoną zestrachanych miejskich pachołków.

Pieniążek pomstował, rozdzielając ciosy pięściami na prawo i lewo torował sobie i Erykowi drogę ku ratuszowi nowomiejskiemu. Ci i owi protestowali, ale ustępowali na widok butnej, zadzierzystej miny szlachcica, zwalniali przejście. Czym bliżej ratuszka, tym bardziej tłum gęstniał. Były w nim nawet kobiety i małe dzieci. Przeważała czeladź i terminatorzy, od długich miesięcy wałkoniący się bez pracy, tym bardziej rozżarci na radę miejską, która bezwolnie ulegając naciskom krzyżackim nie czyniła nic dla naprawy złego.

Napierali teraz gromadami, zbrojni w sulice, rzadkie miecze, najczęściej zaś w żelazne koły lub drągi powyrywane z płotów. Na twarzach malowało się rozjątrzenie i zdecydowanie na wszystko.

Pieniążek z Erykiem docisnęli się wreszcie w samo pobliże ratusza. W oknie ukazał się zastępca burmistrza miasta, wołał o zaniechanie tumultu i rozejście się.

- Bo każę pachołkom ratuszowym, by siłą was rozpędzili, a jeśli to nie pomoże, zamkową załogę przywołam na pomoc...

Na ostatnie słowa tłum zastygł, słuchał wyczekująco, tylko ironiczne skrzywienia przebiegały po wychudłych, zmęczonych twarzach.

Mówił coś jeszcze, ale nikt już nie słuchał. Rozjątrzeni mieszkańcy Nowego Miasta przeraźliwym krzykiem i wygrazaniem pięściami zagłuszyli dalsze słowa. Zakołysały się w powietrzu sulice i nieliczne miecze. Na mury ratuszowe, w okno, z którego wyglądał jeszcze wybladły reprezentant władzy miejskiej, posypały się kamienne i cegły.

Stopnie ratusza były wolne, stanowiły jakby linię przedzielającą od bramy miejskiej groźny, pęczniejący wzburzeniem tłum. W tej chwili główne wejście do ratusza rozwarło się, wypadła z nich gromada pachołków z halabardami i mieczami w dłoniach. Przystanęli, niepewni i zmieszani spoglądając na morze głów przed sobą. Nagła cisza, jaka na ich widok zapanowała pośród zebranych, pękła w strasznym krzyku, chmura kamieni i cegieł sypnęła na ratuszowych pachołków. Ci w odpowiedzi ławą runęli naprzód. Rozległy się jęki, ktoś padał, migwały w powietrzu miecze i halabardy, częstokroć odpierane tylko drewnianymi drągami. Tłum cofał się, gdy nagle przedarło się przezeń kilkunastu zbrojnych, z wysokim człowiekiem w baranicy na czele.

- A lać psubratów, lać zdrajców! Huzia!

- Huzia! - podjął okrzyk następujący za nim niższego nieco wzrostu młody człowiek.

- Huzia! - poparła grupa dalszych zbrojnych.

- Jak miecz mój miły, ja im, takim synom, pługa wcom! - za wrzasnął Pieniążek, parł przeciw pachołkom, zaraz ściał się z jednym, ostrym pchnięciem wytrącił mu halabardę z dłoni, wtedy ciął płazem na odlew, aż tamten z wrzaskiem runął pod nogi walczących.

- Bratek, on to - rozjaśnił się Eryk, poznając niedźwiedziowatego przywódcę grupy, sam runął w zmagającą się cizbę.

Pachołkowie cofali się, gęsto zaścielając ratuszowe schody. Atakujących przybywało.

Pierwsi pachołkowie wpadli za drzwi, nie zwracając uwagi na towarzyszy zawierali je za sobą, w strachu okrutnym kryli się za masywne podwoje.

W oknach ratusza zamajaczyły przerażone twarze radnych miejskich. Poleciał w ich stronę grad kamieni.

- Czego chcecie? - znów głos wiceburmistrza.

- Nowej rady!

- Broni!

- Ciebie, diabelski pomioście! - buchnęły w odpowiedzi różnorakie, wściekłe okrzyki.

Zastępca burmistrza cofnął się. Zniknęły i pozostałe twarze.

Przewodząc teraz ruchawce, Bratek ze swymi przyciągali skądys potężną belę, niby taranem równomiernie walili nią w drzwi wejściowe. Z przeciwległej strony rozległy się przerażone wołania, wierze je zaczęły trzeszczeć, stary Bratek wyklinał całym gardłem:

- Ha, pieskie nasienie, parobki krzyżackie, ostatnia wasza godzina...

- Biała chusta, biała chusta - rozległy się nagle wołania. - Paktować chcą, paktować!

Strzymajcie się...

Zastępca burmistrza machał w powietrzu wielką chustą, gdy ucichło, zawołał:

- dwoicie nam wyjść z ratusza! Potem będziem paktować...

Śmiech przywitał jego słowa.

- Ach ty psie, hyclu załgany!

- Dość gadania, w nich, w gadów!

Zabrzmiało granie trąbki, obwieszczającej zbliżanie się władz miejskich.

- Von Loe, burmistrz Starego Miasta, von Loe.

- Spokojnie, spokojnie, słuchać burmistrza Starego Miasta.

Kilka osób gwałtownie przeciskało się ku ratuszowi. Poznano burmistrza Starego Miasta Torunia, obok niego Konrada Teudenkusa, kilku jeszcze innych co znamienitszych członków rady a zarazem przedstawicieli Związku Pruskiego. Burmistrz z wysiłku był czerwony na twarzy, szybko biec musiał do przyległego miasta.

- Zwólpie nam wyjść z ratusza! Potem będziem paktować...

- Drodzy mieszczanie Nowego Miasta Torunia. Nie czas na zwady i tumulta. Co znamienitsi radzą za nas w Grudziądzu. Związek da odpowiedz co trzeba czynić...

- Krzyżacy w pogotowiu wojennym - zaprotestowano.

- Wiemy o tym. Ale i my gotowi. Jeno przed czasem nie poczynać. Sił wszystkich próbujem w układach. Zacz nam bezmyślnie kraj na ruinę, pozogę a kalectwa narażać? Wstrzymajcie się, cni mieszczanie.

- Rady naszej nie chcemy! Precz z radą! - zabrzmiały potężniejące głosy.

- Zwólcie tedy, byśmy weszli do ratusza i waszym imieniem przewiedli rozmowy.

Zatem rady waszej żadną miarą nie chcecie?

- Nie, nie, na pohybel jej!

- Krzyżaccy zauszniccy w niej się najdują.

- Weg mit dem Rat, weg!

Po krótkich pertraktacjach z zamkniętymi w budynku członkami rady nowomiejskiej, burmistrz Starego Torunia von Loe wraz z Konradem Teudenkusem i paru jeszcze innymi oraz kilku świadkami wybranymi spośród tłumu, wpuszczeni zostali do wnętrza.

Minuty mijały, niecierpliwość poczynała ogarniać tłum rozgrzany poprzednią walką. Stary Bratek łakomie spoglądał na drzwi ratuszowe, oblizywał spierzchnięte wargi.

Eryk przysunął się ku niemu.

- Witajcie, Bratek!

- O la Boga, toż Eryk, Piotra z Wikliny brataniec... Gorąco u nas się robi, co? Lepiej to niżli w lesie siedzieć - zaśmiał się szeroko, groźnie, aż dreszcz trwogi przejął najbliższych stojących.

- A tyżeś, Bratek, w zaciężnych przecie Starego Miasta? Któż wam dał zezwolenie tutaj przychodzić, szturm przypuszczać?

- Prawda to, ale służbę obejmuję ze swoimi dopiero od października. Teraz luzem stoim, chłopaków swoich przyuczam w robieniu bronią, już nas blisko trzydziestu w rocie... Dzisiaj mają maleńką zaprawę - zachichotał stary, zatarł ręce. - Tako się mnie wydaje, że paktowania diabli wezmą, grzać będziem nie lichy krzyżackie nasienie. A ci co tam knują na spółkę? - zaniepokoił się przedłużającymi się naradami w ratuszu.

Tejże samej chwili drzwi rozwarły się, wyszedł z nich von Loe wraz z burmistrzem Nowego Miasta i jego zastępcą. Podniósł rękę do góry, zamarł tak na chwilę, czekając na uciszenie się tłumu. Wzbudzał szacunek swoim wyglądem. Wysoki, siwy, dobiegający już blisko siedemdziesięciu lat życia, trzymał się jeszcze rześko, chód miał szparki, a głowa jego słyęła pomiędzy kupcami nie tylko Prus, ale i wielu dalekich krajów. Twardą ręką umiał utrzymać porządek w Starym Toruniu, liczył się przy tym do najzacieklejszych wrogów krzyżackich. Gdy szmery ustały, powiedział krótko, doniośle:

- Pragnąc uniknąć zbędnego krwi przelewu, przedstawiliśmy radzie nowotoruńskiej wasze żądania. Rada owa zapytuje czyż żądanie wasze jej ustąpienia jest ostateczne?

- Tak. Tak, precz ze zdrajcami!

- Weg, weg!

Jeden złowieszczy ryk ogarnął rynek. Przedstawiciele rady nowomiejskiej bojaźliwie wtulili głowy w ramiona.

Von Loe uważnie obserwował wszystko bystrymi oczyma. Naradzał się jeszcze krótką chwilę ze stojącymi obok niego przerażonymi ludźmi. Wreszcie oznajmił:

- Zatem rada nowotoruńska zawiesza swoje urządowanie. W jej miejsce rządzić będzie miastem Wydział złożony z dziesięciu osób. Dzisiaj jeszcze zostaną oni wybran/ i za waszą zgodą zasiądą w ratuszu.

- Ale my starej rady w mieście naszym widzieć nie chcemy! - tłum nie ustępował, groźnie wywijał broń.

- Weg za mury, do zamku niech idą, do przyjaciela komtura!

- Weg, weg!

Burmistrz von Loe zastanawiał się, naradzał potem znów z Teudenkusem.

- Dobrze - oznajmił. - Zatem my ich bierzemy tymczasowo w opiekę, na Stary Toruń niech się przenoszą.

- Hurra, hurra, burmistrz von Loe niech żyje! Niech żyje! Niech żyje!

- Hoch! Hoch! Hoch!

Oklaski i radosne okrzyki ponownie rozdarły ciszę. Po kilku minutach niefortunna rada Nowego Miasta Torunia opuszczała ratusz, dążąc za mury. Towarzyszyły im śmiechy i przekpiny.

U niektórych jednak zradzała się od nowa nieufność. Burmistrz von Loe wymógł od tłumy, że nie dopuszczą się żadnego gwałtu i nie będą próbowali atakować zamku komturskiego bez decyzji Wydziału w tej sprawie. Wydział miał być dopiero powołany, tymczasem zorganizowano ochotniczą ochronę ratusza. Straż objęły cechy siodlarzy i szewców, a właściwie konfraternie czeladnicze...

Ludzie rozchodzili się powoli, w części tylko nasyceni swoim zwycięstwem. Eryk dostrzegł, że Bratek z zapalem wymachuje rękami, perorując coś zgromadzonym około niego mieszkańcom. Przysunął się bliżej. Stary myśliwiec przypominał gmach mennicy krzyżackiej, położony w mieście, nieopodal murów. Namawiał, by zaatakować zakonnego mincarza* i wyżenać go z miasta. Dowodził, że nie sprzeciwia się to zakazowi burmistrza von Loe. Mowa przecież była tylko o zamku. Skry łyskały w oczach starego. Eryk był pewien, że Bratek z rozkoszą poturbowałby albo i na tamten świat wyprawił mincarza Lichtensteina i jego ludzi.

Do Bratka podbiegł rozjuszony Pieniążek, zawrzasnął:

- Na mincarza, panowie, a żywo!

- Na mincarza! - podchwycili czeladnicy i gawieź.

Przez wąskie uliczki pędem pognali wraz z tłumem do mennicy. Z daleka już była widoczna, szeroki, płaski budynek, dobrze obwarowany. Gwałt narastał, okrzyki mieszały się z sobą, coraz nowi mieszkańcy dołączali się do grupy, na której czele pędził Pieniążek wraz z Bratkiem i jego ludźmi. Eryk też się rozpałił, zginęły gdzieś niedawne obiekcje, wyciągnął miecz, rwał co sił w nogach.

Pierwsi z biegnących pokazywali na coś palcami. Rozległy się zawiedzione okrzyki. Tak, to mincarz Lichtenstein, pojmując, co się szykuje, w dwoje koni zaprzężonym ładownym wozem uciekał ze swoimi na zamek. Ściągane niemiłosiernie batem konie rwały co sił, wóz chybotął ze strony na stronę. Tuż była brama miasta/..

- Bramę zamykać, bramę...

- Most podnieść! - wrzeszczano z tłumem.

Było już jednak za późno. Mincarz wyprzedził pościg, stróża przy bramie nie od razu pojęła w czym rzecz. Rozpędzony wóz zaturlotał na moście, wypadł na drogę, krótko, a spuszczano z zamku most przez fosę, mincarz dostał się pod opiekę komtura.

Zawiedzeni napastnicy zatrzymali się przy bramie miejskiej. Bratek odsapnął, splunął gęsto na ziemię.

- Tfu, nic już dzisiaj nie wyjdzie... Ale dzielny naród w tym Nowym Toruniu! Przypadły mi chłopcy do serca - rzekł z uznaniem. Syn jego i parobek Piotr przytakująco kiwali głowami.

Czeladnicy organizowali straż dla strzeżenia mennicy. Bratek zbierał swą rotę. Nikogo nie brakło. Nakazał żołnierzom wracać do Starego Torunia. Sam zaś podszedł do Eryka stojącego obok Pieniążka.

- Piwo by się zdało, nie tak? - zapytał.

- A jakże kochanku, zaprawdę, jak mi miecz miły! Ale i tyś miły, niedźwiedziu - sapnął Pieniążek wyciągając dłoń do nowego znajomka.

Szli razem. Pan Mikołaj nagle przystanął, rzekł głośno do obu swych towarzyszy.

- Wiecie co? Ja mam rotę niezgorszą, tuszę, że się jeszcze powiększy. Wy, Bratek, macie swoich. Erykowi jeno brakuje... Myślę, że się nam wypadnie połączyć. Wszyscyśmy rezoluty, jakby co, dobrze nam pójdzie razem. Dam wam obydwu zastępstwo, będziecie mieli w rocie własne oddziały, he, jak się to wam widzi? myKowi twarz zapalała szaloną radością. Bratek spojrział na obu, powiedział w zamyśleniu:

- Zda mi się, rzecz trzeba rozważyć. Kędyż to piwo? Przyspieszyli kroku. Z Nowego Miasta płynął za nimi gwar mieszczan, dumnych z tego, że pierwsi podjęli stanowcze kroki.

Więcej, że uwieńczyła je pierwsza wygrana. Tym łakomiej kierowały się tysięczne spojrzenia na ponury zamek toruńskiego komtura.

W skwarne dni sierpiewego lata dojrzał na pruskiej ziemi owoc wolności.

CZEŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Z południa powietrze stawało się bardziej przejrzyste. O wschodzie jednak i o zachodzie nieprzeniknione pasma mgieł rozciągały się nad wodami, duszącą bielą tak jprzysnuwały moczary i bagniska, że nawet dobrze znający zdradliwe przejścia bali się teraz wypuszczać w drogę. Dopiero słońce rozpędzało te złowieszcze zwiastuny jesieni, płynęły powietrzem nici babiego lata, liście drzew grały setką kolorów.

Kraj nad Pregolą i Wisłą jakby się przytaił oczekując nadchodzących rozstrzygnięć. Kupcy przycupnęli po domach, nie ważyli się na ryzyko podróży. Chłopi po wsiach niechętnie krzatali się na roli, woleli gromadzić się wielkimi kupami i wieść tajemnicze rozważania, milknące z chwilą, gdy pojawił się pomiędzy nimi ktoś obcy. Szlachta po dworach siedziała zbrojna, napięta w czujnym oczekiwaniu. Pozbawieni roboty rzemieślnicy snuli się po miastach, wdawali się w drobne awantury, wyglądali lepszych czasów. Jedyne kowale i płatnerze wynajmowali wciąż nowych terminatorów, a mimo to nie mogli nadażyć z robotą. Kraj zbroił się, ale zbroił po cichu, z jakąś zaciętą desperacją. Stukały młoty w kuźniach płatnerskich na wolach zamkowych, odpowiadały im echem kowadła w miejskich warsztatach.

Pomruki burzy! Tak określano powszechnie owe miesiące jesieni 1453 roku. Ludzie rozpowiadali sobie o znakach, jakie jawiły się na niebie i ziemi, znakach złowróźbnych, zapowiadających głód, rozlew krwi i choroby. Kury piały o nie swoich godzinach. Z malborskiego zamku, prosząc o schronienie, uciekł do mieszczan Krzyżak z Saksonii rodem, procarz zawołany. Rozpowiadał, że gdy ostatniej niedzieli rycerstwo przystępowało do świętej Komunii, hostie zniknęły nagle z kielicha...

I tylko jak błyskawice przecinające niebo w parną noc sierpniową niosą zapowiedź burzy, podobnie teraz, w ciszy oczekiwania, pomiędzy przepowiedniami i znakami, dochodziły czasem prawdziwe wieści o tajemnych zbrodniach, o cichych zabójstwach, dokonywanych nie wiedzieć przez kogo. Raz ginęli mieszczanie albo rycerze, znani ze swej gorliwości w pracach Związku Pruskiego, innym razem na ustronnej drodze znajdowano zwłoki Krzyżaków z wytrzeszczonymi przerażeniem, szklistymi oczyma.

Nocą, w szarugi i deszcze, przeciągały bocznymi drogami grupy zbrojnych ludzi, obcych obyczajem i mową. Jedne znikwały w miastach albo się kryły po dworach co znamienitszych szlachciców pruskich, za innymi cicho zamykały się podwoje bram w zamkach krzyżackich. Kraj zbroił się, szykował się do wojny, chociaż nikt o niej jawnie nie mówił.

Nigdy też na drogach całej ziemi, od Królewca po Gdańsk i od Tylży po Nibork, nie przewijało się tylu samotnie pędzących zbrojnych jeźdźców, uważnie poglądających dokoła przekrwionymi od zmęczenia oczyma. Jeźdźcy ci umieli przesmykiwać się przez podstępnie zastawione na nich pułapki, zawsze trafiali tam, dokąd wiodło ich zlecenie wydane niewiadomymi ustami.

Po każdej wizycie takiego gońca, w miastach i miasteczkach, po dworach i dworkach, wszędzie, gdzie drżały oczekiwaniem ludzkie serca, zaczynały się tajne narady, rozkazy rozwożone przez nowych gońców trafiały do najodleglejszych zakątków, zagubionych w puszczech czy pośród wodnych rozlewi.

Oprócz gońców Związku Pruskiego niemniej liczni byli kurierzy krzyżaccy. Po ich odjeździe rozpoczynały się w zamkach obrady, z bocznych furtek wypływały nocami nowe sylwetki jeźdźców przygiętych ku karkom koni.

Tajemniczość i niepokój oczekiwania zdobyły prawo rządów w pruskim kraju. Tym większym zdziwieniem napawał mieszkańców ziemi elbląskiej, a i. samego miasta, widok kilkanaście koni liczącego pocztu zbrojnych krzyżackich, najspokojniej w świecie przemierzającego drogi, zatrzymującego się na pijatyki po karczmach i zajazdach przydrożnych, nie gardzącego żadną okazją do swawoli i zabawy. Imię Johanna Binenrodego, przybysza z dalekich krain niemieckich, głośnie się stało wśród mieszkańców wsi i miast. Nikomu nie było tajnym, że w początkach października, zatem blisko miesiąc już temu, zbrojna rota zaciężnych, pośród których było wielu zacnych urodzeniem rycerzy niemieckich, przedostała się z Brandenburgii na ziemię pruską.

Binenrode triumfował, pewny się czuł od tej chwili, a korzystając z nieobecności posłującego na sąd cesarski Henryka von Plauena, poczynał z dniem każdym coraz zuchwałej. Wojskom związkowym cierpły ręce, z ochotą by jęli się miecza, ale wyraźny rozkaz wstrzymywał ich od działania. Rozkaz Tajnej Rady brzmiał, aby żadną miarą nie złamać cesarskiego zakazu rozpoczynania starć zbrojnych przez którąkolwiek ze stron.

Dziwiło niejednych to zarządzenie, sarkali, klęli pod nosem, musieli mu się jednak podporządkować. Tajna Rada najlepiej wie przecie, co robi. Nie próżno oddano w jej ręce zarząd sprawami Związku...

Cierpliwość mieszczan i szlachty elbląskiej nieraz wystawiana była przez ryeerzawagabundę na wielką próbę. Zwłaszcza, gdy Binenrodemu zbrzydły same tylko pijackie hulanki, a zaczął się oglądać za pruskimi białogłowami. Tutaj by już nie poskutkowały nawet zakazy Tajnej Rady, gdyby nie fakt, że najniespodziewaniej w świecie nastąpiła nie wyjaśniona potąd nagła śmierć Johanna Binenrodego. Zginął w zwadzie wynikłej pomiędzy nim a komediantami, zamieszkałymi w cieszącym się złą sławą domu noclegowym tuż za murami miasta. Że zaś prawie jednocześnie powrócił z Wiednia Henryk von Plauen, ze swojej strony zakazując Krzyżakom burd i awantur, wszystko wróciło do dawnego stanu niespokojnego oczekiwania. Częstsze tylko były zebrania rady miejskiej Elbląga i częściej przemykali się z meldunkami gońcy z Torunia...

Minęło parę tygodni, zacichło już nawet wspomnienie imienia Binenrodego, nowe, ważniejsze sprawy zaprzątnęły umysły: z trwogą nasłuchiowano niepokojących wieści z Wiednia, gdzie proces dobiegał końca; pod pozorem wzmocnienia obrony przeciwpożarowej naprawiano mury miejskie, obstawiano je wzmocnionymi strażami...

Ci zaś, co byli bardziej wtajemniczeni albo milczeli, albo pozbawieni byli możności mówienia. Tak właśnie nie mówił, bo nie mógł, człowiek wrzucony do bagnistego loszku, gdzie miejsca tyle nawet nie było, aby wyprostować znużone ciało. Czasem tylko z piersi jego dobywało się dzikie, zgoła nieludzkie wycie, oznaka największej wściekłości i goryczy życiowego zawodu, a może już także i zamroczenia umysłu.

Człowiek ten, niespodziewanie dla siebie, w trzy dni po śmierci Binenrodego znalazł się w pasłęckim zamku, pod pieczę Wesołego Otta. Jego już tylko śmiech słyszał co dnia od dwóch tygodni, na jego głos wpijał długie paznokcie w wychudłe, gasnące ciało, miotał przekleństwa i okrutne, plugawe wyrazy. Z drzwiczek, umieszczonych w powale loszku, rozbrzmiewał wtedy coraz mocniej śmiech zastępcy komtura, a w niewyraźnym świetle majaczyła jego pękata twarz z ostrym szpicem brody. Wreszcie drzwiczki opadły z trzaskiem, pył osypywał się na udręczonego więźnia, zupełna ciemność zalegała bagnistą piwniczkę.

Dalekim, gasnącym echem niósł się jeszcze tylko rechotliwy śmiech Wesołego Otta.

Gruc zaciskał wtedy zęby, darł pazurami kamienie ścian, opływające strużkami sączącej się szczelinami wody, w ten sposób próbował gasić nieludzki ból i palącą, beznadziejną już tylko nienawiść.

Przywódca komedianckiej grupy zdawał bowiem sobie jasno sprawę, że musi umrzeć, a wyrok ten wypowiedziany został ustami wielkiego szpitalnika, Henryka von Plauen, zaraz po jego powrocie z wiedeńskich podróży...

Uspakajał się, pamięć z przedziwną wyrazistością od nowa ogarniała wydarzenia ostatniego okresu. Jak na jawie widział każdy szczegół, pamiętał każde słowo. Uśmiechał się żałośnie przypominając, że nieraz słyszał, jak mówiono, iż człowiek zyskuje przed śmiercią szczególną zdolność odtwarzania w umyśle rzeczy minionych. Minionych... wzdragał się przed tym słowem, nie mógł się przyzwyczać do niego, on, który latami całymi piastował w sobie wielkie, skrywane przed innymi ambicje, który się ludził naiwnie, że ojciec z przypadku zechce być kiedyś dla niego prawdziwym ojcem z uczucia... Ech... Że też musiał się zetknąć z tym Binenrodem, że ślepy Joachim dostał wtedy ataku szału...

Po powrocie z niefortunnej misji w Krakowie Gruc zatrzymał się razem ze swymi w Elblągu, Wesoly Otto uprzedził go bowiem o spodziewanym przyjeździe wielkiego szpitalnika, który już nie był potrzebny w wiedeńskim procesie, gdzie wszystko rozwijało się najbardziej pomyślnie. Ma zatem Gruc czekać tutaj na powrót Henryka von Plauena i na jego rozkazy. Oczka opasłego wicekomtura łyskały przy tych słowach złowieszczo, ścianami komnaty wstrząsał jego rehotliwy, przerażający śmiech. Gruc jednak nie zwrócił na to uwagi. Sam rozumiał, że jego praca w komedianckiej grupie została skończona. Szybko idą wieści i na pewno rozeszły się już po Prusach gadki o roli, jaką odgrywał. Należało szukać innej pracy. Jakiej, o tym zadecyduje Henryk von Plauen.

W zdziczałym sercu herszta szpiegowskiej bandy leży się jakieś dziwne uczucia na myśl o ujrzeniu wielkiego szpitalnika. Tęsknił do tej chwili, choć mógł się spodziewać, że nie będzie ona należeć do przyjemnych. Zawiódł pokładane w nim zaufanie, zdradził kim jest, mało tego, przez swe niedołęstwo przyczynił się do poważnego uszczuplenia funduszków Zakonu. Wiedział, że go spotkają złe słowa, a jednak i za tę cenę pragnął zobaczyć człowieka, który był jego ojcem, widok którego budził w nim różne złożone uczucia od nienawiści, aż po szaloną miłość.

Nie przeczuwał, że Binenrode głupią swą śmiercią przesądził sprawę...

Dom Mersznerowej nie opodal murów Elbląga rozrosły był, obszerny, mieścił w sobie różne pokoje, od nędznych izb dla noclegów zbiorowych kręcącej się po drogach hołoty, aż po gustownie urządzone komnatki z alkowami, gdzie w swoim czasie lubiło spędzać czas wielu z zakonnych rycerzy, tuląc w objęciach niewybredne w prowadzeniu kobiety. Od jakiegoś czasu ustały w domu Mersznerowej wizyty krzyżackich rycerzy. Czas był gorący, mieszczki jawnie pomstowały na rozwiązłość krzyżacką, zdarzały się wypadki, że wypuszczający się na niedozwolone przygody Krzyżak nie wracał więcej w zamkowe mury, nieraz nawet nie znajdowano jego ciała.

Stara rajfurka miała więc w tym przełomowym roku mocno uszczuplone dochody. Zwolniła większość służby, zostawiając przy sobie dwóch rozrostłych parobków i służebną dziewczynę. Utrzymywała się z noclegów wszelakiej hołoty, wykorzystującej nabrzmiały niepewnością czas do niecnot i kradzieży. Radosnym wydarzeniem było dla Mersznerowej zatrzymanie się na dłuższy czas w jej domu grupy Gruca. Nie był to wprawdzie zysk wielki, wiadomo, że rybałci nigdy groszem nie śmidfrdzą, zawsze jednak lepiej, niż gdyby dom świecił pustkami. Nawet bowiem i prawo sprzedaży trunków dawno jej odebrano, potajemnie jedynie podawała swym gościom piwo i miód.

Zdarzyło się to w czwartym dniu pobytu komedianców w jej domu. Siedzieli przy wieczerzy w obszernej izbie jadalnej, gdy na podwórze zajechało trzech jeźdźców. Mersznerowa wyjrzała, aż wypieków dostała z wrażenia. Poznała rycerza Binenrodego, dowódcę roty, mimo oporów miasta stacjonującej ostatnio w zamku elbląskim. Nieraz wyglądała za przejeżdżającymi rycerzami nie śmiąc czynić im żadnych propozycji, gdyż brat zakonny Anzelm surowo zakazał jej utrzymywania stosunków z załogą zamkową. Bała się tego Krzyżaka o ascetycznej twarzy, nie przekraczała zakazu. Co innego jednak, gdy rycerze sami zajechali do jej domu. Skoczyła szybko ku drzwiom, rozwierała je na oścież zapraszając do wnętrza.

Binenrode wraz ze swoim zastępcą i jeszcze jednym towarzyszem zacnego rodu, mocno pijani, wpakowali się z hałasem, wypytujac właścicielkę czy prawda, że można otrzymać tu dobre trunki i ujrzeć nadobne dziewczki. Odpowiadała skwapliwym potakiwaniem, szybko zaścielała stół lnianym obrusem, ustawiała kielichy i kufle, niosła wystały miód i pieniące się piwo.

Gruc niechętnie spoglądał na przybyłych. Jego grupa zdawała się budzić w nich duże zainteresowanie. Wypytywali gospodynię, kim są ci ludzie stołownicy. Na wieść, że to komedianci wędrowni, Binenrode uparł się, by razem wieczerzać. Trudno mu było odmówić, Gruc pamiętał, że Binenrode przyjaźni się z Henrykiem von Plauen, nie mógł więc zezwolić na awanturę, do jakiej by doszło w przypadku odmowy.

Wśród komedianców znajdowały się dwie młode dziewczyny. Zofijka - linoskoczka i Klara, słynna jako „kobieta bez kości”, ciesząca się dużym poważaniem w kuglarskim fachu. Klara nie grzeszyła urodą, nie każdy zaś umiał zauważyć jej zgrabną budowę. I teraz Binenrode wraz ze swym zastępcą od razu przysiedli się do Zofijki, Klarze zaś bez szczególnego zachwyty dotrzymywał towarzystwa trzeci z przybyszy.

Miód i piwo lały się gęsto. Komedianci zwlekali z odejściem. Nie występowali ostatnio, nudziło się im w zajecznej, radzi byli z wesołej kompanii. Nikt z nich nie zwrócił

uwagi na zachowanie ślepego starca, który nasłuchując bacznie odsunął się nagle na stronę. Wargi mu drżały, rozdygotane ręce skrył za pazuchę lnianej siermięgi. Skrzyпки z brzękiem osunęły się na podłogę.

Gruc tylko z zaniepokojeniem obserwował zachowanie starego, nie miał czasu jednak zastanawiać się nad tym bliżej, bowiem Binenrode począł obcesowo zalecać się do Zofijki. Dziewczyna ze wstrętem odpychała jego ramiona, usuwała twarz od gęby z wysuniętymi do przodu, oślinionymi wargami. W pewnej chwili, krzyknęła z lęku, gdy ją gwałtownie oblał w pasie.

W tej samej chwili z dwu stron rozległo się ostrzeżenie. Stary ślepiec syknął przenikliwie, z groźbą:

- Zostaw!

Binenrode z wrażenia puścił dziewczynę. Gniewną twarz obrócił ku staremu, zdumiony śmiałością jego odezwania się, gdy ostry głos Gruca zaskoczył go jeszcze bardziej:

- Ostawcie, zacny panie rycerzu!

Rycerz wybuchnął śmiechem. Pijany był. Powstając zatoczył się, rechotał.

- Wara wam ode mnie, parszywe waganty! - wyciągnął miecz, zatoczył nim koło, łysnęło w mrocznym pokoju. Poskoczył wraz ku Zofijce, lewą ręką chwycił ją w pól, ciągnął ku drzwiom przyległej komnaty.

Dziewczyna biła go obu dłońmi po twarzy, niewiele to pomagało. Między komediantami zamarło. A potem w tej samej chwili brzęknął miecz i zamigotał długi sztylet w ręku ślepego starca. Biegł za Binenrodem, krzycząc przenikliwie:

- Głos, ten głos! Ćwierć wieku za nim tęskniłem...

Gruc pchnął na stronę rycerza śpieszącego na pomoc przyjacielowi. Z mizerykordią w dłoni popędził ku kotłującej się grupie. Binenrode puścił z objęć Zofijkę, dziewczyna zatoczyła się na ścianę. Ślepy starzec kierując się słuchem gonił Binenrodego, zamierzył się sztyletem, ostrze zazgrzytało o kość. Rycerz niemiecki uchylił się w ostatniej chwili, sztylet trafił w ramię, nie w pierś. Miecz z bliska niewiele mógł pomóc. Binenrode trzasnął więc nim tylko na odlew przez głowę ślepego Joachima, zwracał się ku atakującemu go Grucowi.

- Ostawcie dziewczę, to i my was ostawim w spokoju! - warknął wódz komediantów.

- Psy plugawe! Was wyżenę, a dziewczka moja będzie - w tej chwili runął jak długi na ziemię. To Gruc rzucił mu się pod nogi.

W izbie powstał tumult, nad wszystkie głosy wybijał przerażony krzyk Mersznerowej. Ktoś zdzielił po głowie trzeciego z rycerzy. Binenrode zacharczał nagle i żygnął krwią, zastępca jego począł wtedy zdążyć do drzwi odcinając się napastującym go komediantom.

Szarpnął klamkę, wypadł w ciemność, fala świeżego powietrza wdarła się do dusznego wnętrza zajezdnej.

Gruc okrakiem siedział na Binenrodem, z pasją obracał sztyletem wbitym w serce rycerza. Ten charczał coraz ciszej, wreszcie krew przestała płynąć z rozwartych ust, skrzepła na policzku ciemnoczerwoną nitką.

Ogłuszony ślepiec czołgał się w tę stronę, rękami rozmazywał krew na podłodze. Wymacał ciało Binenrodego, dotknął jego ręki, jakby pragnął wyczuć tam puls. Gruc powstał, chwiejąc się, z płonącymi ogniem oczyma. Starzec dotknął sztyletu wbitego w pierś rycerza, palcami przewiodł po zlanej krwią brodzie, zaniósł się nagle cichym, straszliwym chichotem.

- Dziadku! - krzyknęła z kąta Zofijka, przerażona zachowaniem się tak spokojnego zazwyczaj ślepca.

- On to! Ten sam, cha! cha! cha! - chichotał starzec, podnosząc się z podłogi. - On mi oczy kazał wypalić, on zabił ojca twego i matę, on! Poznałem ten głos, w piekle bym poznał. Oczy mi kazał wypalić, a teraz sam już świata widział nie będzie, cha! cha! cha!

Gruc odzyskał nagle przytomność. Upojenie walką minęło. Z przerażającą jasnością zdawał sobie sprawę, jakie skutki przynieść może dzisiejszy dzień. Odepchnął starca, krzycząc:

- Precz, ślepy głupcze! Precz!

Rozejrzał się wkoło. Ujrzał zwłoki drugiego towarzysza Binenrodego. Zaciśnął wargi, rzekł do swoich:

- Wraz ich owiążcie w worki jaskowe, do Wisły rzućcie. A ty, stara wiedźmo, gęby nie rozwieraj! - pogroził Mersznerowej.

Mówiąc to świadom był, że nie pomoże to w zatuszowaniu sprawy. Trzeci z rycerzy uciekł przecie zdrów i cały. Zamek się dowie o wszystkim. A w tych dniach powraca Henryk von Plauen...

Usiadł przy stole, wparł głowę w ramiona, siedział tak, nieczuły teraz na wszystko. Nie zauważył, jak Zofijka ze starcem opuścili cichutko dom. Nie wiedział, kiedy uprzątnięto zwłoki zabitych, a izba przyprowadzona została do dawnego stanu. Przeczucie groźnej przyszłości zawisło nad nim, zaciążyło nad myślami i czynem...

Nie zmyliło go to przeczucie. Po trzech dniach wezwany został na zamek, dokąd już przybył wielki szpitalnik Zakonu. Gruc szedł z bijącym sercem. Złamał w sobie wszelką ambicję i dumę, gotów był paść na kolana przed Henrykiem von Plauen, prosić gorąco o darowanie win i dalsze zaufanie, aby jak najbardziej mógł służyć temu, którego nie śmiał nazywać ojcem, choć piastował w myślach to słodkie słowo.

Henryk von Plauen czekał na niego, chodząc po komnacie wielkimi krokami. Sam był, nie chciał mieć świadków czekającej go rozmowy.

Gruc niepewnie stanął u progu. Spojrzał na Henryka von Plauena. W oczach jego odbiło się wierność, poświęcenie i miłość. Ale jednocześnie pięści zacisnęły się nagłym skurczem. Wielki szpitalnik spoglądał na niego w milczeniu, trudno było wyczytać coś w jego wzroku. Ubrany był na wiedeńską modłę, znać, że pobyt na dworze cesarskim nie poszedł na marne. Gruc nie wiedząc czemu zapatrzył się na miedziane sprzączki u kunsztownych bucików swojego ojca.

Milczenie trwało. Henryk von Plauen z dziwnym uczuciem spoglądał na stojącego naprzeciw niego człowieka, który był jego synem. Nie doświadczał żadnych uczuć ojcowskich, ot, przypadek - zrzucił, że znał tego dzieciaka, owoc krótkiej, przelotnej miłości z kobietą, która jak tyle innych, zgasła potem w tajemniczych czeluściach pasłęckiego zamku. Wyczuwał w Grucu charakter podobny swojemu, zimny i zacięty, temperament zdolny do najwyższych poświęceń, ale i do podłości.

Wielki szpitalnik nie łudził się co do swojego charakteru. Znał własne możliwości i dlatego wszelką drogą dążył do uzyskania władzy w Zakonie. Podporządkował się wielkiemu mistrzowi, ale pod zimnym posłuszeństwem kryła się gorąca nienawiść i zazdrość. Sytuacja nabrzmiewała, wyczuwał, że nadarza się dla niego niepowtarzalna okazja dla przeprowadzenia największej gry swego życia. Gotów był ważyć się na wszystko... Wejrzał znów w oczy Gruca. Znalazł w nich odbicie własnych swych myśli. Gruc też dążył do zaszczytów, tytułów, do oficjalnego uznania. Dlatego godził się na spełnianie wszystkich poleceń swojego ojca, dlatego nie znał granicy trudu swojego i poświęcenia. I Gruc zdolny był do nieokiełznanej nienawiści, do okrutnej zemsty, nie przebierającej w sposobach.

Ostateczna decyzja zapadła. Wielki szpitalnik pewien był teraz swego. Piękne oczy przykrył powiekami, aby jakiś błysk nie zdradził przedwcześnie jego zamiarów.

- Siadaj! Pewność utrudzon bardzo.

Gruc wyczuł ironię, przysiadł na skraju krzesła. Przewalało się wszystko w jego wnętrzu, nie pojmował już, czego chce, jakie uczucia biorą w nim przewagę. Nie odpowiedział, czekał cierpliwie na zewnątrz zupełnie spokojny.

- Zakon straty wielkie poniósł wskutek twojej niezaradności. Pojmujesz chyba, jakie sprawy się ważą tej chwili? Związkowcy świadomi są niepomysłnego wyroku, jaki lada dzień zapadnie we Wiedniu. Jaszczurkowcy zeszłego miesiąca mieli zjazd ważny, decyzje ponoć ostateczne na nim zapadły. Mało co o tym wiemy... To wszako jasne, że w decyzjach tych wojna na pierwszym jest planie. Nam zwiadu trzeba dobrego. Wieleśmy na ciebie liczyli,

tymczasem mało, żeś pieniądze postradał, jeszcze wiadomość o tobie wzdłuż i wszerz poszła przez Prusy, nigdzie się pokazać nie możesz, chyba w pragnieniu, by zasłużyć na dołę Hermana Stautta i inszych, których ciała znajdujemy rzucone na drogach' czy uwiązane do kamienia po rzekach... - urwał, uśmiechnął się dziwnie. - Chociaż kto wie, czy los taki nie byłby dla ciebie najlepszy...

Gruca zadrżał. Pojął myśl wielkiego szpitalnika, swojego ojca. W gardle mu zaschło, nie mógł wyrzucić z siebie żadnego słowa.

Henryk von Plauen obserwując Gruca uważnie, mówił dalej./

- To bym ci jeszcze przebaczył. Ale sprawa Binenrodego każe wymazać z naszych rozmów wszelką łaskawość. Druh to był mój wierny i dzielne ramię Zakonu. Tyżeś go ubił, na rękę idąc spiskowcom pruskim... Kto wie, komuś ty bliższy, nam czy niekarnym Prusakom?

- Wasza miłość, jakże tak o mnie sądzić... Ja krew gotowy ostatnią dla was i dla... Zakonu. Zwólcie, niech się w nowej służbie jakiej wykażę moją miłością...

Oczy Henryka von Plauen zwięzły się, złośliwy uśmiech wypłynął na pięknie skrojone wargi.

- Zamilknij! Ja tu gadam, nie ty... Ongiś zwierzyłem ci moje zamiary na przyszłość. Rzekłem, iż jeśli okażesz się godny, możesz oczyścić imię z hańby nieprawego łoża, rycerzem ostać, jeszcze dostojęństwa w Zakonie uzyskać... Daleko mi teje chwili do owych myśli. Ja nie wierności samej, ale i rozumu pragnąłem od ciebie. Głupiś był. Mniemam, że krótkim czasem coś wynajdę dla ciebie innego, jak i sam prosisz. Tymczasem oddam cię pod pieczę mego zastępcy w Pasłuku - zaśmiał się cichutko i słodko.

Myśl Gruca pracowała gorączkowo. Pasłek, zastępca komtura, tajemnica Plauenowych zamierzeń, wszystko to rysowało przyszłość najgorszą z możliwych. Nie od dziś znał wielkiego szpitalnika, by nie wiedzieć, że oddanie kogoś pod opiekę Wesołego Otta równa się wyrokowi śmierci. Sławne były lochy pasłęckie, głośne imię katawicekomtura.

Serce Gruca przeszło ból, że taką dołę szykuje mu nie kto inny jak własny ojciec. Gdyby nawet mógł, nie próbowałby ucieczki, tak obojętne stało się teraz wszystko dla niego. Wierzył dotąd w jednego Henryka von Plauena. Załamała się obecnie ta jego podpora w ciężkim i mało wdzięcznym życiu. I tak z jednej strony duma kazała mu z wyzwaniem spojrzeć w oczy stojącego naprzeciw pięknego człowieka, z drugiej zawiedziona miłość synowska, tyle lat skrywana najgłębiej, pragnęła jeszcze błagać o zmiłowanie, o krzyne chociaż rodzicielskiej miłości.

Podniósł się z miejsca, wyszeptał żarliwie, z głębi serca:

- Darujcie mą winę. Mimo woli mojej to było... Darujcie karę. Jeśli już nie z urzędu waszego, to choćby z ojcowskiego uczucia. Wspomnijcie i na tę więź, która nas łączy... - głos mu się załamał, w oczach zabłyśły łzy.

Henryk von Plauen cofnął się o krok zaskoczony tą niespotykaną u Gruca formą.

- Do kogo wnosisz o apelację?

- Do was, jako do ojca mojego... - Gruc padł na kolana, próbował obłapić nogi Plauena.

Wielki szpitalnik odtrącił go ostro, gdy nie pomogło, a ręce Gruca kurczowo trzymały się jego odzieży, kopnął go z całej siły w schyloną ku ziemi twarz.

- Psie przebrzydły! Łza to z moim ojcostwem... - zaśmiał się. - A gdyby nawet łza nie była, nic dla mnie więcej nie znaczysz niż knecht najgorszy. Pomnij to sobie. Bękartów spłodziłem wielu, ani ich znam, ani znać pragnę. Widzę, że nawet języka powściągnąć nie umiesz. Zakazałem ci kiedy bądź tę sprawę poruszać. Nie chcę, by dalej cię ponosiła przykra niepowściągliwość. W Pasłuku koniec będzie twej drogi. Cha! cha! cha!

Z tym śmiechem wykrzywiającym piękne jego usta, Henryk von Plauen głośno zaklaskał w dłonie. Przez drzwi wsadził przerażoną twarz młody brat zakonny.

- Wraz mi tu dać dwoje ze straży! - ryknął z pasją wielki szpitalnik. - Niechaj zabierają tego nieprzytomnego pługą wca.

- Ś^na twojego, syna, do którego przyznać się nie chcesz!'- zaczął krzyczeć przeraźliwym głosem mało przytomny już Gruc. Wrzeszczał, gdy silni knechci ciągnęli go po ziemi ku drzwiom, wrzeszczał na korytarzach zamkowych, aż wreszcie von Plauen kazał zakneblować mu usta.

- Szaleniec to, widzicie, co wykrzykuje? Do wieży z nim i strzec mocno... Do wieży!

W dwa dni potem pod osłoną nocy przewieziono więźnia do Pasłuka. Wicekomtur wybrał mu specjalny loszek, mały, niziutki, bez żadnego okienka. Za ścianą czerniała przepaść studni wieżowej, przez kaniienie przesączały się krople wody. Loch był wilgotny, wyżej kostek napełniony błotnistą mazią. Zimno wraz z wodą przenikało ciało więźnia wywołując straszliwe bóle.

Nie uznany syn wielkiego szpitalnika cierpiał z każdą godziną coraz to bardziej. Chłód i ciasnota, brak powietrza i wzrastający głód podkopywały jego silny organizm. Wiedział, że konanie trwać będzie długo, że nie ma już wyjścia z tej strasznej pułapki, w jaką wpakował go człowiek najbardziej kochany na świecie.

Wesoły Otto miał swoje sposoby na powiększanie cierpień kolejnych mieszkańców loszku. Pierwsze dni spuszczano do Gruca normalną ilość jedzenia, potem zaczęto je

ograniczać, teraz dostawał już tylko maleńką skibkę chleba i nic do picia. Spieczonym w gorące językiem zlizywał krople spływające po kamiennej ścianie, próbował wyciskać w dłoniach błoto, którego wciąż przybywało.

Jednego dnia chlusnięto na niego przez otwór kilka wiader wody. Napił się jej, nim zdążyła zmieszać się z błotem, ale od tej chwili cierpienia wzmogły się jeszcze bardziej. Błoto sięgało powyżej kolan, gdy wstawał przeżarty chłodem, skurczony niemal we dwoje, nie czując nóg napuchłych, obrzmiałych. Szeptał coś do siebie, przeklinał w setne pokolenie wyrodnego ojca, to znowu zanosił się nienormalnym chichotem.

Przytomność wracały mu jeszcze tylko codzienne wizyty wicekomtura; Wesoły Otto długo znęcał się nad więźniem, kazał czasem oświetlać loszek pochodnią, z dziwną radością wpatrywał się w wychudłą, ziemistą w barwie twarz Gruca. Pewnego dnia rehot pana pasłęckiego zamku stał się jeszcze mocniejszy. Okazało się bowiem, że śniady, czarny Gruc osiwiiał zupełnie. Jednocześnie w belkocie jego też pojawiło się coś innego. Wyzwiskami zazwyczaj odpowiadał na śmiech wicekomtura. Wesoły Otto pojął, że zbliżają się już ostatnie dni przytomności komedianta. Normalny to koniec więźniów słynnego mokrego loszku. Przedtem ogarniało ich szaleństwo, potem przychodziła zbawcza śmierć.

Nachylił się, oświetlił pochodnią twarz Gruca. Wtedy rzucił wyraźnie, kilkakrotnie powtarzając swe słowa:

- Syn Henryka von Plauena! Dziecię ukochane wielkiego szpitalnika Zakonu! Cha! cha! cha! Cha! cha! cha!...

Odpowiedział mu ryk bólu, a potem nagle radosny, mocny śmiech.

Wicekomtur z żalem serdecznym zatrzasnął klapę. Wiedział, że była to jego ostatnia wizyta u Gruca. Cóż za zabawa bowiem z szaleńcem?

ROZDZIAŁ DRUGI

Toruńskie mieszkanie Jana Bażyńskiego, położone nie opodal kościoła Maryi Panny, od przyjazdu jego z końcem sierpnia z wrocławskiej kuracji, zamieniło się w wielką kancelarię. Na dole urzędowali sekretarze i kanceliści, spali na ławach podręczni gońcy, na piętrze odbywały się ważne rozmowy i posiedzenia. Tajna Rada nadal obradowała na staromiejskim ratuszu, często jednak §Sówni przywódcy związkowi schodzili się u Bażyńskiego, któremu listopadowe chłody mocno dawały się we znaki i wołał przebywać w swojej komnacie przy stale płonącym kominku niżeli w chłodnych salach ratusza.

Siedzieli we trójkę, czekając na resztę wezwanych. Gabriel Bażyński dopiero przybył z Wiednia, wiodąc ze sobą rotę zwerbowanych zaciężnych. Przywoził ostatnie wieści z procesu. Konrad Teudenkus rozparł się wygodnie w wyściełanym krześle z wysokim oparciem, milcząc przyglądał się obu braciom.

Starszy, Jan, zadumany nad zasłyszanymi wieściami, wpatrywał się w jasny płomień kominka pożerający długie szczapy brzoźowe, pomarszczone ręce zaplótł o siebie. Ostry nos jakby się jeszcze bardziej wysunął z wychudłej twarzy, siwe włosy odgarnięte w tył powiększały czoło, łuki brwi były mocno wygięte. Wszystko to nadawało temu obliczu wyraz stanowczego dostojeństwa i nawet dobrotliwe zawsze, przyjazne ludziom szare oczy nie mogły złagodzić tego wrażenia. Zapadłymi pierściami przywódcy Związku wstrząsnął kaszel, otulił się wtedy szczelniej ciepłym zawiciem wełnianym, rzekł powoli, cicho, jakby tylko do siebie:

- Tego, zaiste, nie spodziewałem się. Cóż, cesarz może i gotów pójść na te projekta, jeśli mu Zakon dobrze zgodę opłaci... Trzysta głów! Ha, może to i lepiej, łącznie nieufnych przyciągniem do słusznej sprawy, trwożliwsi odejdą, takóž lżej będzie...

- Tieleman przewąchał te sprawy. Od poprzedniej bytności znajomości mocne ma w kancelarii cesarskiej - uzupełnił Gabriel Bażyński.

Znowu zapadło milczenie. Teudenkus zwrócił spojrzenie na drugiego brata. Gabriel Bażyński był mocnej budowy, barczysty, o twarzy tęgiej, zaczerwienionej. Włosów mu jeszcze nie przyprószyła siwizna. Czoło miał niższe, wyglądał pospoliciej, choć żadną miarą nie można mu było odmówić rozumu i rycerskiej postawy. Najmłodszy był w rodzie, od Jana dzieliło go dziewięć lat życia. Ślepo wpatrzony był w brata, posłuszny jego zarządzeniom, przynajmniej w trudnych arkanach polityki związkowej. Usposobienia był także innego. Lubił bogactwa, rad rozszerzał swe majątkości, wiódł o nie procesy z wielkim mistrzem, z kapitułą warmińską, z książętami mazowieckimi, nie wspominając już o pomniejszych zatargach sąsiedzkich w ziemiach, gdzie mieściły się jego włości. Krzyżacy dopiekali mu mocno, ten motyw niemało zaważył na jego stosunku do Związku Pruskiego i do poddania się kierownictwu brata.

Teudenkus uśmiechnął się. Starał się jeszcze przypomnieć wygląd Aleksandra Bażyńskiego, związkowego odstępcy, wroga własnych braci. Wroga tych dwóch tutaj obecnych i czwartego, Scibora, gorliwego związłcowca. Do tego doszło, że Gabriel i Aleksander byli w Wiedniu reprezentantami dwóch wrogich sobie stron, stanów pruskich i krzyżackiego zakonu...

- Wszakóż wyszła na jaw sprawa sfalszowanych przywilejów dotyczących praw Chełmna i Torunia na wiązanie się ze szlachtą. Kancelaria cesarska wyparła się ich, zostaliśmy wystawieni na wstyd... - Teudenkus cenił Tielemana i darzył go przyjacielskim uczuciem, nie mógł mu jednak darować sprawy sfalszowanych przywilejów.

- Nic to. Żal tylko, że takie koszta poszły na marne... Niemniej w swoim czasie oddały nam usługę te dokumenta - łagodził sprawę Jan Bażyński.

Weszli razem Jan Matzke, bawiący właśnie w Toruniu, Jan z Jani i krewki Mikołaj Dąbrowski. Dwaj pierwsi szli obok siebie, tworząc dziwną parę. Obaj starzy, obaj najzupełniej niepodobni do siebie. Burmistrz Chełmna, małeńki, z zapadłą twarzą, wiercący się bezCistanku i chudy, przeraźliwie wysoki Jan z Jani, aż przygarbiony nieco, jak kłosa, który wybujał nad miarę, gładzący chudą dłońią dostojną swą brodę i nieco naiwnie patrzący dookoła ogromnymi oczami. Za nimi drobił mały Dąbrowski, chylił w ukłonie twarz o szczurzym wyrazie i żywo biegających oczkach. Przydługi miecz obijał mu się o nogi, teraz dopiero spostrzegł, że zapomniał go odpassać u wejścia, odszedł na bok, złożył broń na ławie pod ścianą.

- Zbrojny, widzę, przybywasz nawet na moje komnaty - uśmiechnął się serdecznie Jan Bażyński, biorąc go w objęcia. - Dawnośmy się nie widzieli, dawno...

- Bo ja mniej gębą ruszam niżeli wy tutaj, a więcej roboty swojej pilnuję. Nie poznacie Grudziądzkiego, taka tam siła teraz powstaje... Po cichu rotę za rotą w miasto i ziemię wprowadzam. Ba, flotyllę całą statków gotuję. Jest szyper wytrawny, a rezolut, że więcej nam takich, Niclas Zatele się zwie. Jakby co, przez Wisłę żadnej pomocy nie przepuści Krzyżakom... Bywajcie, mości panie Gabrieliu, jakże tam wiedeńskie wojaże?

- A niech was... toć ramię prawe mam jeszcze bolne - zasyczał młodszy Bażyński na zbyt gwałtowny uścisk Dąbrowskiego. - Jak wojaże, wraz rozpowiem. Małom tchu z koni nie wyparł na Toruń goniąc.

- To zacznij, Gabrieliu, bo pora późna, a warto by to i owo uradzić - gospodarz wskazał świece woskowe, wypalone już do połowy, znak, że wieczór dawno już przeszedł w noc. Mówiąc to, pokuszył się ku swojemu krzesłu, zakaszłał się jeszcze, aż Jan z Jani spojrzał na niego z trwogą, usiadł szykując się do uważnego słuchania, chociaż brat wcześniej już zrelacjonował mu wszystko.

- Wiadomy wszystkim przebieg sprawy do odroczenia procesu na dwanaście tygodni i dni sześć. Zakonni spisali tedy dokument, który i na ziemię pruską już dotarł, iż cesarz nigdy potwierdzenia konfederacji nie dawał, a jeno jako stronie udzielił jej zezwolenia na zbieranie

podatków i występowanie w procesie. Zakon pragnął bowiem zrazu, jako warunek wstępny, uzyskać decyzję rozwiązania Związku Pruskiego...

- Oparcie mieli w traktacie biskupa Franciszka - sarknął Dąbrowski.

- A jakże, tego, który tak przed laty na miasto Braniewo nastawał, a gdyśmy je wzięli w związkową opiekę, walkę z nami rozpoczął... Nie Krzyżak, a gorliwiej od swoich im służy. Do Chełmna także wnosił pretensje o domy dwa w rynku, jako należące mają do kanonii warmińskiej - mamląc słowa w bezzębnych ustach dodał Jan Matzke.

- Zwólcie, że dalej będę prawił. Jam nie tak wymowny i myśli urwane trudno mi zbierać - zniecierpliwiał się Gabriel Bażyński. - Proces zaczął się zatem w nowym terminie, był to dzień świętego Filipa, październik, czas jeszcze ciepły w tamtejszej stronie. Od nowa czytany był ówże dokument, a potem traktat biskupa, niechaj go piorun... Nasz obrońca, Marcin Mayer, mądra to głowa, spór wywiódł z zakonnym adwokatem, Piotrem Knorrem, czy Związek jawnie był potwierdzony przez wielkiego mistrza, Pawła Russdorfa, czy też zawdy pozostawał w ukryciu. Knorr przyparty do ściany, jął prawić, iż konfederacja nasza Kościół uciska i to pierwsze jest prawo jej rozwiązania. Zatem wniosek postawił o potępienie i rozwiązanie Związku,

Oprzywrócenie honoru tym, którzy wystąpili z konfederacji, imiennie mówiąc o Segenandzie z Waplewa

Ibracie naszym, Aleksandrze - tu spojrział smutno na Jana - dalej o odebranie członkom Związku ziem lennych i praw, o zwrot podatku zebranego na proces, wreszcie o nałożenie kary dwieście tysięcy florenów za obelgę upokorzenie Zakonu, tudzież dwakroć tyle w dodatku za koszta, wysiłki i pracę...

Dąbrowski aż uniósł się z miejsca, słysząc o żądaniach krzyżackich.

- Zali to wszystko? Niczego więcej nie chcieli? - rzekł z zadyszką w głosie, z tłumioną wściekłością.

Jan z Jani wyciągnął długą, kościstą rękę, położył ją na kolanie rycerza.

- Zwólcie, niech prawi - wyszeptał cichutko.

- Mayer odrzucił wnioski takowe, wykazując, iż celem naszym obrona jeno była praworządności. Skoro zaś nie prowadziło to do zwołania po tylekroć żądanego przez nas sądu, jedynym ratunkiem zostawała samoobrona. Żądał także wysłuchania skarg poddanych Zakonu, w piśmie naszym zawartych... Fryderyk III głosu nie zabrał całe tym razem, rzecz odkładając na dwudziesty dziewiąty październik... Dopiero w czasie czekania roz-

poczęła się wielka gra, nieuczciwa, aż myśleć ciężko. Co dziwne, że nawet przeciwny nam Eneaszy Sylwiusz Piccolomini, przedstawiciel kurii papieskiej, doradzał

cesarzowi wysłuchanie związkowych skarg, tym pono tłumacząc, że i tak nie w cesarskich siłach wykonanie wyroku, jeśliby zapadł, lepiej przeto dążyć do zgody...

- Nie z życzliwości to płynie, jeno z papieskich planów krucjaty przeciwtureckiej. O Koronę polską to lęk, by w sprawy pruskie mieszając się nie przepomniała o Turkach... - ze spokojnym uśmiechem dodał wyjaśniająco Jan Bażyński.

Gabriel przytaknął.

- Tako i Tieleman wraz z Mayerem wykoncypowali... Wszakże niewiele pomogło, bo od książąt niemieckich płynęły wezwania, aby nie wysłuchiwał cesarz skarg naszych na Zakon, podważałoby to bowiem zasadę suwerenności władzy książęcej i mogłoby dać innym zły przykład. W dniu dwudziestym szóstym minionego miesiąca cesarz odrzucił dowód ze skarg na Zakon, poszedł za większością, choć źle się rzecz miewa, gdy głosy są liczone a nie ważne, jako rzec miał onże Sylwiusz Eneas... Uradziliśmy tedy, że czym rychlej pośpieszę do Prus, by donieść o niepomyślnym dla nas przebiegu procesu... Mayer prawił, jako rzecz jest zupełnie przegrana, a po odrzuceniu dowodu ze skarg zaprzestał występowania w procesie. Gorsze jest wszako, co przeniknęło do nas dzięki znajomościom Tielemanowym. Zakon postawił warunek ogłoszenia proskrypcji na trzystu mężów związkowych, bez wymieniania z nazwiska. Tylko to, tłumaczyli, pozwoli Zakonowi przywrócić ład i porządek, na zawsze oduczy poddanych od występowania przeciwko swym panom...

- Zali to pewne? - pośród ogólnej ciszy, jaka zapanowała po tych słowach, zapytał cicho Jan z Jani.

- Cesarz zgody potąd nie wyrzekł, wszako Mayer potwierdził rzecz, wraz radząc słać ostrzeżenie do Prus przez pewne usta... Wiem i to, że Jordan na Gdańsk gońca pchnął, radząc wszystkimi siłami zbroić się na zły jaki przypadek...

- Jordan? - z niemałym zdumieniem spytał burmistrz Chełmna.

- Onże. Inaczej sprawę już widzi. Mocno stawał przeciwko Krzyżakom - potwierdził Gabriel Bażyński.

- A psy, a psy parszywe, truchła ośmierdłe! - nie panując nad sobą wyzywał Dąbrowski.

Potem poderwał się nagle z miejsca, skoczył ku ławie, gdzie złożył swój miecz, ujął go w ręce, zawołał:

- Za czym na co czekamy? Aż się Zakon dozbroi, wojska sprowadzi? My dziś silniejsi, radzę poczynać bez zwłoki. Nad czym że dalsza deliberacja?

Szczurza twarzyczka latała na strony, jakby pod naporem straszliwej wichury, maleńkie, bystre oczka gorzały wewnętrznym ogniem, dłonie mocno ścisnęły miecz.

Gospodarz domu powstał, objął krewkiego, rozeźlonego rycerza.

- Siądnij, Mikołaj, siądnij. Rozważyc trza wszystko. Bo i inne są takż nowiny, już nie z Wiednia, a z bliższych nam miast... Jordan, widzicie, przejrzał, ale nie przejrzeli Gdańszczanie. Kupce pomniejsi, cechy a pospółstwo wre przeciw Zakonowi, odgraża się na komtura Postora, ale w radzie do zgody prą najmoźniejsi, Hanzy członkowie, byle tylko dla siebie co utargować. Hanza doradza zgodę z Zakonem, drżą oni przed nią, tam widzą swoje oparcie... Wiem, iż wtóry już raz ostatnim czasem do Ludwika von Erlichshausena ślali, aby Związek potwierdził, sąd przyobiecał, a oni pomogą mu ład zaprowadzić pospołu...

- A hycle, zbiry okrutne! - tym razem rozeźlił się nawet opanowany zazwyczaj Konrad Teudenkus.

- Na Gdańsk nam zatem trza zwrócić bacniejszą uwagę, bo miasto owe to siła i pieniądz, z jakimi się nikomu śród nas nie równać... Opór gdańszczan stąd wypływa, że wiązać się tylko w takim przypadku chcieliby z Koroną, gdyby im samodzielność wewnątrz i wielkie ziemie pod władanie nadała. Na to zaś Polska nie pójdzie, jasno rzekł mi to kanclerz Koniecpolski za sierpniowej rozmowy we Wrocławiu, gdyśmy już nad konkretnymi szczegółóy deliberowali... Jutrzejszym dniem zbiera się pełna rada, trza tam sprawę gdańską wyraźnie postawić.

- Ale co z cesarskim wyrokiem? Toż najważniejsze - rzucił zgorączkowany Dąbrowski.

- Bez Gdańska byłoby trudno. A protest nasz mocny być musi, siła winna stać za nim pospólna. Nie Iza dopuścić nam na rozbicie... Wyrok rychło zapadnie. Zakonowi na rękę byłoby sprawę przeciągnąć. Wiadomość miałem, jako wielki mistrz rzekł, iż wolałby wojnę - gdyby już do niej dojść miało - aż po żniwach rozpocząć, by mifeć czym wyżywić zaciężnych żołnierzy. I nam to sprzyja, bo siła spraw nie gotowa jest w pełni. Monarszy ślub na luty wyztiacon, przed tym nie ma co z królem Kazimierzem paktować, wielce zajęty swaty swoimi z Habsburżanką Elżbietą... Oleśnicki takż wciąż mocny, choć mu więcej połowy kłów wyrwano po zjeździe piotrkowskim.

- Co zatem robić, bo pojąć nie mogę, co ma jedno z drugim wspólnego?

- Mikołaju, znać, żeś był z dala od obrad naszych. Grudziądzkie dzięki tobie na wszystko gotowe, żołnierz jest, miasta warowne, ochota ku wojnie wielka... Ale w inszych ziemiach inaczej. Nie sam Gdańsk jedno trudny. Z Królewcem takż nie idzie składnie, Stare Miasto tam bruździ. Podobnież panowie sambijscy wykazują mało animuszu dla spraw związkowych. Posłów naszych tajemnych wiela do nich zjechało, zjednąją powoli

wszystkich. Jeśli wieść o trzystu głowach, co mają być skazane, rozpuścimy szeroko, przez lęk o siebie przystaną do nas. To więcej na naszą stronę argument niżli na korzyść Zakonu...

- A jakże z Koroną? - poruszył wargami Jan Matzke.

- Przedtem już przedstawiłem wam w szczegółach. Kanclerz wraz z królową macią czekają tylko sposobnego momentu. Wielkopolska murem za nami, także i pomiędzy Małopolany wyłom nie lada zrobiony. Król znowu na Litwie, rychło wracał będzie, poselstwo ku niemu wyprawim, da nam Szarlejski znać, kiedy czas będzie najbardziej ku temu sposobny. Nie tak, bracie? - spojrzał na Jana z Jani.

Chudy szlachcic przytaknął gorliwie.

- Jest jeszcze inna sprawa, wagi niemałej - ciągnął Jan Bażyński. - Wielki mistrz zaciągi w księstwie mazowieckim chce czynić. Ma tam pewną przychylność. Trza od nas kogoś słać, by temu przeszkodził. Tako mi się wydaje, że Jan z Jani byłby tu najsprawniejszy, znajomości szerokimi na Mazowszu się chwałąc?

Wymieniony rozwarł szerzej oczy, nie odpowiedział słowem.

- Wy, panie Mikołaju, jednym ciągiem wołacie, by już wojować. A mnie się zda, że przygotowania trza dalsze poczynić, by siłę mieć potężniejszą. Zaciężnych jeszcze mało. Starania wszelakie nie poczynione. Księstwo mazowieckie to jedno. Tam główna dogadać się z Bolesławem księżciem. Przyjaźni naszej z Wielkopolany także mocniej należy strzec. Gdzie sam rozum nie zdoli, grosza nie pożałować. Wiem, iż tymi dniami w Malborku biskup ma być włocławski, by paktowania prowadzić o ziemie biskupstwa, ostające na Pomorzu. Druga to już bytność jego u wielkiego mistrza Zakonu. Trzeba się nam Gruszczyńskiego biskupa strzec, członek to rady koronnej i siła może. Źle byłoby, gdyby się w jedno z kardynałem sprzymierzył...

Urwał Jan Bażyński, czoło ściągnęło mu się kilku poprzecznymi bruzdami. Zakaszłał się, potem, otulając ciepłą szatą zziębnięte ciało, rzekł już ciszej:

- Jeszcze o jednym powiedzić chciałem... Dwie albo trzy niedziele temu wieść była, jakoby za poduszczeniem wielkiego mistrza i von Plauena Jan Świnka zgodził się życia mnie i brata mojego pozbawić - wskazał palcem na Gabriela. - Nie o nas dwóch chodzi, a o sprawy związkowe. Temuśmy obronę musieli przedsiębrać. Wszakto dzisiejszym dniem wezwanie dziwne odebrałem przez umyślnego posłańca. Świnka wyprawił go w drogę. W Sarnowie swym bolny leży, ponoć od brzucha choroba jakowaś go zżera, śmierci czeka. Słał człeka owego, ważne zeznania przed śmiercią chce złożyć, o zaufanego prosi. Pośpiechu błaga, bo nie chciałby skonać rychlej, nim się odpowiedzi mojej doczeka...

- Łza to musi być jakaś! Znam ja owego Świnkę. Toć proces z nim wiodłem i wiodę bez ustanku od lat... - po raz pierwszy przeciwstawił się Gabriel swojemu bratu.

- Wszakto zda mi się warto, byście, mości panie Janie, do księcia Bolesława jadąc, na Sarnów mało wiele zboczyli. Może być rzecz niegłupia, próżno by Świnka nikogo od nas nie wzywał.

- Zasadzka to się pewnie kryje zdradliwa - nie ustępował Gabriel.

- Nie o mnie mu chodzi! Dobrze, zajadę do Sarnowa - krótko oznajmił Jan z Jani. - Kiedy radzicie bym ruszał?

- Czym szybciej, tym lepiej. Jeno zbrojnych radziłbym wziąć ze sobą.

- Sandor pojedzie. Z rotą swoją podsunął się już pod samą granicę, tak go niecierpliwi czekanie. Jeszcze głupstw gotów narobić...

Bażyński uśmiechnął się do Dąbrowskiego. Popatrzył na niego jakoś ciepło i bardzo serdecznie.

- Zważ, jako teraz o wojennych materiałach deliberować będziemy. Na wszystko trzeba mieć oczy otwarte, Krzyżacy od nas wprawniejsi, a my przecie musim ich ubiec. Teudenkusa pana poprosim o relacje, jako z funduszami wygląda. Tak się wydaje, że o nowych zaciężnych trzeba myśleć, ściągając ich na Prusy nie mitrząc wiele. Spokojnie, panowie, spokojnie, nasza prawda dojrzeje, nie przeszkodzi, może i pomocny będzie niesprawiedliwy wyrok cesarski...

- To już pojętniejsza dla mnie materia - uśmiechnął się Dąbrowski, choć doskonale pojmował przecie i tamte sprawy.

- Zwólpie, wieczera stygnie, później znowu będziemy rozmawiać - widząc służącego kulawy wódcz Związku podniósł się z miejsca, serdecznym gestem zapraszał gości.

ROZDZIAŁ TRZECI

Toś z Bodzanowa, prawisz? Udałeś mi się, jak miecz mój miły, udałeś! - Pieniążek rozciągnął się wygodnie na ławie, i ocierając łzawiące od gryzącego dymu oczy, z czułością spoglądał na nieokrzesanego wojaka.

- Nie z samego Bodzanowa. Wioska nasza, przysiółek raczej, leżała o wiorstę dalej, przy drodze do Gąsewa. Blisko połowy stamtąd pod sąd poszło, insi uciekli, jako i mnie się przydarzyło... Tom w puszczy tu osiadł, prawo łowów dostałem, nie cknęło mi się z dala od ludzi - poważnie kiwając skudłaconą głową, jakby potakiwał w ten sposób własnym słowom, odpowiadał Bratek.

- Aha, aha! Toś mi brat. Czystej wiary wyznawca... - radował się pan Mikołaj.

- O wierze mniej tam u nas myśleli. Wiedzielim tyle, że Bóg musi być dobry, jeno go bogacze przeonaczyli. Temu i szli ludzie za wami. Do serca nam przypadło, że każdy człek równy drugiemu, a bogactwy się dzielić pospołu wszystkim należy... Jako i to, coście głosili, że księża mieć winni jeno strawę a przyodziewek i nic kromia tego... Bo u nas bieda była okrutna w te lata, samem się kory brzozowej najadł po uszy i warzeniny z lebiody, gdy pobok szlachta konie sutym owsem spasała. Tośmy ku wam przystali, ale źle się wszystko skończyło, uciekać trza było...

- Rzeknijże, Bratek, toś ty nie szlachcic?

Kudłaty chłop twardo spojrział w oczy Pieniązka.

- Nie. Chłop prosty... Ale niedaleko podłe nas przysiółek był, na którym takż Bratkwie siedzieli i owi ze szlachty się wiedli, chocia bieda tam była niemniejsza jak u nas. W jedno szli z nami w onych trzydziestych leciech... Jakem tu osiadł, by spokój mieć, rzekłem jednemu z drugim, żem z tych Bratków szlacheckich. Łacniej było, panowie pruscy, a i Zakon mniejsze baczenie mieli.

- Teraz pojmuję, czemu się Piotr z Wikliny drużby z tobą nie wstydzi - zaśmiał się pan Mikołaj.

- Zacny człek, a rycerz dzielny okrutnie - zachmurzył się Bratek. - Jeno ludzi dzieli wedle tego, kto ich na świat przywodzi. - Podniósł się z ławy. - Rozejrzę się w okolicy, zali spokojnie. Legnijcie sobie, nad wieczór ruszać będziem, nie o śnie przyjdzie się tedy myśleć. Stańko śpi, kieby zabity. Biedne chłopisko, tak pocziwie ze ślepiów mu patrzy, widać, rzekłby jedno i drugie, a tu jeno bełkotanie straszliwe. Ech, gady oni, ci zakonni, gady...

Jeszcze ubiegłej nocy przybyli w kilka koni na starą Bratkową siedzibę puszczańską. Stała tak, jak ją sługa Piotr oporządził przed wyjazdem, już po krzyżackiej gościnie, gdy Wesoły Otto próżno próbował gonić za zbiegiem i tymi, co dali mu pomoc. Trawa porosła nie wydeptane teraz ścieżki, na strychu zagnieździły się wiewiórki, szukające miejsca na sen zimowy. Przy stajni znać było ślady gospodarki niedźwiedzia. Maliniak i leszczyna rozrosły się przez lato, czepiały się ludzkiego odzienia.

Sam dom wyziębły był, na ściany zakradła się pleśń, zatęchła wilgoć razila nozdrza. Mimo grudniowego chłodu długi czas wietrzyli izbę, rozwierając szeroko drzwi i okna. Jednocześnie przez cały czas płonął na palenisku syczący ogień. Zapasy jedzenia wyżarły mrówki, trzeba było zadowolić się tym, co przywieźli ze sobą. Pieniązek na jedno tylko narzekał, że brakło piwa. Bratek śmiał się wtedy serdecznie swoją kosmatą gębą.

Zdawali sobie w pełni sprawę z tego, na co się wazyli. Pchali się śmierci prosto w objęcia, i to śmierci okrutnej, o jakiej najlepsze wyobrażenie mógł mieć pomiędzy nich tylko niemowa Stańko, który wiele lat przeżył na pasłęckim zamku, używany do posług najbardziej sekretnych i ponurych. Mimo to byli w doskonałym nastroju, śmiech często wybuchał w zapuszczonej Bratkowej sadybie.

Od sierpniowych wydarzeń na Nowym Mieście, gdy rota Bratka przesądziła o zawieszeniu w urzędowaniu sprzyjającej Krzyżakom rady miejskiej, Pieniążek zapalał do myśliwca szczerym afektem. We trójkę z Erykiem snuli plany wystawienia potężnej roty, co najmniej z paruset zbrojnych. Bratek zgodził się w końcu przejść pod komendę Pieniążka, zostać jego zastępcą, podobnie jak Eryk. Trudność polegała na tym, że miał już spisany kontrakt i od października objął służbę w wojskach zaciężnych Torunia. Eryk obiecywał, że po powrocie z Wiednia Tielemana vom Wege wystara się przez niego o rozwiązanie Bratkowej umowy.

Były konfederat polski podciągnął tymczasem swych pięćdziesięciu wojaków pod samą granicę, około Nieszawy, stanął tam popasem nie opodal Sandorowych, bobrował po Prusach, wypatrując gdzie by najlepiej było zawrzeć kontrakt na służbę wojskową. Stary zabijaka chciał znaleźć się wśród najmocniejszych walk, przysłużyć się słusznej sprawie, obłowić przy okazji bogactwem zakonnym. Bratek wiernie mu towarzyszył w wędrówkach po kraju, słowo po słowie rozpowiadali jeden drugiemu o sobie, w końcu wyszło na jaw, że i myśliwiec miał do czynienia z ruchem husyckim, przy tej okazji zarabiał kogoś, razem z małym synkiem i resztą skromnego dobytku czym prędzej wynosić się musiał z księstwa mazowieckiego.

Wpólna przeszłość zbliżyła ich jeszcze bardziej. Dalszym zamiarom na przeszkodzie stawał jednak brak odpowiedniej ilości pieniędzy. Bratkowa rota składała się z siedemnastu chłopów, Pieniążek liczył ich blisko trzykroć tyle. Z taką siłą niewiele można było do&onać. Uzbrojenie kosztowało i ceny byle miecza czy kopii wzrastały z każdą godziną. Wtedy po jawił się projekt Stanka. Niemowa należał do roty starego myśliwca. Zwinny, odważny, z mądrym wejrzeniem jasnoniebieskich oczu, snuł się po całych dniach pogrążony w dumaniach. Bratek, który od biedy umiał się z nim zgadać na migi, zapytywał nieraz o przyczynę ponurego nastroju, chłopak tylko trząśł wtedy przecząco głową. Aż dopiero gdy usłyszał, jak Mikołaj wraz z myśliwcem biedzą się, skąd by tu wydostać pieniądze na uzbrojenie nowych żołnierzy, ożywił się, trącił Bratka w ramię, dłońmi ukazał ruch liczenia monety, uśmiechał się przy tym wesoło. Pieniążek popatrzał na niego uważnie, zaciekało go zachowanie kaleki, zwrócił na to uwagę Bratka.

Przez kilka dni na różne sposoby tłumaczył niemowa swój zamiar, kreślił na piasku niezdarne rysunki, bełkotał w podnieceniu, aż wreszcie Bratek zrozumiał. Nie wydało mu się to wszystko, przecząco trząsał głową. Gdy jednak powtórzył wszystko to Pieniążkowi, ten zapalił się do pomysłu.

Niemowa Stańko dopuszczony był w zamku pasłęckim do najbardziej poufnych tajemnic. Ani Henryk von Plauen ani Wesoły Otto nie obawiali się, by człowiek z wyrwanym językiem mógł im w jakikolwiek sposób zaszkodzić. Stańko dostarczał pożywienie więzionym, pomagając im przy tym, na ile tylko było to w jego mocy. Znał skryte przejścia w pasłęckich murach, wiedział o popełnianych zbrodniach i okrucieństwach. Wiedział także o małej izdebce, gdzie chowane były pieniądze i kosztowności, którymi rozporządzał wielki szpitalnik. O te właśnie pieniądze chodziło...

Pasłęcki zamek, jeden z najciekawiej zbudowanych w całych Prusach, gruntownie przerabiany przez Henryka von Plauena przy pomocy sprowadzanych z zagranicy budowniczych, którzy zresztą zginęli potem zdradziecko w lochach pomysłanych przez siebie dla innych, krył wiele tajemnic nie znanych nawet Krzyżakom. Rycerze zakonni, zamieszkujący zamek, nie wiedzieli o dziesiątkach przejść, o skrytkach i studniach pomiędzy murami, o przestronnych komnatach z zamaskowanymi wejściami. Wiedział jednak o nich niemowa Stańko. Z jednymi nie kryli się przed nim władcy zamczyska, inne sam przejrzał, nocami i dniami snując się po korytarzach i salach.

Pasłek posiadał przejście od zewnątrz, zamaskowane tak dobrze, że nawet długie poszukiwania nie pozwalały go odkryć. Przejściem tym posługiwał się czasem wielki szpitalnik i stąd Stańko wpadł na trop tajemnicy. Tędy pragnął dostać się teraz do zamku i wykraść pieniądze tak bardzo potrzebne obu rotmistrzom.

Eryk początkowo dopuszczony był do tajemnicy, ale po pewnym czasie Pieniążek zdecydował, że nie powinni ryzykować wszyscy razem. Wiedząc jednak, że Eryk zaprotestowałby ostro przeciw osłanianiu go przed niebezpieczeństwem, udał, że zaniechali już z Bratkiem swojego zamiaru. Młodzieniec przeczuwał coś, z żalem spoglądał na Pieniążka, nie mówił jednak nic, troszczył się tylko jak najbardziej o powierzony sobie oddział żołnierzy, prowadził z nimi ćwiczenia, sam wiele się uczył od starych zabijaków, między którymi nie brakło dawnych druhow rotmistrza. Czasami odwiedzał stacjonującego nieopodal ze swym oddziałem Sandora, razem niecierpliwili się oczekując na pewną już, ich zdaniem, zbrojną rozprawę z Zakonem.

Sandor szczerze polubił młodzieńca i nie pochwałował stanowiska Piotra z Wikliny, który tak ostro skarcił Eryka. Wiedział, że młody jego przyjaciel męczy się w beczynnym

oczekiwaniu i dlatego z chwilą, gdy Jan z Jani zapowiedział wyjazd do ksiąząt mazowieckich, za ochoczym zezwoleniem Pieniążka włączył do pocztu także Eryka. Przed kilku dniami opuścili właśnie Nieszawę, dążąc na Płock i Wyszogród.

- A my na Pasłek! - szepnął wtedy Pieniążek Bratkowi, zacierając z rozradowaniem rękę. - Albo głowy w onym zamczysku ostawim, też strata mała, raz niedźwiedziowi śmierć, albo się rotę z twoich chłopów sporządzi, że drugiej takiej nie szukaj. To ci gratka, jak mi miecz miły, jeśli sprzątniem panom rycerzom kradziony grosz...

Czerwona gęba promieniała mu przy tych słowach z radości, a zarażony entuzjazmem rotmistrza Bratek również mlaskał w zachwycie grubymi wargami. Oprócz nich i Stanka, pojechał jeszcze młodszy Bratek, sługa Piotr i owych dwóch chłopów, którzy pomagali przy ucieczce Piotra z Wikliny. Uznali, że w siedmiu najlepiej sobie poradzą. Większą kupą byłoby niebezpiecznie, zbyt łatwo wypatrzeć by mogły ich wrogie oczy.

Oczekiwali teraz zmroku, aby pod jego osłoną niepostrzeżenie podsunąć się pod mury pasłęckiego zamku.

Grudniowy dzień był krótki, nawisły mgłą i wilgocią. Pojedli suto pieczoną sarniną, ubitą nad ranem przez Bratka, zdecydowali ostatecznie, kto będzie znajdował się poza murami, przy koniach i przy wejściu do lochu, kto zaś razem ze Stankiem wędruje się do obwarowanego zamczyska. Po długich sporach zdecydowano, że niemowię towarzyszyć będą Pieniążek i młody Bratek. Zaraz potem spadł nagle mrok, szarą mazią rozlał się nad polaną. Konie trwożyły się, wyjeżdżając z Bratkowej polany w ciemną puszczy.

Prowadził stary Bratek, znający tu każde drzewo i każdą ścieżynę. Lasami można się było dostać aż pod sam Pasłek. Milczeli wszyscy, skupieni, jeszcze raz rozważając szczegóły szaleńczej wyprawy. Po pewnym czasie wychynęli na leśną drogę, pomknęli szybciej. Z obu stron zaciskała ich czarna linia lasu, niosły się z niej nocne pogłosy, ucichały za zbliżaniem się jezdnych.

Pieniążek gnał obok Stanka, konie ich ocierały się niemal bokami o siebie. Gdy w rzadkich prześwitach przez puszczy można było przebiec oczyma dookolną czerń, rycerz zerkał na twarz niemowię. Rysował się na niej wyraźny uśmiech. Stańko cieszył się, oto rozpoczynał sycić swą zemstę za wyrwany za młodu język, za ponurą, hańbiącą służbę u krzyżackich panów. Z wbitymi przed siebie oczyma rwał za Bratkiem pragnąc, by Pasłek jak najprędzej wyłonił się już przed nimi...

Odetchnęli wszyscy z ulgą, gdy Bratek zwolnił wreszcie, a potem zjechał w bok, pod jeszcze głębszy cień drzew. Uważnie przyjrzał się niebu. Nie wyglądało, aby się miało przejaśnić. Ciemne chmury zwiślały nad ziemią niskim pułapem.

- Wy dwaj podprowadzicie konie na sam skraj lasu, stamtąd już i stajania nie ma do zamku... Będziecie czekali, aż dam znak umówiony, znaczy, iż wszystko dobrze. Jeśli zaś pomoc będzie potrzebna, gwizdu słuchajcie, biecicie tedy co sił - powiedział Bratek do chłopów ze swojej roty.

Odczekali chwilę, aż tamci, zebrawszy uzdy wszystkich koni, brzegiem lasu ostrożnie pociągnęli w stronę Pasłęka. Dopiero wtedy całą piątką ruszyli cichym krokiem przed siebie. Według informacji Stanka tajne wejście znajdowało się od wschodniej strony zamku, o dwieście kroków od murów, przy małych chełmach porośniętych niskimi krzewami. Leżało tam sporo głazów i dużych kamieni. Ta strona przedzamcza nie była zabudowana, chaty ludności osiadłej na woli zamkowej rozciągały się od południa i zachodu. Należało je obejść szerokim kręgiem. Szli jak można najciszej, mimo to w oddali rozszczękał się któryś z czujniejszych psów. Inne włączyły się do wtóru. Przysiedli, wyczekując, aż się uspokoi zupełnie.

- Trzeba było zatoczyć większy krąg - szepnął Bratek do ucha rycerza.

Pieniążek lekceważąco strzepnął dłonią. Był w doskonałym nastroju, rwało się w nim wszystko do bliskiej przygody.

Dotarli wreszcie na miejsce. Nie można było stąd dostrzec nawet zarysów przy zamkowych chałup. Na otwartej płaszczyźnie jaśniej było cokolwiek i wysokie, obwiedzione szeroką fosą mury zamku znaczyły się złowrogim pasem. Barczysty Piotr pogroził zaciśniętą pięścią w ich stronę. Teren był rzeczywiście pofałdowany maleńkimi pagóreczkami, gęsto porośniętymi krzewami. Co krok piętrzyły się między nimi zwaliska kamieni. Przystanęli w pewnej chwili, tylko Stańko przychyłony ku ziemi jak pies myśliwski wietrzący za zdobyczą, myszkował bezszelestnie poszukując ukrytego wejścia. Widzieli zarysy jego sylwetki, jak schylał się i znów prostował, szedł naprzód i znowu zawracał, wymachiwał przy tym rękami, jakby się niecierpliwił.

- Strzeż Boże, by nie znalazł po ciemku! - zatrwożył się nagle Bratek.

Pieniążek przesądnie splunął sobie pod nogi.

- Znalazł, kiwa ręką, by iść do niego - szepnął Jan Bratek, który miał najbystrzejsze oczy.

Otoczyli niemowę, próżno próbując odnaleźć wokoło siebie wejście do podziemnego lochu. Leżało tu tylko więcej kalfieni, tak samo rosły pomiędzy nimi krzaki, teren zdawał się nawet równiejszy aniżeli o parę kroków dalej.

Niemowa zaburczał coś, schylił się, odsunął na stronę jeden z kamieni, skryty między rozłożystymi krzakami. Ujrzeni w tym miejscu czarny otwór, mało co szerszy od ciała człowieka. Stańko uśmiechał się. Panu Mikołajowi na małą chwilę zrobiło się nieprzyjemnie,

dotąd nie próbował jeszcze grzebać się pod ziemią jak kret. Przeżegnał się, od nowa wstąpiła weń otucha. Stańko zwinnie wsunął się w otwór, zginął w nim, po małej dopiero chwili dostrzegł Pieniążek wysuwającą się do niego rękę kaleki. Zanurzył się w wąski otwór, bijący w nos jakąś straszną tęchlizną. W ślad za nim zniknął sprzed oczu pozostających na powierzchni i młody Bratek.

Po paru krokach loch skręcał silnie na prawo i rozszerzał się teraz tak znacznie, że można się było wyprostować nieomal na całą wysokość. Pieniążek trzymał się kroczącego przed nim niemowy, stąpał ostrożnie, aby kroki nie dudniły zbyt mocno, klął na strasliwą, nieprzeniknioną ciemność. Za sobą czuł mocny oddech Bratka. W pewnej chwili potknął się o jakiś kamień, głucho echo poniosło się korytarzem, Stańko znieruchomiał, położył dłoń na ustach szlachcica.

- Jak miecz mój miły, cóż w tej ciemności poradzę?... - użalił się nad sobą Pieniążek.

Ruszyli dalej. Idącym w ślady niemowy zdawało się, że przeszli już dobrą staję. W pewnej chwili poczuli pod nogami maziste błoto. Pieniążek domyślił się, że przechodzą teraz pod fosą. Woda przeciskała się przez sklepienie, stąd błoto i wilgły zaduch w tajemnym przejściu. Jak na potwierdzenie tej myśli, kilka kropel wody skapnęło mu za kołnierz.

Złe samopoczucie minęło w tej samej chwili. Były partyzant królowej Zofii próbował liczyć kroki, przypominał też opis drogi, jaki rozeznac mogli z rysunków i gestów niemowy. Wyjście z lochu wiodło przez studnię w wieży, przytykającej bokiem do zamku. Wieża ta mieściła cele więzienne, sięgając na kilka pięter pod ziemię. Urządzenie było doskonale przemyślane, z drugiej strony wieży znajdowała się bowiem podobna studnia, ale o wyższym poziomie. W razie potrzeby wystarczyło tylko podnieść żelazną zaporę i wlewającą się małym korytarzykiem woda podniosłaby poziom pierwszej studni, aż ponad poziom wewnętrznego wejścia do lochu.

Stańko szedł coraz wolniej, chwilami przystawał, nasłuchiwał. Zaduch spleśniałej wilgoci stał się jeszcze silniejszy. Nad nimi zabrzczało coś ponuro, jakby ktoś szarpał żelazem. Z boku znów dobiegło przenikliwe, przygłuszone kamienną przegrodą ni to wycie, ni chichot. Pieniążek czuł, jak trzymający go za rękę Jan wzdrygnął się. I jemu samemu też zrobiło się straszno. Dopiero uświadomił sobie, że to nie upiory, a nieszczęśni więźniowie. Stańko na swój sposób tłumaczył im przecież, że wokoło studni położone są małe kłitki, w których Henryk von Plauen więzi i uśmierca swych wrogów. Aż się pięści zacisnęły na tę myśl, krwawe pragnienie zdybania wielkiego szpitalnika wypełniło serce rycerza.

Na przestrzeni paru łokci korytarz obniżał się teraz ostrym spadem. Ze zdwojoną ostrożnością zrobili kilka kroków po umykającym spod nóg śliskim gruncie.

Niemowa stanął, czuli, że nogą maca przed sobą. Puścił rękę Pieniążka, osunęła się jakaś kruszyna cegły czy zaprawy murarskiej, rozległ się lekki plusk. Byli już zatem przy studni. Stańko zniknął, pan Mikołaj przesunął stopę, namacał nią próżnię, znowu plusnął o wodę strącony kamyczek. Wyczuł teraz dłoń Stanka na swojej głowie. Przypomniał, że według rysunku na brzegach studni wykute są w kamieniu wgłębienia, a gdzieś tam wbite żelazne klamry. Wodził po ścianie rękami, wyczuł żelazo, spróbował czy mocne, postawił nogę. Cichutko, lekkim jak oddech szeptem wionął do trzymającego się go Bratka:

- Szukaj klamr...

Studnia była wąska, rozkraczając nogi dotykało się nimi obu jej brzegów. Pan Mikołaj wspinał się bardzo wolno, gruntownie wypróbując uprzednio każdą klamrę i każde wgłębienie w obramowaniu studni. Wgłębienia były śliskie, noga mogła się z nich każdej chwili osunąć. Rycerz pragnął, aby jak najszybciej znaleźć się już na górze. Stańko podawał mu rękę. Stanął nad zrębem studni. Bratek wydrapał się również nadspodziewanie prędko.

Dopiero teraz niemowa odzyskał pełną swobodę ruchów. Prowadził ich jakimś korytarzem, potem kręconymi schodami, znów stanęli w szerszej komorze, co zresztą wyczuwali tylko, ciemność bowiem panowała wszędzie nieprzenikniona. Trzymali się stale ubrania Stanka, sami nie zrobiliby kroku naprzód bez uprzedniego długiego obmacywania ścian.

Niemowa pociągnął Pieniążka za włosy. Był to umówiony znak, że teraz na chwilę zostawi ich samych, aby rozejrzeć się w najbliższej okolicy, czy nie grozi jakieś niebezpieczeństwo. Zaszleściły kroki chłopca, zaginęły zaraz, pozostała tylko drażniąca w uszach cisza. I nagle przerwał ją dochodzący nie wiedzieć skąd, z dołu, z boku czy z góry straszliwy chichot, nieludzki, jakiś szaleńczy. Bratek odruchowo złapał Pieniążka za ramię. Rycerz przełknął ślinę. „Piekielna katownia” - pomyślał ponuro.

Odskoczył w bok, pociągając za sobą Bratka. O kilka kroków przed nimi zabłysło nagle światło. Lekko szczyknął sztylet, wydobyty przez rycerza, w blasku światła zamigotał podobny w ręku młodego Bratka. Pieniążek zdążył jeszcze pomyśleć, że chłopak jest sprytniejszy niżli się tego po nim spodziewał, skulił się w sobie jak do skoku, ale zaraz odetchnął z ulgą. Obok płomienia woskowej świecy dostrzegł uśmiechniętą dziwnie twarz niemowy. Stańko starannie osłaniał dłonią płomień świecy, aby blask jej nie wydostawał się na zewnątrz.

Byli w małej komnatce mierzącej nie więcej nad cztery kroki wszerz i wzdłuż. Pusta była, tylko przy każdej ze ścian zwiisały olbrzymie, zardzewiałe łańcuchy, przymocowane do haków wmurowanych w cegłę. Małe, podłużne okienko mieściło się nad ich głowami, tuż pod

powalą. Rycerz przypomniał sobie opowiadanie o uwolnieniu Piotra z Wikliny, pomyślał, że przez podobne okienko uciekinierzy musieli się zsuwać po linie.

Przesunęli się do drugiej izby, mniejszej, stamtąd korytarzykiem wyszli na schody prowadzące w dół. Byli widocznie u szczytu wieży, teraz drugimi schodami przedostali się do części bezpośrednio przyległej do właściwego zamku. Stańko podał świecę Pieniżkowi, uśmiechnął się szeroko, zniknął znów bezszelestnie.

Bratek stał oparty o ścianę, oddychał ciężko. Barczysty, w lasach wyrosły, nie był przyzwyczajony do dusznej, nasiąkłej wilgocią i stęchlizną, ciasnej przestrzeni starych murów. W rękę trzymał sztylet rzucający blaskami przy świetle woskówki.

Gdy znowu ruszyli przed siebie, Stańko ciągle trzymał palec na ustach. Szerokim, normalnym już korytarzem dotarli do jego końca, gdzie znajdowało się dwoje drzwi. Stańko otworzył mniejsze, zapiszczały nie oliwione zawiasy, dźwięk rozszedł się echem po korytarzu, powiał nim jakiś przeciąg, płomień świecy zamigotał niebezpiecznie, Pieniżek w ostatniej chwili zasłonił go ręką. Byli w niewielkiej, wysłanej dywanami komnacie. Pośrodku stał stół, na nim dzban, ku serdecznemu westchnieniu Pieniżka zupełnie próżny. Ława rzeźbiona i dwa krzesła dopełniały umeblowania.

Towarzysze niemowly rozglądali się dokoła w zdumieniu. Z komnaty tej nie wiodły już dalsze drzwi. Co się stało? Czyżby Stańko zabłądził? Ale nie, bo oto ze swoim dziwnym, nie odstępującym go dzisiaj uśmiechem napał w jednym rogu na ścianę. Ta przesunęła się ukazując otwór wysokości człowieka. Wsunęli się przez niego. Byli w ciasnej kliteczce, nie mającej ponad sześć łokci szerokości. Przy ścianie stały kowane dwie skrzynie. Oczy rycerza zabłyśły. A więc jednak dotarli. Stańko mocował się z wiekiem skrzyni, ciężkie było, podnosił je z wysiłkiem. Zajrzeli, z ust Pieniżka wybiegła półgłówna kłątwa.

- Do stu szatanów, pusto!

Stańko również patrzył z wyrazem olbrzymiego rozczarowania na twarzy. Jakby nie wierząc sam sobie, przeciągnął dłonią po dnie skrzyni. Na palcach zostały ślady kurzu.(

Z trwogą podnieśli następne wieko. Na dnie leżały niewielkie dwa mieszki. Ciężkie były. Pieniżek rozwikłał supeł, ujrzał złote guldeny. Przyjaźnie poklepał Stanka po ramieniu, szepnął smutnemu niemowli do ucha:

- Starczy nam tego. To spory majątek. Z pięć dziesiątków zbrojnych za to najmiemy...

Bratek potakiwał przyjaźnie. Stankowi to jednak nie wystarczało. Na twarzy jego znać było intensywne myślenie, jakby sobie coś przypominał. Zamamrotał, uśmiechnął się porozumiewawczo. „Co mu przychodzi do głowy”?, przestraszył się Pieniżek, dla upewnienia się powiedział cicho:

- Wystarczy, nie próbuj niczego więcej, bo i to gotowiśmy stracić.

Stańko przecząco potrząsnął głową. Coś pokazywał rysując na dłoni, obaj jego towarzysze nie mogli jednak nic wyrozumieć. Odetchnęli, gdy wyruszyli w powrotną drogę. W jakimś pokoju Stańko oderwał kawał materii od zwisającej z haka przybrudzonej odzieży. Schował do kieszeni. Nie mieli pojęcia na co mu to potrzebne.

Wreszcie dobrnęli do studni. Pieniązkowi strzeliło na moment do głowy, czy by nie uwolnić przy okazji któregoś z więźniów krzyżackich. Wskazał Stankowi na ścianę, zza której dochodziło pobrzękiwanie łańcuchami i przytłumiony jęk, niemowa jednak potrząsnął głową ze stanowczym przeczeniem. Nakreślił przy tym kilkakrotnie kółko na czole, jakby chciał przez to powiedzieć, że znajdują się tam już tylko wariaci. Pieniązek nie był pewien czy dobrze odgaduje. W każdym razie bez pomocy Stanka nie można było myśleć o jakimś zamiarze. Sami nie daliby rady w piekielnym labiryncie.

Niemowa niecierpliwie szarpał ich za ubrania, wskazując na studnię. Świecełka dopalała się. Zobaczyli czarną głąb, zrobiło się im nieprzyjemnie. Bratek i Pieniązek włożyli każdy po mieszkę za pazuchę, powoli, ostrożnie macając spuszczaali się w głąb ponurej czeluści. Z ulgą wyczuli wejście do lochu, wsunęli się tam, wdrapali krótką stromizną na górę, zmęczeni stanęli na równym gruncie, schylając karki, aby głową nie uderzyć o powałę.

Niemowa pociągnął znów Pieniązka za włosy. Rycerz nie mógł pojąć, co Stańko chce jeszcze obecnie sprawdzić. W tej samej chwili z przerażeniem usłyszał, że tamten drapie się z powrotem do góry.

- Jak mi miecz miły, lezie znowu do zamku...

- Zatrzymaj go U

Pieniązek chciał wpląć, w ostatniej chwili trzasnął się dłonią w usta. Jeszcze biedy by napytali. Ale co teraz czynić? Iść korytarzem czy czekać na Stanka? Może on wyczuł coś, o czym oni nie mają pojęcia? Trudno, trzeba czekać... Zrezygnowani oparli się o wilgotną ścianę. W ciężkim, nigdy nie odświeżanym powietrzu trudno było oddychać. Rycerz czuł, jak mu pot występuje na czoło, zalewa twarz. Bratek sapął opodal jak ciężko zgoniony pies.

Minuty mijały, nie mieli pojęcia, jak długo już stoją tutaj w trwodze oczekiwania. Stańko nie wracał. Różne myśli zaczęły przychodzić Pieniązkowi do głowy. Może zostali dostrzeżeni, wyjście z korytarza jest zamknięte, Bratka i Piotra pojmano, na nich zastawiono pułapkę? Może Stańko szuka teraz wyjścia, zna przecież zakamarki zamkowe jak własną kieszeń.

- Można już było dwa razy dojść do skrzyni i wrócić - szepnął Jan, dyszący coraz to głośniej. W lochu robiło się duszno, jednocześnie zaś od muru ciągnął przenikający chłód.

Z daleka, z daleka zabrzmiały nagle jakieś hałasy, jakby ktoś rzucał czymś ciężkim. Ucichło, potem dobiegło dalekie echo wołania. Pieniążek drgnął, - puścił się ku studni, nasłuchiwał. Stąd lepiej było słyszeć gwar, tupot, krzyki, wszystko przytłumione, nie wiedzieć, dalekie czy bliskie. „Ani chybi, pojмали chłopca”, pomyślał. W tej samej chwili usłyszał, jak ktoś opuszcza się szybko po zrębowinie studni. Cofnął się do tyłu, nie zdążył, gdy znacznie już bliżej rozległ się straszliwy zgrzyt, nagle chlusnęła woda, do połowy zalała drapiącego się do dalszej części korytarza Pieniążka. Macając na ślepo, mokrego uchwycił Bratek. Porwali się do ucieczki w głąb korytarza, nieświadomi co się stało, pewni tylko jednego, że ich wyprawę odkryto, że teraz pozostaje tylko ucieczka. Ale co Stańko? Czy woda go zatopiła?

Pieniążek stanął, rzucił się z powrotem. Może jeszcze uda się dopomóc dzielnemu chłopcu. Trzeba szukać ratunku. Pożałował, że nie zabrał ze sobą hubki i krzesiwa, zaraz odrzucił tę myśl, przecie brak czasu na krzesanie, zresztą co z ognia, kiedy nie ma nim co zapalać, bo i świeca też była potrzebna.

Pośliznął się na wilgotnym gruncie, po kolana runął w wodę, złapał się dłonią za jakiś występ muru, w tej samej chwili z ogromną siłą grzmotnęło go coś w kolana, w brzuch, aż zajęknął, razem usłyszał przenikliwy bełkot niemowy. Zrozumiał, że nurkując pod wodą, Stańko wyratował się w końcu. Gramolił się na nogi, niemowa zaraz go porwał za rękę, dogonili Bratka, nie rozumiejącego, co się dzieje, bezradnego zupełnie.

- Naprzód, Janie, co tchu! - rzucił mu Pieniążek. Obijali się w ciemności o ściany, kaleczyli głowy, ranili ręce. Biegli tak, potykali się, któryś padał, podnosili go, znów biegli. Jeszcze zakręt, ach tak, to już blisko wylotu. Dostrzegli jaśniejszy trochę, niekształtny otwór. Zamajaczyły w mroku jakieś cienie, to czuwali zaniepokojeni towarzysze, zaglądając do wnętrza lochu. Podali ręce, wyciągnęli. Stary Bratek obejmował komendę:

- Tam gwałt na murach! Most zwodzony spuszcza ją, pochodnie palą. Wraz tu będą!

Porwali się nie bacząc na hałas, po drodze stary myśliwiec zahukał trzykrotnie jak puhacz, potem jeszcze raz. Gdzieś już poza murami zabrzmiały głosy, tupot nóg, gonił za nimi potężny krzyk. Zziązani dopadli wreszcie lasu, do swoich.

Wskakiwali na konie, z miejsca zrywali do biegu. Pieniążek zauważył, że Stańko zesłał nagle, nie może dosięść konia. Zeskoczył na ziemię, pomógł niemowie.

Za nimi dudniła już ziemia pod kopytami końskimi. Trudno się było połapać w tym całym chaosie, z której strony i co? Bratek pawował jeszcze:

- Jak gwizdnę, wraz wszyscy hamować, zsiadać z koni...

Nie bardzo rozumieli, co to ma znaczyć, nie pytali. Jeśli ich nie pojماją teraz, to jedynie dzięki zręczności starego myśliwca. Z szerszej drogi skręcili w zarośla pozbawione liści, gałęzie uderzały ich po głowach i twarzach, wypadli na mokrą łączkę, okrążyli ją brzegiem, znów gnali nieznaną drogą, za nimi pędziły okrzyki, tętent, szum jakiś nie rozeznanym.

Zboczyli w las, pomiędzy rosły drzewa. Bratek gwizdnął. Zahamowali, koń Pieniążka przysiadł zupełnie na zadzie, zeskakowali. Stary myśliwiec uważnie nasłuchiwał rozgwaru, jaki dochodził jak gdyby od kilku stron jednocześnie. Potem rzekł cicho.

- Cięższa tutaj przeprawa...

Z daleka zamigotało jakieś światło, potem znikło.

- Pochodnie, ze światłem lecą. Gdyby minutka później, źle byłaby! A to nie wiedzą, kędyśmy się podzieli... Teraz wiązać koniom kopyta! Szmaty z karków, nie żałować! Ciepło nam będzie i tak, choć przymrozek dziś przychwycił niezgorszy... - nuta dawnej przekpiny zabrzmiała w głosie myśliwca.

Zakrzętnęli się gorliwie, zdejmowali kubraki, rwali w kawały, wiązali koniom kopyta. Bratek starannie obejrzał wszystko, potem odetchnął z ulgą. Bo i zacichło już wkoło, tylko z bardzo daleka niosły się jakieś odgłosy.

- Odetchnijmy krzywą. Co się to stało? Zobaczyliśmy raptem ruch na murach, światła, wraz podniosły się krzyki, gwałt, most spuszczać zaczęli, a was wciąż nie ma...

- Nie wiem. Stańko zawrócił raz jeszcze, diabli go wiedzą, po co i dlaczego - z niechęcią odburknął Pieniążek.

Stary wyjadacz czuł, że niemowa niepotrzebnie wpakował ich w jakąś kabałę, ale nie chciał od razu źle sądzić. Będzie czas, aby się sierzcić... Zdziwił się, gdy obok siebie ujrzał nagle twarz Stanka, jego roziskrzone oczy, a potem wyczuł dotyk ręki i pociągnięcie jej ku pierścionom. Za pazuchą Stańko miał coś twardego. Pieniążek zdziwił się, nie było jednak czasu wywiadywać się bliżej, bo Bratek dał sygnał odjazdu.

Ruszyli wolno, konie nie robiły zupełnie hałasu stąpając owiniętymi w szmaty nogami. Przesmykiwali się między drzewami, przecinali drogi w poprzek, ciągnęli tylko lasami.

Świt dawno już zaróżowił drzewa, a oni przedzierali się jeszcze przez las. Szron pokrył ziemię, chłód wstrząsał jeźdźcami. Konie były zmęczone, dyszały ciężko.

Patrzyli czasem na swoje twarze, jakby w zawstyżeniu uśmiechali się leciusieńko. Tylko Stańko i stary Bratek byli w dobrych humorach.

Wyjechali wreszcie na małą polankę. W rogu jej stał duży szałas sklecony z gałęzi, kryty jodłowymi łapkami, żółkłyymi zupełnie.

- No, teraz możemy odpocząć, jest tam jeszcze nieco strawy przy trokach... Nikt nas tu nie wynajdzie, bo bagna wokoło, a drogi, którą was prowadziłem, nie zna nikt spośród Krzyżaków... Nie próżnom z górą dwadzieścia lat w tej puszczy przesiedział - z przechwałką w głosie rzekł Bratek.

- Ogień można rozpałcić? - szcękając zębami zapytał Piotr.

- Można, można - pobłażliwie pokiwał myśliwy głową, skinął na Stanka. - No, chodźże tu, tłumacz, jako to było...

Nożem wyciął jeszcze mech na małej przestrzeni, wygładził ziemię, aby niemowa mógł sobie dopomóc rysunkiem. Pieniążek, patrzał, próbował coś wyrozumieć z kresek rysowanych patykiem przez Stanka, z jego gestów i chrypliwego bełkotu, zrezygnował w końcu, odszedł do ognia, bo mu się zęby nie schodziły ze sobą od chłodu.

Bratek zdumiony trząsał głową, cmokał, spluwał, wreszcie wziął w dłonie zawiniątko, które podawał mu Stańko. Rozwinął je, błysnęło skrami, ukazały się zawinięte w szmatę piękne zausznice, pierścienie i wspaniały naszyjnik. Pieniążek spojrział, zdumiał się, raptem odeszła go złość, wybuchnął śmiechem.

- Nie wiem ci skąd, ale się szelma postarał! Toż to wielgachny majątek. Fiu, jak mi miecz miły, czego to po zamkach zakonnych należeć nie można...

- Sprawa dziwna, aże się wierzyć nie chce - odetchnął wreszcie Bratek. - Słuchajże Stańko, bacz czym wyrozumiał dobrze... Pomnicie, prawil on coś tam dawniej, że jakowaś kobieta wielkiej piękności kochanicą jest Henryka von Plauena, który ją w Elblągu albo w Pasłęku trzyma w wielkiej skrytości. Tak że to Stańko?

Niemowa potaknął z uśmiechem na bladej twarzy.

Bratek mówił dalej.

- Zatem, skoro niebardzo się wam powiodło z owymi skrzyniami, gdzieście jeno dwa mieszki naleźli, Stańko zamyślił nawiedzić ową kochanicę Plauena, do której komnat dojście tajne też znał. Tako i zrobił. Wystraszyła się go straszliwie, gdy z nagłą wszedł, zdusił ją, szmatę jakąś do gęby wepchnąwszy... Tedy zdzierać jął one kosztowne świecidła... Słyszcy, krzyczy ktoś, tyle że w bok odskoczył, a tu wielki szpitalnik, który nadszedł w ten czas. Zwarli się, Stańko, że młodszy i zwinniejszy, zdolil jeszcze tajnym wyjściem uskoczyć, ku wam biegł. Ten gwałtu wołając, za nim. Pojął, że Stańko przez loch tajny ucieka, wodę jakąś puścił, którać was mało nie utopiła... Tak że to, Stańko?

Pieniążek wytrzeszczał oczy, z podziwem spoglądał na niemowę. Zrozumiał teraz, po co Stankowi potrzebna była szmata, oderwana z odzieży wiszącej na haku w komnatce, którą mijali w powrotnej drodze; ze skarbca. Bratek, uspokojony potakiwaniem niemowy, kończył opowieść:

- Onże tam znurkował, cud chyba to jakiś, wedle mojego pojęcia. Ale do was dotarł. No i tyle... Dalej już wiecie i ja wiern... Tfu, ryzykant z tego chłopaka, żeśmy samemu wielkiemu szpitalnikowi krwi dzisiaj napsuli niemało. Stańko, hę, a teźże kochanicy jego tyś nic inszego kromia zduszenia nie uczynił, hę, gadaj? - Bratek śmiał się, aż mu latała brodata, zarośniętą grdyka. Zapatrzył się na niemowę, coś mu się nagle nie spodobało, przechylił się bliżej. - Co ci? Choryś? O, i krew, gadajże wraz... Tfu, gadać on przecie nie umie... Coć jest?

Stańko podniósł rękę, ukazał nią w stronę pleców.

Położyli go około ognia, ściągęli przyodziewę. Ciało zlane było krwią, na plecach widniała głęboka rana...

- To wielki szpitalnik tak cię pchnął, hę? - cichutko zapytał Bratek.

Stańko pokiwał głową. Twarz miał teraz straszliwie wybladłą, oczy przymykały mu się, nie wiedzieć z bólu bardziej czy ze zmęczenia.

Bratek troskliwie zajął się raną, opatrzył ją, przewiązał podartą na pasy własną koszulą. Pieniążek zapytywał go wzrokiem o stan rannego.

- Wyliże się, jeno opiekę trzeba dać dobrą... W drogę jemu nie pora. Nie... - pokręcił w strapieniu głową.

Stańko leżał z przymkniętymi oczyma. Dookoła rozchodziło się przyjemne ciepło od trzaskającego wesoło ognia. Bratek nakarmił niemowę, jak troskliwa matka wlewał mu do ust gorącą wodę, zagraną w podróżnym garnczku. Sam jednak nie jadł z innymi, pogrążony w głębokich rozrmyślaniach. Wreszcie stuknął dłonią o dłoń, mruknął:

- Tak, inaczej nie może być...

- Co być nie może? - podniósł oczy Pieniążek.

- Nie może być, bym jechał wraz z wami. Wy odpocząwszy nie mieszkając ruszycie w drogę. Jan zna te strony tak dobrze jak ja. Przewiedzie was bokami, że diabła zje pogoń, nim was odnajdzie. Ja z nim ostanę, tyle, że przewiodę was mały kawałek drogi, mam tu smolarzy znajomych, ziół jakich dla leczenia i stawy poproszę. Swojaki to wszystko, tu cały las wrogi Krzyżakom na śmierć i życie... - Przypomniał coś sobie, dodał. - A wy tam pocznijcie rotę sposobić, jest za co... Tyle guldenów, a jeszcze te cacka, dziesięć razy tyle na pewno warte...

Na ostatnie słowa myśliwca Stańko otworzył oczy, przecząco potrząsnął głową, jakiś dźwięk wyrwał mu się z gardła.

- Co nie? - zdumiał się myśliwy. Patrzył na niemowę nie rozumiejąc.

Wtedy Stańko z wysiłkiem wskazał na zawiniątko z klejnotami, zamachał ręką na znak przeczenia.

- Klejnotów nie chce dać na zacieźników dla naszej roty? - Bratek sam nie wierzył swoim słowom.

Nadspodziewanie Stańko potwierdził.

- To co z nimi chcesz zrobić? He? - gniewnie już natarł myśliwy.

Niemowa bełkotał coś, pokazywał ślizgającym ruchem palców po ziemi, nie mogli go wyrozumieć. Wtedy ukazał nóż, prosząc, aby Bratek oczyścił ze mchu kawałek ziemi.

Powoli, z mozołem, jął coś wtedy rysować. Bratek długo wpatrywał się w rysunek, wciąż nie pojmował.

- Ociec, toż to jaszczurka pewnikiem - domyślił się wreszcie Jan.

Stańko rozradowany pokiwał głową.

- He, jakże to pojąć? Jaszczurka, jaszczurka. Wiem już, jaszczurkowym rycerzom myślisz dać owe klejnoty? Żeby oni zrobili z tym co będzie potrzeba? Ale gdzież ja ci jaszczurkowców odszukam, synku? Gdyby tak Tajnej Radzie Związkowej, insza rzecz. Wraz bym na ratusz zaniósł toruński... - powoli, jakby w zawstydzeniu mówił Bratek.

Niemowa uśmiechnął się leciusieńko swymi.bezkrwistymi wargami, przymknął znowu zmęczone powieki.

Pieniążek stał, przygryzał wargi, potem nieznacznie przewinął wierzchem dłoni po oczach.

- Tfu, jak mi miecz miły, rację ma... Związkowi Pruskiemu pieniądze z klejnotów tych muszą służyć... Toż i tak z pruskiego potu kupował je wielki szpitalnik swej kochanicy...

Mruczał coś jeszcze zacny rycerz do siebie, potem burknął do Bratka, który również miał niewyraźną minę.,

- Ale guldeny przy nas ostaną. Jako zamysłili, chłopską rotę będziemy tworzyć. Nie tak to, Bratek?

- Tako musi i być! - twardo przytaknął myśliwiec.

Pieniążek odzyskał już zwykły swój nastrój. Całą siłą klepnął druha po ramieniu.

- Jak mi miecz miły, Bratek, dobrze nam pójdzie! Daliśmy radę dzisiaj von Plauenowi, damy radę inszym Krzyżakom.

Złapali się w objęcia jak dwa niedźwiedzie przy wesołej zabawie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Sarnowo, włość rodowa Swinków, leżało pomiędzy Raciążem a Płońskiem. Jan z Jani zamierzał skierować się najpierw do Płońska, by tam uzyskać przyjęcie przez księcia Bolesława, potem dopiero ruszyć do Płocka, gdzie liczył wiele na pomoc biskupa, Pawła Giżyckiego, przeciwstawiającego się ostatnio polityce mazowieckiej kardynała.

Po drodze dowiedział się, iż Świnka rzeczywiście choruje ciężko od paru tygodni, a wzywany medyk biskupi beznadziejnie rozkładał ręce mówiąc, że nic już tu nie pomoże i każdego dnia czekać należy końca. Wobec tej wiadomości zrezygnował stary rycerz z pierwotnego zamiaru zjeżdżania do Sarnowa z całym swoim trzydziestoosobowym pocztem zbrojnych. Oddział zatrzymał się w wiosce za Drobinem, godzinę drogi wierzchem od posiadłości Świnki.

W towarzystwie Sandora Wielkiego, Eryka i przybocznego kancelisty zaraz po południu zjawił się Jan z Jani przed dworem schorowanego wroga Bażyńskich.

399 - Samo już otoczenie zrobiło na przybyszach przykre wrażenie. Płoty waliły się, w dachu potężnej stodoły widniały dziury nie łatane przez nikogo od lat, budynek mieszkalny sprawiał wrażenie ruiny. Wychudłe psy zajadle obszczekiwały jezdnych. Długi czas nikt nie pojawił się na przywitanie gości. Wreszcie ukazała się na progu kobieta o steranej twarzy, przyjrzała się bacznie przybyłym, zniknęła w sieni i dopiero wtedy wyszedł stary człowiek w podniszczonej odzieży, skłonił się pytając gderliwie:

- Pan mój pyta, zali nie od pruskich związkowców zjeżdżają ku niemu wysłańcy. Jeślić tak, rad prosi o wniście.

- Oznajmcie Jana z Jani z towarzyszami - zsiadając z konia odrzekł krótko sędziwy rycerz.

Nazwisko jego musiało zrobić wielkie wrażenie na starym mężczyźnie, zgiął się bowiem w niskim pokłonie, zapraszał do wnętrza. Od stajni - poskoczyło dwóch chłopców, zajęli się końmi. Sandor rozglądał się nieufnie po całym obejściu.

Stary człowiek, najpewniej krewny gospodarza domu, zostawił ich w sali bawialnej, zadymionej i nie sprzątej od dawna. Podniszczone meble gdańskiej roboty świadczyły o dawnej zamożności mieszkańców domu. Jan z Jani ogarnął salę smutnym wejrzeniem, zakaszał się, potem rzekł jakby do siebie przyglądając piękną swą brodę.

- Procesami z chciwości poczętymi tako się człek ten zmarnował... Sam bolen i wszystko się rozłazi dookoła...

Urwał, bo krewny Jana Świnka stanął we drzwiach oznajmiając, iż pan jego pragnie widzieć zacnych gości. Bolny jest, dlatego z łoża się podnieść nie mogąc, prosi o wybaczenie tej niegrzeczności.

Komnata chorego spoczywała w półmroku. Okna zasłonięte były deskami. Na ścianach wisiały miecze i zbroja w otoczeniu trofeów myśliwskich. Pachniało wilgocią i stęchlizną.

Świnka uniósł się nieco na łożu, wyciągnął wychudzoną dłoń.

- Zaszczyt to dla mnie niemały poznać tak znamienitego męża. Wiele o waszmość panu słyszałem, nie zdawało mi się, bym kiedy miał honor oczyma własnymi oglądać...

Jan z Jani ukłonem podziękował za grzeczność, przysiadł na wskazanym krześle. Towarzysze jego rozsiedli się na ławie, pod ścianą przeciwległą łożku chorego. Z politowaniem patrzyli na cień człowieka, jakim był teraz Jan Świnka. Sandor widział go raz przed kilku laty. Nic prawie nie zostało z pełnego pychy zawadiaki, czupurnego śmiałego. Leżał teraz przed nimi człowiek z wpadniętymi, niegolonymi od dawna policzkami, pod oczyma rysowały się czarne cienie, wychudłe ręce nerwowo czepiały się pościeli.

Nowy atak bólów sparł w tejże chwili chorego. Twarz jego wykrzywiła się ostrym kurczem, zastękał:

- Małą chwileczkę, wraz mi to minie... Boli okrutnie, jakby nożem w żywe ciało kto dźgał... Od roku tak trwa, ale teraz już siły odebrało ze szczętem. Koniec ze mną, ot, na co to zeszło...

Urwał, bo nie mógł już nawet i mówić. Zacisnął szczęki, dłonie kurczowo chwyciły za pościel, wpiły się w nią, jakby w ten sposób szukając ulgi dla zdrepczonego ciała. Świnka dyszał ciężko, chrypliwie, czoło okryło się kropelkami potu. Krewniak jego poskoczył z chustą, ocierał nią twarz'.

Po chwili bóle ustały. Chory nadpił z kubka jakiegoś mocno pachnącego wywaru ziołowego, przywołał na usta bolesny uśmiech.

- Ot, na co mi zeszło!

Stanowczym gestem wyprosił potem krewnego, pytająco spojrzął na Jana z Jani. Rycerz zrozumiał, odpowiedział z łagodnym uśmiechem.

- Zwólcie, niechaj towarzyszą naszej rozmowie. Szlachetni to i prawi mężowie. Ów młody bratańcem jest sławnego Piotra z Wikliny.

Eryk uczył na sobie mocne, palące wejrzenie chorego. To jedno bowiem w Świnie pozostało bez zmian: oczy. Tak samo jak zawsze płonące ogniem, butner z lekka ironiczne. Chory zastanawiał się przez chwilę, zrezygnowany machnął ręką.

- Wszystko jedno, i tak już moje godziny liczone... Nie myślałem, że tak wcześnie przyjdzie mi umierać...

Poprawił się na poduszkach, z błyskiem w oczach odezwał się mocniejszym już głosem:

- Dobry dzień dzisiaj, goście zjeżdżają... Rano łaskawością swoją zaszczyć mnie raczył kapelan wielkiego mistrza Zakonu.

Jan z Jani drgnął lekko. Świnka dostrzegł to, uśmiechnął się zgryźliwie.

- W tychże samych celach przybył, w jakich ja panów prosiłem... Jeno mnie nie ochota była go zadowolić. Odgrając się mocno, odjechał okrutnie rozsierdzony...

Zamilkł. Milczenie trwało tak długo, że wreszcie Jan z Jani zdecydował się przerwać je dyskretnym napomknięciem:

- Słucham zatem łaskawego pana...

Świnka zachnął się, płomienie przeleciały przez jego oczy. Zaraz jednak uspokoił się, powiedział wolno.

- O wybaczenie proszę. Myśli zebrać chciałem. Nie łąco przychodzi mi o tych sprawach prawić... Teraz dopiero, gdy śmierci blisko, pojmuję, że niecne to było, na com zaślepiony nienawiścią dał zgodę...

Jan z Jani skłonił głowę, nic nie powiedział, słowem jednym nie ułatwił Śwince zwierzenia. Szlachetny rycerz czuł niechęć do ludzi tego pokroju. Z wielkim wysiłkiem przemagał się teraz, aby w niczym nie uchybić zasadom grzeczności. Świnka zdawał się to wyczuwać, przykrość wyraźnie malowała się na jego znękanej twarzy. Przemógł się, rozpoczął swoją opowieść.

- Jako moje stosunki z rodem Bażyńskich, szczególnie zaś z Gabrielem i Janem, źle układały się, prawić nie potrzebuję, bo to rzecz powszechnie wiadoma. Nie w tym także dziś sprawa, by dochodzić, kto tu więcej ponosi winy. Dawne dzieje, jam po ojcu spór odziedziczył... Oni byli mocniejsi, ja słabszy. Temum szukał pomocy w Zakonie - i chętnie mi ją Krzyżacy dali. Wielki mistrz, podskarbi, Henryk von Plauen i zastępca komtura pasłęckiego wiedli ze mną te układy, jako ubić należy Bażyńskich. Zależało im na tym, sam Ludwik von Erlichshausen fatygował się pisać do Jana Świnki w tej sprawie... Jakby świętość jakową, takim list ów piastował, w moich on rękach po dzień dzisiejszy, chocia łakomy jest teraz dla zakonnych rycerzy, łakomy... - w oczach chorego można było czytać jak w otwartej księdze. Wpatrując się w nie uważnie, Jan z Jani dojrzał tam złośliwość i dziwną radość. - Ostatnim razem, gdy podskarbi wiódł ze mną targi o życie Bażyńskich, gwarancję

otrzymałem na przekazanie mi po Gabrielu włości sztymbarskiej, także nowych dóbr w ziemi mgowskiej nadanie. Pieniądze wyliczyli mi, tysiąc czerwonych złotych...

Urwał, na bladą twarz wystąpił leciutki rumieniec. Znikła z oczu bezczelność, zarysowało się coś niby wstyd.

- Jam już udęczon był procesami. Nie szło mi wszystko, samiście widzieli, jako włość piękna zesłała na psy... Tom się pokwapił na ów pieniądz i nadanie ziemi. Temu mi dzisiaj wstyd. Bo przecie nie wyrzekłem się chociaż myśli słodkiej o pomście, jeśli już działać nie mogę w boleźni będąc śmiertelnej. Pomsty byłbym dokonał, ale sam z siebie, z własnej woli, nie z hańbiącego, monetą opłaconego kontraktu... O Jezu najmiłościwszy, zacz mię tak każesz? - zajęczał nagle, złapał się obu rękami za brzuch.

Zszarzał w jednej chwili. Sandor Wielki, który miał dobre serce, powstał, otarł choremu zroszone czoło, przychylił do ust garnuszek z wywarem ziołowym. Atak powoli przechodził, Świnka dyszał ciężko, na pół rozwartymi ustami z trudem łapał powietrze.

- Coraz to częściej chwytają mię bole. W sam czas przybyliście, bo każdej chwili mogę zagasnąć jak wypalona świeczka... Tedy w hańbie nie chcąc umierać, umyślnego do Torunia posłałem. Prawdę rzec pragnę. Jam tylko pomsty prywatnej dopełniał, żal mi, że ona nie wyszła. Ale Zakon kupczy niecnie żywotami ludzkimi, dusze ludzkie targuje, jako ze mną uczynił. Wielki mistrz starania dziś czyni, by odebrać pismo z pieczęcią swoją oraz pisemne gwarancje podskarbiego. Po to kapelana swojego słał, obrzucał groźbami - drżącą dłonią macał się za pazuchą, wyciągał stamtąd w szmatę owinięty zwitek papieru. Podał zawiniątko Janowi z Jani. - Oto pismo wielkiego mistrza i podskarbiowskie gwarancje. Weźcie je, niechaj będą świadectwem prawości Zakonu, cha! cha! cha! Czuli, że im despekt takowy uczynię, po pisma słał, ale Świnka mądrzejszy, przejrzał i owego kapelana mściwego...

W oczach chorego zapełgał nagle strach. Szepnął:

- Zwólcie, odetchnę krzyne, wraz wam opowiem, co się dzisiejszym rankiem tu przydarzyło...

Nie, nie odpoczynku pragnął, ale przywołania przed pamięć gwałtownej sceny z kapelanem wielkiego mistrza...

Siedział w tym samym miejscu, gdzie teraz Jan z Jani. Ręce złożone miał na kolanach, mówił mało, spoglądał tylko palącymi swymi ślepiami, przeraźliwie wysoki i chudy nad podziwienie. Przygniatał swoją obecnością, Świnka nie zwrócił nawet uwagi na towarzysza kapelana, choć musiał to być jakowyś znaczny rycerz zakonny.

Kapelan wnosił pretensje o niewykonanie umowy w sprawie Bażyńskich. Nie żyć już mieli za wolą Bożą do tego czasu, tymczasem nie tylko żyją, ale brudzą coraz bardziej

panowaniu Zakonu, posłuch dają wszelkim heretykom i rebeliantom, co nie tylko przeciw panu ziemskiemu, wielkiemu mistrzowi, ale i przeciw wierze, jest przestąpieniem. Świnka wszak wiedział, jako jest chory, nie powinien był zobowiązań czynić, narażać na straty rycerzy Maryi Panny. Wszak miłosierdziem chrześcijańskim powodowany Ludwik von Erlichshausen pragnie jeno zwrotu pisma swojego tudzież gwarancji przez podskarbiego wydanych, tysiąc czerwonych złotych poświęcając na zbawienie duszy niegodnego sługi bożego, Świnki z Sarnowa.

Nie strzymał tedy, parsknął mu prosto w ślepią kpiącym śmiechem. Zamigotały tylko, wraz się nakryły czarnymi rzęsami. Znów począł kapelan prosić, w imię Boże zaklinać, karą grozić piekielną.

Zgotowało się w Świnie wszystko.

- Psy wy parszywe, nie boże sługi! Imię Maryi Panny kalacie, zbóje, szatany, co ludzi słabych na potępienie wywodzą - krzyknął, na ile tylko mocy zdobyć się mogło osłabłe ciało.

I zaraz chwycił go atak boleści, aż się zwinął na łożu. Wtedy wysunęły się ku niemu długie, wychudłe ręce kapelana, jęły go obmacywać, sięgały w zanadrze na piersi. Drugi Krzyżak poglądał czujnie na drzwi.

W bólu nie wiedział co robi. Czuł chciwą dłoń, szponami zagarniającą zawiniątko wraz z papierami. Nie bacząc na ból, zebrał się w sobie, wysuniętą nogą kopnął kapelana, aż ten odtoczył się na drugą stronę izby, padł na ławę, gdzie siedzą teraz pruscy rycerze. Rumor się uczynił, wpadł ów stary krewniak i żona Świnki. Kapelan podniósł się spokojnie, tylko spojrzenie jego zdawało się parzyć, tak pełne było jadu i nienawiści. Po czym stojąc, powały niemal sięgając, przeraźliwie wysoki i chudy, obwieścił krótko, że to nie ostatnia jego w tym domu gościna, że jeszcze powróci, by sprawę uregulować - uśmiechnął się razem, aż ciarki przeszły po skórze chorego...

Tak, tak było. Zdawałoby się, dawno już temu, a to zaledwie przed paru godzinami. Chory ocknął się z zamyślenia, zobaczył cierpliwe, pełne wyczekiwania spojrzenie Jana z Jani, powtórzył pokrótce przebieg spotkania swego z kapelanem wielkiego mistrza.

Potem znowuż złapały go boleści. Gdy się uspokoiły, poprosił nie po swojemu serdecznie, szczerze:

- Ja wiem, żeć zemsty on nie poniecha. We dwoje tu jeno przybyli, ale musi ich być więcej w pobliżu. Wróci, by pisma owe uzyskać, co je wam dałem przed chwilą... Ja nie chcę umierać z krzyżackich rąk, nie chcę... Dajcie mnie osłonę, abo powiedzcie, kędy was szukać, pacholka słał będę...

Złożył ręce przed Janem z Jani jak do modlitwy. Wyznanie Świnki i opowieść o kapelanie zrobiła na obecnych wielkie wrażenie. Sandor podniósł się ze swojego miejsca, przybliżył do chorego.

- Kiedyż on wróci, jako myślicie?

- Może dziś, może jutro, może i zaraz... Wiem tyle, że długo czekać na niego nie będę... Straszny on, pomstą mu z oczu patrzy, jako z obrazu złego biesa, co w kaplicy jest płockiej malowań...

Zmęczony ostatecznie opadł Świnka na poduszki, przymknął oczy, oddychał nierówno. Do pokoju wsunęła się wymizerowana, zdręczona żona chorego, poprawiła posłanie, przysunęła do ust mężowskich kubek z napojem.

Jan z Jani powstał, wraz z nim pozostali rycerze.

- Długo w tych stronach popasać nie będziem. Jutrzejszym dniem pora nam w dalszą drogę. Co jedno mogę obiecać, że do odjazdu uwagę zwrócimy baczną na wasze domostwo. Gdyby co, pomoc damy! - Ujął bezsilną dłoń chorego, potrząsnął nią jakoś serdeczniej. - Złe było, coście czynili, ale to, żeście honoru strzec chocia na koniec zechcieli, dobrze o was mówi, panie. Bywajcie, niech wam 'Bóg da zdrowie albo ukróci próżne męczenie... Bywajcie...

Chory otworzył oczy, raz znowu zajęczał, nadchodził nowy atak...

Sandor był mocno podniecony. Zatrzymał na ganku mężczyznę, który ich pierwszy przywitał w tym dziwnym domu.

- Rzeknijcie, proszę, jest tu gdzie dwór w pobliżu, wioska czy zajazd jaki, by stanąć tam można było w kilkanaście koni na noc?

- O cztery stajania wieś mała, ale miejsca będzie tam dość. Rożnowo się zowie. To panowie szukacie noclegu?

- Nie, tak tylko się pytam - odrzekł olbrzym, szedł już do koni, wyprowadzanych przez rozleniwionych stajennych. - Nic się tu kupy nie trzyma, ładu nie ma żadnego, tfu! - splunął pod nogi.

Jan z Jani nie miał nic przeciw temu, aby z całym poczem stanąć na nocleg w Rożnowie. Otulił się szczelniej swym płaszczem, chłód szedł bowiem nad wieczór, a stara choroba przy byle zaziębieniu powracała narastającym kaszlem.

Eryk jechał zadumany. Poznawał różne ludzkie losy. Dziwne były, gmatwały się w najbardziej niespodziewany sposób, stawały jedne drugim na drodze, zdradzały przyjaźnie i nienawiści. Tak samo przecie z nim się zdarzyło. Czy mógł kiedy przypuścić, że się powadzą, rozejdą nieomal ze stryjem i to z powodu dziewczyny?

Zbrojni Sandora nie byli radzi przenosinom, ale przyzwyczajeni do posłuchu, słowem jednym nie objawili niezadowolenia. W Rożnowie zresztą okazało się wcale wygodnie, humory poprawiły się, przy rozpalonych na dworze ogniach rozpoczęły się gawędy, żarty i przekomarzania.

Dziwny był ten grudzień. Co prawda, parę dni dopiero, jak się rozpoczął, ale po listopadowych przymrozkach popuściło z nagłą, deszcze coraz to zraszały wilgotną ziemię, pogłębiały mgły unoszące się nad łąkami i polami. Smutno było, przy każdym mocniejszym podmuchu wiatru bezlistne drzewa ponuro skrzypiały konarami. Bydło wypędzono jeszcze na pola, wracało na przed wieczerz pomyku jąc żałośnie.

Sandor wiernie dotrzymywał obietnicy danej choremu. Dwóch jezdnych z ukrycia stale obserwowało dwór Świnki. Nie zachodziło tam jednak nic godnego uwagi.

Zbrojni Sandorowi owijali się w derki, zasypiając po stodołach, a to zgoła przy ogniu na wilgłej ziemi. Zwyczajni tego byli starzy zaciężnicy, co już niejedno widzieli w swoim życiu.

Eryk nie czuł ochoty do snu. Siadł na ławeczce przed chatą, w której znalazł schronienie Jan z Jani, myślał wciąż o Zofijce. Tęsknił do dziewczyny, pragnął ujrzeć ją jak najprędzej, dręczyła go niepewność, co począć dalej, bez domu, pieniędzy, bez opieki Piotra z Wikliny. Zastanawiał się, gdzie się linoskoczka może teraz podziewać, dokąd wyruszył z Krakowa Gruc ze swoją grupą, czy są w Polsce, czy w Prusach.

Sandor przysiadł się obok niego, ogarnął plecy chłopca potężnym ramieniem. Olbrzym miał wyrzuty sumienia, wspominając swoje zachowanie w Krakowie, gdy wzdragał się przed myślą spotkania chłopca z Zofijką. Przeląkł się wtedy Piotra, choć sam przecież myślał inaczej. Czułością pragnął teraz nadrobić swój błąd.

Gwarzyli półgłosem, poglądając po zachmurzonym, ciemnym zupełnie niebie.

- Co tam teraz porabia Pieniążek z owym niedźwiedziem, jakże mu, z Bratkiem? - zapytał Sandor.

Eryk wzruszył ramionami. Pewnie zapijają się piwem, najmiłszą to pana Mikołaja robota. A może... może znowu zamyślają o pasłękowej wyprawie?

Opowiedział Sandorowi o pomysle niemowy Stanka, początkowej ochocie Pieniążka dla tego projektu i późniejszej rezygnacji. Olbrzym słuchał z dużym zaciekawieniem. Kiwał głową, sam nie wiedział, jak osądzić ostateczną decyzją Pieniążka.

- Musiało tam nie być żadnych nadziei, inaczej by Mikołaj nie poniechał zamiaru... Toć że wagabunda, nikt nie poważy się na to, co dla niego zwyczajne, jakby w kij dmuchnąć - wyrzekł wreszcie.

Zadudniły kopyta. To jeden z wartujących opodal Swinkowego dworu żołnierzy Sandora nadlatywał co koń wyskoczy-

- Wasza miłość, Krzyżacy napadli na dwór... Ze dwa dziesiątki ich będzie, może mniej trochę...

Sandor poderwał się jednym susem, zagwizdał przeciągle. Rumor się zrobił w całym obozie. Zbrojni biegli ze wszystkich stron, siodłano konie. Jan z Jani ukazał się na progu domu. Przywołał Sandora, rzekł ostro, rozkazująco:

- Pomnij, Sandor, jeno w obronie Świnki. Żadną miarą samym nie zaczepiać wam gadów. Jeszcze nie pora...

- Wedle rozkazu waszej miłości - odrzyknął Sandor, wojennym zwyczajem w biegu już wskakiwał na konia.

Eryk cwałował przy nim. Noc była ciemna, tylko piach drogi znaczył się nieco jaśniejszym pasem.

Za małym zagajnikiem, gdzie znajdował się dwór Świnki, niebo zapaliło się czerwonym blaskiem.

- O ścierwa, podpalili dom albo budynki - krzyknął ktoś, popędzali konie i tak rwące co kopyta wyskoczą.

Wypadli z lasku, w sekundę przebyli resztę drogi do dworu. Prawa strona budynku paliła się mocnym płomieniem, języki ognia wraz z wiatrem kładły się na nie zajętą jeszcze część dachu. Zabudowania gospodarcze całe już stanęły w płomieniach, dym przewijał się czarnymi kłębam. Na podwórzu w blaskach pożaru kręciło się kilkunastu jezdnych. Skoro tylko ukazał się w progu ktoś z domowników Świnki, zaraz atakowali go, w rozpędzie przesywając nieszczęsnych włóczniami.

- W nich! A nie przepuścić żadnemu! - skomenderował Sandor, sam ze swoim olbrzymim mieczem wybił się na czoło, jak szatan zemsty wpadł między rozwalone opłotki. Obok nieodstępny jak cień pędził Eryk.

Krzyżacy knechtowie nie od razu zorientowali się w sytuacji. Odsiecz była tak niespodziewana, że potracili głowy, z krzykiem przerażenia cwałowali po podwórzu, mało nawet odcinając się mieczom i kopiom. Dopiero gdy kilku leżało już na ziemi, a rozhukane konie, przerażone tym wszystkim gnały prosto w ogień, dały się słyszeć jakieś rozkazy, nawoływania do obrony, od kępy krzewów rosnących z prawej strony podwórka mocniej nad inne wybił się przenikliwy głos:

- W obronie rycerzy Panny Maryi! Boże prowadź nasze zastępy!

Knechtowie próbowali zbierać się po kilku, osłaniając się na wszystkie strony podejmowali od nowa walkę, Starły się miecze, kopie wybiegły naprzeciw włóczniom. Żar panował piekielny, stodoła i stare, wyschłe domostwo płonęły silnym ogniem, podsycane jeszcze przez sprzyjający wiatr. Czerwone blaski kładły się pasami na twarzach jeźdźców, z rozwartymi w krzyku ustami wpadających z furią na siebie. Od obory dochodził przeraźliwy ryk płonącego bydła, mieszał się z innymi dźwiękami.

Kilku z Sandorowych wojaków próbowało przedostać się do wnętrza domu. Płomienie, zapadające się krokwie i belki, dym ostry, duszący, uniemożliwiły usiłowania. W oknie strychu ukazała się jakaś straszna postać z płonącymi włosami na głowie, z obłąkaniem w oczach i gębą rozwartą w krzyku. W tej chwili zarwało się belkowanie, buchnęły skry, płomień strzelił wyżej” ogniściej, postać człowieka zniknęła z oczu patrzących.

Eryk pamiętał już podobną utarczkę w Krzykosach sędziego Ramsza. Większjiś nieprzyjaciół uciekła wtedy, kilku jedynie zostało na placu. Nie walczył więc teraz pośrodku podwórza, ale szerokimi zakolami objeżdżał teren boju, wyszukując oczyma tych krzyżackich żołnierzy, którzy usiłowali umknąć. Nie mógł też nigdzie wytropić wysokiego, czarno ubranego człowieka, który wzywając boskiego imienia przed chwilą napędzał swoich do walki. Wydało mu się w pewnej chwili, że jakaś postać kryje się w pobliskich krzakach. Zapatrzył się w tamtą stronę, nagle poczuł narastający tętent tuż poza sobą, szarpnął wodzami w lewo, koń rzucił się, wzniesiony miecz napastnika ze świstem przeciął tylko powietrze. Eryk zatoczył już krąg, oczy mu zapłonęły radosnym blaskiem, po stroju w rozpędzie nadjeżdżającego mu naprzeciw rycerza rozpoznał kogoś znaczniejszego od pozostałych knechtów.

Zderzyli się całą siłą, aż konie się wspięły, a potem przysiadły na zadach. Miecze zderzyły się pierwszy raz wysoko, szczęknięły kilkakrotnie, konie rozbiegły się, znów je skierowali na siebie. Eryk skupił się, stał się czujny, poznał niebyłe mistrza. Tym razem w ostatniej chwili przywarł nagle do grzywy końskiej, i dopiero potem od dołu pchnął ostrzem przed siebie. Rozległ się krzyk, rycerz zakonny próbował unieść miecz, słabnąca dłoń nie zezwoliła już na to, ciało zachwiało się ze strony na stronę, runęło wreszcie, zwisło w strzemionach. Przerażony koń wierzgnął kopytami, jak oszalały, popędził z rozwianą grzywą, ciągnąc za sobą ranionego pana. Zginęli razem w płomieniach. Zapadła się jakaś belka, strzelił wysoko w powietrze snop iskier, zduszony kwik koński dobiegł jeszcze kędyś z morza płomieni.

Sandor nadleciał na spienionym koniu, ściągnął cugle, aż kopyta rumaka zaryły się w ziemię, krzyczał:

- Czarny taki, wysoki, kapelan, gdzie jest?

Eryk przypomniał krzaki, wskazał dłonią, Sandor popędził tam, nikogo jednak nie znalazł. Wpadł wtedy na drogę, rozglądał się bacznie, ale ciemnia nocy kryła wszelkie ślady przed oślepieniem blaskiem oczyma. Wokoło ognia zbrojni uganiaли się za kilku ostatnimi knechtami. Ci nie próbowali nawet błagać o życie, walczyli do ostatka albo zdjęci strachem uciekali jak długo mogli, by zginąć od pchnięcia kopii. Walka wygasła, kilka rozszalałych koni zataczało jeszcze kręgi wokoło płonących budowli.

Przez rozwaloną bramę wjechał Jan z Jani, przyglądając się już od pewnej chwili odbywającej się na podwórku rzezi.

Skinął chudą swą dłonią na Sandora powracającego z nieudanej pogoni za kapelanem.

- Wszyscy?

- Tako się mnie wydaje, iż prócz' głównego herszta żaden nie uszedł. A przecie pilnowałem tamtego, nagle zginął mi z oczu. - Olbrzym był srodze zmartwiony.

- Uszedł? - Jan z Jani zmarszczył na chwilę brwi, zlekceważył wraz sprawę. - Nie ma co się turbować. Dotrzyliśmy Świnice danego słowa. A kędyż on sam?

- Pewnikiem spłonął we środku - któryś ze zbrojnych ukazał na wałce się z sykiem ściany domu.

- Patrzcie, krzyżackie metody! Nie mogąc odzyskać papierów innym sposobem, zapragnął spalić je razem z właścicielem. Rycerze Maryi... - nienawiść i pogarda zabrzmiały w ironicznych słowach rycerza.

Jakiś czas patrzyli jeszcze na dopalające się zabudowania dworu Jana Świnki, Jan z Jani szepnął jakby do siebie.

- Zwykła krzyżacka odpłata.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Po naradzie ze znajomymi smolarzami, Bratek zdecydował się umieścić bełkocącego w gorączce Stanka w sadybie Smolarzy opodal rozlanych brzegów Jeziora Drwęckiego. Zasmoleni ludzie, z drobinkami węgla wżartymi pod skórę, czarnymi cętkami na zawsze już znaczącymi twarze, przez dwa dni z największymi ostrożnościami nieśli rannego na żerdkach gęsto usłanych skórami.

Ze Stankiem było źle. Matka jednego ze Smolarzy, znająca się dobrze na leczeniu'ziołami, markotnie kręciła pomarszczoną twarzą, schylając się nad rozognionymi wokoło rany plecami. Długa jazda przy ucieczce spod pasłęckiego zamku przyczyniła się do

znacznego upływu krwi. Jednocześnie rana zaczęła jątrzyć i ropieć, chory rzucając się nocami w malignie naruszał lniane przewiązki, krew broczyła od nowa. Staruszka okładała chore miejsce zielem wyciągającym ropę, poiła Stanka wywarami na zmieszenie gorączki.

Mimo wszystko Stańko czwarty już dzień nie odzyskiwał przytomności. Bratek przechylał się ku niemu i pieszczotliwie gładząc jasne włosy niemowly stwardniałą od trudów myśliwskich ręką, przemawiał do niego czułymi słowami. Nawet gdy Stańko otwierał czasami oczy, patrzyły one zza mgły, nie rozeznawały nikogo. Bełkot tylko wzmagał się, jakby chory pragnął wyrazić jakieś gniotące go myśli... Bratek smutnie trząsał wtedy kudłatą głową, podpierał ją potem rękami, zamyślał się serdecznie.

- Wyliże się, matko? - nieustannie zapytywał zielarkę.

- Dadźboga wola. Jeśli jeszcze pociągnie ze trzy dni, to może mu przejdzie. Najgorszy ten tydzień... Sztylet musiał być żłobiony, od zwykłego noża taka rana by nie powstała... - odpowiadała, porównując wypadek z innymi znanymi jej z praktyki puszczańskiej.

Smolarze, przesiąkli dymem, spędzając cały czas około kopców, w których pod warstwą murawy mieściły się żywiczne karczce i pnie, tlejące się tygodniami, z podziwem spoglądali na Stanka. Bratek nie ukrywał bowiem przed nimi, kto był sprawcą choroby chłopca. Opowiadał dokładnie o szaleńczym zamiarze, który udałby się zupełnie dzięki zmyślności kaleki, gdyby nie owa nieszczęsna wyprawa po klejnoty nałożnicy Plauena.

Siadywali w długie wieczory przy ogniach płonących na szerokiej polanie, rozmowa przechodziła na inne sprawy - i tutaj, jak pomiędzy mieszczanami i szlachtą, padało niespokojne pytanie, będzie wojna czy jak tyle razy już dotąd, rozejdzie się wszystko?

- Gdzie tam panom do wojaczki się kwapić?... Pobrzękują jeno mieczami i na ugodę pójda z Krzyżaki - dowodził wysoki brodacz o ponurym wejrzeniu.

- Byłoby tak, ale tym razem mieszczanie rej wiodą. Toruń prze głównie do wojny, za nim inne miasta, nawet Gdańsk coraz mniej zdaje się wahać... Mieszczany przeprą swoje. Dla nich już też życia nie staje - dowodził Bratek, lepiej obeznany z tymi sprawami.

- Może być, że przeprą mieszczany. A nam co? Ta sama dola. Jeszcze puszczańskim jakoś żyć można, sami my sobie prawa stanowim. Ale chłopstwo na roli? Szlachta chce polskich przywilejów, zarobków większych, a cóż wydoli bez chłopca?

- Jak nasi zaczynali powstawać, wraz się panowie sprzysięgli po społu z Krzyżaki, w jedno szli. Pomnicie, na wiosnę jako to. było w Brodnickiem, a i wokoło naszej Ilwy? Nam nie mieszać się w wojnę, choćby i jutro była. Taki sam Krzyżak dobry jako i inni...

Gorączkowali się, mówili głośno, przerywali sobie nawzajem. Dziwny to był naród, ci puszczańscy Smolarze. Mało kto kiedy dochodził, kim są i czemu osiedli po borach.

Znajdowali się między nimi Prusacy, wyznający jeszcze wiarę w padźbogów, byli Polacy, zbiegli z krajów Korony czy z lenna mazowieckiego, trafiali się i Niemcy, poróżnieni ze swoimi panami. Każdy z nich miał jakieś tajemne sprawy w przeszłości, nie kwapił się do zwierzania z nich. Szanowali nawzajem swoje tajemnice. Mieszkali w różnych częściach puszczy po kilka najwyższej rodzin, ale znali się doskonale, jeśli któremuś działa się krzywda, wraz zew szedł po borach, zwoływali się, mścili za niesprawiedliwość, jaka spotkała ich towarzyszy.

Woleli nie zadzierać z nimi Krzyżacy, nie mieszała się w ich sprawy szlachta pruska. Nie pytali nikogo o prawo łowów, jak im przysła ochota albo głód zbytnio dopiekl, robili obławy na tury i żubry, samotnie wyprawiali się z włócznią na niedźwiedzie, zapędzali za łośiami na niedostępne bagniska. W ludniejszych okolicach pojawiali się z rzadka, wtedy jedynie, gdy odstawiali smołę, zbieraną w beczki z osinowego drzewa.

Potem zapadali znów w lasy, snuli się około swych wielkich, wiecznie dymiących kopców. Mało kto znał ich obyczaje, każdy wolał omijać smolarskie sadyby. Za to zbłąkany wędrowiec czy zbieg ścigany przez możnych, znajdował u nich otwarte serce i nie znającą granic opiekę a czasem pomoc.

Przez długie lata puszczańskiego żywota zawarł Bratek wiele przyjaźni pośród Smolarzy, sam też cieszył się miłością ich i szacunkiem. Słuchał teraz uważnie namiętnych gawęd przy ogniu, uśmiechał się całą swą skołtunioną twarzą, wreszcie, gdy widział, że zapal rozmowy wyczerpał się, zaczynał sam mówić.

- To wam rzekę, że źle prawicie. Prawda, że chłopu zła doła przy jednych i przy drugich. Że Krzyżak po społu z pruskimi pany napastował chłopą, palił wsie, w dyby brał, jeśli ten się upominał o swoje, o ludzkie... Ale zawdy i to wam rzekę, że nie ma gorszego gada na ziemi ponad zakonne plemię. Boga takż zabrali w dyby, jako i chłopą, Bogiem tym osłaniają każdą niecnotę... Wszędy jest ciężko, no wszak nigdzie tak źle, jak pod krzyżackim władaniem. W Polsce panom teraz ważne, by ziemia przydała więcej dochodu, zboże bo statkami za morze pchają. Temu musi więcej się troszczyć o chłopą, większą wolę mu dawać, aby ten lepiej pracował...

Słuchali uważnie, zastanawiali się, niektórzy przecząco kręcili głowami. Bratek ciągnął swoje:

- Jedno trza wiedzieć, że wojna to dla nas dobra sposobność. Mówicie, jako w Iławskiem czy Brodnickiem zniszczono wiosną wioski i sioła, kędy bunt się był podniósł. A wiecie, czemu tak było? Bo działo się to w spokojny czas, jedni i drudzy mieli wolne ręce, mogli na chłopą uderzyć... Chłop zaśię co za broń wtedy miał? Łuk jaki marny abo noża

tępego i tyle. A gdyby miecze miał, kopi je a zbroję, inaczej by było. Gdyby byli chłopscy rotmistrze, co by umieli przewodzić zbrojnym we walce. Jako w czeskim kraju się stało, gdzie powstały sprawne chłopskie oddziały. Całkiem tedy insza to rzecz i z takim chłopem musi się każdy rachować... Temu i mówię, że dla nas wojna, toć nie tylko sprawa panów pomiędzy sobą, to i chłopska sprawa.

- Kogoż nam bić? Jednych i drugich? Któż by wydolił... - burknął chłop o ponurym wejrzeniu.

- Krzyżaka bić, zakonnych! Obcy oni nam na tej ziemi, a i okrutniejsi od innych. Pojrzyjcie na tego biedaka, co życia mało nie wydycha w tej chwili. Przedtem język mu mnichy zakonne wyrwały, teraz wielki szpitalnik sztyletem przebił. A wieluż to takich po całym kraju! Do Sambii mało waszych pognano, choćby i tej wiosny, coście ją spominali?

- Pr a wdać niby..

- Wy tu po lesie mało wiecie, co się na świecie dzieje. Spytajcie rolnych/oni wam rzeką, iż gorszego życia, jak pod Krzyżakiem, na całym świecie już nie ma...

- Ej, Bratek! - natarł znów ten sam chłop o ponurym wejrzeniu czarnych jak i jego twarz oczu. - Czegoś ty od nas chcesz, praw prosto, po co krzywymi koleinami zachodzisz?

Myśliwy zaśmiał się szeroko, całą gębą.

- Po to zachodzę, że pragnę byście mnie lepiej pojęli. Pewna jest jedna rzecz, że chłopcy muszą wziąć udział w tej wojnie, co się gotowi, dopomóc przeprzeć Krzyżaka.

- I co im z tego? - czarny napierał, nie ustępował.

- Co? To, że chłop zbrojny będzie, nauczy się mieczem władać, kopiją a kuszą. Puszkarzem jeden z drugim ostanie. A wojna się skończy, broni swej nie ostawi. I dowódców swych będzie miał. Pojmujesz? Tedy, jeżeli zajdzie potrzeba, nie wybiorą nas po jednym jako ryby ze saka. Ot co, zakonnych bić, bo okrutne to plemię, które szczuć musi, i siłę swoją razem szykować. Inaczej nigdy nie będzie mógł chłop stanowić o sobie.

Rozdzielali szeroko gęby, siedzieli zadumani, drapali się w gęste czupryny, przeżuwali w myślach zasłyszane od Bratka zdania. Spodobało się to niektórym. Nienawidzili Krzyżaków; jeśli trafiała się okazja, cichaczem zgładzali śmiałka, który samotnie zapuścił się z zamku w pruskie knieje. Wzbierała w nich ochota, by stanąć do prawdziwej walki. Ale wątpliwości też były silne.

- A coż panowie na to? Co miasta?

- Miasta przeciwne nie będą. Dla nich ważna każda ręka, co się przyczyni do zdławienia Krzyżaka. A szlachta? Powiem wam, byście lepiej sprawę pojęli. Słyszałem w Toruniu, jako na Sambii mało szlachty staje po stronie Związku Pruskiego, wołą z Zakonem

trzymać. Czemu tak się dzieje? Bo tam wszędy się chłopstwo podnosi przeciw krzyżackiej władzy. Szlachta się boi, by przeciw niej potem nie zwrócili chłopcy oszczepów a kopii. Czują oni tam siłę, jaka jest w chłopie... Tako było i u nas, choćby na wiosnę... Pobili chłopów, bo czas nie był po temu, by powstanie podnosić. Ale jeśli chłop jako zaciężny stanie, nic mu zrobić nie można. Temu nam do zaciężnych iść, swoje rotę tworzyć, ot jak! Ja mam już rotę, teraz' chcemy z rycerzem Pieniążkiem więcej chłopów zaciągnąć. Po to wam mówię o wszystkim...

- Pieniążek? Szlachta to?

- Szlachta, polski rycerz. Co wam rzeknę wrzako na ucho. Husyta to, jeden z tych, co przeciw panom i księżom bogatym bunt podnieśli...

- Wiarę wyonaczali - burknął któryś niechętnie.

- Ja tam na to nie patrzę. Dla mnie ważne, że chłopów brali w obronę, o dobru jego myśleli - uciął Bratek temat, w którym sam się mało wyznawał. - Ów Pieniążek, rotmistrz, zacny człek, pod nim i w piekło można iść. Toż przecie on do Pasłuku chodził, z nim zaprzyjaźniliśmy się jako dwaj bracia...

Następnego dnia po tej wieczornej rozmowie, która wiele dała do myślenia puszczańskim milczkom, w zdrowiu Stanka nastąpiła poprawa. Gdy nad ranem otworzył oczy, siedzący przy nim Bratek dostrzegł wreszcie przytomne wejrzenie. Nie uwierzył od razu, spytał chrapliwym od wzruszenia głosem:

- Stańko, poznajesz mnie?

Przytwierdzające kiwnięcie głową. I jakieś pytanie nieme w oczach, troska serdeczna. Bratek zrozumiał, mówił szybko urywanymi zdaniami:

- Tamci pojechali na Toruń, do rotę. Jam ostał z tobą u Smolarzy... Bez przytomności leżałeś, kiej kłoda... O szkiełka się nie kłopotcz, wraz miał je rotmistrz Tajnej Radzie przekazać... Teraz do zdrowia jeno musisz czym rychlej powracać...

Chory słuchał uważnie, na wzmiankę o przekazaniu klejnotów Tajnej Radzie na zmizerowaną jego twarz wypłynął uśmiech. Przymknął oczy i zasnął snem ozdrowieńca.

Tego samego dnia spokojny już o jego zdrowie Bratek wyruszył do znajomych sobie wiosek, by zaciężników werbować. Obliczyli z Pieniążkiem, że za posiadane pieniądze śmiało mogą nająć około pięciu dziesiątek nowych, starczy dla wszystkich na broń i wyżywienie.

I tak jak ze smolarzami, toczył teraz stary myśliwiec długie rozmowy z chłopami, kiedy zachodzące słońce krwawiło rubinem lasy i pola i był już czas wolny po pracy. Łatwiej

mu tutaj szło, większa była wśród pracujących na roli nienawiść Zakonu, większa także znajomość lepszych mimo wszystko warunków życiowych chłopów w polskiej Koronie.

Zgłaszali się po jednym, po kilku, Bratek nakazywał im w oznaczonym terminie zgłosić się w Toruniu do swojej roty. I znowuż wędrował dalej, czasem tylko zaglądając do smolarni, gdzie Stańko szybko dochodził do zdrowia. Rana zasklepiła się ładnie, ustało ropienie, chodź jednak jeszcze nie mógł w obawie przed ponownym otwarciem rany.

Któregoś dnia zapędził się Bratek aż po Dąbrówno, niedaleko już od Niborka. Opędzając się psom, które opadły go ze straszliwym jazgotem, wchodził właśnie do wioski, gdy uszu jego dobiegły dźwięki skrzypek, a potem głos i słowa słyszanej już kiedyś pieśni, smętnej, przepojonej tęsknotą. Stał, usiłując sobie przypomnieć, skąd zna ten głos. Jak żywy wyrósł przed nim obraz dziewczyny, zwieszanej nad kamienistą przepaścią, śpiewającej na dziedzińcu pasłęckim przy blasku pochodni. Tak, to dziewczka Eryka... Skądże ona tu? Czyżby komedianci już i po wioskach występowali?

Na przyźbie jednego z domów siedział starzec z długą siwą brodą, mocno przytulał do policzka swe skrzypki, wyczarowując z nich znaną Bratkowi melodię. Obok stała dziewczyna. Trochę kobiet i dzieci zgromadziło się koło wędrownej pary, w ten sposób zarabiającej na życie.

Bratek przystanął, słuchał wraz z innymi. Gdy granie i śpiew ucichły, podszedł do dziewczyny, patrzącej na niego ze zdziwieniem i jakby lękiem.

- Nie bójcie się, jam ociec owego Janka, który od Eryka przychodził ku wam przed sprawą pasłęcką. Rad jestem, że was napotkał...

Gdy nieco później mimo chłodu przysiedli dla ostrożności nad małą rzeczulką, z dała od chat, Bratek wpatrując się nieustannie w twarz starca zapytał nagle.

- Rzeknijcie mi, ojczu, prawdę. Nie znane wam czasem dobrzyńskie strony? Bo mnie się widzi, żeśmy się już kiedyś spotkali?

Ślepiec zadrżał nagle, zaczął coś bełkotać, aż zaniepokojona dziewczyna ujęła go uspokajająco pod ramię.

- Nie bójcie się, ojczu. Tako mi się widzi, powiadam, żeśmy się już ongiś poznali. Słuchy jeno chodziły, żeście rychło potem pomarli, jak wam ów rycerz niemiecki, co służył w wojskach zakonnych, oczy wyrwać kazał z pustoty...

- Binenrode? - wyszeptał starzec. - Nie żyje... - te słowa wymówił z westchnieniem ulgi. - Doczekałem się jego głosu, choć więcej dwudziestu lat musiał go szukać.

Bratek teraz nie pojmował z kolei, ale mniej mu o dzisiejsze czasy chodziło. Musiał rozpoznać przeszłość.

- Już jakem was pierwszy raz ujrzał na pasłęckim dziedzińcu, tknęło mnie ooś, ale skąd się dowiedzieć. Eryka pytałem, niczego on rzec nie umiał...

Zofijka spłonęła na imię ukochanego, milczała, spoglądając na twarze obu swych towarzyszy. Rozumiała, że dzieje się tutaj coś bardzo dla niej ważnego. Dziadek po ucieczce z Elbląga odzyskał pamięć minionych rzeczy. Widocznie spotkanie z Binenrodem tak nim wstrząsnęło. Postanowił od razu, że udadzą się do rodzinnych stron dziewczyny, na ziemię dobrzyńską. Więcej jednak nie chciał powiedzieć, odkładał ciągle na potem. Teraz nastąpił moment, gdy się musiała wyjawić tajemnica nie znana jej przez ciąg tylu lat.

Ślepiec milczał długo, potem ujął skrzypce, przeciągnął smyczkiem po strunach, jakby tym sposobem pragnął sobie dopomóc w zebraniu myśli. Odłożył znów skrzypki, wyciągniętą ręką namacał dłoń Bratka, mocno ją uchwycił w uścisku.

- Tyś druh Eryka?

- Druh - odrzekł wzruszony nagle Bratek.

- Zacny on człek, rzeknij bez łzy, bo siła mi na tym zależy? Szlachcic to przecie...

- I między nimi się różni trafiają...

- Wiem, ale... - urwał starzec, potem zaczął innym już tonem. - Po prawdzie to prosta moja opowieść. Tyle, że chciałem ją dziewczce dopiero na rodzinnej ziemi powtórzyć... Wielem to lat nałamał głowę, nic w pamięci nie było. Nawet tego pojąć nie mogłem, co mnie łączy z tym dzieckiem... Kowalem byłem pode Dobrzyniem, fach znałem, zbroję umiałem wyrabiać, niezgorzej się nam wiodło. Syn przyjął ode mnie kowalstwo, razem staliśmy przy młocie i miechu...

- No tak, teraz już pomnę, pomnę. To wasz syn chłopów skrzyknął, gdy Krzyżacy napadli na wioskę? Odpór dawaliście?

- Pomnisz, widzę. Nic się nie ukryje przed ludzką pamięcią. Próżno Zakon chce wybielić przed światem przestępstwa swoje i zbrodnie, zawdy na jaw wynijdą... - ucieszył się ślepiec. Potem spokojnym, łagodnym głosem mówił dalej, wystawiając twarz na słabo grzejące promienie grudniowego słońca. - Straszne to było lato. Jak taran gniotący runęło krzyżactwo na ziemię dobrzyńską. Nie pierwszy zresztą już raz... Dobrzyń zdobyli, wsie z ziemią równali, ludzi mordowali albo brali w wieczną niewolę.

To się mój syn zbuntował. A bronni wiele mieliśmy w kuźni gotowej, bo jej odebrać nie zdążyli zamawiający... Wał usypaliśmy nad rzeką chroniący wioskę... Natarł na nas oddział Binenrodego. Dwa dni zdobywali, dać rady nie mogli. Ale więcej ich było, zbrojni lepiej, pancerni, strzałami płonącymi ogniem porazili domy, aż te stanęły w płomieniach. Strach wspomnieć, co było wtedy... Tyle rzekę, że duszy żywej nie ostawili. Kobiety i

dziewki gwałtem brali, potem miecz im w gardło wrażając... Ojca jej i mac także ubili. Bronił się do ostatka, jeszcze paru na drugi świat wysłał... Ja wyskoczyłem z sadu, dalej z oszczepem na owego pana, który na czele jechał, zachęcając swoich do mordów okrutnych. Obronił się łatwo, słaby już byłem, ramię miałem zranione. Wszakoz, gdy insi ubić mnie chcieli, zatrzymał ich, śmiejąc się straszliwie. Powiedział tedy:

- Ostawcie, chcę, by całe życie pamiętał Binenrodego. Oczy mu wraz smołą wypalić, ślepym w świat puścić! - i śmiał się, rechotał jakby sam szatan z uwięzi puszczoney. Póki dni moich śmiechu tego ani głosu nie mogłem zapomnieć... Ból był okrutny, a jeszcze większa nienawiść. Plwałem okrutnymi wyrazy, a on śmiał się serdecznie... W sadzie koło jabłonki, widząc co się dzieje, dziecinę synowską rańsze ukryłem, także Zofijkę, takie jej imię dali, bo w piętnasty maja, na święcą Zofiję słonko jasne ujrzała...

Gdy mi już w bólu okrutnym drugie oko od żaru smolistego spływało, ostatni blask zagasał, pomnę, dzień jasny były niebo czyste, bez chmurki... w tę chwilę dziecko się rozplakało, musiała je mucha jakowa ugryźć, może i głodne było, cóż, roczek miało zaledwie... Skoczył któryś z krzykiem, że trzeba zgładzić i ten pomiot parszywy. Serce zapadło się we mnie z lęku. Ale znów Binenrode zakazał mordu, śmiejąc się rzekł, że mnie mają dać dziecko, abym je chował na przyszłą pociechę dla zakonnych rycerzy. Tak się śmiał okrutecznie, tak śmiał, już mi w uszach i pamięci śmiech ten na zawsze ostał...

- Dziadku - szepnęła drżąca z wrażenia dziewczyna.

- Tak, jam prawdziwy twój dziadek, moja ty miła... Wiem, że mi ją wcisnęli na ręce, potem precz gnali, śmiejąc się, gdy zataczałem się idąc drogą, wpadałem do rowów, rozbijałem głowę o drzewa. Jenom tę małą tulił mocno w ramionach, by jej się krzywda jaka nie stała. Długo gonił za mną śmiech Binenrodego... Wiem to jeszcze, zem się potknął o jakiś kamień, runąłem na ziemię i tyle mi tylko w pamięci ostało. Dobrzy jacyś ludzie podnieśli nas, odratowali, bo i ona z głodu już przymierała. Tyle, że niczego nie mogłem spamiętać. Wiedziałem jeno, że krew straszna, że krzywda niesłychana i że pomstę wziąć muszę na głosie jednym, co mi w uszach dzwonił bez przerwy...

Pochylił głowę, wsłuchiwał się w odgłosy idące od wioski. Zadrżał całym ciałem. Dziewczyna otuliła go szczelniej kapotą, zatroskała się:

- Zimno wam, przecie to już nie lato. Ziemia wilgotna, mrozy nad ranem chwyają. Chodźmy, w chacie jakiej resztę powiecie, dziadku...

- Nie, co tam insi mają nas słuchać... Jemu opowiadam, bo to druh Eryka onego... Nauczyłem się na skrzypkach grać, z łaski ludzkiej żyłem grając, tułaliśmy się od sioła do sioła, od miasta do miasta. Zofijka rosła, ludziska dobrzy pomoc dawali... Aż się natknąłem

na owego Gruca, Niemca z pruskiej ziemi. Zofijka podrosła już, zwinna była, nie dziw, w znoju przecie i biedzie wszelakiej chowana... Umyślił, by linoskoczkę z niej zrobić, a i grajka też potrzebował. Przystąpiłem, skorom usłyszał, że po Prusach chadza ze swymi. To pamiętałem bowiem, że głos ów był głosem Krzyżaka z rycerskiego zakonu... A ja głosu Binenrodego przecie szukałem... Resztę już wiecie. Tyle dodać ostaje, że Binenrodego znalazłem. Gruc własnymi rękami pomstę moją na nim wykonał... Gdy mi i pamięć wróciła, rzekłem, że mus i\am obaczyć swoją ziemię... Idziem więc teraz na Dobrzyń...

- A potem? - zapytał Bratek myśląc o Eryku.

- Potem? Potem owego rycerza szukać będziemy. Miejsca, gdzie wieść zlecił ostawić, mamy w pamięci...

Bratek począł namawiać, aby przedtem udali się z nim razem do Torunia, dokąd się wybiera za parę dni. Odmówili jednak stanowczo.

- Przyrzekłam dziadkowi. On mi najpierwszy w świecie - przytuliła głowę do ramienia ślepego.

- Niechże wam się szczęści najbardziej... A gdyby co, szukajcie w Toruniu Bratka i jego rotę... Prawda! - przypomniał sobie. - Co mam rzec Erykowi, boć go na pewno zobaczę?

- Co rzec? Że wierna mu zawsze będę, byle on tylko mię zechciał miłować...

- O, to pewne... - zaśmiał się Bratek, potem dodał w namyśle. - Zresztą może się z nim przedtem jeszcze spotkacie, bo pod ten czas wyruszył na mazowiecką ziemię. Jeśli usłyszycie o pruskim rycerzu Janie z Jani, wiedźcie, że Eryk będzie z nim razem...

Gdy po dalszym tygodniu wracał Bratek ze słabym jeszcze, ale mogącym już znieść trudy podróży niemową, uśmiech nie znikał z jego twarzy. Bo nie tylko, że pomyślnie mu poszło z przygotowaniem chłopskiego zaciągu, ale i Erykowi przyniesie nowinę o jego dziewczynie...

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zima spadła na świat niespodziewanie. Zdawało się, że już cały grudzień siąpiły będą z ołowianego nieba nie kończące się mżawki, przemieniające ziemię w rozkisłe błoto. Aż tu zaraz po świętej Julii porywisty wiatr przegnał bure, piętrzące się chmury, oziębilo się w powietrzu, sypanął śnieg obfity, zaścielał ziemię przez cały dzień, by nocą stopnieć nagle i ustąpić mrozowi, który nad ranem ściągnął lodem szeroko rozlane kałuże. Dziwili się ludzie takiej pogodzie, czynili z tego złe wróżby.

Pierwszy śnieg nie przetrwał przecie nawet do następnego dnia...

Potem znów zelżało, biały puch posypał się z nieba, tak przez całe dwa dni, aż zniknęły przysypane nim co niższe opłotki, a ludzie zapadali się wyżej pasa na bocznych ścieżynach. Ten śnieg pozostał już, lekki mróz pojawił się wraz ze słońcem, zapanowała jasna pogoda.

Razem z nią nadeszła pewna już wieść o cesarskim wyroku. Zaszumiało w całym kraju, po miastach, dworach i wsiach. Gromadzili się ludzie większymi i mniejszymi grupami, podawali sobie ponurą wieść z ust do ust, trzęśli głowami, załamywali ręce albo zaciśniętą pięścią grozili niewidocznemu wrogowi.

Fryderyk III skazał Związek na rozwiązanie, nałożył na stany pruskie sześćset tysięcy florenów kary, wreszcie zezwolił Zakonowi na przeprowadzenie proskrypcji trzystu nie nazwanych z imienia przywódców konfederacji.

Walka wkroczyła w decydującą fazę. Związek miał przed sobą perspektywę albo poddania się, albo walki zbrojnej aż do zwycięstwa. Bez znaczenia bowiem był protest założony przez posłów związkowych przeciw cesarskiemu wyrokowi.

Każdy dzień przynosił teraz nowe wieści. Książęta niemieccy udzielali Krzyżakom zezwolenia na werbowanie zaciężnych w swych krajach. Elektor brandenburski zgłosił gotowość mediacji. Wielki mistrz wydał rozkaz przygotowania listy proskrypcyjnej przywódców związkowych. Mają być ścięci toporem, jak w swoim czasie pierwszy jaszczurkowiec, Mikołaj Ryński. Książęta mazowieccy nie czynią przeszkód przy zaciąganiu na ich ziemiach trabantów dla wzmocnienia siły Zakonu.

Prawda mieszała się z kłamstwem, jak zawsze bywa w podobnych chwilach. Na tajnych zebraniach Towarzystwa Jaszczur czego zapadały ostateczne decyzje. Na staromiejskim ratuszu w Toruniu bez przerwy obradowała Tajna Rada Związku Pruskiego. Ludzie dotąd chwiejni, zajmujący pozycje wyczekujące, przechylali się teraz otwarcie na jedną lub drugą stronę. Krzyżacy zbroili zamki, ale postępowało to opieszale, wielki mistrz liczył bowiem, że groźba wykonania cesarskiego wyroku doprowadzi do odejścia od Związku większości jego zwolenników.

Szlachta sambijska była zastraszona, pod presją Zakonu interweniowała przeciw zbrojeniom miasta Królewca. Wtedy w Dolnych Prusach zaczęły się gromadzić kupy chłopskie, miało miejsce kilka wystąpień przeciw dworom i zamkom krzyżackim. Lęk przed rebelią chłopską jeszcze bardziej przybliżył sambijczyków do wielkiego mistrza. Wahać się poczęło Stare Miasto w Efrólewcu, odgradzało się od rewolucyjnej Knipawy, gdzie nastrój był bardzo bojowy.

Warmiacy opowiedzieli się za Związkiem, zwołując zjazd w Braniewie. Krzyżacy odpowiedzieli ostro, usiłowali zatrzymać uczestników zjazdu na drogach. Świeżo spadły śnieg zaczerwienił się w kilku miejscach krwią.

Niemal jawnie już wkraczały zaciężne załogi do miast i zamków. Po całym kraju przebiegały poczty zbrojne, odbywały się zjazdy, zebrania, zbiórki pieniędzy. Nawet w okręgach oddanych Zakonowi przestały wpływać podatki do kas komturii. Lody ściągnęły Wisłę, замуrowały w portach statki, załogi ich wyczyniały tumult po zajazdach i karczmach, ostro powstając przeciw Krzyżakom.

W zawieje i śniegi dniami i nocami przemykali się bocznymi drogami gońcy związkowi. Krzyżacy urządzali zasadzki, niejednen z konfederatów znikł bez śladu w ponurych lochach. W większych miastach zakonni czuli się uwięzieni po swoich zamkach, nie mogli ukazać się na ulicach, grupy wyrostków i rozeźlonych mieszczek szydziły z nich jawnie, obrzucały grudami śniegu i zmarzniętym końskim łajnem.

Wrzenie wzrastało. Niemało wysiłku wkładała Tajna Rada w utrzymanie posłuchu i powściągnięcie rozpalonych umysłów. Pospólstwo miejskie szczególnie zacięte było na zakonnych rycerzy. Po kościołach odprawiały się modły za pomyślność konfederacji. Na pograniczu z Koroną zapanowało ożywienie tak silne jak jeszcze nigdy. Szlachta polska groźnie pomstowała ujmując się za pokrzywdzonymi Prusakami. Grupy rycerzylotrzyków podciągały pod granicę, węsząc za łatwą zdobyczą.

A jednocześnie tajemnica otaczała poczynania Tajnej Rady związkowej. Mimo wszelkich usiłowań, wielki mistrz nie mógł dowiedzieć się nic pewnego o zamiarach konfederatów. Szpiedzy zakonni bali się przenikać do miast i dworów: głośno było o samosądach dokonywanych przez podnieconą ludność. W Chełmnie wywleczono z domu ławnika miejskiego i powieszono na placu ratuszowym, skoro wyszło na jaw, że przekazywał komturowi starogrodzkiemu wiadomości z miejskiej kancelarii. W Pucku rozszarpano na strzępy dwóch wysłanników z Malborka.

Nikt nie wiedział, co przyniesie jutrzejszy dzień. Nastroje zmieniały się, byle iskra wystarczyła do podsycenia nagromadzonej wściekłości i żądz zemsty.

Z pełną świadomością odpowiedzialności za wszystko, co w kraju się dzieje, zdążył Jan Bażyński do Bydgoszczy na spotkanie z wojewodą Szarlejskim. Wiele zależało od tej rozmowy. Po ubitej drodze sanie mknęły szybko, okutany grubo futrami przywódca konfederacji raz jeszcze sumował wszelkie atuty, jakimi rozporządzał Związek w tej chwili.

Tak, dzisiejsza rozmowa powinna stać się decydującą. Wyrok cesarski przesądzał sprawę.

Takież przeświadczenie musiał mieć wojewoda brzeski a starosta bydgoski, gdy z należnym honorem witał dostojnego gościa. Szarlejski stał się obecnie głównym łącznikiem Korony ze Związkiem Pruskim. On przemawiał imieniem Wielkopolan, miał też prawo zabierać głos z ramienia obozu królowej Zofii.

- Dziesięć dni temu widziałem się z kanclerzem koronnym - oznajmił.

Bażyński poruszył się żywiej, skra niepokoju przebiegła przez jego zmęczone oblicze.

- I cóż Koniecpolski?

- Pozdrowienia śle wraz z zapewnieniami pełnej życzliwości i osobistą rękojmą najdalszej pomocy. Trzeba bo wiedzieć wam, panie Janie - wojewoda przeszedł na ton serdecznej zażyłości, zbliżyli się ostatnio do siebie obaj politycy - że i w Koronie sprawa pruska dojrzała. Król miłościwy jest teraz wielce przychylny Związkowi, sam kanclerzowi napomknął przed wyjazdem swoim na Litwę, by pogranicza pruskiego strzec pilnie i gdyby się dało, wojsk nieco zgromadzić w pobliżu. Ważniejsza rzecz jeszcze, to profit małżeństwa pana miłościwego. Biorąc za małżonkę Elżbietę, siostrę Władysława Pogrobowcem zwanego, a może na przyszłość i jego dziedziczkę, liczyć można, iż ze strony Czech a Węgier nie uzyska już Zakon pomocy. Władysław takóŜ wpływ mieć może na innych Habsburgów... Bo tyłów zabezpieczenie wydaje się nam wszystkim konieczne.

- Czas pili. Długo już sił Radzie związkowej nie starczy na wstrzymanie wybuchu. Szlachta da się jeszcze utrzymać w ryzach, ale po miastach wre, szczególnie pospólstwo w Gdańsku, Toruniu, Chełmnie, Knipawie, tudzież paru pomniejszych miastach czeka tylko na moment właściwy. Źle by zaś było, gdyby przedwcześnie stać się co miało.

- Zimą byście myśleli zaczynać?

- Nie o porę roku chodzi, ale o to, że zamki jeszcze słabo wzmocnione, zaciągi idą dopiero z księstw niemieckich, Łużyc i Moraw. Związkowa siła dzisiaj mocniejsza, nie wiedzieć zaś, z wiosną jako to będzie. Na pomoc Korony zrazu nie liczym, Związek sam poradzi w pierwszym okresie. Pragniemy wolny kraj złożyć w ofierze miłościwemu Panu.

- Wiem ja. Argument to nader ważny. Nie Korona z Krzyżakiem poczyna, ale bierze tylko w obronę stany, które wolność same zyskawszy, pod jej się pieczę udają. Tako mi i kanclerz koronny argumentował. Papieskie i cesarskie obiekcje ustaną przy takim przedłożeniu.

- Król miłościwy kiedyŜ powraca? Ponoć uśmierzył już Gasztołdowych zauszników na Litwie?

- Tuszymy, że każdego dnia z' Wilna wyruszy, kędy teraz przebywa. Dobrze byłoby...
- obejrzał się wojewoda bacznie dookoła, powstał, zadzwonił małym cackiem ze szkła lanego.

Gdy sekretarz przystanął w progu, zapytał:

- Kędyż doktor Jakub przebywa?

- W swoich komnatach, panie.

- Miej na niego baczenie. Za parę dni wyjedzie stąd, poka co, strzec się go trzeba...

Dobry wszako medykus, zdrowie mi wrócił, temu go trzymam, choć to Ludwika von Erlichshausena zausznik - jakby się usprawiedliwiając tłumaczył Bażyńskiemu. - On to się cieszył najbardziej, gdym w chęci rozpoznania krzyżackich zamysłów, paktowania wiódł o zdradę ze starogrodzkim komturem.

Usiadł, spod połowy wąsów wypłynął na rumianą twarz przyjazny uśmiech.

- Zatem jak radzicie? - przynaglił Bażyński.

Wojewoda przymrużył oczy, zaśmiał się dyskretnie.

- Wraz posłów słać, jeszcze przed Godami. Król Kazimierz przez Sandomierz ma wracać, zjazd tam jest ułożony, na którym przyjaciele jeno będą królewscy, po większości Wielkopolanie. Przez posłów, jakośmy przedtem uradzili, prośbę uroczystą złożycie o przyjęcie Prus przez Koronę w poddaństwo. Odpowiedzi nie będzie, rzecz to pewna, ale kanclerz prosił przekazać w dyskrecji, jako dla bliższego zapoznania z życzeniem stanów, żądał król będzie wielkiego poselstwa z wszelkimi pełnomocnictwami... Nam trza prawnej pilnować, bo krzyk się wielki w Rzymie, Wiedniu, po księstwach Rzeszy, takż w Danii i Hanzie podniesie, a Koronie nie pora teraz z kimkolwiek zadzierać...

- Wielkie poselstwo wypadłoby zatem na luty, bo tuszę, że nijakich przeszkód dalszych nie będzie... Poselstwo to musi już^{się} za sobą mieć...

- Pojmuję. Zali jednak, poradzicie, już w styczniu powstanie wywołać.

- Przygotowania w pełni, na Gody myślím zakończyć. Potem kraj znaku tylko będzie już czekał. Jeno mnie niepokoi, zali wesele królewskie zamysłem tym nie zaszkodzi. Będzie się to król inszymi sprawami zajmował w czas swojej uciechy?

Wojewoda uśmiechnął się, powiedział poufnym tonem.

- Kanclerz przeze mnie wiadomość taką wam śle, że z rozkazania królewskiego w czas wesela, które na dzień wtóry po Apolonii jest przewidziane, granicy pruskiej z wojskami strzec ma starosta dobrzyński, Kościelecki Mikołaj... Tuszę takż, iż zaciężni Szarlejskiego, a i Hińczy z Rogowa, a i samego kanclerza, który tutaj ma bliskich krewniaków przy pruskiej granicy, gwarancję wojskami swymi również dadzą niezgorszą.

Bażyński słuchał uważnie, twarz jego rozjaśniła się. Pojmował głębszą treść tych zarządzeń. Król już wydał, nieoficjalną jeszcze wprawdzie, swą aprobatę.

- Pojmuję - rzekł. - Tuszę, panie Mikołaju, że będziecie w Sandomierzu przy powitaniu króla po litewskich wojazdach?

- Relację ze sprawy pruskiej mam zdać dokładną. Temu też prosił będę o szczegóły wszelakie dziś i każdego dnia. Sam ja wraz po Godach wyruszę, posłom związkowym zalecałbym wcześniej... Co chciałem jeszcze zapytać? Aha, jakże to z Gdańskiem? Ciężkim jeszcze tam poniekąd wzór Lubeki na myśli? Król Kazimierz zdanie w tej materii ma jasne, żadną miarą na ich ogromne żądania nie chce się godzić, jako też i my wszyscy. Jordan nie wrócił potąd z procesu?

- Nie. Jeno wezwania śle przez umyślnych, aby zbrojenia przyśpieszać. Innego już on mniemania aniżeli dawniej.

- Tak, wszako ciężkie to jeszcze będą z Gdańszczany spory.

- Ciężkie - bo w radzie boją się utraty swych wpływów. Jedno, że pospólstwo, a i z patrycjatu có mądrzejsi na polską stronę ciągną - rzekł Bażyński.

Rozmowa przeszła teraz na warunki poddania się Polsce. Główne wskazania omówione zostały z kanclerzem koronnym już dawno temu, jeszcze za spotkania we Wrocławiu. Niemniej nadal pozostawało sporo kwestii spornych do wyjaśnienia...

Spotkanie dwóch mężów stanu przeciągnęło się do późna w noc. Zaraz zaś następnego dnia ze świtem ruszył Bażyński ze swymi w powrotną drogę. W Toruniu czekały pilne sprawy. Nie można było przeoczyć niczego, walka musiała być tak przygotowana, aby z góry rokować pewność wygranej.

Sanie mknęły po wyszlizganej nawierzchni, spod kopyt końskich wypryskiwały grudki zlodowaciałego śniegu, uderzały w twarz steranego mężczyznę o wielkiej duszy i wielkich ambicjach. Bażyński długo rozmyślał nad wiadomościami, jakie przyniosła mu rozmowa z wojewodą Szarlejskim. Szala przeważała się, Korona skłonna była przyjść stanom pruskim z pomocą. Teraz zostaje umiejętnie rozegrać wewnętrzne sprawy... Jeszcze dziś nocą trzeba zwołać najbliższych, gońców ślać, niechaj przyśpieszą wszędy przygotowania.

Sanie zaprzężone w parę koni mknęły szybko po drodze. Z tyłu dudniły kopyta koni towarzyszących jeźdźców. Krótco przed wieczorem winni minąć bramę toruńską. Bażyński z rozkoszą pomyślał o swym ciepłym mieszkaniu, lepiej umościł w futrach schorowaną, bolącą na zimnie nogę, przymknął powieki. Mało spał ubiegłej nocy, zmęczony był...

Słońce skłoniło się zaledwie ku zachodowi, gdy od drogi bydgoskiej wjechali przez most zwodzony w bramę Torunia. Utrudzone konie zwolniły, sanie trzęsły się na nierównych

grudach. Bażyński zacierał zmrożone ręce, poruszał zdrętwiałą nogą, dolegającą teraz mocniej niż zawsze. Pomyślał, że w domu każe natrzeć ją okowitą i owinać wełnianym szalem.

Nad miastem ciągnął jakiś szum, pokrzyk nieustający. Ulice były puste, gdzieś od strony Wisły i krzyżackiego zamku wiatr dąć począł śnieżnym pyłem.

- Na Nowym Mieście. - Tam to ludzie gorący... - odwracając się z uznaniem rzekł woźnica, biczyskiem wskazał w stronę, skąd dobiegał coraz mocniejszy rozgwar.

Bażyński uśmiechnął się trochę cierpko. Kłopot mieli z pospółstwem Nowego Miasta. Po sierpniowych rozruchach, kiedy to po raz pierwszy wygnano radę miejską, zastępując ją wydziałem, uspokoiło się na krótki czas. Wydział nie poradził sobie jednak z zarządem miasta, zezwolono więc wrócić poprzedniej radzie, z tym, że działalność jej podlegała stałej kontroli. Od listopada znów jednak zaczęły podnosić się coraz mocniejsze protesty. Narzekano, że rada paktuje nieustannie z komturem toruńskim, Albrechtem Kalbem, pomoc mu daje w umacnianiu zamku, śle wieści wszelkie.

Z chwilą, gdy nadeszła wiadomość o wyroku cesarskim, do plebsu przyłączyły się także cechy, żądając stanowczych kroków przeciwko radzie. Ratusz dzień i noc otoczony był grupami zaciętych mieszczan, wyklinających głośno, dobijających się do drzwi ratuszowych, żądających broni z mieszczącej się w piwnicach zbrojowni. Na pomoc pacholkom ratuszowym trzeba było posłać oddział zaciężnych ze Starego Torunia. Napierający tłum musiał ustąpić...

W przeddzień wyjazdu Bażyńskiego na spotkanie z Szarlejskim, naraził się mieszczanom mincarz, Jan Lichtenstein. Zauważono, jak wywozi do zamku stopy miedzi i srebra oraz część mennicznych urządzeń. Nie minęła godzina, a tłum wdarł się do wnętrza mennicy. Lichtenstein w ostatniej chwili zdołał uciec tylnym wyjściem, mennica została jednak zdemolowana. Straż cechowa, mająca strzec bezpieczeństwa, sama wzięła udział w napadzie. Odniesione zwycięstwo wpłynęło na wzrost bitewnych nastrojów. Jak miasto szerokie i długie, rozlegało się w nim wołanie:

- Broni, broni! Przydzielić nam broń!

Przybyła nawet delegacja na staromiejski ratusz, żądając poparcia. Wysłannik Tajnej Rady długo musiał tłumaczyć, że nie pora jeszcze na walkę, muszą zaczekać, może niedługo nadejdzie stosowna chwila.

- To radę zabierzcie, niech nie paktuje z komturem...

Wydziałowi sprawującemu nadzór nad radą dodano jeszcze trzech nowych członków spośród przedstawicieli rzemiosła. Na Nowe Miasto posłano dalszy oddział najemnych trabantów.

Dom Bażyńskiego mieścił się przy ulicy Szkolnej. v Przywódca Związku zaniepokojony był sytuacją w Nowym Mieście. Zaledwie rozgościł się u siebie, kazał gońców śłać do burmistrza von Loe z prośbą o wiadomości, co się dzieje. Niedługo czekał. Zdyszany wpadł zaraz sam burmistrz, towarzyszyli mu Teudenkus i jeszcze dwóch rajców miejskich. Wzburzeni byli, peruka, którą von Loe przykrywał okazała łysinę, osunęła mu się teraz na prawe ucho, wyglądał śmiesznie. Z daleka już wykrzykiwał, śpiesząc przez pokój dla przywitania się z Bażyńskim.

- Nie utrzymamy ich więcej w posłuchu! Broni żądają i zupełnego złożenia rady z urzędu.

- Co się stało?

- Co? Dużo! Wczoraj zatrzymano podwody wiozące na zamek d/zewo dla umocnień i wielkie zapasy mąki. Cechy i gawiedź wartują około zamku, zamknęły wszelki dowóz. Sama rzecz może nawet i dobra, ale dzisiejszego dnia rano cała rada nowotoruńska skryła się pod pieczę komtura. To wystarczyło. Wydział nie potrafi utrzymać porządku... Przed godziną poczęli dertiolować wejście do ratuszowej zbrojowni... Co robić?

Zasapany von Loe urwał, poprawił przekrzywioną perukę, wpatrywał się w twarz Bażyńskiego. Teudenkus z lekkim uśmiechem potakiwał słowom burmistrza. Dwaj rajcy stali cisi, z namaszczaniem wpatrywali się w Bażyńskiego.

Zastanawiał się chwilę. Mimo zwartych szczelnie okien i drzwi aż tutaj przenikały przez mury rozgłośne krzyki z Nowego Miasta.

I nagle źrenice starego człowieka zapłonęły mocnym blaskiem. Powstał, kulejąc postąpił parę kroków do stojących przed nim burmistrza i radnych.

- Co robić? Wezwać lud do broni! Zezwolić po cichu na otwarcie arsenału. Radę jeszcze dzisiaj złożyć z urzędu, ukazem jednak tylko Starego Miasta, bez mieszania w to Tajnej Rady związkowej. Do broni, do broni! - powtórzył z mocą, wyprostował się, zdawało się obecnym, że wyższy się stał, mężniejszy niżeli zawsze.

Patrzyli na niego oszołomieni, jeszcze w pełni nie zdawali sobie sprawy ze słów usłyszanych przed chwilą.

- Wieści dobre przywożę. Sprawa sprawiedliwa wygra. Do broni! Do broni! Toruń niechaj pierwszy zazna smaku wolności - dobitnie powtórzył Bażyński.

Rajcy otworzyli szeroko usta. Burmistrz von Loe uderzył dłońmi o siebie...

- Zatem początek? - w głosie jego brzmiały niedowierzenie i radość.

- Tylko w Nowym Toruniu - uśmiechnął się Jan Bażyński, dodał ciszej: - Wieczorem spotykamy się z wami tutaj i z wami, panie Konradzie...

Jak mu wiek tylko pozwalał, szybko schodził teraz stary burmistrz po schodach wewnętrznych, biegł prawie przez ulicę, wraz kazał wołać ratuszowych heroldów. Potem udał się z kilku rajcami na Nowe Miasto. W zapadającym mroku z zamku krzyżackiego śledziły ich liczne oczy.

Na ulicy wywodzącej prosto na ratusz Nowego Miasta spotkali innego z rajców. Z daleka już wołał ochrypłym głosem:

- Wdarli się do zbrojowni, chłopaszek jakiś od środka otworzył, broń dzielą pomiędzy siebie...

- W porę więc przybywamy - rzekł siwy burmistrz, rześkim mimo lat krokiem ruszył dalej, nakazując zaraz heroldom:

- Obwieszczajcie nasze przybycie! Wzywać będziem wierny lud Torunia do broni!

.....

- Do broni! - powtórzyło echo, odbijając się od murów.

- Do broni! - gromkim krzykiem rozległo się po chwili na mieście, ponurą groźbą dotarło na odcięty od wszelkich dróg zamek krzyżacki z ukrytą w jego wnętrzu dawną radą miejską Nowego Torunia i bezradnym jej opiekunem, komturem Albrechtem Kalbe.

Tego wieczora zabrakło piwa w gospodach jednego i drugiego Torunia. Miasta święciły pierwszy swój dzień wolności. A zarazem tym śmielej spoglądały tysięczne oczy na ponuro majaczącą w ciemnościach siedzibę komtura.

- Do broni, do broni! - wołali mali chłopcy przebiegając ulice.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Od chwili powrotu z Pasłęka Mikołaj Pieniążek bawił przy swojej rocie w okolicach Nieszawy, spotykał się z Sandorem, przypominał się też podskarbiemu, Hińczy z Rogowa, staroście inowrocławskiemu, który z ramienia królowej Zofii na samym pograniczu pilnował spraw pruskich.

Z dziwnym uczuciem meldował się stary husyta w domu starościńskim. Hińcza z Rogowa był ongiś jednym z ludzi najbliższych Spytkowi z Melsztyna. Potem jednak splamił się zdradą, a gdy ruch husycki został rozbity, przystał do grupy „Młodych” wśród możnowładców małopolskich, zbliżył się do królowej i jej dynastycznego obozu. Z dawnej

rewolucyjności pozostało mu tylko związanie z miastami i walka z przewagą hierarchii kościelnej. Obrastał szybko w znaczenie i powagę, stał się członkiem rady koronnej.

Podskarbi przyjął Pieniążka nader serdecznie, wspomniał dawne dzieje. Ucieszył się, że Mikołaj przybył ze swoją rotą dla pomocy pruskim konfederatom. Obiecał pomoc w razie potrzeby. Próżno jednak szerzej napomykał Pieniążek o dawnych hasłach równości, podskarbi zbywał to niedbałym machnięciem ręki:

- Było, minęło, szkoda wspominać...

Ożywał się tylko, gdy mowa była o wiszącej w powietrzu wojnie pruskiej.

- Śmiało muszą oni poczynać. Korona pierwsza palcem nie ruszy, boby ją obkoczyły wraz wszystkie potęgi światowe z papieżem na czele, skoro Krzyżacy podnieśliby gwałt, że kościół w ich osobach się napastuje. Temu przecie i Oleśnicki tak wzdraga się przed jakąkolwiek pomocą lękając się, by wśród konfederatów nie znaleźli się jacy heretycy albo kacerze. Niech jeno choć kilkanaście miast i zamków związkowcy zdobędą i wtedy o opiekę poproszą, cała Korona stanie za nimi...

Z uśmiechem dodawał jeszcze:

- Toż ja szlachty tutejszej utrzymać nie mogę, tak rwą się z pomocą za pruską granicę... Toż samo w ziemi dobrzyńskiej i w Wielkopolsce... Rzeknij tam, prędzej niech poczynają, nim ich pomału zacznie wielki mistrz, wyluskiwać, by owe trzy setki napocząć...

I tyle. Dłoń uściśnął, bukłaczek wina rozkazał jeszcze przytroczyć do kulbaki. Pieniążek rad był w końcu, że i tyle jeszcze z dawnego Hińczy zostało. Uśmiechał się do swej myśli, że trochę, a wszyscy zwolennicy husytyzmu spotkają się w ziemi pruskiej. Przecie on sam odnalazł już Bratka, teraz Hińczę z Rogowa, poszperać dobrze, byłoby jeszcze wielu innych...

Nowy Toruń był widoczny z Nieszawy. Z drugiej strony Wisły od tygodnia niosły się w cichsze wieczory okrzyki i hałasy. Wiedziano dobrze w obozie Pieniążka, że to pospólstwo protestuje znowu przeciw swej radzie i komturowi. Pan Mikołaj rad by sam poszedł wmieszać się w ludzi, znaleźć może jaką okazję do awantury. Musiał jednak zająć się swymi zbrojnymi, którzy pod jego nieobecność rozpsieli nieco, jak mawiał. Twardą ręką wprowadzał od nowa porządek, umiał nakazać posłuch. Ckniło mu się jednak za Bratkiem, dwa razy słał Wicka, aby się dowiedział w Toruniu, czy nie wrócił z lasów kosmaty rotmistrz. Pacholik wracał tego samego dnia, z daleka już trzął przecząco głową.

Tego dnia Wicka nie było w obozie. Próżno rotmistrz czekał na niego do późnego wieczora, przy dzbanie piwa grając z Erykiem w kości. Eryk poweselał, wróciła mu otucha i radość. Podniecała go nadzieja bliskiej rozprawy z Zakonem, pragnął zasłużyć się jak

najbardziej, dokonać głośnych czynów, wtedy łatwiej przyszedłoby mu rozmawiać ze stryjem i ułożyć znośne życie z Zofijką. Tylko na każdą myśl o dziewczynie serce ścisnęło mu się tęsknotą. Przypuszczał, że Gruc dawno już przybył na Prusy i skoro tylko Pieniążek przyjmie w jakimś mieście służbę zaciężną, za jego zezwoleniem popróbuje odszukać gdzieś komediantów.

Pocieszał teraz Pieniążka, który zrywał się na Wicka, obiecując mu setne baty. W głębi rotmistrzowego serca czaił się lęk o chłopaka.

- Może Bratek już wrócił i zatrzymał chłopca w jakowejś sprawie, może gdzie się zawieruszył. Czupurny jest, mógł się wplątać w bijatykę i pacholkiwie ratuszowi zamknęli go w wieży - burczał Eryk, z rozmachem wysypywał kości z kubka na stół.

- Ech, co ty tam wiesz, jak mi miecz miły... Wicek niczego nie śmiałyby zrobić bez zezwolenia.

Jednak zrobił, jak się to okazało w następnym dniu. Chłopak wrócił objuczony mieczem, kopią i prawie pełnym kompletem zbroi. Włożył wszystko na siebie, nie mając konia szedł piechotą, mimo mrozu spocił się straszliwie. Stał tak przed Pieniążkiem, który go nie rozpoznał od razu, dopiero po chwili zarzycał straszliwie:

- Ha łotrze, beskurcyjo! Kędyś to bywał? Wraz ci dwadzieścia batogów każę wyłożyć, jak mi miecz miły... A zbroję i broń komużeś ukradł, gadaj no wraz!

Chłopak odsunął z czoła kosmyk spoconych włosów, przestraszony skłonił się rotmistrzowi.

- Darujcie, panie, ale że Bratka nie było jeszcze, tom zajrzał na Nowy Toruń, zwiedzić się, co tam za dziwa się dzieją...

- Toś po to dzień cały i noc musiał zmitrężyć?

- Ludziska o broń wołali, jakże było nie pomóc... Tedym wlaź do ratusza bocznym okienkiem, wążienkim, że inny by się nie był precisnął. Stamtąd do zbrojowni łatwo trafiłem, wrota zem otworzył, przedtem jeszcze co nieco odkładając sobie na stronę... Toż radość była, gdy ludziska broń zaczęli rozbierać. Noc nastąpiła, bramy zamknięto, trzeba mi było nocować w mieście, a że jeszcze czeladź znajoma piwem spoila, tom zasnął dzisiejszy ranek i teraz dopiero wracam... Ciężko iść było, panie, w takowym żelastwie... - odsapnął, spod oka spoglądając na Pieniążka.

Ten zaś zawrzeszczał nagle na całą rotę.

- A bywajcie no tu, rzec coś wam pragnę, jak mi miecz miły. Bywajcie...

Nie wiedząc co się dzieje, zbrojni sypnęli ze wszystkich stron, wytrzeszczali na chłopaka zdziwione oczy. Pieniążek zaś dumnie ujął się pod boki, wydymał czerwone policzki.

- Pojrzyjcie na pacholika tego, jako on zbrojny. Wy tu się jeno wałkonić, spać a za dziewczkami oglądać umiecie, aż ludziska z wiosek ze skargami przychodzą, a ten wojować pierwszy z nas począł, nie byle trofea przynosząc... Zbrojownię ratuszową w Nowym Toruniu otworzył, innym broń dał, o sobie nie przepominając. Zuch pacholik, jak mi miecz miły, do kata!

Wicek rósł jak na drożdżach, prostował swoje chłopięce ciało, nie czuł teraz ciężaru zbroi. Pieniążek zaś nagle umilkł, drapał się w głowę. Potem rzekł krótko:

- Jak mi miecz miły, wiem już, co zrobię. Niedzielę temu prosił mię, bym do rotę go przyjął...

- Rzekliście tedy, panie, że jeszcze za młody, by broń dla mnie marnować, chyba, że sam bym takową zdobył - wpadł w jego słowa Wicek.

- Cichajże hultaju... To ci beskurcyja dopiero, jak mi miecz miły... Tak jest, prawie ma, takom mu rzekł. I szelma wraz broń, a jeszcze zbroję zdobył do tego. Cóż zostaje teraz, jak konia mu dać i przyjąć do rotę?

Wicek tak jak stał, chrzęszcząc żelazem, runął mu z radości do nóg.

- Hm, hm, jak mi miecz miły - zamruczał pan Pieniążek odchodząc szybko na stronę, wzruszony był bowiem bardzo.

Potem wezwał świeżo upieczonego wojaka do siebie, wypytał dokładnie o wydarzenia w Toruniu. Gdy się dowiedział, że sam burmistrz Starego Miasta wezwał lud do broni, zdumiał się bardzo, zaraz kazał konie szykować, by do Torunia jechać z Erykiem.

- Takie nowiny, jak mi miecz miły... Toć się już naprawdę zaczyna. A Bratka nie ma - wspomniał na towarzysza z pasłęckiej wyprawy, zmarkotniał trochę.

Eryk rad był wyprawie. Dobrze się czuł w Toruniu, przyzwyczał do jego ludzi i ulic. Pomyślał też, dowie się może czegoś o kuglarzach nigdy nie wiadomo, co temu Grucowi strzeli do głów Toruń podniecony był dopier minionymi wydarzeniami. Miasto zmieniło się nie t poznania. Wszędzie snuli się zbrojni czeladnicy i różn[^] gawiedź, przejeżdżały czasem rotę zbrojnych, od ubrania na pruską modę odbijały polskie stroje, mieszały się ze sobą różne języki, szczególnie często słyszeć się dawał czeski, łatwo było wtedy poznać zaciężnych, zwerbowanych przez Piotra z Wikliny.

Tielemana vom Wege jeszcze nie było. Nadal przebywał w Wiedniu, pilnując formalnego załatwienia protestu złożonego przez posłów przeciw wyrokowi Fryderyka III.

Pieniążek z Erykiem wychodzili właśnie z bramy domu zamieszkałego przez Tielemana, gdy zatrzymało ich pełne przyjemnego zdziwienia wołanie:

- Ejże, a wy tu skąd, mopankowie?

Poznali sędziego Ramsza z Krzykosów. Nie było wiadomości o jego powrocie z procesu, dlatego też zdziwili się mocno w pierwszej chwili.

- Drugi dzień, jak z podróży... Przez Śląsk wracałem, wołąc ominąć Miltitzowe dziedziny. Choć tym razem można by się było spróbować, równiejsze byłyby siły! - Zaśmiał się, objaśniając: - Blisko czterystu zaciężnych przywiodłem ze sobą dla Związku. Trzy rot, niemała to siła. Dobrze zbrojni i konie mają mocne.

Sędzia śpieszył się na jakieś posiedzenie w ratuszu, umówił się tedy z nimi na spotkanie wieczorem. Zatrzymał się przy ulicy Żeglarskiej, Eryk znał dobrze ten dom.

- Przyjdźcie jeno koniecznie, bo i sprawcę miał będę do ciebie - rzekł jeszcze na odchodnym Ramsz z Krzykosów.

Spoglądali za nim, jak szedł ulicą różnym krokiem, poważny, z lekko przygarbionymi plecami.

- Prawy człek - mruknął Pieniążek.

- I twardy. Jako to Pomezanie w swym ręku trzymał, ze wszystkimi umiał sobie dać rady, nawet z biskupem pomezzańskim żył w komitywie... - Eryk niezmiernie ciekaw był sprawy, jaką miał Ramsz do niego. Przychodziło mu na myśl, że może są wieści jakie od Piotra z Wikliny, ale chyba nie, gdzież bo się mogli zobaczyć ze sobą? Sędzia wracał prosto z Wiednia, a stryj nie wiedzieć gdzie przebywał. Po zjeździe zbrojnym w Grudziądzu wyjeżdżał ponoć w Elbląskie, był jeszcze w Toruniu, potem ślad za nim zaginął. Pewnie znów załatwia tajne jakieś związkowe sprawy.

Ledwo się doczekał wieczora. Ramsz znowu miał jakieś zebranie, krótko tylko z nimi rozmawiał, chociaż nie tał wielkiej swej serdeczności zarówno dla Eryka, jak i dla polskiego rycerza, z którym się lepiej poznali w Miltitzowym więzieniu. Ucieszył się, gdy mu Mikołaj powiedział, że z rotą swoją przyciągnął na Prusy.

- To dobrze, dobrze, bo nam ludzi z głową tu trzeba. A kędyś pan stanął ze swymi?

- Szukam miasta, gdzie rozruch będzie największy. Nie wiem do tej chwili...

- Pomyśleć warfo by o Elblągu. Tam brat naszego związkowego starosty wraz z Segenandem z Waplewa sporo jeszcze mają stronników wśród szlachty. A i Cegenberg, jak słyszę, w tamtych okolicach bruździ... Ja w elbląskiej sprawie, Eryk, do ciebie... Jakem już rzekł, trzy roty przywiodłem ze sobą. Jedna stać będzie w Chełmnie, druga w Toruniu, ostatniej miejsce właśT i w Elblągu. Mało tam jeszcze trabantów. Dla tej rot Drak mi

rotmistrza, a chciałbym, aby człek był pewnr zupełnie. Zamyśliłem Jaroszowi Topoli dowództwo ^ać nad tą rotą. Jan Bażyński się zgodził, boć to jego krewniak, a i domownik...

- Dzielny to żołnierz.

- W tym i rzecz cała. Ja tu muszę jeszcze w Toruniu ostać dni parę, może i całą niedzielę. Gdybyś mógł do Krzykosów poskoczyć, nakazać Topoli, by wraz do mnie przybywał... Pilna to rzecz. Czym szybciej żołnierz będzie w Elblągu, tym lepiej...

- Zali aż tak już pilno, jak mi miecz miły? - zapytał Pieniążek, a oczy mu zabłyśły radośnie.

- To wam rzekę, że jutrzejszym dniem Gabriel Bażyński od szlachty i Rutger von Birken, rajca toruński, do króla polskiego ruszają, prosić Koronę o przyjęcie ziemi pruskiej w poddaństwo, jako dawniej bywało.

Zdumieni, mrugali z wrażenia oczyma.

- Pozdrówże tam moich w Krzykosach, Elżbietkę, Jakusza z Trumni. Widzi mi się, że długo będzie jeszcze musiał w moim zastępstwie sprawować rządy w Krzykosach... - spojrzął na Eryka, zapytał, jakby coś sobie przypominając. - Pono stryj się na ciebie pogniewał?

Eryk zaczerwienił się.

- Wiare mam, że mi jeszcze wybaczy. Dawnom go już nie widział...

- Bo w czeskiej ziemi przebywa, zaciężnych werbuje dla Związku. Rychło zapewne wróci, gońca słał z wieścią - poinformował Ramsz.

- Jadę wraz z tobą - rzekł Pieniążek, gdy wyszli od sędziego. - Obejrzym sobie ów Elbląg. I mnie się coś widzi, że warto by tam stanąć zaciągiem. Jeno młodemu Bratkowi znać damy, że jedziem, by ojciec skoro wróci, ludzi zbierał, jak było mówione. Ruszać wraz możemy, choćby nawet i nocą. Puszczą nas przecie Bratkowi za mury...

Rota Bratka wraz z cechem piekarzy trzymała straż na Krzywej Baszcie. Zakazy wypuszczania kogokolwiek z miasta po zachodzie słońca były teraz szczególnie ostre i jedynie wstawiennictwo młodego Bratka sprawiło, że dwaj rycerze mogli się znaleźć na drodze wiodącej na Grudziądz. Konie rwały już szybkim kłusem, a jeszcze goniły za nimi wołania, by strzegli się wilków, które rozzuchwaliły się bardzo ostatnio.

Noc była jasna, roziskrzona mrozem. Zbliżały się Gody. Gwiazdy gęsto usiały ciemnogrnatowe niebo, zza drzew toruńskiego przedmieścia wychynął księżyc szybko zdążający ku pełni. Ubity szlak wiódł prosto na północ, ku Bydgoszczy i dalej ku Kwidzynowi. Konie były silne, wypoczęte wielodniowym bezruchem, rwały równo, drzewa migały łącząc się w granatowe pasmo.

Obaj lubili pęd, rozkoszowali się chłodnym wiatrem dmącym w twarze, uciecha jakaś wstępowała im w serca.

Przez noc zrobili duży szmat drogi. Minęli Chełmżę, nie dojeżdżając do Chełmna skręcili o świcie w prawo. Tam popasali parę godzin w przydrożnej karczmie, głównie, aby dać spoczynek zwierzętom. Krótco przed wieczorem przejechali przez Grudziądz, rojny niespokojnym tłumem podobnie jak Toruń. Tylko siedziba krzyżacka na Zamkowej Górze była tu mocniejsza, lepiej obwarowana.

Za Grudziądzem Eryk odetchnął.

- Tti już mi krzak każdy znajomy. Rodzinna to moja ziemia... - jSomyślał w tej chwili o Zofijce, westchnął ciężko.

Do Krzykosów trzeba było przedzierać się przez gęste lasy, ciągnące się całymi milami. Konie były zmęczone, woleli być ostrożni; mijani chłopci przestrzegali ich przed dalszą jazdą; widzieli podobno stada wilków.

- Jest tu zajazd znajomy. Tam staniem - zdecj - wał w końcu Eryk, skręcając do dużego, niezgrabnej budynku przy drodze.

Karczmarz poznał Eryka, ucieszył się jego widokiem, zapytał nieśmiało o Piotra z Wikliny. Był to poczciwy człowiek, przysłużył się nieraz Związkowi Pruskiemu, opowiedzieli więc mu pokrótce, co się zdarzyło w Toruniu, dodali, że lada chwila pczekiwać można ogólnego powstania.

- Daj że już Panie Boże - westchnął karczmarz, po wieczery prowadząc swych gości na górę. - Życzę dobrego spoczynku - dodał obłamując zwęglone kawałki z sosnowego łuczywa.

Spali mocnym snem kilka godzin, gdy zbudziły ich nagle hałasy na dole, liczne głosy, prześmiechy.

- Cóż to za nocni goście? - zdziwił się Pieniążek.

W tej samej chwili rozległo się ciche pukanie. Eryk odsunął drewnianą zasuwę. Do pokoju wśliznął się karczmarz.

- Niech panowie będą w razie czego gotowi do ucieczki. Wójt Nowego wraca z Malborka ze swoim pocztem. Okrutny to człek, gotów by jeszcze zaczepki szukać, boć przecie pan Eryk dobrze mu znajomy...

- Wójt, jakże się zwie? - pytał Eryk ubierając się pośpiesznie.

- Von Badenach...

- Toż to mój stary znajomy!

- Tym bardziej przyznają panowie mi rację. Muszę już iść. Tędy z okna można skoczyć na drwalkę, potem od tyłu do stajni. Każę chłopcu osiodłać konie na wszelki wypadek. Gdyby coś, dam znać, ale i panowie miejcie baczenie.

Usłyszeli jeszcze jego kroki na schodach. Hałas na dole ucichł na chwilę, doszły jakieś ostrzejsze głosy. Kończyli ubieranie się, ręce w pośpiechu nie mogły dopiąć pasów, Pieniążkowi zapodziała się gdzieś mizerykordia, macając rękami szukał jej po podłodze.

- Gadaj, kto jest? - usłyszeli nagle potężny krzyk.

Eryk poznał głos von Badenache.

- Dwaj podróżni, kto ich wie, kim są. Ja się nie pytam... Biedaki jakieś - odpowiedział niepewnie karczmarz.

- Wraz obaczmy, światło dawajcie. Idziemy na górę.

Zadudniły kroki po schodach. Pieniążek skoczył ku oknu, mocował się z ramą, którą mróz ścisnął tak silnie w futrynie, że nie chciała odskoczyć. Eryk trzymał dłoń na rękojeści miecza.

Do drzwi rozległo się mocne pukanie.

- A kto? - Eryk udawał senność, spoglądał z niepokojem na Pieniążka, ciągle jeszcze nie mogącego sobie poradzić z ramą.

- Otwierać!

Wraz potem zatrzęszczało, stara zasuwka puściła, nowe uderzenie ramieniem wysadziło drzwi razem z kawałkiem przegniłej futryny. Pieniążek w tej chwili poradził wreszcie z oknem, rozwarło się ze skrzypieniem. Było już jednak za późno, by wyskakiwać, Eryk znajdował się przy samych drzwiach. Zabłysło światło trzymanego w górze łuczywa, zabielała w blasku twarz wójta. Eryk poznał dawnego swojego prześladowcę, zadrzał z gniewu.

- Czego? - zakrzyknął nie swoim głosem.

- Czego? - von Badenach poznał go, z wyciągniętym mieczem rzucił się nagle przed siebie. - Wraz obaczysz, parszywy pomioście! Bierście ich, ten młody, to krewniak Piotra z Wikli... - nie dokończył, Eryk, który w pierwszej chwili uskoczył na bok przed ciosem miecza, sam pchnął teraz Krzyżaka od prawa. Ten upuścił miecz, złapał się za bok, krzyczał na swoich:

- Brać ich, brać!

Skoczyli, zamigotały szable, któryś krzyknął w przestrachu. Pieniążek skurczył się, przysiadł ku podłodze, odepchnął się, runął na napastników ze strasznym impetem, siekąc gdzie popadło, odcinając się zręcznymi, krótkimi poruszeniami miecza.

Podniósł się krzyk, stropieni w pierwszej chwili, napierali już dalsi knechtowie. Światło łuczywa pętało nierówno po ścianach, nagle zagasło, tylko skry zamigotały w powietrzu. To Eryk chwycił dzban z wodą, stojący przy piecu, rzucił nim z rozmachem w dłoń trzymającą łuczywo. W tej samej chwili Pieniążek odskoczył na bok...

Skoczyli do okna, stamtąd na daszek. Omal nie spadli na dół, daszek był bowiem oślizgły pod wierzchnią warstwą śniegu. Przebiegli kilka kroków, zsunęli się na ziemię, potężnymi susami sadzili ku stajni. Szczęśliwie wrota były tylko domknięte. W pierwszej chwili zaniewidzieli zupełnie w ciemności, na ślepo kierowali się ku miejscu, gdzie powinny były stać ich konie.

- Tutaj, prowadzę je - szepnął ktoś, podsuwał lejce do rąk.

To parobek karczmarza zdążył osiodłać konie i śpieszył z pomocą pruskim rycerzom.

Wypadli na dziedziniec, wskakiwali w biegu, konie bowiem, przyuczone już do podobnych wydarzeń, zerwały od razu z kopyta. Była to ostatnia chwila, za nimi dudniły kroki biegnących knechtów. Pieniążek obejrzał się, krzyknął:

- Zniż głowę!

W tej samej chwili rzucona z rozmachem włócznia ze świstem przeleciała nad Erykiem. Koń stulił uszy, poderwał się do szaleńczego cwału. Eryk zaśmiał się długo, przeciągle.

- Nie rannyś? - krzyczał przez wiatr Pieniążek.

- Nie!

- I jam cały. Upiekło się nam, myślałem, że nie otworzę już przeklętego okna... Diabli nadali z* tym całym zajazdem, jak mi miecz miły...

Do Krzykosów przybyli krótko przed świtem. Długo nie chciano ich wpuścić do obwarowanego jak forteca dworu, zbudzono na nalegania samego Jakusza z Trumni. Ten dopiero poznał Eryka.

Zaraz wylegli wszyscy domownicy. Posapując z uciechy, zjawił się Jarosz Topola, długo ścisnął Eryka w objęciach. Po hałaśliwych powitaniach zasiedli za stołem, zdawali relację ze swej przygody.

Do izby cicho wsunął się Edwin, przypadł do przyjaciela.

- Edwin, a ty tu co robisz? - zdumiał się rozradowany Eryk.

- Przyjechałem nawiedzić Elżbietkę - jakoś cicho odszepnął przyjaciel.

Eryk zrozumiał, w pierwszej chwili ukłuło go w serce, że Elżbietka tak szybko go zapomniała, potem roześmiał się, serdecznie poklepał towarzysza po ramieniu.

- Nic to, Edwin, na każdego czas miłowania przychodzi...

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kroki dwóch mężczyzn głucho dudniły w olbrzymim kapitularku malborskiego zamku. Nawet szereg wysokich okien nie mógł zapelnić światłem miejsca zebrania krzyżackiego rycerstwa. Pod ścianami pełgały cienie, osnuwały twarze spacerujących Krzyżaków. Mimo zatopienia w rozmowie, często rzucali baczne spojrzenia na drzwi wejściowe.

Obaj byli postawni, w sile wieku, krok mieli mocny i energiczny, głos nawykły do rozkazywania. Teraz jednak porozumiewali się szeptem, jakby w obawie, aby słowa ich nie dotarły do niepowołanych uszu.

Łuki ciemnych brwi wielkiego szpitalnika podnosiły się czasem do góry, jak gdyby wyrażając tym gniew czy oburzenie. Drapieżny, kształtny nos drgał wtedy nerwowo, usta wydymały się skrzywieniem pogardy. Najczęściej jednak na obliczu Henryka von Plauena igrał dyskretny uśmiech, nadając jego twarzy coś ujmującego, nieomal miłego.

Męskie oblicze podskarbiego ścinało się ostro, oczy rzucały na strony zimnymi blaskami. Ponury był, przyciszając głos szeptał teraz namiętnie:

- Ważą się losy Zakonu, łagodność minionych lat oto się jakimi opłaca skutkami. Cóż po wyroku, jeśli możliwości nie ma, by oddać katowi owych trzystu plugawców? Możliwości, rzekę, nie mocy, tej jeszcze starczy w Zakonie. Gorzej, że odwagi nie staje. Babskie to były ostatnie lata rządzenia, nie rycerska jest dłoń brata Ludwika. Musimy udzielić jemu naszej odwagi.

- Ba - wydał wargi Henryk von Plauen. - A jeśli posłuchu nie da, jeśli trafią mu w smak przedłożenia ostródzkiego komtura albo Mikołaja Postora z Gdańska czy choćby Egglofsteina z Lipinek? Cóż tedy? Męża prawdziwego nam trzeba na czele Zakonu...

Eberhard von Kynsburg wybuchnął gardłowym śmiechem. Twarz jego ściągnęła się drapieżnie.

- Wysoko mierzy wielki szpitalnik Zakonu, nie wiem jeno, czy pora po temu sposobna. Mogą się nadarzyć insi kandydaci na stolec mistrzowski! Cóż tedy? Waśń w Zakonie zaczynać, gdy i tak niepewne jego posady? Nie, bracie Henryku, nam się wielkiego mistrza Ludwika dziś trzymać, jeno trza w cugle go wziąć i mocno powodować onymi cugłami. Ostrości żądać nieustępliwie, na zwłokę i gadaninę czczać nie iść! - zamilkł na chwilę, obejrzał się uważnie dokoła, potem zaczął mówić swobodniejszym już tonem:

- Wejrzyj jeno, jaki spokój u mnie w Niborku a Szczytnie. Bo katu swemu próżnować nie daję... Przed trzema dniami sądy czynilem. Chłop jakowys nożem pchnął kompana przy weselnej zabawie. Tamten skargi nawet nie złożył, ba, wstawiać się przyszedł szelma w czas sądu. To wiesz, com zrobił? Pierwszemu obciąć kazałem dwie ręce, drugiemu jeno prawą... U kucharza swojego znalazłem złote floreny, wraz szyję na powróż dał... Sześciu innych ściąć kazałem, trzem w łubach przez całą niedzielę siedzieć. Strach u mnie jest, a gdzie strach, tam i posłuch... Toż samo w całych Prusach trza czynić, nie bacząc, szlacheckiego kto rodu, kupczeniem po miastach się trudni albo chłopem pracuje na roli. Niechaj łby lecą, posoka płynie, wraz się im rebelianctwa odechce!

- Pohamuj się, bracie! Rzecz za daleko zaszła, aby sami kaci pomogli. Widzi mi się, że prócz katów wojsk nam dziesięćkroć więcej potrzeba, niżeli po zamkach stoi załoga. Zaciągi słabo idą, w Rzeszy i Brandenburgii za papieskim wezwaniem na Turka się wszystko skrzykuje. Morawy, Łużyce i Czechy, tam jeszcze więcej zaciężnika ostaje, stamtąd trzeba go brać.

Podskarbi Zakonu przystanął, przymrużył oczy, wąskimi szparkami długo spoglądał na towarzysza, znowu z gardła jego śmiech lunął, jakby kto puszczał żelazo pó blaszanej ryniencie, rzekł dobitnie:

- Kończmy kluczenie wzajemne. Wiemy o sobie zbyt wiele! Niechaj każdy dąży ku swoim celom. A łączyć nas będzie cel wspólny, ten, by wskrzesić siłę Zakonu, moc jego utrzymać. Wspomagać się będziemy wzajem, pospołu na Ludwika Erlichshausena napierać, doradców jego tchórzliwych jak gnidy usuwać... Ot jak! Rzekłeś ongiś, lwami nam być. Minął czas lisiego smykania. Czas, by się przebudził Zakon dawniejszym lwem, okazał mocne pazury.

Oczy podskarbiego spotkały się z czujnym, badawczym spojrzeniem Henryka von Plauena.

- Zatem jak? Przymierze do chwili, aż Zakon potęgą się stanie od nowa? Rządzić pospołu rycerzami Panny Maryi w ten ciężki czas, sił nie żalować ni rady szczerzej? Dopiero, gdy moc dawna krzyżowego rycerstwa wróci, tedy...

- Tedy ze sobą się zmierzym na siłę umu i miecza.

One rozsądzą pomiędzy nami - dokończył zimno podskarbi, gardło mu zadrgało, jakby znów pragnął wybuchnąć dziwacznym swym śmiechem, ale się wstrzymał.

Raz jeszcze zajrzeli sobie w oczy, potem wolno i mocno złączyli swe dłonie w uścisku.

Zapadło milczenie. I nagle, jakby zza ściany, wpadł w nie cichutko złowieszczy chichot, powoli oddalał się, wygasł zupełnie.

- Ki diabeł? Puszczki się snują po tych komnatach czy strzygi pogańskie? - zadziwił się wielki szpitalnik.

- Zaiste puszczyk to i strzyga w jednej osobie! - ze wściekłością szarpnął się Eberhard von Kynsberg. - Toć że ta chuda tyka, co to powały łbem sięga, a gębę pełną ma modlitewnych westchnień. Może i słyszał naszą rozmowę, wraz ją pewnie powtórzy wielkiemu mistrzowi. Nic to, wyprzem się, przerzucim kłamstwo na zropiałego chudzielca...

- Kapelan ten własną kuje politykę. Pragnąłby rządzić, miecz katowski dla jednych, włosiennicę zaś i posty wszelakie dla drugich przydzielając... - zaśmiał się nie wzruszony wydarzeniem von Plauen.

- Wszak o uduszę ja plugawca własnymi rękami - zachnął się jego towarzysz. - Chodźmy do dostojnego brata, bo zda mi się, że dawno już pora wezwania minęła...

Wielki mistrz rzeczywiście czekał już na nich w zniecierpliwieniu. Stał przy oknie, wyglądał na Nogat spętany lodami, na zaśnieżone pola i nagie konary rozrosłych drzew. Wydawał się jeszcze niższy, niż był w istocie, plecy przygarbiły mu się, jakby je przycisnęła głęboka troska.

Na niskim stołeczku pod krucyfiksem w milczeniu trwał chudy kapelan, tylko bystre oczy smykały nieustannie po komnacie wielkiego mistrza. Spoglądał czasem na pękatego radcę, Wawrzyńca Blumenau, na przybyłego z Królewca marszałka Zakonu o pospolitym wyrazie twarzy, dłużej zatrzymywał spojrzenie na komturze ostródzkim Wilhelmie von Eppingen, człowieku

Ospokojnym, myślącym obliczu.

Ludwik von Erlichshausen obrócił się do wchodzących podskarbiego i Henryka von Plauen.

- Długo każecie czekać na siebie - spojrzał od okna na klepsydrę z cicho osypującym się w niej bałtyckim piaskiem.

Przeszedł wolnym, drobnym krokiem ku swojemu karłu, stojącemu na podwyższeniu. Nim zasiadł jednak, do komnaty wsunął się młody brat zakonny, zgłosił przybycie Wita von Gich, który ważną relację chce złożyć, dopiero wrócił z podróży. Twarz wielkiego mistrza ożywiła się, zakwitły na niej cieplejsze rumieńce. Czuł fślabość do von Gicha, swego adiutanta

I wiernego kompana.

Młody rycerz stanął u progu. Twarz miał w ognjach, znak, że dopiero powrócił z mrozu. Skłonił się nisko.

- Z czym przybywasz? Przyjadą obaj, zdążą na czas?

Gich potrząsnął przecząco głową.

- Segenand jutrzejszym dniem stanie w Malborku. Na Bażyńskiego już zasię nie ma co czekać...

„Wielki mistrz porwał się, przybliżył o krok ku niemu, zbladł silnie na twarzy.

- Zdradził? I ten? Komuż zatem można zaufać?

- Nie! Wierny był do ostatka. Przed trzema dniami porwali go związkowi z przykazania braci Aleksandrowych. Jawnie o tym mówili. Byłem sam w jego włości, by na miejscu rzecz sprawdzić. Temu czasu więcej zmitrężyłem...

Przysunęli się wszyscy bliżej, nie wyłączając wielkiego mistrza, który zszedł z podwyższenia. Jeden kapelan tkwił na swym miejscu, spod spuszczonej powiek przyglądał się Witowi. Nad chudą jego głową rozpościerały się ramiona krzyża z figurą bolejącego Chrystusa.

- W biały dzień to się przydarzyło. Trzech ich zjechało do dworu, za rycerzy sambijskich podając się, którzy doświadczenie jego mając w uwadze zapytać przybyli, ezyby nie zdało się połączyć razem wszystkim stojącym po stronie Zakonu. Zmyliło go to, że jeden z nich był mu z nazwania znajomy, Filip Wajsel niejaki. Bażyński rad wielce ich przyjął, gościnę dał u siebie. Nocą związali go, służbę zmylili, wyjeżdżając w niewiadomą zupełnie stronę... Drugiego dopiero dnia wyszło na jaw, że nie opodał stali insi związkowi pod wodzą Piotra z Wikliny... Tenże kierował całym porwaniem...

Henryk von Plauen zazgrzytał zębami. Wielki mistrz obrócił zimne wejrzenie na niego i na podskarbiego.

- Żyje on jeszcze? Myślałem, że dawno go na świecie nie stało...

Miast odpowiedzi prokurator bezradnie rozłożył ręce. Wielki szpitalnik wykrztusił z pasją:

- Słyszałem, że z Łużyc potąd nie wrócił, kędy miał zbierać zaciągi dla miast związkowych. Szybki jest. Dziś tu, jutro już kędy indziej...

- Praw dalej - rzekł wielki mistrz do młodego rycerza.

- Chłopaszek z wioski, kędy się zatrzymali związkowi, tyle usłyszał, że go kędyś na więzienie mają prowadzić, taka bo wola była Jana i Ścibora Bażyńskich.

- Wszystko? - Ludwik von Erlichshausen był blady, wargi mu drżały.

- Wszystko. - Wit von Gich skłonił się nisko, chwilę jeszcze zaczekał, widząc, że wielki mistrz nie zatrzymuje go, opuścił komnatę.

Wielki mistrz wolniej niż zwykle powrócił na swoje

% karło, chude ręce zacisnął na jego poręczach. W komnacie zapanowało milczenie. Wiadomość o uwięzieniu Aleksandra Bażyńskiego, który przed dwoma tygodniami powrócił wraz z Segenandem z Wiednia, uczyniła na wszystkich wielkie wrażenie. On był duszą oporu części szlachty przeciw Związkowi Pruskiemu, bezradny się stawał bez niego Segenand z Waplewa. A przecie obaj mieli do odegrania jeszcze niemałą rolę w planach krzyżackich, liczyli na nich szczególnie wielki mistrz i komtur ostródzki, Wilhelm von Eppingen.

- Prawicie, by proskrypcję rozpocząć bez zwłoki, ściąć kilkunastu, przez to strach rzucić na innych... Zda mi się, że łącniej by przyszło związkowym na nas wykonać taką proskrypcję, nawet bez wyroku cesarza w zanadru.

W głosie wielkiego mistrza zabrzmiało rozgoryczenie i jakby tajona r&ta lęku. Henryk von Plauen drgnął, spojrzął baczniej w oblicze swojego stryja. Blade było, jakby wszystka krew zeń wyciekła, policzki zwiotczały, nos wysunął się wydatniej. Najbardziej jednak wymowne były dłonie zacisnięte na poręczach karła. Wyraźne linie żył występowały na nich mocną, niemal że granatową siatką. Ręce te drgały nerwowo, gdy Ludwik von Erlichshausen odejmował je na chwilę od poręczy, a połyskujące normalnie drzewo zmatowiało było w tych miejscach jak od wilgoci.

- Brat dostojny czarnymi barwy widzi sprawy Zakonu... - postąpił krok naprzód, uznając za wskazane narzucić ton rozmowie. - Pomyślniejszej sytuacji od dawna nie mieliśmy! Wybryki związkowców ostatnie to gesty, gesty rozpaczy - uśmiechnął się lekko. - Sumujmy profity nasze w ostatnim czasie. Proces nad podziw pomyślnie wygrany. Za nami prawo cesarza i stolicy papieskiej, opinia państw i uniwersytetów Europy. Związkowcy uznani za buntowników i niebezpiecznych dla wiary prawdziwej w dalszym rozwoju szerzonej przez nich herezji.

W naszych dłoniach złożono prawo ich życia i śmierci. Trzysta zapalnych najbardziej głów łaskawie oddano w zakonne ręce, w odpowiednią porę wyzyskamy ten wygodny przywilej... Korony pomoc mniej dzisiaj pewna dla buntowników niżeli kiedy, nie zechce bo polski monarcha, z rodem Habsburgów w bliskie koligacje wchodzący, narażać się na spór z tymi, co stoją za córą cesarza Albrechta... Z buntowniczymi siłami porządek potrafimy uczynić, niech jeno nadejdą zaciężni.

- Tymczasem Toruń odrzucił już zwierzchnictwo zakonne - rzekł sucho wielki mistrz.
- Cięgiem mi komtur Kalbe śle wieści, jako mu odcięto dostawy i niemal że w oblężeniu przebywa.

- Toruń był zawdy oporny, bliska granica polska ferworu dodaje mieszczanom w ich rebelianckich zamysłach. Tam i jaskinia główna Związku Pruskiego, kulawy bazyliszek z innymi w ratuszu siedzą... Nic to, jeszcze czas jakiś, zmieciem z ziemi całe paskudztwo...

- Za pozwoleniem szlachetnego brata... - niecierpliwie wpał mu w słowa przybyły z Królewca marszałek Zakonu. Wydał do przodu szerokie wargi, mówił jakby prychnając.

- Wszystko wiemy, ale nie żelazem ani pożogą trza zdusić zaród rebelii. Żle, iż zabrakło Aleksandra Bażyńskiego, który imię miał głośnie i posłuch pomiędzy swymi. Dawno już snuł brat Wilhelm zamiary, by drugą konfederację zawiązać pomiędzy miasty a szlachtą, która by szła przeciw związkowej robocie. Własnymi rękami niechaj się wyduszą, zacz nara się wystawiać na ryzyko wojny?

- Miecz nam zwyczajny, rycerski my zakon, nie klechów, co jeno pacierze szeptać umieją! - parsknął wielki szpitalnik.

- Zły to rycerz, który krzepkie jeno ma dłonie, umu zaś mu w głowie nie staje - odciął się śmiało marszałek, grubo ciosaną, niekształtną twarz obrócił w stronę von Plauena. - Machabeusze * lepiej umieli sprawować rządy, znali starą zasadę dzielenia, która panowanie utrwała. Podzielić trza szlachtę na dwa obozy, mieszczan tak samo... Chłopską rebelię, kędy powstaje, podsycić cichaczem. Zagrożona w swych dobrach szlachta w jedno pójdzie z nami przeciw chłopskim wybrykom. Naszą rzeczą sprawić, by o buntowaniu się więcej już nie Kmyślała.

- Czas szybko bieży, na wasze projekta, bracie marszałku, wiele miesięcy potrzeba - rzekł podskarbi metalicznym swym głosem. - Stanęła przecież w Przesmarku konfederacja panów dzierzgońskiej ziemi, nieco elbląskiej i ostródzkiej szlachty do nich się przyłączyło, ale gdzież i jak^ tu siła pomiędzy nimi? A jeszcze teraz, gdy Bażyńskiego nie stało. Segenand niewiele poradzi, słabe będą te nowe stany bez mocnej ręki. r - To im damy poparcie.

- Czasu przecie nie mamy, tako wszak rzekliście, bracie?

Siedzący na swym niskim stołeczku kapelan wielkiego mistrza chichotał dyskretnie, wtulając głowę w chude ramiona. Podskarbi zerkał ku niemu z nietajoną wściekłością.

Pulchny Blumenau, pierwszy radca i powiernik wielkiego mistrza, otrzepał pył z ubrania.

- Próżne spory - rzekł. - Tak się mnie widzi, że niczego nie wolno zaniedbać. W Krakowie uzyskać jeszcze możem silne poparcie między wielmożami polMachabeusze -

Machabejczycy - nazwa rodu żydowskiego z dwóch ostatnich wieków przed Chr., wstawili się walkami o niepodległość narodową i wolność religijną. Brat podskarbi jedzie tam z weselnymi dary. Okazja to, by na inne cele pieniądze też zabrać.

- Dla Szafranca wiozę złoto na trzy tysiące zaciężnych - rzekł podskarbi.

- Nie o podkomorzym ja mówię, choć ważną on dla nas personą.

- Pisma słał do mnie ostatnim czasem, przyrzekając pomoc wszelaką... - wtrącił Ludwik von Erlichshausen.

- Ja prawię o Tęczyńskich, o prałatach z rady koronnej, tych, co jeszcze posłuszni Oleśnickiemu, wrogach monarszych, którzy się w Krakowie gromadzą. Dla nich trza pieniądze słać, dary bogate, poręczenia profitów na przyszły czas.

- Doktor Jakub wrócił od wojewody brzeskiego z Bydgoszczy. Precz go tamten pogał z dworu, o szpiegowanie obwiniając, niech go za złe słowa skara Panna Maryja - szypiącym głosem rzekł kapelan.

- Szarlejski kołował z nami, przeniknąć pragnął zamiary. Temu paktował ze starogrodzkim komturem, udawał, że gotów przyjąć proponowane warunki - mówiąc te słowa wielki mistrz ściągnął wargi w wąziutką linijkę. Henryk von Plauen spojrzał na jego ręce: kurczowo ścisnęły poręcz karła. Uznał, że trzeba mieć się na baczności, lada chwila nastąpi wybuch niepohamowanego gniewu. Znał dobrze stryja Ludwika...

- Tym bardziej z inszymi trzeba próbować... Do króla także dobrze byłoby trafić, nacisk wyrzucić nowymi pismy cesarza, króla węgierskokoczeskiego, może by i nasz prokurator w Rzymie jakąś bullę nową od papieża wydobył...

- Papież Mikołaj V gniewny, żeśmy sprzed jego sądu zabrali sprawę na forum cesarskie. A jeszcze Konstantynopolem ma głowę zajętą - znów ton negacji w głosie wielkiego mistrza.

Blumenau popatrzał na niego zdziwiony. Jeszcze ubiegłego wieczora omawiali z wielkim mistrzem te sprawy, kancelaria poczęła już pracować nad nimi, pisma miały być wnet gotowe, przykazano gotowość ^ kurierom... Co się stało wielkiemu dostojnikowi Zakonu?

- Dziś osiemnasty stycznia. Czas pili, by zadbać o wszystko jak należy - dokończył szybko, wołał wycofać się z tej gry, której znaczenia ani przebiegu nie mógł zrozumieć.

- Może by rzekł nam wielki szpitalnik, jako widzi przygotowania wojenne, gdyby do ostateczności tej przyszło? - tym samym pozornie spokojnym tonem zwrócił się teraz wielki mistrz do Henryka von Plauena.

- Przyspieszyć zaciągi w Brandenburgii i księstwach niemieckich.^ Elektor brandenburski drogo się ceni, będzie pragnął, byśmy sprzedali mu Nową Marchię. Nic to, warto rzecz mniejszą dla ratowania większej poświęcić. Za to w Brandenburgii zaciężnik nader rychło będzie gotowy... Na Morawach i Czechach przyspieszyć werbunek. Te sprawy w toku, dnia nie ma, by nie przybywały do zamków rota po rocie... Rycerstwo po księstwach Rzeszy poruszyć, by stanęło dzielnie w obronie zagrożonego Zakonu Maryi Panny. Z Hanzą się znieść, niech na Gdańsk wywrze mocniejszy nacisk. Króla duńskiego zjednać, niechby w razie potrzeby użyczył swoją armadę... Jeśli wojować przyjdzie, rycerza zakonnego trzeba najmniej na szwank narażać, zaciężni niechaj się biją... r - To wszystko wszak dawne sprawy. Załatwione już albo w toku. Zapomnieliście widać o nich, bracie, poza Prusami czas spędzając, i - Iw Prusach okazji grzesznych dla zapomnienia nie brak... - szepnął cicho kapelan, szepł ten jednak był tak dobitny, że mocnym świstem przeleciał przez całą komnatę.

Henryk von Plauen zacisnął wargi. Wiedział, że kapelan na myśli ma Małgorzatę. Musiał się o niej skądys dowiedzieć. I w nim zapiekła się teraz złość na chudego klechę, przybocznego kapelana wielkiego mistrza. Udał, że nie zwraca na jego słowa uwagi, mówił dalej.

- Jeno gwoli przypomnienia wspomniałem o tych sprawach. Nie wszystkie idą jako się należy, zabiorę się za ich poprawę. Do wiosny siłę będziem stanowić, której nikt nie pokona...

- A przecie posłowie Związku u króla polskiego przebywają w misji tajemnej? - znów wtrącił Ludwik von Erlichshausen.

- Posłuchu tam nie najdą - szybko odrzucił von Plauen.

- Dość! - Ludwik von Erlichshausen wstał ze swojego miejsca. Stojąc na podium dorównał im teraz wzrostem. Patrzył długo po wszystkich twarzach. Dłonie zaplótł kurczowo, trzymał je przy piersi jakby w wielkiej pasji albo w żarliwej modlitwie. Cichutko, bezszelestnie powstał kapelan ze swego stołka.

Nastała cisza, nie przerywana żadnym odgłosem z zamku ani spoza jego potężnych murów. Patrzyli na wielkiego mistrza, on też wodził po nich zimnymi oczyma.

- Dość! - powtórzył. - Nie pomyliłem się wiele, sądząc, że lichych mam doradców a dostojników. Mało w was zostało z ducha prawdziwego Zakonu rycerzy Maryi Panny, którzy w Jerozolimie czy na pruskiej ziemi umieli zdobywać władzę i twardo ją trzymać. Wyście wszyscy woleli z cesarzem i książętami paktować, zaciężnych werbować, zakładać konfederację szlachty i miast przy nas stojących. Prawie, czyni się to wszystko. Mam jeno obawy, czy aby już nie będzie za późno...

Nie o to wszakoż mnie chodzi. Ja na inne sprawy fcaisk główny położę. Paktował będę z miastami, ze szlachtą. Cesarz rozwiązał konfederację, być może, iż ja ją zatwierdzą od nowa. Prawa i przywileje rozszerzę, sądy każę zwoływać. Ograniczenia handlowe zniósę, choćby to stratę przynieść miało dla Zakonu... Z Gdańskiem pójdę w układy, a jeśli trzeba by było, gotów jestem zrzec się mojej godności i zezwolić Związkowi na wybór wielkiego mistrza.

Aż usta porozwierali, spoglądając na Ludwika von Erlichshausena nie rozumiejącymi oczyma.

- Przecz tak... - zaczął podskarbi, ale umilkł skarcony ostrym spojrzeniem wielkiego mistrza.

On zaś cichszym już głosem, jakby zmęczony, ciągle stojąc i/tylko zaciskając coraz mocniej splecione dłonie, mówił dalej.

- Rzec wam też pragnę, czemu mi myśli takie przychodzą do głowy. Bo widzę, co się wokoło dzieje. Utracił siłę swą Zakon. Spraw małych, jako choćby ze Świnką, z owym Piotrem z Wikliny, inszych jeszcze, wykonać się już nie umie, co rzec zatem o wielkich? Zamki, prawicie, zaciężni? Żadna zbroja ni miecze z najczystszej stali wiele znaczyć nie będą, gdy ducha zabraknie. Wiem to, że gdyby związkowi powstałi, niedziela nie minie, podda się im bez walki połowa komturii, bez jednego wystrzału z balisty,* bez szczęku miecza.

Jadło, napitek, dziewczki, ot co naszym rycerzom dziś pachnie, miasto wojackiej chwały. Z kim iść do boju, z kim tu wojować? Zali pakty nie bądBą. jedynym ra~

Balista - wielka kusza, machina wojenna do wyrzucania pocisków, stąd: balistyka, część mechaniki, traktująca o ruchu pocisków, (przyp. aut.) tunkiem? Pójść na daleką ugodę, dopiero z czasem, gdy siła Zakonu znów wzrośnie, gdy się w nim duch rycerski odrodzi, do prawdziwego panowania nawrócić.

Przewiódł po nich oczyma. Eberhard von Kynsberg wyprostował się dumnie, twarz jego gorzała zdumieniem i nienawiścią.

- Ja walczyć będę do ostatniego tchnienia! W mieczu nasza siła, nie w paktach i układach. Decyzje nie tylko od brata dostojnego zależą, ale od wielkiej rady całej kom tur ii!

Zadrżeli, to był nieomal bunt, rzecz rzadka w Zakonie. Ale Ludwik von Erlichshausen jedynie boleśnie pokiwał głową.

- Nigdy nie można zezwolić tym rebeliantom i wiecznym buntownikom na wybór wielkiego mistrza. Takiego prawa jeszcze nie było - porwał się teraz wielki szpitalnik.

Wielki mistrz uśmiechnął się żałośnie.

- Bracie dostojny, zali naprawdę tak myślicie? - odważył się radca von Blumenau.

- Kto wie, czy lisia ta droga zaprawdę nie byłaby obok inszych wskazana? - jedynie komtur ostródzki zastanawiał się, zdawał się z aprobatą przyjmować zamysły najwyższego dostojnika Zakonu w Prusach.

Ludwik von Erlichshausen ciągle trząsał głową, na ustach błąkał mu się bolesny uśmiech.

- Tchórzostwo to a zdrada byłaby z waszej strony, komturze! - porwał się podskarbi na Wilhelma von Eppingen.

- Zamilczcie, bracie, ostatni byłbym, który by zamek poddawał! Jeno takie mam zdanie, co wolno mi przecie! - komtur ostródzki nie robił sobie wiele z oburzenia podskarbiego.

Milczał tylko marszałek Zakonu, który stał z oczyma wbitymi w ziemię. Górujący o głowę nad innymi chudy kapelan z cynicznym uśmieszkiem na ascetycznych ustach, szeptał swym przenikliwym szeptem:

- Mater Misericordiae, ora pro nobis...

\ Wielki mistrz ze znużenia chwiał się na nogach. Czoło jego zrosił obfity pot, ręce stały się bielsze od opłatka, jakby w nich zabrakło kropli krwi. Przemógł się jednak pierwszy i w złowieszcze milczenie padły słowa mocniejsze niżeli przedtem, słowa rozkazującego władcy.

- Idźcie, czyńcie co należy! Pomnijcie przy tym, by błędów więcej nie było. Zaciężny żołnierz czym prędzej w Prusach ma stanąć. Zamki, na ile się da jeszcze, umocnić! Przyjaźń i pomoc życzliwych nam potęg zabezpieczać. W Krakowie zdobyć wpływy w radzie koronnej. Konfederację przy Zakonie przeciwko Związkowi Pruskiemu stworzyć, baczyć, by siłę miała. A jeśli wam to się nie uda, tedy ja będę paktować I Tylko tedy/pomnijcie to...

Znowu się zadziwili. Czyżby się wycofywał z tego, co rzekł uprzednio? Co się stało wielkiemu mistrzowi, nie chory czasem?

On zaś kierując się ku swojemu karłu i siadając na nie, zaczął się śmiać cichutko, patrząc to na podskarbiego, to na Henryka von Plauen.

- Jeśli stolec wielkiego mistrza oddam kiedy, uczynię to tylko z dobrej mej woli... Zaś wszystkich w Zakonie dybiących na władzę przestrzegam. Z moich rąk, choć bladych i słabych - wyciągnął dłonie przed siebie, spojrzął na nie - nikomu wyjść cało się nie udało, jeśli tego sobie nie życzył.

Spotkały się spojrzenia podskarbiego i wielkiego szpitalnika Zakonu. W spojrzeniach tych pełgał skryty lęk i maskowana wściekłość.

- Idźcie! - wyciągnął rękę wielki mistrz.

Wychodzili w milczeniu, tylko kapelan chichotał po swojemu, strasznie jakoś, przenikliwie, jakby puszczyk na wieży.

Wielki mistrz został sam, podszedł znowu do okna. Krótki styczniowy dzień miał się już ku końcowi. Nap. Nogatem kładły się cienie wieczoru. Ludwik von Erlichshausen wstrząsnął się, sam nie wiedział, od chłodu czy od trwogi wewnętrznej. Otulił się szczelnie płaszczem, zawrócił do kominka szcękając zębami. Szeptał jakby w gorączce: - Boję się, boję się...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W końcu stycznia były ostre mrozy. Wisła, na całej szerokości pokryła się lodem więżąc statki u toruńskiej przystani. Ranki i zachody zaczynały się czerwoną barwą nieba, południa były jasne, słoneczne, aż oczy rwało od blasków kładących się po śnieżnej bieli.

Dnie mijały w gotowości i oczekiwaniu. Na placu⁴ gromadziły się tłumy niespokojnie spoglądając na malowane mrozami okna staromiejskiego ratusza, jakby pragnąc przez nie przeniknąć do sali posiedzeń Tajnej Rady Związku Pruskiego. W kilku punktach rynku płonęły ogniska, zziębnięci mieszczanie rozcierali zlodowaciałe ręce.⁴

Bramy zamykano jak zawsze o zachodzie słońca, z pierwszymi blaskami świtu od nowa opuszczając mosty zwodzone. Wszystkimi ośmiu drogami wiodącymi do miasta pędzili jeźdźcy na zadyszanych, zgonionych koniach, wtłaczały się sanie z dostojnikami miejskimi, jawnie już nadciągały coraz to nowe rotty zaciężnych. Jedne zostawały w Toruniu, inne po krótkim popasie wyruszały w głąb kraju.

Między Toruniem a Bydgoszczą i tuż za progiem leżącą Nieszawą kursowali posłańcy, wyjeżdżający o nocnej porze za hasłem znanym strażom basztowym. Granica z Koroną jakby przestała istnieć. Opowiadano wprawdzie, że około Działdowa Krzyżacy pilnują szlaków wiodących na polską stronę, że przychwyty tu ją gońców wlokąc ich na badania w ciemnie lochów zamkowych, w Toruniu jednak coś podobnego było jiawet nie do pomyslenia.

Albrecht Kalbe siedział zamknięty za murami zamku. Czeladź miejska obwarowała wszelkie dojścia do komturskiej siedziby, nie przepuszczając wozów z żywnością i budulcem. Nie wzbraniano jednak posłańcom krzyżackim drogi w głąb kraju. Śmieli się czeladnicy, że każdego dnia śle komtur relacje do wielkiego mistrza, ciekawi byli, co może pisać jakby w oblężeniu pozostający Krzyżak, pomni jednak na stanowczy zakaz Tajnej Racy,

wzbraniający gwałtownych wystąpień, odprowadzali posłańców jedynie drwiącym spojrzeniem.

Gdzieś w trzeciej dekadzie stycznia przybył z Wiednia ostatni już z posłów, Tieleman vom Wege. Od tej chwili nie wychodził niemal z ratusza, śpiąc tam i jedząc. Zawiedzione tłumy próżno usiłowały przeniknąć tajemnice ratuszowego wnętrza.

W parę dni potem wrócili z Polski posłowie związkowi, Gabriel Bażyński i Rutger von Birken. Wjechali do miasta wczesnym rankiem, a już przed południem nie można się było przecisnąć przez rynek płonący licznymi ogniami, mróz bowiem wzrastał z każdą godziną...

- Pohulać tak z zakonnymi, wraz by cieplej się stało! - wzdychali niektórzy zacierając zmrożone ręce.

- Ponoć fałszywe mnichy dziewczki ładne trzymają po swoich celach, ochota byłaby poznać... - dodawał drugi.

Tym razem oczekiwanie nie było daremne. Niewiadomymi drogami w kilka minut całe miasto obiegła wieść, że król polski posłów nader łaskawie przyjął, zażądał wielkiego poselstwa, dodał także, że przyjaźń swą dla Korony stany pruskie najlepiej poświadczą orężnym czynem.

Zawrzało. Z Nowego i Starego Miasta wyległy pod zamek setki mężczyzn i kobiet; zaciśnięte pięści groziły zamkniętym za murami Krzyżakom wraz z ich poplecznikami, tam szukającymi schronienia; sypały się klątwy i wyzwiska na sodomników, zbrodniarzy i okrutnych złodziei. Co śmielsze urwisy podchodziły pod same mury, próbowały przerzucać kamienie na drugą stronę. Z murów odpowiadała im tylko trwożliwa cisza.

Tajna Rada ostro pilnowała teraz porządku. Zbrojne roty stanowczo odsunęły kotłującą cizbę od zamku, pilnie baczyły, by nie wybuchły jakieś rozruchy.

W ostatni dzień stycznia przybyło poselstwo z wielkiego Gdańska. Posłowie wraz z Tajną Radą zamknęli się na Starym Ratuszu. Tego samego dnia Jan Bażyński wraz z Tielemanem vom Wege popędzili saniami na polską stronę, traktem na Bydgoszcz.

W nocy przybyły dalsze trzy rot y zaciężnych, dotąd stojące po polskiej stronie.

W parę dni potem dwie rot y, wysłane za rozkazaniem Tajnej Rady, przywiozły w zamkniętej kolasce jakichś ludzi pojmanych w okolicach Papowa. Wkrótce wiadomo wszędzie, że byli to posłowie krzyżaccy, delegowani przez wielkiego mistrza dla podjęcia rokowań ze związkowcami. Uwięzienie było odwetem za obelgi i krzywdy uczynione na Morawach Związkowi i posłom konfederacji.

Zanim nastąpiły dalsze pociągnięcia, rozniosły się słuchy, że teraz się zaczyna naprawdę. Kupcy jeszcze w sobotę przezornie pozamykali kramy, kto żyw wyległ na ulice. Kilka rot zaciężnych i szereg chorągwi cechowych według z góry wytyczonego planu okrążyło w bezpiecznej odległości zamek krzyżacki. Po zajęciu swych miejsc wojska zastygły w bezruchu. Przy bramach obostrzono kontrolę, niepewnych kierowano do miejskiej straży.

Nad Toruniem gęstniało oczekiwanie. W kościołach odprawiały się nabożeństwa. Tajna Rada obradowała w pełnym składzie.

Nastała noc, nie przynosząc jak dotąd żadnej przemiany. Tłum na rynku przzerzedł, ludzie rozchodzili się po domach zmęczeni całodziennym czuwaniem.

Mróz zelżał, niebo zaciągnęło się chmurami. Było krótko po pełni, ciemność wisiała w powietrzu. Tylko ratuszowe okna ^ migotały światłami.

Stróże miejscy ^voim zwyczajem snuli się po ulicach i zaułkach miasta. Przez szpary okiennic i zasłon dostrzegli czasem błyski palących się w niektórych mieszkaniach świateł, przystawali, aby gromko zanucić śpiewkę o późnej godzinie i wezwać do snu, rezygnowali jednak, pośpieszali za innymi w stronę ratusza.

Zbliżała się północ, gdy drzwi wejściowe wielkiej budowli rozwarły się na całą szerokość, w świetle płonących świec ukazały się sylwetki ludzkie, dochodziły głosy wydające rozkazy. Wraz rozsypali się pacholcy ratuszowi po całym mieście, kołatali do bram niektórych domów, wywoływali mieszkańców z nazwiska i imienia.

Jak ómy do światła, tak wszystkimi uliczkami poczęły dążyć na plac ratuszowy gromadki ludzi, głównie pospólstwa czulego na wszystko, co się dzieje w Toruniu. Wszczął się ogólny rozgwar, w oknach domów rozwierały się okiennice, wychylali się zaspani oby-

- 467 watele, nasłuchiwali ze zdziwieniem niosących się ze wszystkich stron głosów.R

Do okna Piotra Krzywonogi, mistrza cechu stolarskiego zakołatał pacholik ratuszowy, walił halabardą tak długo, aż z trzaskiem rozwarło się okno, zaburczał gniewny głos właściciela:

- Ki bies po nocy dobija się spać nie dając, hę? Bo wraz pomyje zleję na głowę.

- Panie cechmistrzu, na ratusz was wołają panowie Tajna Rada. Wraz macie tam być!

- Mnie, a cóż ja mam wspólnego z ratuszem?

- Nie wiem, kazano wszystkich radnych wraz z cechmistrzami zebrać w sali posiedzeń. Przybywajcie, cechmistrzu, czym rychlej...

Już go nie było, biegł dalej na ulicę Piekary stukając halabardą o mury domów.

Zamigotały w ciemni latarki, zdumieni północną porą wezwania rajcy miejscy śpieszyli czym rychlej. Ze wszystkich bram wypełzali ludzie, rozwarły się odrzwia gospód,

gdzie pokodem spali tej nocy liczni mieszkańcy ^ położonych poza murami przedmieści. Gęstniało na ulicach coraz to bardziej, niektórzy biegli pod ratusz, jakby gnała ich nagła jakaś potrzeba. W powietrzu bezładnie krzyżowały się pytania i odpowiedzi. Śnieg skrzypiał pod nogami, tajemnicze cienie kładły się po wnękach domów.^

- Ponoć Krzyżacy napadli na Nowy Toruń, gwałtem chcą go brać, mścić za wygnanie rajców...

- Komtur wypad zrobił na miasto...

- Nieprawda, król polski wiadomość dał, że z wojskami przybywa!

- Cesarz nakazał ściąć czym rychlej owych trzystu związkowych...

- Bajki, wraz się dowiemy, chyba nie ostawią nas bez relacji o nocnych zebraniach...

- 468

- Ja wam prawie, nastaje nowa jakaś Sodomia i Gomora - sapała tęga mieszcza, handlująca we dnie za straganem z wszelakim ziele.

- Chi! chi! chi! Przypomniały się babie dawne lata, Sodomia jej w myśli, chi! chi! chi!

- prześmiewał się ktoś cienkim głosem jak kogut, gdy podrzynają mu gardło.

I znów, jak we dnie, głowa tkwiła na rynku przy głowie. Nie pytając o zezwolenie rozpalano ogniska, mimo bowiem, że mróz zelżał, ciągnąca od zamrzniętej rzeki wilgoć ciężarem wisiała w powietrzu, dławiła oddech.

Od strony bramy wywodzącej na drogę chełmińską, gdzie mieściły się kwatery dla zbrojnych, wymaszerowała rota, twardo stukają o zlodowaciały śnieg buty trabantów.

- Spokojnie, Chłopaki, spokojnie, wraz się ogrzejem, czują to moje kości! - podgadywał chełpliwie wysoki, barczysty człowiek w baranym kozuchu i futrzanej czapie na głowie idący obok zbrojnych szeregów. Sam miał miecz przytwierdzony u pasa, w lewej dłoni trzymał długą kopię z trójkątnym ostrzem.

Z szeregu zamruczało coś w odpowiedzi.

- Co wam dolega, hę? Wraz będziecie mieli zabawę, już wam powiadam, jako mi Bratek na imię... Szybciej, chłopaki, bo to jeszcze i puszkę musim podtoczyć pod zamek, ciężka robota.

- Mały strach, panie rotmistrzu, i dziesięć podtoczym, byle tylko je dali!

Kilku z gapiów zawahało się, iść za trabantami czy zostać na rynku, w końcu zwabiła ich gęstwa ludzka przy ratuszu. Żołnierze chwilę dudnili jeszcze ginącym echem, zacichno wreszcie. Ludzie na rynku zniżali głos, mówili szeptem, nikt nie spuszczał wzroku z drzwi wejściowych, przez które jeden po drugim wkraczali wezwani rajcy miejscy i cechmistrze.

I znowuż zawarły się odrzwia ratuszowe, kwadratami okien słały się światła na głowy ludzi stłoczonych na rynku. Ktoś u góry pchnął okiennice, razem ze skrzypem ściągniętego mrozem drzewa buchnął z wnętrza ratusza podniecony, przeciągły szum. Nic jednak wyrozumieć z tego nie było można. Tłum niecierpliwił się, dla zabicia czasu rozpowiadano sobie o wydarzeniach ostatnich dni. Wielką grupą otoczono jakiegoś trabanta, który brał udział w pojmaniu krzyżackich posłów.

- Prawią, jako posłali oni z Papowa do Tajnej Rady prośbę o glejty na wjazd bezpieczny do miasta. Nie byle godności mieli w Zakonie, najstarszy z nich to wielki marszałek, także komturzy Gdańska i Tczewa.

- Wielki mistrz ponoć pragnie ustąpić, Związek chce uznać, sądy ogłosić, na rękę iść rycerzom i miastom - wtrącił ktoś z boku, ale wraz zahuczano go, aby nie przerywał opowieści trabanta.

- Tedy w dwie roty posłano nas do Papowa. Rotmistrz mój otrzymał jakoweś zlecenia, na ratusz był wzywany... Czekali owi wielmoże krzyżaccy w oberży, bez glejtów jechać dalej nie chcieli... Tośmy okrążyli oberżę, rotmistrz oznajmił Krzyżakom, że do niewoli są więźci...

- Zaiste się wojna zaczyna - szmerem podziwu przeleciało po zasłuchanym tłumie.

- Gwałt czynić chcieli, ale skoro postrzegli, że wokoło siła trabanta, umilkli, wywodzili jeno cienkimi głosami, że jadą w poselskiej misji, jakże ich zatem więzić...

- Prawda, nie godzi się - burknął ktoś z ciemności.

- Kiep jeno tak gada! A jako to posłów naszych na Morawach napadli, zabijając i raniąc kilkoro? Jakże tak,

- 470 jednym można, a drugim nie? - z kilku stron zapalczywie natarto na zwolennika nietykalności posłów.

- Niechaj zakończy, zacz przerywacie mu ciągiem...

- Niewiele już do gadania... Właśnie tak im rotmistrze na wyrzekania odrzekli. Że to łagodna jest pomsta za owe morawskie sprawy, jeno że związkowi nie mordują, tylko wolę odbierają delegatom zakonnym... Wraz ich wsadziliśmy w zamkniętą kolaskę, bo pospółstwo okrutnie w onym Papowie zawzięte, byłoby ich na sztuki rozdarło, a mieliśmy nakaz strzec posłów i żywych do Torunia dostawić. Tako i uczyniliśmy przybywając pod ratusz, chocia niełacno było, gwałt się podniósł na drodze wielki, ludzie klęli posłów, a w kolaskę błotem rzucali - odsapnął wymowny trabant.

- A kędyż są teraz?

- W więzieniu ratuszowym ponoć zamknięci - trabant chciał mówić coś jeszcze, gdy wielki krzyk zerwał się nagle w głębi ratusza. Jakby wiwaty jakieś i brawa. Tłum na rynku stęzał, zastygł w niecierpliwym oczekiwaniu.

Drzwi ratusza znów się otwały, stanął w nich burmistrz Torunia, siwy von Loe, uniósł obie ręce do góry, jakby w ten sposób pragnął uciszyć tumult, jaki się podniósł na jego widok.

- Cni mieszczanie Starego Miasta Torunia! Tajna Rada Związku Pruskiego posłuszeństwo wypowiedziała wielkiemu mistrzowi! Nie chcemy więcej krzyżackich rządów, sprzymierzać się będziem z polską Koroną, wyżeniem Zakon plugawy z pruskiego kraju!

Głos jego brzmiał przeogromną radością, wołał jakby wróciły mu młode lata i dawne siły.

Na rynku w pierwszej chwili zamarło. Nowiny tej wyczekiwano od dawna, od kilku dni wyraźniej niż kiedykolwiek wisiała w powietrzu, a jednak oficjalne jej obwieszczenie ustami burmistrza stanowiło jak gdyby wstrząs. Tylko głośnie oddechy dobywały się z piersi na lutowym mrozie.

I dopiero po chwili rozdarło się wszystko ogromnym krzykiem. Ludzie rzucali się w objęcia, nie znani sobie całowali się z czułością jakby rodzeni bracia. Czapki jęły wzlatywać do góry, zaszczękała broń, zapłonęła gdzieś jedna pochodnia, potem druga, trzecia, rozświetliło się na rynku, żółtoczerwone płomienie ukazały rozognione twarze, rozwarłe usta wydzierające się w radosnym krzyku.

Burmistrz von Loe długo musiał potrząsać swymi rękami, nim cisza ponownie zaległa na rynku. Obok siwego mężczyzny z rozwianą głową stanęło z pochodniami dwóch pachołków, przysunął się kancelista ratuszowy z arkuszem papieru w rękach.

Burmistrz von Loe wołał donośnie, pragnąc, aby słowa jego słyszane były przez wszystkich.

- Zebrani tutaj rajcy Starego Torunia, tudzież cechmistrze wszyscy, potwierdzając uchwały Tajnej Rady związkowej, prośbę wnieśli słuszną, aby wiadomość

Ozaszłym przekazana została ludowi zacnego miasta Torunia. Takim to sposobem wraz' odczytamy wam pismo, które rankiem dzisiejszym wyprawione ostanie na Malbork, do rąk wielkiego mistrza, pana Ludwika von Erlichshausena...

Zatłoczyło się na stopniach ratusza od panów rajców

1przywódców związkowych, w szeroko porozwieranych teraz oknach również tłoczyły się głowa przy głowie. A na dole w ciszy głębokiej i wielkim skupieniu słuchał

zebrany lud pisma Tajnej Rady do wielkiego mistrza. Kancelista trzymał papier tuż koło oczu, pacholkiwie dla większej jasności przychyłali bliżej z trzaskiem płonące pochodnie.

-,Czcigodny panie wielki mistrzu, po waszym wyborze na wielkiego mistrza żądaliście hołdu od nas, który zgodziliśmy się chętnie wam złożyć, o ile wasza dostojność nas wszystkich bez różnicy zachowa przy prawach i nam corocznie zjazd odbywać pozwoli, by nim sędzić gwałty i bezprawia, czego my, jak długo naszym panem byliście, żądaliśmy po wiele razy, czego nie chcieliście nam dopomóc. I wskutek tych przyrzeczeń zostaliśmy waszymi lennikami i hołdowaliśmy waszej dostojności. Jakkolwiek wasza dostojność również ślubowała nam mieć nas miłościwie za swych wiernych, to dostojność wasza kazała nas znieważać, hańbić, odsądzać od czci, pomawiała i oskarżała nas o przewierstwa i zdradę, odsądzała nas od naszych dóbr, nie chciała uznawać wiernych służb, przez nas jak i ojców, i przodków naszych Zakonowi Pruskiemu świadczonych, i porozsyłała wiele uwłaszczających nam pism do królów, książąt, panów, jak i do fpnin, i miast, i szukała, i szuka pomocy, rady i poparcia przeciw nam u książąt i panów...”

Nawet oddechy tłumiono, by nie przerwały wielkiego skupienia, z jakim chłonięto treść pisma. Zarazem wszyscy prostowali się, wyprężali ciała. Poczucie wielkiej powagi chwili ogarnęło obecnych. Kancelista urwał, jakby zmęczyło go czytanie, zaraz jednak bardziej jeszcze podniósł głos, rzucając daleko przed siebie, na rynek i w ulice Starego Miasta końcowe słowa doniosłego aktu Związku Pruskiego:

„...Wobec wiela gwałtu i bezprawia, nam przez was i przez wasz Zakon wydanego, my rycerstwo i miasta Związku Pruskiego wypowiadamy waszej dostojności hołd i wszelką powinność z hołdu wynikającą i chcemy przez to nasze wypowiedzenie w tym liście my i wszyscy, co z nami trzymają, być w porządku na honorze naszym wobec waszej dostojności i wobec waszego Zakonu, i chcemy siebie i własność naszą bronić przed gwałtem i bezprawiem z pomocą Bożą. Dan w Toruniu pod pieczęcią szlachetnego i prawego pana Jana Bażyńskiego rycerza i sekretarza miasta Torunia, których my wszyscy do tego używamy, w poniedziałek po Oczyszczeniu Marii roku Pańskiego 1454”.*

Jeszcze długo trwało skupione milczenie, zacichły nawet echa ostatnich słów pisma, odczytanego przez ratuszowego kancelistę. A potem nagły krzyk zatargał murami miasta. Tak jeszcze nie wołano w Toruniu, na taki okrzyk potężny nigdy się jeszcze nie zdobyły piersi jego mieszkańców.

- Niech żyje Związek Pruski!

- Precz z Krzyżakami, precz!

- Weg, weg!

- Bić Krzyżaka! Na zamek, na zamek!

Burmistrz von Loe podniósł obie ręce do góry. Jak fale na jeziorze nierychło uspokajają się po rozkołysaniu spowodowanym nawałnicą, tak i tutaj powoli, bardzo powoli ucichał rozgwar, wracała poprzednia cisza.

- List ten oznacza wojnę. We wojnę wojenne rządzi prawo! Cała władza przechodzi w ręce Tajnej Rady Związku Pruskiego. Samowola będzie ostro karana. Bez rozkazu żadnych walk wszczynać nie wolno nikomu! Także i w sprawie zamku wydane będą rozkazy...

Więcej nie chciano go słuchać. Entuzjazm rozsadzał wszystkie piersi. Okrzyk po okrzyku wstrząsały miastem. Aż wreszcie wszystkie zlały się w jeden wielki ton:

- Bażyńskiego, Tielemana! Bażyńskiego Tielemana!

Lud wywoływał związkowych przywódców.

Na stopniach stanął mały, o zwiędłej twarzy i zmęczonej postaci Jan Bażyński, obok niego - rosły,- barczysty Tieleman vom Wege. Wołania na ich cześć długo nie cichły... Dostojnicy zniknęli wkrótce w głębi ratusza, Autentyczne, (przyp. aut.) ale poruszony tłum nie rozchodził się, wiwatując czekał dalej, nie wiedząc na co. Czuł jednak, że wydarzeniom nocy z trzeciego na czwartego lutego nie nadszedł jeszcze kres. Ktoś szlochał z radości, ktoś inny zanosił się niepohamowanym śmiechem. Zjawiły się dziesiątki pochodni. Cichy wiatr przelatywał powietrzem, chłodził rozpalone twarze.

A potem wyszli z ratusza członkowie Tajnej Rady Związkowej, rajcy miejscy i cechmistrze. Towarzyszyli im zbrojni i olbrzymi, wciąż gęstniejący tłum. Wśród wesela i nieustannych wiwatów ciągnęli do bramy miejskiej, wiodącej nad Wisłę, gdzie brzeg był wysoki, a jedno wzgórze wznosiło się ponad inne.

Bażyński szedł wolno, kulał dzisiaj mocniej aniżeli zazwyczaj, Tieleman vom Wege i Jan z Jani wzięli go pod ramiona. Twarz przywódcy związkowego promieniała radości[^]. Milczeli wszyscy, jakoby uważając, że nie warto psuć? słowami wielkości chwili.

Wspięli się wolno na wzgórze. Tłum rozlał się wokoło, otoczył je nieprzebraną ciżbą głów. Pochodnie trzaskały z sykaniem smoły.

W zlodowaciałą ziemię wzgórze wkopane były trzy potężne słupy, owinięte warkoczami plecionymi ze słomy, oblane smołą zakrzepłą teraz w soplach i grudach.

Zapadła cisza, tylko lekki wiatr łagodnym poszumem przesmykiwał nad odsłoniętymi głowami zebranych.

Burmistrz von Loe wziął pochodnię z rąk pacholika ratuszowego, z ukłonem wręczył ją Bażyńskiemu. A jemu ze wzruszenia zdrząły dłonie.

Daleko, bardzo daleko zabłysły nowe światła.

- To Kowalewo pewnie i Turzno... - wołano.

- I tam płoną od Chelmży!

- Patrzcie, i od strony Goluba...

- Kraj cały w znakach ognistych!

- Patrzcie, patrzcie!

- 475

Ludzie wspinali się na drzewa, zawisali na oblodzonych konarach, wypatrywali na wszystkie strony.

- Znaki ogniste tu, i tam, i tam, wszędzie, wszędzie...

Jak posiew pielęgnowany starannie przez długie lata, słupy ogniste wieściły całemu krajowi hasło powstania. Płonąca więc, znamię bliskiej wolności...

Bażyński stał, wpatrzony w dal. Przebiegło mu przez myśl, jakby cieszyła się Anna, gdyby mogła to widzieć... Anna, tak... Nie słyszał niczego, co działo się wokół niego. Zatopiony był w swoich myślach. Oto Związek Pruski dał hasło powstania. Jak kraj szeroki i długi, wszędzie zapalają się teraz podobne słupy, żagiew będąca znamieniem wolności... Wolności... Musiał otrzeć łzy płynące ze starych oczu, objaw wielkiej dumy z dokonanego dzieła i wielkiej radości. A potem znów marzył, by osiąść w Prusach najwyższą władzę, moc rozkazywać, utrwaląc potęgę swoją i całej tej ziemi. Wiedział jednak, że wiele go jeszcze od tego dzieliło...

Po paru godzinach zbrojne oddziały otoczyły zamek komtura Albrechta Kalbe. Puszkarze wysłali na mury pierwsze pociski. Z warkotem naciągały się kusze, napinały cięciwy łuków. Pod osłoną wiązek z drzewem rwało ku fosie zbrojne pospólstwo Nowego Miasta.

Swit zaróżowił lekko szczyty domów, gdy sprzed ratusza wyjechał posłaniec wiozący pismo Tajnej Rady do wielkiego mistrza w Malborku. Za bramami, ledwo się wydostał na drogę, pognał jak wicher...

Zostawał za nim hałas i zgiełk płynący od zamku toruńskiego komtura, atakowanego przez pospólstwo Nowego Miasta pospołu ze związkowymi zbrojnymi.

Toruń, jak zawsze, pierwszy chciał zaznać smaku 'pełnej wolności.

Tajna Rada wznowiła obrady. Czas był gorący, mimo że luty wciąż ścinał mrozem pruską ziemię.

Na wzgórzu przy Wiśle dopalały się resztki ognistych słupów. Powstanie się rozpoczęło.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Sygnal powstańczy w postaci płonących w oddali ognistych słupów dotarł do Elbląga o trzeciej nad ranem. Zaraz potem na wicherze dmącym od morza zafurczały płomienie słane dalej przez buntownicze miasto portowe. O czwartej Jarosz Topola powiódł swą rotę do szturm na zamek, którym pod nieobecność Henryka von Plauena zarządzał wyznaczony superior.

Wawrzyniec Pilgrim jako członek Tajnej Rady od dwóch niedziel przebywał w Toruniu. Rządy miastem sprawował wybrany niedawno zastępcą burmistrza Wilhelm Daszki. Stary kupiec okazał się umiejętnym i twardym zarządcą. Elbląg przygotowany był do wojny, jak mało które miasto. Oprócz straży miejskiej i oddziałów cechowych, stały tam trzy rotы zbrojnych. Jedną, złożoną z Morawian i Czechów, dowodził Jagiełłowy jeszcze wojak Jarosz Topola. Druga, w skład której wchodziłi małopolscy husyci oraz zaciągnięci niedawno przez Bratka chłopci pruscy, zostawała pod komendą butnego Pieniązka i zastępującego go Eryka. Ostatnią dowodził Czech Krivka, który już pół świata przemierzył, najmując się do służby w obcych krajach.

Daszke rad był niezmiernie towarzystwu Eryka, którego serdecznie polubił podczas wspólnej podróży na Brodnicę oraz Iławę. Przypadł mu też do gustu Mikołaj Pieniązek, jeszcze gdy przyznał się staremu, że jest husytą. Dobrali się zresztą całą kompanią, bo i Jarosz Topola nadawał się do nich. Tyle, że czasu mało było na rozmowy i wspominki przy piwie lub miodzie.

Pieniązek ze swymi przybył do Elbląga dopiero na dwa dni przed lutym. Chociaż zdecydował się na zaciąg do tego miasta już w czasie uprzedniej podróży po Jarosza Topole, wstrzymywał się jeszcze długo z wyjazdem oczekując na powrót z Wiednia Tielemana vom Wege.

Żal mu było rozstawać się z Bratkiem, który nie mógł uzyskać zwolnienia swej rotы ze służby w Toruniu. Tieleman powrócił, mowy jednak nie było, aby miał czas załatwić sprawę zaciężnych. Ostatnie tygodnie przed wybuchem Tajna Rada pracowała w dzień i w noc. Tieleman tyle obiecał, że jak już będzie nieco spokojniej, postara się przyjść staremu myśliwcowi z pomocą. Nie było innej rady, przyjaciele musieli się rozstać. Do rotы Pieniązka w ostatniej chwili przystał niemowa Stańko, który pragnął być bliżej pasłęckich murów. Bratek rad nie rad musiał się zgodzić, pamiętał przecie wiele zawdzięcza nieszczęśliwemu chłopcu...

Drogę przebyli szybko, pędzili bowiem popasając tyle tylko, ile konieczne było dla zmordowanych koni. Eryk dowiedział się od Tielemana, że wybuch powstania nastąpić może każdego dnia. Ożył, śmiał się jak dawniej, aż Mikołaj poglądał na niego z podziwem. Pieniązek też był zresztą w doskonałym nastroju, radowało się w nim wojackie serce na myśl o bliskich walkach.

Jarosz Topola wyruszył tydzień przed nim z rotą, przekazaną mu przez sędziego Ramsza. Pismo Tajnej Rady do związkowców Elbląga mianowało go jednocześnie dowódcą wojsk związkowych w rejonie rządzonym przez wielkiego szpitalnika Zakonu.

Pamiętnej nocy wielkiego zrywu ludności pruskiej przeciw krzyżackiemu władztwu, Pieniązek zły był na starego wojaka, choć okazywał należny mu posłuch. Stary Jarosz musiał więcej dowiedzieć się od sędziego Ramsza. Od pierwszych dni lutego trzymał swe oddziały wojskowe w nieustannym pogotowiu, ledwie zaś zago-

- 478 rzały na dalekim niebie blaski ognistych znaków, wezwał Krivkę i Pieniązka oznajmiając, że sam ze swoją rotą wyruszy do szturm na zamek elbląski, biorąc dla wspomżenia oddziały cechowe i straż miejską. Przyzwyczajony do posłuchu Czech nie oponował, choć paliła go chęć na łupy, jakich się można było spodziewać w zamku, w którym przemieszkiwał czasami wielki szpitalnik słynący z zamięłowania do wygod. Natomiast Pieniązek nie mógł pohamować głębokiej urazy.

- Jakże to, my z Erykiem mamy się tylko patrzeć, jak wy grzać będziecie tych mnichów po krzyżach? Ej, Topola, bo ręce świerzbią, jak mi miecz miły...

- Stary wojak a głupi! - zachnął się zasłużony rycerz. - Wszak ci wiadomo, że elbląskie mury niczego nie warte, mała przy nich robota. Obrona też słaba, krótko się z nią* rozprawim. Nam siły trza świeże na Wesołego Otta, do niego wraz pójdziesz po uwolnieniu Elbląga. W Pasłęku, daję ci słowo, użyjesz ze swymi...

Mruczał jeszcze pan Mikołaj, ale udobruchany, uspokoił się wreszcie. Jarosz dostrzegł jednak cień rozzalenia w oczach czupurnego husyty. Pokręcał wtedy węża, chichotał spoglądając na zgaszonego Pieniązka.

Trzeba przyznać, że sprawdziły się słowa Jarosza. O czwartej zaczęli atak, a już nad świtem ochotnicy spośród rzemieślniczej czeladzi wdrapali się na pierwszą linię murów. Słońce nie zdążyło jeszcze podnieść się wyżej, nie rozpędziło oparów, jak co dnia unoszących się ponad nie zamarzniętymi oparzeliskami w okolicach miasta, gdy zarządca zamku na znak poddania się wywiesił białą chorągiew...

W całej sprawie poszkapił cokolwiek sam Daszke. Rozkaz Tajnej Rady wyraźnie głosił, aby w miarę sił nie dopuszczać do rabunku zdobytych zamków krzyżackich. Skarb

Związku Pruskiego nie był zasobny po wielkich stratach na Morawach, spowodowanych rabunkiem Mi-

- 479 litza oraz po wydatkach na zaciąg wojska. Wojna zawsze stanowi niewiadomą, zaciężnych trzeba będzie wciąż więcej, koszty mogą rosnąć z zawrotną szybkością. Dlatego mienie znalezione w zamkach, broń i zapasy wojenne powinny stać się własnością kasy związkowej.

Nie przypuszczano, przy całej słabości elbląskiego zamku, że atakujący okażą taki entuzjizm. Zarówno zaciężni z roty Topoli, jak nade wszystko czeladnicy i plebs miejski okazali rzadki zapał i bohaterstwo. Nie bacząc na pociski, rwali z drabinami pod mury, nieśli wiązki słomy i siana, zapelniali nimi fosę, grzęzli po pas w chłodnej wodzie, lód załamał się bowiem przy pierwszym szturmie, forsowali wzgórze dzielące od muru, wrębywali się weń kilofami i specjalnie do tego celu dostosowanymi hakami na długich drągach, drapali się z kocią zręcznością, wykorzystując każdą szczelinę w zmurszałej cegle.

Zarządca wraz z rycerzami i garstką sprzyjających Zakonowi mieszczan, tutaj szukających schronienia, ukryli się w bocznej wieży, stąd powiewali białą szmatą wołając o rokowania. Zamek stał się pastwą zwycięzców. Zaciężni po społu z miejskim pospółstwem przebiegali komnaty, wyszukując w kredensach i szafach refektarza co tylko było cennego. Przez wąskie okna z traskiem sypały się na dół ławy i stołki, pasja zniszczenia ogarnęła zdobywców, zrywali ze ścian malowane na drewnie portrety wielkich mistrzów Zakonu, deptali je w pasji, biegli dalej... Zamek nie był tak bogaty, jak można się było spodziewać. Przezorny Henryk von Plauen już przedtem kazał wywieźć cenniejsze sprzęty do Pasłęka, którego mocne mury i silna załoga dawały większą gwarancję. Pozostały rzeczy mało cenne albo i takie, które trudno było przewozić bez zwrócenia uwagi.

Zdumienie wojaków wzbudziła tylko jedna komnata, w której wyraźne były ślady kobiecej bytności. Ściany.

- 480 wybito tam adamaszkiem, sprowadzonym ze wschodu, sofa wyłożona była miękkimi poduszkami, podłoga ginęła zupełnie pod dziesiątkami cennych skór, szafki i komoda inkrustowane były macicą perłową. Wyobrażali sobie, oglądając wszystko z rozwartymi nad tym zbytkiem gębami, co też dopiero musiało kryć się uprzednio w tych szafach, w schowankach misternych sprządek, w bocznej alkwie z opróżnionymi w pośpiechu skrzyniami.

Gdy Daszke przy pomocy miejskiej straży opanował sytuację, zabrakło już wartościowych drobiazgów. Nawet z magazynu, gdzie się znajdowała zbrojownia, zginęła co cenniejsza broń. Przez opuszczony triumfalnie most ciągnęły przez fosę setki mieszczan,

ciekawe wnętrza krzyżackiego przybytku. Daszke zezwolił na rozbicie znalezionych w zakonnej piwnicy beczek z piwem. Ostry zapach chmielu wypełnił powietrze. Dzień był słoneczny, mróz niewielki, przy ogromnej ochocie krążyły z rąk do rąk kubki podniecającego płynu.

Pertraktacje z zarządzającym zamku nie trwały długo. Zgodzono się na wolny odmarsz krzyżackiej załogi, bez broni, gdziekolwiek zechcą, z wyłączeniem wszakoż Malborka i Sztumu. Do wyboru mieli też prawo pozostania w mieście pod pieczęą rady do chwili, gdy ostatecznie rozstrzygnięte zostaną zmagania między związkowcami a Zakonem. Zarządca zgodził się na układ, nawet na ten punkt, który żądał wydania w ręce rady miejskiej chroniących się na zamku mieszczan elbląskich.

Krótko po południu kilkudziesięciu rycerzy i zbrojnych krzyżackich opuściło zamek, przechodząc ze spuszczoneymi głowami pośród gęstych szeregów triumfujących mieszczan. Usłuchano rozkazu Daszkego. Nikt nie zaczepiał przechodzących, zacięły nawet lżenia i przekpinki. Niewielka rota czeska, służąca po stronie krzyżackiej, zgłosiła gotowość podpisania kontraktu z miastem. Z chwilą poddania zamku w niewolę, automatycznie wygaszał poprzedni ich kontrakt. Daszke przystał na to z ochotą, gdyż znany był ze swojej bitności i wytrwałości.

Zdrajcy Związku Pruskiego, chroniący się za osłoną krzyżackich murów, sprzymierzeńcy Zakonu, zostali uwięzieni do czasu, gdy ławnicy Elbląga złożą nad nimi sąd.

Elbląg święcił swój wielki triumf. Wraz pomknęli gońcy do Torunia niosąc wieść o zwycięstwie.

W gościnnym domu Daszkego, pod nieobecność gospodarza, który miał wiele pracy w ratuszu, dumny ze zwycięstwa Jarosz Topola gęsto przepijał do towarzyszy. Kubki raz po raz napelniały się piwem. Nie napoczęty gąsiorek syty miodowej czekał na powrót zastępcy burmistrza.

- Jutro ruszamy, skoro świt niebo zabieli - rzekł Jarosz. - Z Pasłękiem będzie trudniejsza sprawa, dlatego i sił tam więcej potrzeba... Dobrze, że nam przybyła ta rota czeska, trzydziestu chłopów, starzy to wyjadacze wojenni, nie nowina im brać fortece a zamki. Tuszę też, że zjawi się tam nieco wiernej Związkowi szlachty.

- Już nam nie zezwolisz w Pasłuku próżnować? - dogadywał Pieniązek.

- Pomnij, Mikołaj, pierwszy ruszysz na mury! Niechby się nie powiodło, za kpa cię ogłoszę - śmiał się Jarosz, przepijał do Eryka. - Za twoją dziewczynę, chłopie! Obyś ją obaczył czym prędzej...

Eryk spochmurniał.

- Dziw mi, że potąd nie wraca, przecie nawet piechotą trzykroć już można było obrócić na mazowiecką ziemię. Zaśby się jej co złego stało? - zafrasował się.

- Bogać tam zaraz złego! Stary ślepy, wolno z ta-

- 482 kim się idzie. A jeszcze graniem i śpiewem zapracować muszą na strawę. To nie nam, co to koniem możemy przemknąć przez kraj jak wicher... Skąd zresztą wiesz, zali jej nie ma w Toruniu? - pocieszał go Pieniążek.

- Bratek obiecał mi wraz wieść słać. Tymczasem nikogo stamtąd nie widać...

- Ba, a jeśli komtur toruński się broni i walki trwają? Myślisz, powiadomienie o tym, iż dziewczyna na ciebie czeka, najważniejszą będzie dla nich robotą?

- Nic, nic, wróci, Eryk. Ja sam chętnie ową jemiołuszkę obaczę, dzielna być musi sikora i świergotliwa, skoroś ją aż tak upodobał! - śmiał się Jarosz, dolewa! piwa, Eryk wychylał duszkiem, jakoś nie chciało mu iść do głowy.

- Już.bym zaprawdę wojaczki chciał zapróbowaa Tedy i tęsknica mniej by mnie piekła...

- Bacjs, może zacniem jutrzejszą nocą... - mruczał Topola.

- W Pasłęku radziłbym wpierv odpocząć gdzie z dala, tam insa będzie zabawa niżli w Elblągu. Znacie wsak zamek pasłęcki? - uśmiechał się od drzwi Daszke, któremu udało się wreszcie załatwić najpilniejsze sprawy w ratuszu. Wracał teraz do domu, aby pogwarzyć z druhami i nieco wypocząć.

Spojrzeli na siebie Eryk z Pieniążkiem, wybuchnęli śmiechem. Przypomnieli wyprawę przez lochy pasłęckie. Jakżeby mieli nie znać tego zamczyska? Eryk w dodatku miał jeszcze i dawniejsze doświadczenia przy oswobodzaniu Piotra z Wikliny...

- Nie wiecie, kędy to mój stryjec przebywa? - zwrócił się do Daszkego.

Stary potaknął ruchem głowy, zaseplenił po swojemu:

- Toć wiem! Tegoż dnia, jakem wiódł tutaj swoich na Elbląg, Piotr z Wikliny samotseć rusał na Króle-

- 483 iwiec, aby knipawskim wojskom psewodzić... Tajna Rada wszystkie wazniejsze punkta obesłała w ten sposób najwierniejszymi. Blisko dwieście rycezy a miescan bitnych rusyło w kraj...

Gdy niedługo potem kładli się spać, by wypocząć przed drogą, Eryk nieśmiało poprosił zastępcę burmistrza o opiekę nad Zofijką, gdyby się tutaj zgłosiła.

- Bo to niesporo byłoby mi wojować, gdybym pewności nie miał, iż najdzie dobrą opiekę. Dziewka sama, w wojenny czas, nieprzezpieczna to rzecz, ślepiec żadnej osłony dać jej przecie nie może...

- Także to ją niepserswanie miłujes? - Daszke spojrział na niego swymi szczerymi, maleńkimi oczyma. - Zaprawdę, nie bacząc na nic, pragniesz ją za małżonę brać?

- Tak, nie bacząc na stryja ani na cokolwiek innego.

Stary kupiec kołtunił palcami swą brodę, mrugał oczkami, potem nie mogąc już powstrzymać swojego wzruszenia, serdecznie przygarnął do siebie młodego rycerza, ucałował mocno w policzki.

- Niech tylko się zjawi, jak dziecko rodzone ją psyjmę, a tobie wiadomość pseślę... - zamyślił się, szepnął po chwili: - Widzisz, prawilem ci, iżem chłopskiego rodu, dziad mój jesse na roli siedział. Nie łatwo wybić się chłopu nawet i między mieszcany. A wzdy pojzyj wokoło, kogo na ten gorący cas uznano za wiernego i zdolnego do kierowania sprawami Związku w Elblągu? - śmiesznie wypiął swą pierś przykrytą brodą, stuknął w nią palcem: - Starego Daskego... Byle wolę mieć a upór, swego zawzdy się dopnie.

Odchodził już, chciał bowiem zajrzeć na ratusz, czy nie nadeszły nowe wieści albo rozkazy od Tajnej Rady. W drzwiach przystanął, stuknął się w czoło.

- Byłbym psepomniął... Wawzek ów, pomnis, cośmy naleźli w ksach dzieciaka, gdzie to się chłopcy podniosły pseciw Kszyzakom? Chłopasek podrósł na schwał, pojętny jest. Chce ojca mścić i mać swoję, Pasłęk dobywać. Weźże go do pomocy psy swoich, niechaj wojacki smak pozna. Bac wszelako, zeby ryzykanctwem nadto nie gzesył, zal byłoby, psywiązałem się, miłe dziecisko... A wieści z Pasłęka ślijcie, bym wiedział jako tam idzie...

W południe następnego dnia Eryk z rozczeniem wspominał tę rozmowę, gdy stanęli za małym laskiem nie opodał Pasłęka. Spokojny był o dziewczynę. Gdyby wróciła do Elbląga, wie gdzie ma szukać Daszkego, odnajdzie go, ten ją weźmie pod dobrą pieczę...

Niecierpliwie oczekiwała na nich grupka zbrojnej szlachty. Mniej ich było, niż się Topola spodziewał, niewiele nad pięćdziesiąt koni.

- Segenand ze swoimi, kogo mógł, to na Malbork ściągnął... Poniektórzy inni czekają jeszcze, niepewni, z kim trzymać - tłumaczyli.

Stary wojak kiwał głową. Teraz dopiero widać było, ile zła narobiła robotą odstępców.

Wysłany zwiad przyniósł wiadomość, że Krzyżacy spalili wszystkie domy wokoło zamku, siłą ściągając za bramy osiadłych na wolach zamkowych rzemieślników i wyrobników dla pomocy w obronie. Od strony Chełmów spostrzegli kryjące się po lasach liczne grupy zbrojnego byle jak chłopstwa. Gdy to usłyszał Pieniążek, odciągnął Topolę na stronę, coś mu długo przedkładał. Stary wojak początkowo przecząco trzął głową, potem dał się namówić. Pozostawiwszy swoją rotę pod wodzą Eryka, pan Mikołaj odjechał samotrzeć, aby okólną drogą dobrnąć lasami do owych chłopów, dowiedzieć się, co zamierzają.

Wrócił po paru godzinach zadowolony, roześmiany, huczał z' oddali, że aż dudniło w zapadającym powoli zmroku:

- Jak mi miecz miły, to ci dopiero wiara... Baczcie jeno, wraz tu przyciągną... Będzie ich blisko trzy setki, tyle że marnie zbrojni, w łapciach łążą po śniegu.

Szlachta niepewnie czująca się pośród zawodowych rzezaków, zakręciła się wśród niespokojnych szeptów. Nie zdecydowali jeszcze, co postanowić, gdy od bocznej drogi wychyły gromady chłopów. Potrzęsali włóczniami, łukami swojej roboty, nożami osadzonymi na długich drągach, bosakami i skleconymi w pośpiechu drabinami.

Topola wyszedł im naprzeciw. Wtedy z grupy chłopskiej oddzielił się wysoki, czarny mężczyzna, śmiało podszedł wyciągając dłoń do starego rotmistrza. Topola uśmiechnął się, podał rękę.

- Dzisiejszej nocy chcielibyśmy szturmować. Jakże, dacie nam pomoc? - spytał czarny, zarośnięte chłopisko, czujnie patrzył w oczy rycerza.

- Pomożem sobie nawzajem, o jedno przecie nam idzie... - zaśmiał się Jarosz. - Wołajcie swoich, niechaj rozgosczą się między nami. Stąd ogni nie będzie widać od zamku? - spytał wskazując na kilka płonących wesoło ognisk.

- Las tu na pagórkach rozrosły, nie dojrzą... Ale oni nas radzi widzieć chyba nie będą? - chłop wskazał palcem na grupę szlachty.

- Pogodzimy się i z nimi. Nierówny spokojnemu wojenny czas.

Chłop zawrócił ku swoim, coś im przedkładał. Potakiwali, zerkali uważnie po całym obozie. Wreszcie zdecydowali się, wkroczyli pomiędzy żołnierzy. Zziębnięci byli, chętnie się rozsiadali przy ogniach, ciągnęli z lasu drzewo i chrust. Zaczęły się rozmowy, poszły w dal jakieś prześmiewki, rozruszali się żołnierze widząc taką siłę, idącą im w sukurs, chłopci też poczuli się jak między swoimi. Jedyne grupka szlachty trzymała się na uboczu, złymi oczyma spoglądając na Topolę rozmawia-

- 486 jącego z chłopskim przywódcą. Wreszcie oddzielił się jeden, poważny z postawy, odwołał rotmistrza. Jarosz rozpoznał byłego sędziego ziemskiego Dytrycha Marwicza. Henryk von Plauen bezprawnie usunął go przed rokiem z urzędu w okręgu elbląskim. Należał do zasłużonych związkowców.

- Zwólcie, rotmistrzu, że was zapytam o jedno. Paweł Rogala, nasz dowódca, Dzierżoń i Prabuty dobywa, temu wam winni jesteśmy posłuszeństwo wojskowe, według przykazań związkowych. Towarzyszom moim wielce niemiła się zdaje ta bliska konfidencja z chłopstwem tutejszym, które srodze jest zawdy uparte i burdy łącno wszczynają z panami. Zaś to bez nich nie damy w Pasłuku rady?

Jarosz Topola przekrzywił nieco głowę, aby dojrzeć twarz Marwicza w blasku ogniska, ściemniało bowiem zupełnie, zapytał:

- A wam samym, panie sędzio, jako się zdaje, znając zamek pasłęcki?

- Hm... - Marwicz przyglądał policzki - zamek mocny, wojska w nim wiele i broni wszelakiej. Sam wielki szpitalnik dowodzi... Tu nigdy za dużo człeka...

- Jakże więc bez chłopów poczynać, którzy do bitki się palą?

- Nie o bitkę tu chodzi... Towarzysze moi lęk mają, zali rozzuchwalone chłopstwo późniejszym czasem zechce im posłuch dawać, zali nie podniesie rebelii?

Pieniążek, który przybliżył się do nich o kilka kroków, parsknął nagle cichym, złośliwym chichotem. Marwicz obejrzał się niechętnie.

Topola kiwał siwą swą głową.

- Nam tera patrzeć, jako Krzyżaków bić, kraj przejmować z' ich rąk... Późniejszym czasem rozpatrywać się będziem w czym inszym, panie sędzio. Rzeknijcie to swoim. Ja rad jestem każdemu wojakowi, chłop on czy szlachcic, mnie bez różnicy... I nie strońcie tak, siadajcie razem przy ogniu, spocznicie przy ciepłe, bo nocą ruszymy...

Marwicz odszedł ku swoim z chłodnym wyrazem oblicza. Pieniążek stał patrząc za nim, chichotał z jawnym szyderstwem. Potem demonstracyjnie przysiadł się do chłopskiego przywódcy, wdali się w przyjacielską rozmowę, pociągali piwo z bukłaczka, który przezorny szlachcic zabrał ze sobą z Elbląga...

W nocy rozpoczęło się oblężenie. Dokoła zamku rozciągało się pustkowie, dymiły jeszcze świeże zgliszcza licznie tu przed dwoma dniami rozsiadłych budynków. Bezpańskie psy błąkały się przy zwalonych węglach, nawąchiwały spalenizny, na widok obcych uciekały z podkulonymi ogonami.

Wielki szpitalnik nie dał się zaskoczyć. Ledwie rota Czecha Krivki zerwała się do pierwszego szturmego wraz z grupą chłopów, zapaliły się pochodnie na murach, rozjaśniło się wokoło, na atakujących posypał się grad kamieni, leciały z puszek okrągłe toczony kule, sypały się chmarą pierzaste strzały. Jarosz Topola widząc, że tym razem nic nie wskórają, nie dotrą nawet do fosy, w której lód był świeżo zrąbany i woda zaciągnęła się od nowa kruchym jedynie szklivem, dał znak odwrotu. Zaciężni, przywykli do posłuchu, zawrócili natychmiast.

Chłopi jednak, rozgrzani bojem, rozwścieczeni oporem zamkowych, nie zważali na wołania, parli przed siebie coraz bardziej widoczni w świetle ogni płonących na murach. Ślali się gęsto na ziemię z krzykiem okropnym. Puszek już przenosiły poza nich, von Plauen miał jednak dzielnych łuczników, widać było z daleka, jak strzała trafiała prosto w nie

opancerzoną pierś, chwiała się piórkami razem z ranionym, potem ginęła przykryta padającym na ziemię ciałem.

Kilkunastu dotarło do fosy, rzucili w nią mizerne wiązki niesione ze sobą, nawet śladu nie było. Łód załamywał się, oślizgiwali się po nim, z góry leciały teraz kamienie, strzały sypały się całym gradem. Pod mur dotarło zaledwie kilku z jedną drabiną, pozostałe razem z rannymi czy zabitymi leżały na zboczu.

Chłopski przywódca przyskoczył do Topoli, rozpaczliwie wskazywał na ginących, błagał o zezwolenie ataku dla reszty chłopów. Stary wojak, choć wargi mu drżały, zakazał ostro. Widział beznadziejność nowego szturm w takich warunkach.

Mury były śliskie, celowo oblane wodą, która zastygła w lód. Potężny głaz rzucony na przystawioną niezdarnie drabinę, połamał ją w drzazgi. Obok lała się wrząca woda, sypały drobniejsze kamienie. Obrońcy śmiało wychylali się spoza flank na murach, nie bacząc, że rażą ich strzały Topolowych łuczników.

Ostatni pz atakujących chłopów opamiętali się, dostrzegli, że są sami, że nie wspiera ich dalszy atak, zawrócili nagle, jeden jeszcze pozostał w fosie, strzała utkwiała w szyi drugiego, runął na śnieg bez jęku.

Cało dotarło do obozu jedynie siedmiu z całej grupy, która ruszyła do ataku. Topola gryzł wargi, zaciskał pięści, czynił sobie gorzkie wyrzuty, że do tego dopuścił. Tak, ale któż wstrzyma chłopą niezwyčajnego posłuchu? Zaciężni zawrócili w porę, zakonni ich nawet nie zdziesiątkowali. Ci tylko, biedacy, usłali trupem podnóże zamku. Nakazał znieść rannych. Z zamku rażono ratowników pociskami, że jednak było daleko, nie donosiły aż tutaj.

Rotmistrz cofnął się ze swoimi do lasu, skąd zamek można było mieć na oku, jednocześnie bez obawy robić przegrupowania.

- Balisty jutro dopiero nadejdą, puszką w Elblągu marne, nie zdążyło się miasto w nie zaopatrzyć - mówił do Pieniązka szarpiąc się w desperacji za włosy.

- 489 szlachcic, mnie bez różnicy... I nie strońcie tak, siadajcie razem przy ogniu, spoczniście przy ciepłe, bo nocą ruszymy...

Marwicz odszedł ku swoim z chłodnym wyrazem oblicza. Pieniązek stał patrząc za nim, chichotał z jawnym szyderstwem. Potem demonstracyjnie przysiadł się do chłopskiego przywódcy, wdali się w przyjacielską rozmowę, pociągali piwo z bukłaczka, który przezorny szlachcic zabrał ze sobą z Elbląga...

W nocy rozpoczęło się oblężenie. Dokoła zamku rozciągało się pustkowie, dymiały jeszcze świeże zgliszczka licznie tu przed dwoma dniami rozsiadłych budynków. Bezpańskie

psy błękały się przy zwalonych węglach, nawąchiwały spalenizny, na widok obcych uciekały z podkulonymi ogonami.

Wielki szpitalnik nie dał się zaskoczyć. Ledwie rota Czecha Krivki zerwała się do pierwszego szturmego z grupą chłopów, zapaliły się pochodnie na murach, rozjaśniło się wokoło, na atakujących posypał się grad kamieni, leciały z puszek okrągłe toczące kule, sypały się chmurą pierzaste strzały. Jarosz Topola widząc, że tym razem nic nie wskórają, nie dotrą nawet do fosy, w której łód był świeżo zrąbany i woda zaciągnęła się od nowa kruchym jedynie szkliwem, dał znak odwrotu. Zaciężni, przywykli do posłuchu, zawrócili natychmiast.

Chłopi jednak, rozgrzani bojem, rozwścieczeni oporem zamkowych, nie zważali na wołania, parli przed siebie coraz bardziej widoczni w świetle ogni płonących na murach. Ślali się gęsto na ziemię z krzykiem okropnym. Puszek już przenosiły poza nich, von Plauen miał jednak dzielnych łuczników, widać było z daleka, jak strzała trafiała prosto w nieopancerzoną pierś, chwiała się piórkami razem z ranionym, potem ginęła przykryta padającym na ziemię ciałem.

Kilkunastu dotarło do fosy, rzucili w nią mizerne wiązki niesione ze sobą, nawet śladu nie było. Łód załamywał się, oślizgiwali się po nim, z góry leciały teraz kamienie, strzały sypały się całym gradem. Pod mur dotarło zaledwie kilku z jedną drabiną, pozostałe razem z rannymi czy zabitymi leżały na zboczu.

Chłopski przywódca przyskoczył do Topoli, rozpaczliwie wskazywał na ginących, błagał o zezwolenie ataku dla reszty chłopów. Stary wojak, choć wargi mu drżały, zakazał ostro. Widział beznadziejność nowego szturmego w takich warunkach.

Mury były śliskie, celowo oblane wodą, która zastygła w lód. Potężny głaz rzucony na przystawioną niezdarnie drabinę, połamał ją w drzazgi. Obok lała się wrząca woda, sypały drobniejsze kamienie. Obrońcy śmiało wychylali się spoza flank na murach, nie bacząc, że rażą ich strzały Topolowych łuczników.

Ostatni ł atakujących chłopów opamiętali się, dostrzegli, że są sami, że nie wspiera ich dalszy atak, zawrócili nagle, jeden jeszcze pozostał w fosie, strzała utkwiała w szyi drugiego, runął na śnieg bez jęku.

Cało dotarło do obozu jedynie siedmiu z całej grupy, która ruszyła do ataku. Topola gryzł wargi, zaciskał pięści, czynił sobie gorzkie wyrzuty, że do tego dopuścił. Tak, ale któż wstrzyma chłopów niezwykłego posłuchu? Zaciężni zawrócili w porę, zakonni ich nawet nie zdziesiątkowali. Ci tylko, biedacy, usłali trupem podnóże zamku. Nakazał znieść rannych. Z zamku rażono ratowników pociskami, że jednak było daleko, nie donosiły aż tutaj.

Rotmistrz cofnął się ze swoimi do lasu, skąd zamek można było mieć na oku, jednocześnie bez obawy robić przegrupowania.

- Balisty jutro dopiero nadejdą, puszkę w Elblągu marne, nie zdążyło się miasto w nie zaopatrzyć - mówił do Pieniążka szarpiąc się w desperacji za włosy.

- Nic to, poradzimy, trzeba będzie szukać sposobu. Puszkę jakiej są, niechaj ślą nam z Elbląga czym prędzej. Wraz gońca trza pchnąć, tedy na jutro wieczór nadejdą. I kusz by zdało się więcej. Z łuków strzala nie donosi, bezsilna u podnóża murów opada - tłumaczył spokojnie Pieniążek.

- Chłoptwa mi żal. Dzielne to, tyle że nie wzwyczajone we wojnę, jeszcze przy zdobywaniu zamków... Zasłony z drzewa będziemy jutro budować, od rana do lasu pójdziem pnie siec... Siła żołnierza zebrał wielki szpitalnik za murem... - Topola pokręcił głową.

Następnej nocy atakowali z trzech stron. Chłopi, nauczeni doświadczeniem pierwszego ataku, ostrożniejsi byli, zawracali na rozkaz. Od chełm, porośniętych krzakami ze wschodniej strony zamczyska, dotarli najbliżej, Krivka ze swymi chciał już próbować przebywać fosę, jednak załamanie ataku Pieniążka od zachodu, gdzie teren był równy i łatwiejszy do obrony, odwiodło go od tego zamiaru. Cofnęli się znowu, tym razem bez wielkich strat, zostawiając na polu kilka ścian skleconych ze świeżo zrąbanych pni. Dawało to jaką taką osłonę zarówno ludziom jak i balistom, które nadeszły z Elbląga. Puszkę obiecał Daszke dostarczyć na następny dzień. Przesłał też nieźle zbrojną gromadę rzemieślniczej czeladzi.

Cztery dni jeszcze próbowali ataków, tak przy jasnym słońcu, jak w nocy, o zmroku i o świcie. obrońcy trzymali się mocno, odpierali ich za każdym razem. Topola już nie szarpał się za włosy, poglądał wokoło twardymi oczyma, ostry był, karał każdy nieposłuch. Nawet z narzekającą szlachtą potrafił sobie poradzić, tym bardziej gdy sędzia Marwicz, mający największy wpływ na swoich, przekonał się wreszcie do starego rycerza.

Niepowodzenia[^] szturmach najmocniej chyba przeżywał Eryk. Nie mógł pojąć, że każdy ich atak załamu je się w ostrym ogniu obrońców. Sam był lekko raniony od wyrzuconego z balisty kamienia.

Wielki szpitalnik kilkakrotnie pokazał się na murach, tłumaczył coś swoim, wskazywał dłonią. Pogoda ustaliła się, ale zarazem coraz to wzrastał mróz. Powstańcy rozłożyli obóz w głębi lasu, by wróg nie mógł dostrzec ich ognisk. Wszystkie domy w okolicy zostały przezornie spalone przez wielkiego szpitalnika, musieli spać na jodłowych łąpkach rozesłanych prosto na śniegu. Pokleccili szalasy z gałęzi, mało to jednak chroniło od chłodu.

Z Elbląga nadchodziły wezwania do wytrwania i dalszych ataków. Dla dodania otuchy związkowym nadsyłał Daszke wiadomości, jakie uzyskiwał z Torunia. Jeden zamek za drugim wpadał w ręce powstańcze. Duża ilość poddała się od razu bez walki. W wielu punktach Krzyżacy stawiali jednak zacięty opór, zmagania przewlekały się. Tymczasem do Polski ruszało już wielkie poselstwo z prośbą o inkorporację* kraju pruskiego.

Topola słuchał, ponurzał jeszcze bardziej, rozmyślał nad coraz nowymi sposobami zdobycia Pasłęka. Puszki, cztery ich nadeszło, na zmianę po dwie siekły w mury dzień i noc. Zbyt małe jednak były żelazne kule, aby mogły sprawić większy wyłom w masywnych murach.

Rozstrzygnięcie niespodziewanie przyniosła wycieczka zakonnych, którą zamierzył bitny Henryk von Plauen. Pragnął zniszczyć osłony drzewne, których coraz więcej przybywało dookoła zamku utrudniając Krzyżakom obronę. Tej nocy straż nad obozem trzymał Pieniążek. Stał oparty o drzewo na skraju lasu, przemyślał, jakim sposobem zdobyć uparty zamek. Ciągle przychodził mu na myśl korytarz, przez który wraz ze StanInkorporacja (z łac.) - włączenie, wcielenie. kiem dostali się do zamkowego skarbcza. Niemowa z Wawrzkiem próbowali tej drogi, musieli jednak zawrócić, korytarz był bowiem zatarasowany w połowie długości zwałiskiem kamieni.

Pan Mikołaj zakłopotany bębnił palcami w pień drzewa, przestępował z nogi na nogę, bo choć napchał do butów wiechci słomianych, mróz przenikał jednak i przez nie, a palce stóp drewniały zupełnie. Sięgnął wreszcie do małego bukłaczka przytroczonego do pasa, Daszke bowiem przysłał im kilka beczek piwa, nie skąpiąc go jak i jedzenia, które co dnia zwozili z Elbląga miejscowi furmani. Ledwie jednak rozwiązał skórzane rzemyki, uszczelniające wierzch bukłaczka, gdy uwagę jego zwrócił nagły hałas u podnóża zamku, jakby stoczył się kamień nieopatrznie trącony nieznaną nogą. Noc była ciemna, miesiąc jeszcze nie wzeszedł, mało co widać było w cieniu rzucanym przez masyw murów. Pieniążek długo wytrzeszczał oczy, nim rozróżnił wreszcie kilkadziesiąt czołgających się cieni. Szczęśliwym trafem w zadumie nad sposobami zdobycia twierdzy, obszedł ją dokoła, znajdował się teraz od wschodniej strony, gdy obóz związkowych leżał na południe prosto jak strzełił. Krzyżacy chcieli ich obejść lasami, uderzyć zniemacka i potem wycofać się, korzystając z uczynionego popłochu.

Pan Mikołaj cicho jak kot zagłębił się w las, dopadł pierwszych dwóch wartowników, szepczących ze sobą, jednego posłał do obozu z wieścią o zamkowej wycieczce i prośbą o swoją rotę, drugiego zatrzymał przy sobie. Wyjrżeli na płaszczyznę między zamkiem a lasem. Krzyżacy knechtowie przebiegali teraz skuleni przez skrawek jaśniejszej przestrzeni. Było

ich razem ponad dwudziestu, można było przeliczyć cienie migające jeden za drugim. Krzyżacy pełzli pod osłoną drzew. Coś tu się wydało niewyraźne panu Mikołajowi. Czym prędzej pchnął drugiego żołnierza do obozu, z zaleceniem, aby Topola wziął pod baczną uwagę także i teren, na który najbliżiej murów udało im się podciągnąć osłony z pni drzewnych...

Sam obejrzał jeszcze raz wszystko uważnie, zawrócił brzegiem lasu bliżej swoich. Nadszedł właśnie któryś z Topolowych żołnierzy, razem z nim Eryk.

- Rotmistrz przykazał, abyście panie uderzyli na nich od wschodniej strony, gdy się będą cofali... Sam da osłonę obozu, pan Marwicz ze szlachtą i część chłopów osłaniać będą umocnienia szturmowe od przodu.

- Kędy są moi?

- Idą przez las...

Ruszyli naprzeciw. Potem, uważnie badając teren, zajął Pieniązek miejsce, w którym widział niedawno sylwetki uczestników zamkowej wycieczki.

Nastała wyczerpująca cisza. Każdy słyszał bicie własnego serca. I potem z dwóch stron naraz dobiegł krzyk głośny, zabrzęczała broń, rozległy się wołania i jęki, gwałt straszny.

- Takem i myślał. Ci pierwsi mieli odwrócić uwagę od ataku na nasze wzmocnienia - sapnął Pieniązek, mocno uchwycił Eryka za ramię...

Gwałt w lesie za nimi trwał krótko, wygasał z każdą chwilą. Coraz głośniejsz natomiast robiło się na zamkowym przedpolu... Pieniązkowi ludzie, a i on sam, drżeli ze złości, że muszą tu wyczekiwać nie wiedząc na kogo, gdy tam, wre walka potężna, jak to można było wywnioskować z odgłosów.

- Rwij, bracie, do Topoli, zali zezwoli nam pójść tamtym na pomoc? Bo widzi mi się, że tutaj nie ma kogo już czekać...

Ledwo goniec zerwał się z miejsca, gdy nadbiegło dwóch zaciężnych Czechów, oznajmiając łamanym językiem, iż napastujący obóz zostali wszyscy rozbici, a rotmistrz nakazuje od tej strony przypuścić szturm na zamek.

- Tam wielka wycieczka... Bitwa idzie pod murami... - tłumaczyli jeszcze Czesi, Pieniązek nie słuchał, poderwał swoich. Nie zważając na czyniony hałas wypadli z lasu, mało nawet się kryjąc, gnali ku czarnym murom. Zapalały się na nich pochodnie, wyczuć się dawał popłoch, dolatywały śpieszne rozkazy.

Zarazem i miesiąc wychynął zza lasu czerwoną tarczą i rozgorzały mocnym blaskiem pochodnie na murach. Jasno się zrobiło wokoło. Z murów dostrzeżono atak, zaczęły lecieć strzały z kusz i ze zwykłych łuków, gruchnęły puszkki, przenosiły daleko, Pieniązkowi zbliżali

się już do fosy. Rotmistrz klął biegnąc, wyruszając bowiem w innych celach nie zabrali ze sobą drabin. Liczyć mogli jedynie na te, które przy poprzednich atakach zostawili na polu przedzamkowym. Biegnąc, Pieniążek rozglądał się jeszcze za kimś, wołał do Eryka:

- Kędy jest Stańko?

- Nie widziałem go - odsapywał Eryk z głębi zdyszanych płuc, uchylił się, wiatrem zaświszczała nad nim żelazna kula, gruchnęła pomiędzy krzewy, ktoś z tyłu zajęczał, nie mieli czasu oglądać się, docierali do fosy. Lód był znów mocny, pod ciągłym obstrzałem obrońcom trudno było nieustannie go przerąbywać. Ślizgając się, kuląc się biegli pod mur w kierunku, gdzie opatrzona dwoma basztami widniała boczna brama, mocno chroniona liczną załogą.

Kilk drabin od razu oparło się o wyślizgany, pokryty lodem mur. Wielką belką, jak taranem, paru chłopów uderzało o bramę. Ta drgała, skrzypiała, ale już z góry lunęły strumienie roztopionej smoły, posypały się kamienie, włócznie ze świstem rozdarły powietrze. Kilku atakujących padło, pozostali rzucili taran, chronili się pod murem, gdzie ich mogła dosięgnąć woda czy smoła, ale gdzie nie mogły razić strzały z łuków i miotane z rozmachem włócznie.

Jedna drabina załamała się z trzaskiem, ktoś spadał z samego jej szczytu, szeroko rozkrzyżowując ramiona w powietrzu. Eryk dojrzał, jak następna z drabin oślizguje się po gładkiej płaszczyźnie, skoczył, podparł ją, uczył, że ktoś mu jeszcze pomaga. Stojący na drabinie osłaniał się tarczami, kłuli mieczami nachylających się nad nimi obrońców.

- Drabinę tutaj, drabinę! - zakrzyczał przenikliwie Eryk, czuł, jak w tej samej chwili wrząca woda lunęła mu na plecy, szczęściem w ostatniej chwili skłonił nisko głowę.

Już przystawiono następną drabinę, gdy od przeciwnej strony zamku dobiegł wrzask jakby triumfu. Eryk nie czekając drapał się teraz na nią, lewą dłonią chwycił za szczeble, jfrawą osłaniał się mieczem.

Ktoś przystawiał trzecią drabinę, tworzył się jakby pomost. Któryś z atakujących runął w dół wzywając imienia Maryi, ktoś inny drapał się zwinnie na jego miejsce. Eryk nawet nie patrzył na boki, wzrok ciągle miał skierowany w górę. Gwałtownym wyrzutem ramienia uchwycił za długi bosak, którym usiłowano zepchnąć na bok drabinę, szarpnął do siebie całą siłą, razem z bosakiem ściągnął z muru obrońcę, który głową runął w dół, ocierając się w locie o ubranie Eryka.

Jeszcze dwa szczeble, uchwycił dłonią za występ muru, skulił się znów przed wrzącą wodą, płyn rozbił się z chlupotem o ścianę. Wynurzyła się jakaś twarz, wysunął przed siebie miecz, ciął w nią, wraz jednym skokiem wdarł się na mur, dojrzał, że zaciężny z następnej

drabiny stały już obok niego, błysnęły ostrza, dwóch knechtów natarło z mieczami, skupił się, odskoczył na stronę, jeden z knechtów przechylił się w rozmachu ku przodowi, trzasnął go wtedy przez głowę, usłyszał krzyk, skrzyżował żelazo z drugim napastnikiem, kątem oka zobaczył, jak nadbiega ich jeszcze kilku... Ale już czuł za sobą sapanie zdobywających mur druhów, choć pot zalewał mu oczy i przez chwilę walczył niemal na ślepo, choć czuł nagły ból w udzie, z wściekłością ciął od boku, trafił, aż stał zachrząca o kości. Długa włócznia zamigotała przed nim, pojął, że już od niej się nie wymiga, nie zdąży zastawić się mieczem, gdy nagle włócznia zwinęła się w dłoni knechta, a on sam zwałił się na ziemię wrzeszcząc przeraźliwie. To dalsi zbrojni, którzy dostali się na mury, szli Erykowi z pomocą.

Teraz już oni atakowali, przybywało ich z każdą chwilą. Jakby z daleka usłyszał Eryk głos Pieniązka, swoje imię przez niego wypowiedziane, wstąpiła w niego nowa energia, natarł szaleńczo na cofających się knechtów, pochodnia z szypieniem upadła na ziemię, zrobiło się ciemniej.

- Jak mi miecz miły, naprzód, do baszty, stamtąd na ziemię i wraz na drugi mur! - darł się Pieniążek, sam dawał przykład.

Zabrakło już tutaj obrońców, cofających się w popłochu do baszt. Wtargnęli na pierwszą z nich, kilku knechtów zwałiło się na dół, trafionych kopiami, gdzieś z boku świsnęła strzała z kuszy, z tym większą wściekłością natarli na basztę, wyparli drzwi ramionami, w ciemności zaatakowali obrońców. Knechtowie już prawie się nie bronili, skupieni w kącie dawali wyróżnić się jak barany.

- Uff, jak mi miecz miły, naprzód! - nawoływał Pieniążek, pierwszy zbiegł po szczeblach wewnętrznej drabiny na dziedziniec, rwał ku oddalonemu o parę kroków niższemu nieco murowi.

- Od południa jeden mur tylko... - krzyknął Eryk do biegnącego przed nim Pieniązka.

- Nie pora wybierać! - warknął szlachcic, uchylając się jednocześnie od ciosu włóczni, rzuconej zza wewnętrznego muru.

Rotmistrz oglądał się szukając sposobu, w jaki by dało się sforsować nową zaporę. Wykonali dopiero połowę dzieła. Krzyżacy mogli ich jeszcze łatwo stąd wyprzeć, mogli wytłuc wszystkich bez reszty. Oglądnął się za siebie, zakrzyknął potężnie, przegłuszając wszystkie hałasy:

- Drabiny tu dawać, drabiny...

Już nie zważał, że zamknął sobie w ten sposób drogę odwrotu. Nie dopuszczał w ogóle możliwości, by mieli zawrócić, za wiele ich kosztowało dotychczasowe zwycięstwo.

Znajdujący się jeszcze na murze zawrócili, pędzili po drabiny. I nagli rozległ się stamtąd radosny krzyk. Pieniążek spojrział, rozpoznał po odzieniu, byli to czeladnicy przysłani przez Daszkego z Elbląga. Topola musiał spostrzec się, jak sprawa wygląda, pchnął ich tutaj z pomocą. Przyciągnęli ze sobą drabiny, szybko opuszczali je teraz na dziedziniec między murami.

A tymczasem sypały się na Pieniążkowych kamienie, gwizdały strzały, włócznie rozcinały powietrze, opadająca strugami rozpalona smoła wydzieliała ostry, duszący zapach. Kryli się, gdzie tylko mogli, pod osłoną baszty, za stosem złożonych kamieni, których obrońcy pierwszej linii nie zdążyli wyrzucić na zewnątrz. Walka była ciężka, ważyło się jeszcze, po której stronie zostanie zwycięstwo.

Wśród obrońców zapanowało w pewnej chwili zamieszanie, przestali odpierać atak Prusaków rozszczynając wołanie o łaskę. Powiały białe chusty, Pieniążek zdumiał się, obawiał się podstępu, ale nie, bo oto i z innych stron dobiegały podobne wołania, uciekł rozgwar bitewny.

- Jak mi miecz miły, wdarli się nasi do środka, że ci się poddają, czy jak? Ustańcie, ale miejcie wszystko w bacznej uwadze, może być nowa jaka zasadzka - rozkazał uważnie obserwując, co się dzieje na murach.

Zabrzmiał róg Topoli. Rotmistrz obwieszczał koniec walki.

Rozwarto zewnętrzne bramy. Henryk von Plauen prosił o kapitulację. Topola przystał na rokowania.

Jeszcze tej nocy spisano warunki. Swit wstawał, gdy przydany Topoli kancelista elbląski podpisywał układ w jego imieniu, w zastępstwie zaś również niepiśmiennego von Plauena uczynił to skryba zamkowy. Członkowie Zakonu uzyskiwali prawo swobodnego wyjścia z zamku, i udania się w jakimkolwiek kierunku, z wyłączeniem Malborka i Sztumu. Zaciężni krzyżacy i wszyscy sprzymierzeni z nimi Prusacy dostawali się natomiast do niewoli związkowców.

Pieniążek ze swymi ludźmi, szczególnie zaś chłopci, których szturm od południowej strony zdecydował o zwycięstwie, przedostali się już bowiem aż na boczny dziedziniec zamkowy, krzywo patrzyli teraz na odchodzących wolno rycerzy i księży zakonnych. Nie podobał się im ten sposób rozwiązania sprawy, cóż jednak mogli poradzić, skoro takie decyzje wyszły od Tajnej Rady...

Na jednego z rycerzy zakonnych zwracano powszechną uwagę, wskazywano palcami. Jakoś nieswojo czuł się w za wielkiej zbroi, lica też były nazbyt gładkie, bledziutki, w

oczach czaił się smutek, że aż żal było patrzeć. Szedł obok Henryka von Plauena, uporczywie patrzącego sobie pod nogi.

- Dalibóg, toż białogłowa być musi, nie chłop - dziwili się.

- Diabła tam między nimi rozpoznasz...

Zastanowiło i to niektórych, że pomiędzy wychodzącymi brakło Wesołego Otta, głośnego okrutnika i kata. Znalezione go dopiero pod wieczór w wieży mieszczącej lochy, w których trzymano więźniów. Niewielu z nich zastano żywych, wśród tych zaś kilku zarośniętych, do ludzi niepodobnych szaleńców. W wąskim korytarzyku, tuż obok studni, leżał Wesoły Otto trzymając za gardło nieżywego Stankaniemowę. Zastępca komtura miał nóż wsadzony w serce aż po rękojeść. Zdeptana posadzka, odciski rąk na ścianach, przewrócone zydle, wszystko to świadczyło o strasznej walce, jaka musiała rozegrać się między tymi dwoma. Walce, w której obaj zginęli...

Pieniążek długo patrzył na ten ponury obraz, potem nakazał, by Stanka pogrzebać oddzielnie. Biedny niemowa zemścił ślę na tym, który pozbawił go mowy i radości życia.

Zadumani wracali z Erykiem z ponurej wieży więziennej pasłęckiego zamku. W dużej komnacie kilku zbrojnych mocowało się z oswobodzonymi z lochów szaleńcami. Nie poznając bowiem, wrogowie to czy przyjaciele, nieszczęśliwcy rzucali się na pruskich żołnierzy z pianą na ustach, gryźli, kopali... Na widok jednego z szaleńców, który leżąc skrępowany na ziemi, wściekle toczył oczyma, zarośnięty, z paznokciami pozdzieranymi do krwi, widocznie od darcia o mury, Eryk zatrzymał się zdumiony. Nie wierzył swoim oczym, trudno też było rozpoznać w siwym szaleńcu człowieka, którego znał kiedyś... Nie, chyba się myli...

- Myślałem, że to Gruc, ale gdzieżby, dalekie jeno to podobieństwo... - rzekł półgłosem do Pieniążka.

Słyszając to imię, szalenie szarpnął się nagle, z gardła jego wydobył się ponury ryk.

I wtedy oderwał się od ściany stojący przy niej stary, siwy człeczyna, nieznany nikomu. Zbliżył się do Eryka, przychylił nisko do kolan.

- Zaiste, to Gruc zacny panie rycerzu - zaszeptał przenikliwie.

Pieniążek spojrzał na niego bacznie.

- Ktoś jest?

- Kredensowy w tym zamku... A to zaprawdę jest Gruc, onże komediant, co świat objeżdżał dla Zakonu szpiegując... Chi! chi! chi! - zaśmiał się dziwacznie, ponuro. - Ja więcej wiem o nim, coś, co mało komu znane było na świecie.

- Gadaj wraz! - ostro nakazał Pieniążek.

- Dawno to było już temu, dawno, bo tenże Gruc nie pierwszy miesiąc tu siedzi... U nas, jeśli który zwariował, Wesoly Otto kazał jeść dawać, mówił, że wariatom nie żal, i tak już nic złego Zakonowi nie zrobią...

- Gadaj wraz, o Grucu co wiesz?

- Onże synem jest Henryka von Plauena... - znów ten szept przenikliwy...

- Brednie, uważaj stary, bo się rozsierdź! - zachnął się Pieniążek.

- Prawdę rzekę, sam słyszałem, jak zastępca komtura stojąc pewnego razu nad loszkiem, w którym tenże Gruc siedział, prawił mu ze śmiechem, iż oto jaka dola spotyka syna wielkiego szpitalnika, który go sam skazał na zmarnienie w tym lochu... Gruc ów się szarpał, plwał grubymi słowy, kamienie darł... Wesoly Otto jeno zaśmiewał się, ciągiem wypominał mu to ojcostwo Henryka von Plauena... Później jeden ze starych braci w sekrecie mi wieść tę potwierdził... Syn to zaiste nieprawego łoża...

- Chodźmy, jak miecz mój miły, a to człek sam gotów oszaleć, słysząc takowe rzeczy
- rzekł nagie Pieniążek, podtrzymał ślaniającego się Eryka.

Długo jeszcze zacny rycerz nie mógł się uspokoić.

- To ci hycle, mało że obcych, jeszcze własne dzieci potrafią mordować! Zaraza jedna, jak mi miecz miły, zaraza, którą do szczętu trza z ziemi wyżenąć.

Przystanął, zacisnął pięści.

- Do szczętu! - powtórzył twardo.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Mijały dwa tygodnie oblężenia zamku brodnickiego i nic nie zapowiadało, aby nowe szturmy mogły obalić ostatnią placówkę oporu Krzyżaków na ziemi chełmińskiej. Dawno już poddały się Łasin i Chełmno, Grudziądz, Wąbrzeźno i Radzyń, padło Nowe Miasto i Lubawa, w pierwszych dniach powstania zdobyli też związkowcy wszystkie pograniczne zameczki, strzegące granicy z Koroną. Jedyne Brodnica walczyła uparcie, zamknięci w niej rycerze zakonni wraz z licznymi oddziałami zaciężnych odpierali każdy atak, nie dopuszczając związkowców do murów.

Już dwa dni po wybuchu powstania, jeszcze za bytności w Prusach Jana Bażyńskiego, ogłoszone zostało pospolite ruszenie szlachty chełmińskiej. Coraz nowe oddziały ściągały pod Brodnicę, razem z zaciężnymi przypuszczały szturm po szturmie, cofały się ze znacznymi stratami.

Zamek położony był na płaskim wzgórzu, uniemożliwiającym stosowanie maszyn oblężniczych, których kilka nad wieziono z Torunia. Mrozy znowu zelżały, od tygodnia sypał śnieg, ułatwiając Krzyżakom obronę, rzucane bowiem z balist płonące kule gasły na wilgotnych dachach zamkowych budowli.

Teren był nagi, nie zalesiony, wojska powstańcze nie miały osłony, wszystkie domy w okolicy zamku zostały spalone jeszcze przed oblężeniem. Dokuczały chłód i wilgoć, zaczęły się panoszyć choroby.

Od dwóch dni trwała przerwa w działaniach, jedynie drobne wypadki powstańców utrudniały oblężonym naprawę powstałych szkód i zmuszały do ciągłej uwagi.

Toruń wspomagał związkowych swoimi wojskami, żywnością, w nim lano żelazne i ołowiane kule do puszek, zwożone potem na miejsce walki. Tieleman, sprawujący teraz główne rządy związkowe pod nieobecność posłującego Bażyńskiego, mimo ogromu pracy, osobiście zjeżdżał dwa razy pod Brodnicę, zachęcał, dodawał otuchy.

Związkowców ogarniała wściekłość na zaciekle broniący się zamek. Jednocześnie bowiem nadchodziły wieści z Pomorza, iż nawet Tczew, broniący się równie zaciekle, zdobyty został przez Jana z Jani, że załoga zamku gdańskiego poddała się bez walki, zajęty został zamek w Królewcu. Mieszkańcy ziemi chełmińskiej uważali to za osobisty wstyd, że dotąd nie opanowali Brodnicy. Zapadła decyzja przystąpienia do ostatecznego szturm. Od nowa nadzieja wstąpiła w serca związkowców.

Sandor Wielki dokazywał cudów ze swoim oddziałem. Jedna tylko rota dorównywała mu w dzielności. Byli to okoliczni chłopcy pod wodzą starego myśliwca Bratka. Dowodzący oblężeniem stary jaszczurkowiec, Szymon Głazewski, chociaż niechętnie usposobiony wobec chłopów, kilka razy zmuszony był wyrazić pełne uznanie rocie Bratkowej.

Dwa dni trwały przygotowania do decydującego szturm. Piętrzyły się drabiny do zdobywania murów, stosami zlegały wiązki siana i słomy dla osłony przed strzałami i dla zasypywania fosy, zamarzniętej tylko po części, stały obok siebie ochronne ściany z pni drzewnych, budowane w odległym o milę lasku, zwożone potem w pobliże zamku. Kartaczownice i balisty ustawiano na nowych miejscach, ubezpieczając je solidnie przed pociskami z zamku, kopano rowy osłaniające strzelców. Broni wszelakiej nie brakło, Toruń dostatnio zaopatrywał powstańcze wojska, ściągająca na pospolite ruszenie szlachta przybywała również dobrze zaopatrzona w miecze, kopie i łuki dla siebie i podręcznych.

Zarośnięty, zgnębiony dotychczasowym niepowodzeniem Bratek snuł się dniami i nocami wokoło zamkowych murów, przemyśliwając nad sposobem, w jaki by można było podejść Krzyżaków. Stracił dotychczas sześciu ludzi, cierpiał nad tym, kochał każdego

swojego żołnierza. W myśliwcu odezwał się stary wojak świadomy swojego celu. Popatrywał na strome, masywne mury, na łyskającą za nimi wieżę zamkowej kaplicy, potem przeszykiwał się wzrokiem po gładziźnie wzgórza, na którym wznosiła się krzyżacka warownia. Zły, splotał gęsto pod nogi, mruczał pod nosem plugawe słowa pod adresem Zakonu.

Próbowano robić podkopy, ale zamarznięta, w dodatku skalista ziemia uniemożliwiała robotę. Na wygłodzenie zamku nie było co liczyć, wieści głosiły, że przezorny komtur zabezpieczał się od dawna przed możliwością oblężenia, zapasy miały być bardzo obfite.

Stary myśliwy żałował często, że braknie przy nim Pieniążka. Rotmistrz na pewno potrafiłby coś poradzić, przecie nie w jednym ogniu już bywał, a koncept rycerski miał wyśmienity.

Pod wieczór zawezwał Głazewski dowódców rot na naradę. Toruń przysłał trzy nowe puszki wraz z obznajmionymi z ich obsługą Sasami i wielką ilością lanych kul. Nie zmieniło to jednak wiele. Zamek pysznił się nad nimi swoją niekształtną, masywną sylwetą, czujne oczy zza flank na murach śledziły bacznie, co się dzieje wokoło.

Zdecydowano, żeby o zmroku rozpocząć ostrzeliwanie muru w dwu punktach. Nowe puszki winny dopomóc. Może uda się mur nadwątlić, wtedy z sześciu stron jednocześnie przypuszczą atak. Zaczynał prószyć śnieg, noc zapowiadała się ciemna. Pełnia miesiąca dopiero minęła, chmury zaciągały niebo niskim szarym pułapem. Zrywał się wiatr, kołował drobinami śniegu.

Sandor z Bratkiem zaraz po naradzie udali się do swoich rot. Wspólna przyjaźń z Pieniążkiem zbliżyła do siebie tych dwu tak różnych wyglądem i charakterem ludzi. Szymon Głazewski zezwolił im wspólnie wyruszyć do ataku od najzacieśniej zawsze bronionej północnej strony.

- Ciężkawe nieco, drzewo namokło, we trzech z trudem pod tę górę poniosą - mówił Bratek, z posapywaniem dźwigając z ziemi wysoką na człowieka zaporę ze świeżych, pachnących jeszcze żywicą desek.

Sandor przychylił się niżej, by dobrze dojrzeć. Podobał mu się ten pomysł myśliwca. Szerokie tafle dawały osłonę od przodu, od góry zaś zabezpieczały przed smołą czy wodą, albo i przed strącanymi z muru kamieniami daszki nie dłuższe nad ramię, opadające ukośnie. Z chwilą dotarcia do muru, przystawione doń, dawałyby atakującemu osłonę i czas na przygotowania przy ustawianiu drabin.

W kilku miejscach drewnianych tafli, robiących wrażenie ogromnych, niekształtnych tarcz, wycięte były otwory, aby niosący je mogli widzieć drogę przed sobą.

- Pierwsze szeregi pobiegną z osłonami... Dalsi dopiero poniosą drabiny... Ciężko będzie - mrucał Bratek.

- Zdołamy, czuję to - olbrzym przeciągnął się w ramionach, aż zatrzeszczało.

Puszki i katapulty rozpoczęły ostrzał zamkowych murów. Huczało w powietrzu, kule nie trafiały dobrze, puszkarze długo musieli wstrzeliwać się w niewyraźnie majaczący o zmroku cel. Na murach gdzieś tylko tliły w śniegu pochodnie. Oblężeni z trudem przeciwdziałali ostrzałowi, zmuszeni przy tym do nieustannej uwagi, czy z jakiej zasadzki nie szykuje się atak.

Noc zapadła ciemna, śnieg kłębił się w wicherze, przeradzał w zadymkę. Puszki wciąż biły, słyhać było, jak lane kule ciężko uderzają o mur. Na murach gęściej zapłonęły pochodnie, pośród szalejącej śnieżycy słabo jednak rozświetlały przestrzeń.

- Śnieg ten dla nas zbawienie, niech jeszcze wiatr się wzmoże, ^ na to wygląda... Poradzimy sobie, chłopcy, poradzimy - zachęcał Bratek swoich, rwących się już do walki, wiatr bowiem przenikał przez ubrania, zimno było, zęby nie trafiały na siebie.

Nadjechał konno goniec Głazewskiego.

- Wraz od zachodniej bramy rusza pospolite ruszenie i dwie rotę łużyckie. Puszki na ten czas nie ustaną, bo walka w innym kierunku... Wy macie czekać na znak, przez gońca wojewoda da znać... Ostatni pójdziecie, gdy tamci główne siły przerzucą dla obrony na inną stronę...

Odjechał. Czekali. Z ciemności pomiędzy jednym a drugim hukem puszek i kartacznic dobiegł nagle odgłos dudnienia licznych kroków.

- Poszli - odsapnął Bratek, wsłuchali się wszyscy.

Na zamku w zawierusze śnieżnej nie dotrzeżono jeszcze ataku. Dopiero po chwili zamigotały światła, rozległy się okrzyki, zagłuszyło je potężne „JezusMaryja!” i „Hurra!” wydobywające się z piersi prących do ataku chełmińszczan wraz z zaciężnymi Łużyczanami.

Walka już trwała, krzyki i szczęk, głucho dudnienie, wszystko pomieszało się ze świstem coraz mocniejszego wichru, że ani się w tym rozeznac. Stojący obok siebie Bratkowi musieli krzyczeć nawzajem w ucho, aby się porozumieć tutaj, w nizinie, cóż dopiero mówić o tym górzystym wydmuchu, na którym stał zamek.

Tylko dźwięk rogu przebił nagle inne odgłosy.

- To z drugiej strony zaczyna się atak. Ale puszki wciąż dudnią...

I znów granie rogu, ostre, natarczywe, pobudzające krew do szybszego krążenia...

- Jeszcze jedni! Kiedy my ruszymy? - niecierpliwili się pomieszani ze sobą ludzie Sandora i Bratka. Obaj rotmistrze próbowali przebić oczyma kłębiącą się ciemność, wypatrywali czy nie nadjeżdża goniec od Głazewskiego.

Nic, tylko świst wichru i coraz głośniejsza wrzawa na wzgórzu.

Od jednej strony puszk i kartacznice związkowych zaprzestały ostrzeliwania.

- I tam ruszyli!

Zacichły ostatnie puszk. Tylko z zamku wciąż niosło się ich głuche dudnienie.

- Patrzcie, bez nas dobędą zamczysko... Przepomnieli widać, może tak bez rozkazu skoczmy? - przyskoczył do Bratka syn jego, ponury, z pałającymi gorączką boju oczyma.

- Milcz! - wrzasnął mu w ucho ojciec, choć go samego żarła niecierpliwość.

Tuż obok zadudniły kopyta. Goniec zarył konia o krok od obu rotmistrzów.

- Atak! - zakrzyknął, nim jeszcze grudki śniegu wyprysnęły spod nóg konia zdążyły opaść na ziemię.

- Hajjlaaa! - zawył Sandor tak potężnie, jakby trąba z Sądu Ostatecznego.

- Hooop heeej! - swoim zawołaniem zawtórował mu Bratek.

Mocno trzymając potężne tarcze, pierwsza grupa runęła naprzód, trochę za nią biegli dalsi, dźwigając długie drabiny. Ręce ześlizgiwały się po zlodowaciałym drzewie, płuca z trudem łapały powietrze. Wzniesienie było dość strome, grunt śliski, ciężko się biegło, nogi słabo trzymały się nawierzchni, wiatr kręcił z olbrzymią siłą, trzeba sę było przechylać, aby dać mu odpór.

Z jazgotem i świstem wpadł pomiędzy nich pierwszy pocisk, ktoś zawył głosem przenikającym wichurę. To obrońcy dostrzegli już atak zbliżający się i od tej strony, na ślepo walili pociskami.

Pochodnie niewyraźnie błyskały na murach, przygaszane przez wiatr z wirującym w jego podmuchach, drobnym śniegiem. Docierali już prawie do fosy, było tutaj jaśniej, na białym tle wyraźnie majaczyły ciemne sylwetki atakujących związkowców. Posypały się wyrzucane z katapult kamienie, w tarcze drzewne wbijały się strzały, z wielką siłą wyrzucane z kusz umieszczonych na murach.

Spad od fosy był ostry, oblodzony, nogi ślizgały się, nie znajdowały oparcia. Lód trzaskał w niektórych miejscach, zapadali się, jedni pomagali drugim, kilku jednakże skryło się z głowami pod wodą. Z murów sypał się istny grad pocisków wszelakiego rodzaju, raziły one atakujących, dwie tarcze pękły z traskiem pod uderzeniami wielkich kamieni.

Zrzucone do fosy wiązki słomy i siana ułatwiały przejście niosącym drabiny, nadbiegali wraz za pierwszymi tarczownikami. Jeszcze kilka skoków, wspięcie się na

złodowaciały nasyp, w którym trzeba było wyrąbać stopnie, wreszcie mur, gładki, niedostępny jak szklana ściana.

- Zasłony stawiać, zasłony! - ryk Sandora przebijał okropny zgiełk panujący dookoła.

Atak był pomyślany dobrze, nie było odcinka murów, gdzieby nie atakowali związkowi. Ale i obrona musiała być dowodzona przez dobrego żołnierza. Z muru raz po raz wychylały się twarze, groźne, przejęte, długie ręce spychały kamienie, wylewały wodę, z sykiem spływała gotująca się smoła. Straty były wielkie, puszki umilkły już dawno po obu stronach, kusze też odrzucono jako bezużyteczne. Łuki i długie bosaki, którymi strącano drabiny i godzono we wspinających się na nie, obok kamieni, włóczni, wody i smoły, stanowiły zasadniczą broń w tej chwili. Od dołu atakujący mogli przeciwstawić obrońcom tylko strzały i narastającą wciąż wściekłość.

Bratkowi przypadli do murów, daszki przy drewnianych tarczach dawały dobrą osłonę przed wodą i strzałami, nie chroniły jednak od strącanych głazów, które w puch rozbiły drzewo, często miażdżąc nacierających.

Co ustawiono drabinę, co wspiął się na nią któryś z powstańców, wraz spadał ugodzony, krzycząc przenikliwie toczył się po spadzistości do fosy, czasem zatrzymywał się na miejscu, gdzie lód był mocniejszy, czasem zanurzał się już na zawsze pod wodę pokrytą odłamkami lodowego szkliwią.

- Po kilka drabin razem, razem... - rozdarł się Bratek, wyrwał komuś drabinę, przytrzymał, bo usuwała się na oblodzonej cegle, już ktoś inny drapał się na nią z kocią zręcznością, trzymając nad głową zwykłą tarczę, obitą skórą. W tejże samej chwili rozległ się trzask, olbrzymi kamień, wyrwijąc z muru kilka cegieł, uderzył w drabinę, trzasła, wspinający się na nią rozpostarł ramiona, zajęczał, leciał w dół. Bratek odskoczył, kamień jednak trącił go w lewy łokieć z taką siłą, że upadł, uczył ogromny ból, zacisnął tylko zęby, zerwał się, wołał na swoich.

- Psia mać krzyżacka, na górę, chłopcy, na górę!

Atak załamywał się, obrońcy musieli być bardzo liczni, skoro dawali sobie radę na wszystkich odcinkach. Bratek spozierał w górę przekrwionymi oczyma, gęba paliła go, przez policzek przeciekła struga smoły, szczęściem ochłodzonej już nieco mroźnym powietrzem, łokieć bolał, z twarzy jego, gdyby ktokolwiek miał teraz czas patrzeć na nią, wyzierała wyraźna rozpacz.

Zakotłowało się nagle na murze nad nimi, rozległy się jakieś zduszone krzyki, jęk nagły, z łoskotem spadały z góry ciała krzyżaków, mocny krzyk przeszył powietrze:

- Bratek, Bratek, dawajże wraz, tu swoi!... Na górę, na górę, bo sami długo nie zdzierzym. Bratek, Bratek!

Nie zastanawiał się, kto go woła ani skąd przychodzi ta nagle pomoc. Zawrzasnął na swoich, by podciągali bliżej ocalałe przed zdruzgotaniem drabiny.

Kotłowanina na murze nie ustawała, jeszcze kilka ciał spadło na dół, zrzuconych z przerażającą siłą. Bra-' tek zmoczony cały przedarł się już z powrotem pod mur, ciągnąc porzuconą przy fosie drabinę, stękając z bólu, tak mu dowierało lewe ramię, usłyszał ponowny krzyk, rozpaczliwy jakiś, naglący:

- t Bratek, Bratek, bystrzej, bo nie zdzierzym...

- Już, już! - odkrzyknął, sam piął się do góry po uginających się szczeblach, bez zasłony żadnej, z mieczem jedynie w dłoni.

Obok przystawiano inne drabiny. Któraś wygięła się pod ciężarem Sandora.

Pierwsi z atakujących wskakiwali na mur. Kilkanaście postaci kłębiło się tam w walce wręcz, rozpaczliwej, bez słów. Zgrzytała broń, z jednej strony byli ludzie ubrani zwyczajnie, w lnianej odzieży, z drugiej zbrojni, zabezpieczeni półpancerzami zaciężni knechci.

- Hajjlaaa! - zakrzyknął Sandor, biegł ze swoim potężnym mieczem, jak burza runął na dwóch naraz Krzyżaków, sekundę nie trwało, gdy zwalili się, jeden na zewnątrz murów, drugi na otwarty dziedziniec zamkowy. Szerokim przejściem tłumnie biegli knechci zakonni, aby odeprzeć napastników, którzy wdarli się już na mury. Ale i z drabin jeden za drugim wychylali głowy ludzie Sandora i Bratka, wskakiwali na mur, wdawali się w bitwę.

Bratek walczył zaciekle, przyglądał się w miarę możliwości ludziom, którzy przyszli im w sukurs. Rozpoznał kilku znajomych z okolicznych wsi i dalszych, od strony Nowego Miasta.

- Widzisz, pomagamy wam, dobrześ prawil swojego czasu, że razem nam iść... A masz psiawiaro, a masz! - brodaty chłop przysunął się bliżej do Bratka, pogadywał coraz to waląc swą włócznią w następujących jeszcze ciągle zakonnych obrońców.

Ale już wszyscy prawie pozostali przy życiu zaciężni z rot Bratka i Sandora byli na murze, walka przeciągnęła się, i mimo że z innych stron nadbiegali Krzyżacy, jasnym było, że tym razem zamek zostanie zdobyty.

- Do bramy, rozwierać, do bramy! - pierwszy Sandor, wywijając mieczem młyńca, biegł po wąskich schodach na dziedziniec zamkowy. Za nim pośpieszyli inni, w kilkunastu zaatakowali broniących bramy knechtów. Zazgrzytały wrzeczadze, zapiszczały łańcuchy, brama uchyliła się, potem rozwarła szeroko, w teje samej chwili runęły otwartym przejściem

atakujące zaciekle oddziały chełmińskiego pospolitego ruszenia. Gdzieś nie opodal triumfalnie zagrział róg związkowych wieszcząc zdobycie zamku...

Bo chociaż walka przeciągnęła się jeszcze prawie do świtu, a ostatni obrońcy zamknięci w bocznej wieży drogo postanowili sprzedać swe życie, Brodnica, ostatni zamek w ziemi chełmińskiej, dostała się w ręce powstańcze.

Tym razem jeńcy zostali uwięzieni i przewiezieni do Torunia. Tajna Rada nieco za późno spostrzegła się, że zezwalanie na swobodne wyjście wzmacnia siły Zakonu w tych punktach, których związkowi dotąd nie mogli zdobyć.

Bratek dumny był z dzisiejszego zwycięstwa bardziej może od innych. To chłopci bowiem przyczynili się do wygranej. Znajdowała się ich w zamku spora liczba, zamknięta tam siłą na wieść o wybuchu powstania. Do ostatniej chwili za rozkazaniem komtura zwozili drzewo i kamienie dla umocnienia fortecy, potem zatrzymano ich dla pomocy w walce. Od dwóch tygodni oczekiwali niecierpliwie sposobnej chwili, by dopomóc związkowym. Ich uciecha też była wielka, że właśnie Bratek znalazł się w tej stronie, gdzie zebrali się kupą, bacznie śledząc rozwój wypadków, że chłopci pomogli chłopom.

Szymon Głazewski zgodził się, aby ze zdobytej broni zaopatrzyć wozaków i wcielić ich do rotty Bratkowej.

Całe wojsko rozłożyło się. obozem na dziedzińcach zamkowych. Wesoło płonęły ognie, skwierczały pieczone nad płomieniem tusze wole i całe barany. Niespokojny Bratek wraz z kilku ludźmi Sandorowymi poszukiwał olbrzymiego rotmistrza. Znaleźli go wreszcie pomiędzy rannymi. Sandor w ostatniej niemal chwili, przy bramie, otrzymał mocne pchnięcie włócznią w plecy. Krwawił silnie, opatrywano go teraz. Bratek przypadł do niego:

- Co wam? Co wam? - w oczach jego zamigotał coś w świetle chmurnego, ale już nie śnieżnego dnia^

Wy bladły Sandor uśmiechnął się lekko.

- Nic to, wojacka rana, zagoi się, jeszcze koniec mnie nie sądzony... - Przymrużył oczy, zmęczony był. - Zaopiekuj się moimi... - dodał cichutko, bardzo cicho.

Gdy Bratek wrócił do swoich, przywitali go radosnym pokrzykiem. Pokochali tego dowódcę, chłopskiej go jako i oni rodu. Uśmiechnął się do nich.

- Pomnijcie wiara, com prawil. Jak chłop nauczy się władać bronią, a z umem dowodzić, nie tylko na Krzyżaka będzie się mógł pokusić...

Zrozumieli, spojrzeli znacząco na wiwatującą nieopodal szlachtę chełmińską.

- Wiecie, rotmistrzu, szpiega tam złapali ślepego, jak pod zamek podchodził z dziewczką jakowąś. Niby to graniem i śpiewaniem zarabiają na życie, a poznali ludziska, że ongi z komediantami chodzili, co szpiegostwo czynili. Ona podobno tańczy na linie...

- Co prawisz? - zapominając o bólu ramienia, Bratek lewą dłonią pochwycił tamtego za pas.

- No toć! Ślepiec z dziewczką szpiegowaniem trudnili się dla zakonnych, przed godziną podeszli pod obóz... - tłumaczył przerażony chłop.

- Kędy są? - ryknął nagle Bratek.

- Powiedli ich do wojewody, aby rozsądził sprawę.

Bratek zerwał się z miejsca, i już śladu po nim nie było. Jak nieprzytomny biegł do zamku, gdzie zakwaterował się ze swoimi Szymon Głazewski. Zgłosił się do dzielnego dowódcy.

- Wasza miłość, tutaj ponoć przyprowadzono ku wam starca z dziewczyną... To moi znajomi, fałsz to, jakoby byli szpiegami...

Głazewski ciekawie spojrział na niego.

- Zgadza się, boć i dziewczyna ona prawiała, że was szukała wedle Brodnicy...

- Tak miało być... Eryka, bratanka Piotra z Wikliny, to miłośnica... A ów stary przez zakonnych był oślepiiony.

- Nie łiesz li to? - Głazewski wpatrywał się bacznie w szczere oczy Bratkowe.

- Wasza miłość! - obruszył się żołnierz, w głosie jego zakipiła złość.

- Nie sierz się, pytam jeno. Wraz każę ich zwolnić, bo zamknięci poka co siedzą...

Krótko potem Bratek ścisnął w objęciach ślepego starca, po ojcowsku ucałował dziewczynę.

- Kędyście bywali tak długo? Eryk od rozumu odchodził...

- Dziadek chorzał ciężko, więcemy na Mazowszu ostawali, poka do zdrowia nie wrócił. W Toruniu powiedziano nam, że dobywacie ze swymi Brodnicę, przyszliśmy tutaj, za szpiegów nas wzięto... A Eryk kędy przebywa? - zapytała wreszcie nieśmiało o to, co ją obchodziło najbardziej.

Bratek uśmiechnął się szeroko. Dobry dziś dzień! I zamek zdobyli, i dziewczkę Erykowi odszukał.

- W Elblągu był, potem Pasłek zawojowali razem z Pieniążkiem... Ponoć ładnie się tam sprawiali, samego wielkiego szpitalnika pobili... - poinformował, potem chwycił ich oboje za ręce. - Chodźcież ku naszym, siądziem przy ogniu, posilicie się, potem rozpowiadać będziem o wszystkim.

I nie wiedzieć czemu, znowu zaśmiał się do Zofijki całą swą zarośniętą gębą.
Wesoło mu było na duszy, oj, wesoło!

Rozdział dwunasty

Sala wawelska, w której odbywały się posiedzenia rady koronnej, przepelniona była dostojnikami polskimi. Kraków żył jeszcze wspomnieniem osiem dni trwających zabaw, tańców, korowodów ulicznych i igrzysk rycerskich, jakie skończyły się dopiero z chwilą wyjazdu świty panów austriackich, węgierskich i czeskich, towarzyszących królowej Elżbiecie podczas ceremonii zaślubin. Przed oczami dostojników migotały dotąd bogate stroje, aksamit i złotogłowie, barwy tak cudne, jakich świat nie zna, a jakie w tych dniach powszechnie widziało się na ulicach i w zbytkownych komnatach. Z głów zaledwie zdążyły wywietrzeć miody, wina i piwa, lejące się strumieniami w czas uroczystości weselnych.

Kto żyw z dostojników całego kraju zjechał był do Krakowa, radował się królewskim ożenkiem. Rzadko też kiedy posiedzenia rady koronnej odbywały się w tak pełnym komplecie jak dzisiaj. Wiedziano powszechnie, że od paru dni przebywają w Krakowie posłowie pruscy, przedstawiciele ludu, który wzniecił zwycięskie powstanie przeciw Krzyżakom. Głośno krążyła pogłoska o królewskiej sympatii dla śmiałych związkowców i o zabiegach stronnictwa Oleśnickiego, aby posłuchanie posłów u króla nie przyniosło wyników. Tym większej wagi nabierało posiedzenie dzisiejsze, na którym wysłannicy rycerstwa i najznacniejszych miast pruskich przedstawić mieli swoje prośby królowi polskiemu.

Gwar huczący w izbie radnej przycichł z chwilą, gdy z bocznych drzwi wyszedł w towarzystwie kanclerza król Kazimierz, zajmując miejsce na tronie umieszczonym na podwyższeniu.

Monarcha był w dobrym nastroju, uśmiechem odpowiadał na pełne szacunku ukłony, czoło miał pogodne, na pełnych jego ustach igrał dobrotliwy uśmiech. Poprawił fałdy sruknii bogato dzierganej złotem, skinął na marszałka dworu.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na drzwi wejściowe. Rozwarły się podwoje, weszło dwunastu przedstawicieli stanów pruskich. Przystanęli w pierwszej chwili, jakby onieśmieleni widokiem tak wielkiej liczby zebranych. Ubrani byli dostojnie i możnie.

Schylili się w niskim pokłonie.

Jan Bazyński, który wystąpił o krok przed innymi, na widok króla zadygotał głębokim wewnętrznym wzruszeniem. Ciepłe drgnienia przebiegały mu przez serce. Oto stanął przed władcą korony polskiej, za chwilę wypowie przed nim cały ból i udrękę uciskanych

Prusaków. A jednocześnie ogarnęła go trwoga przed zebraną ttt radą koronną, wśród której wielu niezyczliwych grupowało się przy starym kardynale, mierzącym go teraz surowym wejrzeniem. Byli też jeszcze inni niechętni, choćby ci przekupieni przez uczestniczącego z ramienia wielkiego mistrza w uroczystościach weselnych podskarbiego Eberharda von Kynsburg. Dowiedział się wszak wczoraj niektórych tajemnic o jego skrytych znoszeniach z wielmożami małopolskimi.

Uniósł oczy udręczone bólem, jaki przeniknął go na myśl, że mogłoby się wszystko nie udać... Napotkał w tej chwili pełne zrozumienia, dodające otuchy spojrzenie kanclerza. I wtedy prysnęły obawy z serca pruskiego przywódcy. Konięcpolski, politykrycerz, jak go powszechnie zwano, był przecie najgorliwszym orędownikiem pruskim u króla, miał posłuch i poważanie w radzie koronnej, śmiało się przeciwstawiał Oleśnickiemu, zaufaniem darzyła go ostrożna zazwyczaj królowamotka.

Przypomniał wrocławskie rady kanclerza, zdumiał się, jak trafne były, jak potwierdza je teraz przebieg wydarzeń... „Gdyby tak kiedy pospołu zasiadać z nim w radzie koronnej, obrońcą być spraw pruskiego kraju, ważyć swój głos w interesach wielkiego królestwa...”, uśmiechnął się w duchu do swego marzenia, ale zaraz przyszły mu na myśl rodzime ziemie, gdzie toczył się teraz zacięty bój. „Ciężka tam jeszcze przeprawa, obyż czym prędzej uzyskać pomoc Korony” - westchnął, znów spojrzał w rysie oczy kanclerza, zaczerpnął z nich nadziei i wiary.

Wystąpił jeszcze krok naprzód, powtórnie schylił się w głębokim pokłonie przed królem Kazimierzem.

- Najjaśniejszy, najpotężniejszy, najłaskawszy królu! - zabrzmiał w sali głos mocny, dostojny i pełen powagi.

Król uśmiechnął się przyjaźnie, dobrotliwie. W czasie kilkudniowych rozmów przedwstępnych kanclerz powiedział im o szczególnej sympatii monarchy dla sprawy pruskiej. „Łaskawie patrzy, zatem to prawda, przychylny nam jest...” Bażyński po tej inwokacji odczekał chwilę, po czym zaczął tonem pełnym napięcia:

-,Ziemie i miasta Związku Pruskiego wysyłają nas do Waszej Królewskiej Mości jako do chrześcijańskiego pana i króla, by ich niniejszą sprawę oraz ciężki ucisk W. K. M. przedłożyć oraz sposobem najpoddąnszym prosić o radę, pomoc i poparcie, ile można by uzyskać. Przypomina sobie bowiem W. K. M., że wiele z ziem pruskich, jak szczególnie pomorska, michałowska i chełmińska ziemia, przez długie lata należały do przodków W. K. M. i przez nich były rządzone chwalebnie i przy wszelkiej pomyślności...”*

Zasłuchali się wszyscy zebrani w słowa przedstawiciela Prus, który omawiał kolejne dzieje ziemi pomor-

* Ten i następne fragmenty mowy Jana Bażyńskiego - autentyczne. (przyp. auŁ.) skiej od chwili, gdy Konrad Mazowiecki sprowadził Krzyżaków, dając im w lenno ziemię chełmińską, aż po lata ostatnie, wykazując przeniewierstwa, krzywdę i gwałty czynione przez Zakon... W głosie Bażyńskiego czuli najgłębsze przeświadczenie prawdy i słuszności swej sprawy, oskarżenie Zakonu przejmowało dreszczem, tyle w nim było bólu, rozpacz gromadzonej przez wieki i pokolenia...

Posłowie pruscy stali w milczeniu, głęboko przejęci rolą, jaką im powierzono, z wyczekiwaniem popatrywali to na twarz króla, to na oblicza polskich dostojników. Wzruszeni dotychczasowym przyjęciem, zachwyceni przepychem i bogactwem miasta, pełni byli nadziei na przyszłość. Wawrzyniec Pilgrim myślał o ubożającym w ostatnich latach Elblągu, o trudnościach, jakie nieustannie stawiał mu Zakon, zazdrościł stolicy polskiego królestwa. Mikołaj Rodeman i Jerzy Swach, obaj z Królewca, tyle że z różnych jego dzielnic, modlili się w duchu, aby nie wyłoniły się jakieś przeszkody, aby Oleśnicki nie przeważył szali na pruską niekorzyść. Ciężki bo żywot miało sławne ich miasto, toczące nieustanne zmagania nie tylko z Zakonem, ale i z' wiernie przy nim stojącą szlachtą sambijską. Przecie i teraz, w powstaniu, zamek królewiecki zdobyli zaciężni z pomocą okolicznych chłopów, podczas gdy na palcach policzyć było można stojących przeciw Krzyżakom przedstawiciele szlachty... Inne życie nastanie, gdy się połączą z Koroną, odzyska Królewiec dawną świetność, znowu przyciągać będzie kupców z całego świata, zasłynie z wyrobów swego rzemiosła...

Torunianin Rotger von Birken pragnął wyczytać w królewskim obliczu większą serdeczność i przyjaźń niżeli w trakcie ostatniego poselstwa w Sandomierzu. I zdawało mu się, że w głębokich, zamyślonych oczach Kazimierza Jagiellończyka widnieje powzięta już śmiała decyzja. Mieszczanin ujrzał Toruń, zarzewie przeciwkrzyżackich spisków, śmiałe miasto, rządzące całą Wisłą i jej ruchem handlowym, spokojne już o konkurencyjną Nieszawę, która zostanie zburzona...

Także pozostali członkowie poselstwa słuchając wielkiej mowy Bażyńskiego przeżywali chwile głębokiego wzruszenia. Brat jego, Gabriel zasłuchany był, aż mienił się z przejścia na twarzy. Obok z marsową twarzą spoglądał na króla rycerz Augustyn z Szewy dumając, jako to będzie pod nowym panem. Mikołaj Wulkowski, Wawrzyniec Czeitz, Jan Kai, reprezentanci Pomorza, Chełmna i Braniewa myśleli o swoich miastach, gdzie po zdobyciu zamków krzyżackich niecierpliwie oczekiwano na wieści z Krakowa.

Nieodgadniony był lekki uśmiech na twarzy Meydeburga, przedstawiciela rady miejskiej Gdańska, ciągle zerkającego na ponurego Wilhelma Jordana.

Bażyński podniósł głos. Obecny w izbie wydało się, że oskarżenie jego na Zakon przybiera kształt gromu, tak mocne było i potężne, tak trafiało do sumień słuchających polityków, duchownych i rycerzy. Nawet stary Zbigniew Oleśnicki, odziany w kardynalskie szkarłaty, potakująco potrząsał głową. Równie jak inni nienawidził Zakonu, a jeśli teraz obstawał przeciw pomocy dla Prus, to dla innych względów, dla złudnej nadziei ratowania przegranej swojej polityki z Turkami. Chwilami jednak zapominał nawet o niej, zaciskał stare, bezzębne już wargi, łapczywie chłonąc każde słowo pruskiego trybuna:

„...Tak więc Zakon, u którego nie było nigdy słusznego ani chrześcijańskiego porządku, przez cały czas swoją potęgę i przygotowania wojenne, zamiast na wrogów imienia Chrystusowego, obracał przeciw własnym swym lennym panom i naszej pomocy do tego nadużywał; na tym wszakże jeszcze nie poprzestając, Zakon nałożył na nas różne nowe cła, opodatkowania i obciążenia, pogorszył nam monetę, miarę na łokciu i wadze skrócił, na dobytku i dobrach nas osłabiał i w ogóle stosował wobec nas różną samowolę i zachłanność, a przecież nie przyjęli oni nas jako poddanych po to, by nas uciskać i wyniszczać, lecz by utrzymać nas przy nadanych i ślubem zatwierdzonych wolnościach i prawach.

Ostatnio, i to jest najgorsze, popełnili wiele niesprawiedliwości w kraju, nikt sprawiedliwości nie przestrzegał, tyrania ponad miarę się rozwieliżmożniła, tak że ilu dostojników kraju było, tylu mieliśmy znosić wielkich mistrzów i panów. Rozpusta natomiast, łajdactwo i sromota była między nimi tak wielka i powszechna, że nie przystoi o tym mówić, a Bóg w niebie, aniołowie Jego i wszyscy Święci z tego powodu odczuwają odrazę; nasze żony,⁴ dzieci i czeladź pohańbili i pogwałcili, naszych przyjaciół/rodziców i dzieci, braci i krewnych ze szlachty i miast mordowali, bez jakiegokolwiek wyroku i prawa, w niesłychany sposób, bez jakiegokolwiek przewiny, jedynie na skutek ich własnej samowoli, tak we dnie jak w nocy; po kryjomu i otwarcie dali im gnić w wieży, ścinali i topili; za to nikt nie był w stanie uzyskać spr a wiedliwość ci...”

Perlisty pot pokrył czoło Bażyńskiego, chociaż nie lato to było, ale 21 luty widniał na kalendarzu. Mizerna, mała postać mówcy zdawała się olbrzymieć w oczach obecnych, potężny płomień, rwący się z niej mocnymi słowami, zastygał szlachetnym kamieniem, którego nic zniszczyć nie zdoła.

Posłowie pruscy wsłuchani w słowa o własnym losie, doznawali dziwnego oszołomienia.

Jeden tylko Wilhelm Jordan stał nadal ponury, z rzadka pojawiał się na jego wargach lekko ironiczny uśmiezek. On jeden nie dał się oszołomić widzianym w Krakowie przepychem, kapiącym purpurą i złotem. Wiedział, że Korona biedzi się także i z poważnymi kłopotami, na Litwie ciągle nie ma spokoju, trwa spór króla z duchowieństwem i możnowładcami, walczą ze sobą dostojnicy Małopolski i Wielkopolski, własną politykę dynastyczną prowadzi królowa Zofia, podupada drobniejsza szlachta, po miastach też różnie bywa - kupcy polscy nieraz” wszak narzekali na ucisk panów... Przepych weselny to tylko w części prawda, w części zaś jeno zewnętrzna pozłota. Pewnie, skoro lud gdański tak napiera, a rada miejska Gdańska się zgadza, trzeba będzie zamienić pana, ale zysk z tej zamiany musi się wyciągnąć największy. Toruń wraz z’ innymi miastami pruskimi, jak też rej wodząca polska w trzech czwartych szlachta chełmińska, pragną pełnego połączenia z Koroną. Nie inaczej trzeba będzie postępować i Gdańskowi, ale ustępstw za to wielkich i przywilejów zażądać. Trzeba się będzie targować. Byle nie dać Bażyńskiemu za wielkiej swobody. Ten się już czuje dostojnikiem Korony, po jej myśli rzecz będzie załatwiał, a i po swojej, bo władania przeciw Kulawiec nie od dziś cheiwy...

Powiódł oczyma po izbie radnej. Mignęła mu na chwilę twarz Jana Meydeburga, zacisnął wargi. Gdańszczanin także, ale z tych, co by chętnie widzieli większą wspólność ze Związkiem. Szczęście, że śmiałości mu brak i respekt czuje przed obytym w świecie Jordanem...

Uczuł na sobie czyjś mocny wzrok. To kanclerz Korony spoglądał na niego z lekkim uśmiechem. Ale w rysich oczach zdawała się czaić przestroga. W czasie trzydniowych rozmów wstępnych nieraz już ścięli się ze sobą, musiał Jordan ustąpić z wielu zamysłów. Tak, kanclerz będzie napierał, czuje za sobą większość rady koronnej...

Od sklepienia izby odbijał wyraźnie głos Bażyńskiego wieszczący dumnie, że posłowie pruscy nie przychodzą z próżnymi rękami:

- „...Ten więc wyrok cesarza, tak niesłuszny i tyrański, spowodował nas do wypowiedzenia posłuszeństwa Krzyżakom i podniesienia przeciw nim oręża w przekonaniu, że nie tylko nam mężom, ale i kobietom największą grozi sromotą poddanie się w jarzmo tak nikczemnej niepodległości. W ciągu dni dwudziestu orężem naszym przeszło dwadzieścia zdobyliśmy zamków, jako to: Toruń Stary i Nowy, Gdańsk, Elbląg, Grudziądz, Lidzbark, Golub, Kowalewo, Gniew, Świecie, Papowo, Tucholę, Pasłęk, Królewiec, Radzyń, Pokarmin, Nibork, Przesmark, Morąg, Brodnicę, Chełmno, Działdowo, Ragnetę, Ostródę, Bratian, które naszej uległy władzy. Gdy więc twoja Królewska Miłość, jak wszystkim wiadomo, i co sam mistrz i Zakon jawnymi wyznali pismy, jesteś Zakonu tego nadawcą, uposażycielem i

dobroczyńcą, ziemie zaś pomorska, chełmińska i michałowska gwałtem i przemocą zostały Królestwu Polskiemu wydarte, przeto udajemy się do Majestatu twego z prośbą abyś nas raczył przyjąć za twoich i królestwa twego wieczystego poddanych i hołdowników i wcielił do Królestwa Polskiego, od którego jesteśmy oderwani..

Na te słowa cichy szmer przeszedł pomiędzy panami i prałatami rady koronnej. Nawet król poruszył się lekko na tronie.

Kilka spojrzeń zwróciło się na kardynała Oleśnickiego. Zapadnięta ze starości twarz jego zmarszczyła się jakby w gniewie, prychnął nosem, chude, wydłużone nad miarę palce z irytacją zabębniły o poręcz krzesła. W oczach zjawilo się coś jakby udręka, jakby nowe poczucie zawodu i wielkiego rozczarowania... Dostrzegł zwrócone na siebie oczy, wyprostował się, przywołał na oblicze grymaśny uśmiech.

Bażyński posunął się jeszcze o krok naprzód, nieomal że do podnóża tronu, wpijając gorzejący namiętnością i wiarą wzrok swój w Kazimierza Jagiellończyka, mówił dobitnie, jakby chciał kłaść królowi gotowe argumenty do ręki, jakby zarazem przeprowadzał zasadniczą rozprawę ze stanowiskiem kardynała Oleśnickiego:

-,...Gdyby jednak ktoś chciał rzec, że nie należy gasić, skoro pożaru nie ma, to przypomni sobie W. K. M. stare przysłowie, że jeśli u sąsiada się pali, to jest właśnie czas, by się brać do gaszenia; jeśli Zakon nie dotrzymał nam naszych przywilejów i przysięg, które był złożył, to nie dotrzyma również W. K. M. sąsiedzkiej przyjaźni i postanowionego pokoju... Gdyby zaś chciano powiedzieć, że W. K. M. przywłaszcza sobie ziemie obcych panów albo komu chce wziąć to, co jest jego, to tego nie można ze słusnością powiedzieć, ziemie te bowiem wracają znowu do W. K. M. jako do swego starego dziedzica, od którego zostały oderwane częściowo podstępem, częściowo przemocą”.

Jeszcze bardziej stęzał głos pruskiego trybuna, słowa jego miały moc spiżu, aż dudniło od nich w izbie radnej i, bez niczyjego rozkazu, same z siebie sprawiały te słowa, że członkowie rady koronnej powstali nagle i stojąc już słuchali końcowych zdań mowy Jana Bażyńskiego.

-,...A ponieważ zostały wyrwane siłą i prawem wojny przez nas, a nie przez Wasz. Kr. Mość i teraz dobrowolnie W. K. M. zostają ofiarowane, to masz W. K. M. obowiązek wziąć je słusnie i sprawiedliwie w swą opiekę, strzec ich odtąd i chronić oraz jako dziedzic mieć za własne; za to ziemie i miasta będą winne zasłużyć sobie wobec W. K. M. i przy boku W. K. M. ochoczo życie, dobro i krew swoje nadstawiać...”

Ledwie to wyrzekł, łzy trysnęły gęstą strugą z oczu Bażyńskiego, z łoskotem runął na kolana przed majestatem królewskim, a wszyscy posłowie pruscy uczynili za nim samo. I

trwali tak wyciągnawszy dłonie do Kazimierza Jagiellończyka, pokorą swoją potwierdzając wolą wiernego trwania przy polskiej Koronie.

Ciszę, jaka teraz zapanowała, przerwał tylko szloch reprezentantów pruskich stanów, które z rozpacziwą odwagą podjęły nierówną walkę, zwyciężały w tej walce i pragnęły zakończenie jej widzieć w połączeniu z Polską, ku której zawsze zwracały oczy.

Kazimierz Jagiellończyk siedział na tronie nieporuszony, ale z męskiej jego twarzy dawało się wyczytać najgłębsze wzruszenie. Polski monarcha myślał, że może teraz właśnie przeżywa najszcześniejszą i najbardziej jasną chwilę swojego panowania. Oto nie orężem, nie siłą, ale samym blaskiem Korony polskiej przyciąga ku ojczyźnie oderwane niegdyś od niej ziemie, zdobywa tak upfagnione morze, rozwiera przed państwem swoim szeroki świat. I nagle poczuł król w sobie potężną siłę, jakby ją całe społeczeństwo przelewało w jego ciało i ducha, moc, która się nie ulęknie niczego, drwić będzie z przeciwności, potrafi je przewyciężyć.

Podniósł się z tronu, zszedł po stopniach do Jana Bażyńskiego, rękami swymi ujął go za ramiona, trwał tak przez chwilę. W tej chwili ślubował sobie, że dołoży wszelkich starań, nie cofnie się przed żadnym wysiłkiem, aby ziemią pruską przyozdobić koronę państwa, nad którym mu powierzono władanie.

Powoli cofnął potem swe dłonie, ciężkim, zmęczonym krokiem, jak po największym wysiłku, powrócił na tron.

Posłuchanie było skończone. Sprawa pruska oficjalnie wniesiona została na radę koronną.

Jan Bażyński chwiał się na nogach, musieli go towarzysze podtrzymać. Bywa tak w chwilach wielkich wzruszeń, gdy po długiej walce przybliża się wreszcie

■ ‘Ali, upragnione zwycięstwo. Panowie i prałaci z rady koronnej zegnali odchodzących posłów niskim ukłonem, innym zupełnie od tego, jakim spotkali ich przyjście. Tylko stary kardynał, owinięty szkarłatem, siedział nieporuszony, kąciki ust jego drgały jakby wyzwaniem. Wytrawny polityk raz jeszcze szykował się do boju...

I rzeczywiście przez blisko dwa tygodnie toczył ten bój zażarty, na posiedzeniach rady koronnej ostro przeciwstawiając się sprawie przyjęcia Prus pod opiekę i panowanie Korony. Wywodził, że sprzeczne to z’ traktatem z roku 1435, że krok taki narazi Polskę na utratę przychylności cesarza, a przede wszystkim papieża. Raz po raz wskazywał na misję Polski w Turcji, na chwalebny potrzebę boju o Konstantynopol, ku czemu, błagając o zachowanie pokoju w Prusach, całą mocą zachęcał go Eneaszy Sylwiusz Piccolomini.

Stary polityk, człowiek, który nie umiał patrzeć na świat nowymi oczyma, zżerał się w tych walkach, jak tonący chwycił się każdego argumentu, a jednak nie mógł przeważać szali na swoją stronę. Kardynał szeroko otwierał zdumione oczy, nie mógł pojąć, skąd się bierze nagle bankructwo jego polityki. Wiódł narady z wielmożami małopolskimi, wskazywał, jakim naruszeniem powagi królewskiej będzie inkorporacja Prus, wołał o herezji, jaka szerzy się nad pobrażem bałtyckim, gotów był sprzymierzyć się niemal z każdym, byle nie dopuścić przegranej... Smutnym, dzieciniałym wzrokiem patrzył, że jedynie biskup wrocławski, Jan Gruszczyński popiera jego stanowisko, nawet się nie domyślał, że listopadowe rozmowy z wielkim mistrzem w Malborku, zwalnające od uciążliwych świadczeń dzierżawy jego na Pomorzu, były tego przyczyną, nie zaś uznanie dla kardynalskiej polityki. Inni prałaci stawali po stronie kanclerza i wielkopolskich panów. Nawet wojewoda krakowski Jan z Tęczyna był za odwołaniem sprawy i przekazaniem jej do rozpatrzenia walnemu zjazdowi... Zdanie to znalazło uznanie także u innych reprezentantów obozu małopolskiego.

Wtedy kanclerz poważał się na krok ryzykowny. Doradził, aby posłowie pruscy zwrócili się z ponowną prośbą o nieodkładanie ich sprawy, w przeciwnym razie zmuszeni będą czynić starania o pomoc u króla Czech i Węgier, Władysława. Posunięcie to przesądziło sprawę...

Posłowie pruscy pracowali niezmordowanie. Każdego dnia toczyły się rozmowy na temat warunków poddania się, nie kończyły się targi o przywileje i prawa, które król miał nadać czy tylko potwierdzić. Jordan buntował się imieniem Gdańska, pragnął przekazania miastu dużej części Pomorza, na co król nie myślał dać zgody.

Na każdym kroku stykali się też w Krakowie z podskarbisem Zakonu, Eberhardem von Kynsburg. Wiadomym było powszechnie, że przywiózł on ze sobą olbrzymią kwotę pięćdziesięciu tysięcy czerwonych złotych na przekupienie członków rady koronnej. Przezorny był, widząc jak sprawy stoją, bruździł na inny sposób. Bandy podkomorzego Piotra Szafrąca w biały dzień jęły się dopuszczać rabunków i mordów, ogień rozszerzał się, mogła grozić wojna domowa... Sprawę Szafrąca wniesiono na radę. Zadecydowała mądrość Kazimierza Jagiellończyka. Powstrzymał się król od wydania wyroku, to bowiem znaczyłoby rozłam w obozie małopolskich wielmoży, z których wielu pozostawało w bliskiej komitywie z Szafrącem albo przynajmniej cieszyło się z wywołanych jego postępowaniem kłopotów monarszych. Król stuszczał sprawę, wycofał ją z porządku obrad. Podskarbi widząc swoją przegraną, wyr jechał na Miśnię i do Saksonii, aby tam werbować za-

- ciągi dla krzyżackiego Zakonu... Gabriel Bażyński w tym samym czasie imieniem Związku Pruskiego zawarł umowę zaciężną z księciem oświęcimskim, Januszem, i czeskim wodzem, Mikołajem Skalskim* razem mieli dostarczyć blisko dwanaście tysięcy zbrojnych.

Z Prus nadchodziły pomyślne wieści. Już tylko dwa zamki pozostawały w rękach krzyżackich. Malbork i Sztum. Najpotężniejsze to były twierdze, mieszczące w swych murach po kilka tysięcy zakonnych rycerzy. Z kraju wołano o decyzję, o posiłki i pomoc dla zupełnego wygnania Krzyżaków. Posłańcy przemierzali kraj w jedną i drugą stronę.

Jak w gorączce minęły ostatnie dni lutego, wraz z marcem nadeszły roztopy. Słońce coraz częściej złociło dachy i wieże Krakowa, gołębie olbrzymimi stadami zerowały na rynku. Z kościoła Mariackiego w południe rozbrzmiewał hejnał.

Zadyszany nadbieżał goniec wielkiego mistrza. W obszernym piśmie tłumaczył królowi Ludwik von Erlichshausen, dlaczego aż potąd nie zwracał się do niego z prośbą o mediację i obronę. Obwieszczał, że gotów jest rozpatrzyć sprawę poddanych, skłonny był nawet potwierdzić Związek. Pismo to w kancelarii królewskiej przyjęte zostało śmiechem...

Dzień szósty marca tego pamiętnego 1454 roku ciepły był, jasny, zwiastował już wiosnę. I znów w wawelskiej izbie radnej zebrała się rada koronna, nie na posłuchanie już ani na spory, ale na wielkie święto.

Król Polski ogłaszał akt inkorporacji ziem Pruskich do Polski.

„My Kazimierz, z Bożej łaski król polski, wielki książę litewski, oznajmujemy spółczesnym i potomnym, że ziemię pruską, chełmińską, pomorską, elbląską i królewiecką pod naszą opiekę, rząd i władzę przyjmujemy w myśl próśb ich pełnomocników i posłów.

Ziemie te Królestwu Polskiemu przywracamy i z nim je jednoczymy, do niego wcielamy i włączamy z prawem uczestniczenia we wszystkich korzyściach, prawach i swobodach...” *

Dostojna cisza, radość na obliczach rady koronnej, a łzy dziękczynienia w oczach posłów pruskich odpowiedziały na ten podniosły akt.

Tegoż samego dnia król polski wypowiedział wojnę Krzyżakom.

Prusy wracały do Polski. Bój jaszczurkowców został wygrany.

Zapanowała powszechna radość. Tylko kardynał Oleśnicki siedział złamany z wpadniętymi policzkami i gorejącymi oczyma. Blisko osiemdziesięcioletni starzec dopiero teraz pojął swą ostateczną przegraną.

Słońce złociło stary Kraków, uśmiechały się do rozradowanych posłów pruskich małe dzieci, gawiedź wznosiła /przyjazne okrzyki, gołębie fruwały z Rynku do góry i długi czas zataczały kręgi nad rozjaśnionym miastem.

EPILOG

Krótko przed świtem rzęsisty deszcz skropił ziemię, opadł kurz, liście drzew zajaśniały soczystą zielenią, potem słońce skąpało blaskami odświętnie przystrojony Toruń, mający dziś witać nowego pana.

Tieleman vom Wege, mianowany ostatnio burmistrzem miasta, osobiście pilnował, aby nie zapomniano o żadnym szczególe. Gubernator Prus, Jan Bażyński, wydał w tej mierze surowe rozkazy. Gońcy już wczoraj rano dali znać, że najjaśniejszy monarcha znajduje się o dzień drogi od miasta, na które pociągnął zaraz po walnym zjeździe w Łęczycy. Zjazd ten ostatecznie potwierdził decyzję rady koronnej w sprawie inkorporacji Prus i wypowiedzenia wojny Zakonowi, stając się wielkim triumfem obozu wielkopolskiego i ludzi zbliżonych do środowiska królowej Zofii. Kardynał Oleśnicki do Łęczycy nie przybył, nie chciał być świadkiem ostatecznej swojej przegranej...

Pod Malborkiem, Sztumem i Chojnicami, które udało się Zakonowi odzyskać w ostatnich dniach marca, toczyły się walki. Czekano na pomoc pospolitego ruszenia polskiego. Zakon wzmocnił się, przybyły nowe posiłki, wielkie wojska z odsieczą zapowiadali książę Rudolf Żagański i Bernard Szumborski, również z Austrii i krajów alpejskich zbrojne oddziały śpieszyły Krzyżakom z pomocą.

Wróg nie był jeszcze ostatecznie rozbity.

Przyjazdu króla oczekiwano z wielką niecierpliwością i podnieceniem, obecność jego umocnić miała jedność Prus, wlać nową otuchę w serca powstańców.

Miasto przemieniło się w wielki ogród. Gdzie nie spojrzeć, kwiaty, zieleń, wśród nich barwne stroje szlachty i mieszczan. Kto żył wyległ na ulice. Tłumy snuły się po nich od rana trawione radosną gorączką oczekiwania.

Na rynku przed ratuszem rozścielano na ziemi sukna, ustawiano tron, na którym miał zasiąść król Polski, dobrowolnie obrany pan ziemi pruskiej.

Na ratusz, kędy pod wodzą Tielemana urzędowała rada miejska, Wpadali zmęczeni gońcy, przynosili wciąż nowe wieści. Monarcha nocował o dwie mile przed Toruniem. Wyruszył wczesnym rano. Towarzyszyli mu wielcy dostojnicy Korony, duchowni i świeccy. Kazimierz Jagiellończyk wiódł ze sobą potężne zastępy rycerzy, sześć najprzedniejszych chorągwi poprzedzało króla, sześć postępowało za nim. Rychło już wjechać miał w bramy Torunia...

Wtedy ruszyli rajcy miejscy, dostojnicy pruscy i duchowieństwo przed mury miejskie, aby tam godnie powitać króla.

Tłumy ludzi były tak mnogie, że pachołkowie miejscy halabardami musieli torować przejście.

Z daleka odezwały się surmy. Tieleman vom Wege, dostojnie ubrany, obejrzał się czy trzymają obok poduszkę z kluczami do bram miasta... Rozległy się radosne okrzyki. Rajcy Torunia rozradowanymi oczyma spoglądali na zbrojne, wspaniałe chorągwie, kapiące od złota i najzacniejszej zbroi, wjeżdżające na most zwodzony...

Za nimi widać już było kolasy, którymi jechały damy towarzyszące poślubionej niedawno królowej Elżbiecie. Król jechał konno. Sypały się kwiaty, na moście rozpostarto czerwone sukno. Widziano, jak król Kazimierz zsiadł z konia, pieszo wszedł na most, kierując się ku witającej go u bramy grupie ojców miasta i dostojników kraju pruskiego.

Tieleman vom Wege, zawsze pewny siebie i butny, uczył, że coś go ściska za gardło, hamuje mowę. Trzymając przed sobą haftowaną złotem poduszkę, ze złożonymi na niej precudnej roboty kluczami, postąpił ku monarsze...

W parę dni potem wstępował Kazimierz Jagiellończyk na tron ustawiony na rynku Torunia, wspaniale przyozdobiony. Prowadził młodą swą żonę, Elżbietę. Dokoła skupili się najwyżsi panowie i dostojnicy Korony z Gubernatorem Prus, Janem Bażyńskim, pomiędzy nimi.

Król okryty był haftowaną misternie kapą. Korona lśniła na głowie. Przy boku przepasany miał miecz, w dłoniach trzymał berło i jabłko, insygnia władzy królewskiej. Jasne majowe słońce oblewało majestat, skrzyły się tysięcznymi błyskami drogie kamienie.

W radosnym uniesieniu spoglądał nieprzebrany tłum na oblicze królewskie, potem przenosił wzrok na uśmiechniętą serdecznie, piękną twarz królowej Elżbiety. W koronie na głowie, odziana była w jasne szaty, jakby i nimi także podkreślić pragnęła podniosłość na zawsze pamiętnego dla torunian dnia 28 maja 1454 roku.

Przed tron królewski postąpili teraz wszyscy przednie jsi panowie ziemi chełmińskiej oraz starszyzna miast Torunia i Chełmna. Powiewały na łagodnym wietrze chorągiew i godła ziemi chełmińskiej, nisko zgięły się przed monarchą w pokłonie.

Wojewoda chełmiński Augustyn z Szewy wystąpił naprzód, twardym głosem, choć wyczuwało się drgające w nim wzruszenie, składał królowi hołd imieniem ziemi chełmińskiej.

Słowa jego powtarzali stojący za nim mieszczanie i szlachta:

„Obiecuję, ślubuję i przysięgam, że najjaśniejszego księcia pana Kazimierza króla polskiego, wielkiego księcia litewskiego i następców jego, królów Królestwa Polskiego, przyjąłem i przyjmuję na pana mego i dziedzica ziem pruskich i wszystkie sprawy omawiane w Krakowie i zakończone między jego jasnością a nami przez wysłanników ziemi pruskiej będę zachowywał i wypełniał mocno i nienaruszenie oraz wiernie, bez zdrady i oszukaństwa, wykluczając wszelki podstęp. Nie przyłączę się nigdy do Krzyżaków świeckich, panujących ongiś w Prusach ani nie będę wchodził z nimi w pakt, ani przymierza albo w zapisy, lecz będę wspierał wspomnianego pana króla i jego następców, królów Królestwa Polskiego, po wszystkie czasy wiernie czynem, radą, pomocą i życzliwością. Tak mi dopomóż Bóg i ten święty krzyż!” *

Po czym po kolei przystępowali przedstawiciele pruscy do prymasa Polski, arcybiskupa gnieźnieńskiego Jana, trzymającego w dłoniach krucyfik, całowali go, jeszcze raz składali głęboki ukłon przed parą królewską.

Zadrżały mury starego Torunia od ogromnego krzyku, jaki podniósł się teraz z piersi zebranych tłumów. Wiwatowano na cześć Korony polskiej i jej króla, na sławę młodej królowej, głośno grzmiały imiona gubernatorów autentycznych. (przyp. aut.) natora Bażyńskiego i burmistrza miasta Tielemana vom Wege.

Dopiero gdy przed tronem królewskim uklękło kilkudziesięciu młodzieńców, mających dostąpić zaszczytu pasowania ich przez monarchę na rycerzy, ucichło znowu.

Król Kazimierz powstał, jasnym, rozradowanym spojrzeniem ogarnął wierne miasto, tysiączne tłumy, spojrzał po swojej radzie i po wzruszonych twarzach dostojników pruskich, po czym jakby w dziękczynieniu wzniosł oczy ku niebu błękitnemu, ciepłemu, zdajacemu się wróżyć piękną przyszłość tak chlubnie poczętemu dziełu.

Pojął, że dla takich chwil warto znosić przez lata ciężkie trudy panowania, warto toczyć boje na zewnątrz i zmagać się z wrogami wewnątrz kraju. Spotkały się jego oczy z ufnym spojrzeniem błękitnych jak niebo nad Toruniem źrenic królowej, podzieliły się radością i miłowaniem.

Eryk, tak jak inni odziany w zbroję, po nocy według zwyczaju poświęconej czuwaniu, klęczał spoglądając na twarz zbliżającego się króla. Błady był, serce waliło mu mocno. Bo oto nie tylko czekało go pasowanie na rycerza, ale zamyślił odważyć się na rzecz śmiałą i niebezpieczną. Któż był zdolny przewidzieć, jak się to może skończyć?

Każdego z kandydatów na rycerza uderzał król silnie po ramieniu, na zachowanie pamięci tej chwili. Potem wręczano pasowanemu w ten sposób miecz z pasem rycerskim i przypinano ostrogi.

Obok Eryka przesunął się Edwin, który zasłużył się walcząc pod wodzą Jana z Jani, mianowanego niedawno wojewodą pomorskim.

Wszyscy pasowani świeżo rycerze odeszli, na placu przed tronem pozostał sam Eryk. Z boku z niepokojem patrzyli na niego Sandor Wielki i Mikołaj Pieniążek. Jeszcze dalej widniała w cieniu ratuszowym twarz Piotra z Wikliny, który powrócił już z Królewca po zdobyciu i zburzeniu tam krzyżackiego zamku... Kazimierz Jagiellończyk zamierzał już wracać na swoje miejsce, ale zdziwiło go zachowanie młodego rycerza. W tej chwili Eryk runął na ziemię, przechylił się do kolan królewskich. Od grupy panów koronnych przystąpił do monarchy wojewoda Szarlejski, rzekł półgłosem:

- Miłościwy Panie, za moją to poradą dzielny ten młodzian prośbę wielką chce wnieść do Majestatu Waszego. Spójrzycie przychylnym okiem...

Zdziwiony jeszcze bardziej król przyjrzał się przechylonemu nisko ku jego kolanom rycerzowi.

- Czegóż pragniesz?

- Wasza Królewska Mość - Eryk podniósł oczy ku pogodnej twarzy/monarszej. - O łaskę błagam, by Wasza Królewska Mość przychylnością swoją łaskawie spojrzeć raczył na małżeństwo moje z dziewczką, którą nad życie miłuję... Prostej ona jest stanu, za młodu przez Krzyżaków od swoich porwana, komedianctwem zarabiać na chleb musiała, cnoty swej i honoru mimo to pilnie strzegąc...

Zwiesił głowę w oczekiwaniu na wyrok. Król zdawał się namyślać, wyraz zdziwienia zniknął z jego oblicza, uśmiechnął się, złożył dłoń na ramieniu klęczącego rycerza...

- Masz moją przychylność, a oto jej znak... - zdjął pierścień ze swej dłoni, podał go Erykowi.

Przypadł do nóg królewskich szczęśliwy bez miary.

Odchodząc rzekł jeszcze Kazimierz Jagiellończyk, uśmiechnięty serdecznie:

- Pomnij, by mi jeszcze w czas toruńskiego pobytu dziewczkę ową ukazać...

Rycerz wpadł zaraz w objęcia Sandora Wielkiego i Pieniążka.

Husyta nie posiadał się z radości, klepał ich obu po plecach, zaśmiewał się ze swego pomysłu:

- Mówiłem Sandorowi, że król na pewno się zgodzi... Tyś jeno nie chciał do wojewody iść, o wstawiennictwo prosić... Ej Eryk, jak mi miecz miły, toż pohulamy na waszym weselu! A gdzie Zofijka?

Rozejrzeli się szukając dziewczyny. Stała nie opodal w grupie mieszczek, przytulona do boku Tielemanowej córki, w ich domu bowiem przebywała za łaskawym zezwoleniem

burmistrza. Nim jednak Eryk dotarł do niej, drogę zastąpił mu Piotr z Wikliny. Spojrzenie jego płynące spod krzaczastych brwi Ciepłe było, przyjazne. Rozwarł szeroko ramiona:

- Niechże i ja cię uścisknę... Co zaś było, nie pomnij, Eryk!

Sandor aż zabulgotał z wielkiej radości. We czwórkę już poszli ku zapłonionej Zofijce.

Dzień ten minął Toruniowi w wielkiej radości. Bawiono się na placach, po gospodach nie nadążano z podawaniem miodów i piwa, barwne korowody ciągnęły ulicami.

Na przyjęcie króla szykowały się teraz Elbląg i Gdańsk.

W Polsce zwoływano pospolite ruszenie. Przybyły nowe oddziały zaciężnych związkowych. Zdawać się mogło, że ostateczne zwycięstwo nad Krzyżackim Zakonem, to sprawa krótkiego jedynie czasu.

Myśliwiec Bratek stał nad wieczorem u bramy miasta, wywodzącej na drogę grudziądzką. Otaczało go kilku najbliższych z roty.

- Nie widzi mi się, by wojna rychło miała wygasnąć... Krzyżak wciąż silny jeszcze, poparcie ma możnych świata - powiedział.

Westchnął, rozprostował ramiona, powiódł spojrzeniem po niebie skąpanym światłami zachodu.

- KONIEC - Poznań - Turzno - Zakopane luty 1954 - maj 1955.